

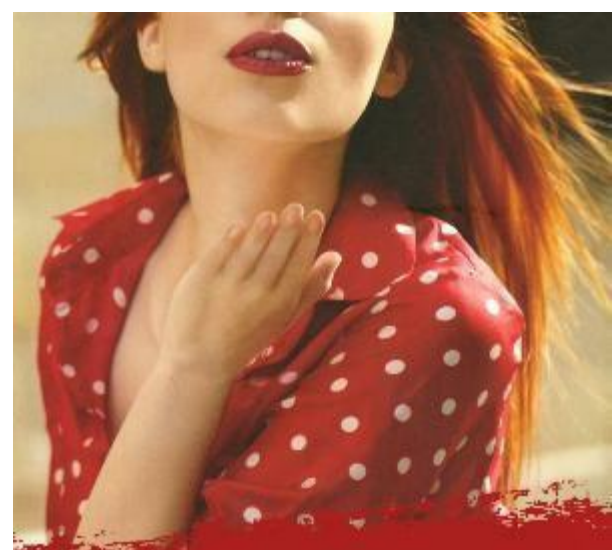


SUSAN ELIZABETH  
**PHILLIPS**

Bestseller z Top 10 „New York Timesa”

*Nikt mi się nie oprze*





SUSAN ELIZABETH  
**PHILLIPS**

Bestseller z Top 10 „New York Timesa”

*Nikt mi się nie oprze*



# Phillips Susan Elizabeth

*Nikt mi się nie oprze*

**Lucy zamierza wyjść za Teda – absolutny ideał.**

**Meg zamierza jej przeszkodzić - za wszelką cenę.**

**Meg, najlepsza przyjaciółka Lucy, wie, że za nic w świecie nie można dopuścić do tego małżeństwa. Ale najwyraźniej nikt poza nią tego nie rozumie. Meg staje się najbardziej znienawidzoną kobietą w miasteczku, gdzie ma się odbyć ślub**

**– i gdzie utknęła z rozlatującym się samochodem i pustym portfelem. Splukana, zdana tylko na siebie, narażona na wściekłość niedoszłego(i nieodparcie pociągającego) pana młodego jest pewna, że zdoła przetrwać to wszystko. Bo co gorszego może się jej jeszcze przydarzyć? Przecież chyba nie straci głowy dla Pana Nikt Mi Się Nie Oprze...**

*Rozdział 1*

NIEJEDEN MIESZKANIEC WYNETTE W STANIE TEKSAS uważał, że Ted Beaudine mógłby się ożenić lepiej. Gdyby przynajmniej matka panny młodej nadal była prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ale Cornelia Jorik nie sprawowała urzędu już od ponad roku, a Ted Beaudine to w końcu Ted Beaudine.

Młodszy chcieli, by poślubił multiplatynową gwiazdę rocka, tylko że on miał już kiedyś tę szansę i ją odrzucił. To samo dotyczyło aktorki-celebrytki. Jednak większość mieszkańców sądziła, że powinien wybrać kogoś ze świata sportu, a konkretnie z Kobiecego Związku Zawodowego Golfa. Tymczasem Lucy Jorik nawet w golfa nie grała.

Co nie powstrzymało tutejszych handlowców od nadrukowania portretu państwa młodych na specjalną edycję piłek golfowych. Na dołkowanej powierzchni Ted i Lucy wyglądali na trochę zezowatych, więc turyści -

którzy tłumnie ścignęli do miasteczka, żeby choć rzucić okiem na weekendową uroczystość - wybierali raczej bardziej pochlebne dla narzeczonych ręczniki. Do szlagierów zaliczały się też okolicznościowe talerze i kubki, produkowane masowo przez lokalny klub seniora.

Dochód z ich sprzedaży miał iść na remont spalonej biblioteki publicznej.

Ulicami Wynette - rodzinnego miasta dwóch największych sław zawodowego golfa - przechadzało się wiele znakomitości, ale z pewnością nie był to nikt tak ważny jak były prezydent Stanów Zjednoczonych. Wszystkie hotele i motele w promieniu osiemdziesięciu kilometrów zapełnili politycy, sportowcy, gwiazdy filmowe i najwyżsi urzędnicy państwowi. Wszędzie krążyli agenci Secret Service i stanowczo zbyt wielu dziennikarzy zajmowało cenne miejsca przy barze w Roustabout. Jednak Wynette przeżywało ciężkie czasy, bo lokalną gospodarkę podtrzymywał

zaledwie jeden zakład przemysłowy, więc mieszkańcy bardzo doceniali ruch w interesie. Szczególną pomysłowością wykazał się Klub Kiwanis, który po dwadzieścia dolarów sprzedawał miejsca na trybunie ustawionej naprzeciw kościoła pre-zbiteriańskiego.

Ogół społeczeństwa doznał szoku, kiedy Lucy Jorik, zamiast wziąć ślub w stolicy, wybrała na ceremonię małe teksańskie miasteczko. Ale Ted był

w każdym calu chłopakiem z Hill Country i miejscowi nawet nie wyobrażali sobie, że mógłby żenić się gdzie indziej. Pod ich czujnym spojrzeniem wyrósł na mężczyznę, znali go równie dobrze jak własną rodzinę. Nikt w Wynette nie mógł powiedzieć o nim złego słowa. Nawet jego eks-dziewczyny potrafiły zdobyć się tylko na westchnienia żalu.

Właśnie takim facetem był Ted Beaudine.

Meg Koranda mogła pochodzić z królewskiego rodu Hollywood, niemniej była kompletnie spłukana, bezdomna i w rozpaczliwej sytuacji, co wprawiało ją w nastrój niecałkiem odpowiedni do roli druhny na ślubie najlepszej przyjaciółki. Zwłaszcza że podejrzewała, iż poślubiając pupila Wynette w stanie Teksas, ta najlepsza przyjaciółka popełnia błąd życia.

Przyszła panna młoda właśnie zdeptywała dywany apartamentu w zajeździe Wynette Country, który jej znakomita rodzina objęła we władanie na czas uroczystości.

- Oni nie powiedzą mi tego w twarz, Meg, ale każdy w tym mieście jest przekonany, że Ted popełnia megalians!

Lucy wyglądała tak smętnie, że Meg zapragnęła ją przytulić albo może sama chciała się w ten sposób pocieszyć. Jednak poprzysięgła sobie nie dodawać własnej biedy do strapień przyjaciółki.

- Ciekawy wniosek jak na tę wiochę, zważywszy, że jesteś najstarszą córką byłej prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie takim znowu nikim.

- Adoptowaną córką. Mówię poważnie. Tutejsi ludzie odpytują mnie. Za każdym razem, kiedy tylko wyjdę z domu.

Nie była to dla Meg całkowita nowość, bo po kilka razy w tygodniu gawędziły przez telefon. Jednak rozmowy nie ujawniały zmarszczek napięcia, chyba już na stałe zarysowanych u nasady zgrabnego nosa Lucy. Meg w zadumie skubała jeden ze srebrnych kolczyków, pamiętających - albo i nie - panowanie dynastii Sung, zależnie od tego, czy wierzyć riksarzowi z Szanghaju, od którego je kupiła.

- Przypuszczam, że jesteś zbyt łaskawa dla zacnych obywateli Wynette.

- To mnie naprawdę denerwuje. Oni starają się być przebiegli, ale nie mogę przejść ulicą, żeby ktoś nie zaczął się dopytywać, czy wiem, w którym roku Ted wygrał amatorskie mistrzostwa Stanów Zjednoczonych albo w jakim odstępie czasu uzyskał stopnie licencjata i magistra.

Podstępne pytanie, bo załatwił to za jednym zamachem.

Meg porzuciła college, zanim uzyskała jakikolwiek stopień, więc myśl o zdobyciu dwóch naraz wydała jej się dość obłądna. Z drugiej strony Lucy mogła mieć lekką obsesję.

- To dla ciebie całkiem nowe doświadczenie i tyle. Nie wszyscy ci się podlizują.

- Uwierz, nie ma takiego zagrożenia. - Lucy wepchnęła pukiel jasnobrązowych włosów za ucho. - Na przyjęciu w zeszłym tygodniu ktoś zapytał mnie od niechcenia, jakby to był najzwyklejszy temat towarzyskich pogaduszek, czy przypadkiem znam IQ Teda. Nie znałam, ale sądziłam, że moja rozmówczyni też nie zna, więc strzeliłam: sto trzydzieści osiem. Ale, och, nie... Okazuje się, że popełniłam ogromny błąd. Ponoć ostatnim razem, kiedy go sprawdzano, osiągnął sto pięćdziesiąt jeden. A barman dodał, że Ted miał wtedy grypę, bo inaczej z pewnością poszłoby mu lepiej.

Meg miała ochotę ją zapytać, czy dobrze przemyślała to małżeństwo, ale w przeciwieństwie do niej, przyjaciółka nigdy nie postępowała impulsywnie.

Spotkały się w college'u, kiedy Lucy była bystrą, ale samotną studentką drugiego roku, a Meg zbuntowaną pierwszoroczniczką, która wiedziała, jak to jest mieć sławnych rodziców, więc rozumiała nieufność nowej znajomej. Jednak stopniowo zżyły się, mimo bardzo różnych charakterów. Meg szybko dostrzegła coś, czego inni nie zauważali. Pod zacieklą determinacją, by w żaden sposób nie skompromitować rodziny Jorików, biło serce urodzonej buntowniczką. Chociaż widząc Lucy, nikt by się tego nie domyślił.

Delikatne rysy i gęste rzęsy małej dziewczynki sprawiały, że wyglądała młodziej niż na swoje trzydzieści jeden lat. Lśniące brązowe włosy podrosły jej od czasu college'u. Zazwyczaj przytrzymywała je aksamitnymi

opaskami, jakich Meg nie włożyłaby za skarby świata. Podobnie nigdy nie wybrałaby wytwornej, obcisłej zielonkawo-błękitnej sukni z czarnym rypsowym paskiem, którą tego dnia miała na sobie przyjaciółka. Długie, szczupłe ciało Meg spowijały płaty połyskliwego jedwabiu, udrapowane i spięte na ramieniu. Klasyczne sandały gladiatorki - rozmiar jedenaście -

oplatały jej łydki, a pomiędzy piersiami spoczywał srebrny wisior.

Zrobiła go sama z tabakiery na betel, którą wypatrzyła kiedyś na targowisku w centralnej części Sumatry. Całości dopełniały kolczyki z czasów dynastii Sung, najprawdopodobniej fałszywe, oraz cała kolekcja bransoletek, nabytych za sześć dolarów w T. J. Maxx i upiękuszonych afrykańskimi koralikami. Modę Meg miała we krwi.

I dochodziła do niej krętą ścieżką, jak mawiał jej wuj, słynny nowojorski projektant.

Lucy bawiła się skromnym sznurkiem pereł wokół szyi.

- Ted jest... On jest najbliższy temu, do czego doszedł świat, wymyślając ideał mężczyzny. Tylko spójrz na mój ślubny prezent. Kto ofiarowuje swojej oblubienicy kościół?

- Muszę przyznać, to robi wrażenie. - Wcześniej tego popołudnia Lucy pokazała przyjaciółce opuszczony drewniany kościółek, przycupnięty przy końcu wąskiej drogi na peryferiach Wynette. Ted

kupił go, żeby uchronić przed rozbiórką, a potem mieszkał w nim przez kilka miesięcy, kiedy trwała budowa jego obecnego domu. Chociaż teraz nieumeblowany, kościółek był czarującą starą budowlą i Meg bez trudu rozumiała, dlaczego Lucy go uwielbia.

- Powiedział, że każda mężatka musi mieć swój prywatny kącik, żeby pozostać przy zdrowych zmysłach. Możesz sobie wyobrazić większą troskliwość?

Meg nasuwała się bardziej cyniczna interpretacja. Jaką lepszą strategię mógłby przyjąć bogaty mężczyzna, gdyby zamierzał urządzić dla siebie ustronne lokum? Ale odparła tylko:

- Faktycznie, niewiarygodne. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. -

W duchu przeklinała szereg osobistych i finansowych kryzysów, które przeszkodziły jej wskoczyć do samolotu, żeby spotkać się z wybrańcem Lucy już parę miesięcy temu. Nie dotarła nawet na wieczór paniński, a na ślub musiała jechać z Los Angeles gratem kupionym od ogrodnika rodziców.

Wzdychając, Lucy przysiadła obok niej na sofie.

- Jeśli zamieszkamy w Wynette, zawsze już będę nieudacznicą.

Meg dłużej nie mogła się powstrzymać i uściskała przyjaciółkę.

- Nigdy nie byłaś nieudacznicą. Ocaliłaś siebie i swoją siostrę od dzieciństwa w rodzinach zastępczych. Mistrzowsko odnalazłaś się w Białym Domu. A jeśli chodzi o umysł... masz stopień magistra.

Lucy poderwała się z sofy.

- Który zdobyłam dopiero po licencjacie. Meg zignorowała ten przejaw szaleństwa.

- Twoja praca na rzecz dzieci niejednemu z nich zmieniła życie. Moim zdaniem, takie rzeczy liczą się o wiele bardziej niż jakieś astronomiczne IQ.

- Kocham go, ale czasami... - odparła z westchnieniem Lucy.

- Co?

Machnęła dłonią. Jej świeżo wymanikowane paznokcie lśniły najbledszym różem, przeciwieństwem szmaragdowozielonego lakieru, który obecnie preferowała Meg.

- To bzdury. Przedślubna trema. Nie przejmuj się.

Niepokój Meg przybierał na sile.

- Lucy, od dwunastu lat jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. Znamy swoje najgorsze sekrety. Jeśli coś...

- Właściwie wszystko jest w porządku. Po prostu denerwuję się ślubem i całym tym zainteresowaniem, które wzbudza. Dziennikarze są dosłownie wszędzie. -Usiadła na brzegu łóżka i przytuliła do piersi poduszkę, tak jak za czasów college'u, kiedy czymś się gryzła. - A... a jeśli Ted okaże się dla mnie za dobry? Jestem inteligentna, ale on jest inteligentniejszy. Jestem ładna, ale on jest olśniewający. Staram się być przyzwoitym człowiekiem, ale on jest praktycznie święty.

Meg zdusiła narastające uczucie złości.

- Zrobili ci pranie mózgu.

- Wszyscy troje dorastaliśmy pod opieką sławnych rodziców. Ty, ja i Ted... Ale Ted zbił własną fortunę.

- Niezbyt sprawiedliwe porównanie. Ty pracowałaś w organizacjach non profit. To słaba odskocznia do kariery multimilionerki. - Lucy utrzymywała się sama, z czym Meg nigdy sobie nie radziła, bo była zbyt zajęta jeżdżeniem w różne odległe miejsca pod pretekstem studiów nad lokalną specyfiką i etnicznymi rzemiosłami. W rzeczywistości traktowała te podróże jak dobrą zabawę. Kochała swoich rodziców, ale nie podobało jej się, że w taki sposób się od niej odcięli. I dlaczego akurat teraz? Może gdyby zrobili to, kiedy miała dwadzieścia jeden lat a nie trzydzieści, nie czułaby się kompletną ofiarą losu.

Lucy oparła drobny podbródek o brzeg poduszki, która zmarszczyła się wokół jej policzków.

- Rodzice go ubóstwiają, a przecież wiesz, jaki mieli stosunek do facetów, z którymi się spotykałam.

- Nawet w przybliżeniu nie tak otwarcie wrogi jak moi do tych, z którymi ja się umawiam.

- Bo ty się umawiasz z koszmarami światowej klasy.

W tej kwestii Meg nie mogła się spierać. Stosunkowo niedawno do grona jej wybrańców dołączyli schizoidalny surfer, którego spotkała w Indonezji, i australijski przewodnik raftingowy z poważnym problemem kontrolowania gniewu. Niektóre kobiety uczą się na swoich błędach.

Najwyraźniej ona nie była jedną z nich.

Lucy cisnęła poduszkę na bok.

- Ted dorobił się majątku w wieku dwudziestu sześciu lat, bo wynalazł

jakiś genialny system oprogramowania, który pomaga lokalnym społecznościom zapobiegać marnotrawstwu energii. To wielki krok w kierunku stworzenia krajowej sieci czystej elektryczności. Teraz może przebierać w ofertach prac konsultingowych. Kiedy jest w domu, jeździ starym furdą z wodorowym ogniwem paliwowym, które sam skonstruował, podobnie jak system klimatyzacji napędzany energią słoneczną i masę innych niezrozumiałych dla mnie urządzeń. Masz pojęcie, ile wynalazków Ted opatentował? Nie? Cóż, ja też nie, chociaż jestem pewna, że w Wynette wie to każda ekspedientka ze spożywczego.

Najgorsze, że nic go nie jest w stanie rozwścieczyć. Nic!

- Zupełnie jak Jezus. Tyle że bogaty i seksowny.

- Uważaj, Meg. W tym miasteczku za żarty z Jezusa możesz zarobić kulkę. Nigdy nie widziałaś tylu uzbrojonych wiernych. - Jej spłoszona mina sugerowała, że Lucy mogła się niepokoić, by samej nie oberwać.

Zbliżała się pora próby w kościele, więc Meg nie miała już czasu na subtelności.

- A co z waszym życiem intymnym? Irytująco skąpiłaś mi szczegółów, poza informacją o tym głupim trzymiesięcznym seksualnym moratorium, przy którym się uparłaś.

- Chcę, żeby nasza noc poślubna była czymś wyjątkowym. - Lucy przygryzła dolną wargę. - Ted jest naj-

bardziej niesamowitym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miałam.

- Nie najdłuższa lista na świecie.

- On już przeszedł do legendy. I nie pytaj, skąd o tym wiem. To kochanek marzeń. Całkowicie pozbawiony egoizmu. Romantyczny. Taki, który domyśla się, czego kobieta chce, jeszcze zanim sama to sobie uświadomi.

- Westchnęła przeciągle. -1 jest mój. Na całe życie.

Jednak wcale nie wyglądała na tak uszczęśliwioną tym faktem, jak można by się było spodziewać. Meg podciągnęła pod siebie kolana.

- Musi mieć chociaż jedną wadę.

- Żadnej.

- Czapka baseballowa daszkiem do tyłu. Poranny oddech. Sekretne upodobanie do Kida Rocka. Musi coś być.

- Hm... - Wyraz bezradności przemknął po twarzy Lucy. - Ted to ideał. I to jest właśnie problem.

Meg od razu pojęła, w czym rzecz. Lucy nie umiała zaryzykować, że rozczaruje ludzi, których kocha, a teraz jej przyszły mąż stał się jeszcze jedną osobą, której oczekiwania musiała spełnić.

Matka Lucy, była prezydent Stanów Zjednoczonych, wybrała właśnie ten moment, żeby wetknąć głowę do sypialni.

- Kochane, już pora iść.

Meg poderwała się z sofy. Chociaż dorastała wśród znanych osobistości, w obecności prezydent



Cornelii Case Jorik, nigdy nie przestała odczuwać szacunku połączonego z lekką obawą.

Spokojna, arystokratyczna twarz Nealy Jorik, jej rozjaśnione włosy o barwie miodu i kostiumy od wybitnych projektantów były powszechnie znane z tysięcy fotografii, ale tylko nieliczne zdjęcia ukazywały za wpiętą w klapę amerykańską flagą prawdziwą osobę,

skomplikowaną kobietę, która kiedyś uciekła z Białego Domu, żeby powłóczyć się po kraju, dzięki czemu spotkała Lucy i jej siostrę Trący, a także swego ukochanego męża, dziennikarza Mata Jorika. Nealy wpatrywała się w nie.

- Widzieć was razem... Wydaje się, że zaledwie wczoraj obie byłyście studentkami. - Warstewka łoż rozrzewnienia zmiękczyła stalowy błękit oczu przywódczyni wolnego świata. - Meg, zawsze byłaś dla Lucy dobrą przyjaciółką.

- Ktoś musiał.

Pani prezydent się uśmiechnęła.

- Przykro mi, że twoi rodzice nie mogli przyjechać. Meg wcale nie było przykro.

- Nie potrafią długo bez siebie wytrzymać, a tylko teraz mama miała szansę wyrwać się z pracy, żeby skoczyć do taty, dopóki kręci zdjęcia w Chinach.

- Z niecierpliwością czekam na jego następny film. Twój ojciec jest kompletnie nieprzewidywalny.

- Rodzice na pewno żałują, że nie mogą widzieć ślubu Lucy - odparła Meg. - Zwłaszcza mama. Zresztą pani wie, jaki ona ma do niej stosunek.

- Taki sam, jak ja do ciebie - odparła pani prezydent. Zbyt uprzejmie, bo w porównaniu z przyjaciółką Meg okazała się wielkim rozczarowaniem.

Jednak obecny moment nie wydawał się najwłaściwszy, by roztrząsać dawne porażki i ponurą przyszłość. Meg musiała się zastanowić, bo narastało w niej przekonanie, że jej najlepsza przyjaciółka znalazła się o krok od popełnienia pomyłki życia.

Lucy zdecydowała, że będzie mieć tylko cztery druhny, swoje trzy siostry i Meg. Czekaając na pana młodego i jego rodziców, wszyscy zgromadzili się przed ołta-

rzem. Holly i Charlotte, biologiczne córki Mata i Nealy, skupiły się koło matki i ojca, razem z przyrodnią siostrą Lucy, osiemnastoletnią Tracy i ich adoptowanym siedemnastoletnim afroamerykańskim bratem, Andre.

Kiedyś w swojej poczytnej rubryce Mat oświadczył: „Skoro rodziny mają rodowody, nasza to amerykański mieszaniec”. Meg ścisnęło w gardle.

Chociaż jej bracia budzili w niej poczucie niższości, teraz za nimi tęskniła.

Nagle drzwi kościoła rozwarły się. I stanął w nich on: ciemna sylwetka na tle zachodzącego słońca.  
Theodore Day Beaudine.

Rozległ się dźwięk trąbek. Autentyczne trąbki dmące *Hallelujah*.

- Jezu! - szepnęła Meg.

- Wiem - odszepnęła Lucy. - Takie rzeczy zdarzają mu się przez cały czas.

Twierdzi, że to przypadek.

Mimo wszystkich opowieści przyjaciółki Meg wcale nie była przygotowana na to, co ujrzała. Ted Beaudine miał idealnie zarysowane kości policzkowe, nieskazitelnie prosty nos i kwadratową szczękę filmowego gwiazdora. Śmiało mógłby zstąpić z billboardu na Times Square, tyle że nie było w nim nic ze sztuczności fotomodeli.

Szedł środkową nawą długim, swobodnym krokiem. Ciemnobrązowe włosy połyskiwały miedzią. Roziskrzona światło z okiennych witraży ciskało mu pod stopy drogocenne klejnoty, jakby zwykły czerwony dywan nie był dla tego mężczyzny wystarczająco dobry. Meg prawie nie zwróciła uwagi na państwa Beaudine'ow, podążających kilka kroków za synem. Nie mogła oderwać oczu od przyszłego męża swojej najlepszej przyjaciółki.

Niskim, przyjemnym głosem powitał rodzinę narzeczonej. Dźwięk trąbek na balkonie chóru osiągnął apogeum, kiedy Ted się odwrócił. Meg jakby dostała zniecka pięścią w brzuch.

Te oczy... Żłocisto-bursztynowe z nutą miodu i ciemnoszarą obwódką.

Oczy błyszczące inteligencją i spostrzegawczością. Oczy, które przewiercały na wylot. Stojąc przed nim, czuła, że Ted Beaudine wnika w nią spojrzeniem i zauważa wszystko, co z takim trudem starała się ukryć -

jej pozbawione celu życie, nieprzystosowanie, całkowitą porażkę wobec roszczeń do wartościowego miejsca w świecie.

Obydwoje wiemy, że zawsze wszystko zawałasz, mówiły jego oczy, ale jestem pewien, że kiedyś z tego wyrośniesz. A jeśli nie... No cóż... Czego można oczekiwać po rozpieszczonym dziecku Hollywoodu?

Lucy właśnie przedstawiała ich sobie.

- ...cieszę, że wreszcie możecie się poznać. Moja najlepsza przyjaciółka.

Mój przyszły mąż.

Meg zawsze była dumna z umiejętności zachowywania pozorów, ale tym razem ledwie się zdobyła na zdawkowe powitanie.

- Uprzejmie proszę o uwagę... - powiedział pastor.

Narzeczony uściskał rękę Lucy, spoglądając z uśmiechem w uniesioną ku niemu twarz; czułym, zadowolonym uśmiechem, który ani trochę nie zakłócił obojętnego wyrazu jego tygrysiich oczu. Niepokój Meg narastał.

Jakiegolwiek uczucia żywił Ted do jej przyjaciółki, brakowało wśród nich gorącej miłości, na jaką Lucy w pełni zasługiwała.

Rodzice Teda byli gospodarzami przedślubnego przyjęcia - eleganckiego grilla na sto osób w klubie golfowym Windmill Creek, miejscu symbolizującym wszystko, czego nienawidziła: rozpieszczonych białych krezusów, zbyt zajętych własnymi przyjemnościami, żeby pomyśleć o szkodach, jakie ich zatrute chemią, marnujące wodę pola golfowe czynią środowisku. Nawet

wyjaśnienia Lucy, że to klub tylko półprywatny i każdy może tu grać, nie zmieniły opinii Meg.

Służby specjalne skutecznie powstrzymywały krążących w pobliżu bramy dziennikarzy z różnych części świata, podobnie jak tłum ciekawskich gapiów, którzy mieli nadzieję że mignie im jakaś znana twarz.

A znanych twarzy nie brakowało nie tylko wśród przyjezdnych. Rodzice pana młodego cieszyli się międzynarodową sławą. Dallas Beaudine był

legendą zawodowego golfa, a jego żona, Francesca, jedną z pierwszych i najlepszych telewizyjnych dziennikarek przeprowadzających wywiady z celebrytami. Rzesza znanych i bogatych wylewała się z tylnej werandy budynku w stylu sprzed wojny secesyjnej na pole golfowe, aż do pierwszego tee\*. Politycy, gwiazdy kina, elita zawodowych golfistów oraz reprezentacja Wynette, różnego wieku i pochodzenia etnicznego: nauczyciele i właściciele sklepów, mechanicy i hydraulicy, miejscowy męski fryzjer i motocyklista o przerażającym wyglądzie.

Meg obserwowała, jak Ted idzie przez tłum. Był powściągliwy i skromny, a mimo to wydawało się, że wszędzie towarzyszą mu światła niewidzialnych reflektorów. Lucy tkwiła u jego boku, dosłownie drżąc z napięcia, kiedy kolejne osoby zatrzymywały ich na pogawędkę. Przez cały ten czas Ted robił wrażenie kompletnie niewzruszonego. Chociaż dookoła rozbrzmiewał radosny gwar, Meg z coraz większą trudnością utrzymywała na twarzy uśmiech. Pan młody znacznie bardziej przypominał jej człowieka, który realizuje starannie przemyślaną misję, niż zakochanego mężczyznę w wigilię własnego ślubu.

**\* tee - koleczek, na którym stawiana jest piłka golfowa, oraz okre-**

**ślenie miejsca, gdzie gracze rozpoczynają grę na dołku [wszystkie wyjaśnienia terminów golfowych pochodzą z [www.airclub.pl/golf/słownik](http://www.airclub.pl/golf/słownik)].**

Właśnie skończyła szablonową wymianę zdań z dawnym prezenterem telewizyjnych wiadomości o tym, że wcale nie jest podobna do swojej niewiarygodnie pięknej matki, kiedy obok pojawili się Ted i Lucy.

- Nie mówiłam? - Lucy wyrwała przechodzącemu kelnerowi swój trzeci kieliszek szampana. - Czy on nie jest cudowny?

Puściwszy komplement mimo uszu, Ted pilnie wpatrywał się w Meg oczami, które wiele już w życiu widziały, mimo że z pewnością nie dotarł

nawet do połowy miejsc, które widziała ona.

Mienisz się obywatelką świata, szeptały jego oczy, ale to tylko znaczy, że nigdzie nie jesteś u siebie.

Teraz należało skupić się na trudnej sytuacji Lucy, nie na własnej. Meg musiała szybko coś zrobić. Gdyby nawet miała wydać się nieokrzesana, to co z tego? Przyjaciółka przywykła do jej bezceremonialności, a na dobrej opinii Teda Beaudine'a Meg nie zależało. Dotknęła węzła tkaniny upiętej na ramieniu.

- Lucy zapomniała wspomnieć, że jesteś też burmistrzem Wynette...

oprócz tego, że świętym patronem miasteczka.

Nie sprawiał wrażenia obrażonego, mile ujętego albo zaskoczonego jej żartem.

- Lucy przesadza.

- Wcale nie - odparła Lucy. - Mogłabym przysiąc, że ta kobieta koło gabloty z trofeami przyklęła, kiedy przechodziłaś.

Ted uśmiechnął się szeroko i Meg wstrzymała oddech. Ten leniwy uśmiech, dodający mu niebezpiecznego chłopięcego uroku, nie oszukał

jej nawet przez chwilę. Zdobyła się na stanowczy krok.

- Lucy jest moją najdroższą przyjaciółką, siostrą, o której zawsze marzyłam. Ale czy zdajesz sobie sprawę, ile ona ma denerwujących nawyków?

Lucy zmarszczyła czoło, jednak nie próbowała sprowadzić rozmowy na inne tory, co już mówiło samo za siebie.

- Jej wady to drobiazg w porównaniu z moimi. - Brwi Teda były ciemniejsze od włosów, ale rzęsy miał jasne, o złocistych koniuszkach, jakby zostały zanurzone w gwiazdnym pyłe.

Meg powoli zbliżała się do celu.

- A dokładnie rzecz biorąc, z jakimi?

Lucy wyglądała na równie zainteresowaną tematem jak jej przyjaciółka.

- Bywam trochę naiwny - wyjaśnił Ted. - Na przykład, dałem się zrobić w to burmistrzowanie,

choć wcale nie chciałem.

- A więc jesteś powszechnym zadowolaczem. - Meg postarała się, żeby zabrzmiało to oskarżycielsko. Może była w stanie wyprowadzić go z równowagi.

- Właściwie nie - odparł miłym tonem. - Byłem kompletnie zaskoczony, kiedy moje nazwisko pojawiło się na liście kandydatów. A należało to przewidzieć.

- W pewnym sensie jesteś powszechnym zadowolaczem - wtrąciła niepewnie Lucy. - Nie umiem wymienić ani jednej osoby, która miałaby do ciebie zastrzeżenia.

Pocałował ją w nos. Jakby była jego ulubionym zwierzątkiem.

- Bylebym zadowolił ciebie.

Meg przekroczyła granicę uprzejmej konwersacji.

- Więc jesteś naiwniakiem, który stara się wszystkim dogodzić. Co jeszcze?

Ted nawet nie mrugnął.

- Staram się nie zadręczać rozmówców, ale czasami daję się ponieść tematom, które nie budzą powszechnego zainteresowania.

- Jajogłowy nudziarz - podsumowała Meg.

- Otóż to - przytaknął. Lucy pozostała lojalna.

- Nieprawda. Jesteś bardzo interesującym człowiekiem.

- Cieszę się, że tak myślisz.

Pociągnął łyk piwa, nadal poważnie rozważając nieuprzejme uwagi Meg.

- Jestem beznadziejnym kucharzem.

- To prawda! - Lucy wyglądała, jakby trafiła przypadkiem na żyłę złota.

Uciecha narzeczonej wyraźnie Teda rozbawiła i znów ten sam leniwy, szeroki uśmiech odzyskał miejsce na jego twarzy.

- I nie zamierzam brać lekcji gotowania, więc będziesz musiała z tym żyć.

Lucy zawsze trochę bujała w obłokach, ale Meg zdawała sobie sprawę, że ta samokrytyczna wyliczanka tylko dodaje Tedowi atrakcyjności, więc zmieniła kierunek ataku.

- Lucy potrzebuje mężczyzny, który pozwoli jej być sobą.

- Nie sądzę, żeby Lucy potrzebowała pozwolenia mężczyzny na bycie kimkolwiek - spokojnie odparował Ted. - Jest panią samej siebie.

Co świadczyło o tym, jak słabo znał kobietę, którą zamierzał poślubić.

- Lucy nie jest panią samej siebie, odkąd w wieku czternastu lat spotkała swoich przyszłych rodziców - odparowała Meg. - Ona jest buntowniczką.

Urodziła się, żeby sprawiać kłopoty, ale nie będzie robić zamieszania, bo nie chce stawiać w trudnej sytuacji ludzi, których kocha. Jesteś na to przygotowany?

Ted przeszedł prosto do rzeczy:

- Zdaje się, że masz jakieś wątpliwości co do mnie i Lucy.

Zachowanie Lucy potwierdzało najgorsze obawy. Nie skoczyła przyjaciółce do oczu w obronie decyzji o ślubie, tylko machinalnie bawiła się swoimi beznadziejnymi perłami. Więc Meg drążyła dalej.

- Oczywiście, jesteś wspaniałym facetem. - W jej ustach nie zabrzmiało to jak komplement. - Ale jeśli jesteś zbyt wspaniały?

- Obawiam się, że nie nadążam.

Co musi być nowym doświadczeniem dla kogoś tak szalenie bystrego.

- Jeśli... - powiedziała Meg - ...jeśli jesteś dla niej odrobinę za dobry?

Zamiast zaprotestować, Lucy przywołała na usta swój sztuczny uśmiech rodem z Białego Domu i przesuwając w palcach perły, jakby to były paciorki różańca.

Ted roześmiał się.

- Gdybyś mnie lepiej znała, wiedziałabyś, że to absurd. A teraz wybacź, ale chciałbym przedstawić Lucy mojemu dawnemu drużynowemu skautów. - Objął narzeczoną ramieniem i pociągnął za sobą.

Chcąc zebrać myśli, Meg umknęła do damskiej ubikacji, gdzie natychmiast wpadła w sidła niskiej, przysadzistej kobiety z postrzępioną fryzurą o barwie cynobru

i obfitym, starannie nałożonym makijażem.

- Jestem Birdie Kittle - zagadnęła czerwono-wołosa, trzepocząc mocno umalowanymi rzęsami. - A ty to pewnie ta przyjaciółka Lucy. Zupełnie nie przypominasz matki.

Zapewne miała pod czterdziestkę, co oznacza, że była dzieckiem, kiedy Fleur Savagar Koranda święciła triumfy jako modelka. Jednak spostrzeżenie Birdie nie zdziwiło Meg. Każdy, kto wiedział cokolwiek o celebrytach,

słyszał o jej matce. Minęły już lata, odkąd Fleur Koranda porzuciła karierę modelki, żeby założyć jedną z najbardziej wpływowych agencji artystycznych w kraju, ale dla szerokiej publiczności pozostała Złotą Dziewczyną.

Meg, idąc w ślady Lucy, przylepiła do twarzy oficjalny uśmiech.

- Bo moja matka jest jedną z najpiękniejszych kobiet świata, a ja nie. - Co było zgodne z prawdą, mimo że miały trochę wspólnych cech fizycznych.

Głównie tych gorszych. Po Złotej Dziewczynie Meg odziedziczyła wyraźnie zaznaczone brwi, duże dłonie i stopy rozmiaru kajaków przy o dwa cale niższym wzroście niż prawie sześć stóp Fleur Korandy.

Oliwkowa cera, brązowe włosy i bardziej nieregularne rysy, którymi obdarzył ją ojciec, także nie pozwalały jej pretendować do wybitnej urody, chociaż oczy Meg stanowiły interesującą kombinację zieleni z błękitem i zależnie od światła zmieniały barwę. Niestety, nie przypadły jej również w udziale żadne talenty ani ambicje, których oboje rodzice posiadali pod dostatkiem.

- Myślę, że jesteś na swój sposób atrakcyjna. - Wy-manikiurowany paznokieć Birdie przesunął się po świecidełkach na zapięciu czarnej wieczorowej torebki. - Trochę egzotyczna. W dzisiejszych czasach każdą, która stanie przed obiektywem, nazywają supermodelką. Ale Złota Dziewczyna to był autentyk. I tylko popatrz, w jaki sposób zmieniła się we wziętą businesswoman. Też prowadzi interesy, więc bardzo ją za to podziwiam.

- Tak, ona jest niezwykła. - Meg kochała rodziców, co nie zmieniało faktu, że nie miałyby nic przeciwko temu, by matka kiedyś się na czymś potknęła - straciła ważnego klienta, zawałiła istotne negocjacje, dostała pryszczki. Jednak cały pech Fleur Savagar Korandy wyczerpał się w początkach jej życia, jeszcze przed narodzinami córki, pozostawiając rolę rodzinnego nieudacznika dla Meg.

- Wydaje mi się, że jesteś bardziej podobna do swego taty - ciągnęła Birdie. - Słowo daję, widziałam wszystkie jego filmy. Oprócz przygnębiających.

- Takich jak ten, za którego dostał Oscara?

- Och, ten widziałam.

Ojciec stanowił potrójne zagrożenie. Był światowej sławy aktorem, laureatem nagrody Pulitzera w dziedzinie dramatu i autorem książki, która stała się bestsellerem. Przy takich megawspaniałych rodzicach kto mógł winić Meg za poważne emocjonalne popapranie? Żadne dziecko nie potrafiłoby sprostać podobnemu dziedzictwu.

Za wyjątkiem jej dwóch młodszych braci...

Birdie poprawiła ramiączka czarnej wąskiej sukni z dekoltem w kształcie serca, nieco za bardzo dopasowanej w talii.

- Twoja przyjaciółka Lucy jest całkiem ładniutka. - Nie zabrzmiało to jak wyraz uznania. - Mam

nadzieję, że docenia, co dostaje w osobie Teddy'ego.

Meg starała się zachować spokój.

- Nie wątpię, że docenia Teda dokładnie tak samo jak on ją. Lucy jest nadzwyczajna.

Birdie skorzystała z okazji, żeby się obrazić.

- Na pewno nie tak nadzwyczajna jak Ted, ale musiałabyś tu mieszkać, żeby to zrozumieć.

Meg nie zamierzała licytować się z tą kobietą, obojętnie jak bardzo tamta miała na to ochotę, więc twardo nadal się uśmiechała.

- Mieszkam w L.A. Wiele rozumiem.

- Mówię tylko, że może sobie być prezydencką córką, ale to wcale nie znaczy, że w czymkolwiek jest lepsza od Teda albo że będzie tu traktowana na specjalnych

prawach. To najwspanialszy młody człowiek w całym Teksasie. A ona musi sobie zapracować na nasze uznanie. Meg usiłowała powściągnąć gniew.

- Lucy nie musi zapracowywać na niczyje uznanie. Jest życzliwą, inteligentną, obytą w świecie kobietą. Ted ma szczęście.

- Chcesz powiedzieć, że on nie jest obyty?

- Nie. Tylko zwracam uwagę...

- Może Wynette nie należy do wielkich, ale tak się składa, że to miasto ludzi obytych i nie życzymy sobie, żeby obcy przyjeżdżali tu i wygłaszali na nasz temat sądy, tylko dlatego że nie jesteśmy wielkimi ważniakami z Waszyngtonu. - Zatrzasnęła torebkę. - Albo hollywoodzkimi celebrytami.

- Lucy nie...

- Tutaj każdy sam musi sobie wyrobić markę. I nikogo nie zamierzamy całować w tylną część ciała ze względu na to, kim są jego rodzice.

Meg nie była pewna, czy ostatnia uwaga dotyczyła jej, czy Lucy, ale niewiele ją to obchodziło.

- Odwiedzałam różne małe miasteczka na całym świecie. Wygląda na to, że tam, gdzie mieszkańcy nie muszą sobie niczego udowadniać, obcy są zawsze mile widziani. Tylko w miejscach, które poniosły porażkę -

straciły dawny blask - każda nowa twarz kojarzy się z zagrożeniem.

Pociągnięte rdzawym ołówkiem brwi Birdie skoczyły aż pod linię włosów.



- Wynette nie poniosło żadnych porażek. Ona tak uważa?

- Nie, ja tak uważam. Twarz Birdie stężała.

- No cóż, teraz wszystko jasne.

Nagle otworzyły się drzwi i nastolatka o długich jasnobrązowych włosach wetknęła głowę do środka.

- Mamo! Lady Emma i pozostali proszą cię do zdjęć.

Rzuciwszy przeciwnicze ostatnie wrogie spojrzenie, Birdie Kittle wypadła na korytarz, gotowa powtórzyć ich rozmowę każdemu, kto tylko zechce słuchać.

Meg się skrzywiła. Próbując bronić Lucy, narobiła więcej szkody niż pożytku. Zapowiadał się długi weekend. Poprawiła na ramieniu węzeł

sukni, przeczesła palcami krótką, zwariowaną fryzurę i zmobilizowała całą siłę woli, żeby wrócić na przyjęcie.

Tłum zachwycał się grillem i śmiech lał się z werandy. Meg była chyba jedyną osobą, która nie bawiła się dobrze. Kiedy znalazła się sam na sam z matką Lucy, wiedziała, że musi coś powiedzieć, ale chociaż ostrożnie dobierała słowa, rozmowa wypadła fatalnie.

- Naprawdę sugerujesz, że Lucy nie powinna poślubić Teda? -

powiedziała Nealy Jorik tonem, który rezerwowała dla partii opozycyjnej.

- Niezupełnie. Chodzi tylko o to...

- Meg, wiem, że przeżywasz trudny okres i naprawdę bardzo mi z tego powodu przykro, ale nie pozwól, żeby twój stan emocjonalny kładł się cieniem na jej szczęściu. Lucy nie mogła wybrać lepiej. Słowo ci daję, że twoje wątpliwości są bezpodstawne. I chcę, żebyś ty mi dała słowo, że zatrzymasz je dla siebie.

- Jakie wątpliwości? - rozległ się głos z nikłym brytyjskim akcentem.

Meg odwróciła się gwałtownie i ujrzała stojącą tuż obok matkę Teda.

Francesca Beaudine z twarzą w kształcie serduszka i chmurą mahoniowych włosów, w kopertowej sukni o barwie mchu, opinającej jej nadal szczupłą figurę, wyglądała jak współczesna Vivien Leigh. Przez trzy dekady, podczas których Francesca do dzisiaj nie schodziła z anteny, pani Beaudine współzawodniczyła z Barbarą Walters o tytuł królowej celebryckiego wywiadu w porze największej oglądalności. I mimo że Barbara Walters to wybitna dziennikarka, programy Franceski były zabawniejsze.

Nealy szybko opanowała sytuację.

- Trema drużny... Francesco, to przeuroczy wieczór. Nawet nie masz pojęcia, jak świetnie oboje z Matem się bawimy.

Francescę Beaudine niełatwo było oszukać. Obrzuciła przyjaciółkę Lucy chłodnym, oceniającym spojrzeniem i poprowadziła Nealy w stronę grupy kobiet, wśród których Meg dostrzegła przysadzystego rudzielca z damskiej toalety i Emmę Traveler, żonę Kenny'ego, drużby Teda, a zarazem mistrza zawodowego golfa.

W tej sytuacji Meg odszukała najbardziej niedopasowanego gościa, jakiego mogła znaleźć, motocyklistę, który utrzymywał, że jest jednym z przyjaciół pana młodego. Jednak nawet rozrywka w postaci widoku rozbudowanej męskiej klaty nie potrafiła dodać jej otuchy. Wręcz przeciwnie, motocyklista sprawił, że zaczęła rozmyślać, jak bardzo ucieszyliby się rodzice, gdyby kiedykolwiek przyprowadziła do domu kogoś, kto by choć trochę przypominał Teda Beaudine'a.

Lucy miała rację. Ted był ideałem. I nie mógł być dla niej bardziej nieodpowiedni.

Obojętnie ile razy poprawiała poduszki, nie mogła wygodnie się ułożyć.

Tuż obok spała cichutko Tracy, która uparła się tej nocy dzielić z nią łóżko. Ostatni raz, kiedy jesteśmy po prostu siostrami... Nie oznaczało to bynajmniej, że Tracy martwiła się ślubem. Podobnie jak wszyscy ubóstwiała Teda.

To, że się w ogóle spotkali, Lucy i Ted zawdzięczali swoim matkom. On jest niesamowity, Lucy, oznajmiła Nealy. Poczekaj, aż go poznasz.

I faktycznie był niesamowity... Meg niepotrzebnie zasiała w jej głowie wszystkie te wątpliwości. Tyle tylko że wątpliwości rodziły się tam już od miesięcy, chociaż Lucy potrafiła je sobie wyperswadować. Bo jaka kobieta przy zdrowych zmysłach nie pokochałaby Teda Beaudine'a? Ted każdego zachwycał.

Odrzuciła kopniakiem prześcieradło. To wszystkiemu wina Meg. Zawsze był z nią ten problem. Stawiała sprawy do góry nogami. Serdeczne przywiązanie nie uczyniło Lucy ślepą na jej wady. Rozpieszczona, lekkomyślna i nieodpowiedzialna, ciągle szukała celu za następnym górskim szczytem, zamiast w samej sobie. Ale była też dobra, troskliwa, lojalna i Lucy nigdy nie miała lepszej przyjaciółki. Każda z nich znalazła własny sposób na życie w cieniu słynnych rodziców - Lucy dostosowując się, Meg gnając po świecie i próbując przekroczyć granice swojej schedy.

Meg nie doceniała własnych zalet: znacznej inteligencji (którą odziedziczyła po rodzicach, ale nigdy nie wpadła na to, jak jej użyć na swoją korzyść) i smukłego, nieszablonowego wyglądu, o wiele bardziej frapującego niż przewidywalna uroda pięknych kobiet. Meg była dobra w tylu rzeczach, że doszła do wniosku, iż nie jest dobra w niczym.

Pogodziła się z myślą o swojej nieudolności i nikt - ani jej rodzina, ani Lucy - nie potrafili zachwiać tym przekonaniem.

Lucy wtuliła twarz w poduszkę, próbując odsunąć od siebie wspomnienie tego okropnego momentu

wieczorem, kiedy po powrocie do zajazdu Meg chwyciła ją w objęcia.

- Lucy, on jest cudowny - wyszeptała. - Dokładnie tak, jak mówiłaś. I absolutnie nie możesz za niego wyjść.

Jednak to ostrzeżenie było dużo mniej przerażające niż odpowiedź Lucy.

- Wiem - usłyszała swój własny szept. - Ale i tak wyjdę. Już za późno, żeby się wycofać.

Meg potrząsnęła nią z całych sił.

- Nie jest za późno. Pomogę ci. Zrobię, co tylko w mojej mocy.

Lucy wyrwała się jej i pospiesznie odeszła do swego pokoju. Meg nic nie rozumiała. Była dzieckiem Hollywood, gdzie nad skandalami przechodzą do porządku dziennego, ale Lucy pochodziła z Waszyngtonu i rozumiała konserwatywne serce kraju. Opinia publiczna zaangażowała się w ten ślub. Ludzie obserwowali, jak dzieciaki Jorików dorastają, i oceniali je przez pryzmat każdego młodzieńczego spotkania.

Do Wynette ściągnęły agencje informacyjne z całego świata, żeby relacjonować uroczystość, więc Lucy nie mogła wszystkiego odwołać z powodu, którego nawet nie potrafiła jasno wyrazić. Poza tym, gdyby Ted tak bardzo się dla niej nie nadawał, czy ktoś inny by tego nie zauważył?

Jej rodzice? Trący? A sam Ted, który widział wszystko tak wyraźnie, czy nie zorientowałby się?

Wspomnienie trafnych osądów Teda Beaudine'a pokrzepiło ją na tyle, że zapadła w płytki, niespokojny sen. Zanim jednak nadeszło następne popołudnie, resztki dobrego samopoczucia całkiem się ulotniły.

## *Rozdział 2*

### PRZEDSIONEK KOŚCIOŁA PREZBITERIAŃSKIEGO W WYNETTE pachniał

starymi śpiewnikami i dawno zapomnianymi składkowymi kolacjami. Na zewnątrz panował zorganizowany chaos. W specjalnym sektorze dla prasy tłoczyli się reporterzy. Tłum widzów zapełniał odkrytą trybunę, z nadmiaru rozlewając się w boczne uliczki. Podczas gdy goście panny młodej ustawiali się w kolejce, żeby wejść do świątyni, Meg zerknęła do tyłu na przyjaciółkę. W koronkowej sukni, idealnie dopasowanej do drobnej sylwetki, było jej bardzo do twarzy, ale nawet umiejętnie zrobiony makijaż nie potrafił zamaskować wyrazu napięcia.

Przez cały dzień Lucy wydawała się tak roztrzęsiona, że Meg nie miała serca dodać już ani słowa na temat tego nierozsądnego ślubu. Zresztą i tak by nie mogła, bo Nealy Case Jorik obserwowała każdy jej ruch.

Zespół kameralny zakończył prelude. Donośnie zabrzmiały trąbki, oznajmiając rozpoczęcie ślubnej procesji. Z przodu stały dwie najmłodsze siostry Lucy, potem Meg, a za nią osiemnastoletnia Trący pełniąca rolę pierwszej drużyny. Wszystkie ubrane były w proste suknie z jedwabnego krepdeszynu o

barwie szampana, którą podkreślały przydymione topazy kolczyków - daru panny młodej dla swojej świty.

Trzynastoletnia Holly ruszyła główną nawą. Kiedy dotarła do jej środkowego punktu, w ślady siostry poszła Charlotte. Meg zerknęła przez ramię i posłała pokrzepiający uśmiech przyjaciółce, która zdecydowała, że wkroczy do świątyni sama i spotka się z rodzicami dopiero w połowie drogi, co miało symbolizować moment, w którym obydwójce pojawili się w życiu Lucy. Szykując się na swoje wejście, Meg ustawiła się przed Trący, ale kiedy już była gotowa zrobić pierwszy krok, usłyszała jakiś szelest i czyjaś dłoń zniecka pochwyciła ją za ramię.

- Muszę natychmiast porozmawiać z Tedem - z paniką w głosie wyszeptała Lucy.

Trący, której jasne włosy upięte były w misterną fryzurę, gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Luce, co ty wyprawiasz? Lucy zignorowała siostrę.

- Przyrowadź go do mnie, Meg. Proszę.

Meg z pewnością nie należała do niewolnic konwenansów, ale to już nawet dla niej była przesada.

- Teraz? Nie mogłaś tego zrobić kilka godzin temu?

- Miałaś rację. We wszystkim, co mówiłaś. Miałaś absolutną rację. -

Nawet przez metry tiulu twarz Lucy wydawała się blada i spanikowana. -

Pomóż mi. Proszę.

Trący obróciła się w stronę Meg.

- O co chodzi? Coś ty jej nagadała? - Nie czekając na odpowiedź, złapała siostrę za rękę. - Lucy, masz atak paniki. Wszystko będzie dobrze.

- Nie. Muszę... muszę pomówić z Tedem.

- Teraz? - Trący powtórzyła pytanie Meg. - Teraz nie możesz z nim rozmawiać.

Ale Lucy naprawdę musiała. Nawet jeśli Trący nie rozumiała dlaczego, to Meg tak. Ścisnąwszy mocniej bukiet miniaturowych kalii, przykleiła uśmiech do twarzy i wkroczyła na nieskazitelnie biały chodnik.

Przednią część świątyni od tylnej oddzielała poprzeczna nawa. Tam właśnie eksprezydent Stanów Zjednoczonych i jej mąż, wruszeni i dumni, czekali, żeby towarzyszyć córce podczas jej ostatniej przechadzki w stanie niezamężnym. Przed ołtarzem, razem ze świadkiem i pozostałymi trzema družbami stał Ted Beaudine. Snop słonecznego światła padał prosto na jego głowę, tworząc wokół niej - cóżby innego? -

aureolę.

Poprzedniego wieczoru, podczas próby, Meg została uprzejmie napomniana, że zbyt szybko przemierza nawę, ale teraz nie było problemu z tym, by zredukowała swój normalny długi krok do niemowlęcego tempa. Co ona najlepszego robiła? Wszyscy niecierpliwie obracali ku niej twarze, oczekując pojawienia się panny młodej.

Dotarła pod ołtarz o wiele za prędko i zamiast zająć miejsce koło Charlotte, zatrzymała się naprzeciwko Teda.

On spojrzał na nią z lekkim zdumieniem, ona skoncentrowała się na jego czole, usiłując nie patrzeć w te niepokojące, tygrysie oczy.

- Lucy chce z tobą mówić - szepnęła.

Uniósł głowę, przetwarzając tę wiadomość. Inny mężczyzna może by o coś zapytał, ale nie Ted Beaudine. Zdziwienie zmieniło się w troskę.

Zdecydowanym krokiem, bez krztyny zakłopotania, pan młody pomaszerował do wyjścia.

Kiedy mijali przyszytych teściów, wymienili zaniepokojone spojrzenia, po czym natychmiast ruszyli za nim. Od strony gości dobiegał narastający gwar. Matka Teda poderwała się z miejsca, po chwili pospieszył za nią je-go ojciec. Meg nie mogła dopuścić, by Lucy samotnie stawiała temu wszystkiemu czoło, więc też zawróciła. Z każdym krokiem narastało w niej poczucie grozy.

W przedsionku dostrzegła tylko pienisty czubek welonu ponad ramieniem Teda, bo wokół Lucy tłoczyli się już Tracy i państwo Jorikowie. Przy wejściu w pełnym pogotowiu stało dwóch agentów Secret Service. Rodzice pana młodego pojawili się w momencie, gdy Ted odciągnął narzeczoną od zebranych. Trzymając ją mocno za ramię, poprowadził w stronę małych bocznych drzwi. Lucy odwróciła się i kogoś szukała wzrokiem. Nawet przez kaskadę tiulu widoczne było jej błaganie. Pomóż mi.

Meg ruszyła w stronę państwa młodych, kiedy dobrze wychowany Ted Beaudine przygwoździł ją spojrzeniem, pod którym zastygła; tak groźnym, że nawet Jake'owi Korandzie nie udało się wyczarować niczego podobnego w swoich filmach o Łowcy Ptaków Calibrze. Lucy potrząsnęła głową i do Meg dotarło, że nie chodzi o wstawiennictwo u Teda. Najwyraźniej miała się uporać z tutejszym bałaganem. Tylko że kompletnie nie wiedziała, od czego zacząć.

Kiedy za młodą parą zamknęły się drzwi, małżonek byłej pani prezydent natarł na przyjaciółkę córki.

- Co tu się dzieje? Tracy twierdzi, że ty coś o tym wiesz.

Meg zaciskała palce na bukiecie druhny. Dlaczego Lucy musiała tak długo czekać, by ponownie odkryć w sobie serce buntowniczkę?

- Yhm... Lucy chciała porozmawiać z Tedem.

- To jasne. Ale o czym?

- Ona... - W myślach ujrzała spanikowaną twarz przyjaciółki. - Ona ma pewne wątpliwości.

- Wątpliwości? - Francesca Beaudine, furia w płowej sukni od Chanel, wyrwała się do przodu. - Ty za nie odpowiadasz. Słyszałam cię wczoraj wieczorem. To twoja robota. - Przypuściłaby atak na drzwi, za którymi zniknął Ted, gdyby mąż nie powstrzymał jej w ostatniej chwili.

- Zaczekaj, Francesco. - Przeciągła teksańska wymowa Dallasa kontrastowała z eleganckim, brytyjskim akcentem jego żony. - Oni muszą sami się z tym uporać.

Do przedsionka pospiesznie napływali druzbowie i druhny. Rodzeństwo panny młodej zbiło się w gromadkę: brat Lucy, Andre, Charlotte, Holly i Trący, która rzucała Meg mordercze spojrzenia. Pojawił się pastor.

Podszedł do pani prezydent i wdał się z nią w przyciszoną rozmowę. Po chwili skinął głową i się oddalił. Meg usłyszała, jak przeprasza zebranych za „krótką zwłokę” i prosi, by pozostali na swoich miejscach.

Zespół kameralny zaczął grać. Boczne drzwi nadal były zamknięte. Meg poczuła, że robi jej się niedobrze.

Od Jorików odłączyła się Trący i zaatakowała ją. Delikatne usta dziewczyny wykrzywiała wściekłość.

- Lucy była szczęśliwa, dopóki ty nie przyjechałaś. To twoja wina!

Podszedł do niej ojciec, uspokajająco położył dłoń na ramieniu i zimnym spojrzeniem zmierzył Meg.

- Nealy powtórzyła mi waszą wczorajszą rozmowę. O co chodzi?

Słyszając to pytanie, rodzice pana młodego też się zbliżyli. Meg wiedziała, że Lucy na nią liczy, więc zwalczyła pragnienie ucieczki.

- Lucy... tak bardzo stara się nie rozczarować osób, które kocha - oblizwała zaschnięte wargi - że czasami... zapomina o wierności samej sobie.

Mat Jorik reprezentował Szkołę Dziennikarstwa Bez Zalewania.

- To znaczy? Wyjaśnij.

Spojrzenia wszystkich oczu przywarły do niej. Meg znowu mocniej ścisnęła bukiet kalii. Obojętnie jak bardzo chciała wybiec z kościoła, musiała spróbować choć trochę wesprzeć Lucy, szykując grunt pod trudne rozmowy, które wkrótce czekały przyjaciółkę. Znowu oblizwała wargi.

- Lucy nie jest tak szczęśliwa, jak powinna. Ma pewne wątpliwości.

- Bzdura! - wykrzyknęła matka Teda. - Lucy nie miała żadnych wątpliwości. Przynajmniej dopóki ty jej ich nie podsunęłaś.

- Pierwszy raz słyszymy o jakichś wątpliwościach -dodał Dallas Beaudine.

Meg przemknęło przez myśl, by bronić się nieznajomością tematu, ale Lucy była siostrą, której nigdy nie miała, i przynajmniej tyle należało dla niej zrobić.

- Lucy uświadomiła sobie, że być może poślubia Teda z niewłaściwych powodów. Ze może... on nie jest dla niej odpowiednim mężczyzną.

- Co za absurd. - Zielone oczy Franceski miały zatrute strzały. - Czy ty sobie zdajesz sprawę, ile kobiet oddałoby wszystko, żeby wyjść za Teda?

- Na pewno wiele.

Ale matka pana młodego nie dała się udobruchać.

- W sobotę jadłam śniadanie z Lucy. Powiedziała mi, że nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Zmieniła się po twoim przyjeździe. Co jej powiedziałaś?

Meg spróbowała zrobić unik.

- Mogła nie być aż tak szczęśliwa, na jaką wyglądała. Lucy dobrze udaje.

- Jestem swego rodzaju ekspertem od ludzi, którzy udają - warknęła Francesca. - Ona nie udawała.

- Jest w tym naprawdę dobra.

- Pozwól, że przedstawię inny scenariusz. - Filigranowa pani Beaudine miała wrodzony autorytet oskarżyciela publicznego. - Czy nie jest możliwe, że - z przyczyn wyłącznie sobie znanych - postanowiłaś zbić kapitał na całkowicie normalnych przedślubnych emocjach?

- Nie. Nie jest możliwe. - Meg skręcała w palcach brązowe wstążki bukietu. Zaczęły jej się pocić dłonie. -Lucy wiedziała, jak bardzo chcieliście widzieć ich razem, więc przekonała samą siebie, że się uda.

Ale to nie to, czego ona naprawdę chce.

- Nie wierzę ci! - Niebieskie oczy Trący wezbrały łzami. - Lucy kocha Teda. Jesteś zazdrosna! Dlatego tak namieszałaś.

Trący zawsze uwielbiała Meg, więc ten atak wrogości zabolął.

- Nieprawda.

- Powtórz nam, co jej powiedziałaś - zażądała dziewczyna. - Niech wszyscy usłyszą.

Jedna ze wstążek bukietu rozdarła się w wilgotnych palcach.

- Tylko jej przypomniałam, że musi być szczerą wobec samej siebie.

- Była! - krzyknęła Trący. - Wszystko zniszczyłaś.

- Tak samo jak wy chcę, żeby Lucy czuła się szczęśliwa. A ona tak się nie czuła.

- I odkryłaś to dzięki jednej rozmowie wczorajszego popołudnia? -

odezwał się ojciec Teda niebezpiecznie niższym głosem.

- Znam ją naprawdę dobrze.

- A my nie? - spytał chłodno Mat Jorik. Wargi Trący drżały.

- Wszystko było cudownie, dopóki ty się nie pojawiłaś.

- Nie było cudownie. - Meg czuła, jak strużki potu spływają jej pomiędzy piersiami. - Tylko Lucy chciała, żebyście w to wierzyli.

Prezydent Cornelia Jorik obrzuciła ją długim, badawczym spojrzeniem i wreszcie się odezwała.

- Meg - powiedziała cicho. - Co ty zrobiłaś?

Jej łagodne potępienie uświadomiło Meg coś, co powinna była wiedzieć od samego początku. Zamierzali ją obwinać. I może nawet mieli rację.

Nikt poza nią nie uważał tego małżeństwa za taki straszny pomysł. Dlaczego jakaś notoryczna nieudacznica miałaby myśleć, że wie lepiej niż wszyscy?

Oklapła od potężnej siły prezydenckich błękitnych oczu - dziedzictwie po Pielgrzymach z Mayflower.

- Ja... ja nie zamierzałam... Lucy nie... - Wyraz rozczarowania na twarzy kobiety, którą tak bardzo podziwiała, był nawet gorszy niż uporczywe niezadowolenie własnych rodziców. Do niego Meg przynajmniej zdążyła przywyknąć. - Ja... Przykro mi.

Pani prezydent pokręciła głową. Matka Teda, znana z tego, że w swoich telewizyjnych wywiadach unicestwia różne nadęte sławy, właśnie szykowała się do unicestwienia Meg, kiedy spokojniejszym tonem zain-terweniował Dallas Beaudine.

- Może przesadzamy. Oni pewnie już się dogadali.

Wcale się nie dogadali. Meg dobrze o tym wiedziała, podobnie jak Nealy Jorik. Pani prezydent wystarczająco dobrze znała swoją najstarszą córkę, żeby wiedzieć, że Lucy nigdy nie naraziłaby rodziny na takie zdenerwowanie, gdyby nie podjęła ostatecznej decyzji.



Po kolei odwracali się plecami do Meg. Obie pary rodziców. Rodzeństwo Lucy. Drużbowie i świadek. Zupełnie jak gdyby przestała istnieć.

Najpierw jej matka i ojciec, a teraz oni. Wszyscy, na których jej zależało

-wszyscy, których kochała - spisali ją na straty.

Nie należała do płaczliwych, ale łzy zakręciły się jej pod powiekami.

Poczuła, że musi stąd uciec. Nikt nie zauważył, kiedy zaczęła przesuwać się w kierunku drzwi. Nacisnęła klamkę i wyslizgnęła się na dwór. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że to błąd, ale było już za późno.

Błysnęły światła stroboskopowe. Zaszumiały telewizyjne kamery.

Niespodziewane pojawienie się druhny w momencie, gdy powinna być składana przysięga małżeńska, uruchomiło istne szaleństwo. Część gapiów na trybunach zerwała się z miejsc, żeby lepiej widzieć, co to za zamieszanie. Reporterzy gwałtownie ruszyli naprzód. Meg upuściła bukiet, obróciła się na pięcie i obiema rękami szarpnęła za ciężką żelazną klamkę. Bez skutku. Oczywiście. Drzwi były zablokowane z powodów bezpieczeństwa. Znalazła się w pułapce.

Reporterzy rzucili się do niej, napierając na ochroniarzy u stóp schodów.

Co się tam w środku dzieje?

Coś poszło nie tak?

Zdarzył się jakiś wypadek?

Czy pani prezydent nic się nie stało?

Meg rozpląszczyła się plecami na drzwiach. Pytania stawały się coraz głośniejsze, coraz bardziej kategorycznie.

Gdzie są państwo młodzi? Czy ceremonia już się skończyła? Proszę nam powiedzieć, co się dzieje. - Ja... źle się poczułam, to wszystko... Gwar podniesionych głosów zagłuszył tę nieprzekonującą odpowiedź. Ktoś wrzasnął: „Zamknijcie się, do diabła!” Meg zdarzyło się stawiać czoło oszustom w Tajlandii i ulicznym bandziom w Maroku, ale jak dotąd nigdy nie czuła się tak nieswojo. Jeszcze raz zaatakowała drzwi, miażdżąc obcasem bukiet. Zamek nie chciał ustąpić. Albo nikt w środku nie zdawał sobie sprawy z jej trudnego położenia, albo rzucili ją wilkom na pożarcie.

Tłum z trybun był już na nogach. Rozejrzawszy się rozpaczliwie, dostrzegła dwa wąskie stopnie wiodące do brukowanej alejki wokół

kościółka. Zbiegła po nich, o mało się nie przewracając. Gapie, dla których zabrakło miejsc na trybunach, zajmowali tłumnie chodnik tuż za kościelnym ogrodzeniem, jedni z dziecięcymi wózkami, inni z chłodzącymi napojami. Meg podkasała suknię i popędziła nierówną ceglana ścieżką w stronę

parkingu na tyłach budynku. Z pewnością ktoś z ochrony mógł ją wpuścić bocznym wejściem. Okropna perspektywa, ale lepsza niż opieranie się atakującym mediom.

Zaledwie poczuła pod stopami asfalt, dostrzegła, że jakiś mężczyzna, którego wzięła za jednego z drużbów, otwiera drzwi ciemnoszarego mercedesa benza. Najwyraźniej uroczystości zostały odwołane. Nie wyobrażała sobie powrotu limuzyną, razem z pozostałymi najważ-

niejszymi gośćmi, więc rzuciła się w stronę nieznanego samochodu.

Szarpnęła drzwi dokładnie w chwili, gdy silnik zaskoczył.

- Może mnie pan podrzucić do zajazdu?

- Nie.

Podniosła wzrok i napotkała zimne oczy Teda Be-audine'a. Jedno spojrzenie na jego zaciśnięte szczęki powiedziało Meg, iż niedoszły pan młody nigdy nie uwierzy, że to nie ona odpowiada za dzisiejszą katastrofę. Zwłaszcza po tym, w jaki sposób przesłuchiwała go w czasie przyjęcia. Zaczęła stękać wyrazy współczucia z powodu bólu, którego doznał. Ale Ted wcale nie wyglądał na zbolełego. Raczej na zakłopotanego. Był emocjonalnym robotem. Lucy miała rację, że go rzuciła.

Obciągnęła suknię i niepewnie zrobiła krok do tyłu.

- Hm... no cóż.

Nie spiesząc się, odjechał z parkingu. Żadnych piszczących opon, żadnego ryczącego silnika. Nawet pomachał kilku osobom z tłumu na chodniku. Właśnie na oczach całego świata rzuciła go córka byłej prezydent Stanów Zjednoczonych, a mimo to nie okazywał żadnych oznak, że stało się coś niesłychanego.

Meg powlokła się do najbliższego ochroniarza, który wreszcie wpuścił ją do kościoła, gdzie jej powrót spotkał się z tak wrogim przyjęciem, jakiego się spodziewała.

Z kościelnych schodów rzeczniczka prasowa pani prezydent wygłosiła zwięzły, pozbawiony szczegółów komunikat, że ślub został odwołany.

Zakończywszy kategoryczną prośbą o uszanowanie prywatności obu rodzin i ignorując wszelkie pytania, pospiesznie zniknęła za drzwiami. W

zamieszaniu, które potem wybuchło, nikt nie zauważył, jak nieduża postać w ciemnoniebieskiej szacie członka chóru i białych atlasowych pantofelkach wyslizguje się bocznym wyjściem i znikną wśród ogródków na tyłach sąsiednich posesji.

### *Rozdział 3*

*EMMA TRAVELER NIGDY NIE WIDZIAŁA*, żeby Francesca była tak zrozpaczona. Od zniknięcia Lucy Jorik minęły już cztery dni. Przyjaciółki siedziały pod pergolą, na cieniście dziedzińcu za

domem Beaudine'ow.

Srebrny blask ogrodowej kuli, ukrytej wśród róż, sprawiał, że matka Teda wydawała się jeszcze bardziej filigranowa niż w rzeczywistości. W ciągu wszystkich tych lat, przez które się znały, Emma nigdy nie była świadkiem jej łez, ale teraz pod jednym ze szmaragdowych oczu widniała wymowna smuga tuszu, kasztanowe włosy sterczały w nieładzie, a twarz o kształcie serduszka poryły zmarszczki znużenia.

Chociaż Francesca miała pięćdziesiąt cztery lata - prawie piętnaście więcej niż Emma - i o wiele większą urodę, ich głęboka przyjaźń znajdowała swoje źródło w tym, co je łączyło. Obie były Brytyjkami, obie poślubiły sławnych zawodowych golfistów i obie wolały posiedzieć z dobrą książką niż zapuszczać się w poblizze pola golfowego. A co najważniejsze, obie kochały Teda Beaudine'a - Francesca niepohamowaną macierzyńską miłością, a Emma z niezachwianym przywiązaniem, którego początki sięgały dnia, kiedy się poznali.

- Ta przeklęta Meg Koranda zrobiła Lucy straszne świństwo. Dobrze to wiem. - Francesca wlepiała puste spojrzenie w śmigającego wśród lilii pazia królowej. - Miałam co do niej wątpliwości, jeszcze zanim ją zobaczyłam, mimo wszystkich płomiennych zachwyty Lucy. Skoro to taka bliska osoba, dlaczego pojawiła się dopiero na dzień przed ślubem? Co z niej za przyjaciółka, że nie mogła poświęcić odrobiny czasu choćby na udział w wieczorze panieńskim?

Emma też się nad tym zastanawiała. Dzięki wszechmocnym Google'om w Wynette zakotłowało się od wieści

o próżniaczym życiu Meg Korandy, kiedy tylko została ogłoszona lista druhen. Jednak Emma nie miała zwyczaju wierzyć ludzkim osądom bez wystarczających dowodów, więc odmówiła udziału w rozsiewaniu plotek. Niestety, wyglądało na to, że w tym przypadku plotkarze mieli rację.

Kenny, jej mąż a zarazem najlepszy przyjaciel pana młodego, nie mógł

pojąć, dlaczego ludzie o tyle bardziej wrogo odnoszą się do Meg niż do zbiegłej narzeczonej, ale Emma rozumiała. Miejscowi lubili Lucy na tyle, na ile potrafili polubić osobę z zewnątrz, która złowiła ich Teda i byli gotowi ją zaakceptować - przynajmniej aż do poprzedniego wieczoru, kiedy to podczas przedślubnego przyjęcia zmieniła się na ich oczach.

Spędzała więcej czasu z Meg Korandą niż z przyszłym mężem. Rozproszona, nieobecna myślami, oschle rozmawiała z gośćmi i prawie w ogóle się nie uśmiechała, nawet podczas najzabawniejszych toastów.

Z kieszeni pomiętych, białych rybaczek, którym towarzyszyły stary T-shirt, włoskie sandały i nieodłączne diamenty, Francesca wyciągnęła chusteczkę.

- Miałam do czynienia ze zbyt wieloma zepsutymi hollywoodzkimi bachorami, żeby nie rozpoznać kolejnego. Dziewczyny takie jak Meg Koranda nie przepracowały ani jednego dnia w życiu i sądzą, że sławne nazwisko daje im prawo robić wszystko, na co mają ochotę. Właśnie dlatego oboje z Dalliem staraliśmy się, żeby Ted zawsze wiedział, że musi na siebie zarabiać. - Wytarła nos. -

Powiem ci, co myślę. Myślę, że wystarczyło jej jedno spojrzenie na mojego Teddy'ego i zechciała go dla siebie.

Chociaż faktycznie kobiety często traciły głowę dla Teda Beaudine'a, Emmie trudno było uwierzyć, że nawet Meg Koranda mogłaby uznać zerwanie jego ślubu

za najlepszą strategię podrywu. Jednak te zastrzeżenia dzielali w Wynette nieliczni. Emma podpisywała się raczej pod mniej popularną teorią, że przyjaciółka zepsuła szczęście Lucy, bo zazdrościła jej życiowego powodzenia. Tylko nie potrafiła zrozumieć, jakim cudem Meg zdołała odnieść sukces tak szybko.

- Lucy była dla mnie jak córka. - Francesca wykręcała palce złożonych na kolanach dłoni. - Już straciłam nadzieję, że Teddy wreszcie spotka kogoś wyjątkowego. Ale ona pasowała do niego idealnie. Ktokolwiek widział

ich razem, nie może mieć wątpliwości.

Ciepły wietrzyk poruszył liśćmi ocieniającymi pergolę.

- Gdyby tylko pojechał jej poszukać, ale on tego nie robi. Rozumiem, co to duma. Bóg jeden wie, że mamy jej z Dalliem aż w nadmiarze. Ale żałuję, że Ted nie umiał odłożyć urazy na bok. - Świeże łzy pociekły z oczu Franceski. - Szkoda, że go nie znałaś jako chłopca. Był taki spokojny i poważny. Taki kochany. Wspaniałe dziecko. Najwspanialsze na świecie.

Wprawdzie Emma uważała swoją trójkę za najwspanialsze dzieci na świecie, ale nie zakwestionowała słów przyjaciółki. Francesca roześmiała się smutno.

- Miał kompletnie nieskoordynowane ruchy. Dosłownie nie mógł przejść przez pokój, żeby się nie potknąć. Nie uwierzysz, ale zdolności do sportu pojawiły się u niego dopiero pod koniec dzieciństwa. I dzięki Bogu, wyrósł z tych wszystkich alergii. - Wydmuchała nos. - Wcale nie grzeszył

urodą. Minęły lata, zanim stał się takim atrakcyjnym chłopakiem. Za to był bardzo bystry, bystrzejszy niż wszyscy dookoła - na pewno bystrzejszy niż ja - ale nigdy nikogo nie traktował protekcjonalnie. - Jej łzawy uśmiech łamał Emmie serce. - Zawsze wierzył, że od każdego może się czegoś nauczyć.

Emma cieszyła się, że Francesca i Dallie wkrótce wyjeżdżają do Nowego Jorku. Przyjaciółka rozkwitała przy intensywnej pracy, a nagrywanie kolejnych serii wywiadów skutecznie odrywało jej myśli od innych spraw. Poza tym mieszkając na Manhattanie, Beaudi-ne'owie mogli zanurzyć się w rozrywkach wielkomiejskiego życia, co było o wiele zdrowsze niż dalszy pobyt w Wynette.

Francesca podniosła się z ławki i potarła policzek.

- Lucy była odpowiedzią na moje modlitwy. Myślałam, że Teddy wreszcie spotkał kobietę, która na niego zasługuje. Kogoś inteligentnego, porządnego i miłego; kogoś, kto rozumie, że można być uprzywilejowanym, a jednocześnie niezepsutym przez wychowanie.

Myślałam, że ona ma charakter. - Twarz jej stwardniała. - Chyba się pomyliłam.

- Wszyscy się pomyliliśmy.

Palce darły chusteczkę na strzępy, kiedy Francesca odezwała się tak cicho, że Emma z trudem ją dosłyszała:

- Strasznie chcę mieć wnuki, Emmo. Ja... ja o nich marzę. Przytulać je, czuć zapach ich delikatnych, malutkich główek. Dzieci Teddy'ego...

Emma wiedziała o historii Beaudine'ow wystarczająco dużo, żeby zrozumieć, że te słowa wyrażały coś więcej niż zwyczajną tęsknotę kobiety w średnim wieku. Przez pierwszych dziewięć lat Francesca sama wychowywała Teda, aż do czasu, kiedy Dallie dowiedział się, że ma dziecko. Wnuk pomógłby zapełnić tę wyrwę w ich życiu.

Jakby czytając w jej myślach, Francesca powiedziała:

- Dallie i ja nie mieliśmy szansy obserwować wspólnie pierwszych kroków, słuchać razem pierwszych

słów. - Jej głos nabrał goryczy. - Meg Koranda ukradła nam dzieci Teda.

Ukradła Lucy i ukradła nasze wnuki.

Emma nie mogła znieść jej smutku. Wstała z ławki i objęła przyjaciółkę.

- Będziesz jeszcze miała wnuki, kochanie. Znajdzie się inna kobieta dla Teda. Dużo lepsza od Lucy Jorik.

Ale Francesca jej nie wierzyła. Emma wyraźnie to widziała. Zdecydowała więc, że nie powie przyjaciółce najgorszego. Ze Meg Koranda nadal jest w miasteczku.

- Czy ma pani inną kartę kredytową, panno Koranda? - zapytała piękna blond recepcjonistka. - Ta najwyraźniej została odrzucona.

- Odrzucona? - Meg udawała, że nie rozumie, ale rozumiała aż za dobrze.

Z cichym wóóó ostatnia karta, jaka jej jeszcze została, znikła w szufladzie pod recepcyjną ladą zajazdu Wynette Country.

Recepcjonistka nawet nie próbowała ukryć satysfakcji. Meg była wrogiem publicznym numer jeden. Ubarwiona wersja jej roli w ślubnym fiasku, które naraziło świętego burmistrza Wynette na międzynarodowe upokorzenie, rozprzestrzeniała się niczym wirus po całym miasteczku, gdzie zamarażdziło jeszcze kilku przedstawicieli prasy. Dalece przesadzona relacja o starciu z Birdie Kittle podczas przedślubnego przyjęcia również stała się publiczną pożywką. Gdyby tylko Meg mogła wymknąć się z Wynette natychmiast po wybuchu skandalu, uniknęłaby tego wszystkiego, ale wyjazd okazał się niemożliwy.

Rodzina Jorików opuściła miasteczko w niedzielę, dwadzieścia cztery godziny po przerwanej

ceremonii. Meg sądziła, że licząc na powrót Lucy, zostaną dłużej. Jednak pani prezydent już wcześniej zobowiązała się uczestniczyć w konferencji Światowej Organizacji Zdrowia w Barcelonie, a Mat Jorik miał tam poprowadzić spotkanie dziennikarzy medycznych z różnych krajów. Meg była jedyną osobą, z którą Lucy kontaktowała się od chwili ucieczki.

Telefon zadzwonił w sobotę, późnym wieczorem, mniej więcej w tym czasie, kiedy państwo młodzi planowali opuścić wesele i wyruszyć w podróż poślubną. Połączenie było tak kiepskie, że Meg z trudem rozpoznała głos przyjaciółki, słaby i niepewny.

- Cześć, to ja.

- Lucy? Wszystko w porządku?

Lucy parsknęła zdławionym, na poły histerycznym śmiechem.

- Kwestia dyskusyjna. Znasz tę szaloną stronę mego charakteru, o której zawsze mówisz? Chyba ją właśnie odkryłam.

- Och, kochanie...

- Jestem... jestem tchórzem, Meg. Nie potrafię spojrzeć w oczy mojej rodzinie.

- Lucy, oni cię kochają. Na pewno zrozumieją.

- Przepróż ich ode mnie. - Głos jej się załamał. - Powiedz, że ich Kocham i wiem, że narobiłam strasznego bałaganu. I że wrócę, i wszystko jakoś uporządkuję, tylko... Jeszcze nie teraz. Teraz jeszcze nie mogę.

- Dobrze. Powiem im. Ale...

Rozłączyła się, zanim Meg zdążyła cokolwiek dodać. Meg zebrała się na odwagę i przekazała treść tej rozmowy rodzicom przyjaciółki.

- Lucy postępuje zgodnie z własną, nieprzymuszoną wolą - powiedziała Cornelia Jorik, być może wspominając swoją buntowniczą ucieczkę sprzed lat. - Na razie trzeba dać jej swobodę, której potrzebuje. - Po czym wymusiła obietnicę, że Meg jeszcze przez kilka dni zostanie w Wynette, na wypadek gdyby jednak Lu-

cy się pojawiła. - Przynajmniej tyle możesz zrobić, skoro już wywołałaś to zamieszanie.

Meg nie potrafiła odmówić. Za bardzo była przytłoczona poczuciem winy. Niestety, ani pani prezydent, ani jej mężowi nie przyszło do głowy, by pokryć koszt kolejnych noclegów w zajeździe.

- Bardzo dziwne - powiedziała do recepcjonistki. Rozjaśnione włosy, idealny makijaż, oślepiająco białe zęby oraz zestaw bransolet i pierścionków świadczyły o tym, że - przy wrodzonej urodzie - ta kobieta poświęcała swemu wyglądowi dużo więcej czasu i pieniędzy niż ona. -

Przykro mi, ale nie mam przy sobie innych. Wypiszę czek. - Co było niewykonalne, bo już trzy miesiące temu opróżniła swój bieżący rachunek i od tamtego czasu żyła z bezcennej ostatniej karty kredytowej.

Zaczęła grzebać w torebce. - Och, nie. Zapomniałam książeczki.

- Nic nie szkodzi. Tuż za rogiem jest bankomat ATM.

- Świetnie. - Meg podniosła z podłogi walizkę. - Wrzucę ją po drodze do auta.

Recepcjonistka wyskoczyła zza kontuaru i wyszarpnęła jej walizkę z ręki.

- Bagaż tu na panią zaczeka.

Meg obrzuciła piękną blondynkę najbardziej miażdżącym spojrzeniem, na jakie potrafiła się zdobyć i wypowiedziała słowa, jakich nie spodziewała się kiedykolwiek wymówić:

- Czy pani wie, kim ja jestem? - Nikim. Absolutnie nikim, pomyślała jednocześnie z ironią.

- Och, tak. Wszyscy wiedzą. Ale mamy swoje reguły.

- Doskonale. - Meg złapała torebkę hobo od Prądy, którą ofiarowała jej matka, i z godnością opuściła hol. Zanim dotarła na parking, była już złana zimnym potem.

Jej pozeracz paliwa, piętnastoletni buick century, sterczał niczym zardzewiała narośl pomiędzy lśniącym, nowym lexusem i cadillakiem CTS. Mimo wielokrotnego odkurzania, nadal śmierdział papierosami, niedomytym ciałem, śmieciowym jedzeniem i torfem, więc opuściła szybę, żeby wpuścić do środka trochę powietrza. Pod lekkim topem oblepiała ją połyskliwa warstewka wilgoci. Oprócz topu na kreację Meg składały się dzinsy, srebrne kute kolczyki, które zrobiła ze sprzączek znalezionych w Laosie, i klasyczny, rdzawoczerwony filcowy kapelusz w kształcie hełmu. Jej ulubiony sklep z używanymi rzeczami reklamował

go jako niegdysiejszą własność Ginger Rogers.

Oparła się czołem o kierownicę, ale bez względu na to, jak intensywnie myślała, nie mogła znaleźć dobrego wyjścia z sytuacji. Wreszcie wyciągnęła komórkę i zrobiła coś, czego obiecywała sobie nigdy nie robić. Zadzwoiła do brata.

Dylan, chociaż o trzy lata od niej młodszy, odnosił już znaczne sukcesy jako ekspert finansowy. Kiedy opowiadał, co robi, jej myśli wykazywały skłonność do błędzenia, ale wiedziała, że radzi sobie nadzwyczaj dobrze.

Ponieważ odmówił jej podania swego numeru do pracy, zadzwoniła na telefon komórkowy.

- Cześć, Dyl, odezwij się jak najszybciej. To nagły wypadek. Naprawdę.

Musisz do mnie natychmiast oddzwonić.

Nie było sensu telefonować do Claya, bliźniaka Dylana. Clay nadal klepał

biedę jako początkujący aktor i ledwie wystarczało mu na czynsz, aczkolwiek taka sytuacja nie powinna była trwać długo, ponieważ miał

dypłom wydziału teatralnego Yale, coraz większy dorobek w teatrze eksperymentalnym i talent, poparty nazwiskiem Koranda. W

przeciwieństwie do niej żaden z bra-

ci, odkąd ukończył college, nie wziął od rodziców ani centa.

Chwyliła telefon, kiedy tylko rozległ się sygnał.

- Jedyne powody, dla którego oddzwaniałam - oznajmił Dylan - to ciekawość. Dlaczego Lucy zrezygnowała ze ślubu? Moja sekretarka twierdzi, że jakiś plotkarski portal rozgłosił, że to ponoć ty wyperswadowałaś pannie młodej małżeństwo z tym facetem. Co tam się stało?

- Nic dobrego. Dyl, potrzebuję pożyczki.

- Mama mówiła, że tak będzie. Odpowiedź brzmi: nie.

- Dyl, ja nie żartuję. Wpadłam w straszne kłopoty. Zabrali mi kartę kredytową i...

- Dorośnij wreszcie, Meg. Masz trzydziestkę. Teraz to już wóz albo przewóz.

- Wiem. I zamierzam dokonać różnych zmian. Ale...

- W cokolwiek się wpakowałaś, potrafisz sobie poradzić. Jesteś o wiele bystrzejsza, niż sądzisz. Wierzę w ciebie, nawet jeśli ty sama w siebie nie wierzysz.

- Doceniam to, ale teraz potrzebuję pomocy. Naprawdę. Musisz mi pomóc.

- Boże, Meg. Nie masz za grosz dumy?

- To cios poniżej pasa.

- Więc nie zmuszaj mnie do takich tekstów. Doskonale potrafisz kierować własnym życiem. Znajdź pracę. Rozumiesz, co to słowo znaczy, prawda?

- Dyl...

- Jesteś moją siostrą, kocham cię i właśnie dlatego, że cię kocham, teraz się rozłączam.

Wpatrywała się w głuchy telefon, zła, chociaż bynajmniej nie zdziwiona tym dowodem rodzinnej zmywy. Rodzice chwilowo przebywali w Chinach, ale i tak już wcześniej wyrazili się absolutnie jasno, że nie będą jej więcej ratować. Przerazająca babka Belinda nie rozdawała niczego za darmo.



Zmusiłaby ją do zapisania się na kurs aktorski albo wymyśliła coś równie podstępnego. Podobnie miała się sprawa z wujem Michelelem... Ostatnim razem, kiedy rozmawiali, wygłosił

zjadliwy wykład o osobistej odpowiedzialności. Po ucieczce Lucy pozostały Meg trzy bliskie przyjaciółki. Wszystkie bardzo zamożne, ale żadna nie pożyczyłaby jej pieniędzy.

A może? Rzecz w tym, że Georgie, April i Sasha były samodzielnymi, energicznymi kobietami, które przez lata powtarzały Meg, że powinna przestać się obijać i wreszcie czymś się zająć. Jednak gdyby wyjaśniła, w jak rozpaczliwej sytuacji się znalazła...?

„Nie masz za grosz dumy?”

Rzeczywiście chciała dostarczyć swoim udanym przyjaciółkom kolejnego dowodu, że jest nic niewarta? Z drugiej strony, co miała do wyboru? W portfelu zaledwie sto dolarów, ani jednej karty kredytowej, puste konto, mniej niż pół baku benzyny i samochód, który w każdej chwili mógł się popsuć. Dylan słusznie powiedział. Bez względu na to, czy jej się podobało, czy nie, musiała znaleźć pracę... i to szybko.

Zaczęła się zastanawiać. W Wynette szanse na posadę nie wyglądały obiecująco, bo była miejscowym czarnym charakterem. Jednak zarówno San Antonio, jak Austin leżały o niecałe dwie godziny drogi stąd, więc przy połowie baku wydawały się osiągalne. W jednym z tych miast na pewno mogła znaleźć jakieś zajęcie. To oznaczało, że zmyje się, nie płacąc rachunku, czego dotychczas nigdy nie zrobiła. Ale nie miała innego wyjścia.

Zacisnęła na kierownicy spocone dłonie i powoli wyjechała z parkingu.

Ryk kiepskiego tłumika wzbudził w niej tęsknotę za hybrydowym nissanem ultimą, z którego musiała zrezygnować, kiedy ojciec przestał

regulować jej rachunki. A teraz zostało jej tylko to co na grzbiecie i w torebce. Konieczność pozostawienia walizki doprowadzała ją do szału, ale ponieważ zalegała w zajeździe z opłatą za trzy noce - ponad czterysta dolarów - niewiele mogła w tej sprawie zrobić. Zamierzała zwrócić tę kwotę razem z odsetkami, kiedy tylko znajdzie pracę. Jednak jaka by to mogła być praca, nie miała pojęcia. Coś tymczasowego i przy drobinie szczęścia dobrze płatnego, dopóki Meg nie obmyśli dalszych planów.

Kobieta pchająca spacerówkę przystanęła, żeby popatrzeć, jak brązowy buick bucha kłębamii oleistego dymu, co w połączeniu z ryczącym tłumikiem na pewno nie czyniło zeń samochodu stworzonego do ucieczki. Meg spróbowała osunąć się niżej w fotelu kierowcy. Przemykając ku obrzeżom miasta, minęła wapienny budynek sądu i otoczoną płotem bibliotekę. Wreszcie ujrzała graniczną tablicę:

„Właśnie opuszczasz

Wynette, Teksas

burmistrz Theodore Beaudine".

Nie widziała Teda od czasu niefortunego spotkania na kościelnym parkingu i teraz też się do tego nie paliła. Mogła założyć się o cokolwiek, że kobiety z całego kraju już ustawiały się w kolejce, aby zająć miejsce Lucy.

Gdzieś za nią zawyła syrena. Spojrzenie Meg pobiegło do wstecznego lusterka. Palce zacisnęły się na kierownicy. Z tyłu migotało czerwone światło radiowozu. Zjechała na pobocze, modląc się w duchu, żeby chodziło tylko o hałaśliwy tłumik, i przeklinając samą siebie, że nie zreperowała go przed wyruszeniem z Los Angeles.

Strach ścisnął jej żołądek, kiedy czekała, aż dwóch policjantów sprawdzi tablice rejestracyjne. Wreszcie z radiowozu wysiadł ten, który prowadził, i spokojnym

krokiem ruszył w jej stronę. Piwne brzuszysko przelewało mu się nad paskiem. Cerę miał rumianą, duży nos i włosy sterczące spod kapelusza jak stalowa wełna. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem opuściła szybę.

- Dzień dobry, panie władzo. - Boże, proszę, żeby chodziło o tłumik, a nie o ten niezapłacony rachunek, modliła się w duchy. Podała prawo jazdy i dokumenty wozu, zanim jeszcze o nie poprosił.  
- Czy jest jakiś problem?

Uważnie wszystko przestudiował, po czym obrzucił wzrokiem jej filcowy kapelusz. Pomyślała, czyby nie wspomnieć, że kiedyś nosiła go Ginger Rogers, ale policjant nie wyglądał na wielbiciela starych filmów.

- Panno Koranda, otrzymaliśmy zgłoszenie, że opuściła pani zajazd, nie płacąc rachunku.

Żołądek podszedł jej do gardła.

- Ja? Absurd. - Kątem oka dostrzegła w bocznym lusterku jakiś ruch. To drugi policjant postanowił przyłączyć się do towarzystwa. Tylko że ten zamiast munduru miał na sobie dżinsy i czarną koszulkę. I...

Uważniej spojrzała w lusterko. Nie!

Pod podeszwami zachrzęścił żwir. Cień przesłonił okno buicka.

Podniosła wzrok i stwierdziła, że patrzy prosto w beznamiętne bursztynowe oczy Teda Beaudine'a.

- Witaj, Meg.

*Rozdział 4*

TED! - PRÓBOWAŁA ZACHOWYWAĆ SIĘ TAK, jakby był facetem, którego szczególnie chciała spotkać, a nie jej najgorszym koszmarem. - Wstąpiłeś do policji?

Tak sobie jeżdżę. - Oparł się łokciem o dach wozu i obrzucił Meg taksującym spojrzeniem. Miała wra-

żenie, że jemu też nie przypadł do gustu kapelusz - ani w ogóle nic w jej osobie. - Mój grafik na najbliższe dwa tygodnie niespodziewanie się rozluźnił.

- Och.

- Słyszę, że zwiłaś z zajazdu, nie płacąc rachunku.

- Ja? Ależ skąd. To jakaś pomyłka. Wcale nie... Wskoczyłam trochę się przewietrzyć. Piękny dzień. Zwiłałam? No nie. Oni mają moją walizkę.

Jak mogłam zwiąć?

- Powiedzmy: wsiadając do samochodu i odjeżdżając - odparł Ted niczym rasowy glina. - Dokąd się wybierasz?

- Donikąd. Zwiedzałam. Lubię to robić, kiedy trafiam w nowe miejsca.

- Lepiej zapłać rachunek, zanim znowu wyruszysz na zwiedzanie.

- Masz całkowitą rację. Nie pomyślałam. Niezwłocznie się tym zajmę. -

Tyle tylko że nie mogła tego zrobić.

Minął ich z warkotem jadący w stronę miasta samochód ciężarowy i kolejna strużka potu spłynęła jej pomiędzy piersiami. Trzeba było zdać się na łaskę jednego z tych mężczyzn. Dokonanie wyboru nie zabrało Meg wiele czasu.

- Czy mogę porozmawiać z panem na osobności? -zwróciła się do policjanta.

Wzruszywszy ramionami, Ted przeszedł na tyły buicka. Policjant podrapał się po torsie. Meg przygryzła dolną wargę, a po chwili odezwała się zniżonym głosem:

- Widzi pan, chodzi o to... Popęłniłam głupi błąd. Przez te moje podróże nie dotarła do mnie poczta i to spowodowało małą trudność z kartą kredytową. Muszę poprosić w zajeździe, żeby wystawili mi rachunek.

Nie sądzę, żeby to był dla nich problem. - Zaczerwieniła się ze wstydu.

Gardło miała tak ściśnięte, że z trudem

zdołała wydobyć następne słowa: - Jestem pewna, że pan wie, kim są moi rodzice.

- Tak, proszę pani, wiem. - Gliniarz cofnął głowę, osadzoną na krótkiej, krępej szyi. - Ted, wygląda na to, że mamy tu włóczęgę.

Włóczęgę! Wyskoczyła z auta.

- Chwileczkę, zaraz! Nie jestem...

- Proszę wracać na miejsce. - Ręka policjanta powędrowała w stronę kabury. Oparłszy stopę o tylny zderzak buicka, burmistrz Wynette przyglądał się z zainteresowaniem.

Meg obróciła się do niego.

- Prośba o przysłanie rachunku jeszcze nie robi ze mnie włóczęgi!

- Słyszala pani, co powiedziałem? - warknął gliniarz. - Do auta.

Zanim zdążyła się poruszyć, Ted znowu podszedł.

- Ona nie współpracuje, Sheldon. Chyba będziesz musiał ją aresztować.

- Aresztować? Mnie?

Przybrał obłudnie smutną minę, z czego Meg wywnioskowała, że miał

skłonność do sadyzmu. Szybko wsiadła do samochodu. Ted się cofnął.

- Sheldon, co byś powiedział na to, żebyśmy odwieźli pannę Koranda do zajazdu, gdzie będzie mogła zająć się swoimi niedokończonymi sprawami?

- Jasna sprawa. - Policjant Gburowaty wskazał na drogę kawałek dalej. -

Tam proszę zawrócić. Będziemy jechać tuż za panią.

Dziesięć minut później znowu zbliżała się do kontuaru w holu Wynette Country Inn, ale tym razem u jej boku kroczył Ted Beaudine, podczas gdy Policjant Gburowaty zatrzymał się przy drzwiach i mówił coś do wpiętego w klapę mikrofonu.

Na widok Teda piękna blond recepcjonistka stanęła na baczność. Wargi wygięła w szerokim uśmiechu. Nawet jej włosy jakby się ożywiły.

Jednocześnie z troską zmarszczyła brwi.

- Cześć, Ted. Jak się masz?

- Świetnie, Kayla. A ty? - Kiedy się uśmiechał, miał zwyczaj opuszczać podbródek. Meg zauważyła, że robił tak przy Lucy na przyjęciu przedślubnym. Nie obniżał go za bardzo, pewnie nie więcej niż o dwa centymetry, tylko tyle, żeby przekazać informację o nieposzlakowanym życiu i uczciwych intencjach. A teraz identycznym uśmiechem, jakim obdarzał Lucy, czarował recepcjonistkę w zajazdzie. I to by było wszystko w sprawie jego złamanego serca.

- Nie uskarżam się - odparła Kayla. - Modlimy się za siebie.

Ted ani trochę nie wyglądał na człowieka, który potrzebuje modlitwy, ale uprzejmie podziękował.

- Jestem bardzo wdzięczny.

Kayla przechyliła głowę, aż fala lśniących, jasnych włosów zsunęła się jej na ramię.

- A może w ten weekend zjadłbyś z nami obiad w klubie? Wiesz, że się z tatkiem zawsze dobrze bawicie.

- Niewykluczone.

Przez kilka minut gawędzili o tatku, pogodzie i obowiązkach burmistrza.

Kayla wypruwała żyły: odrzucała włosy, trzepotała rzęsami, robiła oczami sztuczki Tyry Banks, zasadniczo dawała z siebie, co mogła.

- Wszyscy gadają o tym wczorajszym telefonie. Byliśmy pewni, że Spencer Skipjack o nas zapomniał. Aż trudno uwierzyć, że Wynette znów ma szansę. Chociaż przez cały czas mówiłam, że jakoś to załatwisz.

- Doceniam ten wyraz zaufania, ale przed nami jeszcze daleka droga. Nie zapominaj, że do zeszłego piątku Spence stawiał na San Antone.

- Jeśli ktokolwiek potrafi przekonać go, żeby zmienił zdanie i budował w Wynette, to tylko ty. Naprawdę potrzebujemy tych miejsc pracy.

- Jakbym nie wiedział.

Nadzieje Meg, że temat ich wciągnie, okazały się płonne, bo Ted znowu skupił uwagę na niej.

- Rozumiem, że panna Koranda jest wam winna pieniądze. Chyba sądzi, że może załatwić tę sprawę.

- Och, bardzo na to liczę.

Recepcjonistka bynajmniej nie sprawiała wrażenia, jakby na coś takiego liczyła. Rumieniec paniki rozpełzł się z twarzy Meg na dekolt. Oblizwała zaschnięte wargi.

- Może mogłabym... pomówić z szefem? Ted spojrzał na nią powątpiewająco.

- Nie myślę, żeby to był dobry pomysł.

- I tak musi - odparła Kayla. - Ja tu tylko chwilowo pomagam. Ta sprawa znacznie wykracza poza moje kompetencje.

Uśmiechnął się.

- O, do licha. Wszystkim nam się przyda odrobina radości, która rozjaśni dzisiejszy dzień. Idź po szefową.

Spod drzwi odezwał się Policjant Gburowaty.

- Ted, na Cemetery Road zdarzył się jakiś wypadek. Czy możesz zająć się tutejszą sprawą?

- Jasne, Sheldon. Ktoś jest ranny?

- Chyba nie. - Skinął głową w stronę Meg. - Kiedy już skończycie, doprowadź ją na posterunek.

- W porządku.

Doprowadź na posterunek? Naprawdę zamierzali ją aresztować?

Gliniarz wyszedł, a Ted oparł się wygodnie o ladę recepcji, swobodny i wyluzowany w świetle, który ukoronował go na króla. Palce Meg mocniej zacisnęły się na torebce.

- Co miałeś na myśli, kiedy powiedziałaś, że rozmowa z szefową to niedobry pomysł?

Ted uważnym spojrzeniem obrzucił niewielkie, przytulne wnętrze.

Wyglądał na usatysfakcjonowanego tym, co zobaczył.

- Tylko tyle, że ona nie należy do twoich fanów.

- Ale ja jej w ogóle nie znam.

- Och, poznałyście się. Z tego co słyszałem, nie wypadło to najlepiej.

Podobno nie spodobał jej się twój stosunek do Wynette... i do mnie.

Na tyłach recepcji otworzyły się drzwi i stanęła w nich kobieta w turkusowym kostiumie z dzianiny. Włosy miała czerwone jak czubek dzięcioła.

Była to Birdie Kittle.

- Dzień dobry - powiedział Ted, kiedy właścicielka zajazdu do nich podeszła. Jej krótka, ognista fryzura płonęła na neutralnym tle beżowych ścian. - Świetnie wyglądasz.

- Och, Ted... - Birdie sprawiała wrażenie, jakby się miała rozplakać. -

Okropnie mi przykro z powodu ślubu. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

Większość mężczyzn czułaby się upokorzona takim zalewem współczucia, ale on nie wyglądał nawet na odrobinę zakłopotanego.

- Takie rzeczy się zdarzają. Jestem ci wdzięczny za troskę. - Skinął głową w stronę Meg. - Sheldon

zatrzymał pannę Koranda na autostradzie, jak zmykała z miejsca przestępstwa, że się tak wyrażę. Ale doszło do jakiejś kraksy na Cemetery Road, więc poprosił, żebym przejął sprawę. Mówił, że raczej nikt poważnie nie ucierpiał.

- Tam zbyt często zdarzają się wypadki. Pamiętasz córkę Jinny Morris?

Trzeba zlikwidować ten zakręt.

- Na pewno byłoby dobrze, ale przecież wiesz, jaki mamy budżet.

- Wszystko się zmieni na lepsze, kiedy zdobędziesz dla nas to centrum golfa. Jestem tym tak podekscytowana, że nie mogę się już doczekać.

Zajazd porządnie zarobi na gościach, którzy przyjadą pograć, a nie zechcą płacić hotelowych stawek. I wreszcie będę w stanie otworzyć po sąsiedzku herbaciarnio-księgarnię, tak jak zawsze marzyłam. Myślę, żeby ją nazwać Popijanie-Przeoglądanie.

- Brzmi nieźle. Ale sprawa nie jest jeszcze dopięta.

- Będzie, Ted. Już ty to załatwisz. Strasznie potrzebujemy tych miejsc pracy.

Ted pokiwał głową, jakby żywił głębokie przeświadczenie, że potrafi wybawić ich z kłopotów.

W końcu Birdie zwróciła swoje ptasie oczka na Meg. Powieki miała pociągnięte delikatnym matowym cieniem o barwie miedzi, a minę jeszcze mniej przyjazną niż podczas konfrontacji w damskiej toalecie.

- Słyszę, że uciekłaś, nie regulując rachunku. - Wyszła zza kontuaru. -

Może hotele w L.A. pozwalają swoim gościom mieszkać za darmo, ale my w Wynette nie jesteśmy tacy światowi.

- To nieporozumienie - próbowała się bronić Meg. -Faktycznie głupie.

Myślałam, że... hm, Jorikowie się tym zajęli. To znaczy, przypuszczałam... ja... - Z każdym słowem brzmiało to coraz bardziej nieporadnie.

Birdie skrzyżowała ramiona na biuście.

- Jak zamierzasz uiścić swoją należność?

Meg przypomniała sobie, że już nigdy więcej nie będzie musiała oglądać Teda Beaudine'a.

- Trudno... trudno nie zauważyć, że jesteś bardzo dobrze ubrana. Mam w walizce cudowne kolczyki z okresu panowania dynastii Sung. Jedyne w swoim rodzaju.

Kupiłam je w Szanghaju. Są warte znacznie więcej niż czterysta dolarów.

- A przynajmniej byłyby, gdyby zdecydowała się uwierzyć zapewnieniom riksarza. Tak też zrobiła. -  
Co powiesz na wymianę bezgotówkową?

- Nie jestem zainteresowana donaszaniem cudzej starzyzny. To pewnie bardziej w stylu L.A.

A więc kapelusz Ginger Rogers odpadał. Meg podjęła kolejną próbę.

- Te kolczyki nie są żadną starzyzną. To cenne zbytki.

- Jesteś w stanie zapłacić swój rachunek czy nie? Meg gwałtownie usiłowała znaleźć jakieś rozwiązanie, ale nie potrafiła.

- To załatwia sprawę. - Ted wskazał aparat telefoniczny w recepcji. -

Masz do kogo zadzwonić? Naprawdę, w ogóle nie mam ochoty holować cię przez ulicę.

Nie wierzyła mu ani przez moment. Byłby zachwycony, mogąc ją osobiście ukarać. Pewnie jeszcze zgłosiłby się na ochotnika, żeby ją zrewidować.

Pochyl się, Koranda.

Zadrżała. Na jego twarzy pojawił się ten powolny uśmiech, jakby Ted czytał w jej myślach.

Birdie jako pierwsza zaprezentowała pokaz entuzjazmu.

- Mam pomysł. Z największą przyjemnością porozmawiam o tobie z twoim ojcem. I wyjaśnię sytuację.

Idę o zakład, że z przyjemnością, pomyślała Meg.

- Niestety, mój ojciec jest obecnie nieosiągalny.

- A co powiesz na to, żeby odpracowała ten dług? - zaproponował Ted. -

Nie mówiłaś, że brakuje ci pokojówki?

- Pokojówki? - powtórzyła Birdie. - Och, ona jest zbyt światowa, żeby sprzątać hotelowe numery.

Meg z trudem przełknęła ślinę.

- Byłabym zachwycona... gdybym mogła ci tu pomagać.

- Lepiej to przemyśl, Birdie - powiedział Ted. - Ile płacisz?

Siedem-siedem pięćdziesiąt za godzinę? Odliczając udział Wuja Sama -

założywszy, że będzie pracowała na całą zmianę - to ładnych kilka tygodni. Wątpię, czy panna Koranda tak długo wytrzyma szorowanie toalet.



- Nie masz pojęcia, co potrafi wytrzymać panna Koranda - warknęła Meg, usiłując wyglądać na znacznie twardszą, niż się czuła. - Byłam w Australii na spędzie bydła, w Nepalu wędrowałam szlakiem dookoła Annapurny. - Tylko piętnaście kilometrów, ale zawsze...

Birdie uniosła podkreślone ołówkiem brwi i wymieniła z Tedem porozumiewawcze spojrzenie.

- Taak... potrzebuję pokojówki - powiedziała po chwili. - Ale jeśli myślisz, że odpracujesz dług, objając się, może cię spotkać przykra niespodzianka.

- Wcale tak nie myślę.

- No, więc dobrze. Bierz się do roboty, a ja nie wniosę oskarżenia. Ale jeśli spróbujesz zwać, wylądujesz w miejskim areszcie.

- W porządku - powiedział Ted. - Mógłby sobie tylko życzyć, żeby wszystkie spory były rozwiązywane tak pokojowo. Świat byłby lepszy, nie sądzicie?

- Z pewnością - odparła Birdie, po czym znowu kierując uwagę na Meg, wskazała drzwi za kontuarem recepcji. - Chodź, przedstawię cię Arlis Hoover, naszej szefowej administracji. Będiesz jej podlegać.

- Arlis Hoover? Cholera, całkiem zapomniałem.

- Była tu, kiedy przejęłam zajazd - powiedziała Birdie. - Jak mogłeś zapomnieć.

- Sam nie wiem. - Ted wygrzebał z kieszeni džinsów kluczyki do samochodu. - Chyba to jedna z tych osób, które staram się usuwać z pamięci.

- Mnie to mówisz? - mruknęła Birdie.

Po tym złowieszczym stwierdzeniu poprowadziła Meg z holu w trzewia firmy świadczącej usługi hotelowe.

## *Rozdział 5*

EMMA TRAVELER KOCHAŁA RANCZERSKI DOM Z kremowego wapienia, gdzie ona i Kenny mieszkali z trójką swoich dzieci. Na pastwisku za wiecznie zielonymi teksańskimi dębami pały się zadowolone konie.

Przedrzeźniacz pokrzykiwał na żerdzi świeżo pobielonego płotu.

Wkrótce w sadzie miały dojrzeć pierwsze brzoskwinie.

Komitet Odbudowy Biblioteki Publicznej w Wynet-te w prawie pełnym składzie zgromadził się nad basenem na cosobotnie popołudniowe spotkanie. Kenny zabrał dzieciaki do miasta, więc komitet mógł

obradować bez przeszkód, chociaż Emma z doświadczenia wiedziała, że do żadnych obrad nie dojdzie, dopóki każda z uczestniczek zebrania -

których wiek rozciągał się od trzydziestu dwóch lat do jej własnej antycznej czterdziestki - nie skończy omawiać wszystkiego, co akurat przyszło jej na myśl.

- Od lat odkładam, żeby móc posłać Haley na porządne studia, a teraz ona nie chce. - Birdie Kittle wcisnęła się w nowy kostium kąpielowy od Tommy'ego Bahama ze skośnym marszczeniem, pomocnym w ma-skowaniu talii. Kilka tygodni wcześniej Haley Kittle ukończyła szkołę średnią w Wynette z najlepszymi ocenami. Birdie nie potrafiła zaakceptować wyboru córki, która uparła się przy okręgowym dwuletnim college'u, zamiast od jesieni jechać na Uniwersytet Tekskański. Podobnie jak nie potrafiła zaakceptować majaczących

w niedalekiej przyszłości swoich czterdziestych urodzin. - Miałam nadzieję, że ty zdołasz jej przemówić do rozumu, lady Emmo.

Jako jedyne dziecko dawno zmarłego piątego hrabiego Woodbourne, Emma miała prawo do honorowego tytułu szlacheckiego, ale nigdy go nie używała. To jednak nie powstrzymało mieszkańców Wynette - wyjątek stanowiły dzieci Travelerów i Francesca - od zwracania się do niej per

„lady”, obojętnie ile razy prosiła, żeby przestali. Nawet jej własny mąż tak robił. Chyba że akurat byli w łóżku, bo wtedy...

Emma zmusiła się, by nie odpłynąć w marzenia dozwolone od lat osiemnastu. Była dawną nauczycielką, długoletnim członkiem kuratorium oświaty, lokalnym kierownikiem do spraw kultury i przewodniczącą stowarzyszenia Przyjaciół Miejskiej Biblioteki Publicznej, więc przywykła do pytań związanych z cudzymi dziećmi.

- Birdie, Haley jest naprawdę inteligentną dziewczyną. Będziesz musiała jej zaufać.

- Nie mam pojęcia, skąd wzięła tę mózgownicę, bo na pewno nie odziedziczyła jej po swoim ojcu ani po mnie. - Pani Kittle pochłonęła jedno z cytrynowych ciastek, które Patrick, od wieków prowadzący dom Travelerów, przygotował dla gości.

Shelby Traveler, przyjaciółka Emmy i zarazem jej bardzo młoda, trzydziestosiedmioletnia teściowa, wcisnęła przeciwsloneczny kapelusz z szerokim, miękkim rondem na swego blond pazia, typową fryzurę byłej członkini studenckiej korporacji.

- Spróbuj dostrzec drugą stronę medalu. Haley chce zostać w domu. Ja nie mogłam się doczekać, kiedy się wyrwę od mamy.

- To nie ma nic wspólnego ze mną. - Birdie strzepnęła z kostiumu okruszki. - Gdyby Kyle Bascom wybie-

rał się na Uniwersytet Tekskański zamiast do okręgowego college'u, Haley już pakowałaby walizki, żeby jechać do Austin. A on kompletnie nie zwraca na nią uwagi. Nie mogę znieść myśli, że kolejna

dziewczyna Kittle'ow zmarnuje przyszłość dla faceta. Próbowałam przekonać Teda, żeby z nią pomówił - wiecie, jak ona go szanuje -ale jego zdaniem Haley jest dość dorosła na samodzielne decyzje. A to nieprawda.

Wszystkie podniosły wzrok, bo zza rogu domu wynurzyła się pospiesznie Kayla Garvin. Góra dwuczęściowego kostiumu szczerze eksponowała implanty, które kilka lat temu sfinansował jej ojciec w nadziei, że tak wyposażona zdoła skusić Teda, by dołączył do rodziny Garwinow.

- Przepraszam za spóźnienie. Miałam nową dostawę. - Zmarszczyła nos, podkreślając swój niesmak wobec sklepu z używanymi rzeczami, który prowadziła na pół etatu, żeby się czymś zająć. Jednak twarz jej pojaśniała, kiedy się okazało, że nie ma Torie. Mimo że Torie należała do jej przyjaciółek, Kayla nie lubiła, by w pobliżu znajdował się ktoś, kto posiadał ciało równie udane jak jej własne; a przynajmniej nie wtedy, gdy występowała w kostiumie kąpielowym.

Tego dnia spiętrzyła złociste włosy w modnie rozczochrany węzeł na czubku głowy, a biodra owinęła białym koronkowym sarongiem. Jak zwykle miała pełny makijaż i nowy naszyjnik z wysadzaną diamencikami gwiazdą.

Rozsiadając się koło Emmy na szeszlengu, oznajmiła:

- Jak słowo daję, jeśli ktoś spróbuje mi wepchnąć w zastaw jeszcze jeden stary sweter z bałwankami, choinkami albo Mikołajami, zamykam ten kram i zatrudniam się u ciebie, Birdie.

- Jeszcze raz dzięki za pomoc tydzień temu. To już drugi raz w tym miesiącu Mary Alice zadzwoniła, że jest chora. - Birdie przesunęła piegowate nogi do cienia. - Chociaż potrzebuję ruchu w interesie, cieszę się, że dziennikarze wreszcie od nas wyjechali. Byli jak stado kruków.

Grzebali w naszych sprawach i nabijali się z Wynette. I łazili krok w krok za Tedem.

Kayla sięgnęła po swój ulubiony błyszczak MAC.

- To ja powinnam ci podziękować za pomoc tamtego dnia. Szkoda, że wszystkie żeście nie widziały, jak Miss Hollywood zaczęła rozrabiać w sprawie rachunku. „Czy pani wie, kim ja jestem?” Jakbym miała bić przed nią pokłony. - Kayla przeciągnęła sztyftem błyszczaka po wargach.

- W życiu nie spotkałam takiej tupeciary. - Zoey Daniels miała na sobie konserwatywny jednoczęściowy orzechowy kostium, kilka tonów ciemniejszy niż jej skóra. Wierząc, że Afroamerykanka musi tak samo jak jej blade siostry uważać na szkodliwość słońca, wybrała sobie miejsce pod jednym z pasiastych parasoli.

Obie trzydziestodwulatki, Zoey i Kayla, były najmłodszymi członkiniami komitetu. Mimo wszystkich różnic - jasnowłosa królowa piękności z obsesją na punkcie mody i oddana swojej pracy, młoda nauczycielka ze szkoły podstawowej Sybil Chandler - od dzieciństwa się przyjaźniły.

Licząca zaledwie pięć stóp wzrostu, szczupłutka Zoey miała krótkie, naturalnie kręcone włosy, wielkie złocistobrązowe oczy i roztaczała aurę zatroskania, coraz wyraźniejszą w miarę jak

rozrastały się klasy i kurczył

szkolny budżet.

Teraz nerwowo skubała jaskrawą bransoletkę, która wyglądała na gumkę z nanizanymi bryłkami kolorowej modeliny.

- Już sam widok tej dziewczuchy mnie dobija. Nie mogę się doczekać, kiedy ona wreszcie stąd wyjedzie. Biedny Ted.

Shelby Traveler wtarła krem do opalania w stopę.

- On się naprawdę wspaniale trzyma, jak na to co się stało. I właśnie to niemal łamie mi serce.

Dla każdej z nich Ted był kimś wyjątkowym. Birdie wielbiła go, w domu Shelby stale gościł, odkąd poślubiła ojca Kenny'ego. A Kayla i Zoey kiedyś kochały się w Tedzie, co stanowiło poważne wyzwanie dla ich przyjaźni. Obecnie Kayla twierdziła, że było to najlepsze pół roku jej życia. Zoey tylko wzdychała i popadała w coraz większe przygnębienie, więc przestały o tym rozmawiać.

- Może zmusiła ją do tego zazdrość. - Zoey podniosła egzemplarz *Nauki o społeczeństwie w szkole podstawowej*, który wypadł jej z torby, i wepchnęła książkę z powrotem. - Albo nie chciała, żeby Lucy go dostała, albo od pierwszego wejrzenia zapragnęła go dla siebie.

- Wszystkie znamy kobiety, które na punkcie Teda popadły co najmniej w lekką obsesję. - Shelby nie patrzyła ani na Kaylę, ani na Zoey, ale nie musiała. - A ja tak naprawdę chciałabym wiedzieć, co ona powiedziała Lucy, żeby ją przekonać do odwołania ślubu.

Kayla bezmyślnie bawiła się naszyjnikiem.

- Wiecie, jaki jest Ted. Dla wszystkich miły i uroczy. Oprócz Panny Mam-Sławnych-Rodziców. - Wzdrygnęła się. - Która rozpoznała, że Ted Beaudine ukrywa jakąś ciemną stronę swojej natury.

- Przez co jest tylko bardziej atrakcyjny - westchnęła po raz kolejny Zoey.

Na twarzy Birdie pojawił się złośliwy uśmiezek.

- Córka Jake'a Korandy szoruje u mnie toalety...

Emma osłoniła głowę zawadiackim słomkowym kapelusikiem.

- Nie potrafię zrozumieć, dlaczego rodzice nie mogą jej pomóc.

- Zerwali z nią kontakty - stwierdziła stanowczo Kay-la. - I nietrudno się domyślić czemu. Meg Koranda ćpa.

- Tego na sto procent nie wiemy - wtrąciła się Zoey.

- Zawsze o każdym chcesz myśleć dobrze - odparowała Kayla. - Ale to jasne jak słońce. Idę o zakład, że jej krewni wreszcie doszli do wniosku, że mają dość.

Właśnie tego rodzaju plotek Emma wyjątkowo nie lubiła.

- Lepiej nie rozpuszczać pogłosek, których nie można udowodnić -

powiedziała, chociaż była pewna, że tylko traci czas.

Kayla poprawiła stanik kostiumu bikini.

- Lepiej sprawdź, czy masz dobrze zamkniętą kasę, Birdie. Narkomani kradną wszystko, jak leci.

- O to się nie martwię - odparła Birdie zadowolonym tonem. - Arlis Hoover nie spuszcza jej z oka.

Shelby przeżegnała się i wszystkie parsknęły śmiechem.

- Może dopisze ci szczęście i Arlis zatrudni się w nowym centrum golfa.

Emma chciała je rozśmieszyć, ale nagle zapadła cisza, bo każda z kobiet zamyśliła się, jak planowany ośrodek i kompleks mieszkalny mogłyby zmienić ich życie na lepsze. Birdie miałyby swoją herbaciarnio-księgarnię. Kayla byłaby w stanie otworzyć dawno wymarzony salon mody dla klientów z wyższej półki. Miejscowe szkolnictwo otrzymałoby wsparcie finansowe, czego tak bardzo pragnęła Zoey.

Emma wymieniła spojrzenie z Shelby. Jej młoda teściowa nie musiałaby dłużej patrzeć na nieustanny stres

męża, który był jedynym dużym pracodawcą w miasteczku o zbyt wielkiej liczbie bezrobotnych. A jeśli chodzi o nią samą... Emma i Kenny mieli dość pieniędzy, żeby żyć wygodnie, niezależnie od tego, jak się potoczy sprawa centrum golfa, ale tylu bliskich im ludzi nie miało. A poza tym pomyslnie Wynette wiele dla nich znaczyła. Jednak Emma nie wierzyła w smęcenie.

- Będzie ośrodek, czy nie będzie - odezwała się energicznie - teraz musimy przedyskutować, skąd wziąć pieniądze na remont naszej biblioteki, żeby mogła znowu zacząć działać. Nawet licząc odszkodowanie, nadal mamy żałośnie mało w stosunku do potrzeb.

Kayla poprawiła spinki w blond koku.

- Nie zniosę kolejnych głupich kiermaszów z ciastami. Obie z Zoey narobiłyśmy się przy nich wystarczająco jeszcze w szkolnych czasach.

- Ani cichej aukcji.

- Ani myjni samochodowej. Ani loterii. - Zoey pacnęła muchę.

- Potrzebujemy czegoś wyjątkowego - powiedziała Birdie. - Czegoś, co przyciągnie powszechną

uwagę.

Rozmawiały jeszcze przez godzinę, ale żadna nie potrafiła wymyślić, co by to takiego mogło być.

Krótkim, grubym palcem Arlis Hoover wskazała wannę, którą Meg właśnie skończyła po raz drugi pucować.

- To nazywasz czystością, Panno Gwiazdo Filmowa? Boja tego nie nazywam czystością.

Meg już nie siliła się na protesty, że nie jest gwiazdą filmową. Ta kobieta doskonale o tym wiedziała. Właśnie dlatego powtarzała to raz za razem.

Arlis Hoover miała ufarbowane na czarno włosy i ciało niczym ogryziona chrząstka. Żywiła się permanentnym

poczuciem krzywdy, absolutnie przekonana, że tylko pech odgradza ją od bogactwa, urody i wielkich okazji. Pracując, słuchała szurniętych audycji radiowych, w których dowodzono, że Hillary Clinton skosztowała kiedyś ciała noworodka i że telewizja PBS jest całkowicie finansowana przez lewackich gwiazdorów stających na głowie, żeby przekazać homoseksualistom kontrolę nad światem. Jakby tego naprawdę chcieli.

Chyba nawet Birdie obawiała się trochę złośliwej Arlis Hoover, chociaż ta starała się z całych sił powściągać co bardziej psychotyczne odruchy, kiedy szefowa znajdowała się w pobliżu. Ponieważ jednak oszczędzała fundusze zajazdu, wyduszając maksimum pracy z maleńkiego personelu, więc Birdie się jej nie czepiała.

- Dominga, chodź tu i popatrz na tę wannę. To nazywacie w Meksyku czystością?

Dominga była nielegalną emigrantką. W tej sytuacji nie mogła nie zgadzać się z Arlis, więc tylko pokręciła głową.

- Nie. *Muy sucia*.

Meg nienawidziła Arlis Hoover bardziej niż kogokolwiek kiedykolwiek.

Ewentualny wyjątek czyniła dla Teda Beaudine'a.

„He płacisz swoim pracownikom, Birdie? Siedem-siedem pięćdziesiąt za godzinę?”

Nie. Birdie płaciła im dziesięć pięćdziesiąt za godzinę, jak z pewnością Ted świetnie wiedział. Wszystkim, oprócz Meg.

Bolały ją plecy, w kolanach rwało, kawałkiem stłuczonego lustra rozcięła kciuk. I była głodna. Poprzedni tydzień przeżyła na miętówkach i pozostałych ze śniadania gości mufinkach, które przemycał dla niej Carlos, miejscowy pracownik techniczny. Ale i tak nie mogło to zrekomensować błędu, który popełniła pierwszej no-

cy, wynajmując pokój w tanim motelu wyłącznie po to, by obudziwszy się następnego ranka stwierdzić, że nawet tanie motele kosztują i że sto dolarów w jej portfelu zamieniło się przez jedną dobę w pięćdziesiąt. Od tej pory sypiała w swoim samochodzie, zaparkowanym koło żwirowni, a kiedy Arlis się oddalała, przemykała do któregoś z wolnych numerów, żeby wziąć prysznic.

Była to żalosna egzystencja, ale przynajmniej Meg nie sięgnęła jeszcze po komórkę. Nie próbowała powtórnie skontaktować się z Dylanem ani rozmawiać z Clayem. Nie zadzwoniła do Georgie, Sashy ani April. A co najważniejsze, nie wspomniała o swojej sytuacji rodzicom, kiedy do niej telefonowali. Hołubiła tę świadomość za każdym razem, gdy przetykała kolejny cuchnący klozet albo z odpływu w wannie wydłubywała jeszcze jeden oślizgły kłęb włosów. Za plus minus tydzień już jej tu nie będzie. A co potem? Nie miała pojęcia.

Z powodu rezerwacji na wielki zjazd rodzinny, której termin właśnie się zbliżał, Arlis mogła poświęcić zaledwie kilka minut, żeby podręczyć Meg.

- Obróć ten materac, zanim weźmiesz się za zmianę prześcieradeł, Panno Gwiazdo Filmowa. I życzę sobie, żeby wszystkie rozsuwane drzwi na tym piętrze błyszcząły. Żebym nie znalazła ani jednego odcisku palca.

- W obawie, że FBI odkryje, że to pani? - zapytała słodko Meg. - A tak na marginesie, za co oni panią ścigają?

Ilekcio Meg jej się odgryzła, Arlis o mało nie popadała w katatonię. Teraz również czerwone plamy gniewu gwałtownie pokryły jej pożyłkowane policzki.

- Wystarczy, że powiem słówko Birdie i wylądujesz za kratkami.

Bardzo prawdopodobne, ale wobec napływu weekendowych gości i niedoborów personelu, zajazd nie

mógł sobie pozwolić na utratę pokojówki. Jednak lepiej było nie przeciągać struny.

Zostawszy wreszcie sama, Meg wpatrzyła się tęsknie w lśniącą z czystości wannę. Poprzedniego dnia Ar-lis do późnych godzin robiła remanent, więc nie sposób było przemknąć się pod prysznic. Przy pełnej rezerwacji perspektywy na ten wieczór nie wyglądały o wiele lepiej. Meg powtarzała sobie, że zdarzało jej się spędzać czas na zabłoconych szlakach, gdzie nawet nie pomyślała o domowych udogodnieniach wodno-kanalizacyjnych. Ale tamte wyprawy były tylko odpoczynkiem, zabawą, a nie prawdziwym życiem. Chociaż gdy teraz spoglądała wstecz, dochodziła do wniosku, że może jednak tak wyglądało jej prawdziwe życie.

Właśnie walczyła z materacem, który nie dawał się obrócić, kiedy poczuła za sobą czyjąś obecność. Zebrała siły na kolejną konfrontację z Arlis Hoover, ale w drzwiach stał Ted Beaudine. Wsparty ramieniem o framugę, nogi skrzyżowane w kostkach, idealnie na swoim miejscu w królestwie, którym zarządzał.

Miętowozielona poliestrowa sukienka pokojówki kleiła się do skóry. Meg otarła ręką spocone czoło.

- Mój szczęśliwy dzień. Wizyta Wybrańca. Uzdrawiłeś ostatnio jakichś trędowatych?

- Byłem zbyt zajęty sprawą chlebow i ryb. Nawet się nie uśmiechnął.

Drań. Kilkakrotnie w tym

tygodniu, kiedy poprawiała zasłony albo przecierała parapety jednym z toksycznych środków, których w zajezdzie upierano się używać, widziała Teda na ulicy. Jak się okazało, ratusz mieścił się w tym samym budynku co posterunek policji. Tego ranka z okna na drugim piętrze obserwowała, jak - święta prawda! - zatrzymał cholerny ruch, żeby przeprowadzić przez jezdnię staruszkę. Zauważyła również, że wiele młodych kobiet wchodziło do budynku

bocznymi drzwiami, które prowadziły bezpośrednio do biur urzędu miasta. Być może w interesach publicznych. Jednak bardziej prawdopodobne, że w szemranych. Ruchem głowy wskazał materac. -

Wygląda, że przydałaby ci się pomoc? Czują się wykończona, materac był naprawdę ciężki, więc przełknęła dumę.

- Dzięki.

Ted zerknął przez ramię na korytarz.

- Nic z tego. Nikogo nie widzę.

Wściekłość, że pozwoliła z siebie zakpić, dodała jej sił, żeby podważyć dolny róg materaca i dźwignąć go w górę.

- Czego ode mnie chcesz? - warknęła.

- Sprawdzam, jak się sprawujesz. Do obowiązków burmistrza należy kontrola, czy nasi włóczędzy me nagabują niewinnych obywateli.

Wepchnęła rękę głębiej pod materac i zemściła się naipodlejszym tekstem, jaki zdołała wymyślić:

- Lucy przysyła mi esemesy. Jak dotąd nie wspominała o tobie. - Ani za bardzo o niczym. Po prostu jedno, dwa zdania, że wszystko z nią w porządku i że jeszcze nie chce rozmawiać. Meg podciągnęła materac wyżej

- Pozdrów ją ode mnie - odparł tak swobodnie, jakby chodziło o daleką kuzynkę.

- Nawet cię nie obchodzi, gdzie ona jest, prawda. -Materac podjechał w górę o kolejnych kilka cali.  
- Czy nic jej się nie stało? Może została porwana przez terrorystów. - Fascynujące, z jaką łatwością zasadniczo miła osoba, czyli ona, potrafiła stać się agresywna.

- Jestem pewien, że ktoś by o tym wspomniał. Meg z trudem łapała oddech.

- Najwyraźniej tej twojej, ponoć gigantycznej, inteligencji umyka, że nie odpowiadam za decyzję



Lucy.

Więc dlaczego robisz sobie ze mnie prywatny worek treningowy?

- Muszę wyładować na kimś bezgraniczną wściekłość. - Stał prosto.

- Jesteś żaloszny. - Ale zaledwie te słowa wydobyły się z jej ust, straciła równowagę i przywalona materacem runęła na sprężyny łóżka.

Chłodne powietrze owiewało tyły nagich ud. Dolna część sukienki zadarła się powyżej pośladków, dając Tedowi niczym nie ograniczony widok na jasnożółte figi jak też zapewne na zdobiące jej biodro smoka.

Bóg ukarał ją za arogancki stosunek do Najdoskonalszego z Jego Stworzeń, robiąc z niej wielką kanapkę firmową Sealy Posturepedic.

Do uszu Meg dotarł przytłumiony głos Teda.

- Nic ci się nie stało?

Materac ani drgnął.

Nie doczekawszy się pomocy, zaczęła wiercić się i wic, żeby odzyskać wolność. Sukienka podjechała jej już do pasa. Usiłując nie myśleć o żółtych majtkach i smoczym tatuażu, Meg przyrzekła sobie, że nie pozwoli, by wróg zobaczył ją pokonaną. Wbiła palce stóp w dywan i walcząc o powietrze, jednym finalnym skrętem ciała zepchnęła nieporęczny balast na podłogę.

Ted cicho zagwizdał.

- Do diabła, a to ciężki sukinsyn. Meg wstała i obciągnęła sukienkę.

- Tak? Skąd wiesz?

Przesunął spojrzeniem po jej nogach i uśmiechnął się.

- Hipoteza.

Gwałtownie szarpnęła materac za róg. Jakimś cudem zdołała zebrać wystarczająco dużo sił, żeby obrócić obrzydliwy przedmiot i wciągnąć z powrotem na łóżko

- Dobra robota - pochwalił Ted. Odsunęła od oczu zlepiony potem kosmyk.

- Mściwy, zimnokrwisty psychol.

- Ostre.

- Jestem jedyną osobą na świecie, która przejrzała tę pozę świętego Teda?

- Prawie.

- Popatrz na siebie. Niecałe dwa tygodnie temu Lucy była miłością twego życia. Teraz wydaje się, jakbyś ledwie pamiętał to imię. - Kopniakiem przesunęła materac o kilka cali.

- Czas leczy rany.

- Jedenaście dni?

Wzruszył ramionami i powędrował na drugą stronę pokoju, żeby zbadać połączenie internetowe. Meg deptała mu po piętach.

- Przestań wyładowywać się na mnie. To nie moja wina, że Lucy uciekła.

- Nie do końca prawda, ale dość blisko.

Kucnął, sprawdzając kabel połączeniowy.

- Dopóki nie przyjechałaś, wszystko było dobrze.

- Tylko tak ci się wydaje.

Ted wetknął ponownie wtyczkę i podniósł się na nogi.

- Oto jak ja to widzę. Dla siebie tylko znanych powodów - aczkolwiek mam pewien pogląd jakich - nakłoniłaś cudowną kobietę, robiąc jej wodę z mózgu, do popełnienia błędu, z którym będzie musiała żyć przez resztę swoich dni.

- To nie był błąd. Lucy zasługuje na więcej, niż byłeś gotów jej dać.

- Nie masz pojęcia, co byłem gotów jej dać - odparł, kierując się w stronę drzwi.

- Nie niepohamowaną, namiętą miłość, to na pewno.

- Przestań udawać, że wiesz, o czym mówisz. Popędziła za nim.

- Gdybyś kochał Lucy tak bardzo, jak na to zasługuje, robiłbyś teraz co w twojej mocy, żeby ją odnaleźć i przekonać do powrotu. Nie miałam żadnych ukrytych intencji. Obchodzi mnie tylko jej szczęście.

Zwolnił kroku i się odwrócił.

- Oboje wiemy, że to nie całkiem prawda. Sposób, w jaki się jej bacznie przypatrywał, wywołał u Meg uczucie, że Ted dostrzega w niej coś, o czym ona sama nie wie.

Opuszczone po bokach ręce zacisnęły się w pięści.

- Myślisz, że byłam zazdrosna? To chcesz powiedzieć? Ze postanowiłam jakoś uniemożliwić jej ślub? Mam wiele wad, ale nie podkładałam świni przyjaciołom. Nigdy.

- Więc dlaczego podłożyłaś Lucy?

Ten zajadły, krzywdzący atak wzbudził w niej przyływy gniewu.

- Zabieraj się stąd!

Już wychodząc, posłał w jej stronę ostatnią strzałę.

- Ładny smok.

Zanim zmiana dobiegła końca, wszystkie pokoje w zajeździe zostały zajęte, co uniemożliwiało wzięcie ukradkiem prysznic. Carlos przeschmugłował dla niej muffinkę, jej jedyny posiłek w ciągu całego dnia.

Drugą osobą oprócz Carlosa, która wyraźnie nie żywiła do Meg nienawiści, była osiemnastoletnia córka Birdie, Haley. Dość zaskakujące, ponieważ uważała się za osobistą asystentkę Teda. Jednak jak Meg szybko się zorientowała, oznaczało to tylko tyle, że dziewczyna spo-radycznie załatwiała jakieś jego polecenia.

Haley miała wakacyjną pracę w miejscowym klubie, więc nie widywały się za często, ale czasem zaglądała do pokoi, które sprzątała Meg.

- Wiem, że przyjaźnisz się z Lucy - powiedziała pewnego popołudnia, pomagając podwijać pod materac brzegi czystego prześcieradła. - Ona była dla wszystkich supermiła. Ale chyba nie czułaby się szczęśliwa w Wynette.

Haley w niewielkim stopniu przypominała Birdie.

O kilka centymetrów od niej wyższa, z pociągłą twarzą i prostymi jasnobrązowymi włosami, nosiła ubrania zbyt małych rozmiarów i nakładała makijaż zbyt obfity do jej delikatnych rysów.

Dzięki podsłuchanej przypadkiem wymianie zdań pomiędzy matką i córką Meg wiedziała, że ten zdzirowaty styl był sprawą całkiem świeżą.

- Lucy potrafi świetnie się przystosować - odparła Meg, wsuwając świeżą powłoczkę na poduszkę.

- Moim zdaniem wyglądała raczej wielkowiejsko. A chociaż Ted podróżuje po kraju jako ekspert, to jednak mieszka w Wynette.

Miło było wiedzieć, że jeszcze ktoś w miasteczku podzielał jej wątpliwości, ale nie pomogło to Meg otrząsnąć się z narastającego przygnębienia. Kiedy tego wieczoru opuściła zajazd, czuła się brudna i głodna. Sypiała w swoim rozlatującym się buicku. Każdej nocy parkowała go w odludnym skrawku

zagajnika koło miejskiej żwirowni i tylko się modliła, żeby nikt jej tam nie wypatrzył. Ciało ciążyło jej mimo pustego żołądka i kiedy szła do samochodu, który stał się jej domem, coraz bardziej zwalniała kroku. Coś było nie w porządku. Przyjrzała się uważniej.

Tył auta po stronie kierowcy prawie niezauważalnie opadał. Miała przebitą oponę.

Stała bez ruchu, usiłując przyjąć do wiadomości tę ostatnią katastrofę.

Samochód to było jedyne, czym dysponowała. Dawniej kiedy zdarzało jej się złapać gumę, po prostu dzwoniła po kogoś i płaciła za pomoc, ale teraz zostało jej zaledwie dwadzieścia dolarów. Nawet gdyby potrafiła sama wymienić koło, nie pamiętała, czy w zapasowym jest powietrze. O ile w ogóle było jakieś zapasowe.

Ze ściśniętym gardłem otworzyła bagażnik i uniosła wyliniałą wykładzinę, lepka od smarów, brudu i nie wiadomo czego jeszcze.

Znalazła zapasowe koło, ale okazało się flakiem. Musiała dojechać na dziurawej oponie do najbliższej stacji obsługi, modląc się, żeby po drodze nie uszkodzić felgi.

Właściciel stacji wiedział, kim jest Meg, podobnie jak wszyscy w Wynette. Zaczął od kąśliwej uwagi, że to tylko prowincjonalny, małomiasteczkowy warsztat, po czym rozsunął chaotyczną opowieść, wynosząc pod niebiosa świętego Teda Beaudine'a, który w pojedynkę ocalił przed zamknięciem okręgowy bank żywności. Kiedy wreszcie dobrnął do końca, zażądał za zastąpienie oryginalnej opony łysą, zapasową dwudziestu dolarów, płatanych gotówką z góry.

- Mam dziewiętnaście.

- To poproszę.

Opróżniła portfel i podczas gdy właściciel stacji wymieniał koło, ciężkim krokiem weszła do budynku. Na dnie portmonetki zostało jej trochę drobnych. Było to wszystko, co miała. Właśnie wpatrywała się w automat z przekąskami, pełen smakołyków, na które nie mogła już sobie pozwolić, kiedy obok pompy paliwowej zatrzymała się stara bladoniebieska furgonetka marki Ford. Meg widywała, jak Ted Beaudine jeździł tym wozem po miasteczku. Lucy wspomniała jej, że zmodyfikował go za pomocą swoich wynalazków, ale jak dla Meg ford nadal wyglądał na starego grata.

Siedząca w fotelu pasażera kobieta podniosła rękę i ruchem pełnym baletowej gracji odgarnęła od twarzy długie ciemne włosy. Meg przypomniała sobie, że spotkały się na przedślubnym przyjęciu, ale było tam wtedy tylu gości, że w końcu nie zostały sobie przedstawione.

Kiedy bak był już pełen, Ted wślizgnął się z powrotem do szoferki.

Brunetka zarzuciła mu rękę na szyję, a on przysunął wargi do jej ust i pocałowali się. Meg przyglądała się im z niesmakiem. To by było na tyle w sprawie obwiniania Lucy o złamane serce Teda.

Ford najwyraźniej nie palił dużo - być może dzięki wodorowemu ogniwu paliwowemu, o którym wspominała Lucy. W normalnej sytuacji Meg zainteresowałyby się czymś takim, ale teraz o wiele bardziej obchodziło ją przeliczenie drobnych w portmonetce. Dolar i sześć centów.

Odjeżdżając ze stacji obsługi, nareszcie pogodziła się z faktem, którego bardzo nie miała ochoty uznać. Sięgnęła dna. Była głodna jak wilk i odrażająco brudna, a jedyny dom, jaki posiadała, ciągnął na resztkach benzyny. Ze wszystkich przyjaciółek najłatwiej mogła wzruszyć Georgie York Shepard. Niestrudzoną Georgie, która wspierała ją od dzieciństwa.

Georgie, to ja. Postępuję bezsensownie, nie umiem się wziąć w karby i potrzebuję twojej opieki, bo sama nie potrafię się o siebie zatroszczyć, odegrała w myślach tę żalną przemowę.

Telepiąc się w stronę miasta, wyprzedził ją jakiś samochód kempingowy.

Meg poczuła, że nie potrafi zmusić się, by wrócić do zwirowni i spędzić kolejną noc na przekonywaniu samej siebie, że to tylko nowa przygoda w podróży. Jasne, zdarzało jej się przedtem sypiać w ponurych, przerażających miejscach, ale tylko przez kilka dni i zawsze mając w pobliżu przyjaznego przewodnika, a w perspektywie czterogwiazdkowy hotel. A teraz to już była bezdomność. Tylko krok dzielił Meg od pchania ulicami sklepowego wózka.

Brakowało jej ojca. Chciała, żeby przytulił ją i powiedział, że będzie dobrze. Chciała, żeby mama pogłaskała ją po głowie i dała słowo, że w ciemnościach nie czają się potwory. Chciała zwinąć się w kłębek na łóżku w swoim dawnym pokoju, w domu, gdzie zawsze wszystko ją niecierpliwiło.

Jednak o ile rodzice ją kochali, o tyle nigdy jej nie cenili. Tak samo Dylan, Clay, wuj Michel. Jeśli zaczniesz nagabywać Georgie o pieniądze, przyjaciółka też dołączy do tej listy.

Rozplakała się. Dużymi, rzęśnistymi łzami obrzydzenia dla głodnej, bezdomnej Meg Korandy, która od urodzenia była w lepszej sytuacji niż inni, a mimo to nie potrafiła do niczego dojść. Zjechała z szosy na zniszczony parking przy nieczynnym motelu. Musiała zadzwonić do Georgie natychmiast, dopóki ojciec nie przypomni sobie, że nadal płaci za telefon Meg i tego też nie wstrzyma.

Przebiegając kciukiem po przyciskach komórki, próbowała zgadnąć, jak sobie radzi Lucy. Ona też nie wróciła do domu. Co robiła, żeby się utrzymać, czego Meg nie umiała dla siebie wymyślić?

Szosą przeturkotała furgonetka z psem na platformie bagażowej. Daleki dzwon zaczął wybijać szóstą i nagle Meg przypomniał się kościółek, który Ted ofiarował Lucy w prezencie ślubnym. Telefon wyslizgnął się jej z palców. Kościółek Lucy! Opustoszały i nieużywany.

Przypomniała sobie, że po drodze minęły miejscowy klub, bo przyjaciółka zwróciła jej na niego uwagę. I pa-

miętała całą masę zakrętów, ale Wynette miało tak wiele bocznych dróg.

Którymi z nich jechały wtedy z Lucy?

Dwie godziny później, kiedy już była gotowa się poddać, znalazła to, czego szukała.

STARY DREWNIANY KOŚCIÓŁEK stał na wzniesieniu, przy końcu wysypanej żwirem drogi. Przednie światła buicka wydobyły z mroku przycupniętą nad głównym wejściem białą wieżyczkę. W ciemnościach Meg nie mogła dostrzec zarośniętego cmentarza po prawej stronie, ale pamiętała, że tam był. Pamiętała też, że wyjmowały klucz ze skrytki gdzieś w pobliżu podnóża schodów. Oświetlwszy reflektorami front budynku, zaczęła szperać wśród kamieni i zarośli. Żwir wbijał się jej w kolana, pocierała kłykcie palców, ale nie potrafiła wpaść na ślad schowka. Wybicie okna wydawało się jej świętokradztwem, jednak musiała jakoś dostać się do środka.

W oślepiającym blasku światła jej groteskowo wydłużony cień padał na prostą drewnianą fasadę. Zawracając do samochodu, zauważyła przykucniętą pod krzakiem prymitywną kamienną żabę. Podniosła ją i znalazła klucz. Wepchnąwszy go dla bezpieczeństwa głęboko do kieszeni, zaparkowała swego grata, żeby nie stał na widoku, wyciągnęła z bagażnika walizkę i wspięła się po pięciu drewnianych stopniach.

Według Lucy luteranie porzucili ten maleńki, wiejski kościółek w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Po bokach dwuskrzydłowych drzwi tworzyła kłamrę para sklepionych okien. Klucz przekręcił się w zamku z łatwością. Wewnątrz pachniało stęchlizną, powietrze jeszcze nie ochłodziło po gorącym dniu. Kiedy Meg była

tu poprzednim razem, kościółek zalewało słoneczne światło, ale teraz gęsty mrok przypominał jej wszystkie horrory, które kiedykolwiek oglądała. Zaczęła po omacku szukać wyłącznika, w nadziei że prąd nie został odcięty. Nagle, jakby za sprawą czarów, ożyły dwa białe, kuliste kinkiety. Nie mogła zostawić światła na długo z obawy, że ktoś zauważy -

tylko na tyle, by rozejrzeć się w nowej kryjówce. Postawiła walizkę i zamknęła drzwi na klucz.

Po kościelnych ławkach pozostała tylko pusta, odbijająca echo przestrzeń. Ojcowie założyciele nie wierzyli w ozdoby. Witraże, niebosiężne sklepienia, strzeliste kamienne kolumny to nie dla tych surowych luteranów. Sala była wąska, nie sięgała nawet trzydziestu stóp.

Miała wyszorowaną sosnową podłogę i dwa wiatraki podwieszane pod prostym sufitem z tłoczonyj cyny. Wzdłuż każdej ściany ciągnął się szereg pięciu podłużnych, poziomych okien. W tylnej części pomieszczenia skromne schody prowadziły na małą drewnianą galerię chóru, jedyną tutejszą architektoniczną ekstrawagancję.

Lucy mówiła, że kiedy jego dom był jeszcze w budowie, Ted mieszkał w kościółku przez kilka miesięcy, ale jeśli miał tu jakieś rzeczy, wszystkie wywiózł. Pozostał tylko brzydki klubowy fotel o przetartym na rogu brą-

zowym obiciu i czarny futon w metalowej ramie, który odkryła na chórze.

Lucy planowała urządzić tu przytulne kąciki do siedzenia, z malowanymi stolikami i sztuką ludową. Ją interesowała teraz jedynie bieżąca woda.

Stara podłoga skrzypiała pod podszewkami tenisówek, kiedy Meg szła w stronę wąskich drzwi na prawo od miejsca, gdzie kiedyś był ołtarz. Za nimi znajdowało się pomieszczenie długości zaledwie dziesięciu stóp, przerobione na kuchnię i składzik. Obok małego okna stała bardzo stara, cicha lodówka, typ z zaokrąglonymi

narożnikami. Znajdowały się tam również staroświecka emaliowana czteropalnikowa kuchenka, metalowa szafka na naczynia i ceramiczny zlew. Kolejne drzwi, naprzeciwko wejścia z głównej sali, wiodły do łazienki, znacznie nowocześniejszej niż reszta budynku, z toaletą, białą umywalką na cokole i kabiną prysznicową. Meg przez chwilę gapiła się na porcelanowe iksowate kurki, po czym powoli, z nadzieją pokręciła jednym z nich.

Z kranu trysnęła świeża woda. Taka normalka. Taki luksus.

Nie przejmowała się, że leci tylko zimna. W ciągu kilku minut przegrzebała zawartość walizki, zdarła z siebie ubranie, chwyciła szampon i mydło, które zwędziła z zajazdu i weszła pod prysznic.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy oblał ją lodowaty strumień i przysięgła sobie nigdy więcej nie traktować tego komfortu jako rzeczy oczywistej.

Wytarłszy się, owinęła ciało aż pod pachy jedwabną tkaniną, którą miała na sobie w czasie pamiętnego przyjęcia, zawiązała ją na supeł, po czym wzięła się za przeszukiwanie kuchni. Właśnie gdy odkryła w szafce nienaruszone pudełko słonych krakersów oraz sześć puszek zupy pomidorowej, zadzwonił telefon. Odebrała i usłyszała znajomy głos.

- Meg?

Odstawiła puszkę zupy na bok.

- Lucy? Kochanie, wszystko w porządku? - Od wieczoru jej ucieczki minęły już prawie dwa tygodnie. Wtedy ostatni raz ze sobą rozmawiały.

- Nic mi nie jest - odparła Lucy.

- To dlaczego szepczesz?

- Bo... - Chwila przerwy. - Czy uważasz... że będę... totalną zdzirą, jeśli prześpię się teraz z innym facetem? To znaczy za jakieś dziesięć minut?

Meg wyprostowała się.

- Nie wiem. Może.

- Tak właśnie myślałam.

- Lubisz go?

- Poniekąd. Nie jest Tedem Beaudine'em, ale...

- Więc zdecydowanie powinnaś się z nim przepaść. - Meg zareagowała gwałtowniej, niż zamierzała, ale Lucy tego nie wychwyciła.

- Chcę, ale...

- Bądź zdziwą, Lucy. Dobrze ci to zrobi.

- Pewnie gdybym poważnie chciała, żeby mi to wyperswadowano, zadzwoniłabym do kogo innego.

- To już mówi samo za siebie.

- Masz rację. - Meg usłyszała w tle, że ktoś zakręcił wodę. - Muszę iść -

oznajmiła pospiesznie Lucy. - Odezwę się, kiedy będę mogła. Kocham cię. - I się rozłączyła.

Lucy sprawiała wrażenie przemęczonej, ale też podekscytowanej. Meg rozmyślała o tej rozmowie, dojadając swoją porcję zupy. Może ostatecznie wszystko wyjdzie na dobre. Przynajmniej dla Lucy.

Westchnąwszy, zmyła rondelkę, a potem wyprała brudne rzeczy w jakimś detergencie do naczyń, który znalazła pod zlewem wśród rozsianych tam mysich bobków. Wiedziała, że każdego ranka będzie musiała zacierać ślady swojej obecności, pakować cały dobytek i ładować do samochodu, na wypadek gdyby zajrzał tu Ted. Ale jak na razie miała jedzenie, dach nad głową i bieżącą wodę. Kupiła sobie trochę czasu.

Następne tygodnie były najgorsze, jakie kiedykolwiek przeżyła.

Ponieważ Arlis coraz bardziej zatrzuwała jej każdy dzień, marzeniem Meg stał się powrót do Los Angeles. Ale nawet gdyby mogła wrócić, nie miała gdzie się zatrzymać. Przecież nie u rodziców, których prze-

mówienie na temat samodzielności miała głęboko wryte w pamięć. I nie u przyjaciół, bo wszyscy mieli rodziny, co oznaczało szansę na nocleg, ale już nie na dłuższy pobyt. Kiedy Birdie niechętnie poinformowała ją, że dług został w końcu odpracowany, Meg poczuła wyłącznie rozpacz. Nie mogła opuścić zajazdu, skoro nie miała innego źródła dochodów i nie mogła ruszyć się z miasteczka, dopóki kościółek Lucy był jej jedynym schronieniem. Musiała znaleźć inną pracę tutaj, w Wynette. Najlepiej taką, która zapewniała bezpośrednio napiwki.

Starła się o posadę kelnerki w Roustabout, kiepskiej knajpie służącej za lokalne miejsce spotkań.

- Rozpieprzyłaś ślub Teda - oznajmił właściciel. - I próbowałaś okantować Birdie. Dlaczego miałbym cię zatrudnić?

To tyle, jeśli chodzi o Roustabout. Przez kilka następnych dni Meg odwiedziła wszystkie miejscowe bary i restauracje, ale nigdzie nie było pracy. A przynajmniej nie było pracy dla niej. Skończył się jej zapas żywności, nabywała po trzy galony benzyny i zbliżała się pora, kiedy należało kupić tamponsy. Potrzebowała pieniędzy, a w dodatku potrzebowała ich szybko.



Usuwać jeszcze jeden odrażający czop z włosów z jeszcze jednej pokrytej brudnym osadem wanny, Meg myślała o tym, ile razy zapomniała zostawić parę groszy pokojówce, która po niej sprzątała hotelowe pokoje. Jak dotąd, zebrała w napiwkach zaledwie marne dwadzieścia osiem dolców. Byłoby więcej, ale Arlis miała wybitny talent do rozpoznawania gości rokujących największe nadzieje na hojność i oczywiście pierwsza sprawdzała ich pokoje. Jednak najbliższy weekend zapowiadał się owocnie. Gdyby tylko Meg wykombinowała, jak ją przechytrzyć.

Niedoszły świadek Teda, Kenny Traveler, gościł uczestników golfowej wycieczki, swoich przyjaciół, którzy mieli zjechać do Wynette z całego kraju i zatrzymać się w zajazdzie. Meg mogła traktować ten sport pogardliwie za to, że pochłaniał zasoby naturalne, ale na jego wyznawcach dawało się zarobić, więc przez cały czwartek rozmyślała, w jaki sposób wyciągnąć korzyści z weekendu. Do wieczora miała już gotowy plan, chociaż wiązał się on z wydatkami, na które nie bardzo mogła sobie pozwolić. Mimo wewnętrznego oporu, w drodze powrotnej z pracy zatrzymała się w sklepie spożywczym i inwestując w przyszłość, wydała dwadzieścia dolarów ze swojej skromnej wypłaty.

Następnego dnia odczekała, aż golfiści zaczęli napływać do zajazdu po popołudniowych rozgrywkach. Kiedy Arlis nie patrzyła, zgarnęła stos ręczników i zaczęła stukać do drzwi

- Dzień dobry, panie Samuels - z przyklejonym promiennym uśmiechem powitała siwowłosego mężczyznę. - Pomyślałam, że przyda się panu kilka dodatkowych ręczników. Tam musi być gorąco. - Na złożonych ręcznikach umieściła jeden z cennych batonów, które kupiła poprzedniego dnia. - Mam nadzieję, że miał pan udaną rundę, ale na wypadek gdyby nie, tutaj jest coś na osłodę. Wyrazy uszanowania.

- Dzięki, słoneczko. To naprawdę miłe z twojej strony. - Pan Samuels wyciągnął klips z banknotami i oddzielił pięciodolarówkę.

Tego wieczoru Meg opuściła zajazd bogatsza o czterdzieści dolarów.

Była z siebie tak dumna, jakby zarobiła swój pierwszy milion. Ale jeśli miała zamiar działać według tego schematu w następne popołudnie, potrzebny był nowy zwrot akcji, a to wymagało kolejnego małego wydatku.

- Cholera, nie miałem ich w ustach od lat - powiedział pan Samuels, otworzywszy jej drzwi nazajutrz.

- Domowej roboty. - Obdarzyła go swoim najbardziej promiennym, najbardziej ujmującym uśmiechem, po czym wręczyła mu świeże ręczniki i jedno z osobno zapakowanych tradycyjnych ryżowych ciastek, które skończyła produkować dobrze po północy. Ciastka mogłyby być lepsze, ale jej kulinarne umiejętności okazały się ograniczone. - Żałuję, że to nie zimne piwo -dodała. - Naprawdę bardzo sobie cenimy, że panowie zdecydowali się tu zatrzymać.

Tym razem dał jej dziesiątkę.

Arlis, która nabrała podejrzeń w związku z kurczącym się zapasem ręczników, o mało jej dwukrotnie

nie nakryła, ale Meg udało się wymknąć i kiedy zbliżała się do apartamentu na trzecim piętrze, który wynajął niejaki Dexter O'Connor, kieszeń służbowego uniformu już jej przyjemnie ciążyła. Poprzedniego dnia, kiedy zrobiła sobie przerwę, pan O'Connor był nieobecny, ale dzisiaj drzwi otworzyła uderzająco piękna kobieta, otulona kąpielowym białym ręcznikiem frotte. Nawet prosto spod prysznic, z całkowicie zmytym makijażem i kosmykami kruczoczarnych włosów lepiącymi się do szyi, prezentowała się nieskazitelnie - wysoka i smukła, intensywnie zielone oczy, w uszach diamenty rozmiaru góry lodowej. Nie wyglądała na Dextera. Podobnie jak facet, którego Meg dostrzegła, zerkając ponad jej ramieniem.

W głębokim fotelu rozwalał się Ted Beaudine. Buty zrzucone z nóg, w ręku piwo. W pamięci Meg coś zaskoczyło. Rozpoznała brunetkę. To ją kilka tygodni temu na stacji benzynowej całował Ted.

- Och, świetnie. Dodatkowe ręczniki. - Wysadzana diamentami ślubna obrączka zaśniła, gdy kobieta złapała spoczywającą na wierzchu paczuszkę. -

I domowy ryżowy smakołyk! Popatrz, Teddy! Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz jadłeś te ciastka?

- Nie powiem, żebym pamiętał - odparł Teddy. Brunetka wetknęła ręczniki pod pachę i szarpnęła przezroczystą folię.

- Uwielbiam je. Daj jej dziesięć dolarów, dobrze? Nawet się nie ruszył.

- Nie mam przy sobie dziesiątek. Ani w ogóle gotówki.

- Zaczekaj. - Obróciła się, zapewne żeby iść po torebkę, ale niemal natychmiast zrobiła gwałtowny zwrot w tył. - Święty Jezu! - Ręczniki posypały się na podłogę. - To ty jesteś tą ślubną sabotażystką! Nie poznałam cię w tym stroju.

Ted wyplątał się z fotela i podszedł do drzwi.

- Sprzedaż wypieków bez koncesji, Meg? Wyraźne naruszenie lokalnych przepisów.

- To są prezenty, panie burmistrzu.

- A Birdie i Arlis wiedzą o twoich prezentach? Brunetka wepchnęła się przed niego.

- Mniejsza o to. - Jej zielone oczy błyszczały z podniecenia. - Ślubna sabotażystką. Nie do wiary. Wejdz. Mam do ciebie kilka pytań. -

Otworzyła drzwi na oścież i pociągnęła Meg za ramię. - Chcę usłyszeć, konkretnie dlaczego uznałaś, że panna Jak-Jej-Tam tak bardzo nie nadawała się dla Teddy'ego.

Wreszcie ktoś, oprócz Haley Kittle, kto nie znienawidził Meg za to, co zrobiła! Właściwie nie powinno jej było dziwić, że tą osobą okazała się -

najwyraźniej zamężna - kochanka Teda.

Teraz Ted wcisnął się pomiędzy nie i oderwał dłoń kobiety od ramienia Meg.

- Lepiej wracaj do swoich zajęć. Z pewnością zawiadomię Birdie, jak dbasz o gości.

Zacisnęła zęby, ale on jeszcze nie skończył.

- A kiedy następnym razem będziesz rozmawiać z Lucy, nie zapomnij powiedzieć, że bardzo mi jej brakuje. - Jednym szarpnięciem rozwiązał

luźny węzeł togi z ręcznika, przyciągnął brunetkę do siebie i pocałował ją mocno.

Chwilę później przed nosem Meg zatrzasnęły się drzwi.

Świadomość, że wszyscy w miasteczku uważali Teda za wzór przyzwoitości, podczas gdy on pieprzył cudzą żonę, doprowadzała Meg do szału. Nienawidziła hipokryzji, a mogła się założyć o cokolwiek, że w czasach narzeczeństwa z Lucy ten romans już trwał.

Wieczorem, zatrzymawszy się przed kościółkiem, rozpoczęła codzienny żmudny proces taszczenia swego dobytku do środka. Walizka, ręczniki, jedzenie, pościel, którą wypożyczyła z zajazdu i zamierzała zwrócić tak szybko, jak tylko zdoła. Ani sekundy więcej rozmyślań o Tedzie. Lepiej skoncentrować się na sprawach pozytywnych. Dzięki golfistom zdobyła pieniądze na benzynę, tampaksy i trochę artykułów spożywczych.

Niezbyt wielkie osiągnięcie, ale dość, żeby odroczyć upokarzające telefony do przyjaciółek.

Jej ulga nie trwała jednak długo. Nazajutrz, w niedzielę, kiedy Meg miała już wychodzić z pracy, dowiedziała się, że jeden z golfistów - i nie wymagało to wielkich talentów detektywistycznych, żeby odgadnąć który - poskarżył się Birdie na pokojówkę wyłudającą napiwki. Birdie wezwała Meg do swego biura i nie kryjąc satysfakcji, natychmiast ją wylała.

Komitet odbudowy obradował w salonie Birdie, rozkoszując się jej słynnym ananasowym mojito.

- Haley znowu jest na mnie wściekła. - Gospodyni rozsiadła się w pochodzącym z połowy ubiegłego wieku fotelu o opływowych liniach, który właśnie na nowo obiała kremowym lnem, jaki nie przetrwałby nawet dnia w domu Emmy. - Bo wylałam Meg Korandę. Nie do wiary. Mówi, że Meg nie znajdzie innej posady. Płacę moim pracownikom lepiej niż godziwie, więc Miss Hollywood nie musiała rozmyślnie dopraszać się o napiwki.

Kobiety wymieniły spojrzenia. Dla żadnej z nich nie było tajemnicą, że Birdie płaciła Meg za godzinę o trzy dolary mniej niż wszystkim pozostałym, co nigdy nie podobało się Emmie, chociaż to Ted wpadł na ten pomysł.

Zoey bawiła się lśniącą, różową muszelką z makaronu, która odpadła jej od broszki wpiętej w kołnierzyk białej bluzki bez rękawów.

- Haley zawsze miała miękkie serce. Mogę się założyć, że Meg to wykorzystuje.

- Raczej słabą głowę - westchnęła Birdie. - Wiem, że zauważyłyście, jak ona się ostatnio ubiera, i doceniam, że żadna z was nawet się na ten temat nie zająknęła. Moja córka sądzi, że jeśli wystawi cycki na wierzch, to Kyle Bascom zwróci na nią uwagę.

- Miałam z nim zajęcia, kiedy uczyłam szóstą klasę - powiedziała Zoey. -

Szczerze mówiąc, dla tego chłopaka Haley jest o wiele za bystra.

- Spróbuj jej to powiedzieć. - Birdie bębniła palcami po poręczu fotela.

Kayla schowała błyszczyc i sięgnęła po drinka.

- Z jednym Haley ma rację. W tym mieście nikt nie zatrudni Meg Korandy, bo nie mógłby spojrzeć Tedowi Beaudine'owi w twarz.

Emma nigdy nie lubiła znęcania się nad słabszymi, więc te mściwe reakcje zaczynały ją już wprawiać w za-

kłopotanie. Jednocześnie nie potrafiła wybaczyć Meg roli, jaką ta młoda kobieta odegrała w sprawie, która zraniła jedną z najmilszych Emmie osób.

- Ostatnio wiele myślałam o Tedzie. - Shelby wetknęła pasmo jasnych włosów za ucho i wpatrzyła się w swoje baleriny bez palców.

- A my to nie? - Zmarszczywszy brwi, Kayla odruchowo dotknęła wysadzonej diamentami gwiazdy.

- O wiele za dużo. - Zoey przygryzła dolną wargę. Świeżo przez Teda odzyskany status singla znowu wskrzesił ich nadzieje. Emma żałowała, że przyjaciółki nie chcą przyjąć do wiadomości, iż Ted nigdy nie poślubi żadnej z nich. Kayla wymagała zbyt wiele uwagi i pieniędzy, a Zoey budziła jego podziw, ale nie miłość.

Był już najwyższy czas, by skierować rozmowę na temat, którego dotąd unikały: jak zebrać resztę kwoty na remont biblioteki. Tradycyjne miejscowe źródła dużych pieniędzy, wliczając w to Emmę i jej męża, nadal nie doszły do siebie po ciosach, jakie ich portfelom zadał ostatni spadek koniunktury, a poza tym spłukały się już na rzecz pół tuzina innych lokalnych celów charytatywnych.

- Czy ktoś ma nowy pomysł na zdobycie funduszy? - zapytała Emma.

Shelby postukała wskazującym palcem w przednie zęby.

- Może ja. Birdie jęknęła.

- Tylko nie kolejny kiermasz wypieków. Ostatnim razem cztery osoby zatruiły się kokosowym ciastem z kremem od Mollie Dodge.

- Kołdrowa loteria była okropnie żenująca - nie wytrzymała Emma, chociaż nie lubiła dokładać się do powszechnej negacji.

- Bo kto by chciał, żeby haftowana zdechła wiewiórka gapiała się na niego za każdym razem, kiedy wchodzi do sypialni? - stwierdziła filozoficznie Kayla.

- To było kociątko, a nie zdechła wiewiórka - zaprotestowała Zoey.

- Dla mnie wyglądało jak zdechła wiewiórka.

- Nie chodzi o kiermasz wypieków ani kołdrową loterię. - Oczy Shelby miały nieobecny wyraz. - To coś innego. Coś... większego. Bardziej interesującego.

Wszystkie uczestniczki zebrania wpatrywały się w nią z zaciekawieniem, ale Shelby potrząsnęła głową.

- Muszę się jeszcze zastanowić.

Bez względu na to, jak usilnie próbowały, niczego więcej nie dały rady z niej wyciągnąć.

Nikt nie chciał zatrudnić Meg. Nawet w niewielkim, dziesięciopokojowym motelu na skraju miasteczka.

- Ma pani pojęcie, ile trzeba pozwoleń, żeby go utrzymać? - powiedział

jej rumianolicy kierownik. - Nie zrobię nic, co może wkurzyć Teda Beaudine'a, przynajmniej dopóki jest burmistrzem. Cholera, nawet gdyby nie był...

Więc jeździła od jednego miejsca do drugiego, jej samochód żłopał

benzynę jak robotnik budowlany wodę w letnie popołudnie. Minęły trzy dni, cztery. Zanim nadszedł piąty, kiedy oddzielona biurkiem wpatrywała się w nowego zastępcę dyrektora klubu Windmill Creek, z jej desperacji wyrosła gorzka zaciekłość. Gdyby i ta rozmowa się nie powiodła, trzeba by przełknąć resztkę dumy i zadzwonić do Georgie.

Zastępca dyrektora, nadęty bufon, był chudym okularnikiem ze starannie przyciętą bródką, którą skubał, wyjaśniając Meg, że chociaż Windmill Creek ma niższy status, będąc klubem tylko półprywatnym - i nawet w przybliżeniu nie tak renomowanym jak poprzednie miejsce zatrudnienia jej rozmówcy - to jednak tutejszymi stałymi bywalcami są Dallas Beaudine i Kenny Traveler, dwie największe legendy zawodowego golfa. Jakby o tym nie wiedziała.

Do stałych bywalców klubu należeli również Ted Beaudine i jego kumple, więc w ogóle nie marnowałyaby na ten przejazd benzyny, ale w lokalnej gazecie dostrzegła informację, że nowy zastępca dyrektora Windmill Creek ostatnio pracował w klubie golfowym w Waco. A więc był nietutejszy. Na wypadek gdyby jeszcze nie wiedział, że to ona jest Voldemortem z Wynette, natychmiast chwyciła za telefon i ku swojemu osłupieniu za-klepała sobie na popołudnie rozmowę kwalifikacyjną.

- Od ósmej do piątej. Poniedziałki wolne.

Tak już przywykła do odmów, że wyłączyła się i pozwoliła myślom błądzić. Nie miała pojęcia, o jakiej pracy mówił zastępca dyrektora ani czy rzeczywiście coś zaproponował.

- To... to doskonale - wykrztusiła. - Od ósmej do piątej, doskonale.

- Wynagrodzenie nie jest duże, ale jeśli będzie się pani starała, powinny być niezłe napiwki, zwłaszcza w weekendy.

Napiwki!

- Biorę to!

Przejrzał jej zmyślony życiorys, po czym obrzucił uważnym spojrzeniem strój, który skomponowała z rozpaczliwie ograniczonych zasobów swojej garderoby (powiewna, nieregularna spódnica, biały top bez rękawów, nabijany ćwiekami czarny pas, sandały gladia-torki i kolczyki z okresu dynastii Sung).

- Na pewno? - zapytał powątpiewająco. - Jeżdżenie elektrycznym wózkiem z napojami to nie jest najlepsza praca.

Przełknęła chętkę, by go powiadomić, że ona nie jest najlepszym pracownikiem.

- Mnie odpowiada. - Desperacja zatrwającą łatwo pozwoliła jej puścić w niepamięć przekonanie, iż pola golfowe niszczą środowisko.

Kiedy zastępca dyrektora prowadził ją do baru przekąskowego, by poznała swego bezpośredniego szefa, Meg z trudem sobie uświadomiła, że nareszcie zacznie zarabiać.

- W ekskluzywnych klubach nie ma wózków z napojami. Ale tutejsi członkowie najwyraźniej nie mogą poczekać na koniec rundy, żeby sięgnąć po następne piwo.

Dorastała wśród koni i nie miała pojęcia, co w tym przypadku oznacza runda. Ale było jej wszystko jedno. Dostała pracę.

Kiedy tego popołudnia wróciła do domu, zaparkowała za starą szopą, którą odkryła w krzakach przy kamiennym murze cmentarza. Szopa dawno temu straciła dach, jej walące się, porośnięte dzikim winem ściany sterczały wśród opuncji i suchej trawy. Meg otworzyła bagażnik, wytaszczyła walizkę i zdmuchnęła włosy ze spoczonego czoła.

Przynajmniej małe zapasy spożywcze mogła ukryć za niektórymi kuchennymi urządzeniami, ale mimo to nieustanne pakowanie się i rozpakowywanie było okropnie męczące. Wlokąc swój dobytek przez cmentarz, marzyła o klimatyzacji i schronieniu, z którego każdego ranka nie musiałaby usuwać śladów swojej obecności.

Zbliżał się lipiec i kościółek wydawał się bardziej nagrany niż zwykle.

Kiedy włączyła wiatraki, zawirowwały drobiny kurzu. Nie dawało to wiele, oprócz poruszenia powietrza, ale nie mogła ryzykować otwierania okien.

Z tej samej przyczyny starała się nie zapalać światła po zmroku. W tej sytuacji nie pozostawało jej nic innego, jak kłaść się spać mniej więcej o takiej porze, o jakiej przedtem miała zwyczaj wychodzić gdzieś na wieczór.

Rozebrała się do koszulki i majtek, wsunęła stopy w klapki i wyszła z kościółka tylnymi drzwiami. Snując się po cmentarzu, odczytywała wyryte na nagrobkach nazwiska. Dietzel. Meusebach. Ernst. Niewygody, którym stawiała czoło, były żadne w porównaniu z tym, co musieli wycierpieć zacni Niemcy, kiedy opuścili rodzinne strony, żeby zamieszkać w tym nieprzyjaznym kraju.

Za cmentarzem wyrastał gąszcz drzew. Po drugiej stronie szeroka zatoczka zasilana przez Pedernales River tworzyła ustronny zakątek do pływania, który odkryła niedługo po tym, jak zamieszkała w kościółku.

Przejrzysta woda była na środku głęboka, więc Meg przychodziła tu każdego popołudnia, żeby się ochłodzić. Teraz nurkując, borykała się z przykrymi myślami, że fani Teda Beaudine'a spróbują wygryźć ją z klubu, kiedy tylko odkryją jej obecność. W żadnym razie nie mogła dać im innego powodu poza ich prymitywną nienawiścią. Co to o niej mówiło, skoro jej największą ambicją było nie schrzanić pracy przy wózku z napojami?

Tej nocy na galerii chóru panował wyjątkowy upał. Meg wierciła się na wyboistym futonie. Miała stawić się w klubie wcześniej rano, więc siłą woli próbowała zasnąć, ale gdy już w końcu zaczęła odpływać, zniemacka obudził ją jakiś hałas. Minęło kilka sekund, zanim rozpoznała dźwięk otwieranych pod nią drzwi.

Gwałtownie usiadła na pościeli, bo nagle zabłysło światło. Podróżny budzik pokazywał północ. Serce waliło Meg jak młotem. Była przygotowana na to, że Ted

pojawi się w kościółku za dnia, podczas jej nieobecności. Nigdy nie spodziewała się nocnych wizyt. Usiłując sobie przypomnieć, czy nie zostawiła czegoś w głównej sali, wyslizgnęła się z łóżka i ukradkiem wyjrzała zza balustrady.

Mężczyzna, który stał na środku starego kościółka, nie był Tedem Beaudine'em. Wzrost miał podobny, ale włosy ciemniejsze, niemal wpadające w granat. I ważył kilka kilo więcej. Meg rozpoznała Kenny'ego Travelera, legendę golfa i niedoszęłego pierwszego drużbę.

Spotkała go wraz z jego brytyjską żoną, Emmą, na przyjęciu przedślubnym.

Serce zabiło jej jeszcze mocniej, gdy usłyszała chrzęst żwiru pod oponami. Odrobinę uniosła głowę, ale nie mogła dostrzec na dole żadnych porzuconych ubrań czy butów.

- Ktoś zostawił drzwi otwarte z klucza - powiedział chwilę później Kenny do osoby, która właśnie weszła.

- Pewnie Lucy zapomniała zamknąć, kiedy zaglądała tu ostatnim razem -

odparł nieprzyjemnie znajomy męski głos. Minął zaledwie miesiąc od przerwanej ślubnej ceremonii, a ten człowiek wymawiał imię Lucy z absolutną obojętnością.

Głowa Meg powoli przesunęła się o parę centymetrów w górę. Ted przeszedł na środek kościółka, w pobliże miejsca, gdzie dawniej był

ołtarz, i tam stanął. Zamiast sutanny i sandałów miał na sobie dżinsy i T-shirt, ale i tak niemal oczekiwała, że zaraz ujrzy go, jak wznosi ramiona i wzywa Wszechmocnego.

Kenny był wysokim, dobrze zbudowanym czterdziestoparolatkiem, na swój sposób równie atrakcyjnym jak Ted. Zdecydowanie Wynette otrzymało większy przydział przystojniaków niż na to zasługiwało.

Odebrawszy od przyjaciela puszkę piwa, zaniósł ją w najdalszy koniec sali, gdzie rozsiadł się pod ścianą, pomiędzy drugim i trzecim oknem.

- Żeby spokojnie pogadać, musimy spotykać się ukradkiem. Co nam to mówi o naszym mieście? - westchnął, otwierając puszkę.

- Więcej mówi o twojej wścibskiej żonie niż o Wynette. - Ted usadowił się obok ze swoim piwem.

- Lady Emma faktycznie lubi wiedzieć, co jest grane. - Czułość, z jaką Traveler wymówił imię żony, świadczyła sama za siebie. - Od niedosłego ślubu truje mi głowę, żebym częściej mądrze spędzał z tobą czas. Sądzi, że potrzebujesz męskiego, przyjacielskiego wsparcia i różne takie bzdury.

- Cała lady Emma. - Ted pociągnął łyk piwa. - Pytałeś, co rozumie przez mądrze spędzany czas?

- Bałem się usłyszeć odpowiedź.

- Bez wątpienia bardzo się teraz angażuje w kluby książki.

- Nie trzeba jej było przydzielać zarządzania kulturą. Wiesz, jak ona poważnie traktuje takie rzeczy.

- Powinieneś jej zafundować kolejne dziecko. Kiedy jest w ciąży, nie ma tyle energii.

- Trójka wystarczy. Zwłaszcza nasza trójka. - I znowu w jego słowach zabłysła duma.

Przez chwilę mężczyźni pili w milczeniu. Meg pozwoliła sobie na iskierkę nadziei. Jeśli tylko nie zajrzą do pomieszczeń na zapleczu, gdzie leżały porozrzucane ciuchy, mogło się jej jeszcze upiec.

- Myślisz, że tym razem kupi tę ziemię? - zapytał Kenny.

- Trudno powiedzieć. Spencer Skipjack jest nieprzewidywalny. Sześć tygodni temu powiadomił nas, że już nieodwołalnie zdecydował się na San Antone, a teraz znowu go tu mamy.



Meg przypadkiem podsłuchiwała wystarczająco dużo rozmów, by wiedzieć, że Spencer Skipjack to właściciel firmy Viceroy Industries, giganta na rynku instalacji wodno-kanalizacyjnych. Wszyscy liczyli, że wybuduje tu centrum golfa dla klientów z wyższej półki i kompleks mieszkalny, które to inwestycje przyciągną zarówno turystów, jak i emerytów, i uratują miasteczko od ekonomicznego zastoju. Faktycznie jedynym sporym przedsiębiorstwem w Wynette była firma elektroniczna, stanowiąca po części własność Warrena Travelera, ojca Kenny'ego. Ale jedna firma nie wystarczała dla podtrzymania lokalnej gospodarki. Miasteczko pilnie potrzebowało miejsc pracy, podobnie jak świeżych źródeł dochodu.

- Jutro musimy urządzić Spence'owi zabawę życia - oznajmił Ted. - Niech zobaczy, jak będzie wyglądała jego przyszłość, jeśli wybierze Wynette.

Do samej sprawy przejdę dopiero podczas obiadu. Przedstawię motywacje podatkowe, przypomnę, jaki interes można zrobić na kupnie tej ziemi. Znasz tę metodę wielokrotnego powtarzania.

- Szkoda, że w Windmill Creek nie ma wystarczającej powierzchni, żeby wyburzyć wszystko i tam umieścić centrum golfa. - Sposób, w jaki Kenny to powiedział, sugerował, że często na ten temat rozmawiali.

- Wtedy budowa byłaby o wiele tańsza, to na pewno. - Z głuchym stuknięciem o deski podłogi Ted odstawił swoją puszkę piwa. - Torie koniecznie chce z nami zagrać, więc uprzedziłem, że jeśli się zapłacze w pobliże klubu, aresztuję ją.

- To jej nie powstrzyma - odparł Kenny. - Obecność mojej siostry jest ostatnią rzeczą, jakiej jutro potrzebujemy. Spence wie, że nie da rady pokonać nas, ale przegrana z kobietą bardzo mu się nie spodoba. A krót-

kie zagranie Torie jest praktycznie równie dobre jak moje.

- Dex ma powiedzieć Shelby, żeby nie dała Torie się do nas zbliżyć.

Meg była ciekawa, czy Dex to zdrobnienie od Dextera, imienia, na które zamówione było w zajeździe miłosne gniazdko Teda.

Ted oparł się o ścianę.

- Jak tylko doszły mnie słuchy, że Torie planuje wejść do naszej czwórki, zmusiłem tatę, żeby przyleciał z Nowego Jorku.

- To zdecydowanie napompuje ego Spence'a. Zagrać z wielkim Dallasem Beaudine'em! - W głosie Ken-ny'ego Meg dosłyszała nutę rozdrażnienia.

I najwidoczniej Ted też.

- Przestań zachowywać się jak dziewczyna. Prawie dorównujesz mu sławą. - Jego uśmiech przygasł. Ted opuścił ręce pomiędzy podciągnięte kolana. - Jeśli tego nie załatwimy, nawet nie chcę myśleć, na jakie problemy zostanie skazane miasto.

- Najwyższa pora wyjaśnić ludziom, że sytuacja jest naprawdę poważna.

- Oni już wiedzą. Ale w tym momencie lepiej, żeby nikt nie mówił tego na głos.

Zapadła kolejna chwila ciszy. Mężczyźni dopijali piwo. Wreszcie Kenny wstał.

- To nie twoja wina, Ted. Sprawy miały się parszywie, jeszcze zanim dałeś się wybrać na burmistrza.

- Wiem.

- Nie jesteś cudotwórcą. Możesz się tylko jak najlepiej starać.

- Wyraźnie już za długo przestajesz z lady Emmą -burknął Ted. - Gadasz zupełnie jak ona. Tylko czekać, kiedy mnie zaprosisz do udziału w cholernym klubie książki.

Rozmawiając tak dalej i żartobliwie sobie docinając, mężczyźni wyszli z kościółka. Ich głosy ścisły. Zawarczał ożywający silnik samochodu.

Meg przysiadła na piętach i pozwoliła sobie odetchnąć.

A potem dotarło do niej, że światła nadal się palą.

Znowu skrzyknęły drzwi, czyjeś kroki zastukały o sosnowe deski.

Zerknęła w dół. Pośrodku sali stał Ted. Z kciukami zatkniętymi za tylne kieszenie dżinsów i opadłymi bezsilnie ramionami wpatrywał się w miejsce po ołtarzu. Była to rzadka okazja, by ujrzeć człowieka kryjącego się pod tą opanowaną powierzchnością.

Moment kryzysu szybko minął. Ted ruszył w stronę wejścia na zaplecze.

Żołądek Meg ścisnął się ze strachu. Chwilę później dobiegło ją bardzo głośne, bardzo soczyste przekleństwo.

Pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Wściekły łomot kroków odbił

się echem po kościółku. Może jeśli będzie siedziała cichutko...

- Meg!

*Rozdział 7*

-RZUCIŁA SIĘ W STRONĘ FUTONU.

- Próbuję się przespać - krzyknęła, zbierając siły do walki. - Przeszkadza ci to?

Ted popędził jak burza na chór. Schody zatrzęsły się pod jego butami.

- Co ty, cholera, tutaj robisz?

Usiadła na futonie i starała się wyglądać, jakby dopiero co się obudziła.

- Jak widać, nie śpię. A swoją drogą, co ty tutaj robisz? Włazisz bez pukania w środku nocy... I nie powinieneś przeklinać w kościele.

- Od jak dawna tu mieszkasz?

Przeciągnęła się i ziewnęła, usiłując wyglądać na wyluzowaną. Byłoby to znacznie łatwiejsze, gdyby miała na sobie coś bardziej efektownego niż figi w trupie czaszki i T-shirt z logo firmy Happy Printing, pozostawiony przez któregoś z gości.

- Musisz się tak wydzierać? - zapytała. - Zakłócasz spokój sąsiadom. A oni nie żyją.

- Od jak dawna?

- Nie jestem pewna. Niektóre z tych nagrobków datowane są na czterdzieste lata XIX wieku.

- Mówię o tobie.

- Aha. Ja tu jestem już od jakiegoś czasu. Myślałeś, że gdzie zamieszkałam?

- W ogóle na ten temat nie myślałem. Wiesz dlaczego? Bo mnie to guzik obchodzi. Masz stąd spadać. Nie chcę cię tu widzieć.

- Wierzę, że nie chcesz, ale to jest kościółek Lucy, a ona pozwoliła mi tu zostać tak długo, jak potrzebuję. - A w każdym razie pozwoliłaby, gdyby Meg ją o to poprosiła.

- Nic z tego. Kościół jest mój. Wyniesiesz się bladym świtem i żebyś cię tu więcej nie widział.

- Chwila. Podarowałeś go Lucy.

- W prezencie ślubnym. Nie ma ślubu. Nie ma prezentu.

- Nie sądzę, żeby się to utrzymało w sądzie.

- Nie zawarliśmy prawnej umowy!

- Albo jesteś osobą, na której słowie można polegać, albo nie. Szczerze mówiąc, zaczynam myśleć, że nie jesteś.

Gwałtownie ściągnął brwi.

- Kościół należy do mnie. Wtargnęłaś na mój teren.

- Ty patrzysz na to po swojemu, a ja po swojemu. Jesteśmy w Ameryce.

Mamy prawo do własnych opinii.

- Błąd. Jesteśmy w Teksasie. I z naszych dwóch, tylko moja opinia się tu liczy.

Znacznie bliższe prawdy, niż Meg chciałaby przyznać.

- Lucy chce, żebym tu mieszkała, więc mieszkam. -Bez wątpienia by chciała, gdyby tylko o tym wiedziała.

Ted położył rękę na poręczy balustrady.

- Na początku było zabawne cię dręczyć, ale ta zabawa już mi się przejadła. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął klips z banknotami. - Chcę, żebyś jutro wyniosła się z miasta. A to masz na przyspieszenie.

Wyjął pieniądze, wetknął pusty klips z powrotem do kieszeni i rozłożył

banknoty jak wachlarz, żeby mogła je policzyć. Pięć studolarówek. Meg z trudem przełknęła ślinę.

- Nie powinieneś nosić przy sobie tyle gotówki.

- Zwykle nie noszę, ale jeden z właścicieli nieruchomości wpadł do ratusza już po zamknięciu banku i zapłacił zaległy podatek. Nie jesteś zadowolona, że nie zostawiłem tej kasy w biurze? - Rzucił pieniądze na futon. - Kiedy już wrócisz do łask tatusia, oczekuję, że wypisze mi czek. -

Skierował się w stronę schodów.

Nie mogła pozwolić, żeby miał ostatnie słowo.

- Ta scena w zajeździe, na którą przypadkiem trafiłam w sobotę, była bardzo interesująca. Zdradzałeś Lucy przez cały okres narzeczeństwa czy tylko przez część?

Zawrócił i prześlizgnął się po niej spojrzeniem, umyślnie zwlekając przy umieszczonym na wysokości biustu logo firmy Happy Printing.

- Zawsze zdradzałem Lucy. Ale nie przejmuj się. Nigdy niczego nie podejrzewała.

Zbiegł po schodach i zniknął jej z oczu. Kilka chwil później w kościółku zapadła ciemność i za Tedem zatrzęsnęły się frontowe drzwi.

Następnego ranka jechała do pracy z zaczerwienionymi oczami.

Pieniądze Teda wypalały radioaktywną dziurę w kieszeni jej odrażających nowych bermudów barwy khaki. Z pięciuset dolarami Meg mogła wreszcie wrócić do Los Angeles i - gdyby znalazła tam jakieś zajęcie - zaszyć się w tanim motelu. A rodzice widząc, że jest zdolna do ciężkiej pracy, z pewnością zmiękliby i pomogli jej wystartować na nowo.

Ale nie. Zamiast pospiesznie zmykać z Wynette, została tu, żeby rozpocząć beznadziejną pracę w

podmiejskim klubie jako obsługa wózka z napojami.

Przynajmniej obecny strój nie był tak okropny jak poliestrowa sukienka pokojówki, chociaż ubiegał się o zasłużone drugie miejsce. Pod koniec rozmowy kwalifikacyjnej zastępca dyrektora wręczył jej szpanerską żółtą koszulkę polo z ciemnozielonym logo klubu. Musiała też zużyć swoje cenne napiwki na zakup własnych szortów khaki o regulowanej długości, tanich białych adidasów i ohydnych skarpetek z pomponami, na które nie mogła patrzeć.

Przemieniona w klubowego pracownika, wściekała się na samą siebie za upór, który nie pozwalał jej zgarnąć pieniędzy Teda i wyjechać. Gdyby pochodziły od kogokolwiek innego, wzięłaby je, ale od niego nie potrafiła przyjąć nawet centa. Postępowała kompletnie głupio, bo było raczej pewne, że kiedy tylko Ted nakryje ją w Windmill Creek, użyje wszystkich wpływów, by stamtąd wyleciała. Nawet sama przed sobą nie mogła już dłużej udawać, że wie, co robi.

O ósmej rano parking dla pracowników był znacznie mniej zatłoczony, niż mogła się spodziewać. Zmierzając do służbowego wejścia, powtarzała sobie, że po prostu musi trzymać się od Teda i jego kumpli z daleka.

Gabinet zastępcy dyrektora okazał się na głucho zamknięty. Na całym parterze nie spotkała żywego ducha więc z powrotem wyszła przed klub.

Po polu golfowym kręciło się już kilku graczy, ale jedynym pracownikiem w zasięgu wzroku był ogrodnik podlewający róże. Kiedy go zapytała, gdzie się wszyscy podziali, odpowiedział coś po hiszpańsku i wskazał palcem drzwi na najniższym poziomie budynku.

Sklep golfowy został wystylizowany na stary angielski pub: ciemne drewno, mosiężne uchwyty, krótko strzyżony dywan w granatowo-zieloną szkocką kratę. Pomiędzy regałami, pełnymi starannie ułożonych ubrań do golfa, butów i daszków z logo klubu, stały na straży piramidy golfowych kijów. W sklepie nie było nikogo, oprócz eleganckiego faceta za ladą, który jak szalony stukał w klawiaturę komórki. Podchodząc bliżej Meg odczytała jego identyfikator. MARK.

Znacznie od niej niższy, drobnej budowy, tuż przed trzydziestką, miał

starannie przycięte jasnobrązowe włosy i ładne zęby -jednym słowem, były członek studenckiego bractwa, który - w przeciwieństwie do niej - w ozdobionym logo klubu polo czuł się wyśmienicie.

Kiedy się przedstawiła, oderwał wzrok od telefonu.

- Wybrałaś cholerny dzień na rozpoczęcie pracy -oznajmił. - Powiedz, że pracowałaś kiedyś jako caddy\* albo przynajmniej że grasz w golfa.

- Nie. Jestem nową obsługą wózka z napojami.

\* caddy (albo: caddie) - osoba, która nosi torbę z kijami gracza, śledzi lot piłki. Może udzielać rad graczowi co do wyboru kija, odległości lub strategii gry.

- Tak, rozumiem. Ale pracowałaś jako caddy?

- Widziałam film *Caddyshack*. To się liczy?

Facet nie odznaczał się wielkim poczuciem humoru.

- Posłuchaj, nie mam czasu na wygłupy. W każdej chwili może się tu pojawić czworo bardzo ważnych graczy. - Dzięki rozmowie z ostatniej nocy Meg nie musiała zbyt się trudzić, by zidentyfikować tych ważniaków. - Właśnie się dowiedziałem, że wszystkich naszych caddy'ch, oprócz jednego, powaliło zatrucie pokarmowe. Podobnie jak większość personelu. Wczoraj na lunch dla pracowników kuchnia podała zepsutą sałatkę coleslaw i wierz mi, czyjaś głowa za to poleci.

Rozmowa zmierzała w kierunku, który coraz mniej się Meg podobał.

Wcale jej się nie podobał.

- Ja będę nosił kije dla dzisiejszego VIP-a - powiedział Mark, wychodząc zza lady. - Lenny, jeden z naszych stałych caddy'ch, szczęśliwie nienawidzi tej sałatki i już tu jedzie. Skeet, jak zwykle, będzie pracował

dla Dallasa. Więc to wielka okazja. Ale nadal brakuje mi jednego caddy'ego i nie ma już czasu, żeby kogoś znaleźć.

Meg z trudem przełknęła ślinę.

- A miły facet, który podlewa róże koło masztu...?

- Nie mówi po angielsku. - Zaczął holować ją w stronę drzwi za zapleczu sklepu.

- Na pewno jeszcze ktoś z personelu nie jadł coleslawu.

- Tak, nasz barman. Ma złamaną kostkę. I Jenny z księgowości, lat osiemdziesiąt. - Kiedy otworzył drzwi i gestem wskazał, żeby weszła, poczuła, że ją ocenia. - Nie powinnaś mieć problemów z noszeniem torby przez osiemnaście dołków.

- Ale ja nigdy nie grałam w golfa. Nie mam o nim pojęcia. Nawet nie cenię go jako sportu. Te poćcinane

drzewa i rakotwórcze pestycydy. To będzie katastrofa. - Nawet większa niż mógł sobie wyobrazić. Zaledwie parę minut wcześniej, Meg rozważała, w jaki sposób trzymać się poza zasięgiem wzroku Teda Beaudine'a. A teraz coś takiego.

- Wszystko ci wyjaśnię. Poradzisz sobie. I zarobisz o wiele lepiej, niż jeżdżąc wózkami z napojami. Stawka za noszenie kijów wynosi dwadzieścia pięć dolarów, ale wszyscy gracze zostawiają duże napiwki.

Dostaniesz przynajmniej jeszcze ze czterdzieści. - Mark przytrzymał

przed nią otwarte drzwi. - To jest pokój caddy'ch.

W zagraconym pomieszczeniu stała wyboista kanapa i kilka metalowych turystycznych krzeseł. Nad rozkładanym stołem, na którym walały się talia kart

i trochę żetonów do pokera, wisiała tablica ogłoszeń z przyczepionym znakiem „Zakaz uprawiania gier hazardowych”. Mark włączył mały telewizor i ściągnął z półki film DVD.

- To nagranie szkoleniowe. Pokazujemy je dzieciakom w programie dla juniorów. Oglądaj, dopóki po ciebie nie przyjdę. Pamiętaj, że musisz trzymać się blisko swojego gracza, ale tak, żeby go nie rozpraszać. Miej oko na piłkę i pilnuj, czy kije są czyste. Przez cały czas noś ręcznik.

Naprawiaj wyszarpięte kijem kawałki darni na fairwayu\* i ślady po jego piłce na greenie\*\* - obserwuj mnie. I nie odzywaj się. W każdym razie dopóki któryś z graczy cię nie zagadnie.

- Nie jestem dobra w nieodzywaniu się.

- Więc dzisiaj lepiej się powstrzymaj, zwłaszcza z opiniami o polach golfowych. - Przystanął

**\* fairway - tor gry. Obszar pomiędzy tee a greenem, na którym rośnie krótko koszona trawa.**

**\*\* green - obszar z bardzo krótko koszoną trawą (codziennie na wysokość ok. 5 mm), na którym znajduje się dołek.**

w drzwiach. - I nigdy nie zwracaj się do żadnego członka klubu inaczej niż „sir” albo „pan”. W żadnym razie po imieniu. Przenigdy.

Kiedy zniknął, Meg padła na pozapadaną kanapę. Szkoleniowy film właśnie się zaczynał. W żadnym razie nie zamierzała mówić do Teda Beaudine'a „sir”. Nawet za wszystkie napiwki świata.

Pół godziny później sterczała przed sklepem w obleśnym zielonym fartuszkach do bioder, założonym na koszulkę polo i chowając się za Markiem, robiła co mogła, żeby stać się niewidzialna. Jednak ponieważ przewyższała go o przynajmniej pięć centymetrów, nie wychodziło to najlepiej. Na szczęście, zbliżająca się czwórka była zbyt zaabsorbowana rozmową o śniadaniu, które właśnie zjedli, i obiedzie, który planowali zjeść tego wieczoru, żeby w ogóle Meg zauważyć.

Nie licząc jednej osoby - jak się domyślała, Spencera Skipjacka -

rozpoznała ich wszystkich. Ted. Jego ojciec, Dallye. Kenny Traveler. I również nie licząc Spencera Skipjacka, nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek - nawet na czerwonym dywanie - widziała aż tyle męskiej doskonałości naraz. U żadnego z tych trzech bogów golfa nie zauważyła ani śladu transplantacji włosów, podwyższających wkładek ortopedycznych czy subtelnych mięśni samoopalacza. To byli Teksasczycy -

wysocy, szczupli, stalowooccy i surowi - faceci, którzy nigdy nie słyszeli o kremie nawilżającym dla mężczyzn, woskowaniu klatki piersiowej albo stryżeniu droższym niż za dwadzieścia dolców. Absolutne autentyki, klasyczni amerykańscy bohaterowie Dzikiego Zachodu z kompletami kijów golfowych zamiast winchesterów.

Poza identycznym wzrostem i budową, Ted i jego ojciec nie wyglądali zbyt podobnie. Ted miał oczy bursztynowe, Dallie intensywnie niebieskie, jaśniejące pełnym blaskiem mimo upływu lat. Kanciaste linie Teda u Dalhego były bardziej wygładzone, wargi pełniejsze prawie kobiece, a profil łagodniejszy. Jednak obaj byli niesamowicie atrakcyjni i patrząc na ich swobodny, energiczny chód, nikt nie mógł wątpić, że to ojciec i syn. Z pomieszczenia, w którym, jak się właśnie dowiedziała, mieściła się przechowalnia toreb golfowych wyszedł szpakowaty mężczyzna. Włosy miał związane w kucyk, małe oczka i spłaszczony nos.

Nie mógł to być nikt inny, jak tylko Skeet Cooper, najlepszy przyjaciel Dallasa Beaudine'a i jego wieloletni caddy. Kiedy Mark zamaszystym krokiem podszedł do nowo przybyłych Meg opuściła głowę, przyklękła na jedno kolano i udała, że zawiązuje sznurowadło.

- Witam panów - usłyszała. - Panie Skipjack, dzisiaj mam przyjemność być pana caddym. Słyszałem, sir że jest pan znakomitym golfistą. Bardzo się cieszę, że będę mógł obserwować pana grę.

Aż do tej chwili Meg nie sięgała myślą tak daleko żeby się zastanawiać, któremu zawodnikowi Mark ja przydzieli.

Właśnie wtedy pojawił się Lenny, caddy, który nienawidził sałatki coleslaw. Był niski, ogorzały i upośledzony w dziedzinie uzębienia.

Podniósł jedną z olbrzymich toreb golfowych, opartych o stojak, przewiesił ją przez ramię, jakby to była letnia marynarka, i skierował się prosto do Kenny'ego Travelera.

Pozostawał... No, oczywiście musiało skończyć się na tym, że ona będzie obsługiwać Teda. Jej życie to niekontrolowane spadanie, więc czegóż innego mogła się spodziewać?

Ted ciągle jeszcze jej nie zauważył, więc zaczęła powtórnie zawiązywać drugie sznurowadło.

- Panie Beaudine - odezwał się Mark - dziś będzie się przy panu wdrażał

nowy caddy...

Zacisnęła zęby, przywołując wspomnienie ojca w jego najgroźniejszej filmowej roli Łowcy Ptaków i wstała.

- Jestem pewien, że Meg dobrze się spisze - ciągnął Mark.

Ted kompletnie skamieniał. Kenny przyglądał się jej z zainteresowaniem, Dallie z otwartą wrogością. Meg uniosła podbródek, wyprostowała ramiona i spojrzenie Łowcy Ptaków wbiła w lodowate, bursztynowe oczy Teda Beaudine'a.

W kąciку zuchwy dygotał mu mięsień.

- Meg.

Uświadomiła sobie, że dopóki znajdują się w zasięgu słuchu Spencera Skipjacka, dopóty Ted nie



może jej powiedzieć tego, na co ma ochotę. Z

uśmiechem skinęła głową, ale nie zdobyła się nawet na najprostsze „dzień dobry”. Nic nie mogło jej zmusić, żeby mówiła do niego „sir”. Zamiast tego podeszła do stojaka i dźwignęła ostatnią pozostawioną tam torbę.

Okazała się naprawdę tak ciężka, na jaką wyglądała. Meg aż się z lekka zatoczyła. Zarzucając szeroki pasek na ramię, próbowała pojąć, jak zdoła taszczyć tego grzmota przez parę kilometrów po pagórkowatym polu golfowym, w palącym teksańskim słońcu. Wróci do college<sup>^</sup>. Skończy studia licencjackie, a potem zrobi dyplom z prawa. Albo dyplom z finansów. Ale przecież nie chciała być prawniczką ani finansistką.

Chciała mieć nieograniczony rachunek bieżący, który pozwoliłby jej podróżować po świecie, spotykać interesujących ludzi, poznawać lokalne rzemiosło i znaleźć kochanka, który by nie był ani szaleńcem, ani skończonym palantem.

Grupa ruszyła w stronę terenu treningowego, żeby poćwiczyć uderzenia na rozgrzewkę. Ted próbował zostać w tyle. Wyraźnie chciał rozedrzeć Meg na strzępy, ale nie mógł oddalić się od honorowego gościa. Truch-tała więc w pewnej odległości za nimi, już ciężko dysząc pod ciężarem torby.

Mark podszedł do niej ukradkiem i cicho powiedział:

- Na polu treningowym Ted najpierw będzie chciał swego sand wedge'a do wybijania piłki z bunkra, czyli dołu z piaskiem. Potem iron dziewiątka i iron siódemka, pewnie trójka i na koniec driver, kij do najdłuższych uderzeń. Pamiętaj, żeby je wyczyścić, kiedy już skończy. I me pogub jego nowych futerałów.

Wszystkie te instrukcje zaczęły jej się kompletnie mieszać. Skeet Cooper, caddy Dallasa, obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem. Wystający spod bejsbolów-ki szpakowaty kucyk sięgał mu dobrze poniżej ramion, a cera przypominała wysuszoną na słońcu skórę.

Kiedy dotarli na pole treningowe, Meg postawiła torbę i wyciągnęła kij iron oznaczony literą S. Ted wyszarpnął jej go z dłoni, o mało nie odrywając ręki. Mężczyźni zajęli się rozgrzewką, więc Meg miała wreszcie okazję przyjrzeć się lepiej wodno-kanalizacyjnemu gigantowi, Spencerowi Skipjackowi. Przy swoich pięćdziesięciu paru latach miał

kościstą twarz w stylu Johnny'ego Casha i talię, która już zaczęła zwiększać obwód ale jeszcze nie przeszła w brzuszysko. Mimo starannego' ogolenia szczękę pokrywał mu cień mocnego zarostu. Na gęstych, ciemnych włosach przetykanych siwizną sterczał kapelusz panama ze wstążką z wężowej skóry. Czarny, lśniący kamień srebrnego pierścionka zdobił mały palec, bransoleta drogiego zegarka otaczała owłosiony nadgarstek, a donośny, dudniący głos i sposób by-

cia wskazywały na potężnie rozwinięte ego. Facet oczekiwał

powszechnej uwagi.

- W zeszłym tygodniu grałem w Pebble z kilkoma chłopakami, którzy byli na objeździe - oznajmił, nakładając golfowe rękawiczki. - Pokryłem koszty wszystkich opłat. I poszło mi cholernie dobrze.

- Obawiam się, że nie możemy konkurować z Pebble - odparł Ted. - Ale zrobimy co w naszej mocy, żebyś się dobrze bawił.

Mężczyźni zaczęli ćwiczyć uderzenia. Jak dla Meg, Skipjack wyglądał na doświadczonego gracza, jednak podejrzewała, że był bez szans, konkurując z dwoma zawodowcami i Tedem, który wygrał amatorskie mistrzostwa USA w golfie, o czym ciągle w Wynette słyszała. Usiadła na jednej z drewnianych ławek, żeby sobie popatrzeć.

- Wstawaj - syknął Mark. - Caddy nigdy nie siada. Oczywiście, że nie. To byłoby zbyt sensowne. Wreszcie opuścili pole treningowe. Czwórka caddy ruszyła w pewnej odległości za golfistami, pogrążonymi w dyskusji o zbliżającej się rozgrywce. Meg poskładała w całość wystarczająco dużo strzępów informacji, żeby zrozumieć, że chodzi o grę w dwóch zespołach, zwaną „best ball”. Ted i Dallye mieli stawić czoło Kenny'emu i Spencerowi Skipjackowi. Przy każdym dołku ten z graczy, który zaliczał

go najmniejszą liczbą uderzeń, zdobywał punkt dla swojej drużyny.

Wygrywała drużyna z większą ilością punktów.

- Co byście powiedzieli na dwudziestodolarowy Nassau, żeby podkreślić emocje? - zapytał Kenny.

- Kurde, chłopaki - sprzeciwił się Skipjack - ja i moi kumple co sobotę gramy Nassau za tysiąka.

- To sprzeczne z naszą religią - oznajmił Dallye, przeciągając samogłoski.

- Jesteśmy baptystami.

Meg bardzo wątpiła, czy od czasu niedoszłego ślubu, któryś z nich przestąpił próg prezbiteriańskiego kościoła. A Kenny w ogóle był

katolikiem.

Kiedy dotarli do pierwszego tee, Ted podszedł do niej z wyciągniętą ręką i jadem w oczach.

- Driver.

- Od szesnastego roku życia\* - odparła uprzejmie. - A ty?

Wyminął ją, zerwał osłonę z główki najdłuższego kija i wyciągnął go z torby.

Gość wybijał piłkę z tee jako pierwszy. Mark szepnął do Meg, że pozostali musieliby dać Skipjackowi duże fory, żeby gra była sprawiedliwa. Strzał robił wrażenie, ale nikt nic nie powiedział, więc może nie na wszystkich. Następny był Kenny, potem Ted. Nawet ona była w stanie zauważyć siłę i wdzięk jego wyćwiczonych ruchów, jednak w ostatniej chwili coś się nie udało.

Właśnie kiedy miał już uderzyć, stracił równowagę i posłał strzał za bardzo w lewo.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na nią. Ted przywołał swój oficjalny, świętoszkowaty uśmiech, ale w oczach płonęły mu ognie piekielne.

- Meg, gdybyś była tak łaskawa...

- A co ja zrobiłam?

Mark szybko odciągnął ją i wyjaśnił, że dopuszczenie, by kije golfowe zastukały jeden o drugi, podczas gdy gracz bierze zamach, to wielka, karygodna zbrodnia przeciwko ludzkości. Jakby zatruwanie wód i niszczenie mokradeł się nie liczyło.

Ted starał się dopaść ją na boku, ale zdołała uniknąć konfrontacji aż do trzeciego dołka, kiedy to gównianym uderzeniem wpakował się w piaskową pułapkę na fair-

\* driver |antf.| - **kierowca. Jednocześnie jest to nazwa typu kija** wayu. Bunkier, jak powiedzieli. Cała ta służalcza rutyna z taszczeniem jego torby i pouczeniami, żeby zwracać się do niego „sir” - czego jak dotąd udawało się uniknąć - sprawiła, że Meg musiała zaatakować pierwsza.

- Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby po twoich skargach Birdie mnie nie wylała.

Miał czelność przybrać oburzoną minę.

- Nie po moich. Poskarżył się Larry Stelman. Dwa dni pod rząd przerywałaś mu drzemkę.

- Te pięć setek, które mi zaoferowałaś, znajdziesz w górnej kieszeni torby. Spodziewam się, że część tej kwoty wróci do mnie w postaci bardzo szczodrego napiwku.

Zacisnął zęby.

- Masz pojęcie, jaki ważny jest dzisiejszy dzień?

- Podśluchałam waszą rozmowę, pamiętasz? Więc wiem dokładnie, o co toczy się gra i jak bardzo chcecie zrobić dobre wrażenie na honorowym gościu.

- I mimo to tu jesteś.

- No cóż, przynajmniej za tę katastrofę nie możesz mnie winić. Chociaż widzę, że zamierzasz.

- Naprawdę nie wiem, jak zdołałaś wprosić się na caddy'ego, ale jeśli choć przez sekundę sądziłaś...

- Posłuchaj mnie, Theodorze. - Plasnęła dłonią w kant jego torby. -

Zostałam do tego zmuszona. Nienawidzę golfa i nie mam pojęcia, co robię. Absolutnie żadnego, rozumiesz? Więc sugeruję, żebyś naprawdę się postarał nie denerwować mnie bardziej, niż już jestem zdenerwowana.

- Dała krok do tyłu. - A teraz przestań gadać i walnij tę cholerną piłkę. I bądź uprzejmy tym razem prosto, żebym nie musiała łązić za tobą po całym polu.

Posłał jej mordercze spojrzenie, zupełnie niestosowne przy jego świętoszkowatej reputacji i wyszarpnął

z torby kij, udowadniając, że doskonale potrafi radzić sobie z własnym sprzętem.

- Policzymy się, jak będzie już po wszystkim. - Uderzył piłkę z potężnego, podsyczonego wściekłością wymachu, który wzbilił w powietrze fontannę piasku. Odbiwszy się dziesięć metrów przed greenem, piłka potoczyła się w stronę flagi oznaczającej dołek, zawisła na jego krawędzi i wpadła do środka.

- Imponujące - stwierdziła Meg. - Nie wiedziałam, że jestem takim dobrym trenerem golfa.

Ted cisnął jej kij pod nogi i odmaszerował sztywnym krokiem, podczas gdy pozostali gracze gratulowali mu, wykrzykując swoje zachwyty na cały fairway.

- Może byś tak się ze mną podzielił tym swoim fartem? - Teksaska wymowa nie mogła być autentyczna, bo Skipjack pochodził z Indiany, ale najwyraźniej facet lubił czuć, że należy do grupy.

Na następnym greenie spośród wszystkich caddy'ch najbliższej flagi znalazła się Meg. Kiedy Ted przygotowywał się do uderzenia, Mark nieznacznie dał jej przeczący znak. Przyswoiła już lekcję, że nie wolno wykonywać gwałtownych ruchów, więc chociaż wszyscy zaczęli wrzeszczeć, zaczekała, aż piłka wpadnie do dołka, i dopiero wtedy wyciągnęła z niego flagę.

Dallie jęknął. Kenny uśmiechnął się szeroko. Ted opuścił głowę, a Spencer Skipjack zapał radośnie:

- Wygląda na to, że twój caddy właśnie cię załatwił. Meg zapomniała, że powinna być nie tylko kompetentna, pogodna i służalcza, ale też niema.

- Co ja znowu zrobiłam?

Poblądły od czoła po logo na klubowej koszulce Mark zaczął przeproszać Teda.

- Naprawdę strasznie mi przykro, panie Beaudine. - Po czym zwrócił się do Meg z ponurą cierpliwością: - Nie możesz pozwolić, żeby piłka uderzyła we flagę. Za to jest kara.

- Gracz jest karany za błąd caddy'ego? - zdziwiła się. - To głupota. Tak czy inaczej piłka wpadła do środka.

- Nie martw się, skarbie - powiedział wesoło Spencer Skipjack. - To się mogło przydarzyć każdemu.

Z uwagi na handicap\* Skipjackowi przysługiwało dodatkowe uderzenie i nawet nie próbował ukrywać radości, kiedy nadeszła jego kolej.

- Wygląda, że mój net birdie\*\* wygra dla nas ten dołek, partnerze. -

Poklepał Kenny'ego po plecach. - To mi przypomina, jak grałem z Billem Murrayem i Rayem Romano w Cypress Point. A jeśli już mowa o znanych postaciach...

Teraz Beaudine'owie przegrywali, ale Ted oficjalnie zachowywał pozory

- żadna niespodzianka.

- Wynagrodzimy to sobie na następnym dołku. -Gniewne spojrzenie przeznaczone tylko dla Meg zawierało przesłanie, które bez trudu rozszyfrowała.

- To absurdalna gra - mruknęła trochę ponad dwadzieścia minut później, kiedy znowu zaszkodziła swojemu zawodnikowi, naruszając jakieś bzdurne przepisy. Starła się być dobrym caddym, więc podniosła piłkę Teda, by oczyścić ją z błota, a okazało się, że nie wolno tego robić, dopóki piłka nie znajdzie się na greenie i nie zostanie zaznaczone jej położenie.

Kompletnie bez sensu.

**\* handicap - liczba określająca umiejętności gracza. Im niższy handicap, tym lepszy poziom gry gracza. Powstał w celu wyrównania szans w rozgrywkach amatorskich.**

**\*\* net score - liczba wszystkich uderzeń po odjęciu handicapu; birdie**

**- zakończenie dołka jednym uderzeniem poniżej para (przypisanej temu dołkowi normy uderzeń).**

- Dobrze, synu, że miałeś chociaż jedno czy dwa birdie - powiedział

Dallas. - Niewątpliwie prześladowuje cię pech.

Meg nie widziała powodu, żeby ignorować oczywiste fakty.

- To ja jestem tym pechem.

Mark przeszył ją gniewnym wzrokiem, bo złamała zasadę milczenia i nie powiedziała do Dalliego „sir”, ale Spencer Skipjack zachichotał.

- Przynajmniej szczerza. To więcej niż można powiedzieć o większości kobiet.

Teraz z kolei Ted posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, żeby powstrzymała się od komentarza na temat głupoty mężczyzn hołdujących płciowym stereotypom. Meg nie podobało się, że Ted czyta w jej myślach. A już zupełnie nie podobał jej się Spencer Skipjack, który ewidentnie był

pyszałkiem i snobem.

- Kiedy ostatnio w Vegas, w jednej z prywatnych sal nadziałem się na Michaela Jordana...

Zdołała przetrwać siódmy dołek bez złamania jakiegokolwiek przepisu, ale ramiona ją bolały, nowe

buty obtarły mały palec, oblewała się potem i miała przed sobą jeszcze jedenaście nieszczęsnych dołków. Zmuszanie jej, żeby taszczyła siedemnastokilową torbę ze sprzętem za mierzącym prawie dwa metry, wysportowanym facetem, który doskonale mógł

obsłużyć się sam, wydawało się coraz bardziej absurdalne. Jeśli ci zdrowi, silni mężczyźni byli zbyt leniwi, żeby nosić swoje własne kije, dlaczego nie wynajęli wózków golfowych? Cała ta robota caddy'ego nie miała sensu. Za wyjątkiem...

- Wyśmienity strzał, panie Skipjack. Ten dołek naprawdę musiał być pana. - Mark z podziwem pokiwał głową.

- Tylko tak dalej wykorzystywać wiatr, panie Traveler - stwierdził Lenny.

- Kręciła się jak bąk - wychwalał Dalliego Skeet Cooper.

Słuchając tych wszystkich zachwyty, Meg doszła do wniosku, że tak naprawdę chodzi o ego. O to, by mieć swego osobistego kibica.

Postanowiła sprawdzić słuszność tej teorii.

- Wow! - wykrzyknęła przy następnym tee, kiedy Ted wykonał uderzenie.

- Znakomicie. Naprawdę posłałeś ją daleko. Bardzo daleko... Kawał

drogi... na dół.

Mężczyźni obrócili się i wlepili w nią spojrzenia. Nastąpiła długa chwila ciszy. W końcu odezwał się Kenny:

- Co za szkoda, że nie udało mi się oddać takiego strzału. - Kolejna długa chwila ciszy. - Takiego dalekiego.

Meg obiecała sobie nie odzywać się już ani słowem i może dotrzymałaby obietnicy, gdyby Spencer Skipjack nie lubił tyle gadać.

- Panno Meg, uwaga. Teraz zamierzam skorzystać ze wskazóweczki od Phila Mickelsona i umieścić piłkę dokładnie koło flagi.

Ted zeszywniał ze zdenerwowania, jak za każdym razem, kiedy ich gość się do niej zwracał. Ze strony Meg oczekiwał sabotażu i z pewnością by się doczekał, gdyby szło tylko o jego szczęście i dobrobyt. Jednak ważyły się losy całego miasteczka.

Toteż stała przed prawdziwym dylematem. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała nasza planeta, to kolejne pochłaniające zasoby naturalne pole golfowe, ale nawet dla Meg było jasne, w jak rozpaczliwej sytuacji znalazło się Wynette. Każde wydanie miejscowej gazety donosiło o zamknięciu jakiegoś małego przedsiębiorstwa albo jeszcze jednej przypartej do muru organizacji charytatywnej, która nie nadążała za wzrostem zapotrzebowania na swoje usługi. A poza tym jak Meg mogła oceniać

innych, skoro sama wcale nie żyła ekologicznie, poczynając od tego, że jeździła benzyniakiem. Cokolwiek by teraz zrobiła, byłaby hipokrytką, więc poszła za głosem instynktu, zrezygnowała z jeszcze kilku swoich pryncypiów i wcieliła się w rolę obrończyni miasteczka, które ją znienawidziło.

- Obserwować pana uderzenia to czysta przyjemność, panie Skipjack.
- Nie, nie. W porównaniu z tymi chłopcami jestem tylko szeregowcem.
- Ale oni grają w golfa przez cały czas - odparła - a pan ma prawdziwą pracę.

Wydawało jej się, że słyszy parsknięcie Kenny'ego Travelera.

Skipjack roześmiał się i oznajmił, jak bardzo żałuje, że nie została jego caddym, chociaż nie ma zielonego pojęcia o golfie i potrzebowałby znacznie więcej niż siedem dodatkowych uderzeń, żeby odrobić jej błędy.

Kiedy pomiędzy dziewiątym i dziesiątym dołkiem udali się na przerwę, wynik meczu był wyrównany: cztery dołki dla Teda i Dalliego, cztery dla Kenny'ego i Spencera, a jeden dołek remisowy. Miała teraz parę minut dla siebie - za mało na drzemkę, o której marzyła, ale dość, żeby ochlapać twarz zimną wodą i opatrzeć pęcherze na nogach. Mark odciągnął ją na bok i obsztorcował za spoufalanie się z członkami klubu, zbyt hałaśliwe zachowanie na polu golfowym, oddalanie się od swego gracza i wrogi stosunek do Teda.

- Ted Beaudine jest najsympatyczniejszym facetem pod słońcem. Nie rozumiem, dlaczego się tak dziwnie

zachowujesz. Traktuje cały personel z szacunkiem i daje duże napiwki.

Dziwnym trafem podejrzewała, że jej to nie dotyczy.

Wreszcie Mark się oddalił, żeby popodlizywać się Kenny'emu, a ona z obrzydzeniem podeszła do dużej, granatowej torby z kijami. Ich złociste pokrowce były dobrane pod kolor stebnowania. Tylko dwa pokrowce.

Widocznie jeden już zginął. Nagle za plecami Meg stanął Ted. Skrzywił się, stwierdzając zgubę, a potem na widok swojego caddy'ego.

- Stanowczo za bardzo wdzięczysz się do Skipjacka. Odpuść sobie.

I to by było tyle w sprawie jej starań na rzecz miasteczka. Zniżyła głos:

- Dorastałam w Hollywood, więc lepiej rozumiem mężczyzn z wybujałym ego, niż tobie się to kiedykolwiek uda.

- Tak ci się tylko wydaje. - Wcisnął jej na głowę przyniesioną bejsbolówkę. - Noś tę cholerną czapkę. Mamy tutaj prawdziwe słońce, a nie to mdłe kalifornijskie gównno, do którego przywykłaś.

Na ostatnich dziewięciu dołkach Meg pozbawiła drużynę swego zawodnika kolejnych punktów, bo powyrywała trochę zielska, żeby Ted mógł oddać lepszy strzał. Ale nawet przy trzech dołkach, które ich kosztowała - i jednym błędnym uderzeniu Teda, kiedy za bardzo starał się ukryć, jak jest na nią wkurzony - Beaudine'owie nadal stanowili silną konkurencję.

- Dziwnie się dzisiaj zachowujesz, synu - stwierdził Dallie. - Błyski geniuszu w połączeniu z przejawami nieczytalności. Od lat nie widziałem, żebyś grał tak dobrze - albo tak źle.

- Tak działa na mężczyzn zawód miłosny. - Uderzona ze skraju greenu piłka Kenny'ego potoczyła się po

trawie. - Sprawia, że trochę wariują. - Piłka zatrzymała się kilka cali przed dołkiem.

- Plus upokorzenie, że całe miasto ciągle się nad nim za plecami użala. -

Skeet, jedyny caddy dopuszczony do familiarnych stosunków z graczami, zmiotł jakieś śmiecie, które upadły na green.

Dallie puttując\*, dał z siebie wszystko.

- Próbowałem własnym przykładem nauczyć go, jak się zatrzymuje kobietę. Małolat nie zwracał uwagi.

Tym facetom najwyraźniej sprawiało frajdę nabijanie się z cudzych słabych punktów. Nawet rodzonemu ojcu Teda. Jakiś sprawdzian męskości, czy co? Gdyby przyjaciółki Meg dokładały sobie nawzajem, tak jak robili to ci tutaj, któraś skończyłaby we łzach. Tymczasem Ted zareagował tylko spokojnym uśmiechem, doczekał się swojej kolejki i z odległości trzech metrów umieścił piłkę w dołku.

Kiedy opuszczali green, Kenny Traveler z bliżej niezrozumiałego powodu postanowił uświadomić honorowemu gościowi, kim są jej rodzice. Oczywiście Skipjacka pojaśniały.

- Twój ojciec to Jake Koranda? No, coś podobnego. A ja myślałem, że zostałeś caddym dla pieniędzy. - Pobiegnął spojrzeniem od niej do Teda. -

Wy dwoje jesteście parą?

- Nie! - gwałtownie zaprzeczyła Meg.

- Obawiam się, że nie - odparł swobodnie Ted. - Jak pewnie się domyślasz, nadal jeszcze dochodzę do siebie po zerwanych zaręczynach.

- Nie wiem, czy ucieczkę panny młodej spod ołtarza można nazwać zerwanymi zaręczynami - zauważył Kenny. - Popularniejsze określenie to katastrofa.

**\* puttować - wykonać uderzenie piłki na greenie. Piłka po takim uderzeniu toczy się po trawie.**



Jak Ted mógł się tak niepokoić, że Meg narobi mu dzisiaj wstydu, skoro jego własni przyjaciele byli w tej dziedzinie nie do przebicia? Ale Skipjack najwyraźniej wspaniale się bawił. Zdała sobie sprawę, że ta ich męska paplanina dla wtajemniczonych pozwala mu się poczuć, jakby był jednym z nich. Kenny i Dallie, ze swoim durnym stylem starych dobrych kumpli, bardzo mu imponowali.

Po rewelacjach o sławnych rodzicach Skipjack nie chciał się już od niej odczepić.

- Jak to jest mieć za ojca Jacka Korandę? Słyszała to pytanie tysiące razy i nadal uważała za chamstwo, że ludzie jakby nie zauważali jej matki, która była tak samo utalentowana i wybitna w swoim zawodzie. Udzieliła więc dawno wymyślonej odpowiedzi:

- Obydwoje moi rodzice są dla mnie po prostu mamą i tatą.

Ted połapał się w końcu, że pod pewnymi względami może być dla niego cenna.

- Matka Meg to też sława. Prowadzi wielką agencję talentów, a przedtem była znaną modelką i aktorką.

Mama zagrała dokładnie w jednym filmie, *Zaćmienie w niedzielny poranek*, na którego planie poznała swego przyszłego męża.

- Zaczekaj! - wykrzyknął Spencer. - Kurczę... Jako małolat miałem na drzwiach pokoju plakat z twoją matką.

Kolejne oświadczenie, które słyszała o kilka milionów razy za dużo.

- Wyobrażam sobie. - Ted rzucił jej jedno ze swoich spojrzeń.

Spencerowi nie zamykały się usta, dopóki nie dotarli do siedemnastego dołka, gdzie po niefortunnym puttowaniu on i Kenny stracili punkty, co wprawilo gościa

w zły humor. Jeszcze bardziej spochmurniał, kiedy Kenny odebrał telefon od żony z wiadomością, że pracując w ogrodzie, rozcięła rękę i pojechała do lekarza założyć szwy. Chociaż obrażenia okazały się niegroźne i lady Emma nie chciała słyszeć o przerwaniu meczu, Kenny wyraźnie nie mógł się już skupić.

Meg rozumiała, jak bardzo Skipjackowi zależy na zwycięstwie. Tak samo jak widziała, że żadnemu z Be-audine'ow nie przychodzi do głowy, by sobie odpuścić. Nawet dla ratowania miasteczka. Dallie konsekwentnie grał dobrze, a błędy Teda należały już do przeszłości. Miała wręcz dziwne uczucie, że czerpał przyjemność z wyzwania, jakim było odrabianie strat, na które ich naraziła.

Skipjack ostro skarcił Marka za zbyt powolne podanie kija. Zwycięstwo wyślizgiwało mu się z rąk, a wraz z nim szansa na przechwałki, że on i Kenny Traveler pobili obydwu Beaudine'ow na ich

własnym polu golfowym. Przestał nawet zanudzać Meg.

Jedyne co musieli zrobić Ted i Dallye, to sknocić kilka uderzeń, żeby wprawić Spencera Skipjacka w nastrój wspaniałomyślności. Jednak oni najwyraźniej nic nie rozumieli. Niepojęte. Zamiast dopieszczać ogromne ego swego gościa, grali, jakby liczył się tylko wynik meczu. Widocznie wydawało im się, że całkiem wystarczy, jeśli czasem rzuci jakiś żarcik, a oni pozwolą facetowi poczuć się ich kumplem. Ale Spencer Skipjack był

obraźliwy. Jeśli Ted chciał go nastawić pozytywnie do negocjacji, musieli z ojcem dać się pokonać. A tymczasem robili co w ich mocy, żeby utrzymać przewagę.

Szczęśliwie, na siedemnastym greenie Kenny ocknął się i puttem o długości prawie ośmiu metrów doprowadził do remisu.

Niepokojąca była determinacja w oczach Teda, kiedy wybijał piłkę z tee na ostatnim dołku. Ustawił się do uderzenia, poprawił pozycję, wykonał

zamach... i dokładnie w tym momencie, w ramach sterowanego przypadku, Meg upuściła torbę z kijami...

## *Rozdział 8*

KIJE UPADŁY Z ŁOSKOTEM. Wszystkich siedmiu mężczyzn stojących na tee obróciło się gwałtownie w jej stronę. Meg starała się wyglądać na zmieszaną.

- Ups. Cholera. Mój błąd.

Piłka Teda zboczyła daleko na lewo, w trawę rosnącą wzdłuż fairwayu.

Skipjack wyszczerzył zęby.

- Słowo daję, cieszę się, że nie jesteś moim caddym. Meg wierciła w ziemi czubkiem buta.

- Naprawdę bardzo mi przykro. - Wcale nie, dodała w myślach.

A jak się zachował Ted w odpowiedzi na jej wyczyn? Podziękował, że mu przypomniała, co jest w tym dniu najważniejsze? Czy wręcz przeciwnie, dopadł ją i złapał za szyję jednym ze swoich kijów, o czym z pewnością marzył? Ależ nie. Pan Idealny był na to zbyt opanowany.

Obdarzył wszystkich uśmiechem chłopczyka z kościelnego chóru, podszedł do niej swobodnym, długim krokiem i sam doprowadził torbę do porządku.

- Nie stresuj się. Dzięki tobie rozgrywka była bardziej interesująca.

We wciskaniu kitu mało kto mógł mu dorównać, ale nawet jeśli pozostali tego nie zauważyli, Meg wiedziała, że jest rozwścieczony.

Całą grupą ruszyli przez fairway. Skipjackowi poczerwieniała twarz, spocona koszulka oblepiała mu

beczkowatą klatkę piersiową. Do tej pory Meg wiedziała już o golfie wystarczająco dużo, żeby rozumieć, co się powinno wydarzyć. Z powodu swego handicapu Skipjack otrzymał na tym dołku dodatkowe uderzenie, więc gdyby wszyscy skończyli zgodnie z par\*, zdobyłby punkty dla swojej drużyny. Ale gdyby Dally lub Ted uzyskali na tym dołku birdie, Skipjack też by musiał mieć birdie, żeby zdobyć dołek, co wydawało się wysoce nieprawdopodobne. W przeciwnym wypadku mecz zakończyłby się niesatysfakcjonującym remisem.

Dzięki jej ingerencji Ted znalazł się najdalej od flagi, więc jako pierwszy miał oddać drugi strzał. Ponieważ pozostali nie mogli podsłuchiwać, Meg postanowiła powiedzieć dokładnie, co myśli.

- Pozwól mu wygrać, idioto! Nie widzisz, ile to dla niego znaczy?

Zamiast jej słuchać, wypróbował na fairwayu swój kij, iron numer 4, przybierając - co nawet ona potrafiła dostrzec - idealną pozycję.

- Głęb - mruknęła. - Jeśli zrobisz birdie, masz prawie jak w banku, że facet nie wygra. Naprawdę uważasz, że to najlepszy sposób, żeby wprawić go w dobry humor na te wasze obmierzłe negocjacje?

Cisnął jej kij.

- Znam zasady gry, Meg. On też je zna. Nie jest dzieckiem. - Po czym odszedł.

Dally, Kenny i spoglądający wilkiem Skipjack oddali po trzecim strzale na greenie, ale Tedowi wystarczyły dwa. Całkiem opuścił go zdrowy rozsądek. Widocznie dla wyznawców świętej sztuki golfa przegrana była grzechem śmiertelnym.

**\* par - norma. Liczba uderzeń, w których powinien być rozegrany dołek.**

Do piłki Teda, która leżała na kępce chemicznie pędzonej trawy w idealnej pozycji do zagrania na birdie, pierwsza dotarła Meg. Zasłoniła się opuszczoną torbą, raz jeszcze rozważyła swoje racje i przycisnęła piłkę butem tak mocno, jak tylko się dało.

Usłyszawszy z tyłu kroki, smutno potrząsnęła głową.

- Szkoda. Wygląda na to, że wylądowałeś w jakiejś dziurze.

- W dziurze? - Odsunął ją na bok i ujrzał swoją piłkę wgniecioną głęboko w trawę.

Wycofując się, Meg dostrzegła Skeeta Coopera. Stał na skraju greenu i obserwował ją małymi oczkami wśród zmarszczek od słońca. Ted wpatrywał się w piłkę.

- Co, co do...?

- Swego rodzaju gryzoń. - Ze sposobu, w jaki Skeet to powiedział, od razu wiedziała, że był świadkiem tego, co zrobiła.

- Gryzoń? Tu nie ma żadnych... - Ted gwałtownie odwrócił się do niej. -

Nie mów, że...

- Podziękujesz mi później - odparła.

- Jakiś problem? - zawołał Skipjack z przeciwległej strony greenu.

- Ted ma problem - odkrzyknął Skeet.

Na wydostanie się z dziury, w którą go wepchnęła, Ted zużył dwa uderzenia. I tak uzyskał par, ale par nie wystarczała. Kenny i Skipjack wygrali mecz.

Kenny sprawiał wrażenie, jakby bardziej interesował go szybki powrót do żony niż delektowanie się zwycięstwem, za to Spencer rechotał przez całą drogę do budynku.

- Ale rozgrywka. Szkoda, że pod koniec ci nie szło. Pech. - Mówiąc to, ze zwitku banknotów oddzielił kilka na napiwek dla Marka. - Dobra robota.

Zawsze możesz dla mnie pracować.

- Dziękuję, sir. Cała przyjemność po mojej stronie. Kenny podał parę dwudziestodolarówek Lenny'emu, uściśnął rękę swemu partnerowi i zabrał się do domu. Ted pogrzebał

w kieszeni, po czym wcisnął w dłoń Meg złożony banknot i zamknął na nim jej palce.

- Bez urazy. Staralaś się z całych sił.

- Dzięki. - Zapomniała, że ma do czynienia ze świętym.

Z tyłu podszedł do niej Spencer Skipjack, położył jej rękę na plecach i pomasaował. Bardziej niż odrażające.

- Panno Meg, Ted i jego przyjaciele zabierają mnie dziś wieczorem na obiad. Będę zaszczycony, jeśli zechce mi pani towarzyszyć.

- Ojej, bardzo bym chciała, ale...

- Byłaby to dla niej wielka przyjemność - wtrącił się Ted. - Prawda, Meg?

- W zwykłych okolicznościach tak, ale...

- Nie wstydź się. Zabierzemy cię o siódmej. Obecnie Meg mieszka w miejscu, które trudno znaleźć, więc ja ją przywiozę. - Wbite w nią zimne spojrzenie jasno mówiło, że jeśli odmówi współpracy, będzie musiała poszukać sobie innego domu.

Meg z trudem przełknęła ślinę.

- Strój nieformalny? - zapytała.

- Nawet bardzo nieformalny - odparł.

Kiedy mężczyźni odeszli, przez chwilę rozważała nieprzyjemne strony wymuszonej randki z nadętym pyszałkiem niemal w wieku jej ojca. Samo w sobie okropne, a jeszcze gorsze, że Ted miał obserwować każdy jej ruch.

Roztarła obolałe ramię, po czym rozprostowała zaciśnięte palce, żeby sprawdzić, jaki napiwek otrzymała za cztery i pół godziny taszczenia siedemnastu kilo

golfowych kijów, w górę i na dół pod gorącym słońcem Teksasu.

W jej dłoni spoczywał banknot jednodolarowy.

Środek Roustabout zajmował kwadratowy drewniany bar, przyozdobiony świecącymi reklamami piwa, jelenim porożem i sportowymi pamiątkami.

Wzdłuż dwóch ścian lokalu ciągnęły się restauracyjne boksy, trzecia zastawiona była stołami do bilardu i automatami do gry. W weekendy występował tu miejscowy zespół country, ale teraz z szafy grającej w pobliżu małego tanecznego parkietu produkował się na pełen regulator Toby Keith.

Jako jedyna kobieta przy stole, Meg czuła się trochę niczym panienka lekkich obyczajów w klubie dla dżentelmenów, chociaż z drugiej strony cieszyła ją nieobecność żon Dalliego i Kenny'ego, ponieważ obie kobiety szczerze jej nienawidziły. Siedziała pomiędzy Spencerem i Kennym, dokładnie naprzeciwko Teda, który -razem ze swoim ojcem i wiernym caddym, Skeetem Cooperem - zajmował miejsce po drugiej stronie.

- Roustabout to u nas instytucja - stwierdził Ted, kiedy Skipjack opróżnił

do czysta talerz żeberek. - Ta knajpa widziała niejedno. Historie dobre, złe, a nawet paskudne.

- Ja oczywiście pamiętam te paskudne - włączył się Skeet. - Na przykład, jak Dallie i Francie urządzili sobie awanturę na parkingu. Rzecz się zdarzyła ponad trzydzieści lat temu, na długo przed tym, zanim się pobrali, ale ludzie dotąd o tym gadają.

- To prawda - przytaknął mu Ted. - Sam nie wiem, ile razy słyszałem tę historię. Moja matka zapomniała, że jest o połowę mniejsza od ojca i próbowała sprowadzić go do parteru.

- Do diabła, o mało jej się nie udało. Tamtego wieczoru to była tygrysica, mówię ci - ciągnął Skeet. - Razem z byłą żoną Dalliego ledwie daliśmy radę ich rozdzielić.

- Nie całkiem było tak, jak oni opowiadają - zaprotestował Dallas.

- Całkiem, całkiem. - Sprawdziwszy, co słyhać u żony, Kenny schował

do kieszeni komórkę.

- A ty skąd wiesz? - burknął Dallie. - Miałeś wtedy kilka lat i nawet cię tam nie było. Lepiej opowiedz własną historię związaną z tym parkingiem. Jak to pewnego wieczoru lady Emma wściekła się na ciebie i gwizdnęła twój samochód. Musiałeś gnać za nią autostradą.

- Ale pogoń nie trwała zbyt długo - uśmiechnął się Kenny. - Moja żona nie była najlepszym kierowcą.

- Dotąd nie jest - powiedział Ted. - Najpowolniejszy kierowca w hrabstwie. Nie dalej jak tydzień temu spowodowała wielki zator na Stone Quarry Road. Trzy osoby dzwoniły do mnie ze skargą.

Kenny wzruszył ramionami.

- Żeby nie wiem jak się starać, nie sposób jej przekonać, że nasze tablice z ograniczeniami prędkości są tylko uprzejmym zaleceniem.

Mijał wieczór, a oni zabawiali Skipjacka takimi gadkami w stylu równych facetów, podczas gdy Spen-ce - jak polecono jej go nazywać - chłonał to wszystko z uciechą i wyczuwalną nutą arogancji. Był zachwycony, że ci sławni mężczyźni tak o niego zabiegają - zachwycony wiedząc, że ma coś,

czego oni chcą, że jest w jego mocy, by czegoś im odmówić.

Otarł serwetką usta z resztek sosu barbecue.

- Macie w tym mieście dziwne metody.

Ted rozparł się wygodnie w krześle, jak zwykle na luzie.

- Nie utrudniamy sobie życia biurokracją, to na pewno. Tutejsi ludzie nie widzą sensu we wszelkiego rodzaju mnożeniu papierów. Jeśli chcemy coś sprawić, to bierzemy się do roboty i załatwiamy to.

Spence uśmiechnął się do Meg.

- Pewnie za chwilę usłyszę płatne ogłoszenie polityczne.

Zrobiło się już naprawdę późno. Meg była wykończona i marzyła tylko, żeby zwinąć się w kłębek na swoim kościelnym chórze i zasnąć. Po fatalnym występie w roli caddy'ego resztę dnia spędziła przy obsłudze wózka z napojami. Niestety, jej bezpośrednim szefem okazał się przymulony trawką dzieciak o minimalnych zdolnościach komunikacyjnych i bez cienia pojęcia, jak poprzednik Meg organizował

sobie pracę. Więc skąd miała wiedzieć, że klubowe golfistki uzależnione są od dietetycznej, mrożonej herbaty Arizona i nabzdyczą się, jeśli nie czeka na nie przy czternastym tee? Ale to nie było jeszcze aż tak złe, jak kiedy wyczerpał się zapas piwa Bud Light. Ciekawy przypadek masowego samo-zakłamania - golfiści z nadwagą wyraźnie uznali słowo *light* za oznakę, że mogą wypić dwa razy więcej. Widok własnych brzuchów mógł im zwrócić uwagę na błąd w tym rozumowaniu, ale widocznie nie zwrócił.

Jednak z całego dzisiejszego dnia najbardziej zdumiewało ją, że wcale tego wszystkiego nie nienawidziła. Powinna czuć wstręt do pracy w klubie, ale uwielbiała spędzać czas na dworze, nawet jeśli nie pozwalano jej jeździć po całym polu golfowym, tak jak by chciała. Musiała ciągle sterczeć koło piątego albo czternastego tee. Jednak premią było to, że jej nie wylali.

Spence próbował zapuszczać ukradkowe spojrzenia w głąb bluzki, którą zrobiła z kawałka swojej jedwabnej szaty i teraz nosiła do dżinsów. Przez cały wieczór

napastował Meg, a to przesuwał palcem po kostce jej nadgarstka, a to gładził po ramieniu i krzyżu albo udawał zainteresowanie kolczykami, żeby potrząść płatek ucha. Ted obserwował każdy jego ruch i po raz pierwszy, odkąd się z Meg poznali, wyglądał na zadowolonego z jej obecności.

- Mam taki dylemat, panno Meg. -Spence przechylił się niebezpiecznie blisko.

Przesunęła się w stronę Kenny'ego, co robiła przez cały wieczór, więc już niemal siedziała mu na kolanach. Kenny wydawał się w ogóle na to nie zważać. Widocznie był tak przyzwyczajony do kobiet, które na niego leciały, że nawet tego nie rejestrował. Natomiast Ted rejestrował

wszystko i życzył sobie, by pozostała na miejscu, tam gdzie Skipjack mógł ją obłapiać. Ponieważ

swobodny uśmiech ulubieńca Wynette w ogóle się nie zmieniał, nie miała pojęcia, skąd o tym wie, ale wiedziała i przy następnym spotkaniu sam na sam zamierzała poradzić Tedowi, żeby do swego imponującego życiorysu dopisał stręczycielstwo.

Spence bawił się jej palcami.

- Przyglądam się dwóm niezłym kawałkom ziemi. Jeden znajduje się na obrzeżach San Antone - miasta, które jest ośrodkiem działalności handlowej - drugi tam, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Ted nienawidził zabaw w kotka i myszkę. Od razu poznała, bo odchylił się bardziej do tyłu, tak niewzruszony, jak tylko potrafi być mężczyzna.

- I jest to najpiękniejsze miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc, jakie ktokolwiek widział - stwierdził.

A oni chcą je zniszczyć hotelem, mieszkalnym osiedlem, wychuchanymi fairwayami i nieskazitelnymi greenami.

- Nie zapominaj, że dwadzieścia parę kilometrów za miastem mamy lądowisko. - Kenny obmacywał swoją komórkę.

- Ale prócz tego niewiele więcej - odparł Spence. - Żadnych eleganckich sklepów dla pań. Żadnych nocnych klubów ani wyśmienitych restauracji.

Skeet podrapał się w szczękę, skrobiąc paznokciami po siwiejącym zarostcie.

- Nie uważałbym tego za specjalny minus. To tylko oznacza, że ludzie będą wydawać więcej forsy w twoim centrum golfa.

- Kiedy akurat nie zechce im się wyskoczyć do Wynette po dawkę amerykańskiej tradycji małego miasta - powiedział Ted. - Weź choćby nasz Roustabout. Jest prawdziwy. To nie jakaś podróbka narodowej marki z produkowanymi masowo bawolimi rogami na ścianach. Wszyscy wiemy, że bogaci ludzie cenią sobie autentyczność.

Interesujące spostrzeżenie jak na multimilionera. Dopiero teraz dotarło do Meg, że oprócz niej wszyscy przy tym stole są obrzydliwie bogaci. Nawet Skeet Cooper musiał mieć ładnych parę milionów z nagród pieniężnych, które zarobił, pracując dla Dalliego.

Spence zacisnął dłoń na nadgarstku Meg.

- Zatańczymy? Muszę odpracować obiad.

Nie chciała z nim tańczyć, więc wyrwała rękę pod pretekstem, że musi sięgnąć po serwetkę.

- Właściwie nie rozumiem, dlaczego tak bardzo się zapaliłeś do budowy centrum golfa. Stoisz na czele wielkiej firmy. Po co sobie komplikować życie?



- Pewne rzeczy są przeznaczeniem mężczyzny. -Zabrzmiało to jak kwestia z najgorszego filmu jej ojca. -Kojarzysz faceta o nazwisku Herb Kohler?

- Nie wydaje mi się.

- Kohler Company. Instalacje wodno-kanalizacyjne. Mój główny rywal.

Nigdy nie zwracała specjalnej uwagi na armatury i inne urządzenia łazienkowe, ale nawet ona słyszała o Kohlerze. Skinęła głową.

- Herb jest właścicielem American Club w Kohler, Wisconsin, i czterech najlepszych pól golfowych na Środkowym Zachodzie. Każdy pokój American Club został wyposażony w najnowsze osiągnięcia firmy. Jest tam nawet muzeum urządzeń sanitarnych. Co roku zajmują najwyższe miejsca w rankingach.

- Herb Kohler to naprawdę ktoś - oznajmił Ted tak prostodusznie, że o mało nie przewróciła oczami. Czy tylko ona przejrzała ich gościa na wylot? - W świecie golfa stał się legendą.

Przecież Spencer Skipjack chciał prześcignąć rywala. Dlatego budowa tego centrum była dla niego taka ważna.

- Wielka szkoda, że Herb nie zrealizował swego projektu w miejscu, gdzie można grać przez cały rok - powiedział Dallis. - W Wisconsin bywa cholernie zimno.

- Właśnie dlatego miałem na tyle rozumu, żeby wybrać Teksas - wyjaśnił

Skipjack. - Jako dzieciak często tu przyjeżdżałem odwiedzać rodzinę matki. W Stanie Samotnej Gwiazdy zawsze czułem się u siebie. Bardziej ze mnie Teksasczyk niż Hoosier\*. - Znowu skupił się na Meg. - Gdzieś go wybuduję, bądź pewna i powiedz swemu ojcu, żeby się czuł moim gościem, kiedy tylko zechce sobie pograć.

- Powiem. - Jej wysportowany ojciec nadal uwielbiał koszykówkę i dzięki mamie jeździł konno, ale jakoś nie mogła go sobie wyobrazić machającego kijem.

Tego dnia odbyła oddzielne rozmowy z obojgiem rodziców. Zamiast błagać o pieniądze, powiadomiła ich,

**\* Hoosier - mieszkaniec stanu Indiana.**

że dostała superpracę związaną z obsługą gości w ważnym podmiejskim klubie rekreacyjno-sportowym. Wcale nie twierdziła, jakoby była to posada koordynatora zajęć, ale też nie sprostowała, kiedy mama, wyciągając zupełnie błędne wnioski, mówiła o pożytecznym ujściu dla jej naturalnej kreatywności. Tata po prostu był zadowolony, że zaczęła pracować.

Nie mogła już dłużej usiedzieć cicho.

- Przyszło któremuś z was do głowy, żeby zostawić tę ziemię w spokoju?

Czy świat naprawdę potrzebuje kolejnych pól golfowych pochłaniających jeszcze więcej zasobów naturalnych?

Ted niemal niedostrzegalnie zmarszczył brwi.

- Zielone tereny rekreacyjne utrzymują ludzi w zdrowiu.

- Święta prawda - przytaknął mu Spence, zanim zdążyła napomknąć o golfistach i piwie Bud Light. - Sporo żeśmy się z Tedem o tym nagadali. -

Odsunął do tyłu krzesło. - Chodźmy zatańczyć, lubię ten kawałek.

Co z tego, że to Spence trzymał Meg za ramię, skoro i tak mogłaby przysiąc, że czuje, jak niewidzialna ręka Teda wypycha ją na parkiet.

Skipjack całkiem dobrze tańczył, a piosenka była szybka, więc na początku sprawy układały się nieźle. Ale kiedy zaczęła się ballada, przyciągnął Meg do siebie tak blisko, że czuła napór kłamry jego paska, żeby nie wspomnieć o czymś bardziej nieprzyjemnym.

- Nie mam pojęcia, co się wydarzyło, że wpadłaś w takie finansowe tarapaty. - Potarł nosem jej ucho. - Ale wygląda, że zanim staniesz na nogi, mogłabyś skorzystać z czyjejś opieki.

Miała nadzieję, że nie miał na myśli tego, co podejrzewała, jednak dowód poniżej kłamry paska wskazywał na to, że raczej miał.

- Nie chodzi mi o nic, czym mogłabyś się poczuć skrupowana - dodał. - Po prostu spędźmy trochę czasu we dwoje.

Umyślnie potknęła się o jego stopę.

- Ups. Chciałabym już usiąść. Dorobiłam się dziś kilku odcisków.

Spence nie miał wyboru, musiał odprowadzić ją do stołu.

- Ona nie może dotrzymać mi kroku - narzekał.

- Założyłbym się, że niewielu ludzi może - oznajmił Burmistrz Podlizuch.

Spence przesunął się z krzesłem bliżej i otoczył ramieniem plecy Meg.

- Mam świetny pomysł. Wskoczmy jeszcze dzisiaj do Las Vegas. Ty, Ted też. Zadzwoń po dziewczynę i lećcie z nami. Zaraz przekręcę do mojego pilota.

Był tak pewny ich uległości, że już sięgał po komórkę. Ponieważ żaden z mężczyzn przy stole nie zrobił nic, by go od tego pomysłu odwieść, Meg zrozumiała, że jest zdana sama na siebie.

- Przykro mi, Spence. Jutro muszę pracować. Skipjack mrugnął do Teda.

- Niespecjalny ten klub, w którym pracujesz. A poza tym idę o zakład, że Ted może pogadać z twoim szefem, żeby ci dał parę dni wolnego. Co ty na to, Ted?

- Jeśli on nie może, to ja mogę - oznajmił Dallye, rzucając ją wilkowi na pożarcie.

A Kenny jeszcze go przebił:

- Pozwólcie, że ja to zrobię. Z największą przyjemnością do niego zadzwonię.

Ted w milczeniu wpatrywał się w nią znad swojej butelki piwa. Meg spojrzała mu prosto w oczy, tak wściekła, że aż piekła ją skóra. Wiele ostatnio zniosła, ale tego nie zamierzała tolerować.

- Rzecz w tym... - oświadczyła, wyraźnie oddzielając sylaby - że właściwie nie jestem wolna. Emocjonalnie.

- To znaczy? - zapytał Spence.

- To... skomplikowane. - Poczula przyptyw mdłości. Dlaczego życie nie mogło być zaopatrzone w przycisk, pauza? Potrzebowała go natychmiast, bo bez czasu do namysłu musiała powiedzieć pierwszą z brzegu bzdurę, najgłupszą bzdurę. Ale cóż, skoro nie mogła wcisnąć pauzy... - Ted i ja.

Szyjka butelki szczęknęła Tedowi o zęby. Kenny ożywił się. Skipjack wyglądał na zdezorientowanego.

- Dziś rano powiedziałaś, że nie jesteście parą. Meg wycisnęła na usta promienny uśmiech.

- Bo nie jesteśmy - odparła. - Jeszcze. Ale nie tracę nadziei. - Reszta uwięzła jej w gardle. Właśnie potwierdziła wszystko, co powszechnie sądzono o motywach jej ingerencji w ślub.

Jednak Kenny rozparł się wygodnie, z miną bardziej rozbawioną niż potępiającą.

- Ted zawsze tak działa na kobiety. Nikt z nas nie potrafi zrozumieć jakim cudem.

- Ja na pewno nie potrafię. - Ojciec Teda dziwnie spojrzał na nią z ukosa.

- Najzwyczajniejszy chłopak pod słońcem.

Cedząc słowa przez wargi rozciągnięte w leniwym uśmiechu, Ted oznajmił:

- Na to nie ma szans, Meg.

- Czas pokaże. - Widząc, jak bardzo go to irytuje ochoczo rozwijała temat, mimo że coraz bardziej się wikłała. - Mam przykre doświadczenia z zakochiwaniem się w najgorszych mężczyznach. - Pozwoliła, żeby ta informacja przez chwilę aklimatyzowała się w ich głowach. - Nie twierdzę, że Ted nie jest idealny. Oczywiście, jest. Nawet trochę za bardzo, ale... pociąg do drugiego człowieka bywa pozbawiony logiki.

Grube, ciemne brwi Spencera zbiegły się na środku czoła.

- Czy on zaledwie miesiąc temu nie miał się żenić z prezydencką córką?

- Pod koniec maja - odparła. - Lucy jest moją najlepszą przyjaciółką. To była totalna porażka, jak pewnie czytałeś w prasie. - Ted obserwował

Meg z niezmiennie swobodnym uśmiechem, ale w kąciku oka drgał mu mikroskopijny nerw. Zaczynało robić się naprawdę zabawnie. - Lucy nigdy nie była dla niego odpowiednia. Pomogłam mu to sobie uświadomić i szczerze mówiąc, jego wdzięczność wprawiałaby mnie w zakłopotanie,' gdybym nie była tak po uszy zakochana.

- Wdzięczność? - Głos Teda przypominał hartowaną stal.

A, co tam. Nonszalancko machnęła ręką i zaczęła koloryzować z biegłością godną swego ojca aktora i dra-matopisarza.

- Mogłabym odgrywać skromni się i udawać, że do szaleństwa - dokładnie to mam na myśli: do szaleństwa - się w nim nie zakochałam. Ale nigdy nie byłam osobą, która uprawia jakieś gierki. Ja rzucam karty na stół. To na dłuższą metę lepsze.

- Szczerłość jest cechą godną podziwu - oznajmił Kenny, nie próbując ukrywać, jak dobrze się bawi.

- Wiem, co sobie wszyscy myślicie. Że nie mogłam tak szybko się w nim zakochać, bo - bez względu na różne plotki - doskonale wiecie, że nie ja rozwaliałam jego ślub. Ale... - Obrzuciła Teda spojrzeniem pełnym uwielbienia. - Ale teraz to dla mnie co innego. Zupełnie co innego. - Nie mogła się powstrzymać, żeby nie dolać oliwy do ognia. - I... sądząc z jego wczorajszej nocnej wizyty...

- Ted złożył ci w nocy wizytę? - przerwał jej Dallis.

- Romantyczne, prawda? - wyprodukowała rozmarzony uśmiech. - O

północy. Na galeryjce chóru...

Ted poderwał się na równe nogi.

- Zatańczymy.

Przechyliwszy głowę, zamieniła się w uosobienie żalu.

- Odciski.

- Wolny taniec - powiedział aksamitnym głosem. - Możesz stanąć na moich stopach.

Zanim zdążyła wymyślić jakiś wykręt, już ją trzymał za ramię i ciągnął na zatłoczony parkiet, po czym przycisnął do siebie, o mało nie dusząc.

Przynajmniej nie miał paska, więc nie musiała znosić klamry - ani niczego innego, co wciskałoby się jej w ciało. W przypadku Teda Beaudine'a twardy był jedynie wyraz jego oczu.

- Za każdym razem, kiedy mi się wydaje, że nie możesz spowodować już więcej kłopotów, potrafisz mnie zaskoczyć.

- A co miałam zrobić? - odparowała. - Polecieć z nim do Vegas? Od kiedy to stręczycielstwo należy do twoich obowiązków?

- Sprawy nie zaszłyby tak daleko. Jedyne co miałaś zrobić, to być miłą.

- A niby dlaczego? Nienawidzę tego miasteczka, już zapomniałeś? Guzik mnie obchodzi, czy powstanie to wasze głupie centrum golfa. Wcale nie chcę, żeby powstało.

- Więc dlaczego do tej pory nam pomagałaś?

- Bo się sprzedałam. Dla pełnego brzucha.

- To jedyny powód?

- Nie wiem... Wydawało mi się, że tak trzeba. Bóg jeden wie czemu.

Wbrew powszechnej opinii nie jestem

podłą suką, za którą wszyscy mnie tu mają. Co nie znaczy, że dla dobra Wynette zamierzam zostać dziwką.

- Nigdy nie twierdziłem, że jesteś podła. - Miał jeszcze czelność wyglądać na urażonego.

- Chyba widzisz, że on się mną interesuje wyłącznie z powodu mego ojca

- syknęła. - To mały człowieczek z wielkim ego. Towarzystwo sławnych ludzi, nawet takich rezerwowych jak ja, sprawia, że czuje się ważny.

Gdyby nie moi rodzice, nawet by na mnie nie spojrział.

- Tego nie byłbym taki pewny.

- Daj spokój, Ted. Nie jestem typem laleczki bogatego faceta.

- To prawda. - Ogrom współczucia złagodził mu głos. - Laleczki zwykle są życzliwymi kobietami, z którymi miło jest przebywać.

- Mówisz z doświadczenia, jak rozumiem. Przy okazji, na polach golfowych możesz sobie być Bogiem Wszechmogącym, ale tańczysz beznadziejnie. Pozwól, że ja poprowadzę.

Zgubił krok i popatrzył na nią dziwnie, jakby wreszcie go zaskoczyła, chociaż nie miała pojęcia

czym, więc powtórnie przystąpiła do ataku.

- Właściwie to jest pomysł. Dlaczego ty i twoja kochanka nie mielibyście polecieć ze Spencerem do Vegas? Jestem pewna, że w waszym towarzystwie świetnie by się bawił.

- To naprawdę cię wkurza, co?

- Fakt, że zdradzałeś Lucy? Och, tak. Ją teraz zżera poczucie winy. Więc nie łudź się nawet przez sekundę, że nie powiadomię jej o wszystkich brudnych szczegółach, kiedy tylko będziemy miały szansę dłużej pogadać.

- Wątpię, żeby ci uwierzyła.

- Przede wszystkim nie rozumiem, czemu w ogóle się jej oświadczyłeś.

- Brak żony zaczął mnie wstrzymywać - odparł. - Byłem gotów przejść do następnego etapu życia i potrzebowałem do tego odpowiedniej kobiety.

Kogoś efektownego. Prezydencka córka nadawała się idealnie.

- Kiedykolwiek ją kochałeś? Chociaż trochę?

\_ Zwariowałaś? Od samego początku to była fikcja.

Coś jej mówiło, że Ted stawia zasłonę dymną, ale sztuka czytania w myślach, którą uprawiała przez cały wieczór, tym razem ją zawiodła.

- Bycie tobą musi być trudne - powiedziała. - Na zewnątrz Mister Chodząca Doskonałość. W środku Doktor Chodząca Nikczemność.

- Niespecjalnie trudne. Reszta świata nie jest aż tak przenikliwa jak ty.

Jego swobodny uśmiech prześlizgnął się po niej i mikroskopijny ładunek energii - niemal niezauważalny - tak mały, że prawie żaden - ale jednak -

podrażnił końcówki jej nerwów. Nie wszystkich. Tylko kilku. Tych usytuowanych gdzieś na południe od pępka.

- O cholera! - wykrzyknął Ted, idealnie oddając jej uczucia.

Odwróciła głowę i ujrzała, co przykuło jego uwagę. Prosto w kierunku Spence'a zmierzała piękna brunetka.

Ted puścił Meg i spokojnie zawrócił do stołu. Z taką determinacją spokojnie, że nie zdziwiłaby się, gdyby na podłodze zostały po nim odciski stóp. Zahamował dokładnie w chwili, kiedy jego kochanka wyciągnęła do

gościa rękę.

- Cześć. Jestem Torie Traveler O'Connor.

## *Rozdział 9*

TORIE TRAVELER O'CONNOR? Meg przypomniała sobie rozmowę podsłuchaną poprzedniej nocy. Zameżna kochanka Teda to siostra Kenny'ego?

Teksański akcent Torie był rozlewną dekadencją. - Słyszałam, że ich dziś zniszczyłeś, Spence. Nie masz nic przeciwko temu, żebym się tak do ciebie zwracała? Musiałam poznać mężczyznę, który dołożył tym starym wygom.

Spence wyglądał, jakby chwilowo oniemiał. Nietrudno było się domyślić, jak Torie ze swoimi nieskazitelnymi rysami, burzą kruczoczarnych włosów i długimi nogami w obcisłych, superdrogich dzinsach mogła doprowadzić go do takiego stanu. Przy wyciętym w łódkę dekolcie jej topu chygotały się trzy małe srebrne wisioriki, na lewej ręce migotał

olbrzymi diament, a dwa pozostałe, niemal tak samo duże, lśniły w płatkach uszu

Kenny gniewnie zmarszczył brwi. Kiedy tacy nieprzeciętnie urodziwi stali obok siebie, rzucało się w oczy, że muszą być rodzeństwem.

- Dlaczego nie zostałeś w domu pilnować moich siostrzenic?

- Bo wreszcie zasnęły. Wystarczyło parę xanaksów ukrytych w ciasteczkach Twinkie, chociaż nie... w monsterach.

- Tęsknią za ojcem - stwierdził Kenny. - Jediną osobą, która ma stabilizujący wpływ na ich życie.

Torie uśmiechnęła się szeroko.

- Jutro już wraca. Żartobliwie szturchnęła brata.

- Właśnie rozmawiałam z lady Emmą. Powiedziała, że ręka już jej nie boli i że jeśli jeszcze raz zadzwonisz, nie pójdzie z tobą dziś do łóżka. -

Pocałowała Teda

w policzek. - Cześć, Panie Burmistrzu. Chodzą słuchy, że grałeś naprawdę paskudnie.

- Oprócz kończącego rundę eagle'a i kilku birdie - uzupełnił jej brat. -

Najbardziej niespotykana rozgrywka, jaką kiedykolwiek widziałem.

Torie rozejrzała się za miejscem i nie widząc wolnego krzesła, przycupnęła na prawym udzie Teda.

- Dziwne. Zwykle grasz spójnie.

- Spence zbił mnie z tropu. - Odpowiedź Teda miała wszelkie znamiona szczerości. - To najlepszy handi-cap-7, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia.

Kenny rozparł się na krześle.

- Dzieje się tu dzisiaj masa ciekawych rzeczy, Torie. Tuż przed twoim przyjściem Meg powiadomiła Spence'a o swojej nieodwzajemnionej miłości do Teda. Kto by pomyślał, co?

Oczy brunetki otworzyły się szerzej ze zdumienia, które niemal natychmiast zastąpił wyraz niecierpliwiej ciekawości. I wtedy Meg zrozumiała: chociaż Torie obejmowała Teda, balansując na jego udzie niczym gibka pantera-pożeraczka mężczyzn, oni nie byli kochankami.

Nie miała pojęcia, na czym polega ta relacja ani dlaczego, kiedy ich nakryła w apartamencie zajazdu, ta kobieta była owinięta ręcznikiem, ani czemu pocałowała go wtedy w samochodzie. Wbrew wszelkim dowodom

-i wbrew temu, co mówił sam Ted - Meg wiedziała z absolutną pewnością, że tych dwojga nie łączy nic intymnego.

Torie pociągnęła łyk z butelki Teda i skierowała uwagę na bohaterkę wieczoru.

- Nigdy nie mam dość kobiecych historii, zwłaszcza tych męsko-damskich. Słowo daję, gdybym nie musiała ciągle uganiać się za dzieciakami, codziennie czytałabym romanse. Czy właśnie wyrzuciłaś to z siebie? Powiedziałaś mi, co czujesz?

Meg usiłowała wyglądać na szczerą.

- Wierzę w uczciwość.

- Ona nie wątpi, że on da się przekonać - poinformował siostrę Kenny.

Nie odrywając oczu od Meg, Torie podała butelkę Tedowi.

- Podziwiam twoją pewność siebie. Meg rozłożyła dłonie.

- A dlaczego miałby nie dać się przekonać? Tylko na mnie popatrz.

Spodziewała się parsknięcia, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Interesujące - stwierdziła Torie.

- Wcale nie interesujące. - Ted odsunął swoje piwo poza zasięg jej ręki.

Torie przyjrzała się kolczykom z okresu dynastii Sung.



- W tej sytuacji chyba lepiej, że nie słyszałaś o nowym pomysle mojej macochy na zbiórke funduszy dla biblioteki.

- Shelby nie rozmawiała ze mną o żadnym pomysle - zdziwił się Ted.

Zbyła go niecierpliwym gestem.

- Pewnie wcześniej czy później ktoś ci o tym wspomni. Komitet nie dopracował jeszcze wszystkich szczegółów.

Ted zmierzył wzrokiem Kenny'ego.

- Lady Emma nic ci o tym nie mówiła?

- Ani słowa.

Torie była kobietą z misją, więc nie pozwalała na długo odrywać się od właściwego tematu.

- Twoja szczerość jest taka ożywcza, Meg. A dokładnie, kiedy do ciebie dotarło, że się w nim zakochałaś? Przed czy po tym, jak Lucy go rzuciła?

- Daj spokój - powiedział prosząco Ted.

Piękna pani O'Connor zadarła swój idealny nos w górę.

- Nie mówiłam do ciebie. Jeśli chodzi o kobiety, zawsze opuszczasz najciekawsze kawałki.

- Po jej odejściu - odparła Meg i dodała już bardziej ostrożnie: -

Naprawdę nie ma o czym opowiadać. Nie tracę nadziei, że... poradzę sobie z problemami emocjonalnymi Teda.

- Przypomnij mi, jakie to problemy - ucieszyła się Torie. - On jest absolutnie doskonały. - Cichy okrzyk wymknął się spomiędzy jej lśniących warg. - O Boże, Teddy... Chyba nie te problemy! Mówiłeś nam, że Viagra pomogła. - Pochyliła się w stronę Spence'a i teatralnym szeptem wyjaśniła: - Ted dzielnie walczył z dysfunkcją erekcji.

Skeet zakrztusił się piwem. Kenny zachichotał. Dally się skrzywił, a Spencer zmarszczył brwi. Nie był całkowicie pewien, czy Torie mówi serio, a bardzo nie lubił czuć się wykluczony. Meg po raz pierwszy doświadczyła przebłysku współczucia. Nie dla Spence'a. Dla Teda, który wyglądał równie spokojnie i pogodnie jak zwykle, chociaż bez wątplenia spokojny i pogodny być nie mógł.

- Torie żartuje, Spence. - Więcej niż przesadnie wywróciła oczami. -

Naprawdę, naprawdę żartuje. - A po chwili dodała z udawanym poczuciem winy: - Przynajmniej tak słyszałam.

- Dobra, dosyć już. - Podrywając się z krzesła, Ted o mało nie zrzucił

Torie pod stół. - Chodź, zatańczymy. - Chwycił ją za nadgarstek.

- Gdybym chciała tańczyć, poprosiłabym mego brata - odparowała. -

Albo kogokolwiek innego, kto nie ma dwóch lewych nóg.

- Nie jestem taki okropny.

- Wystarczająco.

Kenny wyjaśnił Spence'owi:

- Moja siostra jest jedyną kobietą w Wynette, a może nawet na całym świecie, która powiedziała mu prawdę o jego tanecznym antytalencie.

Reszta mruga słodko oczami i udaje, że ma przed sobą Justina Timberlake'a. Mówię ci, boki można zrywać.

Spojrzenie Teda przelotnie musnęło oczy Meg. Potem odwrócił się i pociągnął Torie w stronę szafy grającej.

Skipjack nie odrywał od nich wzroku.

- Twoja siostra jest niezwykłą kobietą.

- Komu to mówisz?

- Wydaje się, że są sobie bardzo sobie bliscy.

- Torie to najlepsza przyjaciółka Teda, odkąd byli dziećmi - wyjaśnił

Kenny. - I chyba jedyna kobieta przed sześćdziesiątką, która nigdy nie była w nim zakochana.

- A jej mąż nie ma nic przeciwko tej przyjaźni?

- Dex? - Kenny uśmiechnął się. - Nie. Dex jest bardzo pewny siebie.

Wyglądało na to, że Ted raczej wygłasza kazanie, niż tańczy. Kiedy wreszcie wrócili do stołu, ostentacyjnie złapał wolne krzesło i posadził

Torie możliwie najdalej od Skipjacka. Co bynajmniej jej nie powstrzymało. Reklamowała zalety Wynette jako idealnego miejsca na centrum golfa, czyniła próby wybadania, ile Spence jest wart, zaprosiła go do Shelby Traveler na poniedziałkowe przyjęcie z okazji 4 Lipca, a na koniec wymusiła na nim obietnicę meczu w sobotę po południu.

Ted sprawiał wrażenie urażonego. Szybko zapowiedział, że on i Kenny też do nich dołączą. Torie

zerknęła na Meg. Płatny błysk w jej oczach wyjaśniał, dlaczego chcieli ją trzymać z dala od gościa.

- Meg znowu będzie caddym Teda, prawda? Ted i Meg odpowiedzieli jednocześnie:

- Nie!

Ale Kenny z jakiegoś nieodgadnionego powodu uznał, że to świetny pomysł, a wobec oświadczenia Spence'a, że bez Meg mecz straci połowę uroku, krwawymi literami pojawiła się zapowiedź katastrofy.

Kiedy Spencer zniknął w męskiej toalecie, rozmowa stała się poważniejsza.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedziała Torie. - Jeszcze wiosną jasno dano nam do zrozumienia, że Spence wykluczył Wynette i zdecydował

się na San Antone. A teraz zniemacka znów się pojawia i twierdzi, że Wynette ma szansę. Chciałabym wiedzieć, co się stało, że zmienił zdanie?

- Ludzie z San Antone są równie zdumieni jak my - odparł Ted. - Myśleli, że mają już umowę w kieszeni.

- Trudno. - Torie pomachała do kogoś przez całą salę. - Nam to centrum jest bardziej potrzebne niż im.

Kiedy nadeszła pora zakończenia wieczoru, Dally uparł się, że podrzuci Spence'a do zajazdu. W ten sposób Meg znalazła się sam na sam z Tedem w jego mercedesie. Zaczekała, aż wyjechali na autostradę i dopiero wtedy przerwała milczenie.

- Nie masz romansu z siostrą Kenny'ego.

- Muszę ją o tym zawiadomić.

- I wcale nie zdradzałeś Lucy.

- Skoro tak twierdzisz.

- Poza tym - patrzyła, jak swobodnie jego dłonie trzymają kierownicę; czy temu szczęściarzowi cokolwiek przychodziło z trudem? - jeśli chcesz, żebym dalej współpracowała w sprawie Spence'a, a zapewniam cię, że chcesz, musimy dojść do porozumienia.

- Kto mówi, że cię potrzebuję?

- Och, potrzebujesz, to jasne. - Zanurzyła palce we włosach. -

Fascynujące, że takie wrażenie robi na nim mój ojciec, a siłą rozpędu ja też. Co zresztą jest zniewagą dla mamy, zważywszy, ile znaczy w przemyśle filmowym. Nie wspominając już o tym, że należy do najpiękniejszych kobiet świata. Chociaż nie, Spence mówił, że kiedyś miał w sypialni jej plakat.

Krótko mówiąc, z jakiegoś pokręconego powodu ten facet zdecydowanie jest mną oczarowany. A to oznacza, że przeszłam z kategorii pasywów do aktywów i ty, mój przyjacielu, musisz starać się nieco bardziej, żeby mnie usatysfakcjonować. Poczynając od tego godnego pożałowania napiwku. Spence dał dzisiaj Markowi sto dolarów.

- Mark nie kosztował Spence'a trzech dołków i Bóg wie ilu kiepskich uderzeń. Ale dobrze. Jutro dam ci sto dolarów. Minus pięćdziesiąt za każdy dołek, który przez ciebie stracę.

- Minus dziesięć za każdy dołek, który przeze mnie stracisz i umowa stoi.

Przy okazji, nie zależy mi nadmiernie na diamentach i różach, ale otwarty rachunek w sklepie spożywczym byłby mile widziany.

Rzucił jej z ukosa jedno ze swoich świętoszkowatych spojrzeń.

- Myślałem, że jesteś zbyt dumna, żeby przyjmować ode mnie pieniądze.

- Przyjmować, tak. Zarobić? Zdecydowanie nie.

- Spence nie doszedłby tam, gdzie jest, gdyby był głupcem. Wątpię, żeby kupił tę idiotyczną historyjkę o nieodwzajemnionej namiętności, którą do mnie żywisz.

- Lepiej nich kupi, bo nie zamierzam pozwolić, żeby mnie znowu obmacywał. Nawet za wszystkie ośrodki golfowe świata. Twój nieodparty urok jest świetną wymówką.

Zerknął na nią, unosząc brew, po czym skręcił w ciemną, wąską drogę wiodącą do jej tymczasowego domu.

- Może powinnaś to jeszcze przemyśleć. Wygląda nieźle, jest bogaty.

Szczerze mówiąc, mógłby być odpowiedzią na twoje modlitwy.

- Gdybym zamierzała wyznaczać cenę na swoje wdzięki, znalazłabym apetyczniejszego nabywcę.

To mu się wyraźnie spodobało, bo kiedy zatrzymali się przed kościółkiem, jeszcze uśmiechał się szeroko. Meg otworzyła drzwi, żeby wysiąść. Ted przesunął ramię ponad oparciem pasażerskiego fotela i wlepił w nią spojrzenie, którego zupełnie nie potrafiła rozszyfrować.

- Biorąc pod uwagę intensywność twego uczucia -oznajmił - zakładam, że jestem zaproszony?

Uwięził ją w blasku swoich długich świateł, tych bursztynowych oczu ofiarowujących eliksir jego skupionej uwagi, absolutnego zrozumienia, głębokiego uznania i wybaczenia wszystkich przewin.

Robił sobie z niej jawne kpiny.

Meg udało się westchnąć tragicznie.

- Zanim będę mogła pomyśleć o ujawnieniu ci moich żądź, muszę poradzić sobie z twoją nieziemską doskonałością.

- Jak wielkich żądź?

- Niebotycznych. - Wyślizgnęła się z auta. - Dobranoc, Theodore.

Słodkich snów.

Kiedy wchodziła po schodach, samochodowe reflektory oświetlały jej drogę. Wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi. Kościółek spowił ją mrokiem. Pusty i odludny.

Następny dzień spędziła, jeżdżąc wózkiem z napojami. Nie została wylana, co uznała za swoje główne

osiągnięcie, ponieważ nie zdołała się powstrzymać od pouczenia kilku golfistów, żeby cholerne puszki po napojach wyrzucali do pojemników recyklingowych, a nie do koszy na śmieci. Szczególnie nieprzyjaźnie traktował ją Bruce Garvin - ojciec przyjaciółki Birdie, Kayli. Meg podejrzewała, że swoje dalsze zatrudnienie zawdzięcza wyłącznie zainteresowaniu Spencera Skipjacka. Była również głęboko wdzięczna losowi, iż wieść o jej miłosnych wyznaniach najwyraźniej się nie rozprzestrzeniła. Widocznie świadkowie tej sceny postanowili utrzymać sprawę w tajemnicy. Jak na małe miasteczko, istny cud.

Zajrzawszy do baru po świeżą porcję lodu i napojów, przywitała się z córką Birdie. Haley zwięźła w szwach swoją służbową koszulkę polo albo wymieniła się z kimś mniejszym, bo zarys jej biustu wystawiony był na pełny widok.

- Dzisiaj gra pan Collins - powiedziała - a on jest maniakiem gatorade, więc sprawdź, czy masz zapas.

- Dzięki za radę. - Meg wskazała gablotę ze słodyczami. - Masz coś przeciwko temu, żebym wzięła kilka batoników? Wrzucę je na lód i zobaczę, czy się będą sprzedawać.

- Niezły pomysł. Gdybyś gdzieś wpadła na Teda, powiedz mu, że muszę z nim pogadać, dobrze?

Meg miała szczerą nadzieję, że nigdzie na niego nie wpadnie.

- Wyłączył komórkę - dodała Haley - a dzisiaj mam mu zrobić zakupy.

- Robisz mu zakupy?

- Załatwiam dla niego sprawunki, przesyłki pocztowe. Takie rzeczy, którymi sam nie ma czasu się zająć. - Wyjęła z parowaru kilka hot dogów.

- Chyba już ci mówiłam, że jestem jego osobistą asystentką.

- Faktycznie. Mówiłaś. - Meg ukryła rozbawienie. Dorastała wśród osobistych asystentek i miały one

na głowie o wiele więcej niż latanie po zakupy.

Wróciwszy wieczorem do domu, otworzyła wszystkie okna -

zadowolona, że znikła konieczność dyskrecji - i poszła popływać w zatoczce. Potem usiadła po turecku na podłodze i rozpoczęła przegląd sztucznej biżuterii, którą pozwolono jej wziąć z klubowej skrzynki nieodebranych znalezisk. Lubiła zajmować się biżuterią, a w ciągu ostatnich kilku dni zaświtał jej w głowie pewien pomysł. Wyciągnęła stare wydłużone szczypce, które znalazła kiedyś w kuchennej szufladzie i zaczęła rozkładać na części taniutką bransoletkę z wisiorcami.

Na zewnątrz zatrzymał się jakiś samochód. Po chwili do kościółka wkroczył Ted, jak zwykle niedbały i wspaniały, w granatowych luźnych spodniach i pogniecionej, szarej sportowej koszuli.

- Nigdy nie słyszałeś o stukaniu do drzwi? - zapytała.

- Nigdy nie słyszałaś o naruszaniu cudzej własności?

Rozpięty kołnierzyk odsłaniał opalone wgłębienie u nasady szyi.

Wpatrywała się w nie ociupinę za długo, po czym gwałtownie dźgnęła kółko przymocowane do zatrzasku bransoletki.

- Dostałam dziś esemes od Lucy.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Wszedł głębiej do sali, wnosząc ze sobą przyprawiającą o mdłości woń skondensowanych cnót.

- Nadal nie chce mi powiedzieć, co robi ani dokładnie gdzie jest. - Meg skrzywiła się, bo szczypce ześlizgnęły się z kółka i przytrzasnęły jej palec. - Mówi tylko, że nie porwali jej terroryści, więc nie powinnam się martwić.

- Powtarzam. Nie obchodzi mnie to. Wsadziła stłuczony palec do ust i zaczęła ssać.

- Owszem, obchodzi. Chociaż nie w taki sposób, w jaki obchodziłoby większość mężczyzn porzuconych przed ołtarzem. Twoja duma została zraniona, ale serca nie masz nawet poobijanego. Nie mówiąć już o złamanym.

- Nic nie wiesz o moim sercu.

Przemożna chęć dokuczenia mu nie chciała jej opuścić. Odrywając wzrok od wstrętnego, rozchylonego kołnierzyka, Meg przypomniała sobie ciekawostkę, którą zasłyszała od Haley.

- Nie sądzisz, że dla mężczyzny w twoim wieku mieszkać z rodzicami to trochę żenujące?

- Nie mieszkam z rodzicami.

- Wystarczająco blisko. Masz dom w tej samej posiadłości.

- To duża posiadłość, a oni lubią, kiedy jestem w pobliżu.

W przeciwieństwie do jej rodziców, którzy wykopali ją za drzwi.

- Jakie to słodkie - skwitowała. - Czy mamusia-superlaska otula cię kołderką na noc?

- Nie, chyba że ją o to poproszę. Akurat ty nie bardzo możesz sobie żartować z mamuś-superlasek.

- Fakt. Ale ja z moją nie mieszkam. - Nie podobało jej się, że tak nad nią sterczy, więc dźwignęła się z podłogi i ruszyła w stronę jedyne go mebla w swoim salonie, brzydkiego brązowego tapicerowanego fotela, który tu zastała. - Czego chcesz?

- Niczego. Po prostu odpoczywam. - Ted, który w międzyczasie zawędrował pod okno, bezmyślnie przesuwiał palcem wzdłuż framugi.

Meg przysiadła na poręczy fotela.

- Na pewno prowadzisz wyczerpujące życie. Ty w ogóle pracujesz? To znaczy, oprócz ciepłej posadki w ratuszu.

Jej pytanie najwyraźniej go rozbawiło.

- Pewnie, że pracuję. Mam biurko i temperówkę, i całą resztę.

- Gdzie je masz?

- W sekretnym miejscu.

- Żeby trzymać wielbicielek z daleka?

- Żeby wszystkich trzymać z daleka. Przez chwilę rozważała tę informację.

- Obiło mi się o uszy, że wynalazłeś jakiś niesamowity system oprogramowania, na którym zarobiłeś miliony, ale niewiele o tym słyszałam. Więc jaka to praca?

- Lukratywna. - Szybkim, skruszonym gestem przechylił głowę. -

Przepraszam. Obce słowo. Mogłaś nie zrozumieć.

- To już szczyt wszystkiego.

Uśmiechnął się i wlepił spojrzenie w wiatrak na suficie.

- Nie do wiary, jak gorąco, a to dopiero pierwszy lipca. Trudno przewidzieć, o ile się jeszcze ociepli. - Potrząsnął głową z miną prostodusznego niewiniątka. - Chciałem tu dla Lucy zainstalować klimatyzację, ale teraz się cieszę, że tego nie zrobiłem. Emisja tych wszystkich fluorowanych węglowodorów do atmosfery na pewno spędzałaby ci sen z powiek. Masz piwo?

Spojrzała na niego spode łba.

- Ledwie mogę sobie pozwolić na mleko do płatków.

- Nie płacisz czynszu za mieszkanie - zauważył. - Mogłabyś przynajmniej trzymać w lodówce piwo dla gości.

- Nie jesteś gościem. Jesteś zarazą. Czego chcesz?

- To mój kościółek, pamiętasz? Nie muszę niczego chcieć. - Czubkiem zdartego, ale bardzo drogiego mokasy na wskazał rozłożone na podłodze błyskotki. - Co to jest?

- Sztuczna biżuteria. - Meg uklękła i zaczęła je zbierać.

- Mam nadzieję, że drogo za nią nie zapłaciłaś. Zresztą, co się komu podoba.

Podniosła na niego wzrok.

- Czy to miejsce ma jakiś adres pocztowy?

- Oczywiście, że ma. Dlaczego pytasz?

- Chcę wiedzieć, gdzie mieszkam, to wszystko. - Chciała też, żeby przysłano jej kilka potrzebnych rzeczy z jej własnej szafy w domu.

Znalazła skrawek papieru i zapisała adres, który podyktował Ted, po czym wskazała głową drzwi na zaplecze kościółka. - Skoro już tu jesteś, czy mógłbyś włączyć ciepłą wodę? Zaczynam mieć dość zimnych pryszniców.

- Mnie to mówisz? Uśmiechnęła się.

- Niemożliwe, czyżbyś ciągle jeszcze doświadczał skutków trzymiesięcznego seksualnego moratorium?

- Cholera, ależ wy, kobiety, nie umiecie trzymać języka za zębami.

- Mówiłam jej, że to głupie. - Żałowała, że nie jest na tyle podła, by przekazać mu wiadomość o nowym kochanku Lucy.

- Wreszcie w jakiej sprawie się zgadzamy.

- Ale przecież... - Powróciła do pakowania swoich błyskotek. - Wszyscy wiedzą, że możesz mieć każdą bezmózgą kobietę w Wynette. Zupełnie nie rozumiem, na czym polega twój problem ze znalezieniem towarzystwa do łóżka.

Popatrzył na nią, jakby właśnie została członkinią Klubu Idiotek.



- Racja - zreflektowała się. - Przecież to Wynette, a ty jesteś Ted Beaudine. Gdybyś przeleciał jedną z nich, musiałbyś przelecieć wszystkie.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Zamierzała go zirytować, a nie rozbawić, więc wymierzyła kolejny cios.

- Szkoda, że się myliłam co do ciebie i Torie. Potajemny romans z mężatką mógłby rozwiązać twój problem. Prawie równie dobrze jak małżeństwo z Lucy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Wyciągnęła nogi i oparta na dłoniach odchyliła się do tyłu.

- Żadnych kłopotliwych emocjonalnych głupot. Rozumiesz. Takich jak prawdziwa miłość czy autentyczna namiętność.

Wpatrywał się w nią przez chwilę tymi nieprzeniknionymi tygrysimi oczami.

- Myślisz, że pomiędzy mną i Lucy nie było namiętności?

- Bez obrazy - okay, może z małą obrazą - ale szczerze wątpię, czy jesteś zdolny wykrzesać z siebie namiętność.

Zwykły śmiertelnik wkurzyłby się, ale nie święty Theodore. On wydawał

się tylko zamyślony.

- Wyjašnjmy sobie jedną rzecz. Emocjonalny popa-praniec, taki jak ty, analizuje mnie?

- Świeży punkt widzenia.

Pokiwał głową. W zadumie. A potem zrobił coś bardzo nie w stylu Teda Beaudine'a. Opuścił powieki i przejechał po niej paskudnym spojrzeniem.

Sunąc od samej góry w dół ciała. Zatrzymując się po drodze to tu, to tam. Usta. Piersi. Szczyty ud. I pozostawiając po sobie gorące, małe wiry pragnienia.

Kompletna zgroza, że nie jest na niego odporna, poderwała ją do działania. Meg skoczyła na równe nogi.

- Daremny trud, panie B. Oczywiście, chyba że zapłacisz.

- Zapłacę?

- Przecież wiesz. Gruby plik dwudziestek na toaletce już po wszystkim.

Ups... Nie mam toaletki. No cóż, to załatwia sprawę.

Wreszcie zdołała go zirytować. Sztywnym krokiem udał się do pomieszczeń na zapleczu włączyć gorącą wodę albo wysadzić budynek w powietrze. Meg miała szczerą nadzieję, że chodzi o to pierwsze. Niewiele później usłyszała trzaśnięcie tylnych drzwi, a po kilku chwilach przed kościółkiem zawarczał samochód. Poczła się dziwnie rozczarowana.

Nazajutrz odbyła się rozgrywka dwóch drużyn. Ted i Torie grali przeciwko Kenny'emu i Spence'owi.

- Wczoraj musiałem być w Austin - powiedział Spencer do Meg - i za każdym razem, kiedy widziałem piękną kobietę, myślałem o tobie.

- A to niby dlaczego?

Ted szturchnął ją dyskretnie, a Spence odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Jesteś niebywała, panno Meg. Wiesz, kogo mi przypominasz?

- Mam nadzieję, że młodą Julię Roberts.

- Przypominasz mi mnie samego, ot co. - Poprawił słomkową panamę. -

Zycie przynosiło mi wiele wyzwań, a ja zawsze stawiałem im czoło.

Ted walnął ją w plecy.

- Wypisz wymaluj cała nasza Meg.

Zanim dotarli do trzeciego greenu, usychała już z gorąca, ale i tak była szczęśliwa, że jest na dworze. Zmuszała się do koncentracji na roli idealnego caddy'ego, jednocześnie nie szczędząc Tedowi pełnych zachwyty spojrzeń, ilekroć Spence stawał się zbyt poufały.

- Mogłabyś przestać! - warknął Ted, kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu pozostałych graczy.

- A co ci to przeszkadza?

- Denerwuje mnie i tyle - poskarżył się. - Czuję się jak w potrzasku alternatywnej rzeczywistości.

- Powinieneś być przyzwyczajony do objawów uwielbienia.

- Nie w twoim wykonaniu.

Wkrótce stało się jasne nawet dla niej, że Torie stanowi silną konkurencję. Jednak na ostatnich dziewięciu dołkach niespodziewanie zaczęła chybiać. Ted ani na chwilę nie tracił czarujących manier. Dopiero kiedy znalazł się z Meg sam na sam, potwierdził jej podejrzenia. Torie przegrywała z rozmysłem.

- Strzał na odległość zaledwie trzech stóp - zrzędził - a jej piłka zawisa na krawędzi dołka. Spence może tu tkwić jeszcze tygodniami. Każdy, kto uważa, że będę z nim przegrywał wszystkie mecze,

musi mieć źle w głowie.

- Co wyjaśnia, dlaczego Torie spartoliła to uderzenie. - Przynajmniej jeszcze ktoś oprócz niej rozumiał ego Skipjacka. Meg dyskretnie rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu najnowszego pokrowca, który najwyraźniej gdzieś się zawieruszył. - Spójrz pan na sytuację szerzej, burmistrzu. Skoro już zdecydowałaś się zniszczyć tutejsze środowisko naturalne, musisz wziąć przykład z Torie i trochę intensywniej popracować nad uszczęśliwianiem Spence'a.

Ted zignorował ten szturchaniec.

- Proszę, i kto tu mówi o uszczęśliwianiu Spence'a? Nic by ci się nie stało, gdybyś była dla niego miłsza. Słowo daję, jestem gotów odegrać publiczną awanturę, żeby miał jasność, jak bardzo twoje uczucia do mnie są nieodwzajemnione.

Oddał długi strzał na greenie, cisnął w jej stronę kij i odmaszerował.

Dzięki Torie, Spence i Kenny zwyciężyli jednym dołkiem. Potem Meg skierowała się do damskiej szatni. Formalnie pracownikom nie wolno było z niej korzystać, ale ona i tak korzystała ze względu na szeroki wybór kosmetyków, których we własnej kolekcji wyjątkowo jej brakowało. Właśnie zimną wodą ochlapującą zaczerwienioną z gorąca twarz, kiedy przy umywalce stanęła Torie. W przeciwieństwie do Meg, zdawała się nie odczuwać żadnych skutków upału. Ściągnęła tylko daszek, żeby poprawić koński ogon, po czym rozejrzała się dookoła, sprawdzając, czy są same.

- Więc jak to jest naprawdę między tobą i Tedem?

- Co masz na myśli? Nie słyszałaś plotek o tym, że odstraszyłam Lucy, bo chciałam go mieć dla siebie?

- Jestem o wiele inteligentniejsza, niż wyglądam. A ty nie jesteś typem kobiety zakochującej się w facecie, który darzy ją szczerą nienawiścią.

- Nie sądzę, żeby Ted nienawidził mnie tak bardzo jak dawniej. Teraz to raczej wasza niechęć z przyzwyczajenia.

- Interesujące. - Torie potrząsnęła długimi włosami, po czym znowu zebrała je razem.

Ze stosu myjek Meg wybrała jeden ręczniczek i wetknęła pod strumień zimnej wody.

- Ty akurat nie sprawiasz wrażenia, jakbyś mnie nienawidziła. Dlaczego?

Wszyscy pozostali w miasteczku...

- Mam swoje powody. - Torie pstryknęła gumką, związując włosy. - Co nie znaczy, że nie wydrapałabym ci oczu, gdybym wierzyła, że stanowisz dla Teda zagrożenie.

- Rozwaliłam mu ślub, pamiętasz? Wymijając wzruszyła ramionami.

Meg przyglądała się jej badawczo, ale Torie nie dorzuciła żadnej wskazówki.

- Skoro już tak gawędzimy od serca - Meg przetarła zimną myjką skórę na karku - jestem ciekawa, jak by się czuł twój mąż, gdyby wiedział, że byłeś z Tedem w pokoju hotelowym praktycznie naga.

- Och, Dex nie ma nic przeciwko nagości, akurat wyszłam spod prysznica. Ale nie podobał mu się sposób, w jaki Ted mnie pocałował.

Chociaż parokrotnie zwracałam mu uwagę, że byłam tylko niewinnym gapiem. -Nie przestając mówić, zniknęła w najbliższej kabine. -Dex strasznie się naburmuszył i poinformował Teda, że stanowczo sprzeciwia się całowaniu. Powiedziałam Dek-sowi, że wolałabym stanowczy sprzeciw w jakiejś innej sprawie, bo chociaż wątpię, żeby ten pocałunek to było najlepsze, na co Teda stać, to i tak nieźle się bawiłam. Wtedy Dex oznajmił, że on mi pokaże wszystkie zabawy, którymi mogę się zajmować, co gdybyś знаła mojego męża, rozśmieszyłoby cię, ale Dex zrobił się zrzędlawy, bo parę tygodni temu podstępem skłoniłam go, żeby został z dziewczynkami, a sama pojechałam z Tedem przetestować nowy GPS, który Ted zamontował w furgonetce. A Dex też chciał wziąć udział w próbnej jeździe.

Najwyraźniej chodziło o wieczór, kiedy Meg ich zauważyła. Teraz już Dexter O'Connor budził jej ciekawość bardziej niż odrobinę.

- Więc on wiedział, że w tamtym pokoju w zajeździe byłeś sam na sam z Tedem? - Sięgnęła po krem z filtrem przeciwsłonecznym. - Musisz mieć bardzo wyrozumiałego męża.

Zaszumiała spuszczana woda.

- Co rozumiesz przez sam na sam? Dex właśnie brał prysznic. To był nasz pokój. Ted tylko wpadł na chwilę.

- Wasz pokój? Myślałam, że mieszkacie w Wynette. Torie wyszła z kabiny i przyjrzała się Meg z lekką litością.

- Mamy dzieciaki. D-z-i-e-c-i-a-k-i. Dwie fantastyczne małe dziewczynki, które kocham całym sercem. Tyle że one zdecydowanie wdały się we mnie, więc Dex i ja co parę miesięcy usiłujemy się na chwilę wyrwać. Tylko we dwoje. - Umyła ręce. - Czasami zdołamy zrobić sobie długi weekend w Dallas albo w Nowym Orleanie. Ale zwykle to tylko jedna noc w zajeździe.

Meg miała więcej pytań, jednak musiała odłożyć na miejsce kije i odebrać napiwek.

Znalazła Teda koło sklepu golfowego, gdzie rozmawiał z Kennym. Na jej widok sięgnął do kieszeni. Meg wstrzymała oddech. Fakt, zgubiła ostatnie dwa pokrowce, ale nie spowodowała straty ani jednego dołka, więc jeśli ten kutwa...

- Proszę, to dla ciebie. Całe sto dolarów.

- Wow - szepnęła. - Myślałam, że będę musiała kupić toaletkę, zanim zacznę zarabiać tyle pieniędzy.

- Nie przyzwyczajaj się do takich kwot - odparł. - Twoje dni noszenia za mną kijów już się skończyły.

Właśnie wtedy ze sklepu wynurzył się Spence. Towarzyszyła mu młoda kobieta, ubrana jak do biura: czarna klasyczna sukienka bez rękawów i perły, do tego torebka Birkin w kolorze głębokiej zieleni.

Nieznajoma -

wysoka, o pełnych kształtach, chociaż ani odrobinę nie za gruba - miała wyrazistą, pociągłą twarz, mocno zaznaczone, ciemne brwi, wydatny nos i pełne, zmysłowe usta.

Delikatne błyski rozjaśniały ciemnobrązowe włosy opadające na ramiona długimi prostymi pasmami. Chociaż sądząc z wyglądu nie przekroczyła jeszcze trzydziestki, prezentowała pewność siebie kobiety dojrzałej, połączone z przekonaniem o własnej atrakcyjności osoby młodej, nawykłej do postępowania według swojego widzimisię.

Skipjack otoczył ją ramieniem.

- Ted, ty już spotkałeś Sunny, ale wydaje mi się, że reszta towarzystwa jeszcze nie zna mojej pięknej córki.

Sunny energicznie potrząsała ich dłońmi, powtarzając imiona i notując je w pamięci. Najpierw Kenny'ego, potem Torie. Jeszcze taksujące spojrzenie na Meg i w końcu zatrzymała się przed Tedem.

- Wspaniale znowu cię widzieć, Ted. - Przyglądała mu się badawczo, jakby był ogierem medalistą, co wydało się Meg obraźliwe.

- Ciebie też, Sunny. Spence uścisnął jej ramię.

- Torie właśnie zaprosiła nas oboje na małą czwar-tolipcową balangę.

Dobra okazja, żeby poznać więcej tutejszych ludzi i zorientować się w sytuacji.

Sunny uśmiechnęła się do Teda.

- Brzmi świetnie.

- Chcesz, żebyśmy cię podwieźli, Meg? - zapytał Spence. - Jesteś też zaproszona. Chętnie z Sunny po ciebie wpadniemy.

Meg przybrała smutną minę.

- Przykro mi, ale pracuję.

Ted mocno klepnął ją w plecy. Bardzo mocno.

- Można sobie tylko życzyć, żeby cały personel był równie oddany klubowi. - Wsunął kciuk pod jej łopatkę, znajdując zapewne jeden z tych śmiertcionośnych

punktów uciskowych, o których wiedzą tylko skrytobójcy. - Szczęśliwie, przyjęcie Shelby zaczyna się dopiero późnym popołudniem. Możesz wpaść, jak tylko tutaj skończysz.

Meg zdobyła się na słaby uśmiech, a po chwili doszła do wniosku, że darmowy posiłek, zaspokojenie ciekawości co do Sunny Skipjack i możliwość zirytowania Teda to atuty, z którymi przegrywa wizja kolejnego samotnego wieczoru.

- W porządku. Ale przyjadę sama.

Przez cały czas Sunny najwyraźniej nie była w stanie oderwać oczu od Teda.

- Jesteś prawdziwym sługą społeczeństwa.

- Staram się.

Pokazała w uśmiechu duże, piękne zęby.

- Myślę, że mogę zrobić chociaż tyle, że podbiję stawkę.

Ted podniósł głowę.

- Przepraszam?

- Aukcja - odparła. - Zdecydowanie podbiję stawkę.

- Nie rozumiem, o czym mówisz, Sunny.

Z trzaskiem otworzyła torebkę i wyciągnęła jasno-czerwoną ulotkę.

- Kiedy tylko zaparkowałam w Wynette, znalazłam ją za wycieraczką mego wypożyczonego samochodu.

Ted zerknął na ulotkę. Mogła to być gra wyobraźni, ale Meg odniosła wrażenie, że się wzdrygnął.

Kenny, Torie i Spence podeszli bliżej i zaczęli czytać mu przez ramię.

Spence obrzucił Meg badawczym wzrokiem. Kenny pokręcił głową.

- To ten pomysł Shelby. Słyszałem, jak opowiadała o nim lady E., ale nie sądziłem, że sprawy zajdą tak daleko.

Torie głośno gwizdnęła.

- Zdecydowanie staję do licytacji. Nie obchodzi mnie, co mówi Dex.

Kenny uniósł ciemną brew.

- Lady E. na pewno nie bierze w tym udziału.

- To tobie się tak wydaje - odparowała jego siostra. Podała ulotkę Meg. -

Tylko spójrz. Szkoda, że jesteś biedna.

Ulotka była w prostym stylu, wydrukowana pogrubionymi, czarnymi literami:

„WYGRAJ WEEKEND Z TEDEM BEAUDINE'EM Spędź

romantyczny weekend w San Francisco z najpopularniejszym kawalerem Wynette. Zwiedzanie, wspaniały obiad, nastrojowy nocny rejs statkiem. I nie tylko. Więcej, o wiele więcej... Szanowne Panie, składajcie oferty!

(minimum \$100)

Mężatki! Singielki! Starsze! Młodsze! Każda mile widziana.

Ten weekend może być tak przyjazny (albo intymny), jak tylko sobie życzycie.

[www.weekendztedem.com](http://www.weekendztedem.com)

Dochód z aukcji zasili akcję odbudowy

Biblioteki Publicznej w Wynette".

Ted wyrwał jej ulotkę, jeszcze raz przestudiował i z całej siły zmiął w dłoni.

- Ze wszystkich głupich, idiotycznych...! Meg poklepała go po ramieniu i szepnęła:

- Na twoim miejscu kupiłabym toaletkę.

Torie odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę uwielbiam to miasto!

## *Rozdział 10*

TEGO WIECZORU, WRACAJĄC DO DOMU, Meg przejeżdżała koło sklepu z używanymi rzeczami. Uwielbiała dobre butiki retro, więc postanowiła wstąpić. W oknie wisiała kolejna czerwona ulotka reklamująca Weekend z Tedem Beaudine'em. Meg pchnęła ciężkie, staroświeckie drewniane drzwi. Wnętrze o słonecznożółtej kolorystyce pachniało lekko stęchlizną jak większość tego typu sklepów, ale towar był ładnie porozkładany na starych stołach i w skrzyniach, służących zarówno do jego prezentacji, jak do oddzielenia poszczególnych sekcji. W ekspedientce Meg rozpoznała przyjaciółkę

Birdie, Kaylę, blondynkę, która tamtego upokarzającego dnia pracowała w recepcji zajazdu.

Jej sukienka bez rękawów w różowo-szarą panterkę z pewnością nie pochodziła z odsprzedaży. Podobnie jak szpilki i komplet czarnych, emaliowanych bransoletek z ozdobnymi przywieszkami. Chociaż zbliżał

się czas zamykania sklepu, makijaż Kayli nadal wyglądał nieskazitelnie -

konturówka, róz podkreślający kości policzkowe, lśniące wargi o barwie mokki. Jednym słowem, teksańska królowa piękności.

Nie starała się udawać, że nie poznaje Meg i podobnie jak wszyscy w tym głupim miasteczku nie była uosobieniem taktu.

- Słyszałam, że Spencer Skipjack zapalał do ciebie uczuciem - zagadnęła, wychodząc zza stojaka na biżuterię.

- Ale ja do niego nie zapalałam. - Szybkim rzutem oka Meg ogarnęła nudną, szpanerską sportową odzież, kościelne garsonki w pastelowej tonacji i bluzy z dedykacjami dla babć, ozdobione a to halloweenową dynią, a to jakąś postacią z kreskówki. Asortyment skle-

pu zdecydowanie kłócił się ze stylem tej szykownej istoty.

- To nie znaczy, że nie możesz być dla niego miła.

- Jestem dla niego miła. Kayla oparła dłoń na biodrze.

- Masz pojęcie, ile to centrum golfa może nam dać miejsc pracy? Albo ile rozkwitnie nowych firm?

Nie było sensu wspominać, że również zniszczy ekosystem.

- Niemało, jak się domyślam.

- Wiem, że mieszkańcy Wynette w zasadzie nie przyjęli cię z otwartymi ramionami - powiedziała Kayla, podnosząc pasek, który spadł z wieszaka. - Ale jestem pewna, że wszyscy docenią, jeśli nie potraktujesz tego jako pretekstu, żeby się na nas odegrać za pomocą Spence'a. Są rzeczy ważniejsze niż chowanie małostkowej urazy.

- Będę o tym pamiętać. - W chwili gdy Meg skierowała się do wyjścia, jej wzrok przykuła prezentacja: szara męska koszula, dobrany do niej mały top bez ramion i krótkie szorty o mocno marszczonym pasie.

Wszystkie trzy rzeczy były współczesną wersją letnich trendów z lat pięćdziesiątych. Podeszła, żeby przyjrzeć się z bliska. Nie do wiary.

Zerknęła na firmową metkę.



- To jest Zac Posen.

- Wiem.

Zamrugnęła, wpatrując się w kartkę z ceną. Czterdzieści dolarów? Za trzy ciuchy od Zaca Posena? Aktualnie nie miała czterdziestu dolarów na zbyciu, nawet mimo napiwku Teda, ale i tak była to niesamowita okazja.

Tuż obok wisiała awangardowa suknia z pięknie wykonanym, zielono-melonowym gorsetem, która w nowości musiała być warta co najmniej dwa tysiące

dolarów, ale teraz kosztowała sto. Na metce widniało nazwisko wuja Michela Savagara. Przeglądając resztę ubrań na stojaku, Meg znalazła jedwabną sukienkę bez rękawów w kolorze żółtawej zieleni, z nadrukowaną pociągłą kobiecą twarzą jak z obrazów Modiglianiego; zdumiewający żakiet origami i stalowoszare spodnie-rurki, a wreszcie czarno-białą spódnicę mini Miu Miu. Ściągnęła z wieszaka dziewczęcy cyklamenowy kardigan, ozdobiony szydełkowymi różami, wyobrażając sobie, jak by wyglądał do T-shirtu, dżinsów i converse'ów.

- Kilka porządnych sztuk, prawda? - powiedziała Kayla.

- Bardzo porządnych. - Meg odłożyła sweter i przesunęła palcami po żakiecie od Narcisa Rodrigueza.

Kayla popatrzyła na nią jakoś dziwnie, nieomal przebiegle.

- Do tych ubrań większość kobiet nie ma odpowiedniego ciała. Trzeba być naprawdę wysoką i szczupłą.

Dzięki, mamó! Meg dokonała w myślach szybkich obliczeń i dziesięć minut później wyszła ze sklepu zaopatrzona w mini Miu Miu i modiglianowską sukienkę.

Nazajutrz była niedziela. Większość pracowników połykała galopem lunch w pokoju caddy albo w kącie kuchni, ale Meg oba te miejsca jakoś nie przypadły do gustu. Zaopatrzona w kanapkę z masłem orzechowym, którą przyszykowała sobie jeszcze rano, ruszyła w stronę basenu. Kiedy mijała taras restauracji, przy jednym z ocienionych parasolami stolików dostrzegła Spence'a, Sunny i Teda. Sunny opierała dłoń na ramieniu burmistrza Wynette, jednak jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Usta mu się nie zamykały, a Skipjack słuchał uważnie.

Żadne z nich jej nie zauważyło.

Wokół basenu tłoczyły się całe rodziny, korzystające z uroków długiego świątecznego weekendu. Świado-

ma swego podrzędnego statusu, Meg skręciła za róg baru przekąskowego i znalazła sobie miejsce z daleka od wszystkich. Właśnie gdy zasiadła po turecku na trawie, pojawiła się Haley, niosąc tekturowy kubek z nadrukowanym zielonym logo klubu.

- Wzięłam dla ciebie colę.

- Dzięki.

Dziewczyna zajęła miejsce koło Meg i uwolniła włosy z końskiego ogona, którego wymagano od niej w pracy. Mimo że rozpięła wszystkie guziki żółtego służbowego polo, koszulka i tak mocno obciskała jej piersi.

- O pierwszej gra pan Clements z synami. Dr pepper i bud light.

- Rozumiem. - Każdego ranka Meg sprawdzała harmonogram rozgrywek w nadziei, że zapamiętując nazwiska, twarze i ulubione napoje poszczególnych członków klubu, korzystnie wpłynie na wysokość napiwków. Aczkolwiek nie traktowano jej zbyt ciepło, jednak oprócz ojca Kayli, nikt nie próbował jej stamtąd wyrzucić, co przypisywała raczej sympatii Spencera Skipjacka niż jakości świadczonej przez siebie obsługi.

Haley wpatrywała się w krótki wisiołek, widoczny w rozwarciu rozpiętego kołnierzyka Meg.

- Masz fajną biżuterię.

- Dzięki. Zrobiłam to wczoraj wieczorem. - Mały, ekstrawagancki naszyjnik zmontowała z fragmentów sztucznej biżuterii: tarczy zepsutego zegarka Hello Kitty z masy perłowej, kilku małych, różowych szklanych paciorków, które odczepiła od pojedynczego kolczyka i srebrnej rybki, zapewne części breloczka do kluczy. Wystarczyły drucik i odrobina kleju, by powstała ciekawa całość, idealnie wyglądająca na kawałku jedwabnego czarnego sznurka.

- Jesteś taka kreatywna - powiedziała Haley.

- Kocham biżuterię. Uwielbiam ją kupować, robić, nosić. Podczas podróży zawsze wyszukuję lokalnych rzemieślników, żeby przyrządzić im ich pracy. Sporo się od nich nauczyłam. - Pod wpływem impulsu rozwiązała naszyjnik. - Proszę. Niech ci dobrze służy.

- Dajesz mi go? Na zawsze?

- A dlaczego nie? - Założyła wisiołek dziewczynie na szyję. Jego stylowy urok pomógł osłabić efekt zbyt mocnego makijażu.

- Jest boski. Dzięki.

Prezent przełamał wrodzoną małomówność córki Birdie. Podczas gdy Meg jadła, Haley opowiedziała jej, że od jesieni będzie uczęszczać do okręgowego college'u.

- Mama upiera się, żebym poszła na UT. Strasznie się o to czepia, aleja nie zamierzam.

- Jestem zdumiona, że nie chcesz wyjechać do wielkiego miasta -

powiedziała Meg.

- Tutaj nie jest tak źle. Zoey i Kayla ciągle gadają, jak bardzo chciałyby mieszkać w Austin albo w San Antonio, ale nic w tej sprawie nie robią. -

Pociągnęła łyk coli. - Wszyscy mówią, że pan Skipjack dostał obsesji na twoim punkcie.

- On ma obsesję na punkcie moich celebryckich koneksji i faktycznie jest natrętny. Tak między nami, zawiadomiłam go, że kocham się w Tedzie, żeby się wreszcie odczepił.

Duże oczy Haley zrobiły się jeszcze większe.

- Kochasz się w Tedzie?

- Boże, nie. Mam na to za dużo zdrowego rozsądku. Ale w ostatniej chwili nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Haley skubała kępkę trawy koło swojej kostki. Wreszcie przerwała milczenie:

- Byłaś kiedyś zakochana?

- Kilka razy myślałam, że jestem, ale tak naprawdę nie byłam. A ty?

- Przez chwilę czułam coś do jednego chłopaka, z którym kończyłam szkołę. Kyle'a Bascoma. On też jesienią idzie do tego college'u. -

Zerknęła na zegar umieszczony na ścianie baru. - Muszę już wracać.

Dzięki za naszyjnik.

Meg dokończyła kanapkę, zaanektowała pusty wózek golfowy i pojechała z powrotem do czternastego tee. Zanim nadeszła czwarta, pole się wyludniło, nie zostawiając jej nic do roboty, oprócz obsesyjnych rozmyślań o poniesionych porażkach.

Wieczorem zatrzymując swego grata przed kościółkiem, ujrzała zaparkowany koło schodów nieznajomy samochód. Kiedy wysiadła, zza narożnika od strony cmentarza wyłoniła się Sunny Skipjack. Intensywnie żółty strój, który miała podczas lunchu, zamieniła na szorty, biały top i wiśniowe okulary przeciwsłoneczne.

- Nie boisz się mieszkać tu sama? - zapytała. Meg skinęła głową w kierunku grobów.

- Oni są raczej nieszkodliwi. Chociaż kilka tych czarnych znaków przyprawia mnie o dreszcze.

Sunny podeszła bliżej, poruszając się w falującym rytmie, który jeszcze bardziej podkreślał krągłość jej bioder i piersi. Z pewnością nie bzikowała na punkcie rozmiaru zero i Meg potrafiła to docenić. Natomiast nie podobał jej się agresywny sposób bycia, zapowiadający, że ta kobieta położy trupem każdego, kto ma czelność wejść jej w parady.

- Nie odmówiłabym zimnego piwa - oznajmiła. -Przez ostatnie dwie godziny w tym upale robiliśmy z

ojcem i Tedem obchód terenu, którego zakup Spence rozważa.

- Piwa brak, ale mam mrożoną herbatę.

Sunny nie należała do osób, które może zadowolić co innego niż dokładnie to, czego chcą, więc odmówiła. Stęskniona za kąpielą w zatoczce Meg postanowiła przyspieszyć bieg spraw.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - Jakby nie wiedziała... Panna Skipjack przyjechała ją upomnieć, że ma się trzymać z daleka od jej tatusia.

Zwłoka w odpowiedzi trwała o moment za długo.

- Jak... jaki strój obowiązuje na jutrzejsze przyjęcie? Pomyślałam, że pewnie się orientujesz.

To była kiepska wymówka. Meg usiadła na stopniu schodów.

- Jesteśmy w Teksasie. Tutaj kobiety mają tendencję do strojenia się.

Sunny ledwie słuchała.

- Jak to możliwe, że córka Jake'a Korandy wylądowała w takim prowincjonalnym miasteczku?

Znalazłoby się parę dobrych powodów, żeby wykpić Wynette, ale ta kobieta była po prostu snobką.

- Zrobiłam sobie wolne od L.A.

- Całkowita odmiana.

- Czasem właśnie tego potrzebujemy. Uważam, że to pozwala spojrzeć na życie z zupełnie innej perspektywy. - Czyż nie stała się głęboką myślicielką?

- W moim nie ma niczego, co bym chciała zmienić. -Sunny wepchnęła wiśniowe okulary na czubek głowy. Kiedy zauszniaki odsunęły od jej twarzy długie pasma ciemnobrązowych włosów, podobieństwo do Spencera stało się bardzo wyraźne. Mieli identyczne wydatne nosy, pełne wargi i poczucie, że wszystko im się należy. -Podoba mi się takie, jakie jest. Zasiadam w zarządzie firmy mego ojca. Projektuję różne produkty.

To wspaniałe życie.

- Imponujące.

- Mam dyplom inżyniera mechanika i MBA - dodała, chociaż nikt jej o to nie pytał.

- Fajnie. - Meg pomyślała o dyplomie, do którego nie zdołała dotrzeć.

- Zdaje się, że od przyjazdu narobiłaś tu niezłego zamieszania -

powiedziała Sunny, siadając o schodek wyżej niż ona.

- To małe miasteczko. Łatwo narobić zamieszania. Sunny starła z kostki brudną smugę, której musiała się dorobić podczas inspekcji terenu.

- Mój ojciec ma o tobie całkiem sporo do powiedzenia. On lubi młodsze kobiety.

Wreszcie przechodziła do właściwego tematu. Meg nie mogła być szczęśliwsza.

- One, co oczywiste, też go lubią - ciągnęła Sunny. - Jest człowiekiem sukcesu, otwartym, ceniącym dobrą zabawę. Ostatnio ciągle o tobie mówi, więc wiem, że wzbudziłaś jego zainteresowanie. Naprawdę się cieszę.

- Cieszysz się? - Tego Meg zupełnie się nie spodziewała. Potrzebowała sprzymierzeńca, a nie swatki. Próbowwała zyskać na czasie, rozwiązując sznurowadła. - Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Nie boisz się...

poszukiwaczek złota? Pewnie już słyszałaś, że nie mam grosza przy duszy.

Córka Spence'a wzruszyła ramionami.

- Mój ojciec jest dużym chłopcem. Potrafi o siebie zadbać. Fakt, że stanowisz wyzwanie, czyni cię w jego oczach jeszcze bardziej intrygującą.

Ostatnią rzeczą, jakiej Meg sobie życzyła, to być intrygującą. Wysunęła stopy z butów, ściągnęła skarpetki i ostrożnie powiedziała:

- Naprawdę, nie gustuję w starszych mężczyznach.

- Może powinnaś spróbować. - Sunny podniosła się ze schodów i zeszła na stopień, gdzie siedziała Meg. -

Będę z tobą szczerą. Moi rodzice rozwiedli się prawie dziesięć lat temu.

Ojciec ciężko pracował przez całe życie. Zasluguje na odrobinę radości.

Więc nie obawiaj się, że stanę wam na drodze. Nie jest dla mnie problemem, że wy dwoje będziecie się dobrze bawić. A kto wie, co z tego jeszcze wyniknie? On nigdy nie był skąpy dla kobiet, z którymi się umawiał.

- Ale...

- Widzimy się jutro na przyjęciu. - Sprawa załatwiona. Sunny ruszyła do swego wypożyczonego samochodu.

Kiedy odjechała, Meg zebrała wszystko do kupy. Wieść o jej rzekomym zainteresowaniu Tedem z pewnością dotarła do uszu Sunny, której wcale się to nie spodobało. Chciała zająć Meg swoim ojcem, bo wtedy sama miałaby wolne pole, żeby zaanektować Pana Seksownego dla siebie.

Gdyby tylko знаła prawdę, nie marnowałaby czasu.

Meg nie miała kłopotu ze znalezieniem mauretańskiej rezydencji, w której mieszkali Shelby i Warren Travelerowie. Plotka głosiła, że Kenny i Torie nie byli zachwyceni, kiedy ich ojciec ożenił się z kobietą o trzydzieści lat młodszą, w dodatku członkinią tej samej studenckiej korporacji co Torie. Nie uspokoiło ich nawet przyjsście na świat przyrodniego brata. Jednak od tamtej pory minęło jedenaście lat, Kenny i Torie założyli własne rodziny i wyglądało na to, że wszystko zostało zapomniane.

Przed domem o ścianach z różowego stiuku i krenelażowym ceramicznym dachu, żywcem wziętym z baśni arabskich, biła mozaikowa fontanna. Sklepione w łuk okna otaczały rzeźbione wejściowe drzwi.

Otworzył je pracownik cateringu i wpuścił Meg do środka. We-

wnątrz zaskoczył ją bardzo angielski wystrój, zdumiewający przy tak mocno zaakcentowanej wschodniej architekturze. Jednak, o dziwo, perkale, myśliwskie sceny i meble Hepplewhite'a, które wybrała Shelby Traveler, jakoś tu pasowały.

Dwuskrzydłowe drzwi ze szklaną mozaiką wiodły na taras, otoczony wysokim stiukowym murkiem. Stały tam długie ławy pokryte barwnymi, wzorzystymi tkaninami i stoły o kaflowych blatach, dźwigające mosiężne wiadra z bukietami czerwonych, białych i niebieskich kwiatów. Wymowę tych kompozycji wzmocniały małe amerykańskie flagi. Dzięki cieniowi drzew i systemowi chłodzenia mgiełką wodną, nawet w popołudniowym upale goście czuli się komfortowo.

Pierwszymi osobami, które dostrzegła Meg, były zbite w gromadkę Birdie Kittle, Kayla i Zoey Daniels, najlepsza przyjaciółka Kayli, a zarazem dyrektorka miejscowej podstawówki. Kilku wynajętych na ten wieczór pracowników klubu zajmowało się obsługą gości. Meg pomachała do Halej, która właśnie minęła ją, niosąc tacę z przystawkami.

Koło atrakcyjnej kobiety o miodowych lokach i policzkach lalki stał

Kenny Traveler. Meg rozpoznała jego żonę, Emmę, którą pamiętała z przedślubnego przyjęcia.

Tego popołudnia, po zakończeniu pracy spędziła jeszcze dobrą chwilę w damskiej szatni. Wzięła prysznic, wtarła piankę w niesforne włosy, nałożyła szminkę, umalowała oczy i na koniec wślizgnęła się w jedwabną sukienkę ze sklepu z używanymi rzeczami. Dzięki pociągłej kobiecej twarzy na całym przodzie, kreacja nie wymagała naszyjnika. Jednak Meg nie mogła się oprzeć i do kolczyków z okresu dynastii Sung przyczepiła kilka purpurowych plastikowych dysków rozmiaru dwudziestopięciocentówki. Radykalny kontrast starego i nowego współgrał z modiglianowskim nadrukiem, nadając wytworno-kiczowatemu zestawieniu stylistyczną harmonię. Wuj Michel by to pochwalił.

Kiedy weszła, kolejne głowy zaczęły obracać się ku niej i to wyraźnie nie z powodu fantastycznych kolczyków. Ze strony kobiet spodziewała się wrogości, ale nie przewidziała rozbawionych spojrzeń, jakie niektóre z nich wymieniały na jej widok. Jedwabna sukienka leżała idealnie. Meg wyglądała w

niej świetnie, więc za bardzo się nie przejęła.

- Czy mogę podać ci coś do picia?

Odwróciła się i ujrzała wysokiego, szczupłego czterdziestolatka z prostymi, trochę rozwichrzonymi, brązowymi włosami. Zza okularów w drucianych oprawkach patrzyły szeroko rozstawione, szare oczy. Facet wyglądał na profesora literatury z jakiegoś college'u.

- Arszenik? - podsunęła uprzejmym tonem.

- Nie myślę, żeby był potrzebny.

- Skoro tak mówisz.

- Jestem Dexter O'Connor.

- Nie, niemożliwe! - Słowa wymknęły jej się z ust, zanim zdołała je powstrzymać, ale po prostu nie mogła uwierzyć, że ten mól książkowy jest mężem olśniewającej Torie Traveler O'Connor. To musiało być najbardziej niedopasowane małżeństwo stulecia.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, poznałaś moją żonę? Meg z trudem przełknęła ślinę.

- Och... Tylko że...

- Torie to Torie, a ja jestem... inny? - Uniósł jedną brew.

- No, znaczy... Myślę, że to może dobrze, prawda? Zależy, jak na to patrzysz? - Właśnie niechcący obraziła jego żonę. Dexter czekał z cierpliwym uśmiechem -

Nie chcę przez to powiedzieć, że Torie nie jest wspaniała... - Zająknęła się. - To praktycznie jedyna miła osoba, jaką spotkałam w tym miasteczku, ale ona... - Pograżała się coraz bardziej, więc wreszcie dała spokój. - Cholera. Przepraszam. Nam z L.A. brakuje dobrych manier.

Jestem Meg Koranda, jak pewnie wiesz. I lubię twoją żonę.

W rozbawieniu Deksa z powodu jej zakłopotania wyraźnie było więcej sympatii niż złośliwości.

- To tak samo jak ja.

Właśnie wtedy podeszła do nich Torie. W chińskiej haftowanej, czerwonej bluzeczce bez rękawów i ciemnoniebieskiej spódnicy mini, podkreślającej opalenizną długich nóg, prezentowała się wprost olśniewająco. Jakim cudem taka piękność mogła być żoną tego spokojnego mężczyzny o wyglądzie naukowca?

Torie wsunęła mężowi rękę pod ramię.

- Widzisz, Dex. Teraz, kiedy już poznałeś Meg, sam widzisz, że wcale nie jest taką suką, jak tu wszyscy mówią. Przynajmniej ja uważam, że nie jest.

Dex obdarzył żonę uśmiechem tolerancyjnym, a Meg -pełnym życzliwego współczucia.

- Musisz wybaczyć Torie. Cokolwiek wpadnie jej do głowy, zaraz wypada ustami. Ona nie może nic na to poradzić. Jest niewiarygodnie rozpuszczona.

Torie uśmiechnęła się szeroko i popatrzyła na swego jajogłowego męża z taką czułością, że Meg poczuła zaskakującą gulę w gardle.

- Nie rozumiem, dlaczego uważasz to za problem, Dex.

Poklepał ją po ręce.

- Wiem, że nie rozumiesz.

Początkowo Dexter O'Connor wydawał się Meg naiwnym jajogłowym, ale teraz do niej dotarło, że pierwsze

wrażenie mogło być mylne. Ten mężczyzna zachowywał się łagodnie i spokojnie, ale nie należał do głupców.

Torie puściła ramię męża i złapała Meg za nadgarstek.

- Zaczynam się nudzić. Pora przedstawić cię paru osobom. To na pewno ożywi atmosferę.

- Naprawdę, nie sędzę...

Ale Torie już ją ciągnęła w stronę żony Kenny'ego Travelera, która na dzisiejsze przyjęcie wybrała luźną pomarańczową sukienkę oblamowaną angielskim haftem. Wesóły kolor podkreślał ciepły brąz jej oczu i karmelowy odcień kręconych włosów.

- Lady Emmo, chyba jeszcze oficjalnie nie poznałaś Meg Korandy -

zagadnęła ją Torie. Po czym zwróciła się do Meg: - Jak już wiesz... jedną z najbliższych przyjaciółek lady Emmy jest matka Teda, Francesca. Moją też, ale ja jestem bardziej tolerancyjna. Lady Emma z całego serca cię nienawidzi, jak zresztą wszyscy tutaj.

Na obcesowe uwagi Torie żonie Kenny'ego nawet nie drgnęła powieka.

- Przysporzyłaś Francesce wiele bólu - powiedziała spokojnie z eleganckim brytyjskim akcentem. - Jednak nie znam wszystkich okoliczności, więc słowo „nienawidzi” jest o wiele za mocne. Torie lubi dramatyzować.

- Nie zachwyca cię sposób, w jaki ona mówi? - Torie posłała drobniejszej kobiecie promienny uśmiech. -Lady Emma jest niezwykle skrupulatna w zachowywaniu bezstronności.



Meg uznała, że już najwyższa pora uraczyć te dwie szczerotki małą dawką ich własnego lekarstwa.

- Jeżeli bezstronność w stosunku do mnie jest zbyt kłopotliwa, lady Emmo, proszę się nie krępować i odłożyć swoje zasady na bok.

Nawet nie mrugnęła.

- Po prostu: Emmo - powiedziała. - Mój tytuł jest tylko honorowy, o czym wszyscy tutaj doskonale wiedzą.

Torie obrzuciła ją pobłażliwym spojrzeniem.

- Ujmijmy to w ten sposób: gdybym była córką piątego hrabiego Woodbourne, tak jak ty, z całą cholerną pewnością nazywałabym się lady.

- Sprawa postawiona jasno. - Emma znowu skierowała uwagę na Meg. -

Rozumiem, że pan Skipjack interesuje się tobą. Mogę zapytać, czy zamierzasz wykorzystać to przeciwko nam?

- Och, to kuszącą wizja - odparła Meg.

Na patio wkroczył Ted w towarzystwie Spence'a i Sunny. Miał na sobie banalne jasnobrązowe szorty i równie banalną białą koszulkę z logo izby handlowej na piersi. Jak można się było spodziewać, snop słonecznych promieni wybrał akurat tę chwilę, żeby przedrzeć się przez korony drzew i oblać go swoim blaskiem, co wyglądało, jakby Ted wstąpił w girlandę migoczących światełek. Powinno go to było wprawić w zakłopotanie.

Najwyraźniej Haley traktowała rolę osobistej asystentki z całkowitą powagą. Porzuciła starszego mężczyznę, który właśnie sięgał do jej tacy po skrzydełko buffalo i ruszyła w stronę Teda, żeby go obsłużyć.

- O Boże - powiedziała Emma. - Jest Ted. Lepiej pójść nad basen sprawdzić, co porabiają dzieciaki.

- Shelby zatrudniła trzech ratowników - odparła Torie. - Po prostu nie chcesz stawić mu czoła.

Emma pociągnęła nosem.

- Licytacja to wyłącznie pomysł Shelby, ale wiesz, że on będzie winił mnie.

- Jesteś prezesem Przyjaciół Biblioteki.

- I planowałam najpierw z nim pomówić. Uwierz mi, nie miałam pojęcia, że one tak szybko wyprodukują te ulotki.

- Słyszę, że stawka doszła już do trzech tysięcy - powiedziała Torie.

- Trzy tysiące czterysta - poprawiła Emma z lekkim osłupieniem. - Nie zarobiłybyśmy tyle na tuzinie kiermaszów ciast. A mogło być jeszcze więcej, tylko że wczoraj wieczorem Kayla miała jakiś problem ze stroną internetową.

Torie zmarszczyła nos.

- Tedowi chyba lepiej o tej stronie nie wspominać. To drażliwy temat.

Emma wciągnęła bardzo pełną dolną wargę pomiędzy zęby, po czym ją uwolniła.

- Tak go wykorzystujemy.

- On nie ma nic przeciwko temu.

- Owszem, ma - wtrąciła się Meg. - Nie wiem, dlaczego was znosi.

Torie niedbale machnęła ręką.

- Jesteś obca. Musisz tu trochę pomieszkać, żeby zrozumieć. - Przez szerokość tarasu obrzuciła uważnym spojrzeniem Sunny Skipjack, wyluzowaną i seksowną w białych spodniach i bladoniebieskiej tunice z dekoltem w kształcie dziurki od klucza, odsłaniającym ponętny kawałek rowka między piersiami. - Ona faktycznie oferuje Tedowi wszystko, co może. Popatrzcie tylko. Teraz ociera się cyckiem o jego ramię.

- Mam wrażenie, że jemu się to całkiem podoba - stwierdziła Emma.

Naprawdę? Z Tedem nigdy nic nie było wiadomo. Miał zaledwie trzydzieści dwa lata, a dźwigał nie tylko ciężar piersi Sunny, ale i brzemień całego miasteczka.

Zlustrował tłum gości i jego spojrzenie natychmiast ją odnalazło. Meg poczuła, jak jej własne wewnętrzne światelka zaczynają rozbłyskiwać i migotać.

Torie odgarnęła z szyi długie włosy.

- Rzeczywiście masz dylemat, Meg. Spence już nie może się doczekać, żeby się do ciebie dobrać. A jednocześnie jego córka wzięła na celownik obiekt twoich uczuć. Trudna sytuacja. - Po czym, na wypadek gdyby Emma nie zrozumiała o czym mowa, dodała: - Meg powiedziała Spence'owi, że jest zakochana w Teddym.

- A kto nie jest? - Gładkie czoło Emmy zmarszczyło się. - Lepiej pójdę z nim porozmawiać.

Ted właśnie przekazał Skipjacków w ręce Shelby Traveler, więc mógł już udać się prosto do żony Kenny'ego. Jednak najpierw ogarnął spojrzeniem Meg i powoli pokręcił głową.

- Co? - zdziwiła się. Zerknął na Torie i Emmę.

- Nikt jej nie zamierza powiedzieć? Torie odrzuciła włosy do tyłu.

- Ja nie.

- Ani ja - dodała Emma.

Ted wzruszył ramionami i zanim Meg zdążyła zapytać, o co chodzi, przeszył ją swymi tygrysimi oczyma.

- Spence chce cię widzieć. Lepiej, żebyś współpracowała. Uśmiechaj się do niego, zadawaj pytania o jego hydrauliczne imperium. Jest bardzo dumny z nowego modelu toalety Jeszcze Czyściej. - Kiedy Meg uniosła brwi, odwrócił się do Emmy. - A co do ciebie...

- Wiem. Strasznie mi przykro. Naprawdę. Słowo daję, że zamierzałam najpierw z tobą porozmawiać.

Torie dźgnęła go w ramię wymanikiurowanym paznokciem.

- Nie waż się narzekać. Stawka doszła już do trzech tysięcy czterystu dolarów. Nie masz dzieci, więc nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, ile biblioteka znaczy dla tych naszych słodkich maleństw, które co wieczór usypiają zmęczone płaczem, bo nie mają nowych książeczek.

Ted nie wdawał się z nią w dyskusję.

- Wasze wydatki pożrą każdego centa z całej tej forsy. Czy ktoś to wziął pod uwagę?

- Och, wydatki mamy opracowane - powiedziała Emma. - Jeden z przyjaciół Kenny'ego zaofiarował nam na ochotnika swój prywatny odrzutowiec, co załatwia sprawę przelotu do San Francisco. A dzięki kontaktom twojej matki dostaniemy wielkie upusty w hotelu i restauracji.

Skoro tylko ją powiadomimy, że jest taka potrzeba, oczywiście.

- Nie liczyłbym na jej pomoc.

- Wręcz przeciwnie. Uzna, że to świetny pomysł... kiedy jej wykażę, jak znakomicie ta licytacja odwróci twoją uwagę od niedawnego...

Emma szukała odpowiedniego słowa, więc Meg pospieszyła jej z pomocą:

- Ogólnokrajowego upokorzenia? Publicznego poniżenia? Wyjścia na głupka?

- To nie na miejscu - zaprotestowała Torie. - Zważywszy, że jesteś temu winna.

- To nie ja porzuciłam jego żaloszny tyłek - odcięła się Meg. - Ludzie, dlaczego nie możecie wbić sobie tego do waszych tępych głów?

Czekała na nieunikniony zestaw pretensji. Że wszystko było wspaniale, dopóki się tu nie pojawiła. Ze okrutnie wykorzystała przedślubne zdenerwowanie Lucy. Ze była zazdrosna i chciała Teda dla siebie. Jednak zamiast się odgryzać, Ted zbył ją machnięciem ręki i skupił się na Emmie.

- Żeby zgodzić się na coś równie głupiego. Powinnaś mieć więcej rozumu w głowie.

- Przestań na mnie patrzeć w taki sposób. Wiesz, jak koszmarnie się czuję, kiedy jesteś na mnie zły. Obwiniaj

Shelby. - Emma rozejrzała się po patio w poszukiwaniu teściowej. - Która najwyraźniej zniknęła. Tchórz. Torie szturchnęła go w żebra.

- O... och... Zmierza tu twoja najnowsza zdobycz. Z tatusiem.

Meg mogłaby przysiąc, że Ted się skrzywił, oprócz tego że naprawdę zobaczyła, jak wygina usta do swoich nieznośnie przewidywalnych uśmiechów. Ale zanim Skipjackowie zdążyli do niego podejść, przez szum przyjęcia przedarł się piskliwy okrzyk.

- O mój Boże!

Rozmowy umilkły w pół słowa. Wszyscy po kolei odwracali się, usiłując zlokalizować źródło nieoczekiwanego hałasu. Kayla wlepiła oczy w mały ekranik swego metalicznie czerwonego smartfonu, a Zoey stała na palcach i zaglądała jej przez ramię. Kiedy podniosła głowę, kosmyk włosów wymknął się z jej niedbale upiętej fryzury.

- Właśnie ktoś podniósł ostatnią stawkę o tysiąc dolarów!

Pąsowe wargi panny Skipjack wygięły się w zadowolonym uśmiechu.

Meg zauważyła, jak Sunny wsuwa telefon do kieszeni tuniki.

- Psiakrew - narzekła Torie. - Podbicie tej stawki poważnie nadszarpnie dochód, który mam do wykorzystania.

- Tatku! - Z okrzykiem rozpaczony Kayla zaczęła przepychać się przez tłum gości w stronę Bruce'a Garvina. Nie dalej jak tego ranka Meg podawała mu oranżadę. W zamian nie dostała ani centa napiwku. Kayla złapała ojca za rękę i wdała się z nim w burzliwą rozmowę.

Leniwy uśmiech Teda wyraźnie przybladł.

- Spójrz na to od jasnej strony - szepnęła Meg. - Kochane maluchy z Wynette są coraz bliżej chwili, kiedy będą słodko usypiać przy nowym Johnie Grishamie.

Ted kompletnie ją zignorował i zwrócił się do Torie:

- Powiedz, że naprawdę nie bierzesz w tym udziału.

- Oczywiście, że biorę. Myślisz, że przepuściłabym szansę na weekend bez dzieciaków i to w San Francisco? Ale Dex też się z nami wybiera.

Czyjaś zbyt gorąca ręka, której towarzyszyła mdła woń ciężkiej wody kolońskiej, objęła Meg w pasie.

- Nie masz nic do picia. Musimy się tym zająć. Król urządzeń wodno-kanalizacyjnych wyglądał jak Johnny Cash, circa 1985. W jego gęstej, ciemnej czuprynie połyskiwało srebro, na owłosionym nadgarstku błyszczał kosztowny złoty zegarek.

Chociaż większość mężczyzn przyszła ubrana w szorty, on miał na sobie czarne spodnie i designerską koszulkę polo. Z rozpięcia pod szyją wyzierała kępka włosów. Manewrując tak, by znaleźć się z Meg sam na sam, gładził ją dłonią po krzyżu.

- Dzisiaj ty sama wyglądasz jak gwiazda filmowa. Piękna sukienka. Czy zdarzyło ci się spotkać Toma Cruise'a?

- Nigdy nie miałam tej przyjemności. - Było to kłamstwo, ale nie mogła dać się zagnać w pułapkę dyskusji o każdym znanym aktorze, którego w życiu poznała. Kątem oka dostrzegła, że Sunny bezczelnie szczerzy się do Teda, a on odpowiada jej uśmiechem. Uszu Meg dobiegł fragment ich rozmowy.

- ...i z moim oprogramowaniem - mówił Ted - można zwiększyć energooszczędność. Dynamiczne równoważenie obciążenia.

Sposób, w jaki Sunny oblizwała wargi, sprawił, że jej odpowiedź zabrzmiała niczym miękkie porno.

- Optymalizując istniejącą infrastrukturę. To genialne, Ted.

Wkrótce rozmawiali już we czwórkę. Sunny, jak zauważyła Meg, stanowiła pełen pakiet. Seksowna, inteligentna, spełniona zawodowo.

Ojciec ewidentnie ją wielbił i w kółko, do znudzenia opowiadał o jej sukcesach, poczynając od wyników testu z fizyki GRE aż po nagrody za projekty, które wywalczyła dla firmy. Ted przedstawiał ich wszystkim, co

- o dziwo - okazało się zabawne, bo nawet Birdie, Kayla i Zoey przy Skipjackach musiały odnosić się uprzejmie do Meg. Nigdy dotąd nie znalazła się w pobliżu aż takiego lizusostwa. Nawet w Hollywood.

- Wynette to najlepiej utrzymany sekret Teksasu - ćwierkała Birdie. - Po prostu kraina wybrańców losu.

- Idąc sobie zwyczajnie ulicą, wpadasz na Dallasa Beaudine'a albo Kenny'ego Travelera - zachwalał

ojciec Kayli. - Wymień inne miasto, gdzie mogłoby się to zdarzyć.

- Nic nie dorówna naszym krajobrazom - oświadczyła Zoey. - A ludzie w Wynette wiedzą, co robić, żeby przyjezdni poczuli się jak w domu.

Z tym ostatnim Meg mogłaby polemizować, ale czyjaś dłoń - na pewno nie Spencera - ostrzegawczo ścisnęła ją za łokieć.

Zanim rozpoczęło się grillowanie, Sunny już traktowała Teda jak swojego długoterminowego partnera.

- Musisz przyjechać do Indianapolis. Prawda, że musi, tato? Będziesz zachwycony. Najbardziej niedoceniane miasto na Środkowym Zachodzie.

- Tak właśnie słyszałem - odparł burmistrz Wynette ze wszelkimi objawami podziwu.

- Sunny ma rację. - Spence obrzucił córkę czułym wzrokiem. - I chyba oboje znamy dosłownie każdego, kto się tam liczy.

Podeszła Kayla, żeby poflirtować z Tedem i oznajmić, że stawka podskoczyła o kolejne pięćset dolarów. Ponieważ sprawiała wrażenie bardzo uradowanej, Meg podejrzewała w tym rękę „tata”. Jednak Sunny wyraźnie nie czuła się zagrożona ani wzrostem kwoty, ani blond wdziękami panny Garvin.

Dołączyła do nich Zoey i Ted przedstawił ją Skipja-ckom. Chociaż nie raziło to tak jak w przypadku jej przyjaciółki, spojrzenia, które rzucała na Teda, nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Meg miała ochotę poradzić obu kobietom, żeby wzięły się w garść. Było oczywiste, że Ted je lubi i równie oczywiste, że na tym koniec. Mimo wszystko, naprawdę im współczuła. Ten facet traktował cały rodzaj żeński - za wyjątkiem jej jednej - niczym nieskończenie atrakcyjne istoty, więc nic dziwnego, że żadna z zakochanych nie traciła nadziei.

Sunny wyraźnie się znudziła.

- Słyszałam, że mają tu piękny basen. Może byś mi go pokazał, Ted?

- Świetny pomysł - odparł. - Meg też chciała go zobaczyć. Chodźmy wszyscy razem.

Byłaby mu wdzięczna, że nie zostawia jej sam na sam ze Spence'em, gdyby nie domyślała się prawdziwych motywów tej szlachetności. Ted nie chciał zostać sam na sam z Sunny.

Całą czwórką ruszyli w stronę basenu. Po drodze Meg poznała ich gospodarza, Warrena Travelera. Wyglądał jak starsza, bardziej szorstka wersja Kenny'ego. Zona Warrena, Shelby, robiła wrażenie ptasiego mózdzku, co - tego Meg już nauczyła się o Wynette - mogło być całkowicie mylne. I w tym przypadku z pewnością było, bo jak wkrótce wyszło na jaw, Shelby Traveler kierowała internatem szkoły brytyjskiej, w której jej synowa, Emma, sprawowała dawniej funkcję dyrektorki.

- Zanim zaczniesz na mnie wrzeszczeć - powiedziała Shelby do Teda -

powinieneś wiedzieć, że Margo Ledbetter przygotowała twoją kasetę castingową i wysłała do *Kawalera do wzięcia*. Mówię, bo może chciałbyś zacząć ćwiczyć ceremonię róż.

Ted skrzywił się boleśnie. Ekspłodowała seria petard, więc Meg przechyliła się ku niemu wystarczająco blisko, żeby szepnąć:

- Naprawdę musisz uciekać z tego miasteczka.

Mały mięsień u nasady zuchwy, z którym coraz lepiej się zaznajamiała, zaczął mu pulsować, ale Ted uśmiechał się, udając, że nie słyszy.

## *Rozdział 11*

MEG OBSERWOWAŁA, jak Torie owija w plażowe ręczniki dwie przyszłe królowe piękności. Radosne całusy, które pani Traveler O'Connor złożyła na małych, zgrabnych noskach świadczyły, że wszystkie jej narzekania na dzieciaki, to tylko barwna fanfaronada. Kawalek dalej Kenny usiłował

rozsądzić spór dwóch chłopców o włosach równie ciemnych jak jego własne, a tymczasem malutka dziewczynka z karmelowymi lokami swojej matki porwała ukradkiem zza ich pleców przedmiot kłótni - na-dmuchiwany materac - i pobieгла z nim do basenu.

Wreszcie Meg udało się uwolnić pod pretekstem, że musi skorzystać z toalety. Ale wychodząc, natychmiast nadziała się na Spence'a, który czekał na nią pod drzwiami ze świeżym kieliszkiem wina.

- Chyba dobrze pamiętam, piłaś sauvignon blanc -odezwał się, twardo wymawiając spółgłoski jak człowiek, który nie ma cierpliwości do żadnego języka poza angielskim, po czym wetknął głowę do łazienki.

- Sedes Kohlera - oznajmił. - Ale te krany są moje. Zmatowiony nikiel. Z

naszej linii Chesterfield.

- Są... śliczne.

- Sunny je projektowała. Ta dziewczyna to czarodziejka.

- Wygląda na to, że jest naprawdę utalentowana. -Meg próbowała nieznacznie się od niego odsunąć, jednak Spence był wielkim mężczyzną i blokował całe przejście. Jego ręka znowu zagościła zbyt poufale po-

środku jej pleców. - Muszę na kilka dni wrócić do Indy. A potem czeka mnie krótka wyprawa do Londynu po informacje na temat pewnej firmy meblarskiej. Wiem, że pracujesz. - Puścił do niej oko. - Ale może bym tak sprawdził, czy nie dadzą ci odrobiny wolnego i poleciałabyś ze mną?

Zaczęła wpadać w lekki popłoch.

- Spence, jesteś wspaniałym facetem... - Wspaniały facet ze skrawkiem pieczonego kurczaka

zaklinowanym między przednimi zębami. -

Naprawdę mi to pochlebia, tylko że... - Usiłowała wyglądać na zadurzoną. - Przecież wiesz, że kocham Teda.

Skipjack obdarzył ją pobłażliwym uśmiechem.

- Meg, słoneczko, ugania się za mężczyzną, który nie jest tobą zainteresowany, cholernie obędzie cię z szacunku dla samej siebie. Lepiej teraz spojrzeć prawdzie w oczy, bo im bardziej to odwleciesz, tym będzie ci ciężiej.

Meg nie poddawała się tak łatwo.

- Właściwie nie wiem, czy Ted nie jest mną zainteresowany.

Spence przesunął dłoń na jej ramię i uściśnął.

- Widziałaś go z Sunny. Zauważyłaś, jak między nimi iskrzy. Nawet ktoś na pół ślepy jest w stanie stwierdzić, że ci dwoje są dla siebie stworzeni.

Mylił się. Jedyne prawdziwe iskry emitowała Sunny. Cała reszta pochodziła z Beaudine'owskiej maszyny voodoo. Meg nie potrafiła sprecyzować, jakiego rodzaju kobiety potrzebował Ted, ale córka Spencera nie nadawała się ani odrobinę bardziej niż Lucy. Chociaż właściwie, kto to mógł wiedzieć? Może Sunny ze swoimi dyplomami i inżynierskim umysłem była dla niego odpowiednia.

- Wiem, że Ted dopiero do siebie dochodzi - ciągnął Spence - ale Sunny jest mądra. Nie będzie się spieszyć. On już ją traktuje, jakby była jedyną kobietą na świecie.

Oczywiście, nie zauważył, że Pan Idealny w taki sposób traktuje wszystkie kobiety.

- Ted i Sunny razem. - Zachichotał. - To by naprawdę sfinalizowało porozumienie w sprawie centrum golfa.

Właśnie wtedy Meg rozwiązała zagadkę, nad którą głowiło się całe miasteczko: dlaczego Spencer Skipjack zmienił zdanie?

Tej wiosny zdecydował się na San Antonio, ale niewiele ponad miesiąc temu znowu się pojawił i oznajmił, że Wynette ma szansę. Sprawa była jasna: to z powodu córki. Sunny poznała Teda jeszcze jako cudzego narzeczonego. Ale obecnie nie był już zaręczony, a Spence zrobiłby wszystko, żeby dostała to, czego chce.

- Opowiedz mi o tym nowym modelu Jeszcze Czyściej. Umieram z ciekawości, żeby poznać szczegóły.

Ochoczo zapuścił się w opis sedesu, który automatycznie myje tyłek użytkownika. A to szybko doprowadziło do kolejnego ulubionego tematu



- życia Meg w Hollywood.

- Domy tych wszystkich sławnych ludzi... Mogę się założyć, że widziałaś przynajmniej kilka fantastycznych łazienek.

- Dorastałam głównie w Connecticut. A potem wiele czasu spędziłam, podróżując.

Nie powstrzymało go to od pytania, czy osobiście zna jego ulubione gwiazdy. Lista obejmowała Cameron Diaz, Brada Pitta, George'a Clooneya i - nie wiadomo dlaczego - Tori Spelling.

Kiedy tylko zapadł zmrok, zaczął się pokaz fajerwerków. Goście rozsiedli się na trawniku za domem. Jedenastoletni Peter Traveler, syn Shelby i Warrena, ganiał z kolegami po ogrodzie, a senne młodsze dzieciaki skuliły się obok rodziców na wielkich plażowych ręcznikach. Jedna z córek Torie wplotła paluszki we włosy matki. Trójka Kenny'ego i Emmy porozkładała się im na kolanach, a najmniejsze wtuliło się ojcu pod ramię.

Meg, Spencer, Ted i Sunny zajęli koc, który dostarczyła im Shelby.

Spence pchał się zbyt blisko Meg, więc po chwili siedziała już w trawie.

Ted oparł się na łokciach i słuchał, jak uczona panna Skipjack wylicza chemiczne składniki używane do uzyskiwania poszczególnych kolorów fajerwerków. Wydawał się zafascynowany, ale Meg podejrzewała, że myślami był kompletnie gdzie indziej. Na niebie eksplodowały pierwsze wiatraki, co zebrani przyjęli radosnymi wiwatami. Spence położył

gorące, włochate łapsko na jej dłoni. Wilgotne wieczorne powietrze zaostrzyło smród wody kolońskiej, a gdy wystrzeliły kolejne sztuczne ognie, czarny kamień w sygnecie mrugnął do Meg jak diabelskie oko.

Woda kolońska... upał... nadmiar wina...

- Przepraszam - szepnęła. Wyswobodziła rękę i ruszyła wśród koców i plażowych ręczników w stronę francuskich drzwi, które prowadziły do przestronnego salonu. Przytulny, angielski styl tego wnętrza podkreślały miękkie kanapy i klubowe fotele. Niskie stoliki zawałone były czasopismami i rodzinnymi fotografiami

w srebrnych ramkach, na półkach biblioteczek rzucały się w oczy modele samolotów, gry planszowe i komplet powieści o Harrym Potterze.

Za plecami Meg otworzyły się drzwi. A więc Spence przyszedł tu za nią.

Poczuła, jak ściska się jej żołądek. Była zmęczona, nie w sosie i nie mogła już dłużej tego znosić.

- Jestem zakochana w Tedzie Beaudinie. Namiętnie zakochana.

- Trzeba przyznać, że masz dziwny sposób okazywania uczuć.

Cholera. To wcale nie Spence. Odwróciła się gwałtownie i ujrzała Teda.

Stał w drzwiach do ogrodu - wysoka, absolutnie doskonała sylwetka na tle wieczornego nieba. Kolejna eksplozja fajerwerków utworzyła gwiaz-

dzistą aureolę za jego głową, co było tak irytująco do przewidzenia, że Meg wrzasnęła:

- Daj mi święty spokój.

- Naprawdę z tej namiętności robisz się opryskliwa. - Kiedy ruszył się od drzwi, złociste iskry napowietrznej kaskady zapadły w nicość. - Chciałem tylko sprawdzić, czy dobrze się czujesz. Wyglądałaś się nieszczególnie.

- Smród wody kolońskiej w nadmiarze. A poza tym to jakaś bzdura. Ty też chcesz się urwać Sunny.

- Nie wiem, dlaczego tak twierdzisz. Ona jest naprawdę inteligentna. I seksowna.

- I pasowałaby ci idealnie, gdyby nie to, że wcale jej nie lubisz. Chociaż w życiu byś się nie przyznał, że nie lubisz kogokolwiek oprócz mnie. Co nie zmienia faktu, że jeśli zdołasz się w niej zakochać, to ani się obejrzysz, a będziesz tu miał to swoje okropne centrum. Spence osobiście mi to powiedział. Małżeństwo z Sunny przypieczętowałoby umowę. Właśnie dlatego wrócił do

Wynette. - Rzuciła Tedowi ponure spojrzenie. - Zresztą nie wątpię, że już się domyśliłeś. Nawet nie starał się zaprzeczać.

- Potrzebujemy tego centrum golfa i nie zamierzam się tłumaczyć z tego, że robię wszystko co w mojej mocy, żeby powstało. W mieście niemal każdy na tym skorzysta.

- Więc będziesz musiał się z nią ożenić. Cóż znaczy szczęście jednego człowieka wobec dobrobytu całych rzesz?

- Ledwie się znamy.

- Bez obaw. Sunny jest kobietą, która zdobywa to, na co ma ochotę.

Ted potarł nasadę nosa.

- Chce się tylko zabawić.

- Wręcz przeciwnie. Jesteś jedynym w swoim rodzaju Tedem Beaudine'em i już sam twój widok wprawia kobiety...

- Och, zamknij się. - Ostre słowa łagodnie wypowiedziane. - Po prostu zamknij się, dobrze?

Wyglądał na równie zmęczonego, jak Meg się czuła. Ciężko klapnęła na obitą adamaszkiem kanapę, oparła łokcie na kolanach i na splecionych dłoniach złożyła podbródek.

- Nienawidzę tego miasteczka.

- Być może. Ale jednocześnie lubisz wyzwania, do których cię mobilizuje.

Gwałtownie uniosła głowę.

- Wyzwania? Sypiam w przegrzanym, pustym kościółku i sprzedaję piwo rozwydrzonym golfistom, którzy nie mogą się nawet pofatygować, żeby wyrzucić puszkę do odpowiedniego pojemnika. O tak, po prostu kocham wyzwania.

Wydawało się, że jego oczy przeszywają ją na wylot.

- Dzięki temu jest tylko ciekawiej. Nareszcie masz szansę się sprawdzić.

- Nareszcie? - Oburzenie poderwało Meg z kanapy. - Pływałam kajakiem po Mekongu, mimo rekinów nurkowałam w Kapsztadzie. Nie mów mi o sprawdzianach.

- To nie były sprawdziany, tylko twój pomysł na dobrą zabawę. Ale teraz dzieje się inaczej. Po raz pierwszy przekonałaś się, jaka naprawdę jesteś bez pieniędzy mamusi i tatusia. Czy potrafisz przetrwać w miejscu, gdzie jedyną osobą, na której twoje nazwisko robi wrażenie, jest Spencer Skipjack, i gdzie, powiedzmy sobie szczerze, nikt cię nie lubi?

- Torie chyba mnie lubi. I Haley Kittle. - Sposób, w jaki się na nią gapił, wprawiał Meg w zakłopotanie, więc podeszła do półek z książkami i udawała, że przegląda tytuły.

Ted zbliżył się z tyłu.

- Ciekawie jest cię obserwować. Czy Meg Koranda da sobie radę tylko z pomocą własnych zdolności i inteligencji? To dla ciebie prawdziwe wyzwanie, mam rację?

Niezupełnie. Ale też nie do końca się mylił.

- Co ty o tym możesz wiedzieć? Jesteś odwrotną stroną amerykańskiego sukcesu. Wychowany przez bogatych rodziców, ze wszystkimi korzyściami, jakie z tej sytuacji płyną. W efekcie powinieneś być równie zepsuty jak ja. Ale nie jesteś.

- Nie jesteś zepsuta, Meg. Przestań tak o sobie mówić.

Znowu wytrącił ją z równowagi, więc wlepiała wzrok w rząd słowników i encyklopedii.

- Jeszcze raz powtórzę: co ty o tym możesz wiedzieć? Przez całe życie niczego nie schrzaniłeś.

- A tu się mylisz. Jako dzieciak zdewastowałem Statuę Wolności.

- Ty i Magiczny Pisak. Wielkie rzeczy. - Przesunęła palcem wzdłuż grzbietu jakiegoś słownika.

- Och, było jeszcze gorzej. Wdrapałem się aż do korony, wybiłem okno i wyrzuciłem na zewnątrz

transparent „Energii Atomowej Nie!”

Tak ją to zaszokowało, że wreszcie się odwróciła.

- Lucy nic mi o tym nie wspominała.

- Nie? - Pochylił głowę, więc Meg nie mogła mu spojrzeć w oczy. - Chyba ten temat jakoś nigdy nie wypłynął.

- Jak mogliście nie rozmawiać o czymś tak ważnym? Wzruszył ramionami.

- Byliśmy zajęci czym innym.

- Takie przeżycie musiało być choć trochę traumatyczne.

Twarz mu się odprężyła, na ustach pojawił się uśmiech.

- To była najgorsza chwila mego dzieciństwa. I najlepsza.

- Najlepsza? Przecież na pewno cię złapali?

- Jasne. - Ted wpatrywał się w angielski pejzaż nad kominkiem. - Do dziewiątego roku życia nie znałem mojego ojca - to długa historia - i kiedy wreszcie się spotkaliśmy, nie poszło nam najlepiej. On spodziewał

się po dziecku czegoś innego, ja oczekiwałem innego typu taty. I obaj czuliśmy się nieszczęśliwi. Aż do tej historii ze Statuą Wolności.

- A co się wtedy stało? Znowu się uśmiechnął.

- Dowiedziałem się, że mogę na niego liczyć. To zmieniło życie nas obu i od tamtego czasu wszystko się między nami ułożyło.

Może to był wpływ wina. Albo zmęczenia po długim dniu i napięcia wywołanego kontaktami ze Spence'em i Sunny. Meg wiedziała tylko, że patrzyli sobie w oczy, a już w następnym momencie bez żadnej widocznej przyczyny oboje poruszyli się i ich ciała przylgnęły do siebie. Ona uniosła podbródek, on opuścił głowę, powieki mu opadły i tak po prostu zaczęli się całować.

Z zaskoczenia jej ręka pofrunęła do góry i walnęła go w łokieć, ale ten niezdarny gest nie powstrzymał żadnego z nich. Ted ujął twarz Meg w obie dłonie i przechylił pod idealnie właściwym kątem. Teraz była już zbyt zaciekawiona i podniecona, żeby się cofnąć.

Usta Teda miały przyjemny smak, coś jakby piwo i guma do żucia. Jego kciuk prześlizgnął się na wrażliwe miejsce za płatkiem ucha, a palce drugiej ręki drażyły tunel wśród loków. Nie miała cienia wątpliwości.

Właśnie przytrafił się jej jeden z najlepszych pocałunków w życiu. Nie za mocny. Nie za delikatny. Powolny i idealny. Ale przecież to oczywiste.

Ted Beaudine robił wszystko perfekcyjnie.

Nie pamiętała, kiedy zarzuciła mu ręce na szyję, jednak były tam i gdy jego wygadany język wyczyniał swoje czarodziejskie sztuki z jej językiem, czuła, jak cała w środku mięknie.

Ted odsunął się pierwszy. Powieki Meg zatrzepotały. Podniosła oczy i napotkała spojrzenie, w którym malował się szok zapewne dorównujący jej własnemu. Coś się stało. Coś nieoczekiwanego. I żadne z nich nie było z tego powodu szczęśliwe. Powoli ją puścił.

Usłyszała jakiś hałas. Ted wyprostował się. Powrócił zdrowy rozsądek.

Wsunęła kosmyk włosów za ucho i odwróciła głowę. We francuskich drzwiach stała Sunny Skipjack z ręką na gardle i sponiewieraną pewnością

siebie. Meg nie miała pojęcia, czy Ted - podobnie jak ona - kierował się impulsem, czy może przez cały czas wiedział, że nie są sami i poszedł na całość, żeby Sunny zniechęcić. Tak czy inaczej żałował tego, co Meg czuła równie wyraźnie jak drżenie własnych kolan. Był zmęczony, na moment stracił czujność i wiedział, że właśnie kompletnie zawałił

sprawę.

Tymczasem Sunny walczyła, żeby odzyskać panowanie nad sobą.

- Jeden z kłopotliwych momentów, jakie niesie życie - powiedziała.

Gdyby teraz czmychnęła z Wynette, tutejsi mieszkańcy z całą pewnością obwinialiby Meg, a ona miała dość problemów i bez tego. Podnosząc wzrok na Teda, jeszcze raz przywołała minę damy w opałach.

- Strasznie mi przykro, Ted. Wiem, że nie mogę tak się na ciebie rzucać.

Rozumiem, że musisz się czuć zażenowany. Ale po prostu jesteś taki...

taki... cholernie zniewalający.

Jedna ciemna brew podskoczyła do góry. Meg popatrzyła na Sunny. Jak przyjaciółka na przyjaciółkę.

- Za dużo wina. Przysięgam, to już się nie powtórzy. - A potem, ponieważ była tylko człowiekiem, dodała: - On jest teraz taki bezbronny. Taki słodki i bezradny przez te kłopoty z Lucy. Wykorzystałam go.

- Nie jestem bezbronny ani bezradny - warknął Ted.

Meg przycisnęła mu wskazujący palec do warg.

- Otwarta rana. - Z godnością dzielnej kobiety cierpiącej przez nieodwzajemnioną miłość wymięła Sunny i wyszła na patio, skąd zabrała swoją torebkę i wyruszyła do miejsca, które obecnie służyło jej za dom.

Właśnie umyła twarz i wsunęła przez głowę T-shirt z logo firmy Happy Printing, kiedy usłyszała podjeżdżający samochód. W okolicy mógł się właśnie pojawić zabijający na chybił trafił seryjny morderca, ale raczej postawiłaby wszystkie pieniądze na Sunny Skipjack. Bez pośpiechu powiesiła sukienkę z Modiglianin w starej szafie na szaty członków chóru, po czym drzwiami koło miejsca po ołtarzu przeszła do głównej części kościołka.

A jednak nie miała racji. To nie była Sunny.

- Zapomniałaś swego prezentu z przyjęcia - powiedział Ted.

Nie spodobało jej się gwałtowne poruszenie, które poczuła, patrząc, jak stoi w pobliżu wejścia z drewnianą, ozdobioną amerykańską flagą paletką do paddleballa w rękę.

- Shelby miała też cały koszyk patriotycznych jo-jo, ale uznałem, że wolałabyś paletkę. Chyba że tylko sobie wyobraziłem to, co myślę o twoich potrzebach. - Mocno klepnął się paletką w dłoń.

Chociaż firmowy T-shirt Happy Printing sięgał jej poza biodra, pod spodem miała tylko stringi koloru kości słoniowej. Zdecydowanie musiała jeszcze coś na siebie włożyć. Na przykład, kolczugę i pas cnoty.

Ted odbił kilka razy gumową piłeczkę i spacerowym krokiem ruszył naprzód, nie odrywając oczu od Meg.

- I dzięki za pomoc z Sunny, chociaż poradziłbym sobie bez twego komentarza.

Popatrzyła na paletkę, potem na niego.

- Sam sobie jesteś winien. Nie powinieneś był mnie całować.

Brwi Teda ściągnęły się w udanym oburzeniu.

- O czym ty mówisz? To ty mnie pocałowałaś.

- Nieprawda. Nie mogłeś się ode mnie oderwać.

- Chyba w twoich snach. - Wykonał jeszcze jedno mocne odbicie. Meg podniosła głowę. - Jeśli stłuczysz szybę, zadenuncjuję cię właścicielowi nieruchomości.

Złapał piłeczkę i wpatrując się w to, co mógł dojrzeć z dolnych partii ciała Meg, przesunął kciukiem po owalnym brzegu paletki.

- Właśnie przyszedł mi do głowy najdziwniejszy pomysł. - Zawieszony pod sufitem wiatrak mierzwił

mu włosy. Ted znowu plasnął rakieta o dłoń. - Opowiedziałbym ci o nim, ale tylko się wściekniesz.

Seks wisiał w powietrzu, tak łatwopalny jak wieczorne fajerwerki. Bez względu na to, kto zainicjował tamten pocałunek, coś się pomiędzy nimi dwojgiem nieodwołalnie zmieniło. I oboje o tym wiedzieli.

To tyle na temat uprawiania gierki. Nic nie mierziło Meg bardziej niż rola kolejnej zdobyczy Teda Beaudine'a, a jednak myśl, by uczynić z niego swoją kolejną zdobycz, była warta rozważenia.

- Możesz mieć każdą kobietę w tym mieście. I zapewne w całym stanie.

Daj mi święty spokój.

- Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Bo odkąd tu się znalazłam, traktowałeś mnie obrzydliwie.

- Nieprawda. W czasie przyjęcia przedślubnego zachowywałem się całkiem miło. Zacząłem cię traktować obrzydliwie dopiero, kiedy Lucy uciekła.

- Co nie było moją winą. Przyznaj to wreszcie.

- Nie chcę. Musiałbym obwiniać samego siebie, a komu to potrzebne?

- Tobie. Chociaż trzeba przyznać, że Lucy powinna była się opamiętać, zanim sprawy zaszły tak daleko.

Ted grzmotnął kilka razy piłeczką.

- Co jeszcze masz na swojej liście zażaleń?

- Zmusiłeś mnie do pracy u Birdie Kittle.

Rzucił paletkę na brązowy fotel, jakby pokusa, żeby jej użyć, stawała się zbyt trudna do opanowania.

- Dzięki temu nie poszłaś siedzieć, prawda?

- I załatwiłeś, żeby płacono mi mniej niż pozostałym pokojówkom.

Udawał głupka.

- Tego nie pamiętam.

Meg chowała w pamięci wszystkie niesprawiedliwości.

- A tamtego dnia w zajeździe, kiedy sprzątałam... Stałeś w drzwiach i obserwowałeś, jak o mało się nie zabiłam, próbując obrócić materac.

Uśmiechnął się szeroko.

- Muszę przyznać, to było zabawne.

- A potem, kiedy przez osiemnaście dołków taszczyłam twoją torbę z kijami, dałeś mi jednego dolara napiwku.

Tego tematu nie należało poruszać, bo Ted nadal miał jej za złe.

- Kosztowałaś mnie trzy dołki. I nie wyobrażaj sobie, że nie zauważyłem, że wszystkie nowe pokrowce mi poginęły.

- Byłeś narzeczonym mojej najlepszej przyjaciółki! A jeśli to nie jest wystarczający powód, nie zapominaj, że właściwie cię nienawidzę.

Nacierał na nią całą mocą spojrzenia swoich złoci-stobrazowych oczu.

- Właściwie też mnie lubisz. Nie twoja wina. Tak się po prostu stało.

- To niech się odstanie. Jego głos zamienił się w dym.

- Dlaczego miałabyś chcieć tego teraz, kiedy oboje jesteśmy bardziej niż gotowi do następnego kroku? Który zdecydowanie polecam wykonać nago.

Meg z trudem przełknęła ślinę.

- Nie wątpię, że ty tego chcesz, ale może ja nie jestem gotowa. -

Nieśmiałość i bojaźliwość zupełnie do niej nie pasowały, więc Ted wyglądał na rozczarowanego. - No, dobra - rozłożyła ręce - przyznaję, jestem ciekawa. Nawet bardzo. Ale oboje wiemy, co z tego wyniknie. To ślepy zaułek.

Uśmiechnął się.

- Albo cholernie dużo dobrej zabawy.

Meg była wściekła na siebie, że w ogóle na serio pomyślała, żeby to zacząć.

- Nie myślę na serio, żeby to zacząć - oznajmiła - ale gdybym myślała, miałabym mnóstwo warunków.

- Na przykład?

- Wyłącznie seks - żadnych pieszczotliwych przezwisk, żadnych nocnych zwierzeń. Żadnej... - na samą myśl zmarszczyła nos - żadnej przyjaźni.

- W jakimś sensie już się przyjaźnimy.

- To tylko twoje pokręcone wyobrażenia, bo nie możesz znieść świadomości, że nie jesteś w



przyjaznych stosunkach ze wszystkimi na tej planecie.

- A co w tym złego?

- Tak się nie da, to w tym złego. Gdyby sprawy posunęły się dalej, nie mógłbyś nikomu o nas powiedzieć. Mówię poważnie. Wynette to plotkarska stolica świata, a ja i bez tego mam wystarczająco dużo kłopotów. Trzeba by się było ukrywać. Przy ludziach musiałbyś udawać, że mnie nienawidzisz.

Ted zmrużył oczy.

- Bez trudu sobie poradzę.

- I nawet nie myśl, żeby mnie używać do zniechęcania Sunny Skipjack.

- Tu bym dyskutował. Ta kobieta wprawia mnie w popłoch.

- Wcale nie wprawia cię w popłoch. Po prostu nie chcesz mieć z nią do czynienia.

- To już wszystko?

- Nie. Najpierw musiałabym porozmawiać z Lucy. To go zaskoczyło.

- Ale dlaczego?

- Pytanie, które jeszcze raz potwierdza, jak niewiele o mnie wiesz.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął komórkę i rzucił ją Meg.

- Dzwon.

Odrzuciła mu ją z powrotem.

- Skorzystam ze swojej.

Wsunął telefon do kieszeni i czekał.

- Nie teraz. - Meg zaczęło ogarniać większe wyczerpanie, niżby chciała.

- Teraz - odparł. - Powiedziałaś, że to konieczny warunek.

Powinna była wyrzucić Teda, ale za bardzo go pragnęła, a poza tym przecież jej przeznaczeniem było wybierać nieodpowiednich mężczyzn.

Właśnie dlatego tyle dla niej znaczyły przyjaciółki. Posłała mu wrogie spojrzenie, najbardziej zbliżone do gestu, który pozwala zachować twarz, powlokła się do kuchni i z hukiem zatrzęsła drzwiami. Sięgając po telefon, powiedziała sobie, że potraktuje to jako znak, jeśli Lucy nie odbierze.

Ale odebrała.

- Meg? Co się stało?

Meg klapnęła na linoleum i oparła plecy o drzwi lodówki.

- Cześć, Luce. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam. - Odkleiła od podłogi płatek śniadaniowy Cheerio, który pewnie upuściła rano, a może parę dni temu, i zaczęła kruszyć go w palcach. - Co słychać?

- Jest pierwsza w nocy. Jak myślisz, co może być słychać?

- Naprawdę? Tutaj mamy dopiero północ, ale skoro nie wiem, gdzie się aktualnie podziewasz, trochę trudno mi brać pod uwagę różnicę czasu.

Pożałowała swego wybuchu, kiedy Lucy westchnęła.

- To już nie potrwa długo. Ja... Powiem ci, jak tylko będę mogła. Akurat teraz wszystko jest trochę... pogmatwane. Masz jakieś problemy? Robisz wrażenie zmartwionej.

- Faktycznie, jest pewien problem. - Nie było łatwego sposobu, żeby jej o tym powiedzieć. - Co byś sobie pomyślała... - Meg mocniej przycisnęła kolana do piersi i wzięła głęboki oddech. - Co byś sobie o mnie pomyślała, gdybym zaczęła spotykać się z Tedem?

Zapadła długa chwila ciszy.

- Spotykać? W sensie...?

- Tak.

- Z Tedem?

- Twoim byłym narzeczonym.

- Wiem kto to. Ty i Ted jesteście... parą?

- Nie! - Meg rozprostowała nogi. - Nie. Parą nie. Nigdy. Chodzi tylko o seks. I zapomnij o tym. Po prostu niezbyt jasno teraz myślę. W ogóle nie powinnam była dzwonić. Boże, co ja sobie wyobrażałam? Przecież to totalna zdrada naszej przyjaźni. Nie powinnam...

- Nie! Nie, cieszę się, że zadzwoniłaś. - Faktycznie, Lucy sprawiała wrażenie mile podekscytowanej. - Och, Meg, to doskonale. Każda kobieta powinna choć raz zrobić to z Tedem Beaudine'em.

- Nie wiem, czy każda, ale... - Meg znowu podciągnęła kolana. -

Naprawdę? Nie masz nic przeciwko temu?

- Zartujesz? - Głos Lucy był niemal rozbawiony. - Wiesz, jak bardzo czuję się nadal winna? Gdyby on spał z tobą... Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Sypiałby z moją najlepszą przyjaciółką! Zupełnie jakbym dostała rozgrzeszenie od papieża!

- To nie musi aż tak cię śmieszyć.

Otworzyły się drzwi. Kiedy spokojnym krokiem wszedł Ted, Meg szybko opuściła kolana.

- Pozdrów ode mnie Lucy - powiedział.

- Nie będę twoim kurierem - odcięła się Meg.

- On tam teraz jest? - zapytała Lucy.

- Odpowiedź brzmi: tak.

- Więc powiedz mu ode mnie cześć. - Pełen poczucia winy głos Lucy znowu przycichł. -1 że go przepraszam.

Meg przesłoniła dłonią telefon i podniosła wzrok na Teda.

- Powiedziała, że wspaniale się bawi, pieprzy się z każdym napotkanym mężczyzną, a porzucenie ciebie było najlepszą decyzją w jej życiu.

- Wszystko słyszałam - oznajmiła Lucy. - On wie, że kłamiesz. Takie rzeczy bez trudu rozpoznaje.

Ted oparł się dłonią o blat szafki i rzucił Meg z ukosa wyniosłe spojrzenie.

- Kłamczucha. Spiorunowała go wzrokiem.

- Wynoś się. Wkurzasz mnie. Lucy wciągnęła oddech.

- Czy ty przed chwilą powiedziałaś do Teda Beaudi-ne'a, że cię wkurza?

- Najwyraźniej.

Lucy wypuściła powietrze.

- Wow... - Sprawiała wrażenie trochę oszołomionej. - Naprawdę nie zauważyłam, że to się zbliża.

Meg zmarszczyła brwi.

- Co się zbliża? O czym ty mówisz?

- O niczym. Kocham cię. Dobrej zabawy! -1 się rozłączyła.

Meg zatrasnęła komórkę.

- Chyba śmiało możemy przyjąć, że Lucy właśnie przestało dręczyć poczucie winy.

- To znaczy, że dała nam swoje błogosławieństwo?

- Mnie. Dała mnie swoje błogosławieństwo. Ted przybrał zadumaną minę.

- Słowo daję, brakuje mi tej kobiety. Bystra. Zabawna. Urocza. Nigdy ani przez chwilę nie sprawiała mi kłopotu.

- O rany, strasznie mi przykro. Wiedziałam, że było wam nudno, ale żeby aż tak źle!

Z uśmiechem wyciągnął do niej rękę. Meg pozwoliła postawić się na nogi, ale on na tym nie poprzestał. Jednym płynnym ruchem przyciągnął

ją do siebie i zaczął całować aż do utraty tchu. Z powodu wzrostu ich ciała zdumiewająco do siebie pasowały, ale była to jedyna wygoda w tym pocałunku pełnym żądy, przesywającym do szpiku kości.

Ted miał taki przyjemny zapach, przyjemny smak, przyjemny dotyk. Jego gorąca skóra, krzepkie mięśnie, twarde ścięgna. Przez taki długi czas.

Nie złapał jej za siedzenie, nie wsunął ręki pod koszulkę, gdzie szybko mógł odkryć mnóstwo nagości przepołowionej tylko delikatnym paseczkiem stringów. Zamiast tego koncentrował się na ustach Meg, twarzy, włosach - głaszcząc i eksplorując, przeslizgując się palcami wśród jej loków, odnajdując kciukami płatki uszu. Zupełnie jakby uczył

się na pamięć schematu wszystkich nieoczywistych stref erogennych jej ciała. To uderzało do głowy, budziło dreszcz emocji i było - ach - takie podniecające.

Ich wargi rozdzieliły się. Ted przycisnął czoło do czoła Meg i powiedział

cicho:

- Chciałbym, żebyśmy pojechali do mnie, ale nie mogę ryzykować, że po drodze zmienisz zdanie, więc to musi się stać tutaj. - Leciutko skubnął jej dolną wargę. - Wątpię, czy jesteśmy pierwszymi osobami, które będą uprawiać seks na tej galerii chóru, chociaż myślałem, że odkąd ukończyłem college, okres pocenia się na futonie mam już za sobą.

Kiedy chwycił ją za nadgarstek i ciągnął do głównej sali, usiłowała odzyskać oddech.

- Zaczekaj. - Zahamowała piętami na starej sosnowej podłodze. -

Żadnych kolejnych kroków w kierunku futonu, dopóki nie odbędziemy Zasadniczej Rozmowy.

Nie był głupi. Jęknął, ale zatrzymał się.

- Nie cierpię na żadne choroby. Nie miałem nikogo od czasów Lucy, a ponieważ to cztery cholerne

miesiące, powinnaś zrozumieć, że jestem trochę niecierpliwy.

- Nikogo od czasów Lucy? Naprawdę?

- Której części zwrotu „cztery cholerne miesiące” nie chwytasz? -

Wpatrywał się w nią uparcie, jakby oczekiwał walki. - I nie ruszam się nigdzie bez prezerwatywy. Możesz odczytać z tego, co tylko chcesz. Ale tak się sprawy mają.

- Jesteś Tedem Beaudine'em i w ogóle.

- Już powiedziałem.

- Cztery miesiące, he? U mnie nie było to nawet w przybliżeniu tak długo.

- Kłamstwo. Jej fatalny romans z Danielem, australijskim przewodnikiem raftingowym, zakończył się osiem miesięcy temu. Nigdy me pozwalala sobie na przelotne przygody, co przypisywała rozmowom o seksie, jakie kiedyś przeprowadziła z nią matka. Niestety, "rozmowy te nie uchroniły jej przed dokonaniem kilku złych wyborów. Niejedna z jej przyjaciółek twierdziła, że Meg umyślnie wybiera mężczyzn, o których wie, że nigdy się nie zaangażują, bo sama nie jest jeszcze gotowa dorosnąć.

- Też nie cierpię na żadne choroby - oznajmiła wyniośle - i zażywam regularnie pigułki antykoncepcyjne. Niech to cię jednak nie powstrzymuje przed użyciem tych prezerwatyw, które niewątpliwie nabyłeś hurtowo. Ponieważ to jest Teksas, kraina słabo ukrywanej broni, jeśli zajdę w ciążę, znajdę jakąś strzelbę i rozwalę ci łeb. Uczciwe ostrzeżenie.

- Dobra. Wszystko jasne. - Złapał ją za nadgarstek i pociągnął po krętych schodkach na chór. Chociaż nie musiał specjalnie ciągnąć.

- Ja nie wdaję się w jednonocne przygody - powiedziała, kiedy dotarli na górę. - Więc potraktuj to jako początek krótkoterminowego zobowiązania o charakterze seksualnym.

- Jeszcze lepiej. - Zerwał z siebie T-shirt.

- I nie pozwolisz wylać mnie z klubu. Zastygł w pół ruchu.

- Moment. Chcę, żeby cię wylali.

- Wiem - odparła. - Ale nieskomplikowanego seksu chcesz jeszcze bardziej.

- Słuszna uwaga. - Rzucił T-shirt.

Zanim się obejrzała, leżeli już na wyboistym futonie i Ted znowu ją całował. Jego dłonie ujmowały jej nagie pośladki, a jeden z kciuków wślizgnął się pod górną część jedwabnego paseczka stringów, który krył

się w rowku.

- Jeśli chodzi o seks, lubię prawie wszystko. - Jego erekcja napierała twardo na jej nogę. - Koniecznie daj mi znać, gdybym robił coś, co cię wprawia w popłoch.

Dopływ krwi normalnie zasilający mózg Meg gwałtownie wzrósł w innych częściach jej ciała, więc nie miała pojęcia, czy Ted z niej pokpiwa, czy mówi serio.

- Martw się o siebie. - Nic lepszego nie zdołała wymyślić. .

A on jeszcze przez długą, gorącą chwilę bawił się pa-seczkiem stringów, po czym cofnął kciuk i przeciągnął nim po jej wytatuowanym smoku.

Chociaż Meg uwielbiała fantazjować o tym, że mężczyzna powoli ją rozbiera nigdy nie spotkała takiego, który robiłby to naprawdę dobrze i nie dała Tedowi szansy, by był tym pierwszym. Usiadła w wąskiej przestrzeni obok niego, zaparła się na piętami, odchyliła do tyłu i ściągnęła przez głowę T-shirt.

W epoce ulepszonych silikonem biustów jej piersi szczególnie nie zapadały w pamięć, ale Ted za bardzo był dżentelmenem, żeby krytykować. Zwrócił na me uwagę, ale nie próbował ich niezdarnie chwytać, tylko zacisnął palce na jej żebrach i przesuwając się do przodu, przeciągnął powolnym pocałunkiem przez jej brzuch.

Ciało Meg pokryła gęsia skórka. Najwyższy czas skończyć z żartami.

Była naga, jeśli nie liczyć stringów, a on nadal miał na sobie szorty khaki łącznie z tym, co nosił - albo czego nie nosił - pod spodem. Szarpnęła zapięcie, żeby się przekonać.

- Jeszcze nie - szepnął, przesuwając ją na dół, do siebie. - Najpierw cię rozgrzejmy.

Rozgrzejmy? Była gotowa zapłonać! Przetoczył się na bok i skupił na jej ciele całkowitą uwagę. Jego spojrzenie powoli błędziło po zagłębieniu u nasady szyi. Krągłości piersi. Zmarszczonej fałdce sutka. Skrawku jasnej koronki na podbrzuszu. Ale nie dotknął niczego. Nie dotknął jej wcale.

Wygięła plecy w łuk, zapraszając go do siebie, zanim stanie w płomieniach. Pochylił głowę ku jej piersiom. Z dreszczem oczekiwania Meg zamknęła oczy, ale poczuła tylko, jak zęby Teda skubią jej ramię.

Czy ten facet nigdy nie przestudiował podstaw kobiecej anatomii?

Trwało to dobrą chwilę. Ted badał wrażliwy punkt w zgięciu łokcia, miejsce pulsu na nadgarstku, zaokrąglenie biustu od spodu. Ale tylko od spodu. Zanim dotknął miękkiej skóry po wewnętrznej stronie uda, Meg drżała z pożądania i miała już dosyć tych tortur. Jednak kiedy obróciła się na bok, żeby przejąć kontrolę, przesunął się całym ciężarem, pogłębił

pocałunki i jakimś cudem znów była zdana na jego łaskę. Czy możliwe, żeby mężczyzna przez cztery

miesiące pozbawiony seksu mógł tak nad sobą panować? Zupełnie jakby nie był człowiekiem. Jakby użył swoich genialnych talentów wynalazcy do stworzenia jakiegoś seksualnego wcielenia.

Z największą erekcją świata.

Wyrafinowane tortury trwały nadal. Jego pieszczoty nigdy nie docierały tam, gdzie tak rozpaczliwie ich potrzebowała. Starła się nie jęczeć, ale jęki same wymykały się jej z ust. To była jego zemsta. Zamierzał zamę-

czyć ją grą wstępną.

Nie zdawała sobie sprawy, że zajęła się sobą, dopóki nie złapał jej za rękę.

- Obawiam się, że na to nie mogę pozwolić.

- Pozwolić? - Z siłą podsyconą pożądaniem wywinęła się spod niego, jedną nogę przerzuciła mu przez biodra i szarpnęła zapięcie jego szortów.

- Albo to zrobisz, albo się zamknij. Przytrzymał ją za nadgarstki.

- Zostaną tak, jak są, dopóki ich nie zdejmę.

- Dlaczego? Boisz się, że cię wyśmieję? Gęste włosy Teda były zmierzwiłone w miejscach, gdzie widocznie zatapiała w nich palce, dolna warga trochę spuchnięta, pewnie od ugryzienia, a mina nieco ubolewająca. .

\_ Nie chciałem jeszcze tego robić, ale me pozostawiasz mi wyboru. -

Przerzucił ją pod siebie, unieruchomił własnym ciałem, zacisnął usta na jej sutku i zapewnił perfekcyjne ssanie, tuż przed granicą z bólem.

Jednocześnie wsunął palec pod cienki paseczek materiału pomiędzy nogami Meg, a potem dalej, w głąb. Jęknęła, podciągnęła pięty wyżej i zadygotała.

Kiedy leżała bezsilna już po wszystkim, jego wargi muskały płatek jej ucha.

\_ Myślałem, że będziesz miała trochę więcej samokontroli. Ale pewnie robiłaś, co mogłaś. - Niejasno uświadomiła sobie szarpnięcie za swój koronkowy pas cnoty, poczuła, jak Ted zsuwa się po jej ciele. Chwyta ją za nogi i rozkłada je szeroko. Nieogolony podbródek ociera się o wewnętrzną stronę jej ud. A potem przykrytyją jego usta.

Druga potężna eksplozja pochłonęła Meg, ale nawet wtedy nie posunął

się ani o krok dalej, tylko torturował, pocieszał i znowu torturował.

Jeszcze zanim wstrząsnął nią trzeci orgazm, stała się w rękach Teda bezwolną szmacianą lalką.

Wreszcie i on był nagi i kiedy w nią wszedł, zrobił to powoli, dając jej czas, żeby się oswoiła, znajdując idealny kąt - żadnych niezdarnych ruchów, żadnych poszukiwań na oślep, żadnych przypadkowych zadrapań czy szturchnięć. Tylko jeden po drugim suw pod stałym kątem, a potem mocne pchnięcie, bezbłędnie zgrane obliczone na dostarczenie maksimum przyjemności. Meg nigdy w życiu nie zaznała czegoś podobnego. Zupełnie

jakby liczyła się tylko jej rozkosz. Nawet kiedy dochodził, podpierał się tak, żeby nie przygnieść jej swoim ciężarem.

Zdrzemnęli się. Obudzili. Znowu się kochali, później jeszcze raz. W

którymś momencie nocy otulił Meg prześcieradłem, musnął jej wargi pocałunkiem i zniknął.

Nie potrafiła natychmiast zasnąć, więc rozmyślała o tym, co powiedziała Lucy. „Każda kobieta powinna choć raz zrobić to z Tedem Beaudine'em”.

Trudno było się spierać. Nigdy dotąd nikt nie kochał się z nią tak gruntownie, tak nieegoistycznie. Jakby przyswoił na pamięć wszystkie poradniki erotyczne, jakie kiedykolwiek napisano - do czego, uświadomiła sobie, byłby całkowicie zdolny. Nie dziw, że krążyły o nim legendy. Dokładnie wiedział, jak sprawić kobiecie maksymalną rozkosz.

Więc dlaczego Meg czuła się taka rozczarowana?

## *Rozdział 1 2*

NASTĘPNEGO DNIA KLUB BYŁ ZAMKNIĘTY z powodu święta, więc Meg zrobiła pranie, a potem udała się na cmentarz zaatakować chwasty z pomocą paru zardzewiałych narzędzi, które znalazła obok walącej się szopy. Czyszcząc najstarsze nagrobki, starała się nie myśleć zbyt obsesyjnie o Tedzie i kiedy zadzwoniła jej komórka, nawet nie odebrała, chociaż nie mogła sobie odmówić odsłuchania wiadomości. Zaproszenie do Roustabout w piątek wieczorem. Ponieważ Sunny i Spence niewątpliwie mieli w tym obiedzie uczestniczyć, nie oddzwoniła.

Mogła wiedzieć, że nie tak łatwo go zniechęcić. Około trzeciej zatrzymała się przed kościółkiem bladoniebieska furgonetka.

Zważywszy, jak miejscowe kobiety

stroiły się dla Teda, Meg była zadowolona ze swoich pokrytych smugami brudu rąk, gołych nóg oraz przyciasnego T-shirtu teksańskiej drużyny Longhorns, który uratowała z kosza na śmieci w damskiej szatni i zmodyfikowała, obcinając rękawy i oblamówkę pod szyją. Ogólnie rzecz biorąc, prezentowała się dokładnie tak, jak chciała.

Kiedy wysiadł z kabiny, kilka łuszczyków indygowych siedzących na gałęziach pobliskich klonów wybuchnęło radosnym śpiewem. Meg z niedowierzaniem pokręciła głową. Miał na sobie kolejne nieciekawe szorty ze swego najwyraźniej niewyczerpanego zapasu garderoby - te były brązowymi drelichami - równie nieciekawą, zieloną koszulkę z wyblakłym hawajskim nadrukiem i bejsbolówkę. Jak on to robił, że cokolwiek bez ładu i składu wrzucił rano na siebie, wyglądał tak



stylowo?

Naszły ją wspomnienia ostatniej nocy, wszystkich tych żenujących jęków i upokarzających żądań. Żeby to sobie zrekompensować, odważnie zaatakowała.

- Jeśli nie planujesz się rozebrać, dla mnie nie istniejesz.

\_ Wy, kobiety z Kalifornii, jesteście zbyt agresywne - Machnął ręką w kierunku cmentarza. - Raz w miesiącu przysyłam tu ekipę porządkową.

Nie musisz tego robić.

- Lubię być na dworze.

- Jak na zepsutego hollywoodzkiego bachora masz dość niezwykle rozrywki.

\_ To przebija nawet targanie twoich kijów po polu golfowym. - Ściągnęła bejsbolówkę i zewnętrzną stroną brudnego przedramienia otarła spocone czoło. Rozczochrane loki opadły jej na oczy i przykleiły się do karku.

Potrzebowała strzyżenia, ale nie chciała tracić pieniędzy - Nie wybieram się z wami w piątek do Roustabout.

Za dużo Skipjacków. - Z powrotem wcisnęła czapkę na głowę. - Poza tym im mniej czasu będziemy publicznie spędzać razem, tym lepiej.

- Wcale nie mówiłem, że oni też mają przyjść.

- Ale też nie zaprzeczyłeś, a ja mam ich oboje powyżej uszu. - Była wściekła, roztrzęsiona i z premedytacją niemiła. - Powiedz szczerze, Ted.

Ta cała historia z centrum golfa... Naprawdę pozwolisz Skipjackom zniszczyć kolejny kawałek natury, tylko po to żeby więcej idiotów mogło odbijać tam głupią białą piłeczkę? Już macie w Wynette klub golfowy.

Czy to nie wystarczy? Rozumiem kwestię korzyści dla tutejszej gospodarki, ale me uważasz, że ktoś, na przykład burmistrz, powinien pomyśleć o długoterminowych skutkach?

- Zaczynasz być prawdziwym wrzodem na tyłku.

- W przeciwieństwie do tych, co całują w tyłek? Autentycznie go rozżłościła. Sztywnym krokiem ruszył do furgonetki, ale zamiast naburmuszony odjechać, szarpnięciem otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Wsiadaj.

- Nie jestem ubrana na wycieczkę.

- Jedyną osobą, którą spotkasz, będę ja i całe szczęście, bo wyglądasz koszmarnie, a podejrzewam, że pachniesz jeszcze gorzej.

Była zadowolona, że zauważył.

- Twoja furgonetka ma klimatyzację?

- Sama sprawdź.

Nie zamierzała przepuścić tajemniczej wyprawy, żeby pałętać się po cmentarzu i wrywać chwasty. Jednak nie spieszyła się, meandrując wśród grobów w stronę samochodu. Wgramoliwszy się wreszcie do kabiny, zauważyła brak deski rozdzielczej, dziwnie wyglądające kontrolki i kilka płytek obwodu drukowanego, zamontowanych w czymś, co dawniej było schowkiem.

- Nie dotykaj tamtych przewodów. - Ted wsunął się za kierownicę. -

Chyba że chcesz zostać porażona prądem.

Oczywiście dotknęła, więc rzucił opryskliwie:

- Przecież to mogła być prawda. Nie miałaś żadnej pewności.

- Lubię ryzyko. Taka kalifornijska specyfika. Poza tym już się przekonałam, że w Wynette „prawda” jest pojęciem elastycznym. - Kiedy zatrzasnął drzwi, brudnym paznokciem dźgnęła w kierunku szeregu paneli koło kierownicy. - Co to?

- Kontrolki systemu klimatyzacji napędzanego energią słoneczną. Jeszcze nie działa tak, jak bym chciał.

- Super - burknęła. - Naprawdę super. - Podczas gdy ruszali sprzed kościoła, uważnie przyjrzała się małemu ekranowi, umieszczonemu pomiędzy siedzeniami. - A to co takiego?

- Prototyp nowego systemu nawigacyjnego. Też nie działa najlepiej, więc trzymaj łapy przy sobie.

- Jest coś w tym wozie, co działa?

- Jestem dość zadowolony z mego najnowszego wodorowego ogniwa paliwowego.

- Klimatyzacja napędzana energią słoneczną, system nawigacji, wodorowe ogniwo paliwowe... Faktycznie zasłużyłeś na najwyższe odznaczenia dla mądrali.

- Zazdrościsz ludziom, którzy działają efektywnie.

- Tylko dlatego, że jestem człowiekiem i w związku z tym podlegam normalnym ludzkim emocjom. Nieważne. I tak nie rozumiałbyś, co to znaczy.

Uśmiechnął się i wyjechał na szosę.

Miał rację. Napędzana energią słoneczną klimatyzacja nie pracowała najlepiej, ale wystarczająco dobrze, żeby w kabinie furgonetki było chłodniej niż w piekielnym

upale na zewnątrz. Milcząc, przejechali kilka mil wzdłuż rzeki. Winnica ustąpiła miejsca polom lawendy. Meg usiłowała nie myśleć o tym, jak do tego doszło, że pozwoliła, by Ted zamienił ją w rozmałany chaos za-

łosnych potrzeb.

Nagle furgonetka ostro zakreśliła w lewo i wjechała na wąską drogę pokrytą zniszczonym asfaltem. Podskakując na wybojach, minęli jakieś skałki, okrążyli wapienną skarpe i wtedy ich oczom ukazało się rozległe bezdrzewne, spłaszczone wzgórze, które wznosiło się nienaturalnie ponad otaczający teren na wysokość około dziesięciu pięter. Ted wyłączył zapłon i wygramolił się z kabiny. Meg poszła w jego ślady.

- Co to takiego? Wygląda dziwnie. Wetknął kciuki w tylne kieszenie spodni.

- Powinnaś to była zobaczyć parę lat temu, zanim je pokryli.

- Co rozumiesz przez „pokryli”?

Kiwnął głową w kierunku zardzewiałego znaku, którego dotąd nie zauważyła. Wisiał krzywo pomiędzy wyblakłymi metalowymi słupkami, w pobliżu kilku porzuconych opon. „Indian Grass składowisko odpadów trwałych”. Powiodła wzrokiem po zielsku i zaroślach.

- To było wysypisko śmieci?

- Znane też jako ostoja natury, o której ochronę tak się martwisz. I to nie jest wysypisko śmieci. To składowisko odpadów.

- Na jedno wychodzi.

- Nic podobnego. - Wygłosił krótki, ale robiący wrażenie wykład na temat ubitych wkładek gliny, mat geotekstylnych, systemu odprowadzania ścieków i wszystkich innych cech odróżniających starożytnie wysypisko od nowoczesnego składowiska. Nie powinno to brzmieć ciekawie - i prawdopodobnie dla większo-

ści ludzi by nie brzmiało - ale właśnie takie rzeczy Meg studiowała, kiedy w ostatnim roku nauki porzuciła college. Albo może po prostu chciała obserwować grę twarzy i sposób, w jaki jego brązowe włosy zawijają się przy brzegach bejsbolówki.

Ted machnął ręką w kierunku rozległej przestrzeni.

- Przez dziesiątki lat hrabstwo dzierżawiło tę ziemię od miasta. Ale dwa lata temu składowisko odpadów osiągnęło granice pojemności i musiało zostać zamknięte na stałe. To pozostawiło nas bez

źródła dochodów, za to ze stu pięćdziesięcioma akrami zdegradowanego terenu. Plus kolejnymi stoma akrami buforu. Zdegradowany teren, na wypadek gdybyś jeszcze nie zrozumiała, to ziemia, która nie nadaje się prawie do niczego.

- Oprócz pól golfowych?

- Albo ośrodka narciarskiego, co w środkowym Teksasie nie jest pomysłem zbyt praktycznym. Jeśli ośrodek gry w golfa zostanie utworzony prawidłowo, zaoferuje wiele korzyści związanych z naturą jako ostoja przyrody. Zasili tutejszą roślinność i poprawi jakość powietrza. Może nawet łagodzić temperaturę. Pola golfowe to coś więcej niż idioci uganiający się za piłeczkami.

Powinna była wiedzieć, że człowiek tak bystry jak Ted pomyśli o wszystkim, więc czuła się trochę głupio, że była taka zadufana w sobie.

Ted wskazał na kilka rur sterczących z ziemi.

- Składowiska wydzielają metan, więc muszą być kontrolowane. Ale metan można wykorzystać do wytwarzania elektryczności, co właśnie planujemy robić.

Meg zerknęła na niego spod daszka swojej czapki.

- To wszystko brzmi odrobinę zbyt pięknie.

- Chcemy zbudować ośrodek golfowy przyszłości. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne kluby Augusta National, to z pewnością. Takie pola ze sterylnymi

fairwayami, na których da się jeść i wypieszczonymi, zasysającymi wodę obszarami trawy wzdłuż fairwayów są dzisiaj dinozaurami.

- I Spence dał się przekonać?

- Powiedzmy raczej, że kiedy przedstawiłem mu w skrócie reklamowe znaczenie budowy centrum naprawdę przyjaznego dla środowiska - jaki mógłby zyskać dzięki temu rozgłos i to nie tylko w świecie golfa - bardzo się zainteresował.

Musiała przyznać, że to znakomita strategia. Sława pioniera ekologii z pewnością podsyciłaby wybijające ego Skipjacka.

- To dlaczego nigdy nie słyszałam, żeby Spence o tym wspominał?

- Był zbyt zajęty gapieniem się na twój biust. Który, tak między nami, zdecydowanie wart jest uwagi.

- Taak? - Oparła się o błotnik furgonetki, nieznacznie wysuwając do przodu biodra w zsuwających się szortach, zadowolona, że zyskuje choć chwilę, by przemyśleć to, czego właśnie dowiedziała się o Tedzie Be-audinie.

- Taak. - Obdarzył ją swoim najlepszym krzywym uśmiechem, który wyglądał niemal szczerze.

- Jestem strasznie spocona - powiedziała.

- Nie szkodzi.

- Świetnie. - Chciała roztrzaskać tę jego chłodną pewność siebie, zbić go z tropu, tak jak on zbijał ją, więc pozbyła się bejsbolówki, złapała za wystrzępiony brzeg przyciasnej, poobcinanej koszulki i ściągnęła ją przez głowę. - Jestem odpowiedzią na twoje marzenia kobieciarza, duży chłopczyku. Seks bez tych wszystkich kłopotliwych emocjonalnych bzdur, których nienawidzisz.

Ted wlepił spojrzenie w granatowy stanik balkonkę, który wilgoć kleiła do jej skóry.

- Jaki mężczyzna chce problemów?

- Ale ty naprawdę tego nienawidzisz. - Upuściła T-shirt na ziemię. - Jesteś typem emocjonalnie wycofanym. Nie żebym się skarżyła na ostatnią noc.

Absolutnie nie. - Milcz, ugryzła się w język. Po prostu milcz.

Jedna brew Teda uniosła się nieznacznie.

- To dlaczego to tak zabrzmiało?

- Naprawdę? Przepraszam. Jesteś kim jesteś. Zdejmuj spodnie.

- Nie.

Zniechęciła go przez swoje gadulstwo. A naprawdę na co miałyby się skarżyć?

- Nigdy nie widziałam, żeby facet równie niechętnie się rozbierał. Co jest z tobą nie tak?

Mężczyzna, który nie lubił być w defensywie, ostro zaatakował.

- Masz z ostatnią nocą jakiś nieznanymi mi problem? Nie byłaś usatysfakcjonowana?

- Jak mogłam nie być? Powinieneś handlować swoją wiedzą na temat kobiecego ciała. Słowo daję, zabrałeś mnie w tę podróż do gwiazd co najmniej trzy razy.

- Sześć.

On to liczył. Właściwie nawet nie była zdziwiona. Ale chyba całkiem jej odbiło. Bo inaczej dlaczego obrażałaby jedynego kochanka, który bardziej troszczył się o jej przyjemność niż o własną? Wyraźnie potrzebowała terapeuty.

- Sześć? - Szybko sięgnęła do tyłu i rozpięła stanik. Przyciskając dłońmi miseczki, pozwoliła ześlizgnąć się ramiączkom. - Więc dzisiaj lepiej traktuj mnie z wyrozumiałością.

Pożądanie wzięło w nim górę nad oburzeniem.

- A może po prostu powinienem poświęcić ci trochę więcej czasu.

- O Boże, nie - jęknęła.

Ale Meg zakwestionowała jego legendarne umiejętności kochanka. Na twarzy Teda zagościła ponura determinacja. Jednym długim susem pokonał dzielącą ich odległość. Następną rzeczą, którą Meg zapamiętała, był widok stanika na ziemi i dotyk dłoni na jej piersiach. I oto tam, na obrzeżach składowiska odpadów, ze śmieciami dziesięcioleci rozkładającymi się w sprasowanych warstwach, z gazomierzami metanu obwąchującymi powietrze i toksycznymi odciekami spływającymi przez podziemne rury, Ted Beaudine dał z siebie wszystko.

Nawet powolne tortury ostatniej nocy nie przygotowały Meg na dzisiejszą skrupulatnie wyliczoną męczarnię. Powinna była lepiej pomyśleć, zanim w ogóle napomknęła, że nie czuła się całkiem zadowolona, ponieważ teraz Ted postanowił zmusić ją, by odwołała swoje słowa. Ściągnąwszy jej szorty i majtki, ukąsił smoka wyta-tuowanego na pośladku. Przeginał ją i obracał. Głaskał, pieścił i badał

wprawnymi palcami wynalazcy. Znowu była na jego łasce. Gdyby kiedykolwiek miała zamiar przejąć kontrolę nad tym mężczyzną, potrzebowałaby chyba więzów i kajdanek.

Upalne teksańskie słońce prażyło ich niemiłosiernie, więc zrzucił

ubranie. Pot zlewał mu plecy, a dwie bliźniacze bruzdy przecinały czoło, kiedy ignorując własne naglące potrzeby, zarabiał na szóstkę z plusem w pobudzaniu jej. Chciała na niego krzyknąć, żeby dał spokój i dobrze się bawił, ale była zbyt zajęta wykrzykiwaniem innych żądań.

Ted otworzył drzwi furgonetki, dźwignął osłabłe ciało Meg na siedzenie i szeroko rozłożył jej nogi. Sam pozostawszy na zewnątrz, igrał z nią i dręczył, używając palców jak rozkosznej broni napastniczej. Naturalnie, jeden orgazm nie zadowolił go, więc kiedy leżała wykończona, wyciągnął

ją z kabiny i przycisnął przodem do boku furgonetki. Rozgrzany metal działał na pobudzone sutki jak zabawka erotyczna, a Ted nie przestawał

jej pieścić z tyłu. Wreszcie obrócił Meg do siebie i zaczął wszystko od początku.

Zanim w nią wszedł, straciła już rachubę swoich orgazmów. Była jednak pewna, że on nie stracił. Z pozorną łatwością oparł ją o bok auta, podtrzymując dłońmi pod pośladki. Oplotła go nogami w pasie.

Dźwiganie takiego ciężaru nie mogło być dla niego wygodne, ale Ted nie okazywał oznak zmęczenia.

Jego pchnięcia były głębokie i kontrolowane, jej przyjemność najważniejsza, nawet kiedy wygiął szyję, obrócił twarz do słońca i znalazł

własne spełnienie.

Czegóż więcej kobieta mogłaby chcieć od kochanka? Przez całą drogę powrotną zadawała sobie to

pytanie. Ted okazał się spontaniczny, szczodry, pomysłowy. Miał wspaniałe ciało i fantastycznie pachniał.

Absolutny ideał. Gdyby nie ta emocjonalna dziura w jego wnętrzu.

Był gotów poślubić Lucy i spędzić z nią całe życie, ale nie wydawało się, żeby jej dezercja pozostawiła chociaż zmarszczkę na powierzchni jego codzienności. O czym Meg powinna pamiętać, gdyby kiedykolwiek przyłapała się na najbardziej nawet ogólnikowych fantazjach w sprawie wspólnej przyszłości. Jedyne, co Ted odczuwał naprawdę głęboko, to odpowiedzialność.

Skręciwszy w drogę prowadzącą do kościoła, zaczął majstrować przy jednej z tajemniczych kontrolek. Meg podejrzewała, że oczekiwał na swoje świadectwo kochanka. Jak mogła mu nie wystawić najwyższych ocen? Rozczarowanie, które nie chciało przeminąć, było jej problemem, nie jego. Tylko ostatnia suka czepiałaaby się faceta, który robił wszystko - prawie wszystko - dobrze.

- Jesteś wspaniałym kochankiem, Ted. Słowo daję. - Uśmiechnęła się.

Każde słowo było prawdą.

Popatrzył na nią kamiennym wzrokiem.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Nie chcę, żebyś myślał, że jestem niewdzięczna. Powinna była trzymać język za zębami, bo w oczach

Teda zabłyśły złociste sygnały burzy.

- Nie potrzebuję twojej cholernej wdzięczności.

- Chciałam powiedzieć... To było niezwykle. - Ale tylko pogarszała sprawę. A jego palce zaciśnięte na podniszczonej kierownicy dowodziły, że wszyscy, którzy utrzymywali, jakoby nic nigdy nie wytrącało Teda Beaudine'a z równowagi, nie wiedzieli, o czym mówią.

- Byłem tam, pamiętasz? - Słowa uderzały jak odłamki metalu.

- Oczywiście - odparła. - Jak mogłabym zapomnieć? Gwałtownie zahamował.

- Do diabła, co się z tobą dzieje?

- Po prostu jestem zmęczona. Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

- Masz to jak w banku. - Sięgnął przez nią i jednym pchnięciem otworzył

drzwi po stronie pasażera.

Skoro jej pojednawcze wysiłki spaliły na panewce, Meg powróciła do swojej prawdziwej

osobowości.

- Zamierzam wziąć prysznic, a ty nie jesteś zaproszony. Co więcej, nigdy już mnie nie dotykaj.

- Niby dlaczego miałbym mieć ochotę? - wypalił. - Niektóre kobiety są cholernie kłopotliwe.

Westchnęła, zniesmaczona bardziej sobą niż nim.

- Wiem.

Długim palcem dźgnął powietrze mniej więcej w jej kierunku.

- Lepiej bądź gotowa w piątek o siódmej wieczór. Przyjadę po ciebie.

Wcześniej mnie nie oczekuj, bo muszę coś załatwić w Santa Fe. I nie zadzwonię. Mam za dużo ważnych spraw, żeby użerać się ze stukniętą babą.

- Piątek wybij sobie z głowy. Powiedziałam ci już, że nie chcę więcej spędzać czasu ze Skipjackami... ani z tobą. - Wyskoczyła na drogę, ale wylądowała niezgrabnie, bo ciągle jeszcze uginały się pod nią nogi.

- Nagadałaś mi całą masę bzdur - odciął się. - Jeszcze tego brakuje, żebym zwracał na nie uwagę. - Zatrzasnął jej drzwi przed nosem, zawył silnik i jasnoniebieski ford zniknął w chmurze gwiazdnego pyłu.

Odzyskawszy równowagę, Meg ruszyła w stronę wejścia do kościółka.

Oboje wiedzieli, że będzie wolała spędzić wieczór ze Skipjackami, niż wpatrywać się w ściany swojego zbyt cichego domu. I że mimo wszystkiego, co sobie właśnie wygarnęli, ich romansowi daleko było do końca.

Następne dwa dni w klubie okazały się bardzo pracowite. Od czasu przyjęcia u Shelby plotki o zadurzeniu Spence'a rozniosły się po okolicy.

Kiedy tylko golfiści uświadomili sobie, że Meg może mieć wpływ na króla instalacji wodno-kanalizacyjnych, napiwki uległy znacznej poprawie. Nawet Bruce Garvin wsunął jej dolara. Dziękowała wszystkim za hojność, przypominając, że trzeba wrzucać butelki i puszki do odpowiedniego kosza. Odpowiadali jej „nie ma za co”, przypominając, że tutejsi ludzie obserwują każdy jej ruch.

We czwartek nadeszły z Los Angeles paczki, o które prosiła gospodynię rodziców. Meg zbyt wiele podróżowała, żeby gromadzić wyszukaną garderobę, poza tym miała tendencję do oddawania rzeczy. Teraz potrzebowała przede wszystkim butów, a może nawet jeszcze bardziej dużego plastikowego pojemnika, gdzie trzymała łupy ze swoich wypraw: koraliki, amulety, monety - wiele z nich naprawdę starych - które zbierała po całym świecie.

Ted nie zadzwonił z Santa Fe, ale nie spodziewała się, że to zrobi. Jednak mimo wszystko tęskniła za



jego widokiem, więc kiedy w piątkowe popołudnie on i Kenny podczas meczu zatrzymali się przy wózku z napojami, serce załomotało jej jak szalone. Kenny powiadomił ją, że Spence i Sunny właśnie wrócili z Indianapolis i też będą na obiedzie w Roustabout. A Meg powiadomiła Teda, że przyjedzie sama, nie musi po nią wpadać. Wyraźnie mu się to nie spodobało, jednak nie chciał wdawać się w spory przy Kennym, więc podszedł do maszyny myjącej piłki, wepchnął swoją nieskazitelnie czystą Titleist Pro VI i zaczął naciskać uchwyt o wiele energiczniej, niż było trzeba.

Gdy po chwili wybijał piłkę z tee, słońce skąpało go w złotym blasku, ale przynajmniej ptaki milczały. Czy kiedykolwiek tracił samokontrolę? Meg próbowała wyobrazić sobie ciemne wiry kłębiące się pod tą gładką politurą. Czasami nawet sądziła, że dostrzega jakąś iskierkę bezbronności, kiedy leniwy uśmiech Teda pojawiał się o sekundę za późno albo cień znużenia przesłaniał mu oczy. Jednak takie przebliski znikwały równie szybko, jak się pojawiały, pozostawiając jego lśniąca powierzchnię bez skazy.

W Roustabout Meg pojawiła się ostatnia. Na ten wieczór wybrała czarno-białą mini Miu Miu, którą kupiła w sklepie z używanymi rzeczami, a do niej żółtą koszulkę bez rękawów i jedne ze swoich ulubionych butów: wymyślnie zdobione paciorkami i haftem, różowe płó-

cienne sandały na platformach. Jednak gdy szła przez salę, jej spódnica zwracała o wiele większą uwagę niż bajeczne pantofelki.

Oprócz burmistrza Wynette i Skipjacków wokół dużego drewnianego stołu zgromadzili się wszyscy Trave-lerowie: Torie i Dexter, Emma i Kenny, Warren i Shelby. Sunny siedziała z prawej strony Teda, skąd wygodniej było wymuszać jego całkowitą uwagę. Kiedy Meg się zbliżyła, Ted zlustrował jej mini, po czym rzucił ostre spojrzenie, które zinterpretowała jako rozkaz do zajęcia miejsca po jego lewej ręce. Było jednak bardziej niż jasne, że należy ukrywać ich romans, więc wcisnęła się pomiędzy Torie i Shelby, dokładnie naprzeciwko Emmy.

Serdeczne przywiązanie łączące te trzy kobiety wzbudziło w niej tęsknotę za własnymi przyjaciółkami. Gdzie się teraz podziewała Lucy i jak sobie radziła? A pozostałe... Od wielu tygodni unikała telefonicznych rozmów z Georgie, April i Sashą, bo nie miała ochoty, żeby jej znakomite przyjaciółki odkryły, w co się tym razem wpakowała. A ponieważ dawno już przyzwyczyły się do jej zniknięć, fakt, że się nie odzywa, najwyraźniej żadnej z nich nie zaniepokoił.

Sprytna rodzina Travelerów kadziła Skipjackom, przekraczając wszelkie granice przyzwoitości. Shelby wypytywała szczegółowo o nową linię produktów firmy Viceroy, Torie szafowała hojnie komplementami na temat lśniących, czarnych włosów Sunny i świetnego gustu do klasycznej garderoby, Kenny omawiał mocne strony uderzeń Spence'a. Atmosfera była miła, niemal odprężająca, aż do chwili, kiedy Meg popełniła błąd i nazwała żonę Kenny'ego Emmą.

Jedno po drugim wszyscy, oprócz Skipjacków, zamilkli.

- O co właściwie chodzi? - zapytała, bo gapili się na nią bez słowa. - Ona sama powiedziała mi, żebym tak do niej mówiła.

Emma złapała swój kieliszek wina i opróżniła do dna.

- Po prostu nie wypada - wyjaśniła Shelby Traveler, ściągając usta z dezaprobatą.

Mąż Emmy pokręcił głową.

- W żadnym razie. Nawet ja tak się do niej nie zwracam. Przynajmniej dopóki ma coś na sobie.

- Złe maniery - dodała Torie, potrząsając długimi, ciemnymi włosami.

- Brak szacunku - przytaknął jej ojciec.

Ted gwałtownie odsunął się od stołu i przyjrzał się jej ponuro.

- Sądziłem, że do tej pory nabrałaś już wystarczająco rozumu, żeby nie obrażać kogoś, kogo ledwie znasz.

Emma powoli opuściła głowę i trzy razy walnęła czołem o blat.

Kenny z uśmiechem pogłodził żonę po plecach. Iskierki rozbawienia zatańczyły w oczach Teda.

Meg wyraźnie słyszała, jak Sunny i Spence zwracali się do Emmy po imieniu, ale wiedziała, że nie ma sensu tego wyciągać.

- Proszę o wybaczenie, lady Emmo - powiedziała z teksańskim akcentem.

- Mam nadzieję, że przed egzekucją otrzymam ostatni posiłek.

Torie pociągnęła nosem.

- Zupełnie niepotrzebny sarkazm.

Przez szerokość stołu Emma spojrzała na Meg.

- Oni nie mogą się powstrzymać. Naprawdę. Kenny złożył pełen satysfakcji pocałunek na wargach żony i powrócił do dyskusji o nowych kijach firmy

Callaway. Ted usiłował się przyłączyć, ale Sunny życzyła sobie zajmować jego całą uwagę i potrafiła tego dokonać.

- Jaka jest sprawność twego nowego ogniwa paliwowego?

Meg nawet nie miała pojęcia, co to znaczy, ale Ted był tradycyjnie uprzejmy.

- Trzydzieści osiem do czterdziestu dwóch procent, zależnie od obciążenia.

Sunny, uosobienie wniebowziętego zainteresowania, przysunęła się bliżej.

W tej samej chwili Spence poprosił Meg do tańca. Zanim zdążyła odmówić, dwie pary rąk złapały ją pod ramiona i postawiły na nogi.

- Już myślała, że nigdy jej nie poprosisz - powiedziała słodko Shelby.

- Naprawdę chciałabym, żeby Dex tak lekko tańczył jak ty, Spence -

gruchała Torie.

Po drugiej stronie stołu Emma wyglądała na tak strapioną, jak tylko może wyglądać kobieta w słonecznikowożółtym topie. Meg mogłaby też przysiąc, że po twarzy Teda przemknął cień niezadowolenia.

Na szczęście pierwszy kawałek okazał się szybki i Spence nie próbował

wdawać się w rozmowę. Ale o wiele za wcześnie Kenny Chesney zaczął

zawodzić *Jedynę, co muszę wiedzieć*, a wtedy Skipjack przyciągnął ją bliżej. Pachniał wodą kolońską, na którą był zbyt stary. Meg czuła się, jak w sklepie Abercrombie & Fitch.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, panno Meg.

- Nie chcę nikogo doprowadzać do szaleństwa - odparła ostrożnie. Oprócz Teda Beaudine'a.

Kątem oka dostrzegła, że przy stoliku koło baru siadają Birdie, Kayla i Zoey. Kayla wyglądała bardzo

seksownie w białym topie na jedno ramiączko, który opinał biust, ale nie był wulgarny, i spódnicy w tropikalne wzory, podkreślającej kształt zgrabnych nóg. Stroje Birdie i Zoey niczym się nie wyróżniały.

Wszystkie trzy kobiety z uwagą obserwowały Meg.

Spence ujął jej rękę i przyciągnął do swojej klatki piersiowej.

- Shelby i Torie opowiedziały mi o tobie i Tedzie. W głowie Meg rozzwonił się sygnał alarmowy.

- A dokładnie co ci mówiły?

- Że w końcu wzięłaś się w garść i zaakceptowałaś fakt, że Ted nie może być twój. Jestem z ciebie dumny.

Pomyliła krok, przeklinając w myślach Shelby i Torie.

Uścisnął jej palce, co, jak podejrzewała, miało ją pocieszyć.

- My z Sunny nie mamy przed sobą sekretów. Wspomniała mi, że się na niego rzuciłaś w czasie przyjęcia. Pewnie sposób, w jaki cię odtrącił, uprzytomnił ci prawdę. Chciałem tylko powiedzieć, że jestem dumny, że wreszcie stawiałaś temu czoło. Teraz, kiedy przestałaś się uganiać za Tedem, poczujesz się o wiele lepiej. Shelby też tak uważa, a Torie mówi...

Zresztą nieważne, co Torie mówi.

- Och, nie. Powiedz mi. Jestem pewna, że to będzie dobre dla mojego...

osobistego rozwoju.

- No... - Poglaskał ją po plecach. - Torie twierdzi, że jeśli kobieta ma obsesję na punkcie mężczyzny, który się nią nie interesuje, to zabija jej duszę.

- Prawdziwa z niej filozofka.

- Też byłem zdumiony. Wydaje się trochę ekscentryczna. Mówiła, że zamierzasz wytatuować sobie moje imię nad kostką u nogi, w co nie uwierzyłem. - Zawahał się. - Nie zamierzasz, prawda?

Kiedy pokręciła głową, wyglądał na rozczarowanego.

- Niektórzy ludzie w tym miasteczku są dziwni - powiedział. - Zauważyłaś to?

Wcale nie byli dziwni. Byli chytry jak lisy i jeszcze dwa razy sprytniejsi.

Odblokowała zesztywniałe kolana.

- Teraz, kiedy o tym wspomniawsz.

Torie wyciągnęła męża na parkiet i manewrowała tak, by znaleźć się jak najbliżej nich, niewątpliwie w nadziei, że coś podsłucha. Meg przeszła ją śmiernym spojrzeniem i oderwała się od Spence'a.

- Przepraszam. Muszę iść do toalety.

Ledwie znalazła się w środku, wpadły jak burza Torie, Emma i Shelby, żeby wspólnie stawić jej czoło. Emma wskazała najbliższą kabinę.

- Wchodź. Poczekamy na ciebie.

- Nie róbcie sobie kłopotu. - Meg gwałtownie obróciła się do Shelby i Torie. - Dlaczego powiedziałyście Spence'owi, że już nie kocham się w Tedzie?

- Bo nigdy się nie kochałaś. - Pokryte jaskrawą emalią bransoletki zabrzączały na nadgarstku Shelby. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Chociaż Ted to Ted...

- Więc będąc kobietą... - Torie skrzyżowała ręce na piersi. - Ale przecież było oczywiste, że wymyśliłaś tę historyjkę, żeby zniechęcić Spence'a i w ogóle byśmy się nie wtrącały, gdyby nie pojawiła się Sunny.

Z rozmachem otworzyły się drzwi i do łazienki wkroczyła Birdie, a za nią Kayla i Zoey. Meg rozłożyła ręce.

- Wspaniale. Zaraz padnę ofiarą zbiorowego gwałtu.

- Nie powinnaś żartować z tak poważnej sprawy -pouczyła ją Zoey. Miała na sobie białe spodnie trzy czwarte, ciemnoniebieski T-shirt z napisem

„zasłużona dla szkolnictwa państwowego w Wynette" i kolczyki, które wyglądały, jakby zostały zrobione ze słomek do napojów.

- Tacy są właśnie ci z Hollywood - stwierdziła Birdie. - Nie mają moralnego kompasu jak my wszyscy. -Po czym zwróciła się do Shelby: -

Powiedziałaś jej, że musi się odczepić od Teda, skoro Sunny straciła dla niego głowę.

- Właśnie do tego dochodzimy - odparła Shelby.

Teraz dowodzenie przejęła Emma. Było godne uwagi, jakim autorytetem cieszyła się ta stosunkowo drobna kobieta o policzkach lalki i zabawnej czapie karmelowych loków.

- Nie myśl, że nikt nie rozumie twojej sytuacji. Też byłam kiedyś w Wynette osobą z zewnątrz, więc...

- Nadal jesteś - zauważyła donośnym szeptem Torie. Emma zignorowała ją.

- ...więc nie jestem na to obojętna. I wiem, jak się można czuć wobec zalotów mężczyzny, który cię nie pociąga. Chociaż księżę Beddington był daleko bardziej obrzydliwy niż pan Skipjack. Jednak mój niepożądany konkurent nie trzymał w rękach losów Wynette. A ja nie próbowałam używać Teda, żeby go zniechęcić.

- Trochę próbowałaś - wtrąciła się Torie. - Ale Ted miał wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata i Kenny przejrzał cię na wylot.

Szerokie usta Emmy napięły się w kącikach, uwydatniając pełną dolną wargę.

- Widzisz, Meg, twoja obecność w dwójnasób skomplikowała już i tak delikatną sytuację. Oczywiście, umi-zgi Spence'a budzą w tobie obiekcje i my to rozumiemy.

- Ja nie. - Kayla poprawiła przeciwsłoneczne okulary bez oprawki od Burberry'ego, które miała wepchnięte na czubek blond fryzury. - Masz pojęcie, jaki ten facet jest bogaty? I ma fantastyczne włosy.

- Niestety, twoja metoda zniechęcania wiąże się z Tedem - kontynuowała Emma - co byłoby do przyjęcia, gdyby nie pojawiła się Sunny.

Birdie miętoszyła w palcach brzeg jedwabnego topu o barwie pomidorowej czerwieni, który założyła

do bawełnianej spódnicy.

- Każdy, kto ma oczy, widzi, jak Spence bzikuje na punkcie córki. Może uda ci się uniknąć kłopotów, jeśli go odtrącisz, ale na pewno nie ujdzie ci na sucho rzucanie się na mężczyznę, w którym kocha się słoneczko Spencera Skipjacka.

Torie pokiwała głową.

- Co Sunny chce, to dostaje.

- Ale Teda nie dostanie - odparła Meg.

- Już on dopilnuje, żeby się tego nie domyśliła, zanim nie wyschnie atrament na umowie sprzedaży ziemi - oznajmiła energicznie Emma.

Meg usłyszała wystarczająco dużo.

- Co za przerażająca myśl: a jeśli wasz święty burmistrz postanowi rzucić was wilkom na pożarcie i zatroszczy się o siebie?

Zoey wycelowała w nią oskarżycielski, dyrektorski palec - gest robiący niezwykle wrażenie u osoby tylko o rok starszej niż Meg.

- Ty to traktujesz jak świetny żart, ale dla dzieciaków z mojej szkoły poupychanych w przeludnionych salach to już nie jest takie zabawne.

Albo dla nauczycieli, którzy usiłują radzić sobie z przestarzałymi podręcznikami i bez pomocy naukowych.

- Dla mnie to na pewno nie jest żart. - Kayla rzuciła ukradkowe spojrzenie na swoje odbicie w lustrze. - Nienawidzę tego sklepu z używanymi rzeczami, pełnego starobabskich ciuchów, ale na razie w tym mieście jest zaledwie garstka kobiet mogących sobie pozwolić na modele, do których sprzedaży jestem stworzona. - Prześlizgnęła się wzrokiem po spódnicy Meg.

- Odkąd przejęłam zajazd, marzę o otwarciu księgarnio-herbaciarni -

oznajmiła Birdie.

Shelby wepchnęła pasmo jasnych włosów za ucho, odsłaniając małe złote kolczyki w kształcie kółek.

- A ja mam męża, który prawie nie sypia po nocach z poczucia winy, bo jego firma nie może zapewnić wystarczającej liczby miejsc pracy, żeby utrzymać Wynette na powierzchni.

- Dex przeżywa to tak samo - powiedziała Torie. - Miasto tej wielkości nie przetrwa w oparciu o tylko jedną branżę.

Meg odwróciła się do Emmy.

- A ty? Z jakiego powodu ty oczekujesz ode mnie, żebym się prostytutowała ze Spencerem Skipjackiem?

- Jeśli to miasteczko umrze - odparła Emma cicho - Kenny i ja świetnie sobie poradzimy. Mamy dość pieniędzy. Większość naszych przyjaciół

nie ma.

Torie stuknęła o podłogę czubkiem sandała ze skórzanych pasków.

- Meg, zbyt komplikujesz sprawy pomiędzy Tedem a Spence'em i Sunny. Powinnaś wyjechać z Wynette. Tak się składa, że w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych, bardzo cię lubię, więc w tym, co mówię, nie ma nic osobistego.

- Też nie czuję do ciebie niechęci.

- A ja owszem - powiedziała Birdie.

- Ja cię lubię - oznajmiła Shelby. - Bardzo ładnie się śmiejesz.

Kayla wskazała na wisiołek z upiękzonego klucza uniwersalnego, stworzony przez Meg przed kilkoma godzinami.

- A my z Zoey uwielbiamy twoją biżuterię.

Birdie prychnęła jak rozzłoszczona papuga.

- Jak możecie mówić jej te wszystkie miłe rzeczy? Zapomniałyście o Lucy? Przez Meg Ted ma złamane serce.

- Wygląda na to że już doszedł do siebie - stwierdziła Emma - więc jestem gotowa puścić tamtą sprawę w niepamięć.

Shelby otworzyła torebkę, kopertówkę Juicy Couture z tkaniny w różowo-brązowe tureckie wzory, i wyciągnęła złożony kawałek papieru, w którym Meg rozpoznała czek.

- Wiemy, że kiepsko stoisz z gotówką, więc mamy dla ciebie pewien drobiazg, żebyś mogła wystartować w nowym miejscu.

Po raz pierwszy, odkąd Meg ją poznała, Torie wyglądała na zakłopotaną.

- Jeśli to cię krępuje, uznaj te pieniądze za pożyczkę.

- Byłybyśmy ci bardzo wdzięczne, gdybyś je przyjęła - powiedziała uprzejmie Emma. - Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Zanim Meg zdążyła posłać całe towarzystwo do diabła, otworzyły się drzwi i do łazienki wkroczyła

Sunny.

- Jakaś impreza?

Shelby szybko wsunęła czek do torebki.

- Aż tak to nie, ale sobie rozmawiamy.

- A teraz potrzebna nam twoja opinia. - Torie celowo odwróciła się w stronę lustra i udawała, że sprawdza, czy nie rozmazał się jej tusz.

- Charlize Theron czy Angelina Jolie? Z którą byś się przespała?

- Ja wybieram Angelinę Jolie. - Kayla wyciągnęła błyszczak do ust. -

Poważnie. Każdy, kto twierdzi, że by jej nie chciał albo kłamie, albo wypiera to ze świadomości. Ta kobieta ocieka seksem.

- Twoim zdaniem - oznajmiła Zoey, która wcześniej była taka moralna. -

Ja wybrałabym Kerry Washington. Silną czarną kobietę. - Zaczęła poprawiać włosy. - Albo Anne Hathaway. Ale tylko dlatego, że studiowała w Vassar.

- Nie mogłabyś się przespać z Anne Hathaway - zaprotestowała Birdie. -

To wielka aktorka, ale nie jest w twoim typie.

- Nie jestem lesbijką, więc mój typ nie ma tu nic do rzeczy. - Zoey zabrała Kayli błyszczak. - Stwierdzam jedynie, że gdybym była, chciałabym mieć partnerkę z rozumem i talentem, a nie tylko piękną.

Emma wygładziła słonecznikową koszulkę.

- Muszę przyznać, że dla mnie Keira Knightley ma dziwnie nieodparty urok.

Kayla odzyskała swój błyszczak.

- Bo ty gustujesz we wszystkim co brytyjskie.

- Ale przynajmniej przewyciężyła słabość do Emmy Thompson. - Torie wyszarpnęła z dozownika papierowy ręcznik. - A ty kogo byś wybrała, Meg?

Meg miała już po uszy tych prób manipulacji.

- Ja wolę mężczyzn. Zwłaszcza atrakcyjnych facetów z Teksasu. Macie jakieś pomysły?

Niemal słyszała, jak w głowach stukniętych kobiet z Wynette trybiki kręcą się jak szalone i każda próbuje wymyślić stosowną odpowiedź.



Więc wyszła, pozostawiając towarzystwo przy tych rozważaniach.

Zanim wróciła do stołu, podjęła kilka decyzji. Po pierwsze, swoje problemy z Sunny Ted musi rozwiązać o własnych siłach. Po drugie, ona sprawę ze Spence'em będzie załatwiać stopniowo. A po trzecie, nikt jej nie zmusi do wyjazdu z tego koszmarnego miasteczka, dopóki sama nie uzna, że chce je opuścić.

### *Rozdział 13*

NASTĘPNEGO DNIA WIDZIAŁA TEDA na polu golfowym, ale grał ze Skipjackami, a od jej wózka trzymał się z daleka. Kiedy wieczorem wróciła do domu, zastała zaparkowany przy schodach wóz dostawczy, który na nią czekał. Dziesięć minut później odesłała go razem z całym ładunkiem mebli tam, skąd przybył.

Wlokąc zmęczone nogi, weszła do rozgrzanego, dusznego kościółka.

Ludzie uparcie próbowali dawać jej coś, czego sobie nie życzyła.

Poprzedniej nocy Shelby wsunęła ukradkiem czek do jej torebki, zmuszając Meg, żeby podarła go na strzępy. A teraz to. Faktycznie, potrzebowała mebli. Kiedy zobaczyła przenośne klimatyzatory, o mało nie odsunęła na bok swoich zasad. O mało, ale jednak nie.

Pootwierała wszystkie okna, włączyła wiatraki i naląła szklankę mrożonej herbaty, prosto z lodówki. Już drugi raz w ciągu tygodnia ktoś próbował jej zapłacić, żeby opuściła miasteczko. Gdyby pozwoliła sobie rozmyślać na ten temat, bardzo by ją to przygnębiło, a tego nie chciała.

Chciała być wściekła. Wzięła szybki prysznic, założyła szorty i koszulkę bez rękawów, wsunęła stopy w klapki i wyszła.

Wejścia do majątku Beaudine'ów strzegły kamienne filary. Meg przejechała przez zagajnik liściastych drzew i pokonała stary kamienny mostek. Dalej szlak rozwidłał się na kilka krętych ścieżek. Główny dom łatwo było rozpoznać. Niski i rozłożysty, wzniesiony z wapienia i stiuku w stylu teksańskiej hacjendy, miał zamknięte łukiem okna i drzwi z ciemnego drewna. Za niskim murem wypatrzyła rozległy basen, domek nad basenem, dziedziniec, ogrody i dwa mniejsze budynki, zapewne domki gościnne. Była to nie tyle posiadłość, uświadomiła sobie, co kompleks budynków na ogrodzonym terenie.

Wszędzie, gdzie spojrzała, roztaczały się przed jej oczami zapierające dech widoki.

Kiedy droga zatoczyła krąg i zawróciła, Meg wybrała kolejną odnogę, ale na jej końcu znalazła tylko małe pole golfowe i zabudowania gospodarcze. Spróbowała jeszcze raz i trafiła na nieduży, parterowy dom z kamienia i cegły. Wewnątrz otwartego garażu widać było pickupa Skeeta Coopera. Nie ma to, jak trzymać swego caddy'ego w zawsze w pobliżu.

Ostatnia aleja wspinała się zakosami na wzgórze, gdzie wychodziła na skaliste urwisko. I tam właśnie wznosił się cel podróży Meg. Nowoczesna konstrukcja doskonale wyważonych, kremowych prostokątów ze stiuku, nakryta dachem załamany jak motyle skrzydła. Ogromne szklane

tafle, obrócone ku południu, wieńczyły ostre okapy, rzucając do wnętrza cień. Nawet bez zamontowanych na dachu małych, eleganckich silników wiatrowych, domyśliłaby się, czyj to dom. Jego piękno, pomysłowość i funkcjonalność wiele mówiły o właścicielu.

Wejściowe drzwi otworzyły się, zanim zdążyła zadzwonić, i oto stał przed nią bosy, w czarnym T-shircie i szarych sportowych szortach.

- Ijak, udana wycieczka?

Albo ktoś dał mu cynk, albo cały teren posiadłości monitorowały kamery.

Znając zamiłowanie Teda do urządzeń technicznych, stawiała na to drugie.

- Potężny władca Królestwa Beaudine'ów w rzeczy samej jest wszechwiedzący.

- Robię, co w mojej mocy. - Cofnął się, żeby wpuścić ją do środka.

Dom, pełen otwartych przestrzeni i powietrza, tonął w bieli i bladych odcieniach szarości - chłodne, kojące

schronienie przed morderczym letnim upałem i równie morderczymi wymaganiami, jakie niesło bycie Tedem Beaudine'em. Meble były niskie, każda sztuka starannie dobrana zarówno pod względem wygody, jak i spokojnego, skromnego piękna. Najbardziej zadziwiającym elementem okazał się obudowany szkłem, prostokątny pokój, zawieszony wysoko nad salonem.

Ten wystrój miał w sobie niemal klasztorną surowość. Żadne rzeźby nie stały po kątach, żadne obrazy nie zdobiły ścian. Sztuka kryła się na zewnątrz, w widokach nadrzecznych urwisk, granitowych wzgórz i odległych, okrytych cieniem dolin.

Meg dorastała w nie byle jakich domach - należącym do jej rodziny, chaotycznym wiejskim domostwie w Connecticut, willi w Bel Air, weekendowym domu w Moro Bay - ale to było coś absolutnie wyjątkowego.

- Przyjemne mieszkanie - powiedziała.

Kiedy przemierzali bambusową podłogę holu, światło, które zapłonęło, gdy Ted wpuszczał Meg, automatycznie się wyłączyło.

- Jeśli przychodzisz w sprawie seksu, to wiedz, że już mi się znudziłaś.

- Co by wyjaśniało obecność tego wielkiego łóżka i wygodnych, dużych foteli w wozie dostawczym.

- I kanapy. Nie zapominaj o kanapie. Bez urazy, ale twój lokal nie jest urządzony zbyt komfortowo. A z informacji, którą właśnie odebrałem, wnoszę, że chcesz utrzymać ten stan rzeczy. Dlaczego odesłałaś ciężar-rówkę?

- Naprawdę myślałeś, że zamierzam przyjmować od ciebie prezenty?

- Meble były dla mnie, nie dla ciebie. Szlag by mnie trafił, gdybym miał spędzić kolejną noc na tym futonie.

- No to całe szczęście, że już ci się znudziłam.

- Mógłbym jeszcze zmienić zdanie. Właściwie...

- Nie twój interes meblować moje mieszkanie -oznajmiła Meg. - Zrobię to w końcu, ale sama. Chociaż muszę przyznać, że o mało mnie nie złamałeś tymi klimatyzatorami. Niestety, ostatnimi czasy rozwinęło mi się takie kompletnie niemądre poczucie dumy.

- Twoja strata.

- W Wynette jest dość osób, którymi możesz się opiekować, burmistrzu.

O mnie nie musisz się troszczyć.

Wreszcie wytrąciła go z równowagi. Popatrzył na nią dziwnie.

- Wcale tego nie robiłem.

- Och, tak, robiłeś. - Starła się, jak mogła, powstrzymać nitkę czułości prującą się gdzieś w środku. -Przyszłam skrócić ci kark, ale wygląda na to, że twój dom ukoił moje słuszne wzburzenie. Masz przypadkiem coś do jedzenia?

Przechylił głowę.

- Tam, z tyłu.

Niesamowita kuchnia, w której dominowała nierdzewna stal, nie była wielka, ale onieśmiała swoją racjonalnością. Królująca pośrodku wyspa długości limuzyny zaczynała się jako miejsce do pracy, po czym gładko przechodziła w elegancki stół, dość duży, żeby kilka osób mogło zjeść przy nim obiad. Po obu stronach stały wsunięte pod blat cztery krzesła z oparciami z drucianej siatki.

- Nie lubię pokoi jadalnych - powiedział Ted. - Wolę posiedzieć w kuchni.

- Słusznie.

Zapominając o głodzie, podeszła do najbardziej uderzającego elementu wystroju tego pomieszczenia, kolejnej olbrzymiej szklanej ściany, tym razem wycho-

dzącej na dolinę Pedernales, gdzie rzeka jak błękitno-zielona wstążka spływała po wyszczerbionych wapiennych progach. Po drugiej stronie doliny zachodzące słońce obrysowało fiolet wzgórz pomarańczowym blaskiem.

- Niezwykłe - powiedziała. - Sam zaprojektowałeś ten dom, prawda?

- To eksperyment na zero energii netto.

- To znaczy?

- Dom wytwarza więcej energii, niż zużywa. Teraz około czterdziestu procent więcej. Na dachu zamontowałem panele fotowoltaiczne i płytki ogniwo słonecznych. Zbieram deszczówkę. Mam system odzysku szarej wody, ogrzewania i chłodzenia geotermalnego urządzenia z autowyciągnikiem, żeby nie ciągnęły energii, kiedy nie pracują. W

zasadzie, jestem samowystarczalny.

Ted zbił fortunę, pomagając miastom optymalizować zużycie elektryczności, więc dom był naturalnym dodatkiem do jego pracy.

Jednak i tak budził podziw swoją niezwykłością.

- W tym kraju zużywamy cholernie dużo prądu. O wiele za dużo. -

Otworzył drzwi lodówki. - Mam resztki pieczeni wołowej. Albo możemy wyjąć coś z zamrażarki.

Meg nie potrafiła powstrzymać nuty podziwu w głosie.

- Jest coś, czego nie potrafisz?

Zatrzasnął drzwi i odwrócił się do niej z impetem.

- Najwyraźniej nie potrafię kochać się według twoich wymogów, jakiegokolwiek by one, do diabła, były.

Po raz kolejny nieumyślnie zapuściła się do strefy ostrzału.

- Nie zamierzałam ranić twoich uczuć.

- Jasne. Poinformowanie faceta, że jest w łóżku do niczego, to gwarancja, że poczuje się świetnie.

- Nie jesteś do niczego. Jesteś doskonały. Nawet ja to wiem.

- Więc na co, u diabła, narzekasz?

- Co się przejmujesz? - odparła. - Pomyślałeś kiedyś, że to może być mój problem, a nie twój?

- Masz cholerną rację, to twój problem. A ja nie jestem doskonały.

Wolałbym, żebyś przestała tak mówić.

- Faktycznie. Masz nadmiernie rozwinięte poczucie odpowiedzialności.

Poza tym nabrałeś takiej wprawy w ukrywaniu swoich uczuć, że wątpię, czy nawet sam wiesz, co czujesz. Najlepszy przykład, narzeczona porzuciła cię przed ołtarzem, a ty ledwie zdawałeś się to zauważyć.

- Wyjaśnijmy jedną rzecz. - Skierował palec w jej stronę. - Kobieta, która nigdy nie parała się żadną pracą, która nie miała żadnego celu w życiu i której wyraźnie wyparła się własna rodzina...

- Wcale się mnie nie wyparli. Po prostu - nie wiem - zrobili sobie ode mnie krótką przerwę. - Rozłożyła ręce. - Masz rację. To zazdrość, bo jesteś wszystkim, a ja niczym.

To go trochę przygasiło.

- Nie jesteś zazdrosna i dobrze o tym wiesz.

- Trochę jestem. Ty nie pokazujesz nikomu, co czujesz. Ja pokazuję wszystkim wszystko.

- O wiele za dużo.

Nie potrafiła się powstrzymać.

- Po prostu myślę, że mógłbyś osiągnąć znacznie więcej.

Gapił się na nią w osłupieniu.

- Ty jeździsz wózkiem z napojami!

- Wiem. I najsmutniejsze, że całkiem to lubię.

Z pełnym niesmaku prychnięciem Ted sięgnął do lodówki. Meg wydała stłumiony okrzyk. Rzuciła się ku niemu, chwyciła go za ręce i wlepiła wzrok w jego dłonie. - O mój Boże. Stygmaty.

Wyrwał się jej.

- Wypadek z niezmywalnym markerem. Meg trzymała się za serce.

- Daj mi chwilę na złapanie oddechu, a potem chciałabym zobaczyć resztę domu.

Pocierając czerwone plamki na skórze, powiedział posępnym tonem:

- Powinienem wyrzucić cię za drzwi, ot co.

- Wcale nie masz takiego zamiaru.

Wymaszerował z kuchni. W pierwszej chwili Meg pomyślała, że może naprawdę to zrobić, ale kiedy znalazł się w pokoju dziennym, nie ruszył w stronę wyjścia, tylko zaczął wspinać się po ażurowych schodach, które wiodły do zawieszzonego w górze, oszklonego pomieszczenia. Meg podążyła za Tedem i weszła do jego biblioteki.

Ogarnęło ją uczucie, jakby znalazła się w dobrze urządzonym domku na drzewie. Ściany książek otaczały obszar z wygodnymi miejscami do siedzenia. Ujęte w łuk przejście w tylnej ścianie prowadziło do oszklonego korytarzyka łączącego tę część domu z małym, odseparowanym pokojem, który zbudowany został na stoku wzgórza.

- Schron przeciwbombowy? - zażartowała. - Czy bezpieczna kryjówka przed kobietami?

- Mój gabinet.

- Super. - Nie czekając na pozwolenie, Meg przeszła przez korytarzyk.

Bliźniacze panele oświetlenia sufitowego włączyły się automatycznie, kiedy schodziła po dwóch stopniach do tego dodatkowego pokoju z wysokimi oknami, ogromną stacją roboczą z hartowanego szkła i czarnej stali, paroma ergonomicznymi krzesłami i kilkoma lśniącymi, wbudowanymi w ścianę biurowymi szafkami. Gabinet był

oszczędny w stylu, niemal sterylny. Ujawniał tylko jedną cechę swego właściciela: efektywność.

- Żadnych kalendarzy porno ani kubków I - serduszko - Wynette?

- Przychodzę tu popracować.

Tą samą drogą wróciła do zawieszanej w powietrzu biblioteki.

- *Opowieści z Narnii* - powiedziała, wpatrując się w półkę z mocno zużytymi egzemplarzami dziecięcej klasyki. - Uwielbiałam ten cykl. O, i masz *Opowieści czwartoklasisty*. Czytałam to chyba ze dwanaście razy.

- Peter i Misiek - uśmiechnął się Ted, wchodząc do pokoju tuż za nią.

- Nie mogę uwierzyć, że je zachowałeś.

- Ciężko się rozstać ze starymi przyjaciółmi.

Z jakimikolwiek, jeśli już o to chodzi. Cały świat stanowił grono jego przyjaciół. Jednak jak bliski naprawdę był Ted tym wszystkim ludziom?

Przeglądając jego księgozbiór, znalazła zarówno beletrystykę, jak i biografie, literaturę faktu o zawrotnej różnorodności tematów i prace naukowe: o zanieczyszczeniach i globalnym ociepleniu, biologii roślin, użyciu pestycydów i stanie zdrowia społeczeństwa, teksty o ochronie gleb i wodzie zdatnej do picia; o tworzeniu naturalnego środowiska i zachowaniu terenów podmokłych.

Poczuła się jak idiotka.

- Tyle marudziłam, jak pola golfowe niszczą naturę. A ty od początku panowałeś nad sytuacją. - Wyciągnęła z półki tom zatytułowany *Nowa ekologia*. - To pamiętam z listy lektur w moim college'u. Mogę pożyczyć?

- Bierz, śmiało. - Usiadł na niskiej kanapie i założył nogę na nogę. - Lucy wspomniała mi, że rzuciłaś studia podczas ostatniego roku, ale nie powiedziała dlaczego.

- Za trudne.

- Nie ściemniaj.

Meg przesunęła dłonią po okładce książki.

- Byłam niecierpliwa. Głupia. Nie mogłam się doczekać, żeby zacząć żyć, a college wydawał mi się stratą czasu. - Rozdrażnił ją gorzki ton tych słów. - Jak powiedziałaś, z gruntu zepsuty bachor.

- No, niezupełnie.

Nie podobał się jej sposób, w jaki na nią patrzył.

- Oczywiście, że taka byłam. Jestem.

- Hej. Ja też pochodzę z bogatego domu, pamiętasz?

- To prawda. I ty, i Lucy. Tacy sami rodzice, ludzie hipersukcesu, takie same przewagi na starcie, a popatrz, na kogo wyrosliście oboje.

- Tylko dlatego, że wcześniej odkryliśmy nasze pasje - odparł łagodnie.

- No cóż, ja swoje też znalazłam. Obijanie się po świecie i dobra zabawa.

Ted machinalnie obracał w palcach długopis, który podniósł z podłogi.

- Młodzi często tak robią, kiedy próbują wymyślić, co dalej. Mapa drogowa jest nieprzydatna dla takich jak my, których matki i ojcowie tyle osiągnęli. Każde dziecko chce, żeby bliscy byli z niego dumni, ale jeśli twoi rodzice są w tym, co robią, najlepsi na świecie, trochę trudno jest czymś błysnąć.

- Tobie i Lucy się udało. Tak samo moim braciom. Nawet Clayowi. Teraz cienko przedzie, ale ma wielki talent, więc jeszcze się dorobi.

Ted klikał długopisem.

- Każdą opowieść o sukcesie da się zestawić z historią jakiegoś młodego człowieka, który dzięki funduszowi powierniczemu pędzi pozbawione celu, obłądne życie po klubach i knajpach, pomiędzy kolejnymi odwykami i odtruciami. A to coś, czego najwyraźniej udało ci się uniknąć.

- Racja, ale... - Słowa Meg, kiedy wreszcie je wymówiła, zabrzmiały dziecinnie i niepewnie: - Ja też bym chciała znaleźć swoją pasję.

- Może szukałaś w złych miejscach - powiedział cicho.

- Zapominasz, że byłam dosłownie wszędzie.

- Rozumiem, że podróż po świecie jest o wiele zabawniejszą rozrywką niż podróż po własnej głowie. - Dał spokój długopisowi i wstał z kanapy. - Co cię uszczęśliwia, Meg? To jest pytanie, na które musisz sobie odpowiedzieć.

Ty mnie uszczęśliwiasz. Patrzenie na ciebie. Słuchanie. Obserwowanie, jak działa twój umysł. Całowanie cię. Dotykanie. Pozwalanie, żebyś mnie dotykał.

- Przebywanie pod gołym niebem - oznajmiła. - Noszenie zwariowanych ciuchów. Kolekcjonowanie starych koralików i monet. Wyklócanie się z braćmi. Słuchanie ptaków. Wąchanie powietrza. I same takie pożyteczne rzeczy.

Jezus nie uśmiechał się szyderczo. I Ted też tego nie zrobił.

- Dobrze, więc tam trzeba szukać odpowiedzi. Rozmowa robiła się o wiele za wnikliwa. To Meg miała poddawać psychoanalizie Teda, a nie odwrotnie. Klapnęła na kanapę, którą właśnie opuścił.



- A jak się rozwija ta fantastyczna licytacja? Twarz mu pociemniała.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

- Ostatnio słyszałam, że stawka za twoje usługi przekroczyła już siedem tysięcy.

- Nie. Obchodzi. Mnie.

Skutecznie przekierowawszy rozmowę z tematu swoich własnych wad na Teda, wygodnie oparła stopy na podnóżku.

- Przeglądałam w klubie wczorajszy numer „USA Today”. Nie do wiary, jak ta sprawa przyciąga powszechną uwagę.

Ted zgarnął kilka książek z wąskiego stolika i zaczął

wpychać je z powrotem na półki.

- Wielki nagłówek w sekcji *Z życia wzięte*. - Nakreśliła litery w powietrzu. - *Porzucony narzeczony Lucy Jorik - oferta dla licytującej najwyżej*. Przedstawili cię jako wielkiego filantropa.

- Możesz już się zamknąć? - burknął. Meg uśmiechnęła się.

- Na pewno świetnie będziesz się bawić z Sunny w San Francisco.

Koniecznieszabierz ją do muzeum de Young, bardzo polecam. - Po czym, zanim zdążył wrzasnąć, zapytała: - Mogę zobaczyć resztę domu?

Znowu to burknięcie.

- Masz zamiar czegoś dotykać?

Była tylko człowiekiem, więc kiedy wstała, pozwoliła spojrzeniu przesunąć się po nim powoli.

- Zdecydowanie tak.

Te dwa słowa przewiały burzowe chmury z jego oczu. Przekrzywił

głowę.

- Co powiesz na to, żebyśmy najpierw pokazał ci sypialnię?

- W porządku.

Ruszył w stronę drzwi, ale nagle zahamował, odwrócił się do niej i zerknął gniewnie.

- Jak zwykle będziesz krytykować?

- Miałam zły humor. Zignoruj to.

- Właśnie tak zamierzałem - powiedział z solidną dozą wrogości.

Sypialnię wyposażono w dwa miękkie zapasowe fotele do czytania i lampy z zawijanymi metalowymi kloszami. Wysokie okna wpuszczały światło, ale nie oferowały widoków, jakimi mogła się poszczycić reszta domu, co nadawało temu pokojowi silne wrażenie prywatności. Duże łóż-

ko zakrywała popielata kołdra - kołdra, która sfrunęła na bambusową podłogę jeszcze szybciej niż ich ubrania.

Meg natychmiast mogła się przekonać, jak bardzo jej kochanek czuł się zdeterminowany, by naprawić poprzednie błędy, chociaż nie miał

pojęcia, na czym one polegały. Nigdy nie była całowana tak doskonale, pieszczona tak skrupulatnie, pobudzana tak znakomicie. Najwyraźniej Ted żywił przekonanie, że musi tylko bardziej się postarać. Znosił nawet jej próby przejmowania kontroli, chociaż jako człowiek wiecznie służący innym nie miał do tego serca. Liczyła się tylko jej satysfakcja.

Wstrzymywał własne spełnienie, żeby dokonać kolejnych, w najwyższym stopniu doskonałych wyczynów z jej ciałem. Starannie przemyślanych. Perfekcyjnie zrealizowanych. Wszystko zgodnie z zasadami. Identycznie, jak to robił z każdą kobietą w swoim życiu.

Jednak kimże ona była, by się czepiać, skoro wносиła do całego procesu tak niewielką wartość dodaną? Tym razem przyrzekła zachować swoje opinie dla siebie. Kiedy wreszcie mogła zebrać myśli, obróciła się na bok i oparła na łokciu twarzą w stronę Teda.

Nadal ciężko dyszał, ale kto na jego miejscu byłby w lepszym stanie po tym wszystkim, co przeszedł? Poglądziła jego spoconą, rozkosznie niewydepilowaną klatkę piersiową i oblizała wargi.

- O-mój-Boże, gwiazdy stanęły mi przed oczami!

Ściągnął brwi.

- Nadal nie jesteś zadowolona?

Sztuka czytania w myślach wymykała mu się spod kontroli. Meg udała stłumione westchnienie.

- Żartujesz? Jestem szczęśliwa do szaleństwa. Najszczęśliwsza kobieta na świecie.

Popatrzył na nią bez słowa.

Meg opadła z powrotem na poduszki i jęknęła.

- Gdybym mogła tobą handlować, zbiłabym fortunę. Oto co powinnam robić w życiu. To powinien być mój życiowy cel...

Zerwał się z łóżka.

- Jezu, Meg! Czego ty, do cholery, chcesz?

Chcę, żebyś chciał mnie, a nie tylko sprawiał, żebym ja chciała ciebie, odpowiedziałam w myślach. Ale jak miała mu to powiedzieć, nie robiąc z siebie kolejnej fanki Teda Beaudine'a.

- Teraz to już zaczynasz popadać w paranoję. Poza tym nadal mnie nie nakarmiłeś.

- I nie zamierzam.

- Oczywiście, że tak. Bo zawsze to robisz. Troszczysz się o ludzi.

- A co w tym złego?

- Nic. - Uśmiechnęła się niepewnie.

Poszedł do łazienki, a ona leżała leniwie wśród poduszek. Ted nie tylko troszczył się o innych, ale za tą troską podążały czyny. Zamiast zapewnić mu komfort płynący z wyjątkowości, jego sprawny, utalentowany mózg obdarzył go przekleństwem poczucia obowiązku wobec wszystkich i wszystkiego. Niemal na pewno Ted był najlepszym człowiekiem, jakiego Meg kiedykolwiek spotkała. I może najbardziej samotnym. Dźwiganie takich ciężarów musiało być wyczerpujące. Nic dziwnego, że ukrywał

większość uczuć.

A może szukała usprawiedliwienia dla emocjonalnego dystansu, który wobec niej zachowywał, bo nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że traktuje ją tak samo jak wszystkie swoje zdobycze? Chociaż trudno jej było sobie wyobrazić, żeby do Lucy odzywał się równie niegrzecznie.

Odrzuciła prześcieradło i wygramoliła się z łóżka. Ted potrafił sprawić, że wszyscy mieli wrażenie, jakby to właśnie z nimi łączyła go jakaś szczególna więź. To był właśnie największy królik w jego jedwabnym kapeluszu magika.

Spence i Sunny opuścili Wynette, niczego nie ustalwszy. Nastroje w miasteczku huśtały się pomiędzy uczuciem ulgi, że wyjechali, i obawą, że mogliby już nie wrócić. Ale Meg nie czuła się zaniepokojona. Dopóki Sunny wierzyła, że upolowała Teda, ich powrót był gwarantowany.

Spence dzwonił do Meg codziennie. Przesłał jej też luksusowy pojemnik na papierowe chusteczki, mydelniczkę i najlepszy wieszak na ręczniki firmy Viceroy.

- W ten weekend zabieram cię samolotem do L.A. -oznajmił. - Pokażesz mi miasto, przedstawiśz mnie rodzicom i niektórym ich przyjaciółom.

Będziemy świetnie się bawić.

Nadmiernie wybujałe ego nie pozwalało mu zrozumieć odmowy. Meg z każdym dniem coraz trudniej

było lawirować na cienkiej granicy pomiędzy trzymaniem tego faceta na dystans i niewkurzaniem go.

- O rany, Spence, to brzmi wspaniale, ale teraz nikogo z moich nie ma w mieście. Może w przyszłym miesiącu.

Ted również podróżował w interesach. Meg nie podobało się, że tak bardzo za nim tęskni. Starła się

skupić na tym, żeby pozbierać się emocjonalnie i podbudować swoje bankowe konto, wykorzystując okresy przestoju przy wózku z napojami, kiedy czekała na graczy. Znalazła internetowy sklep z biżuterią, który oferował bezpłatną przesyłkę. Za pomocą zakupionych w ten sposób narzędzi i materiałów, do których dodała parę artefaktów z kolekcji w plastikowym pudełku, udało się jej pomiędzy obsługą klientów stworzyć wisiołek i kolczyki.

Następnego dnia założyła swoje dzieło do pracy i wywołała zainteresowanie już pierwszej czwórki golfistek.

- Nigdy nie widziałam takich kolczyków - powiedziała jedyna w tej grupie zwolenniczka dietetycznej pepsi.

- Dziękuję. Właśnie je zrobiłam. - Meg zdjęła kolczyki z uszu i zaprezentowała kobietom. - Te paciorki to koral tybetańskich Szerpów.

Są dość stare. Zachwyca mnie, w jakie odcienie powycierały się ich kolory.

- A wisiołek? Jest naprawdę niezwykły.

- To pudełeczko na igły - odparła Meg - wyrób ludu Czinów z Azji Południowo-Wschodniej. Ma ponad sto lat.

- Chciałabym mieć coś podobnego. Sprzedajesz swoje prace?

- Ojej, nigdy naprawdę o tym nie myślałam.

- Kupię te kolczyki - oznajmiła Diet Pepsi.

- Ile za wisiołek? - dopytywała się druga golfistka.

I w ten oto sposób Meg zaczęła prowadzić interesy.

Kobiety zachwycała myśl o posiadaniu pięknej biżuterii, która była również wyrobem częściowo historycznym, więc nim nadszedł weekend, Meg sprzedała kolejne trzy rzeczy. W sprawie autentyczności elementów zachowywała absolutną uczciwość i do każdego projektu dołączała certyfikat z informacją o ich pochodzeniu. Zaznaczała, które materiały są prawdziwymi zabytkami, a które mogą być kopiami i od tego uzależniała cenę.

Kiedy Kayla usłyszała o pracach Meg, zamówiła kilka jej wyrobów i wzięła je w komis do swego sklepu. Wszystko układało się niemal aż za dobrze.

Po dwóch długich tygodniach nieobecności pojawił się w kościółku Ted.

Ledwie przekroczył próg, a już nawzajem zdzierali z siebie ubrania.

Żadne z nich nie miało cierpliwości pokonywać schodów na rozgrzany balkon chóru. Zamiast tego padli na kanapę, którą Meg ostatnio uratowała z klubowego kontenera na śmieci. Ted zaklął, objijając się o wiklinową poręcz, ale nie potrzebował wiele czasu, by zapomnieć o niewygodzie i skupić wszystkie zdolności umysłu na naprawianiu zagadkowych błędów swojej miłosnej techniki.

Meg poddała mu się jak zawsze. Sturlali się z kanapy na twardą podłogę.

Wiatraki poruszały powietrze nad ich nagimi ciałami, kiedy Ted przechodził przez wszystkie stopnie erotycznego filmu instruktażowego, który musiał wyświetlać się w jego głowie. Błysnęły światła, rozległy łuk blasku w poprzek cynowego sufitu. Meg przywarła do Teda. Błagała.

Rozkazywała. Ulegała.

Kiedy skończyli, jego głos był zdławiony, ale dźwięczała w nim nuta rozdrażnienia:

- Teraz było wystarczająco dobrze?

- Och, Boże, tak!

- Święta prawda. Pięć! Nie próbuj zaprzeczać.

- Przestań liczyć moje orgazmy.

- Jestem inżynierem. Lubię statystykę. Uśmiechnęła się i dała mu szturchańca.

- Pomóż mi przenieść łóżko na dół. Tam jest za gorąco.

Nie powinna była poruszać tego tematu, bo Ted aż skoczył na równe nogi.

- Tu wszędzie jest za gorąco. A poza tym to nie łóżko, tylko cholerny futon, który byłby świetny, gdybyśmy mieli po dziewiętnaście lat. Ale nie mamy.

Wyłączyła się, żeby - zamiast wysłuchiwać tych bardzo do niego niepodobnych narzekań - cieszyć się nieograniczonym widokiem jego ciała.

- Wreszcie urządziłam pokój, więc przestań zrędzić.

Ostatnio damska szatnia została całkowicie odnowiona i Meg udało się zabrać niepotrzebne już sprzęty. Podniszczone wiklinowe meble i stare lampy idealnie pasowały do jej kościółka, ale na Tedzie najwyraźniej nie zrobiły wrażenia. Nagle przyjemność oględzin zakłócił jej jakiś okrucuch wspomnień. Gwałtownie usiadła.

- Widziałam blask światła.

- Miło mi to słyszeć.

- Nie. Kiedy pieściliśmy się... - Kiedy ty pieściłeś mnie. - Widziałam światła reflektorów. Myślę, że ktoś zajechał pod kościół.

- Niczego nie słyszałem. - Jednak wciągnął szorty i wyszedł na dwór sprawdzić. Poszła za nim, ale dostrzegła tylko jego samochód i swój.

- Jeśli nawet ktoś się tu zjawił - powiedział Ted - miał na tyle rozumu, żeby odjechać.

Myśl, że byli widziani razem, wprowadziła ją w popłoch. Miasteczko mogło tolerować jej udawaną miłość do Teda. Ale Meg za nic nie chciała, by odkryli, że to może być coś więcej niż pozory.

Co prawda, seks z legendarnym kochankiem nie był tak udany, jak by się jej marzyło, ale za to dwa dni

później sprzedała swoją najdroższą pracę: błękitny rzymski szklany kaboszon, który oplótła delikatnym srebrem, używając technik, jakich nauczył ją pewien złotnik w Nepalu. Wszystko układało się zbyt dobrze, toteż niemal odczuła ulgę, kiedy następnego wieczoru, po wyjściu z klubu, odkryła, że ktoś podrapał karoserię jej grata.

Rysa była długa i głęboka, biegła od przedniego błotnika aż po bagażnik, ale zważywszy na ogólny stan tego wozu, nie wydawała się Meg wielką katastrofą. A potem inne samochody zaczęły na nią trąbić bez powodu.

Nie mogła zrozumieć, o co chodzi, dopóki nie zauważyła ordynarnych haseł ponalepianych na tylnym zderzaku.

Nie jestem darmowa, ale jestem tania.

Podli ludzie ssą. Ja połykam\*.

Ted zastał ją, jak przykucnięta na służbowym parkingu usiłowała zeszkrobać budzące niesmak naklejki. Nie zamierzała krzyczeć, ale nie mogła się powstrzymać.

- Dlaczego ktoś to zrobił?

- Jakiś idiotyzm. Proszę. Pozwól.

Łagodność, z jaką ją odsunął na bok, sprawiła, że Meg o mało się nie rozsypała. Sięgnęła do torebki po chusteczkę i wydmuchała nos.

- To nie jest żart w moim guście.

- Ani w moim - odparł.

Odwróciła się, kiedy zaczął metodycznie podważać brzegi drugiej naklejki.

- Ludzie w tym mieście są podli.

- To pewnie jakieś małolaty. Chociaż to żadne usprawiedliwienie.

**\* wulgarne dowcipy polegające na grze słów i dopisanym do niej zakończeniu tekstu: ang. *free* oznacza *wolna*, ale też *darmowa*. Słowo**

***suck to być beznadziejnym, ale też ssać.***

Skrzyżowała ramiona i mocno się nimi objęła. Oczy jej zwilgotniały. Po raz drugi wydmuchała nos.

- Hej, ty płaczesz? - zapytał Ted. Właściwie nie, ale niewiele brakowało.

- Nie jestem beksą. Nigdy nie byłam. Nigdy nie będę. - Jeszcze przed paru miesiącami tak mało miała powodów do łez.

Widocznie nie uwierzył Meg, bo wstał i położył ręce na jej ramionach.

- Zniosłaś Arlis Hoover. Zniosłaś mnie. Poradzisz sobie i z tym.

- Ale to jest takie... wstrętne. Musnął wargami jej włosy.

- Tylko świadczy o dzieciaku, który to zrobił.

- A może to wcale nie dzieciak. Tyle osób w Wynet-te mnie nie lubi.

- Z każdym dniem coraz mniej - odparł spokojnie. - Wszystkim stawiałaś czoło i zdobyłaś tym szacunek.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle się przejmuję.

Na jego twarzy pojawiła się taka czułość, że Meg znowu zebrało się na płacz.

- Bo próbujesz sama coś wybudować - powiedział. - Bez niczyjej pomocy.

- Ty mi pomagasz.

- W jaki sposób? - Opuścił ręce, sfrustrowany. - Nie pozwalasz mi niczego zrobić. Nie pozwalasz nawet zaprosić się na obiad.

- Abstrahując od kwestii żądź Sunny Skipjack, nie chcę, żeby każdy w miasteczku wiedział, że taka grzesznica jak ja sypia z ich świętym burmistrzem.

- Masz paranoję. Wytrzymuję to tylko dlatego, że przez parę tygodni mnie tu nie było.

- Teraz, kiedy wróciłeś, też nic się nie zmieni. Nasz przelotny związek pozostanie tajemnicą.

Nie drażył dalej tematu. Zamiast tego zaprosił Meg do siebie na obiad we dwoje, a ona przyjęła zaproszenie. Ale gdy tego wieczoru pojawiła się w domu Teda, gospodarz od razu zaciągnął ją na górę i rozpoczął swoje precyzyjne, starannie przemyślane seksualne gry. Zanim dobiegły końca, zaspokoił każdą komórkę jej ciała, nie dotykając nawet skrawka duszy.

Dokładnie tak, powiedziała sobie Meg, jak w ich sytuacji powinno być.

- Jesteś czarodziejem. Zepsułeś mnie już na zawsze w kwestii wymagań wobec mężczyzn.

Odrzucił prześcieradło, ciężko spuścił nogi z łóżka i zniknął.

Chwilę później odnalazła go w kuchni. Oprócz majtek założyła tylko porzucony przez niego czarny T-shirt, resztę ubrań zaplątanych w kołdrę pozostawiając na podłodze sypialni. Ciemnobrązowe włosy Teda sterczały zmierzwiłone. Tors miał nadal nagi, podobnie jak stopy.

Naciągnął na siebie tylko szorty. Jego bokserki, co przypadkowo wiedziała, wałały się gdzieś wśród prześcieradeł.

W rękę trzymał butelkę piwa, druga czekała na Meg na kuchennym blacie.

- Nie jestem zbyt dobrym kuchaczem. - Wyglądał olśniewająco i pochmurnie.

Meg z trudem oderwała wzrok od jego klatki piersiowej.

- Nie wierzę ci. Jesteś dobry we wszystkim. - Otwarcie zapatrzyła się na krocze Teda w żalosej próbie zatuszowania swego zawodu. - I mówiąc to, mam na myśli: we wszystkim.

Potrafił czytać w jej myślach, więc uśmiechnął się niemal szyderczo.

- Jeśli nie dorastam do twoich standardów, to przepraszam.

- Masz urojenia, a ja jestem głodna.

Oparł się biodrami o zlew i nie porzucając opryskliwego tonu, powiedział:

- Wybierz z zamrażarki, co chcesz, to może ci odmrozę.

Na pewno do żadnej kobiety nie odzywał się równie niegrzecznie. To jej dodało ducha. Wchodząc za kuchenną wyspę, zastanawiała się, czy nie poruszyć tematu licytacji, ale nie potrafiła zdobyć się na taką złośliwość, bo dzięki szerokiej reklamie licytowana stawka przekroczyła już dziewięć tysięcy dolarów.

Lodówka wiele mówi o właścicielu. Meg otworzyła drzwi i ujrzała na lśniących szklanych półkach organiczne mleko, piwo, sery, wędliny i kilka starannie oznaczonych pojemników do przechowywania żywności.

Rzut oka do zamrażarki pozwolił odkryć kolejne pojemniki, drogie mrożone dania z organicznych



składników i lody czekoladowe.

Popatrzyła na Teda.

- Niesamowicie elegancka lodówka.

- Twoja też tak wygląda?

- Nie. Ale gdybym była bardziej udaną kobietą, to by wyglądała.

Kąciki ust uniosły mu się w uśmiechu.

- Z pewnością domyślasz się, że to nie ja jestem osobą, która ją czyści i napełnia zapasami?

- Wiem, że Haley robi ci zakupy. Też chcę mieć osobistą asystentkę.

- Ona nie jest moją osobistą asystentką.

- Raczej jej tego nie mów. - Meg wydobyła dwa pojemniki z naklejonymi etykietkami i datami ważności, szynkę i bataty. Chociaż nie była jakąś wspaniałą kucharką, radziła sobie z tymi sprawami o wiele lepiej niż którekolwiek z jej rodziców, dzięki gospodyniom, które przez lata cierpliwie znosiły najazdy małych Korandów na kuchnię.

Właśnie pochyliła się nad dolną szufladą zamrażarki w poszukiwaniu zieleniny do sałatki, kiedy otworzyły się frontowe drzwi i usłyszała stukot obcasów na bambusowej podłodze. Dreszcz niepokoju przebiegł jej po plecach. Błyskawicznie się wyprostowała.

Do kuchni wpłynęła Francesca Day Beaudine, rozwierając szeroko ramiona.

- Teddy!

## *Rozdział 14*

MATKA TEDA MIAŁA NA SOBIE CZARNE, obcisłe spodnie i seksowny różowy gorset, który nie powinien był wyglądać tak dobrze na prawie pięćdziesięciopięcioletce. W lśniących, kasztanowych włosach nie było śladu siwizny, co zawdzięczała albo szczęściu, albo wprawnemu fryzjerowi. Diamenty błyszczały w płatkach jej uszu, pod szyją i na palcach, ale nic w niej nie raziło przesadą. Wręcz przeciwnie, prezentowała elegancję kobiety, która sukcesy zawdzięcza własnej pracy, a przy tym posiada urodę, siłę i styl. Kobiety, która rzucając się swojej ukochanej latorośli na szyję, jeszcze nie zauważyła Meg.

- Stęskniłam się za tobą! - W ramionach wysokiego syna wyglądała na tak drobną, że trudno było uwierzyć, iż mogła wydać go na świat. -

Dzwoniłam, słowo daję, ale twój dzwonek nie działa.

- Odłączyłem go. Pracuję nad wejściowym zamkiem, który czyta linie papilarne. - Ted odwzajemnił

uścisk, po czym wypuścił matkę z objęć. -

Jak tam twój wywiad z bohaterskimi gliniarzami?

- Okazali się fantastyczni. Jak dotąd wszystkie moje wywiady wyszły dobrze, oprócz rozmowy z tą paskudną postacią uchodzącą za aktora, której nazwiska nigdy więcej nie zamierzam wymawiać. - Rozłożyła ręce.

I właśnie wtedy dostrzegła Meg.

Musiała widzieć zaparkowanego przed domem grata, ale szok malujący się w wytrzeszczonych zielonych oczach sugerował, że uznała go za pojazd kogoś z obsługi albo auto jakiegoś najgorszego pariasa spośród niekonwencjonalnych znajomych syna. Rozchełstany wygląd Meg i Teda nie pozostawiał wątpliwości, co niedawno robili, więc cała się wewnętrznie zjeżyła.

- Mamo, jestem pewien, że pamiętasz Meg. Gdyby Francesca była zwierzęciem, sierść sterczałaby jej na karku.

- Och. Tak.

Ten atak wrogości może i wyglądał komicznie, ale Meg czuła się, jakby miała za chwilę zymiotować.

- Pani Beaudine.

Francesca odwróciła się od niej i skupiła uwagę na swoim ukochanym dziecku. Meg była przyzwyczajona do widoku gniewu w rodzicielskich oczach, jednak nie mogła patrzeć, jak przytrafia się to Tedowi, więc wtrą-

ciła się, zanim pani Beaudine zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Rzuciłam się na niego, jak zrobiłaby każda kobieta we wszechświecie.

Nie mógł nic na to poradzić. Jestem pewna, że zetknęła się z tym pani co najmniej sto razy.

Francesca i Ted wpatrywali się w nią bez słowa -Francesca z jawną wrogością, Ted z niedowierzaniem.

Meg usiłowała obciągnąć brzeg swego T-shirtu poza siedzenie.

- Przykro mi, Ted. To... hm... to się już więcej nie powtórzy. A teraz już pójdę. - Tyle że potrzebowała kluczyków od samochodu, które miała w kieszeni szortów, a jedynym sposobem, by je odzyskać, był powrót do sypialni.

- Nigdzie nie pójdziesz, Meg - oświadczył spokojnie Ted. - Mamo, Meg nic podobnego nie zrobiła. Ona z trudem mnie znosi. A w ogóle to nie twoja sprawa.

Meg gwałtownie podniosła rękę.

- Doprawdy, Ted. Nie powinieneś tak mówić do swojej matki.

- Nawet nie próbuj się jej podlizywać - odparł. - Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Ale Meg podjęła jeszcze ostatnią próbę.

- To ja - zwróciła się do Franceski - ja mam na niego zły wpływ.

- Przestań. - Ted skinął w stronę pojemników z jedzeniem, które stały na kontuarze. - Właśnie szykujemy obiad, mamó. Może się do nas przyłączyć?

Ale na to raczej się nie zanosilo.

- Nie, dziękuję. - Jej brytyjski akcent z wyższych sfer sprawił, że odmowa zabrzmiała jeszcze bardziej lodowato. Francesca cofnęła się i podniosła wzrok na syna. - Porozmawiamy o tym później - oświadczyła, po czym wypadła z kuchni, bębniąc jak szalona wysokimi obcasami sandałów o podłogę.

Frontowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem, ale woń jej perfum, subtelnie zaprawionych cykuta, pozostała. Meg popatrzyła posępnie na Teda.

- Dobre wieści są takie, że jesteś za stary, żeby dała ci szlaban na wyjścia.

- Co nie powstrzyma jej od podjęcia próby. - Uśmiechnął się i sięgnął po swoją butelkę piwa. - Nie jest łatwo romansować z najbardziej niepopularną kobietą w mieście.

- On z nią sypia! - wykrzyknęła Francesca. - Wiedziałaś, że coś takiego się dzieje? Wiedziałaś, że z nią spał?

Rodzina Travelerów właśnie usiadła do śniadania, kiedy zadzwieczał

dzwonek u drzwi. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz gościa, żeby Kenny złapał koszyk z mufinkami, porwał dzieci i zniknął. Emma wyprowadziła przyjaciółkę na werandę, mając nadzieję, że ulubione miejsce w ich domu trochę złagodzi wzburzenie Franceski. Ale pachnący letni wietrzyk i uroczy widok pastwiska to było o wiele za mało, żeby ją uspokoić.

Francesca poderwała się z lśniącego czernią ratta-nowego fotela, na który chwilę wcześniej opadła. Tego ranka nie zawracała sobie głowy makijażem, chociaż i tak specjalnie go nie potrzebowała, a swoje małe stopy wsunęła w chodaki, używane - co Emma przypadkowo wiedziała -

wyłącznie do pracy w ogrodzie.

- Ona to wszystko zaplanowała. - Małe dłonie Franceski uniosły się gwałtownie. - Ze szczegółami, jak tłumaczyłam Dalliemu. Najpierw pozbyć się Lucy, potem osaczyć Teddy'ego. Ale przecież on w

kontaktach z ludźmi zachowywał się dotąd rozsądnie. Ani przez chwilę nie myślałam, że da się nabrać. Jak może być taki ślepy? - Zrobiła większy krok, żeby nie nadebrać na wysłużony egzemplarz *Szykownej Nancy i wytwornego szczeniaka*. - Musi być nadal w szoku, bo inaczej przejrzałby ją na wylot. Ona jest podła, Emmo. Zrobi wszystko, żeby go dostać. A z Dalliego nie ma cienia pożytku. Mówi, że Ted jest dorosły i powinnam dać mu spokój. Ale czy mogłabym dać spokój, gdyby mój syn był poważnie chory? Nie, nie mogłabym i teraz też nie dam. - Chwyciła *Szykowną Nancy* i wycelowała książeczką w Emmę. -

Musiałaś o tym wiedzieć. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

- Nie miałam pojęcia, że to zaszło tak daleko. Francesco, pozwól, że przyniosę ci muffinkę. A może napiłabyś się herbaty?

Pani Beaudine cisnęła książeczkę na fotel.

- Ktoś musiał wiedzieć.

- Nie było cię tu, więc nie rozumiesz, jak bardzo skomplikowały się sprawy ze Skipjackami. Spence ma obsesję na punkcie Meg, a Sunny chce Teda. Jesteśmy niemal pewni, że właśnie dlatego Spence powrócił

do koncepcji Wynette, po tym jak nie doszło do ślubu.

Francesca zlekceważyła temat Skipjacków.

- Torie wspomniała mi o Sunny. Ted sobie z nią poradzi. - Cień urazy zasnuł jej oczy. - Nie mogę pojąć, dlaczego żadna z was do mnie nie zadzwoniła?

- Wszystko się pogmatwało. Faktycznie, Meg mówiła, że kocha się w Tedzie. Ale sądziliśmy, że to tylko taki pretekst, żeby zniechęcić Spence'a.

Zielone oczy Franceski rozwarły się szeroko ze zdumienia.

- Dlaczego nie uwierzyliście, że się w nim zakochała?

- Bo nie zachowywała się w ten sposób - cierpliwie wyjaśniła Emma. -

Nigdy nie widziałam, żeby jakakolwiek kobieta, oprócz Torie, tak mu dała w kość. Meg nie wodzi za nim maślanym wzrokiem, nie spija z jego warg każdego słowa. Ona otwarcie mu się przeciwstawia.

- A więc jest bardziej cwana, niż mi się wydawało. -Francesca przeorała palcami już i tak rozwichrzone włosy. - Ted nigdy nie miał kobiety sprawiającej problemy. To ta nowość go pociąga. - Osunęła się na sofę. -

Mam nadzieję, że ona przynajmniej nie ćpa. Chociaż wcale bym się nie zdziwiła. Subkultura narkotykowa jest w Hollywood powszechna.

- Nie sądzę, żeby Meg brała narkotyki, Francesco. My naprawdę próbowaliśmy namówić ją do wyjazdu. Sunny Skipjack nie chce z kimkolwiek rywalizować o Teda, a Spence bzikuje na punkcie córki.

Zrobiła się kłopotliwa sytuacja. Wiedziałyśmy, że Meg nie ma pieniędzy, więc zaoferowałyśmy jej czek. I mogę cię zapewnić, że to nie był

najmilszy moment w naszym życiu. Tak czy inaczej, odmówiła.

- Jasne, że odmówiła. Po co jej wasz śmieszny czek, skoro upatrzyła sobie Teda i jego majątek?

- Meg jest chyba jednak trochę bardziej skomplikowana.

- O, jestem pewna, że jest! - odparowała gwałtownie Francesca. - Własna rodzina się jej wyrzekła, a nie powiesz mi, że zrobili to bez powodu.

Emma wiedziała, że musi postępować ostrożnie. Francesca była inteligentną, racjonalną kobietą, o ile nie chodziło o jej syna albo męża.

Obu mężczyznom kochała z wręcz dziką zaciekłością i żeby ich chronić, stawiała czoło całym armiom. Nawet jeśli żaden z nich jej ochrony nie potrzebował.

- Rozumiem, że to może być dla ciebie trudne, ale gdybyś ją poznała...

Pani Beaudine złapała figurkę z *Gwiezdnych wojen*, która dźgała jej pośladek i cisnęła ją na bok.

- Jeśli ktokolwiek - wliczając w to Dalliego - sądzi, że zamierzam przypatrywać się biernie, jak ta kobieta robi wodę z mózgu mojemu synowi... - Zamrugnęła. Ramiona jej opadły. Wydawało się, że wyciekł z niej cały zapas energii. - Dlaczego to musiało się wydarzyć akurat teraz? -

powiedziała cicho.

Emma podeszła i usiadła na sofie obok przyjaciółki.

- Ciągle jeszcze masz nadzieję, że Lucy wróci, prawda?

Francesca potarła oczy. Cienie pod nimi świadczyły, że tej nocy nie spała najlepiej.

- Lucy dotąd nie pojawiła się w Waszyngtonie.

- Nie?

- Rozmawiałam z Nealy. Obie uważamy, że to dobry znak. Z dala od domu, od swojej pracy i przyjaciół ma możliwość głębiej się zastanowić nad sobą i wszystkim, co porzuciła. Przecież widziałas ją z Teddym. Oni się kochali. Kochali. A teraz on nie chce o niej rozmawiać. Coś w tym musi być, nie uważasz?

- Minęły już dwa miesiące - powiedziała ostrożnie Emma. - To spory kawałek czasu.

Francesca nie przyjmowała do wiadomości żadnych argumentów.

- Chcę to powstrzymać. - Poderwała się z sofy i znowu zaczęła przemierzać werandę. - Na wystarczająco długo, żeby dać Lucy szansę na zmianę zdania. Możesz sobie wyobrazić, co by było, gdyby wróciła do Wynette tylko po to, żeby odkryć, że Ted ma romans z kobietą, którą uważała za najlepszą przyjaciółkę? Aż strach pomyśleć. - Obróciła się do Emmy, zmarszczki uporczywej determinacji rysowały się jej wokół ust. - Nie zamierzam pozwolić, żeby do tego doszło.

Emma spróbowała raz jeszcze.

- Ted doskonale potrafi zadbać o siebie. Nie wolno ci... naprawdę nie wolno ci podejmować żadnych pochopnych działań. - Zatraskana popatrzyła na przyjaciółkę i ruszyła do kuchni zrobić herbatę.

Napełniając czajnik, rozmyślała o jednej z najczęściej przytaczanych miejscowych anegdot. Jak głosiła plotka, kiedyś Francesca cisnęła do żwirowni parę czterokaratowych diamentów, udowadniając, do czego może się posunąć w obronie syna.

Lepiej, żeby Meg uważała.

Następnego dnia po niefortunnym spotkaniu z Francescą Beaudine Meg otrzymała wiadomość, że ma się zameldować w biurze kierownictwa klubu. Kiedy przejeżdżała swoim wózkiem koło sklepu dla golfistów, z budynku wyłonił się Ted, a za nim Sunny w krótkiej spódniczce w niebiesko-żółtą szachownicę i koszulce polo bez rękawów. Rozpięty kołnierzyk ukazywał wisiołek z diamentową czterolistną koniczynką.

Panna Skipjack wyglądała na osobę dobrze zorganizowaną, pewną siebie, zdyscyplinowaną - absolutnie nadającą się do tego, by o poranku, powiwszy Tedowi genialne dziecko, wyskoczyć jeszcze na szybkich dziewięć dołków.

Bładoniebieskie polo Teda harmonizowało kolorystycznie z jej strojem.

Oboje mieli najnowsze modele golfowego obuwia, ale przynajmniej on nosił bejsbolówkę zamiast żółtego daszka, który ona wsunęła sobie na ciemne włosy. Meg nie mogła powstrzymać się od myśli, jak całkowicie swobodny wydawał się Ted w towarzystwie kobiety, która przetrzymywała go jako zakładnika w zamian za budowę centrum golfa.

Meg zaparkowała wózek z napojami i udała się do gabinetu zastępcy dyrektora klubu. Kilka minut później pochylała się nad jego biurkiem, starając się nie krzyknąć.

- Jak może mnie pan wylać? Dwa tygodnie temu proponował mi pan awans na kierowniczkę baru przekąskowego. - Awans, który odrzuciła, bo nie chciała tkwić w budynku.

Zastępca dyrektora skubał swój idiotyczny różowy krawat.

- Obsługując wózek z napojami, prowadziłaś prywatne interesy.

- Powiedziałaś panu o tym na samym początku. Zrobiłam bransoletkę dla pana matki!

- To sprzeczne z regulaminem klubu.

- W zeszłym tygodniu nie było sprzeczne. Co się od tamtej pory zmieniło?

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Przykro mi, Meg. Mam związane ręce. Polecenie odgórne.

Myśli Meg galopowały jak szalone. Chciała go zapytać, kto zamierza powiadomić Spence'a, że została wylana? I Teda? A co z emerytami, którzy grali w każdy wtorkowy ranek i lubili sposób, w jaki przechowywała dla nich kawę na wózku? Albo z golfistami, którzy zauważyli, że nigdy nie pochrzaniła ich zamówień?

Ale niczego nie powiedziała.

Wsiadając do swego grata, zauważyła, że ktoś próbował wyrwać jej wycieraczki. Pokrowiec na fotelu palił ją w uda, kiedy wślizgnęła się za kierownicę. Dzięki sprzedaży biżuterii miała dość pieniędzy na powrót do Los Angeles, więc dlaczego tak się przejmowała tą gównianą robotą?

Otóż dlatego, że tę gównianą robotę polubiła. Tak jak polubiła swój kościółek z jego gównianym, prowizorycznym umeblowaniem. I polubiła to gówniane miasteczko z jego dużymi problemami i pokręconymi mieszkańcami. Ted miał rację. Przede wszystkim podobało jej się to, że musiała żyć samodzielnie, dzięki własnej ciężkiej pracy i zdolnościom.

Wróciła do domu, wzięła prysznic, założyła dżinsy, biały, artystyczny top i różowe sandały na platformach. Kwadrans później minęła kamienne filary na granicy posiadłości Beaudine'ów. Jednak nie skierowała się do domu Teda, tylko wjechała na kolisty podjazd i zatrzymała wóz przed rozległą budowlą z wapienia i stiuku. Drzwi otworzył Dallye.

- Meg?

- Zastałam żonę?

- Jest w swoim gabinecie. - Nie wyglądał na specjalnie zdziwionego jej widokiem. Odsunął się i wpuścił ją do środka. - Najprościej iść tym korytarzem do końca, potem na dwór i przeciąć dziedziniec. Duże arkady w prawym skrzydle.

- Dzięki.

Dom Beaudine'ów miał chropawo tynkowane ściany, belkowane sufity i chłodne kafłowe podłogi. Na dziedzińcu pluskała fontanna, a lekki zapach węgla drzewnego sugerował, że ktoś rozpałał grill. Wejście do gabinetu Franceski ocieniał sklepiony portyk. Przez szyby w drzwiach Meg dostrzegła ją przy biurku, w okularach do czytania na czubku małego nosa. Studiowała rozłożoną przed sobą

gazetę. Meg zastukała.

Matka Teda podniosła wzrok. Kiedy zobaczyła, kto przyszedł w odwiedziny, opadła na oparcie fotela, żeby zebrać myśli.

Mimo orientalnych dywanów na kaflowej podłodze, rzeźbionych drewnianych mebli, sztuki ludowej i fotografii w ramkach, było to miejsce pracy z dwoma komputerami, płaskoekranowym telewizorem i regałami zawalonymi stertą papierów, teczek i segregatorów. Wreszcie Francesca wstała i przeszła przez pokój, klapiąc tęczowymi japonkami.

Przeciwwagę dla poważnych półszkieł stanowiły dwie małe srebrne klamerki w kształcie serduszek, którymi przypięła włosy, żeby nie opadały na twarz. Dopasowany T-shirt zawiadamiał o lojalności wobec teksańskiego uniwersytetu A&M, a dżinsowe szorty prezentowały nadal smukłe nogi.

Jednak swobodny strój nie zmusił Franceski do zrezygnowania z diamentów. Migotały w płatkach jej uszu, wokół szczupłego nadgarstka, na palcach. Otworzyła drzwi.

- Tak?

- Rozumiem, dlaczego pani to zrobiła - powiedziała Meg. - I proszę, żeby pani to cofnęła.

Francesca zdjęła okulary, ale nie ruszyła się z miejsca. Meg przelotnie rozważała ewentualną winę Sunny, jednak tu chodziło o akt emocjonalny, a nie wykalkulowane działanie.

- Nie mam czasu. Jestem zajęta.

- Dzięki pani ja nie. - Meg popatrzyła prosto w zielone sople jej oczu. -

Lubię tę pracę. Wstyd się przyznać, bo to nie żadna wielka kariera, ale jestem w tym dobra.

- Interesujące. Jak już mówiłam, nie mam czasu. Meg ani drgnęła.

- Sprawa wygląda tak: chcę z powrotem moją pracę. W zamian nie doniosę na panią Tedowi.

Francesca okazała pierwszy ślad niepokoju. Po krótkiej chwili milczenia odsunęła się od drzwi na tyle, żeby Meg mogła wejść.

- Chcesz iść na układy? W porządku, proszę bardzo.

W gabinecie znajdowało się pełno rodzinnych fotografii. Na jednej z najbardziej rzucających się w oczy młodszy Dallie Beaudine świętował

zwycięstwo w turnieju golfa, wysoko unosząc żonę w objęciach. Ona pochylała się ku niemu, pukiel włosów opadał jej na policzek, srebrny kolczyk lekko dotykał podbródka, a czerwony, bardzo kobiecy sandałek, który spadł z teraz już bosej stopy, balansował na golfowym bucie jej męża. Były też zdjęcia Franceski z pierwszą żoną Dal-



liego, aktorką Holly Grace Jaffe. Jednak większość przedstawiała małego Teda. Chudziutki, niezbyt ładny chłopczyk w za dużych okularach i spodniach podciągniętych prawie pod pachy, z poważnym, żarliwym wyrazem twarzy pozował w towarzystwie modeli rakiet, projektów ze szkolnych konkursów naukowych i własnego ojca.

- Lucy uwielbiała te fotografie. - Francesca usadowiła się za biurkiem.

- Nie wątpię. - Meg uznała, że pora na małą kurację wstrząsową. - Ona udzieliła mi zgody, zanim przespałam się z pani synem. I swego błogosławieństwa. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Nigdy nie zrobiłabym czegoś podobnego za jej plecami.

Tego Francesca nie oczekiwała. Na chwilę wyraźnie zrzędała jej mina, ale zaraz podbródek podjechał do góry.

Teraz Meg zdecydowała się na ryzykowny krok.

- Oszczędzę pani szczegółów na temat życia seksualnego pani syna.

Powiem tylko, że ze mną jest bezpieczny. Nie snuję marzeń o małżeństwie, dzieciach czy osiedleniu się w Wynette na zawsze.

Francesca obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem, jakby to oświadczenie nie sprawiło jej oczekiwanej ulgi.

- Oczywiście, że nie. Jesteś kobietą, która żyje chwilą, prawda?

- W pewnym sensie. Nie wiem. Nie tak bardzo jak dawniej.

- Ted wystarczająco wiele przeszedł. Nie potrzebuje, żebyś teraz komplikowała mu życie.

- Zauważyłam, że sporo osób w tym miasteczku ma bardzo kategoryczne poglądy na temat tego, czego Ted potrzebuje.

- Jestem jego matką, więc to dla mnie dość jasne.

Teraz nadchodziła trudna część rozmowy, co nie oznaczało, że dotychczas to była bułka z masłem.

- Sądzę, że osoba z zewnątrz, ktoś bez z góry przyjętych założeń, widzi drugiego człowieka trochę inaczej niż ci, którzy znają go przez długi czas.

- Meg wzięła do ręki zdjęcie bardzo młodziutkiego Teda ze Statuą Wolności w tle. - Ted jest wspaniały - ciągnęła. - Wszyscy to wiedzą. I sprytny. O tym też wiele osób wie. Ma nadmiernie rozwinięte poczucie odpowiedzialności i nic na to nie może poradzić. Ale jest coś, czego większość ludzi, a zwłaszcza zakochanych w nim kobiet, wydaje się nie zauważać. Ted intelektualizuje to, co inni przetwarzają emocjonalnie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Meg odstawiała fotografię na miejsce.

- W relacjach romantycznych on nie pozwala się porwać uczuciom, jak to się zwykle dzieje. Dodaje wszystkie za i przeciw w swego rodzaju księdze rachunkowej, którą ma w głowie i postępuje według otrzymanego wyniku. Tak właśnie zdarzyło się z Lucy. Zgodnie z obliczeniami pasowali do siebie.

Oburzenie poderwało Francescę z krzesła.

- Twierdzisz, że Ted nie kochał Lucy? Ze nie posiada głębszych uczuć?

- Ted wiele spraw odczuwa bardzo głęboko. niesprawiedliwość.

Lojalność. Odpowiedzialność. Pani syn to jeden z najinteligentniejszych, najbardziej prawych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam. Ale w kontaktach emocjonalnych jest absolutnie praktyczny. - Im dłużej mówiła, tym większe ogarniało ją przygnębienie. - Właśnie tego kobiety nie zauważają. Próbują go w sobie rozkochać, a on jest do tego niezdolny.

Decyzja Lucy bardziej zabolęła panią niż jego.

Francesca dosłownie wybiegła z biurka.

- To ty chcesz w to wierzyć. Mylisz się tak, że już bardziej nie można.

- Nie stanowią zagrożenia, pani Beaudine - powiedziała Meg, ścisząc głos. - Nie zamierzam złamać mu serca ani podstępem skłonić go do małżeństwa. Nie zamierzam na nim żerować. Jestem dla niego bezpiecznym portem, zanim trafi na odpowiednią kobietę. - Ostatnie słowa zabolęły o wiele bardziej, niżby chciała, ale jakoś udało jej się beztrząsco wzruszyć ramionami. - Dla pani jestem wymarzoną dziewczyną syna. I chcę dostać z powrotem moją pracę.

Francesca już zdążyła się opanować.

- Niemożliwe, żebyś wiązała przyszłość z pracą po-pychadła w małomiasteczkowym klubie.

- Lubię ją. Kto by pomyślał, prawda?

- Załatwię ci posadę w L.A. W Nowym Jorku. W San Francisco.

Gdziekolwiek zechcesz. - Wzięła z biurka notatnik. - Dobrą posadę. A co z tym dalej zrobisz, to już zależy od ciebie.

- Dziękuję, ale już się przyzwyczaiałam radzić sobie sama.

Odłożyła notatnik i zaczęła obracać na palcu obrączkę. Wreszcie wyglądała na zakłopotaną. Upłynęło kilka sekund.

- Dlaczego nie poszłaś ze skargą na mnie prosto do Teda?

- Swoje bitwy wolę staczać własnymi siłami. Krótka chwila słabości minęła i Francesca odzyskała

stalową determinację.

- Spotkało go już wystarczająco dużo. Nie chcę, żeby ktoś go znowu zranił.

- Niech mi pani wierzy, nie jestem dla niego na tyle ważna, żeby coś takiego mogło się stać. -  
Kolejne bolesne ścisnięcie serca. - On mnie uważa za dziewczynę

na okres przejściowy. Poza tym jestem jedyną kobietą, oprócz Torie, przy której może okazywać irytację. To pozwala mu się odprężyć. A co do mnie... cieszę się miłą chwilą odpoczynku od nieudaczników, z którymi zwykle się spotykam.

- Jesteś straszliwie pragmatyczna.

- Jak już powiedziałam, dla pani jestem wymarzoną dziewczyną syna. - Z

trudem zdobyła się na buńczuczny uśmiech, ale kiedy wyszła z gabinetu i ruszyła z powrotem przez dziedziniec, jej brawura przygasła. Meg miała już serdecznie dość niskiego poczucia własnej wartości.

Kiedy nazajutrz pojawiła się w pracy, nikt nie zdawał się pamiętać, że została wylana. Ted przystanął koło jej wózka z napojami. Dotrzymując obietnicy, nie powiedziała mu, co się stało, ani nie wspomniała o udziale jego matki w wydarzeniach poprzedniego dnia.

Słońce prażyło coraz mocniej, więc zanim nadeszła pora powrotu do domu, Meg była już jedną przepeconą, rozmiękłą papką. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy zanurzy się w rzeczce. Mijając stary, zniszczony stół, na którym trzymała swoje jubilerskie zapasy, ściągnęła koszulkę polo. Jedna z pożyczonych od Teda książek o ekologii leżała rozłożona na poprzecieranej kanapie. W kuchennym zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń. Meg zrzuciła z nóg sportowe buty i otworzyła drzwi do łazienki.

Krew odpłynęła jej z twarzy. W poprzek lustro widniała krwawa smuga napisu nabazgranego szkarłatną szminką:

„Wynoś się stąd!”

## *Rozdział 15*

MEG TRZĘŚŁY SIĘ RĘCE, kiedy usiłowała zmyć te słowa i podejrzane, ciche dźwięki wrywały się jej z gardła. Wynoś się stąd!

Pisanie szminką po lustrach było najbardziej wyświechtanym banałem, czymś co robią wyłącznie osoby pozbawione wyobraźni. Musiała wziąć się w garść. Jednak świadomość, że ktoś obcy zakradł się do jej domu, dotykał jej rzeczy, przyprawiała ją o mdłości. Nie mogła przestać dygotać, dopóki nie usunęła okropnego napisu i nie zajrzała do każdego kąta w poszukiwaniu innych śladów intruza. Niczego więcej nie znalazła.

Kiedy panika trochę osłabła, Meg zaczęła snuć przypuszczenia, kto to zrobił, ale tyłu było

potencjalnych sprawców, że nie mogła przeanalizować wszystkich kandydatur. Frontowe drzwi z pewnością zamknęła na klucz. Tylne były teraz zamknięte, ale nie sprawdzała ich rano, zanim pojechała do pracy. Wyglądało na to, że intruz dostał się do środka właśnie tamtędy, a potem je zatrzęsął. Z powrotem wciągnęła przepoconą koszulkę, wyszła na dwór i okrążyła kościółek, ale nie dostrzegła niczego niezwykłego.

Wreszcie wzięła prysznic, przez cały czas rzucając nerwowe spojrzenia w stronę wejścia. Nienawidziła się bać. A zniechęciła się jeszcze bardziej, kiedy na widok Teda, który stanął zniechęciła w drzwiach, przeraźliwie wrzasnęła.

- Jezu! - powiedział ze zdumieniem. - Co co ci się stało?

- Nie podkradaj się do mnie cichaczem!

- Stukałem.

- Jak miałam słyszeć? - Gwałtownym szarpnięciem zakręciła kran.

- Od kiedy jesteś taka płochliwa?

- Zaskoczyłeś mnie i tyle. - Nie mogła mu powiedzieć. To od razu wiedziała. Pozycja certyfikowanego superbohatera nie pozwoliłaby mu zostawić jej tu samej. A Meg nie było stać na mieszkanie gdzie indziej.

Nie zamierzała też dopuścić, żeby on opłacał jej wynajem. Poza tym kochała swój kościółek. Może nie dokładnie w tym momencie, ale wiedziała, że znowu tak będzie, kiedy tylko dojdzie do siebie po dzisiejszym szoku.

Ted ściągnął ręczniki z nowego wieszaka firmy Viceroy, linia edynburska, który niedawno zainstalowała. Ale zamiast podać je Meg, zarzucił sobie na ramiona.

Wyciągnęła rękę, chociaż doskonale wiedziała, co zaraz nastąpi.

- Oddaj.

- Chodź i sama sobie weź.

Nie była w odpowiednim nastroju. Ależ nie, oczywiście że była. Bo przecież to Ted stał przed nią, opanowany i pociągający, bystrzejszy niż jakikolwiek spośród znanych jej mężczyzn. Cóż lepszego mogła wymyślić, żeby się otrząsnąć z resztek napięcia niż zatracenie się w seksie, który tak niewiele od niej wymagał?

Wyszła spod prysznicza i przywarła do Teda mokrym ciałem.

- Daj z siebie wszystko, na co cię stać, kochasiu. Uśmiechnął się szeroko i zrobił dokładnie tak, jak prosiła. Lepiej niż prosiła. Za każdym razem dbał o nią coraz bardziej i odwlekał swoje spełnienie

coraz dłużej. Kiedy było już po wszystkim, owinęła się w sarong z płata jedwabiu, który miała na sobie w czasie przedślubnego przyjęcia, i udała się po piwo do lodówki, gdzie jej gospodarz upchnął cały dwunastopak. Wciągnąwszy na siebie szorty, Ted wydobyl z kieszeni kawałek złożonego papieru.

- Dostałem to dzisiaj pocztą. - Rozsiadł się na kanapie z jedną ręką przerzuconą przez oparcie. Skrzyżowane w kostkach nogi oparł o drewnianą skrzynkę na butelki wina, która służyła teraz jako stół.

Meg wzięła list, spojrzała na nagłówek. „Departament Zdrowia Stanu Teksas”. Ted zwykle nie dzielił się z nią prozaicznymi aspektami swojej pracy w ratuszu. Przycupnęła na poręczy wiklinowego fotela z poduszkami w wyblakłe tropikalne wzory i zaczęła czytać. Nie minęło kilka sekund, gdy poderwała się gwałtownie tylko po to, by odkryć, że zbyt miękkie kolana nie chcą utrzymać jej ciężaru. Opadła na poduszki i jeszcze raz przeczytała właściwy akapit:

„Zgodnie z prawem stanu Teksas każda osoba, u której dodatni wynik badania laboratoryjnego potwierdza zakażenie chorobą przenoszoną drogą płciową, w tym (ale nie ograniczając się do podanych): chlamydia, rzeżączką, wirusem HPV i AIDS, obowiązana jest dostarczyć wykaz seksualnych partnerów z ostatnich lat. Niniejszym zawiadamiamy, iż Meg Koranda wymieniła pana jako jednego ze swoich partnerów.

Zalecamy natychmiastową wizytę u lekarza, jak również zaprzestanie wszelkich seksualnych kontaktów z wyżej wymienioną zarażoną osobą”.

Meg podniosła wzrok na Teda. Czowała, że zaraz zwymiotuje.

- Zarażoną osobą?

- Chlamydia napisana jest z błędem - zwrócił jej uwagę. - A nagłówek wygląda na podrobiony.

Zmieniła list w dłoni.

- Dlaczego nie pokazałeś mi tego zaraz po przyjściu?

- Bo się bałem, że nie będziesz chciała się kochać.

- Ted...

Przyglądał się jej z niedbałą miną.

- Masz jakieś podejrzenia, kto może za tym stać? Meg pomyślała o wiadomości na lustrze.

- Każda z milionów kobiet, które cię pożądają. Zignorował tę złośliwość.

- List został wysłany z Austin, ale to o niczym nie świadczy.

Teraz nadszedł odpowiedni moment na wyznanie, że przez jego matkę o mało nie wyleciała z pracy,

ale Meg jakoś nie potrafiła wyobrazić sobie Franceski Beaudine w tak nikczemnej roli. Poza tym Francesca niemal na pewno nie zostawiłaby błędu ortograficznego. Równie wątpliwe było, by Sunny nie znała poprawnej pisowni, chyba że zrobiła to specjalnie dla zmylenia tropów. A co do Kayli, Zoey i pozostałych kobiet uparcie fantazjujących na temat Teda... Meg nie mogła rzucać oskarżeń tylko na podstawie wrogich spojrzeń. Cisnęła papier na podłogę.

- Dlaczego Lucy nie musiała znosić takiego podłego traktowania?

- Sporo czasu spędzaliśmy w Waszyngtonie. A poza tym, jeśli mam być szczery, Lucy nie wkurzała tak ludzi jak ty.

Meg podniosła się z fotela.

- Nie wie o nas nikt oprócz twojej matki i osób, którym mogła się zwierzyć.

- Czyli oprócz taty i lady Emmy. A ona pewnie powtórzyła Kenny'emu.

- Który niewątpliwie powtórzył Torie. Jeśli gaduła Torie...

- Gdyby Torie wiedziała, od razu by do mnie wydzwaniała.

- W tej sytuacji pozostaje tylko tajemniczy gość, który odwiedził nas trzy noce temu - powiedziała. Błądzą-

cy wzrok Teda wskazywał, że jej sarong się zsuwa, więc owinęła się jedwabiem ciasniej. - Myśl, że ktoś mógł nas podglądać przez okno...

- Otóż to. - Odstawił butelkę na skrzynkę po winie. - Zaczynam sądzić, że te naklejki na twoim wozie to nie robota dzieciaków.

- Ktoś też próbował poobrywać mi wycieraczki. Ted zmarszczył czoło, a ona znów się wahała, czy nie

wspomnieć mu o bazgrołach na lustrze. Ale nie chciała dostać zakazu mieszkania w swoim domu, na czym zapewne by się skończyło.

- Ile osób ma klucze do kościółka?

- Dlaczego pytasz?

- Zastanawiam się, czy powinnam być czujna.

- Zmieniłem zamki, kiedy przejąłem to miejsce - powiedział. - Ty masz klucz, który trzymałem w skrytce. Ja mam swój. Lucy też może nadal mieć. I jest jeszcze zapasowy klucz u mnie w domu.

A więc intruz prawdopodobnie wszedł przez nieza-mknięte tylne drzwi.

Pozostawienie ich w ten sposób było błędem, którego nie zamierzała powtórzyć.

Nadeszła pora, by zadać wielkie pytanie. Palcami bosej stopy Meg szturchnęła zmięty w kulkę papier.

- Ten nagłówek wygląda autentycznie. A wielu urzędników państwowych nie jest mistrzami ortografii. - Oblizwała wargi. - To mogła być prawda. -

Wreszcie spojrzała mu w oczy. - Więc dlaczego nie zapytałeś mnie o to od razu?

Nie do wiary, ale pytanie najwyraźniej go zirytowało.

- Co sugerujesz? Gdyby był jakiś problem, dawno byś mi o nim powiedziała.

Miała wrażenie, jakby wydarł jej deski podłogi spod stóp. Tak wielkie zaufanie do... jej uczciwości. W tym

momencie zrozumiała, że stało się najgorsze. Żołądek podszedł jej do gardła. Była zakochana.

Chciała rwać sobie włosy z głowy. Oczywiście, zakochała się w nim.

Która kobieta by się oparła? Zakochiwanie się w Tedzie Beaudinie stanowiło dla mieszkanki Wynette rytuał, przez który każda musiała przejść. I ona właśnie dołączyła do klubu.

Zaczęła oddychać za szybko i za głęboko, więc zrobiła to, co robiła zawsze, kiedy czuła się przyparta do muru.

- Musisz już iść.

Wzrok Teda powędrował w dół po cienkim jedwabnym sarongu.

- Jeśli teraz pójde, nie będzie się to niczym różnić od spotkania z facetem na telefon.

- W porządku. Dokładnie tego chcę. Twego wspaniałego ciała z tak niewielkim dodatkiem rozmów, jak to tylko możliwe.

- Zaczynam się czuć w tym związku jak atrakcyjna laska.

- Potraktuj to jako rozwijające doświadczenie. Uśmiechnął się, wstał, przyciągnął ją do siebie,

wziął w ramiona i zaczął całować do nieprzytomności. A kiedy wpadła już w kolejny Beaudine'owski seksualny trans, zaprezentował swoją legendarną samokontrolę.

- Przykro mi, mała. Jeśli chcesz więcej tego, co mam do zaoferowania, musisz pójść ze mną. Ubieraj się.

Z trudem powróciła do rzeczywistości.

- Słowa, których nigdy więcej nie chcę słyszeć z twoich ust. A swoją drogą, co się stało?

- Chcę, żebyśmy poszli na obiad - powiedział spokojnie. - Tylko we dwoje. Jak normalni ludzie. Do prawdziwej restauracji.

- To naprawdę kiepski pomysł.

- Spence i Sunny mają wkrótce jakąś międzynarodową wystawę przemysłową, która przez chwilę zatrzyma ich z dala od kraju. W tym czasie zamierzam pod-gonić moje fatalnie zaniedbane interesy. -  
Wsunął

jej pukiel włosów za ucho. - Nie będzie mnie przez prawie dwa tygodnie.

Zanim wyjadę, chcę spędzić wieczór poza domem. I mam już wyżej uszu tego czajenia się.

- Trudno - odparowała. - Nie zachowuj się jak egoista. Pomyśl o swoim ukochanym mieście, a potem wyobraź sobie minę Sunny, kiedy odkryje, że my...

Jego spokój zniknął.

- Miasto i Sunny to moja sprawa, nie twoja.

- Z takim egocentrycznym podejściem, panie burmistrzu, nie ma pan szans na reelekcję.

- Nie chciałem, żeby mnie wybrali nawet za pierwszym razem!

W końcu zgodziła się na restaurację Tex-Mex we Fredericksburgu, ale gdy już tam dotarli, manewrowała tak, by Ted musiał usiąść twarzą do ściany, więc sama mogła mieć na wszystko oko. Zirykowało go to na tyle, że złożył zamówienie dla nich obojga, w ogóle nie pytając Meg o zdanie.

- Na nikogo się nie wściekasz - powiedziała, kiedy kelner odszedł od ich stolika. - Tylko na mnie.

- Nieprawda - odparł krótko. - Torie potrafi mnie wkurzyć.

- Torie się nie liczy. W poprzednim życiu ewidentnie musiałeś być jej matką.

Zemścił się, okupując koszyk z chipsami.

- Nigdy bym nie pomyślała, że jesteś obraźliwy - stwierdziła Meg po długiej, ciężkiej chwili milczenia. - A tu proszę.

Ted wsadził chipsa do miseczki z najostrzejszą salsą.

- Nienawidzę się kryć i nie zamierzam dłużej tego robić. Nasz romans ma wyjść na światło dzienne.

Jego zacięty upór przeraził Meg.

- Jeszcze się powstrzymaj. Spence jest przyzwyczajony, że on i Sunny dostają to, czego chcą. Gdybyś



tak nie uważał, nie zachęcałbyś mnie do tego całego zaprzyjaźniania się.

Chips pękł mu w palcach na pół.

- To też musi się skończyć. Natychmiast.

- Nie, nie może. Poradzę sobie ze Spence'em. Ty uporasz się z Sunny. A jeśli chodzi o nas... Od początku ci mówiłam, jak to musi być.

- A ja ci mówię... - Dźgnął ułamanym chipsem w stronę jej twarzy. -

Nigdy niczego nie robiłem ukradkiem i nie zamierzam tak żyć teraz.

Meg nie wierzyła własnym uszom.

- Nie możesz narazić na szwank czegoś tak ważnego dla kilku pozbawionych znaczenia numerków. To jest przelotna znajomość, Ted.

Przelotna. Lada dzień spakuję manatki i wrócę do L.A. Sama się dziwię, że dotąd tego nie zrobiłam.

Jeżeli miała nadzieję, że on zaprzeczy, jakoby ich związek był

pozbawiony znaczenia, sama była winna swojemu rozczarowaniu. Ted pochylił się nad stolikiem.

- Nie chodzi o to, czy jest przelotna, czy nie. Chodzi o to, jakiego pokroju jestem człowiekiem.

- A co ze mną? Z tym, jakiego pokroju ja jestem człowiekiem? Czuję się całkiem komfortowo, żyjąc w ukryciu.

- Słyszałaś, co powiedziałem.

Patrzyła na niego skonsternowana. To była niepożądana konsekwencja posiadania kochanka z honorem. A przynajmniej z tym, co jako honor postrzegał. Bo to, co ona postrzegała, było coraz wyraźniej zarysowują-

cym się wyborem pomiędzy katastrofą i złamanym sercem.

Starając się nie myśleć o miłości do Teda i myśląc o wiele za dużo o możliwym powrocie tajemniczego prześladowcy, nie miała szansy się wyspać. Takie bezsenne noce wykorzystywała na swoje projekty. Kolejne prace były coraz bardziej skomplikowane, ponieważ grupka jej klientek wyraźnie wolała biżuterię o oryginalnych elementach od tej z kopiami. W Internecie Meg znalazła sprzedawców specjalizujących się w handlu zabytkowymi artefaktami, które jej odpowiadały i zainwestowała pokaźną część swoich oszczędności na czarną godzinę w honorarium dla znanego z uczciwości bo-stońskiego profesora archeologii, który szczegółowo opisywał pochodzenie wszystkiego, co sprzedawał.

Wypakowując bliskowschodnie monety, kilka rzymskich kaboszonów i trzy cenne mozaikowe

koraliki z twarzami, pochodzące mniej więcej z drugiego wieku, stwierdziła, że się zastanawia, czy projektowanie biżuterii to jej przyszłość, czy raczej ucieczka od myślenia, co naprawdę powinna zrobić ze swoim życiem?

W tydzień po wyjeździe Teda zadzwoniła Torie i poleciła Meg stawić się następnego dnia w pracy o godzinę wcześniej niż zwykle. Na pytanie o powód, zareagowała, jakby miała do czynienia z kimś, kto właśnie oblał

test na IQ.

- Bo Dex będzie w domu, więc popilnuje dzieci. O matko.

Nazajutrz, gdy tylko Meg dotarła do klubu, Torie zaciągnęła ją na pole treningowe.

- Nie możesz mieszkać w Wynette, nie biorąc do ręki golfowego kija. To rozporządzenie władz miejskich. - Podała jej iron numer 5. - Weź zamach.

- Nie zostanę tu na dłużej, więc nie ma sensu. - Meg zignorowała ból, który ścisnął jej serce. - Poza tym, nie jestem wystarczająco zamożna, żeby grywać w golfa.

- Po prostu zamachnij się tym cholernym kijem i uderz.

Meg zamachnęła się i nie trafiła. Spróbowała jeszcze raz i znów chybiła.

Jednak po kilku kolejnych próbach, jakoś udało się posłać piłkę idealnym łukiem na sam środek treningowego pola. Wrzasnęła z radości.

- Łut szczęścia, ale właśnie dzięki temu golf tak wciąga. - Torie podała jej kij, udzieliła kilku wskazówek i kazała brać się do roboty.

Przez następne pół godziny Meg stosowała się do otrzymanych instrukcji, a ponieważ po rodzicach odziedziczyła sprawność fizyczną, zaczęła trafiać w piłkę.

- Mogłabyś być dobra, gdybyś ćwiczyła - pochwaliła Torie. - Pracownicy grają za darmo w poniedziałki. Odbieraj wtedy wolne. W szatni z torbami mam zapasowy komplet kijów, który możesz pożyczyć.

- Dzięki za propozycję, ale naprawdę nie chcę.

- Och, chcesz, chcesz.

Miała rację. Meg obserwowała grę tak wielu osób, że w końcu pobudziło to jej ciekawość.

- Dlaczego to robisz? - zapytała, niosąc torbę Torie do klubu.

- Bo jesteś jedyną kobietą, oprócz mnie, która powiedziała Tedowi prawdę o jego tanecznych zdolnościach.

- Nie rozumiem.

- Na pewno rozumiesz. Miałam też okazję zauważyć, że Ted dziwnie przycichł, kiedy gadając z nim ostatnio przez telefon, wymieniałam twoje imię. Nie wiem, czy macie przed sobą przyszłość - oczywiście, o ile nie będzie musiał poślubić Sunny - ale nie zamierzam ryzykować.

Cokolwiek by to znaczyło. Tak czy inaczej Meg przyłapała się na tym, że dodaje Torie O'Connor do listy wszystkiego, czego jej będzie brakować, kiedy wreszcie wyjedzie z Wynette. Zsunęła z ramienia torbę.

- Pomijając Sunny, jakim cudem Ted i ja moglibyśmy mieć wspólną przyszłość? On jest wybrańcem bogów, a ja miejscowym czarnym charakterem.

- Wiem - odparła Torie pogodnie.

Tego wieczoru, kiedy Meg za pomocą gumowego węża zmywała całodzienny kurz ze swego wózka, podszedł kierownik cateringu i oznajmił, że jedna z członkiń klubu życzy sobie wynająć ją na następny dzień do obsługi prywatnego lunchu dla pań. Kilku mieszkańców Wynette - ci, którzy mogli sobie na to pozwolić - zwyczajowo wynajmowało personel klubu do pomocy przy prywatnych przyjęciach, ale dotychczas nikt nie prosił o nią. Każdy dodatkowy przypływ gotówki był mile widziany, żeby zrekompensować wydatki na zakup materiałów do biżuterii, więc odpowiedziała:

- Oczywiście.

- Przed wyjściem zajrzyj do biura po białą, kelnerską koszulę. Włóż do niej czarną spódnicę.

Spośród całej jej garderoby najbardziej zbliżała się do tych wymagań biało-czarna mini Miu Miu ze sklepu z używanymi rzeczami. I musiała wystarczyć.

Kierownik cateringu wręczył Meg złożoną kartkę z zestawem informacji.

- Szefem kuchni jest Duncan. Ty będziesz pracować z Haley Kittle. Ona cię we wszystko wprowadzi. Bądź tam o dziesiątej. To ważne zlecenie, więc spisz się dobrze.

Dopiero późnym wieczorem, po powrocie ze swego pływackiego zakątka, Meg zajrzała do wskazówek, które przekazał jej kierownik. Było w nich coś znajomego. Jej spojrzenie pomknęło na sam dół formularza, gdzie widniało nazwisko zleceniodawczyni:

Francesca Beaudine

Zmięta papier w dłoni. Jaką grę prowadziła ta kobieta? Naprawdę myślała, że ona podejmie się tej pracy? Pomijając fakt, że właśnie się podjęła.

Przez długą chwilę Meg krążyła po kuchni, szarpiąc T-shirt z logo Happy Printing i przeklinając Francescę. Przeklinając samą siebie za to, że nie przeczytała informacji wcześniej, kiedy jeszcze mogła całą sprawę odwołać. Ale czy naprawdę by odwołała? Pewnie nie. Nie pozwoliłaby jej na to głupia duma.

Pokusa, by sięgnąć po komórkę i zadzwonić do Teda, wydawała się prawie nie do odparcia. Zamiast tego, Meg przygotowała kanapkę i zabrała ze sobą na cmentarz, ale okazało się, że straciła apetyt. Trudno było uznać za zbieg okoliczności, że ten podstępny atak Francesca przypuściła pod nieobecność syna. Meg miała zrozumieć, gdzie jest jej miejsce. Zapewne nie stanowiło wielkiej różnicy, czy przyjęła zlecenie, czy nie. Matka Teda chciała coś przez to powiedzieć. Ze Meg to outsiderka bez grosza przy duszy, zmuszona pracować za skromną godzinową stawkę. Outsiderka, która w jej domu może pełnić tylko rolę służącej.

Meg cisnęła kanapkę w chwasty. Pieprzyć to.

Następnego ranka pojawiła się w posiadłości Beaudine'ów trochę przed dziesiątą. Do służbowej białej bluzki i spódniczki Miu Miu założyła swoje fantastyczne, różowe platformy. Nie były to buty zbyt wygodne, ale najlepszą obronę przed Francescą stanowiła ostra ofensywa, a te sandaalki sygnalizowały, że Meg nie ma intencji kryć się po kątach. Zamierzała trzymać głowę wysoko, uśmiechać się aż do bólu policzków i wykonywać swoją pracę tak dobrze, żeby zakłócić zadowolenie pani domu.

Czerwonym fordem focusem nadjechała Haley. Kiedy razem szły w stronę domu była dziwnie milcząca i tak blada, że Meg się zaniepokoiła.

- Dobrze się czujesz?

- Mam... bolesną miesiączkę.

- Możesz poprosić, żeby cię ktoś zastąpił?

- Próbowałam, ale nie mieli nikogo.

Kuchnia Beaudine'ów była jednocześnie luksusowa i przytulna. Miała słoneczne, szafranowe ściany, terakotową podłogę i artystyczną mozaikę z kobaltowoniebieskich kafelków. Pośrodku wisiał olbrzymi kuty żyrandol dźwigający kolorowe szklane klosze. Na otwartych półkach wystawione były miedziane garnki i ręcznie robiona ceramika.

Duncan wypakowywał właśnie jedzenie, które przygotował na dzisiejszą imprezę. Był to niski mężczyzna tuż po czterdziestce z wielkim nosem i siwiejącą czupryną sztywnych kasztanowych włosów, które sterczały mu spod kucharskiej czapki. Gniewnie zmarszczył brwi, kiedy Haley zniknęła w łazience i warknął na Meg, żeby brała się do roboty.

W czasie gdy szykowała szklane naczynia i zaczynała rozkładać potrawy na półmiskach, szczegółowo przedstawił jej menu: na przystawkę małe ciasteczka francuskie z roztopionym serem brie i pomarańczową marmoladą, dalej zupa-krem z zielonego groszku podawana w filiżankach do kawy (jeszcze trzeba je umyć), przyprawiona koprem sałatka, ciepłe precele i główne danie - szparagowe frittaty i wędzony łosoś (w kuchni nakładany na talerze). Clue programu stanowił deser: czekoladowy suflet w miseczkach, nad którego przepisem szef kuchni pracował przez całe lato, żeby doprowadzić go do perfekcji. Miseczki z sufletami muszą, muszą, po prostu muszą być podawane natychmiast po wyjęciu z piekarnika i stawiane delikatnie, delikatnie, delikatnie przed każdą z pań.

Meg kiwnęła głową na znak, że przyjmuje instrukcje do wiadomości i udała się do jadalni, niosąc masywne, zielone pucharki na wodę. W

stojących po kątach stylizowanych na antyk urnach rosły palmy i drzewka cytrynowe. Cienki strumyk wody ciurkał z kamiennej fontanny wmurowanej w pokrytą kaflami ścianę. Oprócz długiego drewnianego, sztucznie postarzonego stołu, który umieszczony był tam na stałe, w pokoju znajdowały się jeszcze dwa stoły dodatkowe. Zamiast uroczy-tych obrusów z białego lnu Francesca wybrała ręcznie tkane podkładki pod talerze. Pośrodku każdego stołu stała miedziana taca z kompletem glinianych naczynek na oregano, majeranek, szalwię i tymianek oraz ceramicznym dzbanem wypełnionym złocistożółtymi kwiatami. Szerokie okna wychodziły na dziedziniec i cienistą pergolę, gdzie na drewnianej ławce leżała jakaś porzucona książka. Trudno było nie myśleć z sympatią o kobiecie, która dla podjęcia przyjaciół stworzyła tak piękną scenerię.

Jednak w tej sprawie Meg zamierzała dać z siebie wszystko.

Po powrocie do kuchni stwierdziła, że Haley jeszcze nie ma. Właśnie zaczęła myć kawowe filiżanki, kiedy tuk-tuk-tuk stukanie obcasów po kaflowej posadzce zaanonsowało nadejście pani domu.

- Dziękuję, że zechciał mi pan dzisiaj pomóc, Duncanie - powiedziała Francesca. - Mam nadzieję, że znalazł pan tu wszystko, co potrzeba.

Meg splukała filiżankę, odwróciła się od zlewu i obdarzyła panią Beaudine swoim najbardziej promiennym uśmiechem.

- Dzień dobry.

W przeciwieństwie do syna, Francesca nie nadawała się na pokerzystę i emocje, które przemknęły jej po twarzy, były łatwe do rozszyfrowania.

Najpierw ukazało się zaskoczenie. (Nie spodziewała się, że Meg przyjmie tę pracę). Potem konsternacja. (Właściwie czemu Meg się pojawiła?) Po nich niepokój. (Co goście sobie pomyślą?) Następnie wątpliwości. (Może trzeba było lepiej się zastanowić.) Dalej przygnębienie. (To był fatalny pomysł.) I na koniec... zdecydowanie.

- Meg, czy możemy porozmawiać w jadalni?

- Oczywiście.

Podążyła za stukotem obcasów. Matka Teda była tak drobna, że Meg mogłaby niemalże oprzeć na jej głowie podbródek, chociaż nie potrafiła sobie wyobrazić, że robi coś podobnego. Jak zwykle stylowo ubrana -

szmaragdowy top i biała bawełniana spódnica, ściągnięta paskiem w kolorze pawiego błękitu - Francesca zatrzymała się koło kamiennej fontanny i zaczęła obracać na palcu obrączkę.

- Obawiam się, że nastąpiła pomyłka. Z mojej strony. Jednak nie będę cię potrzebowała. Oczywiście, zapłacę ci za stracony czas. Zapewne masz napięty budżet, bo inaczej nie czułabyś potrzeby...

pojawienia się tu dzisiaj.

- Nie tak bardzo napięty jak dawniej - odparła wesoło Meg. - Moja biżuteria sprzedaje się o wiele lepiej, niż mogłam marzyć.

- Tak, słyszałam. - Pani Beaudine była wyraźnie wytrącona z równowagi i niemal równie wyraźnie zdeterminowana, żeby załatwić sprawę. -

Prawdę mówiąc, nie sądziłam, że przyjmiesz tę pracę.

- Czasami zadziwiam nawet samą siebie.

- Oczywiście, to moja wina. Mam skłonność do impulsywnych zachowań. To przysporzyło mi w życiu więcej kłopotów, niż możesz sobie wyobrazić.

Meg wiedziała wszystko o impulsywnych zachowaniach.

Francesca wyprostowała się na całą swoją nieszczególnie imponującą wysokość i powiedziała z zimną godnością:

- A teraz pozwól, że pójde po książeczkę czekową. Propozycja niewiarygodnie kusząca, ale Meg nie mogła sobie na nią pozwolić.

- Oczekuje pani dwudziestu osób, a Haley nie czuje się dobrze. Nie zostawię Duncana na lodzie.

- Jestem pewna, że jakoś sobie poradzimy. - Teraz pani Beaudine bawiła się diamentową bransoletką. - To zbyt niezręczna sytuacja. Nie chcę wprawiać moich gości w zakłopotanie. Ani ciebie, oczywiście.

- Jeśli pani goście są tacy, jak myślę, to będą zachwyceni. A co do mnie...

Spędziłam w Wynette dwa i pół miesiąca, więc trzeba o wiele więcej, żeby wprawić mnie w zakłopotanie.

- Doprawdy, Meg... Jedną rzeczą jest pracować w klubie, a zupełnie inną tutaj. Wiem, że...

- Przepraszam, ale muszę dokończyć mycie filiżanek. - Kiedy Meg wracała do kuchni, różowe platformy wykonały swoje własne, pełne satysfakcji tuk-tuk--tuk.

Haley wreszcie opuściła łazienkę, ale kiedy stanęła przy kuchennym kontuarze, nie wyglądała ani trochę lepiej niż poprzednio, a Duncan był

coraz bardziej znekany. Meg odebrała dziewczynie butelkę brzoskwiniowego nektaru i kierując się wskazówkami szefa, wlała małą porcję na dno każdego z podłużnych kieliszków.

Dodała szampana, wsunęła po plasterku świeżego owocu i podała tacę Haley, żeby zaniosiła drinki

gościom, licząc na to, że wszystko będzie dobrze. Sama wzięła tacę pełną ciepłych ciasteczek francuskich, które szef kuchni wyciągnął właśnie z piekarnika, zgarnęła stosik serwetek i podążyła za dziewczyną.

Haley zajęła miejsce przy drzwiach, dzięki czemu nie musiała krążyć po całym pokoju. Zaproszone panie przybywały punktualnie. Miały na sobie lny i bawełny o jasnych, wesołych kolorach. Ich kreacje były bardziej wytworne niż to, co z takiej okazji założyłyby na siebie Kalifornijki, ale w Teksasie niestosowny strój uchodził za grzech śmiertelny nawet wśród młodzieży.

Meg zauważyła kilka golfistek z klubu. Nieznana jej kobieta, jedyna w tym gronie ubrana całkowicie na czarno, właśnie mówiła coś do Torie, której kieliszek zastygł w pół drogi do warg, kiedy ujrzała Meg zbliżającą się z tacą przekąsek.

- Co ty, do diabła, tutaj robisz? Meg udała, że dyga.

- Mam na imię Meg i dzisiaj będę panią obsługiwać.

- Dlaczego?

- A dlaczego nie?

- Bo... - Torie machnęła ręką. - Nie wiem, dlaczego nie. Ale wiem, że to nie w porządku.

- Pani Beaudine potrzebowała kogoś do pomocy, a ja miałam wolny dzień.

Torie zmarszczyła brwi, po czym odwróciła się do stojącej obok szczupłej kobiety z kruczoczarłą fryzurą na pazia i okularami w czerwonych plastikowych oprawkach, po czym kompletnie ignorując fakt, że właśnie narusza towarzyski protokół, przedstawiła jej Meg.

- Liso, to jest Meg. Lisa jest agentką Franceski. A Meg jest...

- Bardzo polecam francuskie ciasteczka. - Nie miała pewności, czy faktycznie zostanie zdekonspirowana jako córka wielkiej Fleur Savagar Korandy, super-gwiazdy wśród agentów, ale znając Torie lepiej było nie ryzykować. - I koniecznie trzeba zostawić sobie miejsce na deser. Nie chcę psuć niespodzianki, opowiadając, co to będzie, ale nie zawiodą się panie.

- Meg? - pojawiła się Emma, ściągając cienkie brwi. Przy płatkach uszu kołysały się kolczyki, które Meg zrobiła z kolorowych dziewiętnastowiecznych paciorków z karneolu. - O Boże...

- Lady Emmo. - Meg podsunęła jej tacę.

- Po prostu Emmo. Och, nieważne. Nie wiem, dlaczego w ogóle się tym przejmuję.

- Też nie wiem - odparła Torie. - Liso, jestem pewna, że Francesca opowiadała ci o naszej tutejszej członkini brytyjskiej rodziny królewskiej, ale nie wydaje mi się, żebyście się wcześniej spotkały. To moja bratowa, lady Emma Wells-Finch Traveler.

Emma westchnęła i wyciągnęła rękę. Korzystając z okazji, Meg dyskretnie się usunęła i pod czujnym, niespokojnym spojrzeniem Franceski ruszyła obsłużyć lokalną mafię.

Birdie, Kayla, Zoey i Shelby Traveler zgromadziły się przy jednym z okien. Kiedy podeszła bliżej, usłyszała, jak Birdie mówi:

- Zeszłej nocy Haley znowu była z tym Kyle'em Bascomem. Przysięgam, że jeśli zajdzie w ciążę...

Meg przypomniała sobie dzisiejszy ranek i pomodliła się w duchu, żeby to już się nie stało. Pierwsza dostrzegła ją Kayla. Szturchnęła Zoey tak mocno, że ochlapała jej rękę szampanem. Wszystkie cztery kobiety przyjrzały się uważnie spódnicy Meg, po czym Shelby rzuciła Kayli pytające spojrzenie. Meg podała im stertę serwetek.

Zoey machinalnie bawiła się naszyjnikiem, który wyglądał, jakby był

zrobiony z pociągniętych bezbarwnym lakierem płatków śniadaniowych Froot Loops.

- Jestem zdumiona, że musisz jeszcze obsługiwać imprezy - stwierdziła. -

Kayla mówi, że twoja biżuteria świetnie się sprzedaje.

Kayla przeczesła palcami włosy.

- Wcale nie tak świetnie. Dwa razy obniżałam cenę naszyjnika z małpką i nadal nie mogę się go pozbyć.

- Mówiłam ci, że go przerobię. - Meg musiała przyznać, że nie była to jej najlepsza praca. Ale prawie wszystko pozostałe, które oddała w komis, Kayla szybko sprzedała.

Skubiąc kosmyk sterczących, ciemnoczerwonych włosów, Birdie wyniośle przyglądała się Meg.

- Gdybym zamierzała wynająć catering, uściśliłabym, kogo sobie życzę do obsługi. Francesca jest w takich sprawach zbyt niedbała.

Zoey rozejrzała się dookoła.

- Mam nadzieję, że Sunny jeszcze nie wróciła. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby Francesca ją dzisiaj zaprosiła. Nikt z nas nie potrzebuje tego rodzaju stresów. A już na pewno nie ja. Zwłaszcza kiedy za parę tygodni zaczyna się rok szkolny, a mnie została jedna przedszkolanka.

Shelby Traveler zwróciła się do Kayli:

- Uwielbiam małpki. Kupię ten naszyjnik. Torie niepostrzeżenie wślizgnęła się do kółka.

- Od kiedy to uwielbiasz małpki? Tuż przed dziesiątymi urodzinami Peteya słyszałam, jak mu klarowałaś, że to obrzydliwe małe bestie.



- Bo mało brakowało, a namówiłby Kenny'ego, żeby mu kupił małąkę na urodziny.

Torie pokiwała głową.

- Fakt, mógłby to zrobić. Kocha Peteya tak bardzo, jak własne dzieci.

Kayla potrząsnęła włosami.

- Tamta francuska dziewczyna Teda, modelka, zawsze mi się wydawało, że wygląda trochę jak małąka. Miała coś takiego z zębami.

Szalone Kobiety z Wynette wystartowały i popłynęły. Meg wycofała się niezauważona.

Kiedy wróciła do kuchni, Haley nigdzie w pobliżu nie było, a szef kipiał

ze złości, usiłując nie nadepnąć na potłuczone kieliszki do szampana.

- Ona była dziś całkiem do niczego! Odesłałem ją do domu. Zostaw te pieprzone skorupy i zacznij rozkładać sałatkę.

Meg robiła co w jej mocy, żeby nadążyć za jego szybkostrzelnymi rozkazami. Biegała po kuchni, omijając potłuczone szkło i przeklinając swoje różowe platformy, ale kiedy wróciła do salonu z nową tacą drinków, umyślnie zwolniła kroku, jakby miała w zapasie całą wieczność.

Może i nie miała doświadczenia jako kelnerka, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć.

Po powrocie do kuchni wydobyła trzy małe dzbanuszki na sosy sałatkowe, podczas gdy Duncan miotał się koło piekarnika, sprawdzając frittaty.

- Chcę, żeby trafiły na stół gorące.

Przeleciała następna godzina. Meg uwijała się za dwie osoby, a szef kuchni drżał o swoje czekoladowe suflety. Wyglądało na to, że Torie i Emma postanowiły wciągać ją do rozmów, ilekroć pojawiała się w jadalni, zupełnie jakby była jednym z gości. Meg była im wdzięczna, ale wolałaby, żeby dały jej się skoncentrować na pracy. Kayla odsunęła na bok wszelkie animozje na wystarczająco długo, żeby zamówić kolejny naszyjnik i kolczyki z prekolumbijskich kamiennych koral-

ków dla przyjaciółki, która prowadzi sklep w Austin. Nawet agentka Franceski chciała pogawędzić z Meg -i to nie o jej rodzicach (najwyraźniej nikt nie puścił farby) - ale o frittacie i czy zauważyła domieszkę curry.

- Ma pani zdumiewający zmysł smaku - odparła Meg. - Szef dodał

dosłownie krztynę. Wprost nie do wiary, że pani to wychwytiła.

Francesca musiała się zorientować, że Meg nie ma pojęcia, czy frittata zawiera curry, czy nie, bo

szybko odwróciła uwagę Lisy.

Podając do stołu, Meg chwyciła urywki rozmów. Goście chcieli wiedzieć, kiedy pojawi się Ted i co zamierza zrobić z różnymi lokalnymi problemami, poczynając od czyjegoś hałaśliwego koguta, a na powrocie Skipjacków kończąc. Podczas gdy nalewała Birdie kolejną szklanę mrożonej herbaty, Torie karciała Zoey za naszyjnik z kółeczek Froot Loops.

- Nie mogłabyś założyć choć raz normalnej biżuterii?

- Myślisz, że lubię chodzić obwieszona połową artykułów ze spożywczego? - szepnęła Zoey, chwytając z koszyka bułkę i rozrywając ją na pół. - Ale matka Huntera Graya siedzi przy sąsiednim stole. Będzie mi potrzebna do organizacji tegorocznego kiermaszu książki.

Torie podniosła wzrok na Meg.

- Na miejscu Zoey ustanowiłabym wyraźniejsze granice pomiędzy pracą i życiem osobistym.

- Teraz tak mówisz - odcięła się Zoey - ale przypomnij sobie, jaka byłeś przejęta, kiedy nosiłam tamte kolczyki z makaronu, które zrobiła dla mnie Sophie.

- To co innego. Moja córka ma zmysł artystyczny.

- Oczywiście. - Zoey uśmiechnęła się ironicznie. - A ty jeszcze tego samego dnia zrobiłaś dla mnie tablicę ze szkolnym drzewem kontaktów telefonicznych.

Jakimś cudem Meg udało się sprzątnąć ze stołu, nie wywalając nikomu resztek jedzenia na kolana. Golfistki zapytały, czy nie ma przypadkiem mrożonej herbaty Arizona. W kuchni Duncan z twarzą świecąca od potu wyciągał z piekarnika idealnie wyrosnięte czekoladowe suflety.

- Szybciej! Zanieś je na stół, zanim opadną. Delikatnie! Pamiętaj, co ci mówiłem.

Meg zataszczyła ciężką tacę do jadalni. Podawanie sufletów było zajęciem dla dwóch osób, ale oparła krawędź tacy na biodrze i uwolniwszy w ten sposób jedną rękę, sięgnęła po pierwszą miseczkę.

- Ted! - wykrzyknęła Torie. - Hej, patrzcie, kto się pojawił!

Serce skoczyło Meg do gardła. Gwałtownie uniosła głowę i widząc Teda stojącego we framudze drzwi, potknęła się na swoich wysokich platformach. W przeciągu kilku sekund suflety zaczęły się przesuwać... A jedyne, o czym ona mogła myśleć, to dziecięcy wózek.

Kiedy jeszcze była mała, tata zwrócił jej uwagę na ten fenomen. Jeśli na filmie pojawia się dziecięcy wózek, jest pewne, że w tę stronę zmierza już rozpędzony samochód. To samo dotyczy wózka kwiaciarza, weselnego tortu albo szyby okiennej, którą dwóch facetów manewruje na ulicy.

Usiądź wygodnie, dzieciaku, i trzymaj się mocno, bo zaraz ci się przydarzy samochodowy pościg.

I tak właśnie było z czekoladowymi sufletami.

Taca ledwie opierała się na biodrze. Meg straciła równowagę. Suflety już prawie się ześlizgnęły. Rozpędzony samochód mknął w jej stronę.

Ale życie to nie kino, a ona prędzej zjadłaby tłuczone szkło z kuchennej podłogi, niżby pozwoliła tym białym miseczkom zlecieć. Chwiejąc się, przesunęła ciężar

ciała, zmieniła pozycję biodra i skupia każdą uncję siły woli na odzyskiwaniu równowagi.

Miseczki powróciły na swoje miejsca. Francesca podniosła się zza stołu.

- Teddy, kochanie, akurat zdążyłeś na deser. Chodź i przyłącz się do nas.

Meg uniosła podbródek. Mężczyzna, który był dla niej wszystkim, wpatrywał się w nią. Te tygrysie oczy zachodzące dymem, kiedy się kochali, były teraz czyste, surowe i przenikliwe. Ich spojrzenie przesunęło się na tacę w jej rękach. Potem znowu na nią. Meg spuściła wzrok. Suflety zaczęły opadać. Jeden po drugim. Pff... pff... pff...

## *Rozdział 16*

WITAM PANIE. - Z białego kelnerskiego fartuszka Meg spojrzenie Teda błyskawicznie przeniosło się na twarz matki. Francesca nagle rzuciła się w wir działania.

- Znajdź sobie krzesło, kochany. Wciśnij się koło Shelby. - Jej mała dłoń sfrunęła z włosów na bransoletki, z bransoletek na serwetkę, jak rajski ptak szukający bezpiecznego miejsca, żeby wylądować. - Szczęśliwie, mój syn świetnie sobie radzi w damskim towarzystwie.

Torie parsknęła.

- Komu to mówisz? Umawiał się na randki z połową obecnych w tym pokoju.

Ted wykonał lekki ukłon w kierunku gromady kobiet.

- I cieszyłem się każdą chwilą.

- Nie każdą - wtrąciła się Zoey. - Pamiętasz, jak Bennie Hanks zapchał

wszystkie toalety przed koncertem chóru piątej klasy? Tamtego wieczoru nie zdołaliśmy dotrzeć na obiad.

- Za to miałem szansę ujrzeć młodą pedagog w akcji - odparł szarmancko

- a Bennie dostał cenną lekcję.

Przelotna tęsknota złagodziła jej rysy, Zoey oddała się wspomnieniom.

Jednak trzeba przyznać, szybko się otrząsnęła.

- Bennie jest teraz na obozie kosmicznym w Huntsville. Miejmy nadzieję, że tam lepiej pilnują toalet.

Ted pokiwał głową, ale uwagę skupił znowu na matce. Oczy miał surowe, usta się nie uśmiechały. Francesca gwałtownie sięgnęła po szklanekę.

Wodząc pomiędzy nimi niespokojnym spojrzeniem, wkroczyła do akcji Emma.

- Miałaś udaną podróż, Ted?

- Tak. - Powoli oderwał wzrok od matki i popatrzył na Meg, która udawała, że tego nie dostrzega i z taką werwą podawała suflety, jakby gigantyczne kratery pośrodku każdego z nich były zamierzonym efektem kulinarnym.

Ted podszedł do niej. Jego zaciśnięte usta tworzyły upartą linię.

- Pozwól, że ci pomogę.

Żółte ostrzegawcze światła rozblęły w jej głowie.

- Nie ma potrzeby. - Z trudem przełknęła ślinę. -

Sir.

Oczy zmieniły mu się w wąskie szparki. Meg wzięła z tacy następną miseczkę. Francesca i Emma wiedziały, że byli z Tedem kochankami. I wiedział o tym tajemniczy podglądacz, niewykluczone że ta sama osoba, która wtargnęła do kościółka. Czy była tu teraz? W tym pokoju?

Przyglądała się im? Ta możliwość wyjaśniała zaledwie część ogarniających Meg złych przeczuć.

Ted odebrał jej kokilki i zaczął obsługiwać gości ze swobodnym uśmiechem i stosownie dobranymi kom-

plementami. Chyba tylko Meg zauważyła napięcie czające się w kącikach jego ust.

Francesca zabawiała towarzystwo wesołą rozmową, zachowując się tak, jakby jej syn zawsze pomagał służbie. Kiedy Shelby obwieściła, że stawka aukcji *Wygraj Weekend z Tedem Beaudine'em* sięgnęła już jedenastu tysięcy dolarów, Tedowi pociemniały oczy.

- Dzięki rozgłosowi, który udało nam się zyskać, ze wszystkich stron napływają oferty.

Kayla nie wyglądała na tak zadowoloną z tych wieści jak pozostałe panie, co sugerowało, że tatko odciął jej dopływ pieniędzy na licytację.

Jedna z golfistek pomachała, żeby zwrócić na siebie uwagę Teda.

- Czy to prawda, że do Wynette ma przyjechać ekipa *Kawalera do wzięcia*, żeby nakręcić materiał na tło?

- Nieprawda - oznajmiła Torie. - On nie był w stanie zdać ich testu na głupotę.

W końcu taca była pusta i Meg spróbowała dyskretnie zniknąć, ale kiedy pospieszyła do kuchni, Ted zrobił to samo.

Na jego widok szef rozpląnął się w uśmiechach.

- Witam, panie Beaudine. Miło pana widzieć. - Porzucił dzbanki, które właśnie napełnił kawą. - Słyszałem, że pan wyjeżdżał.

- Właśnie wróciłem. - Jego wrodzony dobry humor ulotnił się, kiedy Ted wlepił uważne spojrzenie w Meg. - Co ty tu robisz, obsługując gości na przyjęciu mojej matki?

- Pomagam - odparła - a ty mi stoisz na drodze. - Złapała dodatkową porcję deseru i podetknęła mu. - Siadaj i jedz.

- Nie możesz mu go dawać. Już opadł - protestował Duncan, miotając się wokół kuchennej wyspy.

Na swoje szczęście, nie wiedział, że dwadzieścia pozostałych sufletów spotkał podobny los.

- Ted nawet nie zauważy. On jada krem Marshmallow Fluff prosto ze słoika. - Naprawdę to ona tak robiła, ale życie w Wynette nauczyło ją, jak cenna jest sztuka kręactwa.

Z ponuro zaciśniętymi ustami Ted odstawił na kontuar miseczkę.

- Moja matka cię w to wrobiła, prawda?

- Wrobiła mnie? Twoja matka? - Meg rzuciła się do dzbanków z kawą, ale nie była wystarczająco szybka i Ted porwał je sprzed jej nosa. - Oddaj -

rozkazała. - Nie potrzebuję twojej pomocy. Jedyne czego potrzebuję, to żebyś zszedł mi z drogi i przestał przeszkadzać w pracy.

- Meg! - Z natury rumiana twarz szefa nabrała odcienia purpury. - Bardzo przepraszam, panie Beaudine. Meg nigdy dotąd nie pracowała jako kelnerka. Musi jeszcze wiele się nauczyć, jeśli chodzi o maniery.

- Coś o tym wiem. - Ted z dzbankami kawy zniknął za drzwiami.

Najwyraźniej chciał wszystko skomplikować. Meg nie wiedziała jak. Ale była pewna, że zamierzał zrobić coś okropnego i musiała go powstrzymać. Pochwyciła dzbanek z mrożoną herbatą i wybiegła za Tedem.

Tymczasem on już zaczął nalewać do filiżanek kawę, nie pytając, czego która z pań sobie życzy.

Jednak żadna z wielbicielek herbaty nie protestowała. Wszystkie były zbyt zajęte przymilaniem się. I nawet nie spojrział w stronę matki. Na zwykle gładkim czole Franceski pojawiły się dwie bliźniacze bruzdy.

Meg ruszyła w drugi koniec pokoju i zaczęła ponownie napełniać szklanki. Kobieta, nazwana przez Zoey matką Huntera Graya, skinęła ręką w jej kierunku.

- Torie, to wygląda jak twoja spódnica. Ta, którą założyłaś, kiedy wszystkie pojechałyśmy na Weekend Wampirów do Austin.

Ted przerwał rozmowę z agentką Franceski. Torie z leniwą miną bogatej dziewczyny zerknęła na spódnicę Miu Miu.

- W dzisiejszych czasach wszystko skopiują. Bez obrazy, Meg, to dość przyzwoita podróbka.

Ale to nie była podróbka i Meg nagle zrozumiała dziwne spojrzenia, którymi ją obrzucano, kiedy tylko miała na sobie coś nabytego w lokalnym sklepie z używanymi rzeczami. Przez cały czas nosiła ubrania po Torie O'Connor, tak łatwo rozpoznawalne, że nikt w miasteczku by ich nie kupił. I wszyscy brali udział w tym żarcie. Nawet Ted.

Birdie spojrzała na nią, bardzo z siebie zadowolona.

- Każda z nas ma zbyt wiele dumy, żeby chodzić w starych ciuchach Torie.

- Nie wspominając już o tym, że żadna nie ma odpowiedniej figury -

dodała szczerze Zoey.

Kayla roztrzepała palcami włosy.

- Sto razy mówiłam Torie, że zarobiłaby o wiele więcej, gdyby posłała swoje rzeczy do komisju w Austin, ale ona twierdzi, że to zbyt kłopotliwe.

Dopóki nie pojawiła się Meg, mogłam sprzedawać stroje Torie tylko zamiejscowym.

Te uwagi byłyby jeszcze bardziej bolesne, gdyby nie jedno. Wszystkie kobiety, nawet Birdie, na tyle ściszały głos, że tylko Meg je słyszała.

Jednak nie miała czasu zastanawiać się, dlaczego tak postępują, bo Ted odstawił oba dzbanki z kawą i ruszył w jej stronę.

Chociaż jego swobodny uśmiech był solidnie przyklejony do warg, zdeterminowany wyraz oczu opowiadał o wiele groźniejszą historię.

Zderzenie z rozpędzonym

samochodem było coraz bliżej, a ona nie potrafiła nic wymyślić, żeby uniknąć katastrofy.

Ted zatrzymał się przed nią, wyjął jej z ręki dzbanek i podał go Torie.

Meg spróbowała się cofnąć, ale natychmiast poczuła, jak jego palce oplatają jej kark, nie pozwalając ruszyć się z miejsca.

- Kochanie, może byś poszła do kuchni pomóc szefowi. A ja sprzątnę ze stołu.

Kochanie?

Silnik wył, opony piszczały, hamulce dymiły. Rozpędzony samochód uderzył w dziecięcy wózek. Właśnie tam, na oczach największych plotkar z Wynette w stanie Teksas Ted Beaudine pochylił głowę, przycisnął

swoje legendarne wargi do jej ust i ogłosił całemu światu, że koniec z ukrywaniem się. Meg Koranda był nową kobietą jego życia.

Kayla, rozwścieczona, poderwała się z krzesła. Shelby jęknęła. Birdie przewróciła szklankę z mrożoną herbatą. Emma ukryła twarz w dłoniach, a Zoey, z miną oszołomionej drugoklasistki, krzyknęła:

- Myślałam, że ona udaje, żeby się uwolnić od Spencer.

- Ted i Meg? - zawołała matka Huntera Graya. Francesca osunęła się na oparcie krzesła.

- Teddy... Coś ty narobił?

Z ewentualnym wyjątkiem jej agentki, wszystkie zgromadzone w jadalni kobiety pojmowały znaczenie tego, co się właśnie wydarzyło. Kayla ujrzała, że elegancki butik wyślizguje jej się z rąk. Birdie patrzyła, jak -

niczym dym - rozwiewa się obraz nowej herbaciarnio-księgarni. Zoey opłakiwała poprawę szkolnych warunków, która nigdy nie miała nastąpić. Shelby i Torie wyobraziły sobie kolejne bezsenne noce swoich mężów, dręczonych poczuciem winy. Francesca oczyma duszy widziała, jak jej jedyny syn wpada w łapczywe objęcia bezwartościowej intrygantki.

A Meg chciało się krzyczeć z czystego, radosnego uczucia szczęścia, że zrobił dla niej coś tak kolosalnie głupiego.

Ted pieszczotliwie musnął knykciami palców jej policzek.

- No idź, kochanie. Mama jest ci wdzięczna, że zechciałaś jej z tym wszystkim pomóc, ale resztą zajmę się już ja.

- Tak, Meg - powiedziała cicho Francesca. - Teraz już sobie poradzimy.

Była dla niego ważniejsza niż to miasto. Serce Meg wezbrało szaleńczym upojeniem, od którego zakręciło jej się w głowie, ale kobieta, jaką się stała, nie mogła cieszyć się tą chwilą długo.

Wbijając paznokcie w dłoń, odwróciła się do gości Franceski.

- Przykro... przykro mi... że były panie zmuszone na to patrzeć. -

Odchrząknęła. - On jest... hm, przeżywał ostatnio trudny okres. Staram się być życzliwa, ale... -  
Wzięła drżący, płytki oddech. - On nie potrafi zaakceptować faktu, że ja... po prostu nie jestem nim zainteresowana.

Ted zabrał resztkę sufletu Torie, skosztował i słuchał cierpliwie, jak Meg robi, co może, żeby postąpić dobrze i wydobyć go z kłopotów, które ściągnął sobie na głowę.

- To moja wina, nie twoja - odwróciła się do niego, nakazując spojrzeniem, żeby jej przytaknął. -  
Wszyscy uważają, że jesteś fantastyczny, więc to ze mną musi być coś nie tak, prawda? Najwyraźniej nikt poza mną nie dostrzega, że jesteś troszkę... przerażający.

Uniósł jedną brew.

Francesca nadęła się z oburzenia.

- Czy ty właśnie nazwałaś mego syna przerażającym?

Ted nabrał na łyżeczkę kolejną porcję sufletu, ciekaw, co jeszcze Meg wymyśli. Wcale nie zamierzał jej pomóc. Miała ochotę go pocałować, miała ochotę na niego nawrzeszczyć. Ale zamiast tego zwróciła się znowu do zebranych pań.

- Bądźmy szczerze. - W miarę jak rosło w niej poczucie słuszności, jej głos nabierał siły. - Wszystkie wiecie, co mam na myśli. Te ptaki, które zaczynają śpiewać, kiedy on wychodzi na dwór. To chyba może przyprawiać o gęsią skórkę? Albo te aureole, które ciągle pojawiają mu się wokół głowy?

Żadna z kobiet się nie poruszyła. Żadna nie odezwała się słowem.

Meg zaschło w ustach, ale brnęła dalej.

- A co powiecie na stygmaty?

- Stygmaty? - zdziwiła się Torie. - To coś nowego.

- Wypadek z niezmywalnym pisakiem. - Ted spałaszował ostatnią łyżkę czekolady i odstawił miseczkę na stół. - Meg, skarbie - i mówię to tylko dlatego, że tak bardzo mi na tobie zależy - zachowujesz się trochę obłąkańczo. Mam nadzieję, że nie jesteś w ciąży.

Dobiegający z kuchni szczeł naczyń osłabił jej determinację. Ted był

mistrzem opanowania i luzu, a ona tylko kiepskim naśladowcą. Nigdy nie zdołałaby go pokonać na jego własnym podwórku. To jego miasto, jego problem do rozwiązania. Chwyciła dzbanek z mrożoną herbatą i pospieszyła do drzwi.



- Widzimy się wieczorem - zawołał za nią. - O tej samej porze co zawsze.

I załóż tę sukienkę Torie. Na tobie wygląda o niebo lepiej niż kiedykolwiek wyglądała na niej. Przykro mi, Torie, ale wiesz, że to prawda.

Wymykając się na korytarz, usłyszała jeszcze płaczliwy głos Shelby:

- Ale co z licytacją? To nam rujnuje cały plan!

- Chrzanić licytację - odparła Torie. - Mamy większe problemy. Nasz burmistrz właśnie pokazał Sunny Skipjack środkowy palec i ofiarował

San Antone nowe centrum golfa.

Wykazując się zdrowym rozsądkiem, Ted nie wrócił do kuchni. Podczas gdy Meg pomagała w zmywaniu, jej myśli snuły się w najróżniejszych kierunkach. Słyszała, jak goście wychodzą, a wkrótce potem pojawiła się Francesca. Twarz miała bladą, stopy białe. Elegancki strój zamieniła na szorty i T-shirt. Podziękowała Dun-canowi, uregulowała z nim rachunki i wręczyła zapłatę Meg.

Na czeku figurowała kwota dwa razy większa, niż było obiecane.

- Pracowałaś za dwie osoby - powiedziała Francesca.

Meg skinęła głową i zwróciła go.

- Mój datek na fundusz biblioteczny. - Wytrzymała spojrzenie Franceski wystarczająco długo, by okazać odrobinę godności, po czym wzięła się znów do roboty.

Zbliżała się już pora obiadu, kiedy ostatnie naczynia zostały odstawione na miejsce i Meg mogła wreszcie wyjść, dźwigając resztki smakołyków, którymi szczerze obdarował ją szef kuchni. Przez całą drogę powrotną uśmiech nie schodził jej z ust. Przed drzwiami kościółka stała zaparkowana jasnoniebieska furgonetka. Mimo zmęczenia, jedyne, o czym Meg potrafiła teraz myśleć, było pragnienie, by jak najszybciej zerwać z Teda wszystko, co miał na sobie. Chwyciła wyładowaną jedzeniem torbę, wbiegła do środka. I gwałtownie zahamowała.

Kościółek został splądrowany. Poprzewracane meble, pocięte poduszki, rozrzucone ubrania... Futon kleił się od soku pomarańczowego i keczupu.

Przybory i materiały do wyrobu biżuterii wały się po całej podłodze -jej cenne koraliki, narzędzia, które właśnie kupiła, splątane kawałki drutu.

Pośrodku tego bałaganu stał Ted.

- Szeryf już jedzie.

Szeryf nie znalazł żadnych śladów włamania. Kiedy doszli do tematu kluczy, okazało się, że Ted zadzwonił już w sprawie wymiany zamków.

Ponieważ szeryf wysuwał teorię, jakoby sprawcą był jakiś włóczęga, Meg musiała opowiedzieć o napisie na łazienkowym lustrze.

Ted eksplodował.

- Dopiero teraz mi o tym mówisz? Co ty, do diabła, sobie myślałaś? Nie pozwoliłbym ci tu zostać nawet przez jeden dzień.

Tylko na niego popatrzyła. Odpowiedział jej gniewnym spojrzeniem -  
żadnej aureoli w zasięgu wzroku.

Szeryf z kamienną miną zapytał Meg, czy ktoś chowa do niej urazę.

Myślała, że z niej żartuje, dopóki nie uświadomiła sobie, że pracując dla hrabstwa, może nie być wprowadzony we wszystkie lokalne plotki.

- Meg ma na pieńku z kilkoma osobami - odparł za nią Ted - ale trudno mi uwierzyć, żeby którakolwiek z nich zrobiła coś podobnego.

Szeryf wyciągnął notatnik.

- Co to za osoby? Usiłowała wziąć się w garść.

- W zasadzie nikt, kto lubi Teda, nie przepada za mną.

- To strasznie dużo ludzi. - Szeryf pokręcił głową. - Mogę prosić o zawężenie tej grupy?

- Naprawdę nie ma wielkiego sensu rzucać przypadkowych nazwisk.

- Pani nikogo nie oskarża, tylko podaje mi listę osób, które żywią do pani urazę. Taka współpraca jest niezbędna, panno Koranda.

Rozumiała jego punkt widzenia, ale nie wydawało jej się to słuszne.

- Panno Koranda?

Starła się wykrzesać z siebie resztki energii.

- No cóż... - Właściwie nie wiedziała, od kogo zacząć. - Sunny Skipjack chce związać się z Tedem. - Powiodła wzrokiem po zrujnowanym wnętrzu i wzięła głęboki oddech. - Inne osoby to Birdie Kittle, Zoey Daniels, Shelby Traveler, Kayla Garvin, jej ojciec, Bruce. I może Emma Traveler, chociaż myślę, że ona się do

mnie przekonała.

- Żadna z tych osób nie posunęłaby się do demolowania - powiedział Ted.

- A jednak ktoś to zrobił - odparł szeryf, energicznie przewracając kartkę w notesie. - Proszę dalej, panno Koranda.

- Wszystkie dawne dziewczyny Teda, zwłaszcza po tym, co zaszło w czasie dzisiejszego lunchu. - To wymagało krótkiego wyjaśnienia.

Przedstawił je rozważnie Ted, dodając komentarz na temat tchórzostwa ludzi, którzy chcą się kryć, zamiast mówić bez ogródek o swoich związkach.

- Ktoś jeszcze? - Szeryf przewrócił kolejną kartkę w notesie.

- Skeet Cooper zauważył, jak wgniatam w ziemię piłkę Teda, żeby powstrzymać go przed pokonaniem

Spencera Skipjacka. Szkoda, że pan nie widział, jak Cooper na mnie spojrzał.

- Szkoda, że nie widziałaś, jak ja na ciebie spojrzałem - mruknął Ted z niesmakiem.

Meg skubała skórę przy paznokciu.

- I? - Szeryf pstryknął długopisem. Udawała, że wygląda przez okno.

- Francesca Beaudine.

- Ej, chwileczkę! - krzyknął Ted.

- Szeryf życzył sobie listę nazwisk - odparowała. -Więc podaję listę, nikogo nie oskarżam. - Odwróciła się do stróża prawa. - Widziałam panią Beaudine trochę ponad godzinę temu u nich w domu, więc w jej przypadku byłoby to bardzo trudne.

- Trudne, ale nie niemożliwe - oświadczył szeryf.

- Moja matka nie zdemolowała twego mieszkania.

- Nie wiem jak ojciec Teda - ciągnęła Meg. - Niełatwo go rozszyfrować.

Teraz dla odmiany szeryf nadał się z oburzenia.

- Wielki Dallas Beaudine nie jest wandalą.

- Zapewne ma pan rację. I myślę, że możemy bezpiecznie wyeliminować Cornelię Jorik. Byłej prezydent Stanów Zjednoczonych ciężko byłoby zjawić się ukradkiem w Wynette, tak żeby nikt jej nie zauważył.

- Mogła przysłać swoich siepaczy - wycedził Ted.

- Jeśli nie podoba ci się moja lista, zaproponuj inną. Znasz wszystkich podejrzanych o wiele lepiej

niż ja. Tak czy inaczej, ktoś zostawia mi jasną wiadomość, że mnie tu nie chcą.

Szeryf spojrział na Teda.

- Co o tym myślisz?

Ted przesunął dłonią po włosach.

- Nie mogę uwierzyć, żeby którakolwiek z tych osób zrobiła coś tak brzydkiego. A ludzie, z którymi pracujesz w klubie?

- To moje jedyne dobre kontakty. Szeryf zatrzasnął notes.

- Panno Koranda, nie powinna pani mieszkać tu sama. W każdym razie dopóki nie rozwiążemy sprawy.

- Wierz mi, nie będzie - powiedział Ted.

Szeryf obiecał porozumieć się z komendantem policji. Kiedy Ted wyszedł odprowadzić szeryfa do wozu patrolowego, w jej torebce rozdzwoniła się komórka. Zerknąwszy na wyświetlacz, Meg stwierdziła, że to matka, ostatnia osoba, z którą powinna była w tym momencie rozmawiać i ta, której głos najbardziej chciała usłyszeć.

Przeszła przez zdemolowaną kuchnię i wydostała się tylnymi drzwiami na dwór.

- Cześć, mamo.

- Cześć, skarbie. Jak tam praca?

- Świetnie. Naprawdę świetnie. - Opadła na stopień schodków. Cement trzymał jeszcze ciepło upalnego dnia. Czują je przez spódnicę po Torie O'Connor.

- Twój tata i ja jesteśmy z ciebie tacy dumni.

Jej matka nadal wyobrażała sobie, że Meg pracuje w klubie jako koordynatorka zajęć, co należało jak najszybciej sprostować.

- Szczerze mówiąc, to nic specjalnego.

- Hej, wiem lepiej niż ktokolwiek, jak się pracuje z osobami o rozbuchanym ego, a w klubie golfowym musisz ich mieć na pęczki. Co przypomina mi o przyczynie mojego telefonu. Mam wspaniałą wiadomość.

- Belinda umarła i zostawiła mi cały majątek.

- Chciałabyś. Nie, twoja babka będzie żyć wiecznie. Ona należy do nieumarłych. A wspaniała wiadomość jest taka, że... Przyjeżdżamy cię odwiedzić.

O Boże... Meg poderwała się ze schodków. Cała masa okropnych obrazów przemknęła jej przez głowę. Rozprute poduszki na kanapie...

Potłuczone szkło... Wózek z napojami... Twarze wszystkich, którzy żywią do niej niechęć.

- Stęskniliśmy się za tobą i chcemy cię zobaczyć -oznajmiła pani Koranda. - Chcemy poznać twoich nowych przyjaciół. Jesteśmy bardzo dumni z tego, jak zmieniłaś swoje życie.

- To... to wspaniale.

- Musimy trochę przepracować harmonogram, ale niedługo wszystko ustalimy. Króciutka wizyta. Dzień, dwa. Tęsknię za tobą.

- Ja za tobą też, mamó. - Miała wystarczająco dużo czasu, żeby posprzątać ten bałagan, ale to był tylko wierzchołek góry lodowej. Co z pracą? Oszacowała szanse na awans przed ich wizytą i doszła do wniosku, że prędzej Birdie zaprosi ją na piżamowe przyjęcie. Potem wzdrygnęła się na myśl o przedstawieniu rodzicom Teda. Bez trudu wyobraziła sobie, jak jej matka błaga go na kolanach, żeby nie mądrzał.

Wybrała najbardziej przystępny ze swoich problemów.

- Mamó, chodzi o to... Moja praca. To naprawdę nic imponującego.

- Meg, przestań się tak nisko oceniać. Nie potrafię zmienić faktu, że dorastałaś w rodzinie przesadnie ambitnych wariatów. Jesteśmy dziwaczni. A ty jesteś normalną, piękną kobietą, która pozwoliła się zepchnąć na boczny tor przez wszystkie te szaleństwa dookoła. Ale teraz to już za tobą. Zrobiłaś nowy początek i nie moglibyśmy być z ciebie bardziej dumni. Muszę lecieć. Kocham cię.

- Też cię kocham, mamó - powiedziała Meg słabym głosem. A potem, kiedy jej matka już się wyłączyła: -Mamó, jeżdżę wózkiem z napojami, nie jestem koordynatorką zajęć. Ale moja biżuteria sprzedaje się wspaniale.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich Ted.

- Jutro przyślę kogoś do sprzątnia.

- Nie - zaprotestowała ze znużeniem. - Nie chcę, żeby ktokolwiek to widział.

Zrozumiał.

- Więc zostań tu i dojdź do siebie, a ja się tym zajmę. Bardzo chciała zwinąć się w kłębek i pomyśleć o wszystkim, co się wydarzyło, ale spędziła zbyt wiele lat, pozwalając, żeby inni ją obsługiwali.

- Nic mi nie jest. Daj mi się tylko przebrać.

- Nie musisz tego robić.

- Ty też. - Widok tej życzliwej, pięknej twarzy budził tęsknotę. Jeszcze kilka tygodni temu Meg pytała samą siebie, co mężczyzna taki jak Ted może mieć wspólnego z kobietą taką jak ona. Ale coś się w niej zaczęło zmieniać, własne dokonania sprawiły, że poczuła się odrobinę bardziej wartościowa.

Ted wywlókł z kościółka zniszczony futon, potem uszkodzoną kanapę i krzesła, które przywiozła z klubu. Nie przerywając pracy, rzucił parę żartów, żeby podnieść ją na duchu. Tymczasem Meg zamiatała stłuczone szkło. Uważnie przeglądała wszystkie odłamki, żeby przez pomyłkę nie wyrzucić któregoś ze swoich cennych koralików. Kiedy wreszcie usatysfakcjonowana udała się do kuchni posprzątać tamtejszy bałagan, okazało się, że Ted już to zrobił.

Zanim skończyli, było prawie ciemno. Oboje umierali z głodu, więc wynieśli na cmentarz resztki lunchu i dwie butelki piwa, i na jednym z jej kąpielowych

ręczników rozłożyli ucztę. Jedli prosto z pojemniczków, ich widelce od czasu do czasu trącały jeden o drugi. Meg bardzo chciała porozmawiać o tym, co wydarzyło się w domu jego matki, ale odczekała aż do końca kolacji.

- Absolutnie nie powinieneś był tego robić. Ted oparł się o nagrobek Horace'a Ernsta.

- Niby czego?

- Nie udawaj. Całować mnie. - Starła się stłumić radość, która nadal w niej buzowała. - Do tej pory całe miasto już wie, że jesteśmy parą. Spence i Sunny usłyszą o tym najdalej w pięć minut po powrocie.

- Spence'a i Sunny zostaw na mojej głowie.

- Jak mogłeś zrobić coś tak głupiego? - Tak cudownego, sprostowała natychmiast w myślach.

Ted wyciągnął nogi w stronę działki Muellerów.

- Chcę, żebyś na razie pomieszkała u mnie.

- Czy ty w ogóle słuchasz, co ja mówię?

- Wszyscy o nas wiedzą. Nie ma powodu, żebyś się do mnie nie wprowadziła.

Po tym co dla niej zrobił, nie potrafiła z nim walczyć ani chwili dłużej.

Sięgnęła po wykałaczkę i zaczęła ściągać skórkę z paznokcia na kciuku.

- Dzięki za propozycję, ale gdybym z tobą zamieszkała, to jakbym zagrała na nosie twojej matce.

- Zajmę się moją matką - powiedział ponuro. - Kocham ją, ale ona nie kieruje moim życiem.

- Jasne, wszyscy tak mówimy. Ty. Ja. Lucy. - Wbiła wykałaczkę w ziemię. - To potężne kobiety. Rozsądne, inteligentne, rządzą w swoim świecie i szalenie nas kochają. Mocna mieszanka, która

utrudnia im udawanie, że są zwyczajnymi matkami.

- Nie zostaniesz tu sama. Nawet nie masz gdzie spać.

Wypatrzyła wśród drzew stertę połamanych gratów, w której leżał jej futon. Ktokolwiek to robił, najwyraźniej nie zamierzał przestać, dopóki Meg mieszkała w Wynette.

- Dobrze - powiedziała. - Ale tylko na dzisiejszą noc.

Pojechała za nim swoim starym gratem. Ledwie weszli do domu, Ted jedną ręką przyciągnął ją do piersi, a drugą wybrał numer telefonu.

- Mamo, ktoś włamał się do kościółka i wszystko zdemolował, więc Meg przez kilka dni będzie mieszkać u mnie. Ona się ciebie boi, a ja jestem na ciebie wściekły. Teraz nie jesteś tu oczekiwanym gościem, więc zostaw nas samych. - I wyłączył się.

- Nie boję się jej - zaprotestowała Meg. - W każdym razie, już nie tak bardzo.

Pocałował ją w czubek nosa, obrócił twarzą w stronę schodów i poklepał po siedzeniu, zwlekając chwilę przy smoku.

- Chociaż przykro mi to stwierdzić, lecis z nóg. Idź do łóżka. Ja przyjdę później.

- Gorąca randka?

- Nawet lepiej. Chcę zamontować kamerę monitorującą w kościółku. - W

jego głosie zadźwięczał surowy ton. - Zrobiłbym to już dawno, gdybyś powiedziała mi o pierwszym włamaniu.

Nie była na tyle głupia, żeby próbować się bronić. Zamiast tego, oplotła go ramionami i pociągnęła na bambusową podłogę. Po wszystkim, co się wydarzyło, tym razem mogło już być inaczej. Tym razem mógł już dotknąć czegoś więcej niż jej ciała.

Przetoczyła się na niego, pochwyciła jego głowę w obie dłonie i zaczęła namiętnie go całować. Odpowiadał na pocałunki jak zwykle, z upajającą inwencją.

Zostawił ją zlaną potem, bez tchu i niemal... ale nie całkiem...

usatysfakcjonowaną.

## *Rozdział 17*

MEG NIE NAWYKŁA DO KLIMATYZACJI i marzła pod pojedynczym prześcieradłem. Skuliła się więc i przytuliła do Teda, a kiedy otworzyła oczy, było już rano.

Obróciła się na bok, żeby na niego popatrzeć. We śnie był równie pociągający, jak nie śpiąc. Miał najmiłszy rodzaj fryzury prosto z łóżka -

tu troszkę przygnieciona, tam troszkę stercząca. Aż ją palce świerzbiły, żeby zrobić z tym porządek. Wpatrywała się w wyraźną linię opalenizny wokół jego bicepsa. Żaden szanujący się kalifornijski wytwornis nie dałby się z czymś takim przyłapać, a Ted nawet o tym nie pomyślał.

Przycisnęła do niej wargi.

Przewrócił się na plecy, ciągnąc za sobą prześcieradło, aż wkoło uniósł

się piżmowy zapach ich rozespanych ciał. Natychmiast poczuła, jak ogarniają podniecenie. Jednak wkrótce zaczynała pracę, więc zmusiła się, żeby wstać. Była pewna, że do tej pory wszyscy już wiedzieli, co się stało w czasie lunchu i nikomu nie przychodziło do głowy winić za ten pocałunek Teda. Czekał ją długi dzień, pełen problemów.

Właśnie uzupełniała zapasy napojów dla wtorkowych porannych golfistek, kiedy z szatni wynurzyła się Torie. Kołysząc końskim ogonem pomaszerowała prosto do Meg i we właściwym sobie stylu przeszła od razu do rzeczy.

- Po tym, co się stało, nie możesz zostać w kościółku i oczywiście nie możesz mieszkać u Teda, więc uznałyśmy, że najlepiej, żebyś przeniosła się do apartamentu

gościnnego Shelby. Mieszkałam w nim pomiędzy moimi dwoma nieudanymi małżeństwami. Jest niekrępujący i wygodny, a oprócz tego z własną kuchnią, czego nie miałabyś ani u mnie, ani u Emmy.  
- Ruszyła w stronę golfowego sklepu, koński ogon podskakiwał w rytm jej kroków.

Po chwili zawołała przez ramię: - Shelby oczekuje cię przed szóstą.

Strasznie nie lubi, kiedy ludzie się spóźniają.

- Zaczekaj! - Meg pospieszyła za nią. - Nie przeprowadzę się do twego rodzinnego domu.

Torie oparła rękę na biodrze i oznajmiła z tak poważną miną, jakiej Meg jeszcze u niej nie widziała:

- Nie możesz zostać u Teda.

Meg uważała dokładnie to samo, ale nienawidziła, kiedy jej rozkazywano.

- Wbrew powszechnemu przekonaniu, nikt z was nie ma w tej sprawie nic do gadania. Wracam do kościółka.

- Naprawdę myślisz, że Ted ci na to pozwoli? - prychnęła Torie. - Po tym, co się stało?

- Ted nie może mi na nic pozwalać ani niczego zabraniać. - Stanowczym krokiem Meg oddaliła się w stronę wózka z napojami. - Jestem wdzięczna Shelby za jej wielkoduszność, ale mam własne plany.



Torie dogoniła ją.

- Posłuchaj, nie możesz mieszkać z Tedem. Naprawdę nie możesz.

Udając, że jej nie słyszy, Meg odjechała.

Nie miała nastroju, żeby czekając na klientów, zajmować się biżuterią, więc wyciągnęła *Amerykańską ziemię*, którą pożyczyła od Teda, ale nawet słowa najmądrzejszych ekologów w kraju nie były w stanie przykuć jej uwagi. Odłożyła książkę, kiedy pojawiła się pierwsza czwórka golfistek.

- Meg, słyszałyśmy o włamaniu.

- Musiałaś być przerażona.

- Jak myślisz, kto to zrobił?

- Mogę się założyć, że chcieli się dostać do twoich prac.

Wrzucała lód do papierowych kubeczków, nalewała napoje i odpowiadała na pytania najzwyczajniej jak potrafiła. Tak, to było straszne.

Nie, nie ma pojęcia, kto to zrobił. Tak, w przyszłości zamierza być o wiele ostrożniejsza.

Nadeszła kolejna czwórka i Meg usłyszała mniej więcej to samo, ale to jeszcze ciągle nie było najgorsze. Kiedy wszystkie panie były już na fairwayu, dotarło do niej, że żadna z nich nawet nie zająknęła się o wczorajszym pocałunku ani o deklaracji Teda, że on i Meg są parą.

Kompletnie nie mogła tego zrozumieć. Kobiety w tym miasteczku niczego nie kochały bardziej, niż wścibiać nos w cudze sprawy, zwłaszcza sprawy Teda, więc nie powstrzymywała ich uprzejmość. Co tu się działo?

Poskładała kawałki łamigłówek, dopiero gdy następne cztery golfistki zatrzymały swoje wózki koło tee. Właśnie wtedy zrozumiała.

Ani jedna z zagadujących ją osób nie brała udziału w lunchu u Franceski.

One po prostu nie wiedziały. Dwadzieścia kobiet, które były świadkami wydarzeń poprzedniego dnia, zawarło znowę milczenia.

Opadła na siedzenie wózka z napojami i wyobraziła sobie tętniące życiem linie telefoniczne. Niemal słyszała, jak każda z uczestniczek przyjęcia przysięga na Biblię albo na najnowszy numer magazynu „InStyle”, że nie pisnie nikomu ani słowa. Dwadzieścia plotkar z Wynette ślubowało dyskrecję. To nie miało szans powodze-

nia. Nie miało w normalnych warunkach, ale skoro chodziło o Teda, mogło się udać.

Obsłużyła następną grupę i upewniła się ostatecznie, że wszystkie kobiety mówią tylko o włamaniu. Jednak pół godziny później sytuacja uległa zmianie. Pojawiły się dwie ostatnie golfistki. W chwili gdy wysiadając ze swego pojazdu, ujrzała je, wiedziała, że tym razem sprawy potoczą się inaczej. Obie uczestniczyły w lunchu. Obie były świadkami tego, co się wydarzyło. I obie maszerowały w jej stronę ze zdecydowanie nieprzyjaznymi grymasami na twarzach.

Niższa - żyłasta brunetka, którą nazywano Cookie - od razu przeszła do rzeczy.

- Wiemy, że to ty stoisz za tym włamaniem. I wiemy, dlaczego to zrobiłaś.

Meg mogła przewidzieć, że coś takiego nastąpi, ale nie przewidziała.

Wyższa z dwóch kobiet skubała rękawiczkę do golfa.

- Chciałaś się do niego wprowadzić, on nie chciał, więc postawiłaś go w takiej sytuacji, żeby nie mógł odmówić. Zdemolowałaś kościółek, zanim przyszałaś do Franceski.

- Niemożliwe, żeby ktoś w to naprawdę wierzył - odparła Meg.

Rezygnując z napoju, który zawsze kupowała, Cookie wyszarpnęła z torby golfowej kij.

- Chyba nie sądziłaś, że ci się uda?

Kiedy odeszły, Meg przez chwilę krążyła ciężkim krokiem wokół tee, po czym osunęła się na pobliską drewnianą ławkę. Nie było jeszcze nawet jedenastej, a w powietrzu wisiał już pulsujący żar. Należało stąd wyjechać. Tutaj nie miała żadnych perspektyw. Żadnych prawdziwych przyjaciół. Żadnej pracy wartej wysiłku. Ale wiedziała, że i tak zostanie.

Zostanie, bo mężczyzna,

w którym tak głupio się zakochała, naraził na szwank dobro swego miasteczka, żeby obwieścić wszem i wobec, jak bardzo jest dla niego ważna. Piastowała w sercu tę świadomość.

Niedługo potem zaczęła dzwonić jej komórka. Pierwszy odezwał się Ted.

- Słyszę, że lokalna damska mafia próbuje wyciągnąć cię z mojego domu.

Nie zwracaj na nie uwagi. Zostajesz u mnie i mam nadzieję, że zamierzasz przygotować coś dobrego na obiad. - Długa pauza. - A ja się zatroszczę o deser.

Następny telefon był od Spence'a, więc nie odebrała, ale nagrał

wiadomość, że za dwa dni wraca do Wynette i zamierza zabrać ją na obiad. Przyśle po nią limuzynę. Potem zadzwoniła Haley z prośbą o spotkanie w barze przekąskowym w czasie przerwy o drugiej. Stawiwszy się o umówionej porze, Meg ujrzała niepożądaną niespodziankę w postaci Birdie Kittle siedzącej naprzeciwko córki przy jednym z metalowych zielonych stolików.

Birdie miała na sobie strój do pracy: garsonkę z dzianiny o barwie bakłażana. Zakiet starannie rozwiesiła na poręczy krzesła, odsłaniając białą bluzkę na ramionach i pulchne, trochę piegowane ramiona. Haley nie zawracała sobie głowy makijażem, co bardzo poprawiałoby jej wygląd, gdyby nie była taka blada i spięta. Poderwała się od stolika jak pajac z pudełka.

- Mama chce ci coś powiedzieć.

Meg nie obchodziło, co Birdie Kittle chciałaby jej powiedzieć, ale zajęła wolne krzesło pomiędzy nimi.

- Jak się czujesz? Lepiej niż wczoraj, mam nadzieję.

- Dobrze. - Dziewczyna z powrotem usiadła i niechętnie zaczęła skubać leżące przed nią na papierze

śniadaniowym czekoladowe ciasto. Meg przypomniała się rozmowa, która przypadkiem wpadła jej w ucho.

„Zeszłej nocy Haley znowu była z tym Kyle'em Bascomem. Przysięgam, jeśli zajdzie w ciążę...”

Tydzień wcześniej widziała Haley na parkingu z jakimś wyrosniętym, młodocianym chudzielcem, ale kiedy o tym wspomniała, dziewczyna wykręciła się od odpowiedzi.

Haley oderwała kawałek ciasta. Meg też takie próbowała sprzedawać, ale czekoladowa polewa się topiła.

- No mów, mam. Zapytaj ją.

Birdie zacisnęła usta. Jej złota bransoletka brzęknęła o krawędź blatu.

- Słyszałam o włamaniu do kościołka.

- Wygląda na to, że wszyscy słyszeli.

Zerwała papierowe opakowanie ze słomki i wetknęła ją do kubka z gazowanym napojem.

- Parę godzin temu rozmawiałam z Shelby. Bardzo ładnie z jej strony, że zaprosiła cię, żebyś zamieszkała w jej domu. Nie musiała, jak wiesz.

Meg udało się odpowiedzieć obojętnym tonem:

- Zdaję sobie z tego sprawę.

Birdie przepchnęła słomkę wśród kostek lodu.

- Ponieważ, zdaje się, nie masz ochoty tam mieszkać, Haley pomyślała...

- Mamo! - Haley rzuciła jej mordercze spojrzenie.

- Dobrze, przepraszam, jaaa... ja pomyślałam, że może byłoby ci wygodniej w zajeździe. Miałabyś bliżej do klubu niż od Shelby, więc nie musiałybyś jeździć tak daleko. Akurat teraz nie mam pełnej rezerwacji. -

Birdie dźgała słomką dno papierowego kubka z taką siłą, że o mało nie zrobiła w nim dziury. - Możesz zająć Apartament Jaśminowy, proszę bardzo. Ma kuchenkę, którą na pewno pamiętasz. Tyle razy ją sprzątałaś.

- Mamo! - Rumieniec oblał bladą twarz Haley. Była dziwnie rozgorączkowana, co zaniepokoiło Meg. - To mama chce, żebyś mieszkała w zajeździe. Nie ja.

Meg bardzo wątpiła, żeby Birdie tego chciała, ale liczyło się, że Haley ceniła sobie ich przyjaźń na tyle wysoko, by stawić matce czoła. Wzięła kawałek ciasta, które leżało nienapoczęte.

- Doceniam tę propozycję, ale mam własne plany.

- Jakie? - zapytała Haley.

- Wracam do kościółka.

- Ted nigdy ci na to nie pozwoli - stwierdziła Birdie.

- Wymienił zamki w drzwiach, a ja chcę mieszkać samodzielnie. - Nie wspomniała o kamerze, której instalację miał właśnie dokończyć. Im mniej ludzi o tym wiedziało, tym lepiej.

- Tak, cóż, nie zawsze możemy dostać to, czego chcemy - odparła Birdie, jakby przemawiał przez nią Mick Jagger. - Czy masz w planach kiedykolwiek pomyśleć o innych?

- Mamo! Przecież to dobrze, że Meg wraca do siebie. Dlaczego musisz być tak negatywnie nastawiona?

- Przykro mi, Haley, ale uparcie nie przyjmujesz do wiadomości, jak ona nam bruździ. Wczoraj u Franceski... Nie było cię, więc nawet sobie...

- Nie jestem głucha. Słyszałam, jak rozmawiałaś przez telefon z Shelby.

A jednak zmowa milczenia wyraźnie miała słabe ogniwa.

Podnosząc się z krzesła, Birdie o mało nie rozlała swego napoju.

- Wszystkie robimy co w naszej mocy, żeby pomóc ci się pozbierać, Meg Koranda, ale same tego nie załatwimy. Przydałaby się odrobina współpracy. - Chwyciła

zakiet i odmaszerowała. Czerwone włosy błyszcząły jej w słońcu.

Haley kruszyła nad papierem resztki ciasta.

- Uważam, że powinnaś wrócić do kościółka.

- Zdaje się, że jesteś w tym odosobniona. - Kiedy dziewczyna uciekła spojrzeniem w bok, Meg przyjrzała się jej z niepokojem. - Faktycznie, niespecjalnie radzę sobie z własnymi problemami, ale widzę, że coś cię dręczy. Jeśli chcesz o tym porozmawiać, chętnie cię wysłucham.

- Nie mam nic do powiedzenia. Muszę wracać do pracy. - Razem ze zmacerowanymi resztkami ciasta Haley zabrała kubek matki i wróciła do baru.

Meg ruszyła w stronę klubu po swój wózek z napojami, który zaparkowała koło wodotrysku pitnej wody. Gdy tylko się tam znalazła, zza narożnika budynku wyłoniła się dobrze znana i niemiła widziana postać. Desi-gnerska suknia na ramiączkach i szpilki od Loboutina wskazywały, że raczej nie wpadła tu na rundkę golfa. Natomiast zdecydowanie zdążyła w kierunku Meg. Szpilki tup-tup-tupały po asfalcie, a potem zapadła cisza, kiedy ich właścicielka szła po trawie.

Meg oparła się pokusie, by skrzyżować palce od złych uroków, ale nie zdołała pohamować jęku, kiedy Francesca się przed nią zatrzymała.

- Proszę, niech pani nie mówi tego, co myślę, że zamierza pani powiedzieć.

- No cóż, też nie jestem z tego powodu w siódmym niebie. - Szybki ruch ręki przesunął na czubek głowy przeciwsłoneczne okulary od Cavalliego, odsłaniając błyszczące, zielone oczy, powieki przyprószone brązem i jedwabisty, ciemny tusz na gęstych rzęsach. Nieznaczny makijaż, w którym Meg rozpoczynała dzień pracy, dawno już spłynął z potem i podczas gdy pani Beaudine

pachniała perfumami Quelques Fleurs, od niej czuć było rozlanym piwem.

Popatrzyła z góry na miniaturową matkę Teda.

- To proszę chociaż najpierw podać mi pistolet, żebym się mogła zastrzelić.

- Nie bądź głupia - odparowała Francesca. - Gdybym miała pistolet, dawno bym go wobec ciebie użyła. - Pacnęła muchę, która nieopatrznie zabręczała zbyt blisko jej pięknej twarzy. - W naszej posiadłości jest wolno stojący domek gościnny. Będzie do twojej dyspozycji.

- Czy mam już mówić do pani: mamó?

- Dobry Boże, nie. - Coś się stało z kącikami jej ust. Grymas? Ironiczny uśmiech? Trudno powiedzieć. - Mów do mnie Francesca, jak wszyscy.

- Ekstra. - Meg wsunęła palce do kieszeni. - A tak z czystej ciekawości, czy ktoś w tym mieście jest w stanie choć trochę się pohamować, żeby nie pchać nosa w cudze sprawy?

- Nie. I dlatego od początku nalegałam, żebyśmy zachowali mieszkanie na Manhattanie. Wiesz, że Ted miał dziewięć lat, kiedy po raz pierwszy przyjechał do Wynette? Możesz sobie wyobrazić, iloma lokalnymi dziwactwami by się zaraził, gdyby tu mieszkał od urodzenia? - Pociągnęła nosem. - Aż strach pomyśleć.

- Jestem wdzięczna za propozycję, podobnie jak doceniam zaproszenia od Shelby i Birdie Kittle, ale uprzejmie proszę powiadomić swój sabat czarownic, że zamierzam wrócić do kościołka.

- Ted nigdy na to nie pozwoli.

- Ted nie ma nic do gadania - warknęła Meg. Francesca wydała cichy pomruk zadowolenia.

- To tylko dowodzi, że nie znasz mego syna nawet w przybliżeniu tak dobrze, jak ci się wydaje.

Domek

gościnny jest otwarty, lodówka wyładowana zapasami. Nawet nie próbuj mi się przeciwstawiać. - I odeszła.

Po trawie.

Ścieżką dla wózka.

Tup... tup... Tup... tup... Tup... tup...

Opuściwszy wieczorem służbowy parking, Meg jechała boczną drogą w stronę autostrady i dokonywała krótkiego przeglądu wydarzeń tego nieszczęsnego dnia. Oczywiście, nie miała zamiaru mieszkać w go-

ścinnym domku Beaudine'ow ani u Shelby Traveler, ani tym bardziej w zajeździe. Ale również nie mogła zostać u Teda. Nawet tak wściekła na tutejsze wścibskie kobiety, nie potrafiła ich całkiem zlekceważyć. Jakikolwiek by były okropne, jak by się we wszystko nie wtrącały i nie krytkowały, jednak robiły to, co uważały za słuszne. W przeciwieństwie do wielu Amerykanów, mieszkanki teksańskiego Wynette nie znały stanu obywatelskiej apatii. Przemawiała też za nimi twarda rzeczywistość. Meg nie mogła mieszkać z Tedem, dopóki sprawa Skipjacków pozostawała aktualna.

Nagle, nie wiadomo skąd, coś ku niej nadleciało. Ze stłumionym okrzykiem nacisnęła hamulec, ale się spóźniła. Kamień roztrzaskał

przednią szybę. Kątem oka dostrzegła pomiędzy drzewami jakiś ruch.

Zjechała na pobocze, wyskoczyła z auta, poślizgnęła się na żwirze, odzyskała równowagę i wpadła do zagajnika, który rósł wzdłuż drogi.

Pędziła przez zarośla. Kolczaste gałęzie łapały ją za szorty, drapały po nogach. Znowu coś mignęło, jednak nie potrafiła stwierdzić, czy to w ogóle człowiek. Wiedziała tylko, że ktoś ją zaatakował i miała już dosyć roli ofiary.

Zanurzyła się głębiej w las. Nie była pewna którędy iść, więc zatrzymała się i nadstawiła uszu, ale nie

słyszała nic oprócz własnego chrapliwego oddechu. W końcu poddała się.

Ktokolwiek rzucił tym kamieniem, już zdążył uciec.

Wracając do samochodu, nadal się trzęsła. Pajęczyna pęknięć rozchodziła się od środka rozbitej szyby, ale wyciągając szyję Meg widziała wystarczająco dużo, żeby móc prowadzić.

W drodze do kościółka podtrzymywał ją gniew. Bardzo chciała zobaczyć zaparkowaną przed drzwiami furgonetkę, ale Teda tam nie było.

Spróbowała użyć swoich kluczy. Bez rezultatu. Tak jak się spodziewała, zamki zostały zmienione. Ciężko zeszła ze schodów i zajrzała pod kamienną żabę, wiedząc już w chwili, gdy ją podnosiła, że Ted nie zostawił tam nowego klucza. Jeszcze trochę pokręciła się w pobliżu, aż zlokalizowała kamerę zamontowaną na orzeszniku, który niegdyś dawał

ciężki wiernym, kiedy wychodzili po nabożeństwie.

Potrząsnęła w jej kierunku pięścią.

- Theodorze Beaudine, jeśli natychmiast się tu nie zjawisz i nie wpuścisz mnie do środka, wybije szybę! - Klapnęła na najniższy schodek, ale po chwili poderwała się z miejsca i ruszyła na przełaj przez cmentarz w stronę zatoczki.

Czekał na nią pływak zakątek. Rozebrała się do bielizny. I zanurkowała.

Woda - chłodna, przyjemna - zamknęła się nad jej głową. Meg sięgnęła kamienistego dna, odbiła się i wypłynęła na powierzchnię. Znowu dała nura, pragnąc zmyć z siebie wspomnienia dzisiejszych okropności.

Uspokoiwszy się wreszcie, wepchnęła wilgotne stopy do butów, zgarnęła brudne służbowe ubranie i w przemoczonych majtkach i staniku pomaszerowała z powrotem w stronę kościółka. Jednak gdy wyszła spośród drzew, stanęła jak wryta.

Na granitowej nagrobnej płycie siedział wielki Dallas Beaudine, a u jego boku tkwił nieodstępny caddy, Skeet Cooper.

Klnąc pod nosem, Meg uskoczyła w zarośla, żeby wciągnąć szorty i przepoconą koszulkę polo. Stawianie czoła ojcu Teda to była całkiem inna gra niż walka z kobietami. Przeciągnęła palcami po mokrych włosach, powiedziała sobie, że nie wolno okazywać strachu i spacerowym krokiem przeszła przez cmentarz.

- Wypróbujemy przyszłe miejsce spoczynku?

- Niezupełnie - odparł Dally. Siedział wygodnie rozparty na nagrobnej płycie. Długie, obciążone dżinsami nogi wyciągnął przed siebie. Cętki światła migotały na srebrzystych smugach przetykających jego ciemnoblonde włosy. Nawet w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat był

pięknym mężczyzną. Przez kontrast szorstka brzydota Skeeta jeszcze bardziej rzucała się w oczy.

Stopy Meg mlaskały w przemoczonych butach, kiedy zbliżała się do gości.

- Bywają gorsze miejsca.

- Też tak myślę. - Dallie skrzyżował nogi w kostkach. - Mierniczowie pojawili się o dzień wcześniej, więc Ted pojechał z nimi na składowisko odpadów. Ten interes z centrum golfa może mimo wszystko wypalić.

Powiedzieliśmy Tedowi, że pomożemy przewieźć do niego twoje rzeczy.

- Postanowiłam, że zostaję.

Dallie pokiwał głową, jakby już tę ewentualność rozważył.

- Nie wygląda, żeby tu było zbyt bezpiecznie.

- Ted zamontował przynajmniej jedną kamerę. Dallie znów kiwnął głową.

- Prawdę mówiąc, już ze Skeetem przetransportowaliśmy twoje rzeczy.

- Nie mieliście prawa tego robić!

- To kwestia dyskusyjna. - Dallie obrócił twarz w stronę bryzy, jakby sprawdzał kierunek wiatru przed kolejnym uderzeniem w piłkę. -

Będziesz mieszkać u Skeeta.

- U Skeeta?

- Skeet nie jest zbyt rozmowny. Zakładam, że wolisz przeprowadzić się do niego, niż mieć do czynienia z moją żoną. Równie dobrze mógłbym powiedzieć, że nie lubię, kiedy ona czymś się denerwuje, a ty z pewnością jesteś źródłem jej zdenerwowania.

- Ona denerwuje się z najdziwniejszych powodów. - Skeet przesunął

wykałaczkę z jednego kącika ust do drugiego. - I niespecjalnie można jej to wyperswadować. Francie to Francie.

- Z całym szacunkiem... - zaczęła Meg niczym prawnik, ale spokojna pewność siebie Dalliego zbijała ją z tropu bardziej niż zachowanie kobiet.

- Nie chcę mieszkać u Skeeta.

- A niby dlaczego? - Skeet znowu przesunął wykałaczkę. - Dostaniesz własny telewizor i nie zamierzam ci w niczym przeszkadzać. Tylko jedno: lubię, żeby w domu było czysto i porządkie.

Dallie podniósł się z nagrobka.



- Pojedziesz za nami, czy Skeet ma poprowadzić twój wóz, a ty wsiądziesz ze mną?

Jego niewzruszone spojrzenie mówiło, że decyzja została już podjęta i żadne argumenty nie mogą jej zmienić. Meg rozważyła, jakie ma opcje.

Powrót do kościółka najwyraźniej teraz nie wchodził w grę. Nie mogła mieszkać u Teda. Nawet jeśli on nie rozumiał dlaczego, ona wiedziała.

Pozostawały dom Shelby i Warrena Tra-

velerów, zajazd, domek dla gości Franceski albo pokój u Skeeta Coopera.

Z rdzawobrązową, wysuszoną na słońcu twarzą i kucykiem Williego Nelsona opadającym między łopatki, Skeet bardziej przypominał

włóczęgę niż człowieka, który jako caddy legendy golfa zarobił ładnych parę milionów dolarów. Meg zmobilizowała strzępy swojej zszarganej dumy i rzuciła mu wyniosłe spojrzenie.

- Nie pozwalam współlokatorom pożyczać moich ciuchów, ale lubię w piątkowy wieczór urządzać kameralną „spa party”. Manikiur i pedikiur.

Ty robisz mnie. Ja tobie. Tego rodzaju rzeczy.

Przesuwając wykałaczkę, Skeep spojrzał wymownie na Dalliego.

- Chyba trafił się nam kolejny lepszy numer.

- Na to wygląda. - Dallie wyciągnął z kieszeni kluczyki. - Chociaż jeszcze za wcześnie, żeby się wypowiadać.

Meg nie miała pojęcia, o czym oni mówią. Szli przodem, ale usłyszała stłumiony śmiech Skeeta.

- Pamiętasz tamtą noc, kiedy prawie pozwoliliśmy Francie utopić się w basenie?

- Silna pokusa - odparł kochający małżonek Francie.

- Ale dobrze się stało, że jednak nie pozwoliliśmy.

- Dzieła Pana są niepojęte. Skeet rzucił wykałaczkę w krzaki.

- Zdaje się, że ostatnio pracuje w nadgodzinach.

Zauważyła ten mały kamienny dom w ranczerskim stylu, kiedy po raz pierwszy zwiedzała posiadłość Beaudine'ów. Podwójne, uchylne okna otaczały z obu stron drzwi o nieokreślonej, brązowej barwie. Jedyne dekoracyjny akcent stanowiła amerykańska flaga, która zwisała apatycznie z masztu nieopodal głównej ścieżki.

- Staraliśmy się nie zrobić ci bałaganu w rzeczach - powiedział Dallie, przepuszczając ją przed sobą.

- Co za troskliwość. - Meg weszła do nieskazitelnie schludnego holu łączącego się z pokojem dziennym. We wnętrzu pomalowanym na jaśniejszy odcień brązu niż drzwi dominowały dwa kosztowne, brązowe rozkładane fotele wyjątkowej brzydoty, stojące frontem do wielkiego, płaskiego ekranu na ścianie. Dokładnie pośrodku nad telewizorem wisiało wielobarwne sombrero. Jedyny tutaj naprawdę estetyczny element stanowił piękny, brunatny dywanik, podobny do chodniczków, które zdobiły gabinet Franceski. Meg podejrzewała, że Skeet sam go sobie nie wybierał.

Gospodarz chwycił pilota i włączył kanał golfowy. Przez szerokie przejście naprzeciwko drzwi widać było część korytarza i funkcjonalną kuchnię z drewnianymi szafkami, białymi blatami i kompletem ceramicznych pojemników w kształcie angielskich chat. Mniejszy płaskoekranowy telewizor wisiał nad drewnianym okrągłym stołem, który otaczały cztery wyściełane, obrotowe krzesła.

Dallie poprowadził Meg w głąb korytarza.

- Sypialnia pana domu jest na samym końcu -oznajmił. - Skeet chrapie jak nieboskie stworzenie, więc może będziesz musiała kupić zatyczki do uszu.

- Coraz lepiej i lepiej, nieprawdaż?

- To tymczasowe. Dopóki sprawy się nie ustabilizują.

Korciło ją, żeby zapytać, czy przewiduje, że to szybko nastąpi, ale zmieniła zdanie. Weszli do oszczędnie urządzonego pokoju z fabrycznymi meblami w stylu wczesnoamerykańskim. Podwójne łóżko nakryte pikowaną

kapą w geometryczne wzory, komoda, tapicerowany fotel i kolejny telewizor z płaskim ekranem. Ściany pokoju miały ten sam odcień brązu co w pozostałych pomieszczeniach. Jej walizka leżała razem z kilkoma pudłami na gołej podłodze z terakoty. Przez uchylone drzwi szafy Meg dostrzegła swoją garderobę zwisającą z drewnianego drąga, a pod nią starannie poustawiane buty.

- Bóg wie ile razy Francie proponowała mu, że urządzi ten dom -

powiedział Dallie - ale Skeet lubi, żeby wszystko było jak najprostsze.

Masz łazienkę wyłącznie dla siebie.

- Hura.

- W sąsiednim pokoju znajduje się gabinet. O ile wiem, w ogóle nie używany, więc możesz się tam rozłożyć ze swoją biżuterią. Skeet nawet nie zauważy, przynajmniej dopóki nie zgubisz mu pilota, którego trzyma na szafce z dokumentami.

Trzasnęły frontowe drzwi i nawet kanał sportowy nie był w stanie zagłuszyć gniewnego tupotu kroków, po którym zagrzmiało kategoryczne pytanie:

- Gdzie ona jest?

Dallie spojrział w stronę korytarza.

- Mówiłem Francie, że powinniśmy zostać w Nowym Jorku.

## Rozdział 18

W ODPOWIEDZI NA WTARGNIĘCIE TEDA Skeet tylko podkreślił dźwięk.

Wziąwszy się w garść, Meg wetknęła głowę do salonu.

- Niespodzianka.

Bejsbolówka przesłaniała cieniem wyraz jego oczu, ale zaciśnięte szczęki wróżyły zbliżającą się burzę.

- Co ty tutaj robisz?

Meg wykonała efektowny gest w stronę fotela.

- Wzięłam sobie nowego kochanka. Przykro mi, że musiałeś to odkryć w taki sposób.

- Oglądam *Golf Central* - zrzędził Skeet - i nie słyszę ani jednego cholernego słowa.

Z korytarza za nią wynurzył się Dallie.

- To dlatego, że głuchniesz. Od miesięcy ci powtarzam, żebyś kupił aparat słuchowy. Cześć, synu. Jak wam poszło na składowisku?

Ręce Teda pozostały agresywnie wsparte na biodrach.

- Co ona tu robi? Miała mieszkać u mnie. Spojrzenie niebieskich oczu Dalliego, czystych jak niebo nad Hill Country, przeniosło się na Meg.

- Mówiłem ci, moja droga, że jemu się to nie spodoba. Następnym razem lepiej mnie słuchaj. - Ze smutkiem potrząsnął głową. - Robiłem co mogłem, żeby ją odwieść od tego pomysłu, synu, ale Meg musi zawsze postawić na swoim.

Miała kilka ewentualności. Wybrała tę, która nie wymagała przywalenia komuś.

- Tak jest lepiej.

- Dla kogo lepiej? - odparował Ted. - Bo na pewno nie dla mnie. Ani nie dla ciebie.

- Właściwie naprawdę tak jest lepiej. Nie masz pojęcia...

- Chyba powinniście omówić tę sprawę na osobności. - Dallye popatrzył

na nich z zakłopotaniem, którego wcale nie odczuwał. - Twoja matka i ja jemy dziś obiad w klubie. Normalnie zaprosiłbym was oboje, ale wygląda na to, że atmosfera jest dość napięta.

- Cholerna racja, atmosfera jest dość napięta - odparł Ted. - Jakiś wariat prześladowuje Meg, więc chcę ją mieć tam, gdzie mogę ją chronić.

- Wątpię, żeby tutaj coś jej zagrażało. - Starszy z Beaudine'ów skierował się do wyjścia. - Co najwyżej uszkodzenie bębenków.

Zamknęły się za nim drzwi. Surowy wzrok Teda, do kompletu z wilgotnym ubraniem i lepiącą się do ciała bielizną, przyprawił Meg o gęsią skórkę. Stanowczym krokiem zawróciła do swojej sypialni i uklękła nad walizką.

- Miałam ciężki dzień - powiedziała, kiedy wszedł za nią. - Też mógłbyś już iść.

- Nie do wiary, że dałaś im się przekonać! - krzyknął. - Myślałem, że masz twardszy kręgosłup.

Nie była zdumiona, że przejrzał komedię ojca. Wyciągnęła z walizki torbę ze starannie spakowanymi przyborami toaletowymi i kosmetykami.

- Jestem głodna, a poza tym muszę wziąć prysznic.

Przestał miotać się po pokoju i ciężko usiadł na brzegu łóżka, aż stęknął

pod nim materac. Upłynęła chwila zanim rozległy się słowa tak ciche, że Meg ledwie mogła je dosłyszeć:

- Czasami nieprzytomnie marzę, żeby wyjechać z tego miasta.

Poczuła przypływ czułości. Odłożyła torbę i podeszła do Teda. Z oddali dobiegała reklama viagry. Meg uśmiechnęła się i ściągnęła mu bejsbolówkę.

- Ty jesteś tym miastem - szepnęła. A potem go pocałowała.

Dwa dni później, kiedy siedziała w cieniu koło piątego tee, czytając o produkcji kompostu na dużą skalę, podjechał do niej elektrycznym wózkiem jeden z młodszych caddy.

- Jesteś proszona do sklepu - oznajmił. - Ja się tu wszystkim zajmę.

Odprawiając jego wózek do budynku klubu, nie mogła się opędzić od złych przeczuc, które okazały się całkowicie uzasadnione. Ledwie przekroczyła próg sklepu, czyjeś wielkie, spocone dłonie zasłoniły jej oczy.

- Zgadnij kto?

Słumiła jęk i wzięła się w garść.

- Przeciągła wymowa, bardzo męska, wskazuje na Matta Damona, ale coś mi się wydaje, że to... Leonardo DiCaprio. Zgadłam?

Serdeczny śmiech. Ręce opadły i Spencer Skipjack obrócił ją twarzą do siebie. Był ubrany w ciemne spodnie, sportową koszulę w kolorze akwamaryny i kapelusz panama. Szeroki uśmiech rozciągał jego duże usta nad białymi licówkami na dużych, kwadratowych zębach.

- Zdecydowanie mi ciebie brakowało, panno Meg. Jesteś jedyna w swoim rodzaju.

Oprócz tego miała superślawnych rodziców i o dwadzieścia lat mniej niż on - nieodparta kombinacja dla egocentryka.

- Witaj, Spence. Dzięki za prezenty.

- Ta mydelniczka jest z naszej nowej linii. W sprzedaży detalicznej po sto osiemdziesiąt pięć dolarów. Dostałaś moją wiadomość?

Udawała głupią.

- Wiadomość?

- O dzisiejszym wieczorze. Przez te wszystkie podróże trochę cię zaniedbałem, ale teraz to się zmieni. - Zrobił nieokreślony gest w kierunku biur dyrekcji. - Porywam cię z pracy na resztę dnia. Lecimy do Dallas. - Złapał ją za rękę. - Najpierw mały wypad do Neimana po zakupy dla ciebie, potem drink w hotelu Adolphus i obiad w Mansion. Mój samolot na nas czeka.

Znajdowali się już w pół drogi do drzwi i tym razem Spence nie zamierzał

dać sobie pokrzyżować planów, jak mu to wcześniej parokrotnie zrobiła.

Najbardziej kusila ją opcja, żeby posłać go do diabła, ale mierniczowie jeszcze nie wyjechali, umowa na budowę centrum golfa dopiero miała być podpisana, więc Meg nie mogła wszystkiego popsuć.

- Jesteś wyjątkowo troskliwym mężczyzną.

- Neiman to pomysł Sunny.

- Ona jest niesamowita.

- Spędza dzisiejszy dzień z Tedem. Mają do nadrobienia sporo zaległości.

Sunny mogła nie słyszeć o pocałunku w czasie lunchu, ale prawie na pewno słyszała o legendarnych miłosnych umiejętnościach Teda i - jak podejrzewała Meg - zamierzała uczynić wszystko co w jej mocy, żeby osobiście sprawdzić, czy plotki są prawdziwe. Meg wiedziała również, że Ted tej

kobiety nie tknie. Tak wielkie zaufanie niepokoiło ją. Czyżby przedtem nie wierzyła mężczyznom? Ale żaden z nich nie był Tedem.

Ted... który upomniał się o nią przed całym miasteczkiem i machnął ręką na konsekwencje. Najgłupsza rzecz, jaką mógł zrobić, a dla niej znaczyła wszystko.

Meg przygryzła dolną wargę.

- Znamy się na tyle dobrze, że chyba mogę być z tobą szczerą, prawda?

Wyraz jego zmrużonych oczu nie był zachęcający, więc odrzuciła godność i spróbowała kapryśnie wyduć wargi.

- Wiesz, czego naprawdę bym chciała? Lekcji golfa.

- Lekcji golfa?

- Masz taki piękny wymach. Zupełnie jak Kenny, ale do niego przecież się nie zwrócę, a chciałabym się uczyć od najlepszych. Proszę, Spence.

Grasz tak wspaniale. To

by znaczyło dla mnie o wiele więcej niż kolejna wycieczka do Dallas, gdzie byłam co najmniej tysiąc razy. - Ścisłej mówiąc raz, ale on o tym nie wiedział. W dwadzieścia minut później znaleźli się na polu treningowym.

W przeciwieństwie do Torie, Spence okazał się fatalnym nauczycielem, bardziej zainteresowanym wzbudzaniem podziwu niż rozwijaniem cudzych umiejętności, ale Meg co chwila wpadała w zachwyt, jakby był

królem instruktorów golfa. Kiedy tokował z zapalem, przyłapała się na tym, że powątpiewa, czy faktycznie jest tak zaangażowany w pomysł

ekologicznej budowy, jak sądził Ted. Wreszcie usiedli, by chwilę odpocząć, więc postanowiła trochę powęszyc.

- Jesteś świetnym golfistą. Słowo daję, Spence, twoją miłość do gry widać w każdym ruchu.

- Gram od małego.

- Pewnie dlatego darzysz ten sport takim szacunkiem. Tylko na siebie popatrz. Każdy, kto ma pieniądze, może stworzyć pola golfowe. Ale ilu ludzi ma wizję, by wybudować centrum golfa, które wyznaczy standardy przyszłym pokoleniom?

- Wierzę, że trzeba postępować słusznie.

To brzmiało zachęcająco. Lekko nasiliła atak.

- Wiem, powiesz, że wszystkie te ekologiczne nagrody, które z pewnością otrzymasz, nie są w tym najważniejsze, ale zasługujesz na każdy wyraz uznania, jakim zostaniesz uhonorowany.

Pomyślała, że chyba posuwa się za daleko, ale po raz kolejny nie doceniła bezgranicznego ego Spence'a.

- Ktoś musi ustanawiać nowe standardy - oznajmił, powtarzając słowa zasłyszane niegdyś od Teda.

Nacisnęła odrobinę mocniej.

- Tylko nie zapomnij wynająć fotografa, który zrobi ci dokumentację wysypiska w obecnym stanie. Nie

jestem dziennikarką, ale sądzę, że różne przyznające nagrody komitety będą chciały mieć dobre zdjęcia „przed” i „po”.

- Nie dziel skóry na niedźwiedziu, panno Meg. Jeszcze niczego nie podpisałem.

W rzeczywistości nie spodziewała się, że ujawni jej swoją ostateczną decyzję, chociaż miała trochę nadziei. Wysoko nad ich głowami szybował jastrząb. Spence zaczął przebąkiwać o romantycznym obiedzie w jednej z miejscowych winnic. Jeśli musiała z nim jeść, chciała to zrobić w miejscu, gdzie będzie dużo ludzi dookoła, więc uparła się, że tylko pieczeń z rusztu w Roustabout może zaspokoić jej apetyt.

Rzeczywiście, ledwie zdążyli usiąść, nadciągnęły posiłki. Pierwszy spacerowym krokiem nadszedł Dallie. Zaraz po nim zjawiała się Shelby Traveler, która zdołała nawet nałożyć błyskawicznie makijaż. Następny wpadł na salę ojciec Kayli, Bruce, jeszcze w treningowych spodenkach i składając zamówienie, rzucał w stronę Meg wrogie spojrzenia. Nie mieli zamiaru zostawiać jej sam na sam ze Spence'em. Zanim wybiła dziewiąta, ich grupa zajmowała już trzy stoły. Tym bardziej rzucała się w oczy nieobecność Teda i Sunny.

Przed wyjściem z klubu Meg wzięła prysznic i przebrała się w zapasowe ubranie: zupełnie nijaki, szary top z golfem, kloszowaną spódnicę i sandały. Jednak ten skromny strój nie zniechęcił Spence'a, który nie mógł

utrzymać rąk przy sobie. Korzystał z każdego pretekstu, żeby ją napastować. Przesuwał palcami po jej nadgarstku, poprawiał papierową serwetkę na jej kolanach, ocierał się przedramieniem o jej pierś, sięgając po buteleczkę tabasco. Lady Emma z całych sił starała się odwrócić jego uwagę, ale Spencer Skipjack czuł swoją władzę. Zamierzał jej użyć i dostać to, czego chciał. Co

wyjaśniało, w jaki sposób Meg znalazła się na parkingu, w blasku czerwonych i niebieskich świateł neonu Roustabout, z komórką przyciśniętą do ucha.

- Tato, mam tu obok jednego z twoich największych fanów - powiedziała, kiedy jej ojciec odebrał telefon. - Wiem, że słyszałeś o Spencerze Skipjacku, założycielu Viceroy Industries. Wiesz, to te najbardziej luksusowe instalacje hydrauliczne, armatury, wyroby łazienkowe. On jest po prostu genialny.

Spence uśmiechał się szeroko, a jego pierś w migającym świetle neonu nadymała się niczym jeden z sufletów szefa kuchni, w stadium przed wypadkiem.

Meg zapewne oderwała ojca od ulubionej starej maszyny do pisania marki Smith Corona. Albo od swojej matki. Tak czy owak nie sprawiał

wrażenia zadowolonego.

- O co ci chodzi?

- Możesz uwierzyć? - odparła. - Mimo że jest taki zajęty, dał mi dzisiaj lekcję golfa.

Zniecierpliwienie Jake'a Korandy zamieniło się w niepokój.

- Wpakowałaś się w jakieś kłopoty?

- Absolutnie nie. Golf to najcudowniejsza gra pod słońcem. Ale przecież doskonale o tym wiesz.

- Lepiej żebyś miała do tego dobry powód.

- Mam. Już ci go daję.

Licząc, że się uda, podsunęła Spence'owi komórkę.

Skipjack natychmiast przybrał zenująco poufały ton. Krytyczne analizy filmowe szpikował poradami hydraulicznymi, oferował korzystanie ze swego odrzutowca, pouczał, gdzie w Los Angeles należy jadać. Najwyraźniej jej ojciec nie powiedział nic, co by go uraziło, bo oddając Meg telefon, Spence promieniał.

Jednak Jake Koranda nie był równie zachwycony.

- Ten facet to idiota.

- Wiedziałam, że zrobi na tobie wrażenie. Kocham cię. - Meg zatrzasnęła komórkę i podniosła kciuki do góry. - Mój ojciec zwykle nie przekonuje się do ludzi tak szybko.

Wystarczyło jedno spojrzenie na rozanieloną minę Skipjacka, aby zrozumieć, że jego obsesja jeszcze bardziej się nasiliła. Jednak w chwili, gdy złapał Meg za ramiona i zaczął ciągnąć do siebie, drzwi restauracji gwałtownie się otwały. Torie, która wreszcie zauważyła, że oboje zniknęli, przybywała pędem na ratunek.

- Hej, pospieszcie się. Kenny właśnie zamówił po trzy desery każdego rodzaju.

Spence nie odrywał drapieżnych oczu od swojej ofiary.

- Meg i ja mamy inne plany.



- Ciasto z czekoladowym nadzieniem? - wykrzyknęła Meg.

- I pyszny placek brzoskwiniowy! - zawtórowała jej Torie.

Wspólnymi siłami zdołały nakłonić Spence'a, żeby wrócił do restauracji, ale Meg miała już dosyć roli zakładniczki. Na szczęście uparła się przyjechać do Roustabout własnym autem, więc po czterech kęsach ciasta z czekoladą podniosła się od stołu.

- To był długi dzień, a ja muszę jutro iść do pracy. Dallye natychmiast był na nogach.

- Odprowadzę cię do samochodu.

Kenny podsunął Spence'owi piwo, zatrzymując go, zanim zdążył za nią ruszyć.

- Potrzebuję porady w sprawach biznesowych, Spence, a nie wyobrażam sobie lepszego znawcy tematu, do którego mógłbym się zwrócić.

W tym momencie Meg uciekła.

Poprzedniego dnia, po wyjściu z klubu, odkryła, że ktoś wymienił w jej gracie stłuczoną szybę na nową. Chociaż Ted wyparł się swego udziału i tak mu nie uwierzyła. Na razie żadnych więcej rzeczy jej nie zniszczono, ale to wcale nie kończyło sprawy. Kimkolwiek był człowiek, który tak bardzo Meg nienawidził, wyraźnie nie zamierzał się poddać, dopóki ona nie opuści Wy-nette.

W domu zastała Skeeta śpiącego przed telewizorem. Na palcach przemknęła do swego pokoju. Właśnie kiedy zrzucała z nóg sandały, uchyliło się okno i przez szparę przecisnęło się długie, szczupłe ciało Teda. Meg poczuła, jak kłębią się w niej małe wiry rozkoszy. Przechyliła głowę.

- Bardzo się cieszę, że nie musisz już się do mnie zakradać.

- Nie chciało mi się gadać ze Skeetem. Dziś w nocy nikt - nawet ty - nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi.

- Sunny wreszcie ci odpuściła?

- Nawet lepiej. - Rozpromienił się od ucha do ucha. - Jutro zostanie wydany komunikat. Spence wybrał Wynette.

Meg odpowiedziała mu uśmiechem.

- Gratulacje, panie burmistrzu. - Objęła go, jednak po chwili się odsunęła.

- Wiesz, że zawierasz pakt z diabłem?

- Słabością Spence'a jest ego. Dopóki je kontrolujemy, panujemy nad człowiekiem.

- Bezwzględne, ale prawdziwe - odparła. - Nadal nie mogę uwierzyć, że żadna z tych kobiet nie puści pary z ust.

- Na jaki temat?

- Chwilowej utraty zdrowych zmysłów, której doznałeś podczas lunchu u twojej matki. Dwadzieścia kobiet! Dwadzieścia jeden, jeśli policzymy mamusię.

Ale on miał inne sprawy na głowie.

- Trzymam w pogotowiu agencję PR. Jeszcze atrament nie wyschnie na naszej umowie, a już popłyną w świat komunikaty medialne namaszczające Spence'a na lidera golfowej frakcji zielonych. Musimy mieć pewność, że od razu wpakuje się na tyle głęboko, by już nie móc się z tego wydobyć.

- Uwielbiam, jak świntuszysz.

Kiedy tak się z nim droczyła, ogarnął ją niepokój, uczucie, że coś jej umyka, ale ściągając z niego ubranie, natychmiast o tym zapomniała.

Wyśmienicie współpracował, więc wkrótce leżeli na łóżku nadzy, a wpadający przez okno wietrzyk owiewał ich ciała.

Tym razem nie zamierzała pozwolić Tedowi, by przejął kontrolę.

- Zamknij oczy - szepnęła. - Mocno.

Zrobił, jak sobie życzyła, a ona wtuliła w niego twarz i powoli sunęła nosem po jego skórze, aż do małego, naprężonego sutka. Pomarudziła tu przez chwilę, a potem jej palce wsunęły mu się pomiędzy uda. Całowała go, ujmowała w dłonie, głaskała.

Powieki miał lekko uchylone, ciężkie. Sięgnął po nią, ale obsunęła się na niego, zanim zdążył zapanować nad sytuacją. I powoli zaczęła go wprowadzać do swego ciała - ciała nie całkiem jeszcze gotowego na tak potężną inwazję. Ale lekki opór i ból tylko ją podnieciły.

Teraz jego oczy były już całkiem otwarte. Zaczęła ujeżdżać go z całych sił, kiedy poczuła ręce chwytające ją za biodra, przytrzymujące jej plecy.

Zmarszczył czoło. Nie chciała widzieć na jego twarzy niepokoję. Chciała widzieć ekstazę.

Ale Ted był zbyt wielkim dżentelmenem.

Wygiął się w łuk i przytknął usta do jej piersi. Ten ruch uniósł jego biodra i zsunął ją z niego.

- Nie tak szybko - szepnął w jej wilgotny sutek.

Właśnie tak, szybko!, chciała krzyknąć. Szybko i nieskładnie, szaleńczo i namiętne.

Ale on wyczuł, że jest jeszcze niegotowa i niczego takiego nie zrobił.

Nigdy by dla zaspokojenia własnych potrzeb nie pozwolił, żeby choć przez chwilę cierpiała niewygodę. Drażniąc jej sutek, wsunął rękę pomiędzy ich ciała i rozpoczął swoje magiczne sztuki, pobudzając ją, dopóki nie utraciła kontroli nad sobą. Kolejny występ na piątkę z plusem.

Pierwsza doszła do siebie i wytoczyła się spod niego. Nie otworzył oczu.

Usiłowała rozproszyć swoje obawy widokiem gwałtownie unoszącej się i opadającej klatki piersiowej, śliskiej od potu skóry. Ale mimo że włosy miał zmierzwiłone, a dolną wargę nieznacznie obrzmiała, nie potrafiła uwierzyć, że naprawdę go poruszyła, wywołała jakiś trwały efekt. Tylko wspomnienie nierozważnego pocałunku na oczach plotkar z Wynette mówiło jej, że nie była kompletną idiotką.

W miasteczku wrzało od wieści, że Spence jednak wybrał Wynette. Przez następne trzy dni ludzie ściskali się na ulicach, restauracja Roustabout serwowała darmowe piwo, a u męskiego fryzjera z sędziwego, przenośnego magnetofonu ryczały stare przeboje Queenów. Gdziekolwiek się Ted ruszył, mężczyźni klepali go po plecach, a kobiety rzucały mu się na szyję. Chociaż nie można powiedzieć, by dotychczas tego nie robiły.

Szczęśliwa wiadomość przyćmiła nawet komunikat Kayli, iż stawka licytacji sięgnęła dwunastu tysięcy dolarów.

Meg niemal Teda nie widywała. Albo wisiał na telefonie, rozmawiając z prawnikami Spence'a, którzy mieli lada dzień przylecieć, żeby sfinalizować kontrakt, albo był zaangażowany w operację Ucieczka przed Sunny. Strasznie go Meg brakowało, łącznie z ich nie-do-kon-ca-satysfakcjonującym życiem erotycznym.

Sama prowadziła własną grę uników ze Spence'em. Na szczęście miejscowi wspierali jej wysiłki i starali się trzymać go od niej z daleka.

Mimo to nie opuszczał jej niepokój, który musiała znosić przez tyle dni.

W niedzielę po pracy, zamiast wracać prosto do domu pojechała ochłonać w swoim pływackim zakątku. Zdażyła się już bardzo do niego przywiązać podobnie jak w ogóle do Pedernales River. Dla niej rzeka była zawsze przyjazna, chociaż Meg widziała na zdjęciach, jak nagle ulewy potrafią ją zmienić w rozszalały wodny korytarz zniszczenia.

Nad brzegiem zatoczki rosły cyprysy i jesiony. Czasami wśród drzew mignął jelen w irgiński albo pancernik. Kiedyś zza krzaków guzikowca wyszedł kojot i równie spłoszył się na jej widok, jak ona na jego. Ale dzisiaj chłodne wody nie roztaczały swojej magii Meg nie mogła się pozbyć dręczącej myśli, że przegapiła coś ważnego, co było tuż, tuż. Jak owoc, do którego nie była

w stanie dosięgnąć.

Napłynęły chmury. Z gałęzi pobliskiego wiązowca besztala ją sójka. Meg strząsała wodę z włosów i znowu zanurkowała. Kiedy wypłynęła na powierzchnię,

nie była sama. .

Nad nią, na brzegu, sterczał Spence. Z jego dużych dłoni zwisało ubranie, które z siebie zrzuciła.

- Nie powinnaś pływać tu sama, panno Meg. To niebezpieczne.

Palcami stóp ryła muł, woda pluskała jej wokół ramion. Skipjack musiał

za nią iść, a ona była zbyt pochłonięta myślami, żeby go zauważyć. Głupi błąd, jakiego ktoś, kto ma tylu wrogów, nigdy nie powinien popełniać.

Widok tego mężczyzny z jej rzeczami w ręku sprawił, że poczuła ucisk w żołądku.

- Bez obrazy, Spence, ale nie mam nastroju na towarzystwo.

- A może zmęczyło mnie już czekanie, kiedy wreszcie będziesz gotowa. -

Nie odkładając jej ciuchów, usiadł na dużym kamieniu, tuż koło ręcznika, który tam zostawiła, i bacznie się jej przyglądał. Ubrany był oficjalnie, w granatowe spodnie i niebieską garniturową koszulę z długimi rękawami.

Na materiale zaczęły pojawiać się plamy potu. - Chyba za każdym razem, kiedy próbowałem z tobą poważnie rozmawiać, zdołałaś mi się wyslizgnąć.

Była naga, nie licząc pary przemoczonych fig i chociaż bardzo chciała myśleć o Spencerze jak o zabawnym kabotynie, teraz już nie wydawał się jej śmieszny. Chmura przesłoniła słońce. Meg zacisnęła pod wodą pięści.

- Jestem beztroską osobą. Nie lubię poważnych rozmów.

- Przychodzi czas, kiedy każdy musi spoważnieć. Sposób, w jaki przesuwał w palcach jej stanik, przyprawiał ją o dreszcze, a nie znosiła się bać.

- Uciekaj, Spence. Nie byłeś zaproszony.

- Albo ty przyjdiesz do mnie, albo ja przyjdę do ciebie.

- Nigdzie się nie ruszę. Nie podoba mi się to i chcę, żebyś odszedł.

- Ta woda wygląda cholernie kusząco. - Położył jej ubranie koło siebie na kamieniu. - Mówiłem ci, że

w college'u pływałem wyczynowo? - Zaczął zdejmować buty. - Myślałem nawet, żeby trenować do olimpiady, ale miałem zbyt wiele innych spraw na głowie. Meg zanurzyła się głębiej.

- Jeśli rzeczywiście ci na mnie zależy, Spence, okazujesz to w niewłaściwy sposób.

Ściągnął skarpetki.

- Żałuję, że wcześniej nie pogadałem z tobą bez ogródek, ale Sunny twierdzi, że bywam zbyt otwarty. Mój mózg pracuje szybciej niż u większości ludzi. Sunny uważa, że nie dają im dość czasu, żeby mogli mnie

lepiej poznać.

- To prawda. Powinieneś słuchać córki.

- Nie opowiadaj bzdur, Meg. Miałaś czasu pod dostatkiem. - Jego palce zajęły się guzikami niebieskiej koszuli. - Myślisz, że jedyne, czego chcę to szybki numer. Chcę czegoś więcej, ale nigdy nie zostałaś wystarczająco długo, żeby mnie wysłuchać.

\_ Przepraszam. Spotkam się z tobą w mieście na obiedzie i wtedy powiesz mi wszystko, co zechcesz.

\_ Do tej rozmowy trzeba odrobiny prywatności, a tego w miasteczku nie znajdziemy. - Rozpiął mankiety - Mamy szansę na wspólną przyszłość.

Może nie na małżeństwo, ale na przyszłość. Na bycie razem. Wiedziałem to od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem.

- Jaką przyszłość? Bądź realistą. Pociągam cię, bo jestem córką Jake'a Korandy. Nawet mnie nie znasz. Tylko tak ci się wydaje.

- A tu się mylisz. - Zdjął koszulę, odsłaniając okropnie owłosioną pierś. -

Żyję na tym świecie dłużej niż ty, więc o wiele lepiej rozumiem ludzką naturę. - Wstał. - Tylko na siebie popatrz. Jeździsz jakimś pieprzonym wózkiem z napojami w trzeciorzędnym publicznym ośrodku golfowym, który nazywa siebie podmiejskim

klubem. Są kobiety, które same świetnie sobie radzą, ale ty do nich nie należysz. Potrzebujesz kogoś, kto zapłaci rachunki.

- Mylisz się.

- Czyżby? - Ruszył w stronę brzegu. - Rodzice wychowywali cię zbyt łagodnie. To błąd, którego ja nie popełniłem. Sunny pracowała w naszej fabryce od czternastego roku życia, więc wcześniej się nauczyła, skąd się biorą dolary. Ale z tobą było inaczej. Miałaś wszystkie profity i żadnej odpowiedzialności.

Jego słowa były wystarczająco bliskie prawdy, żeby zapiekły.

Spence przystanął. Gdzieś zakrakał kruk. Ze wszystkich stron otaczała ją wartka woda. Meg dygotała z zimna i bezradności.

Jego dłonie powędrowały do paska. Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy go rozpiął.

- Natychmiast przestań - zawołała.

- Jest mi gorąco, a ta woda wygląda naprawdę przyjemnie.

- Mówię serio, Spence. Nie chcę cię tutaj.

- Tylko tak ci się wydaje. - Ściągnął spodnie, cisnął je na ziemię i stanął

przed Meg. Jego owłosiony brzuch zwisał nad białymi bokserkami, z których wystawały blade nogi.

- Spence, ja nie chcę.

- Sama to na siebie ściągnęłaś. Gdybyś wczoraj poleciała ze mną do Dallas, tak jak prosiłem, moglibyśmy odbyć tę dyskusję w moim samolocie. - Skoczył do wody. Rozbryzgujące się krople uderzyły Meg po oczach. Zamrugła. Po kilku sekundach Skipjack wynurzył się koło niej. Włosy kleiły mu się do głowy, strumyczki ściekały po ciemnognatowym cieniu zarostu. - O co naprawdę chodzi? Myślisz, że się tobą nie zaopiekuję?

- Nie chcę, żebyś się mną opiekował. - Meg nie była pewna, czy on zamierza ją zgwałcić, czy tylko chce, by mu się podporządkowała.

Wiedziała jednak, że musi się stąd wydostać. Ale kiedy zaczęła wycofywać się w stronę brzegu, błyskawicznie wyciągnął rękę i chwycił

ją za nadgarstek.

- Chodź tutaj.

- Puszczaj.

Silne kciuki wbiły się w ramiona Meg. Poderwał ją z kamienistego dna, odsłaniając nad wodą jej piersi. Ujrzała, jak zbliżają się jego wargi. Duże, kwadratowe zęby były coraz bliżej jej ust.

- Meg!

Jakaś postać wybiegła pomiędzy drzew. Szczupła, ciemnowłosa, ubrana w zwisające na biodrach szorty i hippisowską koszulkę retro.

- Haley!

Spence odskoczył do tyłu, jakby go ktoś uderzył. Haley podeszła do brzegu, obejmując się skrzyżowanymi rękami i kurczowo przyciskając do siebie łokcie, niepewna, co dalej robić.

Meg nie wiedziała, skąd dziewczyna się tam wzięła, ale w życiu nie ucieszyła się tak na czyjś widok. Ciężkie, mocno zarysowane brwi Skipjacka ściągnęły się złowieszczo nad małymi oczami. Meg zmusiła się, żeby na niego spojrzeć.

- Spence właśnie zbierał się do odejścia. Prawda, Spence?

Furia malująca się na twarzy mężczyzny świadczyła, że ich romans dobiegł końca. Urażając jego ego, Meg trafiła na sam szczyt listy wrogów.

Wyszedł z wody. Białe majtki oblepiały mu pośladki. Meg odwróciła wzrok. Haley stała w cieniu jak przy-murowana. Nie poświęciwszy jej jednego spojrzenia,

Spencer Skipjack wściekłym ruchem wciągnął spodnie i wsunął stopy w buty, nawet nie zakładając skarpetek.

- Wydaje ci się, że ze mną wygrałaś, ale się mylisz. -Zabrzmiało to niemal jak warknięcie. - Nic się tu nie stało. - Chwycił koszulę. -1 niech żadna z was nie próbuje twierdzić czego innego.

Zniknął za zakrętem ścieżki.

Zęby Meg szczękały, kolana zablokowały się tak, że nie była w stanie się poruszyć.

Wreszcie Haley odzyskała mowę.

- Muszę... muszę już iść.

- Jeszcze nie. Pomóż mi. Jestem trochę roztrzęsiona. Dziewczyna podeszła do brzegu.

- Nie powinnaś się tu kąpać całkiem sama.

- Wierz mi, nigdy więcej tego nie zrobię. To było głupie. - Meg skrzywiła się, bo ostry kamyk uraził ją w poduszeczkę stopy. - Proszę, podaj mi rękę.

Z pomocą Haley wygramoliła się z rzeki. Miała na sobie tylko majtki, ociekała wodą i nie mogła przestać dzwonić zębami. Złapała ręcznik, który zostawiła na brzegu i osunęła się na nagrany słońcem kamień.

- Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie ty. Haley zerknęła w stronę ścieżki.

- Masz zamiar zadzwonić na policję?

- Naprawdę myślisz, że ktoś by tu teraz chciał pociągnąć Spence'a do odpowiedzialności?

Haley potarła łokieć.

- A co z Tedem? Jemu powiesz?

Meg wyobraziła sobie konsekwencje takich zwierzeń. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Jednak nie zamierzała zachować tajemnicy na zawsze. Wytarła włosy ręcznikiem i zwinęła go w kłęb.

- Zadzwonię do pracy i poproszę o kilka dni wolnego z powodu choroby, żeby mieć pewność, że

Spence

mnie nie dopadnie. Ale kiedy tylko zaliczka od tego sukinsyna znajdzie się w banku, opowiem Tedowi wszystko, co się wydarzyło. I jeszcze paru innym osobom. Powinni wiedzieć, z jakim człowiekiem mają do czynienia. - Kurczowo ścisnęła ręcznik. A na razie zachowaj to dla siebie, dobrze?

- Zastanawiam się, co by Spence zrobił, gdybym się nie pojawiła.

- Nawet nie chcę o tym myśleć. - Meg podniosła z ziemi swoją koszulkę polo, ale nie mogła się zmusić do założenia biustonosza, którego dotykał

Skipjack. - Nie wiem, co za szczęśliwy traf cię dzisiaj sprowadził, ale cieszę się, że tak się stało. A swoją drogą, skąd się tu wzięłaś?

Haley wzdrygnęła się, jakby to pytanie ją spłoszyło.

- Byłam... nie wiem. - Rumieniec oblał jej twarz pod warstwą makijażu. -

Jechałam do domu i pomyślałam, że może byś chciała... jakiegoś hamburgera czy coś.

Dłonie Meg zamarły na brzegu koszulki.

- Wszyscy wiedzą, że mieszkam u Skeeta. Jak znalazłaś mnie tutaj ?

- Co za różnica? - Dziewczyna odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę ścieżki.

- Zaczekaj!

Ale Haley nie zaczekała. Jej reakcja była tak gwałtowna, tak nieproporcjonalna w stosunku do treści rozmowy, że Meg osłupiała. A potem wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce.

Poczuła ucisk w piersi. Wsunęła klapki na stopy i ruszyła w pogoń.

Zamiast biec ścieżką, wybrała drogę na skróty przez cmentarz. Klapki plaskały jej o pięty, chwasty łapały za jeszcze wilgotne nogi. Znalazła się przed kościółkiem dokładnie w chwili, gdy zza węgła wyłoniła się Haley.

Zatarasowała dziewczynie drogę.

- Stój! Chcę z tobą pomówić.

- Spadaj!

Haley usiłowała ją wyminąć, jednak Meg jej nie pozwoliła.

- Wiedziałaś, że tu jestem, bo mnie śledziłaś. Tak samo jak Spence.



- O czym ty mówisz? Puść mnie! Meg wzmocniła uścisk.

- To byłaś ty.

- Przestań!

Haley próbowała uwolnić ramię, ale Meg trzymała mocno. Woda lodowatymi strużkami skapywała jej po karku.

- Przez cały czas. To ty włamałaś się do kościółka. To ty wysłałaś ten list i rzuciłaś kamieniem w mój samochód. Od samego początku to byłaś ty.

Klatka piersiowa Haley gwałtownie unosiła się i opadała.

- Nie... nie wiem, o czym mówisz.

Meg chciało się wymiotować. Wilgotny T-shirt oblepiał jej skórę. Na rękach wyskoczyła gęsia skórka.

- Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami. Ostatnie słowa uwolniły coś w Haley. Wyszarpnęła się z uścisku Meg, szyderczy uśmiech wykrzywił jej usta.

- Przyjaciółkami! Taaak, ty byłaś przyjaciółką, faktycznie.

Zerwał się wiatr. Jakieś zwierzę przemknęło przez zarośla. Meg wreszcie zrozumiała.

- Chodzi o Teda...?

Twarz dziewczyny skurczyła się z furii.

- Powiedziałaś, że tak tylko opowiadasz, żeby uwolnić się od Spence'a. I ja ci uwierzyłam. Byłam taka głupia. Wierzyłam ci aż do tamtej nocy, kiedy zobaczyłam was razem.

Tamtej nocy, kiedy kochała się z Tedem w kościółku i zauważyła światła samochodu. Meg poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Szpiegowałaś nas.

- Nie szpiegowałam! - krzyknęła Haley. - To nie było tak! Przejeżdżałam tędy i zobaczyłam zaparkowaną furgonetkę Teda. Przedtem nie było go w mieście, a chciałam z nim porozmawiać.

- Więc przyszedł tu za nim. Haley nerwowo pokręciła głową.

- Nie wiedziałam, dokąd poszedł. Chciałam z nim tylko porozmawiać.

- I osiągnęłaś cel, podglądając nas przez okno. Łzy wściekłości spłynęły jej spod powiek.

- Okłamałaś mnie! Powiedziałaś, że tylko udajesz!

- Nie okłamałam. Od tego się właśnie zaczęło. Ale potem sytuacja uległa zmianie i z całą pewnością nie zamierzałam wydawać na ten temat oficjalnego komunikatu. - Meg popatrzyła na nią z niesmakiem. - Nie mogę uwierzyć, że mi to wszystko zrobiłaś. Masz pojęcie, jak ja się czułam?

Haley otarła nos wierzchem dłoni.

- Nie zrobiłam ci krzywdy. Chciałam tylko, żebyś się stąd wyniosła.

- A co z Kyle'em? Tego nie rozumiem. Myślałam, że za nim szalejesz.

Widziałam was razem.

- Powiedziałam mu, żeby się odczepił, ale ciągle nachodził mnie w pracy.

- Łzy z tuszem do rzęs rozmazały się jej na policzkach. - W zeszłym roku, kiedy go lubiłam, nawet się do mnie nie odezwał. A jak przestał mi się podobać, nagle się okazało, że chce się ze mną spotykać.

Układanka miała już wszystkie elementy.

- Zmieniłaś zdanie w sprawie studiów nie z powodu Kyle'a. Przez cały czas chodziło o Teda. Bo on i Lucy w końcu się nie pobrali.

- No to co? - Nos miała czerwony, twarz w plamach.

- Jej też robiłaś takie rzeczy? Też ją tak nękałaś?

- Lucy była inna.

- Miała wyjść za niego za mąż! Ale jej dałaś spokój, a na mnie się uwzięłaś. Dlaczego? Tego nie rozumiem.

- Wtedy go nie kochałam - odparła gwałtownie. - A przynajmniej nie w taki sposób. Wszystko się zmieniło, kiedy ona go rzuciła. Przedtem...

podkochiwałam się w nim jak każda tutejsza dziewczyna, ale to była dzie-cinada. A po jej ucieczce stało się tak, że potrafiłam zajrzeć do jego serca i zobaczyć całe to cierpienie. I chciałam, żeby ono znikło. Jakbym tylko ja go rozumiała, nikt inny.

Jeszcze jedna kobieta przekonana, że rozumie Teda Beaudine'a.

Oczy Haley płonęły.

- Wiem, że nigdy nikogo nie pokocham tak jak jego. A jeśli kocha się kogoś bardzo mocno, to on w końcu na to uczucie odpowie, prawda?

Tylko musiałam coś zrobić, żeby mnie zauważył. I to już się udało, ale potrzebowałam więcej czasu. I wtedy ty zaczęłaś za nim latać.

Była już najwyższa pora na zimny prysznic. Meg czuła wystarczający gniew, żeby go Haley zapewnić.

- Udało się jedynie w twoich fantazjach. Ted nigdy by się w tobie nie zakochał. Jesteś za młoda, a on jest za trudny.

- Wcale nie jest trudny! Jak możesz tak o nim mówić?

- Bo to prawda. - Puściła dziewczynę, zniesmaczona. - Jesteś kompletnie niedojrzała. Zachowujesz się jak dwunastolatka. Prawdziwa miłość czyni człowie-

ka lepszym. Nie zmienia go w podglądacza i wandala. Naprawdę sądzisz, że Ted mógłby pokochać kogoś, kto krzywdzi innych? Kto robi to, co ty mi robiłaś?

Trafiła w czuły punkt. Twarz Haley skrzywiła się jak do płaczu.

- Nie chciałam cię skrzywdzić. Chciałam tylko, żebyś wyjechała.

- Oczywiście. A co zaplanowałaś dla mnie na dzisiaj?

- Nic.

- Nie kłam!

- Nie wiem! - krzyknęła. - Ja... Kiedy zobaczyłam, że poszłaś popływać, chyba chciałam zabrać ci ubranie. I może spalić.

- Bardzo dorośle. - Meg zamilkła i rozcierała nadgarstek w miejscu, gdzie złapał ją Spence. - I zamiast tego wyskoczyłaś z ukrycia, żeby mnie bronić.

- Miałaś się stąd wynieść, a nie zostać zgwałcona! Meg nie sądziła, żeby Spence odważył się ją zgwałcić, ale zawsze przejawiała skłonność do optymizmu.

Ich dramatyczną scenę przerwał chrzęst żwiru pod oponami. Odwróciły się i ujrzały nadjeżdżającą w pędzie jasnoniebieską furgonetkę.

## *Rozdział 19*

MEG ZAPOMNIAŁA o UKRYTEJ KAMERZE, a Haley w ogóle o niej nie wiedziała. W panice gwałtownie podniosła głowę.

- Powiesz mi, co zrobiłam, prawda?

- Nie. Ty mi powiesz. - Haley zachowywała się złośliwie i destrukcyjnie, ale również uratowała ją przed Spence'em i Meg była jej coś za to winna.

Chwyciła

dziewczynę za ramiona. - Posłuchaj mnie. Właśnie w tej chwili masz szansę zmienić bieg swego życia. Przestać być podstępny, siejącym zniszczenie, zakochanym dzieciakiem i stać się kobietą z odrobiną charakteru. - Haley skrzywiła się, bo palce Meg boleśnie wciskały się w jej ciało. - Jeśli teraz nie zdobędziesz się na odwagę i nie stawisz czoła konsekwencjom, zawsze będziesz żyła w cieniu tego, co zrobiłaś - ze wstydem i świadomością, że jesteś nędzną kreaturą, która zdradziła przyjaciółkę.

Twarz Haley skurczyła się.

- Nie potrafię.

- Potrafisz. Możesz dokonać wszystkiego, co sobie postanowisz. Życie nie daje zbyt wielu okazji takich jak ta i wiesz, co myślę? Myślę, że od tego, jak się zachowasz w ciągu najbliższych paru minut, zależy, kim od tej chwili będziesz.

- Nie, ja...

Ted wyskoczył z furgonetki i podbiegł do Meg.

- Dzwonili ludzie z firmy ochroniarskiej. Powiedzieli, że pojawił się Spence. Przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

- Już go tu nie ma - odparła Meg. - Zniechęcił się, kiedy zobaczył Haley.

Ted omiół spojrzeniem gołe nogi Meg i wilgotną koszulkę, która niecałkiem zakrywała mokre figi.

- Co się stało? Sprawił ci jakiś kłopot, tak?

- Powiedzmy, że nie był sympatyczny. Ale nie rozwaliłam waszej wielkiej umowy, jeśli to chcesz wiedzieć. - Oczywiście, chciał to wiedzieć. - A przynajmniej tak mi się wydaje - dodała.

Ulga, którą dostrzegła na jego twarzy, odzwierciedlała niepokój. O nią czy o Wynette? Bardziej niż czegokolwiek Meg pragnęła wyznać mu wszystko, ale po-

stawiałaby go w strasznej sytuacji. Jakikolwiek by to było trudne, zamierzała poczekać na właściwy moment. Chociaż przez kilka dni.

W końcu Ted zauważył czerwone oczy i plamy na twarzy Haley.

- A tobie co się stało?

Dziewczyna zerknęła na Meg, czekając, że ją wyda, ale Meg tylko się w nią wpatrywała. Haley opuściła głowę.

- Ja... uządliła mnie pszczoła.

- Pszczoła? - zdziwił się Ted.

Znów popatrzyła na Meg, prowokując ją do reakcji. A może błagając, żeby zrobiła to, na co sama nie potrafiła się zdobyć. Mijały sekundy i kiedy Meg nadal milczała, Haley zaczęła skubać nerwowo dolną wargę.

- Muszę już jechać - wymamrotała wreszcie cichym, tchórzliwym głosem.

Ted domyślał się, że chodzi o coś więcej niż uządlenie przez pszczołę.

Posłał pytające spojrzenie Meg, jednak ona była całkowicie skoncentrowana na dziewczynie.

Haley grzebała po kieszeniach skąpych szortów w poszukiwaniu kluczyków. Zaparkowała swego focusa przodem do wylotu alejki, przypuszczalnie dlatego, żeby po spaleniu ubrań móc się szybko zmyć.

Wyciągnęła kluczyki i przez chwilę wpatrywała się w nie, nadal czekając, że jej tajemnica zostanie ujawniona. Kiedy to nie nastąpiło, ruszyła krótkimi, niepewnymi krokami w stronę swego

samochodu.

- Wszystkiego dobrego na resztę życia! - zawołała Meg.

Ted przyglądał się tej scenie z zaciekawieniem. Haley zawahała się, po czym stanęła. Kiedy wreszcie odwróciła się do nich, jej oczy były ponure i pełne błagania.

Meg pokręciła głową.

Haley poruszyły się mięśnie gardła. Meg wstrzymała oddech.

Dziewczyna spojrzała w stronę samochodu. Zrobiła kolejny krok. Znowu się zatrzymała i popatrzyła w twarz Tedowi.

- To byłam ja - powiedziała pospiesznie. - Ja robiłam to wszystko Meg.

Gapił się na nią, zaskoczony.

- O czym ty mówisz?

- To ja... zdemolowałam kościółek.

Rzadko się zdarzało, żeby Tedowi Beaudine'owi odjęło mowę, ale właśnie nastąpił jeden z takich momentów. Haley obracała kluczyki w palcach.

- To ja wysłałam ten list. To ja nakleiliśmy nalepki na zderzaki i próbowałam połamać wycieraczki, i rzuciłam kamieniem w przednią szybę.

Ted potrząsnął głową, usiłując to wszystko ogarnąć. A potem zaatakował

Meg.

- Powiedziałaś mi, że kamień wyprysnął spod kół ciężarówki.

- Nie chciałam, żebyś się niepokoił - odparła Meg. Albo wziął na siebie ciężar wymiany mojego grata na samochód opancerzony, do czego zdecydowanie bylibyś zdolny.

Odwróciwszy się do niej plecami, Ted stanął przed Haley.

- Dlaczego? Dlaczego to robiłaś?

- Żeby... żeby zmusić ją do wyjazdu. Przepraszam. Jak na geniusza wolno chwycił.

- A czym ona ci zawiniła?

Raz jeszcze dziewczyna zawahała się. To był dla niej najtrudniejszy moment, więc spojrzała na Meg, prosząc o pomoc. Ale Meg pozostała niezłomna. Dłoń Haley zacisnęła się na kluczykach.

- Byłam o nią zazdrosna.

- Zazdrosna, ale o co?

Meg wolałaby, żeby jego ton nie brzmiał tak sceptycznie.

Głos Haley przycichł do szeptu.

- O ciebie.

- O mnie? - Jeszcze większe niedowierzenie.

- Bo ja się w tobie zakochałam - wykrztusiła Haley, a każde jej słowo spowijało przygnębienie.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. - Niesmak Teda był

tak wyraźny, że Meg prawie zaczęła jej współczuć. - Jak znęcanie się nad kimś mogło być dowodem twojej tak zwanej miłości? - warknął, rozbijając w drobny mak świat fantazji Haley.

Dziewczyna przycisnęła rękę do brzucha.

- Prze... przepraszam. - Rozpłakała się. - Nie... nie myślałam, że to tak daleko zajdzie. Przepraszam.

- Przeprosiny niczego nie załatwiają - uciał ostro. Po czym w sposób ostateczny dowiódł, jak bardzo nie odwzajemnia jej uczuć. - Wsiadaj do swego samochodu. Jedziemy na posterunek. I lepiej zadzwoń po drodze do matki, bo będziesz potrzebowała wszelkiego możliwego wsparcia.

Łzy toczyły się po policzkach Haley, cichy, zdławiony szloch wydobywał

się jej z gardła, ale trzymała głowę wysoko. Zaakceptowała swój los i nie wdawała się z Tedem w spory.

- Zaczekaj. - Meg wydeła policzki, po czym wypuściła powietrze. - W

sprawie policji muszę zaprotestować.

Haley nie odrywała od niej oczu. Ted niecierpliwie machnął ręką.

- Sprawa nie podlega dyskusji.

- To ja jestem ofiarą, więc mam ostatnie słowo.

- Masz jak diabli - zirytował się. - Ona cię terroryzowała i teraz za to zapłaci.

- Zapłaci za szybę, którą musiałeś mi wymienić, to na pewno.

Był tak wściekły, że skóra zbieła mu pod opalenizną.

- Za o wiele więcej niż wymiana szyby. Ona złamała co najmniej tuzin paragrafów. Wtargnięcie na cudzy teren, nękanie, wandalizm...

- A ile paragrafów ty złamałeś - zapytała Meg - kiedy zdewastowałeś Statuę Wolności?

- Miałem dziewięć lat.

- Byłeś geniuszem - wytknęła mu. Haley obserwowała ich niepewna, co się dzieje i jaki to będzie miał wpływ na jej sprawę. - Znaczy, że miałeś IQ przynajmniej dziesiętnastolatka. Ona jest o rok młodsza.

- Meg, pomyśl, jak ona cię skrzywdziła.

- Nie muszę. To Haley powinna o tym myśleć i mogę się mylić, ale coś czuję, że zamierza to robić. Proszę, Ted. Każdy powinien dostać drugą szansę.

Jej przyszłość leżała w rękach Teda, ale dziewczyna patrzyła na Meg z wyrazem twarzy, w którym mieszały się wstyd i podziw.

Ted rzucił Haley gniewne spojrzenie.

- Nie zasługujesz na to.

Haley otarła palcami policzki i znów wpatrzyła się w Meg.

- Dziękuję - szepnęła. - Nigdy tego nie zapomnę. I obiecuję. Jakoś ci to wynagrodzę.

- Wynagradzaniem mnie nie zwracaj sobie głowy - odparła Meg. -

Wynagrodź to sobie.

Dziewczyna przez chwilę przyswajała te słowa. Wreszcie skinęła głową -

prawie niewidoczny, pełen wahania ruch - a potem przytaknęła już bardziej stanowczo.

Kiedy odeszła do samochodu, Meg przypomniło się dręczące uczucie, że coś ważnego jej umyka. To musiało być to. Podświadomie musiała podejrzewać Haley, chociaż nie była pewna, jak to możliwe.

Haley odjechała.

- Jesteś zbyt miękka, wiesz o tym? - Ted walił obcasem buta w żwir. -

Cholernie miękka.

- Jestem zepsutym dzieciakiem celebrytów, nie pamiętasz? Miękkie życie to jedyne, czego doświadczyłam.

- Nie pora na żarty.



- Hej, a czy możesz wyobrazić sobie lepszy dowcip niż Ted Beaudine prowadzący się z taką zwyczajną śmiertelniczką jak Meg...

- Przestań!

Była rozdrażniona w skutek napięcia, które przeżyła tego dnia, ale nie chciała, żeby Ted widział, jak bardzo czuje się bezbronna.

- Nie lubię, kiedy marudzisz - powiedziała. - To wbrew prawom natury.

Jeśli ty jesteś w stanie przemienić się w zrzędę, kto wie, co jeszcze się zdarzy? Cały wszechświat może wybuchnąć.

Ignorując te uwagi, wetknął jej mokry pukiel włosów za ucho.

- Czego chciał Spence? Pomijając to, żebyś słuchała go z zachwytem i przedstawiła swoim sławnym znajomym.

- W zasadzie... do tego się rzecz sprowadzała. - Wtuliła policzek w jego dłoń.

- Coś przede mną ukrywasz. Zniżyła głos do seksownego pomruku.

- Skarbie, jest cała masa spraw, które przed tobą ukrywam.

Uśmiechnął się i dotknął kciukiem jej dolnej wargi.

- Nie możesz tak się wymykać na własną rękę. Wszyscy starają się pilnować, żebyś nigdy nie zostawała z nim sama, ale ty też musisz współdziałać.

- Uwierz mi, to już się nigdy nie powtórzy. Chociaż nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo mnie wkurza, że muszę się ukrywać, tylko dlatego że jakiś napalony milioner...

- Wiem. To nie w porządku. - Przycisnął wargi do jej czoła. - Jeszcze przez kilka dni trzymaj się od niego z daleka, a potem możesz mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła. A właściwie ja zrobię to za ciebie.

Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi już doskwiera, że ten błazen kieruje moim życiem.

Uczucie powróciło bez ostrzeżenia. Wrażenie, że coś na nią czyha. Coś co nie miało żadnego związku z Haley Kittle.

Niebo było coraz ciemniejsze, wiatr obciskał koszulkę jej ciało.

- Nie wydaje ci się... nie wydaje ci się dziwne, że Spence dotychczas o nas nie usłyszał? Albo że Sunny nie usłyszała? Tylu ludzi się dowiedziało, ale... nie oni. Bo Sunny nie wie, prawda?

Zerknął w górę, na chmury.

- Najwyraźniej nie.

Meg nie mogła wciągnąć wystarczającej porcji tlenu do płuc.

- W czasie tamtego lunchu dwadzieścia kobiet widziało, jak mnie pocałowałeś. Niektóre musiały powiedzieć o tym swoim mężom, przyjaciołom. Birdie powiedziała Haley.

- Na to wygląda.

Pędzące chmury pograżały jego twarz w cieniu. Owoc, którego z takim wysiłkiem usiłowała dotknąć, był coraz bliżej. Zaczepnęła powietrza.

- Wszyscy wiedzą, że jesteśmy parą. Wszyscy, oprócz Spence'a i Sunny.

- To jest Wynette. Ludzie potrafią współpracować. Owoc wisiał tak nisko, że mogła pochwycić jego zapach, już wcale nie przyjemny, a cuchnący i mdły.

- Co za lojalni ludzie.

- Nie mogliby być lojalniejsi.

I właśnie wtedy zatruty owoc znalazł się w jej dłoni.

- Przez cały czas wiedziałeś, że nikt nie pisnie Skip-jackom słowa.

W oddali przetoczył się grzmot... Ted wyciągnął szyję w stronę kamery na drzewie, jakby chciał się upewnić, że nadal tam wisi.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Och, rozumiesz, dobrze rozumiesz. - Mówiła na resztkach bolesnego oddechu. - Kiedy mnie pocałowałeś... Kiedy powiedziałeś tym wszystkim kobietom, że jesteśmy parą... Wiedziałeś, że dotrzymają sekretu.

Wzruszył ramionami.

- Ludzie i tak zrobią to, co zamierzają.

Owoc pękł w jej dłoniach, odsłaniając robaczywy, zgniły miąższ.

- Cała twoja gadanina o jawności i uczciwości, o tym, jak nienawidziłeś ukrywania się. Kupiłam to.

- Naprawdę nienawidzę ukrywania się. Chmury kłębiły się im nad głowami, znowu zahuczał grzmot, a ją porwała fala wściekłości.

- Byłam taka wzruszona, kiedy pocałowałeś mnie na oczach wszystkich.

Taka oszołomiona, że chciałeś się poświęcić. Dla mnie! Ale ty... ty niczego nie ryzykowałeś.

- Chwileczkę. - W jego oczach płonęło autentyczne oburzenie. - Tamtego wieczoru zbeształaś mnie. Twierdziłaś, że popełniłem głupotę.

- Bo tak podpowiadała mi głowa. Ale serce... Moje durne serce... - Głos jej się załamał. - Śpiewało z radości.

Ted zamrugął.

- Meg...

Gra emocji na twarzy mężczyzny, który nigdy by z rozmysłem nikogo nie skrzywdził, była boleśnie łatwa do rozszyfrowania. Przerazenie. Troska.

Litość. Nienawidziła tego... Jego nienawidziła. Chciała go zranić, tak jak on zranił ją, i dokładnie wiedziała, czym go ukarać. Swoją szczerością.

- Zakochałam się w tobie - oznajmiła. - Tak jak wszystkie.

Nie potrafił ukryć konsternacji.

- Meg...

- Ale nie znaczę dla ciebie ani trochę więcej niż którakolwiek z nich. Ani trochę więcej niż Lucy.

- Przestań.

- Jestem straszną idiotką. Ten pocałunek tak wiele dla mnie znaczył.

Pozwoliłam mu znaczyć tak wiele. - Wyrwał się jej chrapliwy śmiech, który był głównie szlochem i sama nie wiedziała, czy to z powodu śmiechu, czy szlochu była na siebie bardziej zła. - A kiedy chciałeś, żebym się do ciebie wprowadziła... Wszyscy wpadli w popłoch, ale gdybym zamieszkała w twoim domu, daliby się zabić, żeby cię kryć.

Wiedziałaś o tym.

- Robisz wielką aferę z niczego. - Jednak nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

Objęła wzrokiem jego wyrazisty, nieskazitelny profil.

- Już sam twój widok sprawia, że czuję się, jakbym tańczyła - wyszeptwała.

- Nigdy nie kochałam żadnego mężczyzny tak, jak kocham ciebie. Nigdy nie wyobrażałam sobie takiej miłości, jaką ciebie darzę.

Usta wykrzywił mu grymas bólu, oczy pociemniały.

- Posłuchaj, zależy mi na tobie. Nie myśl, że nie. Jesteś... jesteś cudowna.

Sprawiasz, że...

Umilkł, szukając właściwego słowa, ale Meg szyderczo uśmiechnęła się przez łzy.

- Sprawiam, że twoje serce śpiewa? Sprawiam, że czujesz się, jakbyś tańczył?

- Jesteś zdenerwowana. Może...

- Moja miłość jest gorąca i namiętna! - Słowa buchały z niej. - Głęboka i silna. Ona płonie. Wre, burzy się. Za to wszystkie twoje emocje są chłodne i oszczędne. Ustawiłeś się na bocznej linii, gdzie nie musisz się za bardzo napocić. Właśnie dlatego chciałeś poślubić Lucy. To było uporządkowane. To było logiczne. Cóż, ja nie jestem uporządkowana.

Jestem chaotyczna, gwałtowna, zakłócam spokój. A ty złamałeś mi serce.

Przy kolejnym uderzeniu pioruna lunął deszcz. Ted skrzywił się.

- Nie mów tak. Jesteś zdenerwowana. Spróbował ją objąć, ale się wyszarpnęła.

- Zabieraj się stąd. Zostaw mnie samą.

- Nie ma mowy.

- Owszem, tak. Ponieważ chcesz tylko tego, co dla innych najlepsze. A właśnie teraz najlepsza dla mnie jest samotność.

Deszcz rozpadał się na dobre. Widziała, jak zawzięcie pracuje wewnętrzna waga Teda. Wążąc wszystkie za i przeciw. Chciał

postępować właściwie. Taki już był. Meg nie mogła zranić go boleśniej, niż pokazując, jak bardzo sama czuje się zraniona.

Błyskawice rozdzierały niebo. Ted pociągnął ją po schodkach pod sterczący nad drzwiami kościółka daszek. Próbowwała się wyrwać.

- Zostaw mnie! Nie możesz chociaż tyle zrobić?

- Proszę, Meg. Wszystko się ułoży. Potrzebujemy tylko trochę czasu. -

Chciał dotknąć jej policzka, ale kiedy się wzdrygnęła, ręka mu opadła. -

Jesteś zdenerwowana. I ja to rozumiem. Później, dziś w nocy...

- Nie. Dziś w nocy nie. - Ani jutro. Ani nigdy.

- Posłuchaj. Proszę... Jutro przez cały dzień mam spotkania ze Spence'em i jego ludźmi, ale wieczorem... Zjemy obiad u mnie w domu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał. Tylko we dwoje.

Do tego czasu wszystko sobie przemyślimy, a potem możemy to omówić.

- Świetnie. Czas do namysłu. To w zasadzie załatwia sprawę.

- Bądź sprawiedliwa, Meg. To wynikło całkiem niespodziewanie. Obiecuj mi - powiedział szorstko.

- Dopóki nie obiecasz, że spotkasz się ze mną jutro wieczorem, nigdzie się stąd nie ruszę.

- Dobrze - odparła drewnianym głosem. - Obiecuję.

- Meg...

Jeszcze raz spróbował jej dotknąć i jeszcze raz stawiała mu opór.

- Idź. Proszę. Porozmawiamy o tym jutro. Wpatrywał się w nią tak długo, że myślała, że nigdy

już sobie nie pójdzie. Ale w końcu zrezygnował, a ona została na kościelnych schodach, patrząc, jak niebieska furgonetka odjeżdża w deszczu.

Kiedy zniknęła jej z oczu, Meg zrobiła to, na co wcześniej nie była w stanie się zdobyć. Obeszła kościółek i rozbiła szybę. Jedną małą tafelkę, żeby móc sięgnąć do zasuwki. Potem otworzyła okno i wgramoliła się do zakurzonego, pustego wnętrza.

Ted oczekiwał od niej, że spotka się z nim nazajutrz wieczorem na spokojną, logiczną rozmowę o jej nieodwzajemnionych uczuciach.

Obiecała mu to.

Kiedy huk pioruna wstrząsnął budynkiem, pomyślała, jak łatwo przyjdzie jej złamać tę obietnicę.

Na galerijce chóru znalazła parę dzinsów, którą przegapili Dallie i Skeet, pakując jej rzeczy. W kuchni nadal znajdowały się jakieś zapasy, ale nie miała apetytu. Zamiast jeść, chodziła w tę i z powrotem po starej sosnowej podłodze i rozmyślała o wszystkim, co się wydarzyło. Ted nie mógł zmienić tego, kim był. Czy naprawdę wierzyła, że potrafił ją pokochać? Jak nawet przez chwilę mogła sądzić, że różni się dla niego od pozostałych kobiet?

Bo pokazał jej takiego siebie, jakiego nigdy nikomu nie pokazywał.

Dzięki temu poczuła się inna. Ale to wszystko okazało się złudzeniem, więc teraz musiała wyjechać. Dalszy pobyt w Wynette przestał być moż-

liwy.

Myśl, że już nigdy nie zobaczy Teda, niemal ją załamała, więc Meg skupiła się na praktycznej stronie wyjazdu. Dawna, nieodpowiedzialna panna Koranda jeszcze tego wieczoru wskoczyłaby do samochodu i uciekła. Ale jej nowa, udoskonalona wersja nie mogła zlekceważyć swoich zobowiązań. Nazajutrz Meg odbierała wolny dzień, więc nikt nie spodziewał się jej w pracy. Miała dość czasu, żeby pozajątwiać wszystko, co trzeba.

Poczekala, zeby nabrac pewnosc, ze jej gospodarz poszedl spac, i dopiero wrócila do domu. Uspokojona chrapaniem dudniącym po całym korytarzu, usiadła przy biurku Skeeta w jego gabinecie, gdzie przedtem pracowała nad biżuterią, wyjęła żółty bloczek i sporządziła notatki dla osoby - ktokolwiek by to był - która przejmie po niej wózek z napojami.

Wyjaśniła, co najlepiej mieć w zapasach, wyliczyła preferencje stałych klientów, dodała kilka słów na temat recyklingu puszek i papierowych kubków. Może jej zajęcie to nie była chirurgia mózgu, ale Meg więcej niż podwoiła dochody ze sprzedaży napojów i czuła się z tego dumna. Wreszcie napisała: „Praca jest taka, jaką ją uczynimy”. Jednak zrobiło jej się głupio i ostatnie zdanie wykreśliła.

Kończąc bransoletkę, którą obiecała Torie, starała się nie myśleć o Tedzie, ale bez rezultatu. Więc zanim o świcie wsunęła swoje dzieło do wyściełanej koperty, miała już czerwone oczy, była wyczerpana i smutniejsza niż kiedykolwiek.

Kiedy rano weszła do kuchni, Skeet jadł przy stole płatki Cap'n Crunch, drugą ręką podtrzymując gazetę otwartą na wiadomościach sportowych.

- Dobre nowiny. - Meg zmusiła się do uśmiechu. - Mój prześladowca został zidentyfikowany i zneutralizowany. Tylko nie pytaj mnie o szczegóły.

Skeet podniósł głowę znad talerza.

- Ted o tym wie?

Przez chwilę zmagiła się z falą bólu, która groziła jej zatopieniem, ilekroć pomyślała, że nigdy już go nie zobaczy.

- Tak. Przenoszę się z powrotem do kościółka. - Nie chciała okłamywać Skeeta, ale musiała, nie budząc jego podejrzeń, jakoś wytłumaczyć, że pakuje swoje rzeczy.

- Nie rozumiem, po co ten pośpiech - burknął. Kiedy znowu wziął się za swoje cap'n crunche, Meg zdała sobie sprawę, że będzie tęsknić za tym starym mrukiem, tak samo jak za wieloma innymi mieszkańcami zwariowanego miasteczka.

Brak wypoczynku i nadmiar bólu całkiem ją wyczerpały. Ledwie zaczęła składać swoje rzeczy, a już musiała się poddać i położyć. Mimo ponurych snów, obudziła się dopiero wczesnym popołudniem. Szybko skończyła pakowanie, ale dopiero około trzeciej pojechała do banku.

Ze swego skromnego konta podjęła wszystkie oszczędności, pozostawiając tylko dwadzieścia dolarów. Gdyby zamknęła rachunek, każdy kasjer by ją odpytywał i w pięć minut po jej wyjściu Ted wiedziałby już, że Meg wyjeżdża. A ona nie była w stanie znieść kolejnej konfrontacji.

Jedyna skrzynka w Wynette stała przy schodkach małego urzędu pocztowego. Meg wysłała list do zastępcy dyrektora klubu, zawierający jej rezygnację i wskazówki na temat obsługi wózka. Kiedy wrzucała kopertę z bransoletką dla Torie, w strefie zakazu parkowania zahamował

jakiś samochód. Opuściła się szyba po stronie kierowcy i z auta wytknęła głowę Sunny Skipjack.

- Właśnie cię szukam. Zapomniałam, że dzisiaj klub jest zamknięty.

Chodźmy na drinka, to sobie pogadamy.

Sunny, ze swoimi lśniącymi włosami i platynową biżuterią, była uosobieniem wymuszkanej operatywności. Meg nigdy nie czuła się bardziej krucha.

- Obawiam się, że to nie najlepszy moment - powiedziała. - Mam milion spraw do załatwienia. - Na przykład, wsiąść do mego grata i porzucić mężczyznę, którego tak bardzo kocham, pomyślała ze smutkiem.

- Odwołaj je. To ważne.

- Chodzi o twego ojca?

Sunny spojrzała na nią zaskoczona.

- A co z moim ojcem?

- Nic.

Kilku przechodniów przystanęło, żeby się na nie pogapić i żaden z nich nie usiłował zachowywać się dyskretnie. Sunny, zajęta pani dyrektor, niecierpliwie stukała palcami w kierownicę.

- Jesteś pewna, że nie możesz poświęcić kilku minut ze swego naładowanego grafiku, żeby przedyskutować ewentualne przedsięwzięcie handlowe?

- Przedsięwzięcie handlowe?

- Widziałam twoją biżuterię. Chcę porozmawiać. Wsiadaj.

Plany Meg na przyszłość były raczej mgliste. Porównała więc ryzyko opóźnienia wyjazdu o godzinę z pożytkiem, jaki mogło przynieść wysłuchanie, co ma do powiedzenia Sunny. Córka Spence'a mogła być wrzodem na tyłku, ale była również inteligentną kobietą interesów. Meg przewyciężyła opór przed znalezieniem się w zamkniętej przestrzeni z członkiem rodziny Skipjacków i wsiadła.

- Słyszałaś, że w „Wall Street Journal” - aż trudno uwierzyć - pisali o tym weekendzie z Tedem? - powiedziała Sunny, wyjeżdżając na ulicę. -

Artykuł z cyklu o kreatywnych metodach zdobywania funduszy na do-broczynność.

- Nie, nie słyszałam. Prowadziła samochód jedną ręką.

- Za każdym razem, kiedy ta historia gdzieś się pojawia, stawka wzrasta.

To powszechne zainteresowanie robi się kosztowne, ale ja dawno na nic nie przepuszczałam pieniędzy. - Zadzwoił telefon komórkowy. Sunny wsunęła go pod pasmo lśniących, ciemnych włosów, które opadały jej na ucho. - Część, tato.

Meg zeszywniała.

- Tak, czytałam notatkę i rozmawiałam z Wolfbur-giem. Dziś wieczorem zadzwonię do Terry'ego.

Przez parę minut Skipjackowie gawędzili o prawnikach i kupnie ziemi.

Myśli Meg podryfowały znów w stronę Teda, kiedy została przywołana do porządku.

- Sprawdzę to później - powiedziała Sunny. - Teraz spotkałam się z Meg.

- Spojrzała na swoją pasażerkę i wywróciła oczami. - Nie, nie zapraszamy cię do towarzystwa. Pogadamy potem. - Słuchała przez chwilę, marszcząc brwi, po czym się rozłączyła. - Strasznie był wkurzony. Co między wami zaszło?

Meg z radością powitała falę gniewu.

- Twój ojciec nie potrafi przyjąć odmowy.

- Właśnie dlatego odnosi sukcesy. Jest bystry i skupiony na celu. Nie rozumiem, dlaczego tak mu dajesz w kość. Chociaż może jednak rozumiem.

Meg nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy. Żałowała, że w ogóle wsiadła do samochodu Sunny.

- Chciałaś pomówić o mojej biżuterii - powiedziała, kiedy skręciły na autostradę.

- Sprzedajesz ją poniżej rzeczywistej wartości. Twoje prace są charakterystyczne i mogą się odwołać do snobizmu. Musisz się przestawić na odbiorców z górnej półki. Pojedź do Nowego Jorku. Użyj swoich kontaktów, żeby trafić na odpowiednich nabywców. I przestań marnować swój atrakcyjny towar na mieszkańców Wynette. Nie jesteś w stanie zbudować poważnej marki w Pcimiu Dolnym, stan Teksas.

- Dobra rada - odparła Meg, kiedy mijały Roustabout. - Myślałam, że miałyśmy wpaść na drinka.

- Krótka wycieczka na składowisko odpadów.

- Już je widziałam i naprawdę po raz drugi nie chcę.

- Muszę zrobić kilka zdjęć. Nie zostaniemy długo. Poza tym możemy tam pogadać na osobności.

- Nie sądzę, żeby była taka potrzeba.

- Ależ owszem. - Samochód skręcił w stronę składowiska. Od czasu kiedy Meg tu ostatnio była, droga zyskała nową zwirową nawierzchnię. Od czasu kiedy kochała się z Tedem oparta o bok



furgonetki... Kolejna fala bólu uderzyła ją w pierś.

Córka Spence'a zatrzymała się koło zardzewiałego znaku, wyciągnęła z torebki aparat i wysiadła. Każdy

gest, każdy ruch był celowy. Meg nigdy nie spotkała kogoś tak pewnego siebie.

Nie zamierzała tkwić skulona w samochodzie, więc poszła w ślady Sunny, która tymczasem podniosła aparat do oczu i skoncentrowała się na składowisku.

- To jest przyszłość Wynette. - Kliknęła migawka. - Na początku byłam przeciwna tym planom, ale kiedy lepiej poznałam miasteczko i jego mieszkańców, zmieniłam zdanie.

Kiedy poznałaś Teda Beaudine'a, pomyślała Meg. Sunny zrobiła kolejne zdjęcia, zmieniając kąt ustawienia.

- To naprawdę wyjątkowe miejsce. Opoka Ameryki i tak dalej. Zwykle tata nie przepada za małymi miastami, ale tutaj wszyscy są dla niego tacy mili. Poza tym jest zachwycony, że może sobie pograć z golfistami takimi jak Dallie, Ted czy Kenny. - Opuściła aparat trochę niżej. - A jeśli chodzi o mnie... nie ukrywam, że interesuję się Tedem.

- Ty i cała reszta damskiej populacji świata. Sunny uśmiechnęła się.

- Ale w przeciwieństwie do tej reszty, ja jestem też inżynierem. Ted może ze mną rozmawiać jak z osobą równą mu intelektualnie. Ile kobiet byłoby w stanie to o sobie powiedzieć?

Nie ja, pomyślała Meg.

Sunny stanęła za zardzewiałym znakiem i skierowała aparat na rury od metanu.

- Rozumiem technologię, która go interesuje. - Trzask migawki. - Cenię sobie jego ekologiczną pasję zarówno na poziomie naukowym, jak i praktycznym. Ted ma niezwykły umysł. Niewielu ludzi jest w stanie podążyć ramię w ramię z kimś o takim intelekcie.

Jeszcze jedna kobieta, która sądziła, że wie, czego Tedowi potrzeba. Meg nie mogła się pohamować.

- A on odwzajemnia twoje uczucia?

- Zbliżamy się do tego. - Znowu opuściła aparat. - Przynajmniej taką mam nadzieję. Jestem realistką. Być może nie stanie się to w taki sposób, jak bym chciała. Ale wdałam się w mego ojca, nie rezygnuję z walki. Wierzę, że Teda i mnie czeka wspólna przyszłość i zamierzam zrobić w tej sprawie wszystko co w mojej mocy. - Spojrzała prosto w oczy Meg. -

Karty na stół. Chcę, żebyś wyjechała z Wynette.

- Tak? - Meg nie widziała powodu, by udzielać informacji, że dawno byłaby w drodze, gdyby jej Sunny nie zatrzymała. - A niby dlaczego?

\_ To nic osobistego. Myślę, że jesteś odpowiednia dla mego ojca.

Ostatnio był przygnębiony. Kryzys związany z wiekiem i temu podobne.

Oderwałaś go od smutnych rozmyślań. Dla mnie problemem jest tylko, że powstrzymujesz Teda. Nigdy otwarcie nie przyznał, że ma do ciebie słabość, ale to oczywiste.

- Uważasz, że Ted ma do mnie słabość?

- Widzę, w jaki sposób na ciebie patrzy, w jaki sposób o tobie mówi.

Wiem, że byliście z Lucy Jorik najlepszymi przyjaciółkami.

Przypominasz mu o niej, więc dopóki mieszkasz w Wynette, jest mu bardzo trudno ruszyć naprzód.

Taka bystra, a mimo to taka głupia.

- Poza tym wierzę, że kobiety powinny czuwać nad sobą nawzajem -

ciągnęła Sunny. - Często kręcisz się w pobliżu Teda, a to nie jest dla ciebie dobre. Od Bóg wie ilu osób słyszałam, że już wybiłaś go sobie z głowy, ale obie wiemy, że nie do końca. Spójrz prawdzie w oczy, Meg.

Ted nigdy się tobą nie zainteresuje. Nie macie ze sobą nic wspólnego.

Oprócz sławnych rodziców, wychowania w uprzywilejowanym środowisku, pasji do ekologii i dużej odporności na absurd - czegoś, czego Sunny nigdy nie byłaby w stanie zrozumieć.

- On czuje się przy tobie swobodnie, bo przypominasz mu Lucy. Ale nic więcej z tego nie wyniknie. Tkwiąc tutaj, blokujesz samą siebie i komplikujesz moje relacje z Tedem.

- Naprawdę jesteś szczerą. Wzruszyła ramionami.

- Wierzę w uczciwość.

Ale to, co Sunny nazywała uczciwością, było niczym innym jak bezwzględnym ignorowaniem uczuć i opinii innych ludzi.

- Subtelności nigdy do mnie nie przemawiały -oznajmiła, dumnie powiewając flagą wysokiego mniemania o sobie. - Jeśli jesteś skłonna zniknąć, ja jestem skłonna pomóc ci wystartować z jubilerskim biznesem.

- Przekupstwo?

- A czemu nie? Nie jesteś złą inwestycją. Włączając do swoich prac oryginalne zabytkowe elementy, przypadkiem trafiłaś na niszowy rynek, który może się okazać bardzo rentowny.

- Tylko że wcale nie jestem pewna, czy chcę się tym zajmować.

Sunny nie potrafiła zrozumieć, jak można machnąć ręką na opłacalny biznes, toteż z trudem ukryła pogardę.

- To co innego zamierzasz robić?

Meg miała jej właśnie odpowiedzieć, że pokieruje swoim życiem tak, jak sama uzna za stosowne, kiedy usłyszała odgłos toczących się po żwirze kół. Obie odwróciły się. Nieznajomy samochód zahamował tuż za autem Sunny. Słońce świeciło Meg prosto w oczy, więc nie mogła dojrzeć, kto siedzi za kierownicą, ale specjalnie się nie zdziwiła. Dobrzy obywatele Wynette nigdy nie zostawiliby jej na dłużej z żadnym ze Skipjacków.

Jednak gdy otworzyły się drzwi, poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Mężczyzną wysiadającym z ciemnego sedana był Spence.

- Odwieź mnie do miasta - zwróciła się do Sunny. Ale Sunny wlepiła wzrok w ojca, który zbliżał się ku

nim. Rondo panamy rzuciło cień na górną część jego twarzy.

- Tato, skąd się tu wziąłeś?

- Mówiłaś, że zamierzasz robić zdjęcia.

Meg nie miała już w rezerwie sił, żeby to znosić.

- Chcę wracać do miasta. Natychmiast.

- Zostaw nas samych - powiedział Spence do córki. - Mam jej kilka rzeczy do powiedzenia w cztery oczy.

- Nie! Nie odchodź!

Niepokój Meg zbił Sunny z tropu. Serdeczny uśmiech, którym powitała ojca, przygasł.

- Co się dzieje?

Ruchem głowy Spence wskazał córce samochód.

- Spotkamy się w mieście. No już.

- Nie, Sunny - krzyknęła Meg. - Nie chcę zostać z nim sama.

Sunny popatrzyła na nią, jakby oblaży ją robaki.

- Co ci odbija?

- Meg jest tchórzem - powiedział Spence. - To jest właśnie jej problem.

Meg nie zamierzała znów stać się jego bezbronną ofiarą.

- Sunny, wczoraj twój ojciec mnie molestował.

## *Rozdział 20*

MOLESTOWAŁ? - Spence parsknął chrapliwym śmiechem. - A to dobre. Pokaż mi jakiegokolwiek ślady tej napaści, to dam ci milion dolarów.

Zwykłe opanowanie Sunny znikło. Popatrzyła na Meg z odrazą.

- Jak możesz mówić coś tak podłego?

Znowu na zwirowej drodze zaturkotały koła. Ale tym razem nie jednego samochodu, a całej kolumny. I każdy z nadjeżdżających przeczuwał

kłopoty.

- Cholera - wrzasnął Spence. - W tym mieście nie można pójść się wysrać, żeby wszyscy nie przyleźli się gapić.

Z miejsca dla pasażera w czerwonej kii wyskoczyła Kayla, którą przywiózł ktoś z pracowników Roustabout.

- Co tu wszyscy robicie? - zaszcebiotała, spiesząc w ich stronę, jakby właśnie zauważyła przypadkiem piknik na poboczu drogi.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, srebrny range rover wypuł ze swego wnętrza Kenny'ego i Dextera z żoną. Drukowany w hawajskie wzory sarong Torie klócił się z kraciatą górą kostiumu bikini. Obrazu dopełniały mokre włosy i brak makijażu. Dexter miał na sobie ciemnoniebieski oficjalny garnitur, a Kenny uniósł na powitanie rękę udekorowaną plastrem ze Spidermanem.

- Dzień dobry, Spence, Sunny. Ładna pogoda po wczorajszej burzy.

Chociaż nie można powiedzieć, że nie potrzebowaliśmy deszczu.

Z granatowej camry wyskoczyła Zoey.

- Właśnie jechałam na zebranie w sprawie programu przedmiotów ścisłych - oświadczyła, nie kierując tych słów do nikogo w szczególności.

Za terenówką dyrektorki szkoły ustawiały się już kolejne samochody.

Wyglądało na to, że całe miasteczko wyczuło nadciągającą katastrofę i wszyscy byli zdecydowani jej zapobiec.

Dexter O'Connor skinął ręką w kierunku składowiska odpadów. . . -

Szczęściarz z ciebie, Spence. Tyle możliwości. Skipjack nawet na niego nie spojrzał. Nie odrywał wściekłego wzroku od Meg. Ulga, którą poczuła, kiedy nadjechali mieszkańcy Wynette, zaczęła gasnąć. Meg usiłowała sobie wmówić, że się myli. Że on na pewno da jej spokój. Że na pewno nie odważy się wywierać presji w obecności tak wielu osób. Ale od początku wiedziała, że ten człowiek nie potrafi znieść, żeby kto inny był

górami.

- Umowa nie jest jeszcze podpisana - oznajmił złowieszczo.

Wyraz paniki pojawił się na twarzach wszystkich świadków tej sceny.

- Tato... - Sunny położyła ojcu dłoń na ramieniu. Torie przejęła dowodzenie. Poprawiła węzeł sarongu i zdecydowanym krokiem podeszła do Spence'a.

- Planujemy z Deksem dziś wieczorem wrzucić kilka steków na grill.

Może byście wpadli? Oczywiście, jeśli nie przeszkadza wam obecność dzieciaków. Chociaż właściwie możemy posłać je do mego ojca. Sunny, widziałaś kiedyś z bliska strusie emu? Dex i ja mamy całe stado. W

zasadzie poślubiłam go po to, żeby opłacał rachunki za karmę. Dex tak za nimi nie szaleje, ale to najśłodsze stworzenia, jakie kiedykolwiek spotkałaś.

I Torie przeszła do wygłaszanego jednym tchem, bardzo długiego monologu na temat pielęgnacji i żywienia strusi emu, a także pożytków, jakie ma z tych ptaków rodzaj ludzki. Wyraźnie grała na czas, a ponieważ wszyscy nerwowo zerkali w stronę drogi, Meg bez trudu domyśliła się, o co chodzi. Czekali, aż pojawi się rycerz w jasnyniebieskiej furgonetce i ocali miasto przed katastrofą.

Nadjeżdżały następne samochody. Torie, której powoli wyczerpywał się temat strusi, rzucała błagalne spojrzenia na zebranych. Pierwszy zareagował jej brat. Otoczył Spence'a ramieniem i szerokim gestem wskazał na składowisko z przyległościami.

- Wiele myślałem o wyznaczaniu tras.

Ale Spence odwrócił się i popatrzył bacznie na rosnący tłum. Potem jego spojrzenie powróciło do Meg. Sposób, w jaki zmrużył oczy, powiedział

jej, że nadszedł czas zapłaty.

- Okazuje się, że być może trochę przedwcześnie, Kenny. Muszę brać pod uwagę swoją reputację, a Meg właśnie powiedziała mojej córce coś absolutnie szokującego.

Sparaliżował ją strach. Skipjack chciał się zemścić i doskonale wiedział, jak tego dokonać. Gdyby Meg twardo obstawała przy swoim, skrzywdziłaby bardzo wiele osób. Ale myśl, żeby się poddać,

przyprawiała ją o mdłości. Jak słuszny postępek mógł wydawać się taki zły? Wbiła paznokcie w dłonie.

- Zapomnij o tym.

Jednak Spence łaknął świeżej krwi za każdą ranę, której doznało jego ego, więc naciskał dalej.

- O, tego zrobić nie mogę. Bywają oskarżenia zbyt poważne, żeby o nich zapomnieć. Meg twierdzi, że ja... Jakich to słów użyłaś?

- Daj spokój - odparła, chociaż wiedziała, że on nie odpuści.

Pstryknął palcami.

- Już wiem. Powiedziałaś, że cię molestowałem. Dobrze zrozumiałem, Meg?

Od strony tłumu doleciał pomruk. Lśniące błyszczkiem wargi Kayli rozdziawiły się. Zoey przycisnęła dłoń do gardła. Trzaskały otwierane komórki. Meg udało się zwalczyć mdłości.

- Nie, Spence, nie zrozumiałeś dobrze - powiedziała martwym głosem.

- Ale słyszałem to na własne uszy. Słyszała moja córka. - Wysunął

podbródek. - Pamiętam, że wczoraj poszedłem z tobą popływać, ale z pewnością nie pamiętam żadnego molestowania.

Szczęki Meg zwały się i nie chciały drgnąć.

- Masz rację - wymamrotała. - Źle zrozumiałam. Potrząsnął głową.

- Jak mogłaś źle zrozumieć coś tak poważnego? Zamierzał wdeptać ją w ziemię. Mogła wygrać, tylko pozwalając na jego zwycięstwo. Z całych sił starała się wziąć w garść.

- Łatwo. Byłam zdenerwowana.

- Witam wszystkich.

Tłum odwrócił się zgodnie w stronę swego zbawcy, który zbliżał się spokojnym krokiem. Nie zauważyli jego przybycia, bo nadjechał

ciemnoszarym mercedesem. Nikt nie pamiętał, że Ted w ogóle takie auto posiada.

- Co tu się dzieje? - zapytał. Wyglądał na zmęczonego. - Zapomniałem o jakiejś imprezie?

- Obawiam się, że nie. - Spence gniewnie marszczył brwi, ale Meg wiedziała, że rozkoszuje się władzą, którą ma nad nimi wszystkimi. -

Naprawdę jestem zadowolony, że się pojawiłeś. Zdaje się, że wynikły nieoczekiwane problemy.

- O? A co się stało?

Skipjack potarł szczękę pokrytą granatowo-czarnym cieniem jednodniowego zarostu.

- Trudno mi będzie prowadzić interesy w mieście, gdzie można rzucać fałszywe oskarżenia i uchodzi to na sucho.

Wcale nie zamierzał się wycofać. Meg w to nie wierzyła. Nie, chociaż Sunny słała mu błagalne spojrzenia. Nie, chociaż całe miasteczko czekało w kolejce, żeby się przed nim płaszczyć. Bawił się w kotka i myszkę, przeżył muskuły, upokarzając ją i pozwalając wszystkim zobaczyć, kto tu rządzi.

- Przykro mi to słyszeć, Spence - powiedział Ted. - Myślę, że nieporozumienia zdarzają się wszędzie. Wy-nette ma tę dobrą stronę, że staramy się szukać wyjścia z kłopotów, zanim stają się dość duże, by powodować problemy. Zobaczmy, czy nie mógłbym tej sprawy pomóc rozwiązać.

- Nie wiem, Ted. - Skipjack wpatrywał się w składowisko odpadów. - Coś takiego trudno jest puścić w niepamięć. Wszyscy liczą, że jutro podpiszę ten kontrakt, ale ja nie mogę sobie tego wyobrazić, dopóki wisi nade mną to fałszywe oskarżenie.

Nerwowe szepty przebiegły przez tłum. Sunny nie przejrzała gry ojca, więc kiedy wyobraziła sobie, że przyszłość z Tedem wymyka się jej właśnie z rąk, na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Tato, musimy o tym porozmawiać w cztery oczy. Pan Opanowany ściągnął bejsbolówkę i podrapał się po głowie. Czy tylko Meg dostrzegła jego znużenie?

- Z pewnością musisz zrobić to, co uważasz za słuszne, Spence. Ale idę o zakład, że potrafię znaleźć jakieś wyjście, jeśli tylko mi powiesz, co to za problem.

Meg nie mogła już dłużej tego znosić.

- Ja jestem tym problemem - oświadczyła. - Obraziłam Spence'a i teraz on chce ukarać za to Wynette. Ale nie musisz tego robić, Spence, bo właśnie wyjeżdżam. Już byłabym w drodze, gdyby Sunny mnie nie zatrzymała.

Ted wsadził czapkę na głowę i chociaż patrzył na Meg z gniewem, jego głos brzmiał spokojnie.

- Dlaczego nie pozwalasz mi się tym zająć? Ale Skipjack był żądny krwi.

- Myślisz, że możesz sobie po prostu wyjechać, jakby nic się nie stało? Po tym, jak oskarżyłaś mnie przed moją córką? Moim zdaniem, to nie wchodzi w grę.

- Zaczekaj - przerwał mu Ted. - Może zaczniemy od początku?

- Tak, Meg - uśmiechnął się szyderczo Skipjack. -

Dlaczego by nie?

Nie potrafiła spojrzeć na Teda, więc skoncentrowała się na Spencerze.

- Przyznałam, że skłamałam. Zachowywałeś się jak idealny dżentelmen.

Nie było żadnego molestowania. Wszystko... wszystko zmyśliłam.

Ted gwałtownie odwrócił się do niej.

- Spence cię molestował?

- Tak właśnie powiedziała mojej córce. - Słowa Spence'a ociekały pogardą. - To kłamczucha.

- Molestowałeś ją? - Tedowi zapłonęły oczy. - Ty sukinsynu. - Bez żadnego więcej ostrzeżenia Pan Opanowany rzucił się na ostatnią wielką nadzieję miasteczka.

Z piersi zebranych wyrwało się westchnienie osłupiałego niedowierzania.

Król instalacji wodno-kanalizacyjnych leżał rozciągnięty na ziemi.

Kapelusz panama potoczył mu się po piachu. Meg była tak wstrząśnięta, że nie mogła się poruszyć. Sunny wydała zduszony okrzyk i wszyscy zastygli zdjęci grozą, kiedy ich niewzruszony burmistrz - ich Książę Pokoju - złapał Spencera Skip-jacka za kołnierzyk garniturowej koszuli i postawił na nogi.

- Myślisz, że kim ty, do diabła, jesteś? - wrzasnął mu prosto w twarz, a rysy wykrzywiła mu mroczna wściekłość.

Spence zaatakował kopniakami, trafił Teda w nogę i obaj potoczyli się znów na ziemię. To wszystko był zły sen.

Zły sen, który przemienił się w stuprocentowy koszmar, kiedy z tłumu wyłoniły się dwie znajome postacie.

Tylko ich sobie wyobraziła. To nie mogli być oni. Zamrugwała, ale okropne przywidzenie nie zniknęło.

Jej rodzice. Fleur i Jake Korandowie. Wpatrywali się w nią z przerażeniem na twarzach.

Nie mogli tutaj być. Nie mogli, bez zawiadomienia, że przyjeżdżają. Nie na składowisku odpadów jako świadkowie jej największej życiowej katastrofy.

Znowu zamrugwała, ale nadal tam stali, tuż przed Francescą i Dalliem. Jej matka - cudownie piękna. Jej ojciec - wysoki, z wyrazistymi rysami, sprężony do skoku.

Przeciwnicy walczyli już na nogach, potem znów tarzali się po ziemi.



Spence przewyższał Teda wagą o dobre pięćdziesiąt funtów, ale Ted był

silniejszy i sprawniejszy fizycznie. Paliwo gniewu przemieniło go w człowieka, którego nie poznawała.

Torie kurczowo ścisnęła swój sarong. Kenny kłął jak szewc. Kayla zaczęła płakać. Francesca usiłowała biec na pomoc swemu drogiemu chłopcu, ale mąż złapał ją za ramię.

Nikt jednak nie pomyślał, żeby przytrzymać Sunny a ona nie mogła pozwolić żadnemu mężczyźnie - nawet temu, w którym się podkochiwała

- atakować jej uwielbianego ojca.

- Tatusiu! - Z krzykiem skoczyła Tedowi na plecy. Tego już było dla Meg za dużo.

- Złaż z niego!

Rzuciwszy się interweniować, wpadła w poślizg na żwirze, runęła na Sunny i uwięziła Teda pod ciężarem dwóch ciał. Korzystając z chwilowej niewoli przeciwnika, Spence poderwał się z ziemi. Przerazona Meg ujrzała, jak bierze zamach, by kopnąć Teda w głowę. Wrzasnęła wściekle i przetoczyła się na bok, zbijając Skipjacka z nóg. Kiedy upadł, złapała Sunny za tył designerskiej bluzki. Ted nigdy nie uderzyłby kobiety, ale Meg nie miała takich skrupułów.

W końcu Torie i Shelby Traveler odciągnęły ją od szlochającej Sunny, ale miłujący pokój burmistrz Wynette nadal łaknął krwi i dopiero trzech mężczyzn zdołało nad nim zapanować. Zresztą nie jego jednego trzeba było powstrzymać. Matka Meg, Skeet, Francesca i komendant straży pożarnej musieli zdrowo się namęczyć, żeby poskromić Jake'a Korandę.

Na szyi Teda pulsowała żyła, kiedy usiłował się uwolnić, żeby dokończyć to, co zaczął.

- Nawet nie myśl, żeby się kiedykolwiek do niej zbliżyć, bo pożałujesz.

- Jesteś szaleńcem! - krzyknął Spence. - Wszyscy jesteście obłąkani!

Ted pogardliwie zacisnął usta.

- Wynoś się stąd.

Spencer Skipjack porwał z ziemi swój kapelusz. Spocone pasma czarnych włosów opadały mu na czoło, jedno oko zaczynało już puchnąć, nos krwawił.

- To miasteczko zawsze bardziej potrzebowało mnie niż ja jego. -

Otrzeptał panamę o udo. - Patrząc, jak gnije, Beaudine, pomyśl o tym, co zaprzepaściłeś. -

Wcisnął kapelusz na głowę i wlepił jadowite spojrzenie w Meg. - Pomyśl, ile cię to zero kosztowało.

- Tato... - Sunny miała brudną, podartą bluzkę, skaleczoną rękę, zadrapany policzek, ale Skipjack był zbyt pochłonięty swoją wściekłością, żeby dodawać córce otuchy.

- Mogłeś mieć to wszystko - wrzeszczał, a krew kapłała mu z nosa. - I poświęciłeś to dla jakiejś kłamliwej suki.

Tylko jej matka, rzuciwszy się na ojca, zdołała powstrzymać go, żeby nie skoczył Spence'owi do gardła, podczas gdy Ted o mało nie wyszarpnął się trzymającym go mężczyznom. Wtedy spokojnym krokiem wynurzył się z tłumu Dallas Beaudine. Jego błękitne oczy wyglądały jak odłamki stali.

- Radzę ci, Spence, wynoś się stąd, dopóki jeszcze możesz, bo wystarczy, że dam znak i ci starzy kumple, którzy teraz powstrzymują Teda przed dokończeniem dzieła, po prostu go puszcza.

Skipjack przesunął wzrokiem po morzu wrogich twarzy i zaczął

wycofywać się w stronę samochodów.

- Chodź, Sunny - powiedział z brawurą, która nie brzmiała prawdziwie. -

Wyjeżdżamy z tego zadupia.

- Jesteś cieniem, dupku! - krzyknęła Torie. - Lepiej potrafiłam uderzyć ironem-5, zanim skończyłam piętnaście lat. A ty, Sunny, jesteś zarozumiałą suką.

Czując za plecami wrogi tłum, ojciec i córka przyspieszyli kroku i wskoczyli do swoich aut. Kiedy odjechali, wszystkie pary oczu, jedna po drugiej, spoczęły na Meg. Czuła gniew tych ludzi, widziała ich desperację. Nic podobnego by się nie wydarzyło, gdyby opuściła Wynette wtedy, gdy tego chcieli.

Cudem zdołała nie opuścić głowy, nawet jeśli mrugając, powstrzymywała łzy. Oddalona o kilka kroków od Meg, jej wytworna matka zaczęła zbliżać się ku niej. Poruszała się z królewską godnością, która niegdyś zawiodła ją na największe wybiegi świata. Uwaga zebranych była tak skoncentrowana na kolejnych etapach katastrofy, że nikt nie zauważył przybycia obcych, ale jasne pasma włosów Złotej Dziewczyny, wyraziste, piękne brwi i szerokie usta czyniły ją natychmiast rozpoznawalną dla każdego po trzydziestce, więc w tłumie podniósł się szmer głosów. Po chwili u jej boku stanął mąż i wówczas gwar ucichł, bo świadkowie tej sceny próbowali przyswoić zdumiewający fakt, że legendarny Jake Koranda zstąpił ze srebrnego ekranu i spaceruje pomiędzy nimi.

Meg patrzyła na nich ze smętną mieszaniną miłości i rozpacz. Jak ktoś tak bardzo zwyczajny mógł być latoroślą tych dwojga wspaniałych istot?

Ale Korandowie nie zdążyli podejść bliżej, bo Ted się wściekł.

- Wszyscy wynosić się stąd! - zawołał. - Wszyscy! -Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu objął tym rozkazem również jej rodziców. -

Państwo też!

Meg o niczym bardziej nie marzyła, niż żeby jej noga nigdy więcej tu nie powstała, ale nie miała samochodu, a nie mogła znieść myśli o powrocie z rodzicami, zanim zdoła się wziąć w garść. W tej sytuacji najlepszą opcją wydawała się Torie. Jednak gdy zerknęła na nią błagalnie, poczuła na ramieniu dłoń Teda.

- Ty nigdzie się nie wybierasz.

Każde słowo miało ząbkowane ostrze i lodowaty szpikulec. Chciał, żeby ostatecznie wyłożyła karty na stół i mimo wszystko na to zasługiwał.

Jake Koranda zmierzył Teda wzrokiem, po czym zwrócił się do córki.

- Masz tu wóz?

Potrząsnęła głową. Wyciągnął kluczyki i rzucił jej.

- Wrócimy do miasta okazją. Czekamy w zajeździe. Jedna osoba po drugiej, wszyscy zaczęli odchodzić.

Nikt nie chciał przeciwstawiać się Tedowi, nawet jego matka. Francesca i Dallye poprowadzili rodziców Meg do swego cadillaca. Kiedy ruszały kolejne samochody, Ted stanął przy zardzewiałym znaku i zapatrzył się na rozległą, skażoną ziemię, teraz już pozbawioną wszelkich perspektyw na przyszłość. Przygarbił się, opuścił ramiona.

I to ona, Meg, mu to zrobiła. Niechcący, ale zrobiła mu to, bo pozostała w Wynette, gdy wszystko wskazywało, że absolutnie powinna wyjechać. A potem jeszcze pogorszyła sytuację, tak absurdalnie zakochując się w nim, mimo że na jego wzajemność najmniej mogła liczyć. Jej pobażanie samej sobie doprowadziło do katastrofy.

Słońce wisało nisko na niebie, obrysowując ognistą kreską profil burmistrza Wynette. Zniknął ostatni samochód, jednak Ted tkwił bez ruchu, jakby Meg przestała istnieć. Wreszcie nie mogła już tego dłużej znieść, zebrała się na odwagę i podeszła.

- Tak mi przykro - szepnęła.

Podniosła rękę, żeby wytrzeć mu krew z kącików ust, ale zanim zdążyła go dotknąć, chwycił ją za nadgarstek.

- A to było dla ciebie wystarczająco gorące?

- Co?

- Myślisz, że ja nic nie czuję? - Jego głos zachrypl z emocji. - Ze jestem jakimś robotem?

- Och, Ted... Wcale tak nie myślę.

- Dlatego, że jesteś królową dramatu, tylko ty masz prawo mieć uczucia, co?

Nie tak powinna była przebiegać ta rozmowa.

- Ted, nie zamierzałam cię wplątywać w tę sprawę ze Spence'em.

- A co, twoim zdaniem, miałem zrobić? Pozwolić, żeby mu uszło płazem, że cię napadł?

- Niecałkiem napadł. Szczerze mówiąc, nie wiem, co by się wydarzyło, gdyby nie Haley. On...

- Pocę się! - przerwał jej Ted, na pozór kompletnie bez sensu. -

Powiedziałaś, że ja się nigdy nie pocę.

O czym on mówił? Spróbowała jeszcze raz.

- Byłam sama w moim pływackim zakątku, kiedy nagle pojawił się Skipjack. Prosiłam, żeby sobie poszedł, ale nie słuchał. Zrobiło się nieprzyjemnie.

- I sukinsyn za to zapłacił. - Ted pochwycił jej rękę. - Dwa miesiące temu byłem gotów poślubić inną kobietę. Dlaczego nie możesz mi dać trochę czasu? To, że ty rzucasz się na szerokie wody, nie znaczy, że ja też od razu muszę.

Dawniej czytała w jego myślach, ale nie tym razem.

- Co rozumiesz przez „rzucanie się na szerokie wody”?

Z lekceważeniem skrzywił [usta](#).

- Zakochanie.

Wymówił to słowo tak pogardliwie, że powinno było mu zostawić pęcherze na wargach. Meg wyrwała rękę z jego uścisku i cofnęła się.

- Ja bym zakochania tak nie nazywała.

- Więc jak byś to określiła? Byłem gotów spędzić resztę życia z Lucy.

Całą resztę życia! Dlaczego to do ciebie nie dociera?

- Dociera. Ale nie rozumiem, czemu rozmawiamy o tym teraz, po wszystkim co się właśnie wydarzyło.

- Oczywiście, że nie rozumiesz. - Twarz mu pobladła. - Ty w ogóle nie rozumiesz racjonalnego zachowania.

Myślisz, że znasz mnie tak dobrze, ale nic o mnie nie wiesz.

Jeszcze jedna kobieta, która sądziła, że rozumie Teda Beaudine'a...

Zanim zdążyła przywołać go do poprzedniego tematu, podjął atak na nowo.

- Chełpisz się, że jesteś taka uczuciowa. Cóż, wielkie, pieprzone brawa. Ja taki nie jestem. Chcę, żeby wszystko miało sens i jeśli to w twoich oczach grzech, mówi się trudno.

Wydawało jej się, jakby nagle zaczął przemawiać w jakimś obcym języku. Rozumiała słowa, ale kontekstu nie. Dlaczego nie rozmawiali o roli, którą odegrała w katastrofie ze Spence'em?

Ted wierzchem dłoni otarł strużkę krwi w kąciку ust.

- Mówisz, że mnie kochasz. Co to w ogóle znaczy? Kochałem Lucy i zobacz, jakie to się okazało nieistotne.

- Kochałeś Lucy? - Nie wierzyła mu. Nie chciała wierzyć.

- W pięć minut po tym, kiedy ją poznałem, wiedziałem, że jest tą jedyną.

Inteligentna. Miło z nią przebywać. Troszczy się o innych i rozumie, co znaczy ciągle być na widoku. Moi przyjaciele ją pokochali. Moi rodzice ją pokochali. Chcieliśmy od życia tego samego. I nigdy w żadnej sprawie bardziej się nie myliłem. - Głos mu się załamał. - Oczekujesz, że o tym zapomnę? Oczekujesz, że pstryknę palcami i to wszystko zniknie?

- To nie fair. Zachowywałeś się, jakby ona się dla ciebie nie liczyła. Nie wyglądało, że ci zależy.

- Oczywiście, że mi zależało! To, że nie obnoszę się po okolicy ze swoimi uczuciami, jeszcze nie świadczy o ich braku. Powiedziałaś, że zламаłem ci serce. Cóż, ona zламаła moje.

Na szyi pulsowało mu tętno. Meg czuła się, jakby wymierzył jej policzek.

Jak mogła tego nie wiedzieć? Sądziła, że on nie kochał Lucy, a było wręcz przeciwnie.

- Żałuję, że nie zdawałam sobie sprawy - usłyszała własny głos. - Źle zrozumiałam.

Zrobił ostry, lekceważący gest.

- A potem pojawiłaś się ty. Z całym swoim bałaganem. Ze wszystkimi swoimi żądaniami.

- Nigdy niczego od ciebie nie żądałam! - krzyknęła. - To ty od samego początku wysuwałeś żądania. Mówiłeś mi, co mogę robić, a czego nie.

Gdzie mogę pracować. Gdzie mogę mieszkać.

- Chyba sobie żartujesz - odparł szorstko. - Wszystko w tobie jest żądaniem. Te duże oczy - w jednej chwili niebieskie, w następnej zielone.

Twój śmiech. Twoje ciało. Nawet ten smok wytatuowany na twoim tyłku.

Żądasz ode mnie wszystkiego. A potem krytykujesz to, co dostajesz.

- Nigdy...

- Do diabła tam, nigdy. - Ruch był tak szybki, że w pierwszej chwili wzięła go za zapowiedź uderzenia. Tymczasem Ted gwałtownie przyciągnął ją do siebie i wsunawszy ręce pod krótką bawełnianą spódnicę, wcisnął się w brzuch Meg, chwycił ją za pośladki. - Myślisz, że to nie jest żądanie?

- Mam... nadzieję, że tak - wykrztusiła, z trudem rozpoznając własny głos.

Ale Ted już ciągnął ją na pobocze zwirowej drogi. Nie pozwolił jej nawet kurtuazyjnie skorzystać z tylnego siedzenia swego wozu. Zamiast tego osunęli się na piaszczysty skrawek ziemi.

Pod palącym, oślepiającym słońcem zaplątał dłonie w bieliznę Meg, zerwał i cisnął na bok figi i rozwarł szeroko jej nogi. Kiedy przysiadł

pomiędzy nimi na

piętach, słońce grzało jej wrażliwą wewnętrzną stronę ud. Ani na chwilę nie odrywał spojrzenia od wilgotnej miękkości, którą odsłonił, nawet gdy jego dłonie wędrowały do zamka w spodniach. Ten wzór logiki i rozsądku nie panował już nad sobą, odarty z poloru dżentelmena.

Cień jego ciała powstrzymywał słoneczne promienie. Ted rozpiął dzinsy.

Mogła na niego krzyknąć, żeby przestał - mogła go odepchnąć - mogła go walnąć pięścią w głowę i kazać mu oprzytomnieć. Posłuchałby.

Wiedziała o tym. Ale niczego takiego nie zrobiła. Ted oszalał i ona chciała popędzić z nim w nieznane.

Sięgnął pod nią i ustawił jej biodra tak, żeby musiała przyjąć go całego.

Żadnej przeciągającej się gry wstępnej, żadnych skrupulatnie zadawanych mąk, żadnego wyrafinowanego drażnienia. Tylko jego własne potrzeby.

Coś ostrego drasnęło jej nogę... Jakiś kamyk wbijał się w plecy... Ted wbił się w nią z bolesnym jękiem. Całym ciężarem przycisnął ją do ziemi, podciągnął jej top i obnażył piersi. Jego zarost drapał delikatną skórę Meg. Wypełniła ją ogromna czułość, kiedy używał jej ciała. Bez kurtuazji, bez powściągliwości, bez dobrych manier. Był upadłym aniołem, trawionym pożądaniem i w ogóle nie dbał o to, co się z nią dzieje.

Zamknęła oczy przed oślepiającym słońcem, a on w niej pompował.

Stopniowo szła, który go ogarnął, zaczął ogarniać i Meg, ale było już za późno. Z ochryplym

krzykiem Ted obnażył zęby. I zalał ją.

Chrapliwy dźwięk jego oddechu zgrzytał jej w uszach. Ciężar męskiego ciała wyduszał powietrze z jej płuc. W końcu Ted z jękiem oderwał się od niej. A potem wszystko ucichło i znieruchomiło.

Właśnie tego chciała od pierwszego razu, kiedy się kochali. Przebić się przez jego opanowanie. Ale koszty

były dla niego zbyt wielkie i kiedy doszedł do siebie ujrzała dokładnie to, co wiedziała, że zobaczy. Porządnego mężczyznę ogarniętego wyrzutami sumienia.

- Nie mów tego! - Przycisnęła dłoń do jego poranionych warg. Poklepała go po policzku. - Nie mów tego!

- Boże... - Ted z trudem stanął na nogi. - Nie potrafię... Tak mi przykro.

Tak mi cholernie przykro. Boże, Meg...

Kiedy zbierał swoje rzeczy, poderwała się z ziemi i obciągnęła spódnice.

Na twarzy miał grymas udreki. Nie mogła znieść wysłuchiwania znękanych przeprosin za to, że jest istotą ludzką, a nie jakimś półbogiem.

Musiała szybko coś zrobić, więc mocno szturchnęła go w klatkę piersiową.

- Właśnie o tym przez cały czas mówiłam.

Ale on zbladł i jej próba sprostowania spaliła na panewce.

- Nie potrafię... nie potrafię uwierzyć, że ci to zrobiłem.

Nie poddawała się tak łatwo.

- Mógłbyś to zrobić jeszcze raz? Może odrobinę wolniej, ale niewiele.

Ted jakby zupełnie nie słyszał.

- Nigdy sobie nie wybaczę.

Meg ukryła swoje uczucia pod maską brawury.

- Nudzisz mnie, Theodorze, a mam jeszcze parę spraw do załatwienia. -

Najpierw chciała spróbować przywrócić mu szacunek do samego siebie.

Następnie musiała stawić czoło rodzicom. A potem? Powinna była na zawsze opuścić to miasteczko.

Podniósłszy z ziemi majtki, zebrała się na tupet, daleki od jej prawdziwych uczuć.

- Zdaję sobie sprawę, że zdołałam po królewsku spieprzyć przyszłość Wynette, więc przestań się wygłupiać i weź się za to, co robisz najlepiej. Zaczynaj uprzątać bałagan, którego narobili inni. Znajdź Spencer, zanim wyjedzie. Powiedz mu, że postradałeś zmysły. Powiedz, że wszyscy w mieście wiedzą, że nie można mi wierzyć, a ty mimo to dałeś się wykiwać. Potem go przeproś za bijatykę.
- Mam gdzieś Spence'a - odparł stanowczo. Te słowa wzbudziły w jej sercu przerażenie.
- Musisz. Naprawdę, naprawdę musisz. Proszę. Zrób tak, jak mówię.
- Czy ten dupek to jedyne, o czym możesz myśleć. Po tym, co się właśnie stało...
- Tak. I chcę, żeby to było jedyne, o czym ty myślisz. Widzisz... mnie jest potrzebna deklaracja twojej dozgonnej miłości, a ty nigdy nie będziesz w stanie jej złożyć.

Frustracja, żal, zniecierpliwienie - wszystkie te uczucia zobaczyła w jego oczach.

- Dla mnie to za szybko, Meg. Do diabła, za...
- Wyraziłeś się więcej niż jasno - przerwała mu, zanim zdążył coś jeszcze powiedzieć. - Po moim wyjeździe nie miej zbyt wielkiego poczucia winy.

Prawdę mówiąc, zakochuję się i odkochuję dość łatwo. Dojście do siebie nie powinno zająć mi wiele czasu. - Mówiła zbyt pośpiesznie. - Był taki facet, Buzz. Użalałam się nad sobą przez dobre sześć tygodni, ale, jeśli mam być szczerą, ty nie jesteś Buzzem.

- Co znaczy: po twoim wyjeździe? Z trudem przełknęła ślinę.
- Dziwna sprawa, ale Wynette straciło dla mnie swój urok. Wyjeżdżam, jak tylko pogadam z rodzicami. Nie jesteś zadowolony, że nie musisz być świadkiem tej rozmowy?
- Nie chcę, żebyś wyjechała. Jeszcze nie.
- Dlaczego? - Wpatrywała się w niego, szukając jakichś oznak, że mógłby tęsknić. - Po co miałabym tu zostać?

Wykonał osobliwie bezradny gest.

- Nie wiem... nie wiem. Po prostu zostań. Ale unikał jej oczu, co mówiło wszystko.
- Nie mogę, stary. Po prostu... nie mogę.

Dziwne było zobaczyć Teda Beaudine'a takiego bezbronnego.

Przycisnęła wargi do zdrowego kącika jego ust i pośpieszyła do samochodu, który zostawili jej zawsze roztropni rodzice. Zanim odjechała, pozwoliła sobie na ostatnie spojrzenie we wsteczne lusterko.



Ted stał na środku drogi i patrzył za nią. A w tle jak okiem sięgnąć rozciągały się ogromne nieużytki składowiska odpadów.

## *Rozdział 21*

DOPROWADZIŁA SIĘ DO PORZĄDKU W łazience na stacji benzynowej.

Starła najbardziej widoczne plamy brudu, zmyła ślady łez. Potem z walizki, którą wtaszczyła ze sobą do małej toalety, wygrzebała artystyczny top, czystą parę dzinsów, żeby ukryć podrapane nogi i zwiewną zieloną apaszkę do zamaskowania szyi, podrażnionej zarostem Teda. Od pierwszego razu, kiedy się kochali, Meg chciała, żeby dał się porwać namiętności, stracił swoje legendarne opanowanie. I to wreszcie się stało, ale nie w sposób, o jakim marzyła.

Zakradła się do zajazdu wejściem dla pracowników. Birdie nigdy nie umieściłaby gości tej rangi co Korandowie gdzie indziej niż w - niedawno tak przemianowanym - Apartamencie Prezydenckim, więc Meg udała się tylnymi schodami na ostatnie piętro. Każdy krok był

ćwiczeniem siły woli. Od samego początku myliła się we wszystkim, co dotyczyło Teda. Nie wierzyła, że kochał Lucy, a on kochał ją wtedy i kochał teraz. Meg była dla niego tylko dziewczyną na pociechę, przelotnym, niezobowiązującym romanssem.

Nie mogła poddać się bólowi w chwili, kiedy musiała przebrnąć przez takie okropne spotkanie z rodzicami. Nie mogła myśleć o Tedzie ani o swojej niepewnej przyszłości, ani o ruinach, które po sobie zostawiała, wyjeżdżając z Wynette.

Drzwi apartamentu otworzyła jej matka. Nadal miała na sobie dopasowaną tunikę w kolorze platyny i wąskie spodnie, w które była ubrana podczas awantury na składowisku. Jak na ironię, ta eksmodelka niezbyt przejmowała się ciuchami i posłusznie nosiła stroje projektowane dla niej przez jej brata, Michela.

Krążący w głębi pokoju Jake Koranda zatrzymał się w pół kroku. Meg posłała im obojgu niepewny uśmiech.

- Mogliście mnie zawiadomić, że przyjeżdżacie.

- Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę - odparł sucho jej ojciec.

Matka ujęła ją za łokcie, obrzuciła poważnym spojrzeniem i przyciągnęła do siebie. Tonąc w znajomych objęciach, Meg zapomniała na moment, że jest dorosłą kobietą. Gdyby miała rodziców głupich i wymagających, przez całe życie dręczyłoby ją o wiele mniejsze poczucie winy i nie musiałaby zużywać tyle energii na udawanie, że nie dba o to, co o niej myślą.

Poczuła we włosach dłoń mamy.

- Dobrze się czujesz, kochanie? Przełknęła łzy.

- Bywało lepiej, ale zważywszy na tę katastrofę, której byliście świadkami, nie mogę się uskarżać.

Teraz Jake wziął ją w ramiona, mocno uściskał, a na zakończenie lekko klepnął po siedzeniu, tak jak robił zawsze, odkąd była małą dziewczynką.

- Opowiedz nam wszystko - poprosiła mama, kiedy ojciec wreszcie puścił

Meg. - Jakim cudem dałaś się wciągnąć w znajomość z takim koszmarnym facetem?

- To wina taty. Spencer Skipjack jest czcicielem sław, a ja okazałam się tym, co mógł dostać najbardziej zbliżonego do wielkiego Jake'a.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo chcę rozerwać tego łajdaka na strzępy -  
oznajmił wielki Jake.

Przerażająca wizja, zważywszy, że jej ojciec był weteranem z Wietnamu, a czego nie przyswoił w delcie Mekongu, douczył się, kręcąc filmy wykorzystujące wszelkie rodzaje broni, od samurajskich mieczy po ka-

łasznikowy.

Matka niedbałym gestem wskazała supernowoczesny telefon.

- Już zaczęłam trochę grzebać. Niczego jeszcze nie odkryłam, ale odkryję.

Taka żmija zawsze zostawia oślizgły ślad.

Ich gniew nie zdziwił Meg, ale gdzie było rozczarowanie, że znowu oglądali swoje najstarsze dziecko w samym centrum bałaganu?

Ojciec podjął spacer po pokoju.

- To nie ujdzie draniowi na sucho.

- Tylko kwestia czasu, kiedy stare grzechy go dopadną - stwierdziła Fleur Koranda.

Nie rozumieli skutków tego, czego byli świadkami. Nie mieli pojęcia, ile znaczyła dla miasteczka budowa centrum golfa ani jaką rolę odegrała Meg w zniszczeniu tych nadziei. Jedyne, co zobaczyli, to swoją ukochaną córkę, lżoną przez jakiegoś łajdaka i szarmanckiego młodego mężczyznę, który bronił jej honoru. Meg

otrzymała prawdziwy dar z niebios. Najwyraźniej nawet Dally i Francesca nie oświecili ich w drodze powrotnej do zajazdu. Gdyby zdołała wystarczająco szybko zabrać rodziców z Wynette, mogliby nigdy nie usłyszeć o jej udziale w tym wszystkim.

A potem przypomniała sobie, co niedawno powiedziała Haley... „Od tego, jak się zachowasz w ciągu najbliższych paru minut, zależy, kim od tej chwili będziesz”.

Wprawdzie okoliczności były inne, ale fundamentalna zasada pozostawała ta sama. Jakim człowiekiem chciała być Meg?

Ogarnęło ją dziwne poczucie - nie spokoju, bo tego miała nie zaznać przez bardzo długi czas - ale raczej słuszności. Doświadczenia ostatnich trzech miesięcy odarły ją z wymysłów, którymi się spowijała. Była tak głęboko przekonana, iż nigdy nie zdoła dorównać osiągnięciom swoich bliskich, że nie podjęła uczciwej próby w żadnej dziedzinie, oprócz pielęgnowania roli rodzinnego włóczykija. Budując coś dla siebie, ryzykowałaby, że na ich oczach poniesie klęskę. Skoro niczego nie budowała, nie mogła przegrać. W to właśnie wierzyła i przez to w końcu została z niczym.

A teraz nadszedł czas, żeby upomnieć się o kobietę, jaką chciała być -

osobą zdeteminowaną, by kroczyć własną ścieżką, na własny sposób, bez obaw, co ludzie powiedzą o jej sukcesach czy porażkach. Nawet ci ludzie, których kochała. Musiała stworzyć własną wizję swego przyszłego życia i podążać za nią aż do końca. Nie mogła tego zrobić ukrywając prawdę.

- Chodzi o to... - zaczęła. - To, co się dzisiaj wydarzyło... jest trochę bardziej skomplikowane, niż wam się wydaje.

- Jak dla mnie, sprawa wygląda całkiem jasno - stwierdził jej ojciec. -

Facet jest nadętym palantem.

- To prawda. Ale niestety, to nie jedyne czym jest...

Opowiedziała im wszystko, poczynając od dnia swego przyjazdu do Wynette. W połowie historii Jake Ko-randa zaatakował minibarek, w kilka minut później dołączyła do niego żona, ale Meg nie przestawała mówić. A więc opowiedziała im wszystko. Oprócz tego, jak głęboko pokochała Teda. To była tylko jej sprawa, którą musiała sama rozwiązać.

Wreszcie dobiegła do końca. Stała przy oknie, plecami odwrócona w stronę ratusza, a jej rodzice siedzieli obok siebie na niskiej kanapie.

Zmusiła się, żeby trzymać głowę wysoko.

- Więc sami widzicie, że to przeze mnie Ted jedyny raz w całym dorosłym życiu stracił panowanie nad sobą i wdał się w tę bójkę. Przeze mnie miasteczko ma stracić miliony dolarów dochodu i wszystkie te miejsca pracy.

Rodzice wymienili długie spojrzenia, mające sens dla nich obojga, ale niezrozumiałe dla niej. Zawsze się w ten sposób komunikowali. Może właśnie dlatego ani ona, ani jej bracia dotychczas nikogo nie poślubili.

Pragnęli tego, co mieli ich rodzice i nie chcieli zadowolić się niczym mniejszym.

Jak na ironię, Meg zaczęła wierzyć, że właśnie coś takiego łączy ją z Tedem. Coraz lepiej czytali sobie nawzajem w myślach. Szkoda tylko, że nie wychwyciła najważniejszej rzeczy, którą powinna

była o nim wiedzieć. Tego jak bardzo kochał Lucy.

Jake Koranda podniósł się z kanapy.

- Niech to sobie poukładam... Powstrzymałaś Lucy przed potencjalnym zrujnowaniem życia przez ślub z nieodpowiednim mężczyzną.

Samodzielnie utrzymywałaś się w mieście pełnym stukniętych ludzi, którzy uwzięli się, żeby zrobić z ciebie kozła ofiarnego odpowiedzialnego za wszystkie ich kłopoty. Nie byłaś koordynatorką zajęć w klubie, tylko tyrałaś ciężko, wykonując taką pracę, jaką tam dostałaś. A oprócz tego zdołałaś rozkręcić na boku swój własny biznes.

Dobrze zrozumiałem?

Matka Meg uniosła jedną ze swoich wspaniałych brwi.

- Zapomniałaś dodać, jak długo zdołała oganiać się od tego zdeprawowanego bufona.

- A jednak to ona przeprasza? - Jake obrócił te słowa w pytanie, a Złota Dziewczyna świdrowała ją spojrzeniem słynnych oczu w złociste cętki.

- Za co? - powiedziała. - Właściwie za co przepraszasz?

Meg zaniemówiła. Czy oni w ogóle nie słuchali?

Modelka i gwiazdor filmowy czekali cierpliwie na odpowiedź. Przy policzku jej matki zwijał się jasny lok. Ojciec potarł dłonią biodro, jakby sprawdzał, czy nie ma przy sobie jednego z coltów z kolbą wykładaną masą perłową, które nosił w filmach o Łowcy Ptaków Cali-brze. Meg już miała im wyjaśnić. Nawet otworzyła usta. Ale nie wydobyły się z nich żadne słowa, bo nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi.

Matka pieszczotliwie potargała jej włosy.

- Oczywiście, Teksaszczyki zrobili ci pranie mózgu.

Rodzice mieli rację. Osobą, którą musiała przeprosić była ona sama. Za to, że nie zachowała dość rozsądku, by ochronić swoje serce.

- Nie możesz tu zostać - powiedział ojciec. - To nie jest dla ciebie dobre miejsce.

Pod pewnymi względami było dla niej bardzo dobre, ale tylko skinęła głową.

- Moje rzeczy są już spakowane w samochodzie. Przykro mi, że was zostawiam, po tym jak przyjechali-

ście taki kawał drogi, ale macie rację. Muszę wyjechać i zamierzam zrobić to natychmiast.

Fleur Koranda przeszła na rzeczowy ton.

- Chcemy, żebyś wróciła do domu i bez pośpiechu wszystko sobie przemyślała.

Ojciec otoczył Meg ramieniem.

- Stęskniliśmy się za tobą, dziecinko.

Tego właśnie pragnęła, odkąd ją przepędzili. Odrobiny bezpieczeństwa, miejsca, gdzie mogłaby się zaszyć, zanim wszystko uporządkuje. Serce wypełniła jej miłość do nich.

- Jesteście najlepsi. Oboje. Ale ja muszę zrobić to sama.

Kłócili się z nią, jednak Meg nie ustąpiła i po wzruszającym pożegnaniu wymknęła się tylnymi schodami do swego samochodu. Przed wyjazdem z Wynette miała jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

Z parkingu przed Roustabout samochody wylewały się aż do autostrady, więc zostawiła swego grata na pasie awaryjnym, za czyjąś hondą civic.

Idąc w stronę restauracji, nie zawracała sobie głowy szukaniem mercedesa ani jasnoniebieskiej furgonetki. Była pewna, że Teda tu nie będzie, tak jak była pewna, że zgromadzą się tu wszyscy pozostali, żeby omówić popołudniową katastrofę.

Wzięła głęboki oddech i pchnęła drzwi. Kiedy się rozglądała, napłynął do niej zapach smażeniny, piwa i grillowanego mięsa. Duża sala była nabita po brzegi. Ludzie stali pod ścianami, pomiędzy stołami, w korytarzu prowadzącym do toalet. Torie, Dex i wszyscy Travelerowie tłoczyli się wokół czteroosobowego stolika. Kayla, jej ojciec, Zoey i Birdie siedzieli w pobliżu. Meg nigdzie nie widziała Dalliego ani Franceski, chociaż Skeet w towarzystwie kilku starszych caddy'ch sącząc piwo, podpierał

ścianę koło automatów do gry.

Minęła dobra chwila, zanim ktoś w tłumie ją zauważył, a potem się zaczęło. Płynęły sekundy, a małe ogniska ciszy stawały się coraz większe.

Najpierw rozlały się w stronę baru, potem ogarnęły resztę sali, aż w końcu słychać było tylko pobrząkiwanie szkła i głos Carrie Underwood dobiegający z grającej szafy.

O ileż łatwiej byłoby cichaczem wymknąć się z Wynette, ale kilka ostatnich miesięcy nauczyło ją, że wcale nie jest taką nieudacznicą, jak jej się dawniej wydawało. Umiała ciężko pracować, miała bystry umysł i plany -jakkolwiek jeszcze mgliste - na przyszłość. Więc mimo że zaczęło jej się kręcić w głowie i zapach jedzenia przyprawiał ją o mdłości, zmusiła się, by podejść do Pete'a Laramana, który zawsze dawał jej pięciodolarowe napiwki za mrożone batoniki Milky Way, które trzymała tylko dla niego.

- Czy mogę pożyczyć pana krzesło?

Ustał jej miejsca i nawet pomógł wejść na siedzenie, co - jak podejrzewała - wynikało raczej z ciekawości niż dobrych manier. Ktoś wyciągnął z kontaktu wtyczkę grającej szafy i Carrie umilkła w pół

słowa. Przemawianie z wysokości krzesła może nie było najlepszym pomysłem, bo pod Meg ugięły się kolana, ale skoro już się zdecydowała, chciała zrobić wszystko jak należy, a to znaczyło, że każdy z zebranych musiał ją widzieć.

Przemówiła w absolutnej ciszy.

- Wiem, że wszyscy mnie nienawidzicie i nic nie mogę na to poradzić.

- Możesz się stąd w diabły wynieść? - krzyknął jeden z barowych szczurów.

Torie poderwała się na nogi.

- Milcz, Leroy. Daj jej mówić.

W tym momencie wtrąciła się brunetka, którą Meg zapamiętała z lunchu u Franceski jako matkę Huntera Graya.

- Meg już dość powiedziała i teraz wszyscy jesteśmy załatwieni.

Siedząca obok niej kobieta podniosła się z krzesła.

- Nasze dzieci też zostały oszukane. Możemy się pożegnać z poprawą warunków w szkole.

- Do diabła ze szkołą - oświadczył kolejny stały klient baru. - Co z tymi miejscami pracy, które nam przez nią przepadły?

- I przez Teda - dodał jego kumpel. - Wierzyliśmy mu i zobaczcie, co się stało.

Wywołany imieniem Teda ponury pomruk powiedział Meg, że podejmując tę decyzję, miała rację. Lady Emma usiłowała poderwać się zza stołu, żeby stanąć w obronie ich burmistrza, ale Kenny pociągnął ją z powrotem na krzesło. Meg przesunęła wzrokiem po tłumie.

- Właśnie dlatego tu jestem - powiedziała. - Żeby pomówić o Tedzie.

- Nie masz nic do powiedzenia, czego byśmy o nim już nie wiedzieli -

oświadczył pierwszy barowy szczur z szyderym uśmiechem.

- Doprawdy? - odcięła się Meg. - A co myślicie o tym? Ted Beaudine nie jest doskonały.

- O tym wiemy aż za dobrze. - Szczur numer dwa rozejrzał się dookoła, szukając poparcia. I bez trudu je znalazł.

- Powinniście byli to wiedzieć przez cały czas. Ale wy zawsze wymagaliście od niego więcej niż od samych siebie. On jest we wszystkim świetny, więc przestaliście zauważać, że to taki sam człowiek jak wy i nie może zawsze czynić cudów.

- Nic podobnego by się nie zdarzyło, gdyby nie ty! -krzyknął ktoś z tyłu.

- Zgadza się w stu procentach - odparła Meg. -Głupie wsioki! Nie rozumiecie? W chwili, kiedy Lucy odeszła, Ted już nie miał szans. -

Przerwała na moment, żeby te słowa zapadły im w świadomość. - Dostrzegłam okazję i osaczyłam go. Od samego początku trzymałam waszego burmistrza w garści. - Usiłowała naśladować szyderczy uśmiech barowego szczura. -Nikommu z was nie przyszłoby do głowy, że jakakolwiek kobieta może sterować Tedem, ale ja zjadłam zęby na gwiazdach filmowych i rockmanach, więc uwierzcie mi, Ted to była bułka z masłem. Potem, kiedy zabawa mi obrzydła, rzuciłam go. Nie jest do tego przyzwyczajony i trochę się wściekł. Więc obwiniajcie mnie, ile chcecie. Ale nie ważcie się czepiać Teda, bo on nie zasługuje na takie niesprawiedliwe traktowanie. - Czowała, że jej pewność siebie zaraz się omsknie. - On jest jednym z was. Najlepszym. I jeśli wszyscy nie dacie mu tego do zrozumienia, zasługujecie na to, co was spotkało.

Nogi zaczęły się pod nią trząść tak bardzo, że ledwie dała radę zeskoczyć z krzesła. Nie rozglądała się dookoła, nie szukała Torie ani reszty Travelerów, żeby wypowiedzieć jedyne słowa pożegnania, które by cokolwiek dla niej znaczyły. Zamiast tego rzuciła się na oślep w stronę drzwi.

Ostatnimi widokami miasteczka, które kochała, jednocześnie go nienawidząc, były migająca w oddali rzeka Pedernales i odbita we wstecznym lusterku graniczna tablica.

„Właśnie opuszczasz

Wynette, Teksas

burmistrz Theodore Beaudine"

Meg pozwoliła sobie na płacz. Dotkliwe łkanie wstrząsało jej ciałem, łzy zaćmiewały wzrok. Poddała się rozpacz, dlatego że miała złamane serce i dlatego że po zakończeniu tej podróży zamierzała już nigdy nie płakać.

*Rozdział 22*

CIEMNE CHMURY ZAWISŁY NAD WYNETTE. Znad Zatoki Tekskańskiej nadciągnęła tropikalna burza, podnosząc poziom wód Pedernales, które zerwały most przy Drodze Komanczów. Zbyt wcześnie zaczął się sezon grypowy i wszystkie dzieciaki leżały chore. Pożar kuchni zmusił

kierownictwo Roustabout do zamknięcia restauracji na trzy tygodnie.

Jedyne dwie miejskie śmieciarki zepsuły się tego samego dnia. Jeszcze po tym wszystkim nie doszli do siebie, kiedy w Whistling Straits na osiemnastym dołku Kenny Traveler uderzył zbyt gwałtownie, za bardzo podkręcając piłkę w lewo i został wyeliminowany z dalszych rozgrywek w mistrzostwach

PGA. A co najgorsze, Ted Beaudine zrezygnował z funkcji burmistrza. Właśnie kiedy potrzebowali go najbardziej, zrezygnował. W jednym tygodniu leciał do Denver, w następnym do Albuquerque. Zamiast siedzieć w Wynette, gdzie było jego miejsce, uganiał się po całym kraju, próbując pomóc różnym miastom uwolnić się od sieci elektrycznej.

Nikt nie czuł się szczęśliwy. Zanim Haley Kittle rozpoczęła pierwszy rok studiów na Uniwersytecie Tekszańskim, rozesłała do wszystkich e-mail z detaliczną relacją, co widziała tamtego dnia, kiedy przypadkiem natknęła się na Spencera Skipjacka nagabującego Meg Korandę w jej pływackim zakątku za dawnym

luterańskim kościółkiem. Poznawszy prawdę, mieszkańcy miasteczka nie mogli już z czystym sumieniem obwiniać Teda za awanturę na składowisku odpadów. Oczywiście, żalowali, że do tego doszło, ale wiedzieli, że nie mógł puścić płazem obelżywych słów Skipjacka. Jedna osoba po drugiej próbowały wytłumaczyć to Tedowi przy tych nielicznych okazjach, kiedy wracał do Wynette, a on uprzejmie przyznawał im rację i już następnego dnia wskakiwał do samolotu.

Wreszcie znowu otwarto Roustabout, ale Ted nie pokazywał się tam, nawet gdy akurat był w mieście. Natomiast kilka osób widziało go, jak wysiadywał w Cracker John, obskurnym barze przy granicy hrabstwa.

- Wziął z nami rozwód - uzalała się Kayla przed Zoey. - Wziął rozwód z całym miastem.

- To nasza własna cholerna wina - stwierdziła Torie. - Za wiele od niego oczekiwaliśmy.

Z różnych dobrze poinformowanych źródeł rozeszła się wieść, że Spence i Sunny powrócili do Indianapolis, gdzie Sunny zagrzebała się w pracy, a jej ojciec dostał półpaśca.

Ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich Spence zerwał negocjacje z San Antonio. Krążyła plotka, że po tym, jak energicznie zabiegali o niego mieszkańcy Wynette, stracił zainteresowanie rolą małej ryby w dużym stawie i w ogóle porzucił plan budowy ośrodka.

W całym tym zamieszaniu ludzie całkiem by zapomnieli o *Weekendzie z Tedem Beaudine'em*, gdyby komitet odbudowy biblioteki nie przypomniał wszystkim, że aukcja kończy się trzydziestego września o północy. Tego wieczoru komitet zebrał się w gabinecie Kayli, na pierwszym piętrze jej domu, żeby uczcić okazję, a także okazać gospodyni wdzięczność i uznanie za sposób,

w jaki prowadziła licytację on-line nawet wtedy, gdy ojciec uniemożliwił

jej podbijanie stawki.

- Bez ciebie nie dałybyśmy rady - ze stojącej naprzeciw biurka sofy Hepplewhite'a odezwała się Zoey. - Jeśli kiedykolwiek znowu otworzymy bibliotekę, powiesimy tabliczkę pamiątkową na twoją cześć.

Ostatnio Kayla zmieniła wystrój gabinetu za pomocą wzorzystych materiałów z Liberty na ścianach i kompletu klasycystycznych mebli, jednak Torie i tak usiadła na podłodze.



- Zoey chciała powiesić ją w dziale dla dzieci - powiedziała - ale reszta jest za umieszczeniem tabliczki koło regałów z modą. Uznałyśmy, że tam będziesz spędzała najwięcej czasu.

Pozostałe kobiety skarciły ją wzrokiem za przypominanie Kayli, że będzie tylko czytać o modzie, zamiast wprowadzać nowe trendy w butik, o którym zawsze marzyła. Torie nie zamierzała zachować się nietaktownie, więc wstała, by dolać Kayli mojito, i wyraziła podziw dla wyglądu jej skóry po chemicznym peelingu.

- Za minutę północ - zaszczębiotała Shelby ze sztucznym entuzjazmem.

Prawdziwy stan niepewności skończył się, kiedy przed miesiącem Sunny Skipjack wycofała się z licytacji. W ciągu ostatnich dwóch tygodni najwyższą stawkę - czternaście tysięcy pięćset dolarów - zaoferowała pewna telewizyjna gwiazdka, o której słyszały tylko nastolatki. Komitet zmusił lady Emmę, by przekazała Tedowi nowinę, iż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spędzi weekend w San Francisco z dawną striptizerką, która specjalizowała się w odwracaniu kart tarota po-

śladkami. Ted tylko kiwnął głową i stwierdził, że ta kobieta musi wspaniale kontrolować mięśnie, ale patrzył

pustym wzrokiem i lady Emma nigdy nie widziała go równie smutnego.

- Odliczajmy jak w wieczór noworoczny - zaproponowała wesoło Zoey.

Tak zrobiły. Wpatrując się w ekran komputera. Odliczając wstecz.

Dokładnie o północy Kayla kliknęła przycisk „odśwież”. Już wykrzykiwały imię zwyciężczyni, kiedy nagle zapadło milczenie. To wcale nie była striptizerka z umięśnionym tyłkiem, tylko...

- Meg Koranda? - Wszystkie gwałtownie wciągnęły oddech, a potem zaczęły mówić jednocześnie.

- Wygrała Meg?

- Kayla, kliknij jeszcze raz. To niemożliwe.

- Meg? Jakim cudem?

Ale to była Meg, a one nie mogły doznać większego szoku.

Długo rozmawiały, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Bo każda z nich w jakiś sposób za nią tęskniła. Shelby zawsze podziwiała umiejętność przewidywania, czego która z golfistek w danym dniu zechce się napić.

Kayli brakowało zysków, jakie przynosiły sklepowi wyroby Meg, ale też jej ekscentrycznego wyczucia stylu. Poza tym nikomu innemu nie mogła wcisnąć ubrań po Torie. Zoey lubiła poczucie humoru Meg w tym samym stopniu co plotki o niej. A Torie i lady Emma po prostu za nią tęskniły.

Mimo kłopotów, które wywołała, wszystkie członkinie komitetu uznały zgodnie, że świetnie

pasowała do Wynette. Jednak to Birdie Kittle przemieniła się w jej najbardziej zagorzałą orędowniczkę.

- Mogła doprowadzić do aresztowania Haley, tak jak chciał tego Ted, a tymczasem wybroniła ją. Nikt inny by tak nie postąpił.

Haley opowiedziała wszystko matce i jej przyjaciółkom.

- Mam zamiar pójść do psychologa - oznajmiła. - Chcę się nauczyć, jak bardziej szanować samą siebie, żeby już nic podobnego nigdy mi się nie przydarzyło.

Haley tak szczerze wyznała, co zrobiła i była tak zawstydzona swoimi postępami, że żadna z kobiet nie potrafiła długo się na nią gniewać.

Shelby, która zrezygnowała z mojito na rzecz dietetycznej pepsi, wysunęła stopy z nowych niebieskawo-szarych pantofelków na płaskim obcasie.

- Trzeba mieć odwagę, żeby tak jak Meg stawić czoło całemu tłumowi w Roustabout. Nawet jeśli nikt nie uwierzył w ani jedno jej słowo.

Torie parsknęła.

- Gdybyśmy wszyscy nie byli tacy przygnębieni, chyba ze śmiechu pospadalibyśmy z krzeseł, kiedy mówiła, jak zapanowała nad Tedem, a potem puściła go kantem, niczym wielka pożeraczka mężczyzn.

- Meg ma honor i serce - powiedziała Birdie. - To rzadka kombinacja.

Poza tym była najpracowitszą pokojówką, jaką kiedykolwiek zatrudniałam.

- I najgorzej opłacaną - wytknęła jej Torie. Birdie natychmiast przyjęła postawę obronną.

- Przecież wiecie, że starałam się to wyrównać. Posłałam czek na adres jej rodziców, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi.

Lady Emma miała zafrasowaną minę.

- Nikt z nas nie dostał. Powinna była przynajmniej zachować stary numer telefonu, żebyśmy mogły do niej zadzwonić. Nie podoba mi się sposób, w jaki zniknęła.

Kayla wskazała na ekran komputera.

- Za to wybrała niesamowity sposób, żeby znów się pojawić. Z jej strony to desperacki ruch. Ostatnia próba odzyskania Teda.

Shelby skubała pasek zbyt obcisłych dzinsów.

- Musiała pożyczyć pieniądze od rodziców. Ale Torie nie dała się przekonać.

- Na coś takiego Meg ma za wiele dumy. Poza tym nie jest typem kobiety uganiającej się za mężczyzną, który się nie zaangażuje.

- Nie wierzę, że Meg wylicytowała tę kwotę - oznajmiła Zoey. - Myślę, że to jej rodzice.

Zaczęły rozważać ten pomysł.

- Może masz rację - powiedziała w końcu Birdie. - Jacy rodzice by nie chcieli, żeby ich córka zdobyła Teda?

Ale lady Emma ze swoim bystrym umysłem znalazła inne rozwiązanie.

- Wszystkie się mylicie - powiedziała stanowczo. - Ani Meg nie złożyła tej oferty, ani jej rodzice. - Wymieniła długie spojrzenie z Torie.

- Co takiego? - zdziwiła się Kayla. - Powiedzcie nam.

Torie odstawiła szklankę z trzecim koktajlem mojito.

- To Ted podbił stawkę w imieniu Meg. Chce, żeby wróciła i właśnie w ten sposób zamierza ją odzyskać.

Wszystkie chciały zobaczyć reakcję Teda, więc następne pół godziny spędziły, kłócąc się, która z nich zawiadomi go o wynikach licytacji. Były ciekawe, czy będzie udawał szok, czy przyzna się do fortelu? W końcu lady Emma wykorzystała swoją pozycję i oświadczyła, że zrobi to osobiście.

Ted wrócił do Wynette w niedzielę, a lady Emma pojawiła się pod jego domem już w poniedziałkowy poranek. Nie była specjalnie zdumiona, kiedy nikt nie otworzył jej drzwi. Ponieważ z natury łatwo się nie znie-

chęcała, zaparkowała swój samochód, wyciągnęła z torby bogato ilustrowaną biografię Beatrix Potter i przygotowała się do dłuższego czekania.

Nie minęło pół godziny, gdy otwarły się drzwi garażu. Stwierdziwszy, że lady Emma całkiem blokuje wyjazd, Ted podszedł do jej auta. Miał na sobie garnitur i ciemne okulary awiatory. W czarnej skórzanej teczce niósł laptop. Pochylił się i powiedział przez otwarte okno:

- Przesuń się.

Lady Emma zatrzasnęła książkę.

- Przyjechałam w oficjalnej sprawie. O czym bym cię powiadomiła, gdybyś otworzył mi drzwi.

- Nie jestem już burmistrzem. Nie mam tu oficjalnych spraw.

- Jesteś p.o. burmistrza. Zdecydowaliśmy jednogłośnie. Ale to sprawa nie tego rodzaju.

Wyprostował się.

- Zabierzesz ten samochód, czy mam to zrobić za ciebie?

- Kenny nie pochwaliłby brutalnego obchodzenia się ze mną.

- Kenny jeszcze by mi kibicował. - Ted zdjął przeciwsłoneczne okulary.

W jego oczach malowało się zmęczenie. - Czego chcesz, Emmo?

To, że opuścił jej tytuł, zaalarmowało ją w równym stopniu jak jego bladość, ale lady Emma ukryła zaniepokojenie.

- Licytacja dobiegła końca - oznajmiła - i mamy już zwyciężczynię.

- Szalenie ekscytująca wiadomość - wycedził.

- To Meg.

- Meg?

Skinęła głową i czekała na jego reakcję. Miała zobaczyć satysfakcję?

Szok? Czyjej wczorajsza teoria była słuszna?

Ted wsunął ciemne okulary na nos i oznajmił, że lady Emma ma trzydzieści sekund, żeby ruszyć swój cholerny samochód.

Obszerna garderoba Franceski należała do tych miejsc w domu, które Dallie lubił najbardziej. Może dlatego, że odzwierciedlała tak liczne sprzeczności w naturze jego żony. Było to pomieszczenie jednocześnie luksusowe i przytulne, pełne chaosu i dobrze zorganizowane. Pachniało słodko i korzennie. Świadczyło o nadmiernym dogadzaniu sobie i solidnej praktyczności. Czego garderoba nie mogła pokazać, to odwagi, szczodrości i lojalności wobec ludzi, których Francie' kochała.

- Coś takiego nigdy się nie uda - powiedział, stojąc w wejściu i przyglądając się, jak z jednej z szuflad zona wyciąga szczególnie atrakcyjny koronkowy stanik.

- Bzdury. Oczywiście, że się uda. - Wrzuciła stanik z powrotem, jakby ją osobiście czymś obraził. Dallie-go całkiem to satysfakcjonowało, bo w ten sposób stała przed nim tylko w mocno wyciętych figach z purpurowej koronki. Ktokolwiek twierdzi, że kobieta po pięćdziesiątce nie może być seksowna, nie widział Franceski Serritelli Day Beaudine nagiej. On miał

to szczęście wiele razy. Ostatnio niecałe pół godziny temu, kiedy leżeli spleceni wśród rozrzuconej pościeli.

Francesca wyciągnęła kolejny stanik, który wyglądał mniej więcej tak samo jak poprzedni.

- Musiałam coś zrobić, Dallie. Teddy marnieje w oczach.

- Nie marnieje. Ponownie rozważa różne sprawy. Nawet w dzieciństwie lubił przemyśleć sobie wszystko bez pośpiechu.

- Bzdury. - Drugi stanik też wzbudził jej niezadowolenie. - Miał ponad miesiąc. To wystarczająco długo.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał Francie, szła poboczem teksańskiej autostrady, ubrana niczym piękność z Południa, diabelnie wściekła i zdeterminowana, by zabrać się okazją ze Skeetem i z nim. Jak się okazało, był to najszczęśliwszy dzień w jego życiu. Jednak Dallie nie lubił, gdy za bardzo przesadzała, więc teraz udawał, że uważnie ogląda zadrapanie na ościeżach drzwi.

- A co mówi lady Emma na ten twój przebiegły plan?

Nagle zainteresowanie, jakie wzbudził we France-sce jaskrawoczerwony biustonosz, który nawet w przybliżeniu nie pasował do majtek, powiedział Dalliemu, że jego żona o niczym przyjaciółce nie wspomniała.

- Słyszałeś, że Emma próbuje namówić Kenny'ego, żeby wynajęli kamper i pojechali całą rodziną w kilkumiesięczną podróż po kraju? - zagadnęła, wkładając stanik. - W drodze dzieciaki miałyby domowe nauczanie.

- Nie wierzę, że to zrobiłaś - odparł. - Tak jak nie wierzę, że się jej przyznałaś, że zamierzasz otworzyć internetowy rachunek na nazwisko Meg i złożyć zwycięską ofertę w tej idiotycznej licytacji. Wiedziałaś, że próbowałyby ci to wyperswadować.

Francesca ściągnęła z wieszaka sukienkę w kolorze swoich oczu.

- Emma bywa przesadnie ostrożna.

- Nieprawda. Lady Emma jest jedyną naprawdę rozsądną osobą w tym mieście. A mówiąc miasto, mam na myśli również ciebie, mnie i naszego syna.

- Czuję się dotknięta. Akurat ja mam dużo zdrowego rozsądku.

- Jeśli chodzi o interesy.

Stała do niego tyłem, żeby zasunął błyskawiczny zamek w sukience.

- W porządku, ale... ty masz dużo zdrowego rozsądku.

Dallie odgarnął żonie włosy z karku i pocałował miękką skórę.

- Nie, kiedy sprawa dotyczy mojej Francie. Straciłem rozsądek w dniu, kiedy cię zabrałem na tamtej

autostradzie.

Francesca odwróciła się i podniosła na niego spojrzenie. Rozchylone wargi, wilgotne oczy. Mógłby w tych oczach zatonać. I, do licha, ona dobrze o tym wiedziała.

- Przestań mi robić wodę z mózgu.

- Proszę, Dallie... Potrzebuję twego wsparcia. Wiesz, co czuję w stosunku do Meg.

- Nie, nie wiem. - Zapiął jej sukienkę. - Trzy miesiące temu nienawidziłaś jej. Na wypadek gdybyś zapomniała: próbowałaś wypędzić Meg z miasta, a kiedy ci się nie udało, zrobiłaś, co mogłaś, żeby ją upokorzyć, zmuszając do kelnerowania na twoim przyjęciu.

- To nie był najlepszy moment w moim życiu. - Francesca zmarszczyła nos i zamyśliła się. - Ona była wspaniała, Dallie. Szkoda, żeś jej nie widział. Nie ugięła się nawet o włos. Meg jest... Jest absolutnie fantastyczna.

- O, tak. O Lucy też myślałaś, że jest absolutnie fantastyczna i popatrz, co się stało.

- Lucy jest cudowna. Ale nie dla Teda. Są zbyt do siebie podobni. Dziwię się, że nie widzieliśmy tego tak wyraźnie jak Meg. Zauważ, że ona od początku idealnie tu pasowała, z czym Lucy nigdy całkiem nie dałaby sobie rady.

- Bo Lucy jest zbyt zrównoważona. Poza tym oboje wiemy, że „idealnie pasować” to niezupełnie komplement, kiedy mowa o Wynette.

- Ale kiedy mowa o Tedzie, to rzecz zasadnicza. Może Francesca miała rację? Może ich syn zakochał się w Meg? Dallie przedtem też tak myślał, jednak zmienił zdanie, gdy Ted pozwolił jej odejść równie łatwo, jak odpuścił sobie Lucy. Francie wydawała się pewna swego, ale tak bardzo pragnęła wnuków, że nie mogła być obiektywna.

- Od początku należało po prostu dać komitetowi te pieniądze na odbudowę - powiedział.

- Rozmawialiśmy o tym.

- Wiem. - Doświadczenie wskazywało, że kilka rodzin, obojętnie jak dobrze sytuowanych, nie mogło utrzymać miasteczka. Nauczyli się wybierać cele i w tym roku rozwój bezpłatnej lecznicy zwyciężył nad re-montem biblioteki.

- To tylko pieniądze - powiedziała kobieta, która kiedyś żyła słoikiem masła orzechowego i nocowała na sofie w pięćsetwatowej stacji radiowej gdzieś na końcu świata. - Naprawdę nie potrzebuję nowych rzeczy na zimę. Potrzebuję tylko, żeby nasz syn wrócił.

- Nigdzie nie wyjechał.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Dręczy go coś więcej niż utrata centrum golfa.

- Tego nie możemy wiedzieć na pewno, skoro nie chce z żadnym z nas porozmawiać. Nawet lady Emma nie umie go przekonać, żeby się otworzył. I zapomnij o Torie. Ted unika jej od tygodni.

- Jest skryty z natury.

- Właśnie. I kiedy odkryje, co zrobiłaś, będziesz zdana sama na siebie, bo ja zamierzam przypadkiem wtedy być poza miastem.

- Jestem gotowa zaryzykować - odparła.

Nie był to pierwszy raz, kiedy ryzykowała dla ich syna i ponieważ łatwiej było pocałować ją, niż się spierać, Dallie poddał się.

Od razu pojawił się nagły problem. Wysyłając zawiadomienie o zwycięstwie, komitet użył adresu mejlowego, który stworzyła Francesca, co stawiało przed nią zadanie odnalezienia Meg i przekazania wieści. A ponieważ Meg najwyraźniej gdzieś się zasyła, pani Beaudine była zmuszona skontaktować się z Korandami.

W ciągu ostatnich piętnastu lat dwukrotnie przeprowadzała wywiad z Jakiem, co było swego rodzaju rekordem, biorąc pod uwagę jego obsesję prywatności. Powściągliwość w słowach czyniła z aktora trudnego rozmówcę, ale przy wyłączonych kamerach prezentował cięte poczucie humoru i przyjemnie się z nim gawędziło. Jego żony Francesca właściwie nie знаła. Fleur cieszyła się opinią osoby silnej, inteligentnej i twardo przestrzegającej norm etycznych. Niestety, krótka wizyta Korandów w Wynette akurat w tak kłopotliwym momencie nie dała Francesce ani Dalliemu szansy na pogłębienie znajomości.

Kiedy Francesca zadzwoniła do jej biura, Fleur rozmawiała z nią ciepło, ale powściągliwie. Francesca skleciła w pośpiechu kulawą opowieść, dość bliską faktom opuszczając tylko kilka niewygodnych detali, takich jak na przykład jej własna rola w tym wszystkim. Mówiła natomiast o podziwie, jakim darzy Meg i o przekonaniu, że Meg i Tedowi bardzo na sobie zależy.

- Jestem absolutnie pewna, Fleur. Wspólny weekend w San Francisco da im szansę, której potrzebują, żeby ponownie nawiązać i naprawić swoje relacje. Fleur nie była głupia, więc od razu trafiła w sedno.

- Meg ma o wiele za mało pieniędzy, żeby mogła wpłacić taką kwotę.

- Co sprawia, że sytuacja jest jeszcze bardziej ekscytująca, prawda?

Na chwilę zapadło milczenie. Wreszcie Fleur zapytała:

- Myślisz, że to Ted za tym stoi?

Francesca nie chciała kłamać, ale też nie miała zamiaru wyznać, co zrobiła.

- Po naszym miasteczku krąży na ten temat cała masa przypuszczeń.

Nawet nie wyobrażasz sobie, jakie teorie już słyszałam. - I dodała pospiesznie: - Nie chcę cię naciskać o numer telefonu Meg... - Przerwała w nadziei, że Fleur poda go na ochotnika. Kiedy to nie nastąpiło, zaproponowała: - Umówmy się tak: dopilnuję, żeby plan weekendu i bilety na przelot Los Angeles - San Francisco - Los Angeles zostały wysłane do ciebie. Komitet planował wykorzystać prywatny odrzutowiec, który zabrałby ich oboje z Wynette, ale zważywszy na okoliczności, to wydaje się lepszym rozwiązaniem. Zgadzasz się?

Wstrzymała oddech. Jednak nie doczekała się odpowiedzi.

- Opowiedz mi o swoim synu - poprosiła Fleur. Francesca opadła na oparcie fotela i zapatrzyła się na zdjęcie, które zrobiła Teddy'emu, kiedy miał dziewięć lat. Głowa zbyt duża w stosunku do małego, chudziutkiego ciała. Spodnie podciągnięte zbyt wysoko. Zbyt poważny wyraz buzi, kłócący się z napisem na znoszonej koszulce: „Urodzony piekielnik”. Wzięła fotografię do ręki.

- Wyjeżdżając z Wynette, Meg zaszła do naszego lokalnego miejsca spotkań i ogłosiła wszem i wobec, że Ted nie jest doskonały. - Jej oczy napęły się łzami,

których nie próbowała przepędzić mruganiem. - Nie zgadzam się z tą opinią.

Siedząc przy biurku, Fleur odtwarzała w pamięci rozmowę z Francescą Beaudine. Trudno było myśleć logicznie, kiedy jej dziecko tak bardzo cierpiało. Meg nie przyznawała się, że coś jest nie w porządku. Miesiące spędzone w Teksasie sprawiły, że stała się dojrzałą, silną kobietą, ale pozostawiły też obcą jej naturze powściągliwość. Do tej nowej cechy rodzice jeszcze nie potrafili się dopasować. Jednak chociaż Meg jasno dała do zrozumienia, że nie zamierza rozmawiać na temat Teda Beaudine'a, Fleur i tak wiedziała, że jej córka zakochała się w tym mężczyźnie i że została głęboko zraniona. Więc całą siłą macierzyńskiego instynktu pragnęła chronić ją przed kolejną dawką bólu.

Zastanawiała się nad dziurami w opowieści, której właśnie wysłuchiwała.

Pod olśniewającą powierzchownością matki Teda krył się ostry jak brzytwa umysł. Francescą ujawniła tylko tyle, ile chciała. Fleur nie miała powodu, żeby jej ufać, zwłaszcza, odkąd stało się jasne, że absolutnym priorytetem jest dla niej syn. Ten sam, który napęlił nieznanym smutkiem oczy Meg. Ale Meg nie była dzieckiem i Fleur nie miała prawa podejmować za nią takich decyzji.

Sięgnęła więc po telefon i zadzwoniła do córki.

Fotel w holu Four Seasons w San Francisco stanowił dobry punkt obserwacyjny, gwarantując jednocześnie, że dla wchodzących Ted nie był natychmiast widoczny. Za każdym razem, kiedy otwierały się drzwi, coś mu się skręcało w głębi brzucha. Nie mógł uwierzyć, że tak bardzo dał się wytrącić z równowagi. Lubił traktować życie w sposób prosty i przyjazny, żeby wszyscy do-

brze się bawili i dobrze czuli w swoim towarzystwie. Ale od pamiętnego wieczoru, gdy podczas przedślubnego przyjęcia poznał Meg Korandę, nic już nie było proste.

Pojawiła się spowita w jedwabie, które obnażały jedno ramię i opinały linię bioder. Włosy tworzyły



wokół głowy wojowniczy gąszcz loków, a srebrne monety kołysały się w uszach jak nunchaku. Wyzwanie, które mu rzuciła, zirykowało go, ale nie odniósł się do Meg z należytą powagą. Od tamtego pierwszego spotkania, gdy obserwował, jak jej oczy zmieniają barwę, przechodząc z czystego błękitu w zieleń nieba ogarniętego torna-dem, powinien był traktować poważnie wszystko, co się z nią wiązało.

Kiedy lady E. powiedziała mu, kto jest zwyciężczynią idiotycznej licytacji, doświadczył przyływu euforii, po którym niemal natychmiast nastąpił brutalny powrót do rzeczywistości. Ani duma, ani stan konta nie pozwoliłyby Meg na złożenie takiej finansowej oferty, więc nie zajęło mu wiele czasu, żeby domyślić się, czyja to robota. Zawsze miał dobre notowania u rodziców i państwo Korandowie nie różnili się tu od innych.

Pomimo że z ojcem Meg zdołał zaledwie wymienić kilka spojrzeń, doskonale się porozumieli.

Portier pomógł wejść do holu jakiemuś starszemu panu. Ted oparł się wygodniej w swoim fotelu. Samolot Meg wylądował dobrze ponad godzinę temu, więc w każdej chwili mogła pojawić się w hotelu. Ted ciągle jeszcze nie był pewien, co właściwie chce jej powiedzieć, ale niech go diabli, jeśli pozwoli jej dostrzec choćby krztynę gniewu, który nadal w nim kipiał. Gniew to uczucie przynoszące efekty przeciwne do zamierzonych. Żeby poradzić sobie z Meg, Ted potrzebował spokoju i opanowania. Jego chłód przeciwko jej gorącu. Jego uporządkowana natura przeciwko jej chaosowi.

Jednak nie czuł się ani spokojny, ani uporządkowany i im dłużej czekał, tym większy ogarniał go niepokój. Z trudem mógł się rozeznąć w tych wszystkich absurdach, które mu zarzucała. Najpierw na niego naskoczyła za zachowanie podczas przyjęcia u jego matki. I co z tego, jeśli nawet wiedział, że żadna z tych kobiet nie puści pary z ust? Tak czy inaczej publicznie się zadeklarował, prawda? Potem oznajmiła, że się w nim zakochała, ale kiedy usiłował jej wyjaśnić, jak bardzo mu na niej zależy, zupełnie to zlekceważyła. Jednocześnie odmówiła znaczenia faktowi, że trzy miesiące wcześniej Ted stał przed ołtarzem, gotów poślubić inną kobietę. Żądała natomiast jakichś obietnic na zawsze. Czy to nie było bardzo w jej stylu - pakować się w coś i w ogóle nie brać pod uwagę kontekstu sytuacji?

Gwałtownie podniósł głowę, kiedy drzwi znów się otwały, tym razem przepuszczając jakiegoś staruszkę i dużo młodszą kobietę. Chociaż w holu panował przyjemny chłodek, koszula lepiła się Tedowi do pleców.

To tyle w sprawie zarzutów, że zawsze stoi z boku i nie musi się zbytnio napocić.

Po raz kolejny zerknął na zegarek. Potem wyciągnął telefon i sprawdził, czy nie przysłała mu esemesa, tak jak robił to wielokrotnie od czasu, gdy zniknęła, ale żadna z wiadomości nie pochodziła od niej. Wsunął

komórkę z powrotem do kieszeni, a do głowy cisnęło mu się inne wspomnienie. To, z którym nie potrafił sobie poradzić. Co jej zrobił

tamtego dnia na składowisku...

Nie mógł uwierzyć, że do tego stopnia stracił panowanie nad sobą. Meg usiłowała to zbagatelizować, ale on nigdy sobie nie wybaczył.

Spróbował myśleć o czymś innym i jak zwykle skończył na zamartwianiu się kłopotami Wynette. Miasto nie przyjęło do wiadomości, że złożył

rezygnację, więc

jego biurko w ratuszu pozostało niezajęte. Jednak Ted twierdził, że prędzej diabli go wezmą, niż znowu wpakuje się w ten galimatias. Prawda była taka, że ich rozczarował i obojętnie, jak wyrozumiale się do niego odnosili, nie było w Wynette osoby, która by nie wiedziała, że zawiódł ich zaufanie.

Hotelowe drzwi otworzyły się i zamknęły. W ciągu jednego lata jego wygodne życie legło w gruzach.

„Jestem chaotyczna, gwałtowna, zakłócam spokój. A ty złamałeś mi serce”.

Przeszyło go wspomnienie nieznośnego bólu w tych zielononiebieskich oczach. Ale co z jego sercem? Jego cierpieniem? Czy ona chociaż pomyślała, jak on się czuł, kiedy osoba, na której zaczynał naprawdę polegać, zostawiła go na lodzie właśnie wtedy, gdy jej najbardziej potrzebował?

„Moje durne serce... - powiedziała - śpiewało z radości”.

Czekał w hotelowym holu przez całe popołudnie, ale Meg się nie pojawiła.

Tego wieczoru przewędrował Chinatown, a potem upił się w jednym z barów Mission District. Następnego dnia, postawiwszy kołnierz marynarki, spacerował w deszczu po mieście. Jeździł kolejką linową, wałęsał się po Japońskim Ogrodzie Herbacianym w parku Golden Gate, zajrzał do paru sklepów z pamiątkami przy Fisherman's Wharf. W

restauracji Cliff House próbował zjeść miskę zupy z owoców morza, żeby się rozgrzać, ale po kilku łykach zrezygnował.

„Już sam twój widok sprawia, że czuję się, jakbym tańczyła”.

Następnego ranka obudził się dużo za wcześnie, skacowany i nieszczęśliwy. Na miasto spadła zimna, gęsta mgła, ale on i tak przemierzał puste ulice i wspiął się na szczyt wzgórza w Telegraph Hill.

Coit Tower była jeszcze zamknięta, więc spacerował po okolicy i kiedy mgła zaczęła się podnosić, oglądał z góry miasto i zatokę. Miał ochotę pogadać o tym całym bałaganie z Lucy, ale przecież nie mógł po tak długim czasie zadzwonić do niej tylko po to, by powiedzieć, że jej najlepsza przyjaciółka jest niedojrzałą, roszczeniową, nazbyt emocjonalną, pozbawioną rozsądku wariatką i co, do diabła, on ma teraz z tym robić?

Brakowało mu Lucy. Z nią wszystko było takie proste.

Brakowało mu... ale nie chciał skrócić jej karku, co miał ochotę zrobić Meg. Nie chciał się z nią kochać, aż oczy zajdą jej mgłą. Nie pragnął

usłyszeć jej głosu, jej radosnego śmiechu.

Za Lucy tak nie tęsknił. Tak o niej nie marzył. Tak jej nie pragnął.

Nie kochał jej.

Wśród szelestu liści i chłodnych podmuchów wiatr poniósł resztkę mgły nad morze.

### *Rozdział 23*

*K ILKA* GODZIN PÓŹNIEJ Ted był na autostradzie międzystanowej numer 5, mknąc na południe wypożyczonym chevroletem trailblazerem. Jechał

zbyt szybko i tylko raz zatrzymał się na kubek gorzkiej kawy. Modlił się, by się okazało, że po opuszczeniu Wynette Meg wróciła z rodzicami do Los Angeles, a nie na przykład wyjechała do Dżajpuru, Ułan Bator czy jakiegoś innego miejsca, gdzie nie mógłby jej odnaleźć i powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Wiatr rozpraszający mgłę nad San Francisco wymiół mu resztki mętlika z głowy. Z absolutną jasnością, która przebiła się przez wir myśli o dawnych narzeczonych i niedoszłych ślubach, Ted ujrzał, jak dotąd sprytnie używał logiki, żeby ukryć strach przed zakłó-

cenieniem swego wygodnego życia przez chaotyczne uczucia.

Właśnie on, jak mało kto, powinien był wiedzieć, że miłość nie jest uporządkowana ani racjonalna. Czyż namiętny, szalony romans jego własnych rodziców nie przewyciężył oszustwa, separacji i oślego uporu, żeby przetrwać ponad trzy dziesięciolecia? Taki rodzaj miłości sięgającej głębi duszy czuł właśnie do Meg - miłości skomplikowanej, zakłócającej spokój, obezwładniającej, której brakowało w ich związku z Lucy, do czego nie chciał się przyznać. On i Lucy doskonale pasowali do siebie w jego głowie. W głowie... nie w sercu. I zrozumienie tego nie powinno mu było zająć aż tyle czasu.

Kiedy wreszcie włączył się w strumień pojazdów na ulicach Los Angeles, zgrzytał zębami z frustracji. Meg była istotą namiętną i impulsywną. Nie widział jej od ponad miesiąca. A jeśli upływ czasu i odległość przekonały ją, że zasługuje na kogoś lepszego niż tępy Teksańczyk, który sam nie wie, czego chce?

Nie, nie mógł tak myśleć. Nie mógł sobie pozwolić na rozważania, co zrobi, jeśli się okaże, że Meg miała już dosyć tej miłości. Gdyby tylko nie wyłączyła telefonu. A co z całymi latami jej wskakiwania do samolotów, z wędrówkami w najdalsze zakątki planety? Chciał, żeby siedziała spokojnie w jednym miejscu, ale Meg nie była taka.

Zanim dotarł do posiadłości Brentwood, nastał już wczesny wieczór. Ted zastanawiał się, czy Korandowie wiedzą, że Meg nie pojawiła się w San Francisco. Oczywiście, nie miał absolutnej pewności, że to oni wpłacili wylicytowaną kwotę, ale kto inny mógł to zrobić? Ironia losu nie umknęła jego uwadze. Co rodzice córek najbardziej w nim cenili, to zrównoważenie. A tymczasem

on nigdy w życiu nie czuł się mniej zrównoważony.

Przedstawił się przez interkom. Kiedy brama się przed nim otworzyła, przypomniał sobie, że od dwóch dni się nie golił. Powinien był najpierw zajechać do hotelu. Ubranie miał zmięte, oczy nabiegłe krwią i z tremy oblewał się potem, ale teraz nie zamierzał już zawracać.

Zaparkował samochód w pobliżu budowli w stylu Tudorów, głównego kalifornijskiego domu Meg. Najlepszy scenariusz: zostanie ją tutaj.

Najgorszy... Nie chciał myśleć o najgorszych scenariuszach. Korandowie byli jego sojusznikami, nie wrogami. Jeśli nie wróciła do Brentwood, pomogą mu ją odnaleźć.

Jednak chłód, który okazała mu Fleur, kiedy otworzyła drzwi, nie podziałał krzepiąco na rozchwianą pewność siebie.

- Tak?

I to było wszystko. Bez uśmiechu. Bez podania ręki. Zdecydowanie bez powitalnych uścisków. Niezależnie od wieku, kobiety zwykle robiły na jego widok maślane oczy. Zdarzyło się to tak wiele razy, że już prawie tego nie zauważał. Ale nie teraz i ta nowość wyprowadziła go z równowagi.

- Muszę widzieć się z Meg - wypalił, po czym dodał głupio: - Ja... Nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. Jestem Ted Beaudine.

- Ach, tak. Pan Nieodparty Urok.

W jej ustach nie brzmiało to jak komplement.

- Czy Meg tu jest? - zapytał.

Fleur spojrzała na niego dokładnie takim wzrokiem, jak jego matka patrzyła na Meg. Pani Koranda była

piękną, liczącą sześć stóp wzrostu Amazonką ze śmiało zarysowanymi brwiami, które odziedziczyła po niej córka. Miała jednak inną kolorystykę niż Meg i delikatniejsze rysy.

- Kiedy ostatnio cię widziałam - powiedziała Fleur - tarzałeś się po ziemi, usiłując urwać człowiekowi głowę.

Skoro Meg miała odwagę opierać się jego matce, on mógł stawić czoło Fleur.

- Tak, proszę pani. I chętnie zrobiłbym to jeszcze raz. A teraz będę wdzięczny, jeśli powie mi pani, gdzie mogę znaleźć Meg.

- Dlaczego?

Jeśli tego pokroju matkom dacie palec, odgryzą wam rękę.

- To sprawa pomiędzy nią i mną.

- Niezupełnie. - Głęboki głos należał do ojca Meg, który właśnie pojawił

się za plecami żony. - Wpuść go, Fleur.

Ted skinął głową, wszedł do ogromnego holu i ruszył za gospodarzami do wygodnego pokoju dziennego, który okupowali dwaj wysocy młodzi mężczyźni o kasztanowych włosach. Jeden siedział na cokole kominka, z nogą założoną na nogę i brzdąkał na gitarze. Drugi stukał w klawiaturę maca. To mogli być tylko bliźniacy, młodsi bracia Meg. Właściciela laptopa, roleksa i włoskich mokasynów Ted uznał za Dylana, finansowego eksperta. Clay, grający na gitarze nowojorski aktor, miał

bardziej kudłatą fryzurę, porwane džinsy i bose stopy. Obaj wyjątkowo przystojni, mocno kojarzyli mu się z jakimś dawnym filmowym idolem, chociaż w tym momencie nie potrafił sobie uświadomić o kogo chodzi.

Za to żaden z nich nie przypominał Meg, która była podobna do ojca. I żaden nie powitał go serdeczniej niż Korandowie-seniorzy. Albo wszyscy czworo wiedzieli, że

Meg nie pojawiła się w San Francisco i obwiniali właśnie jego, albo mylił

się od początku i to nie oni przystąpili w imieniu Meg do licytacji. Tak czy inaczej, potrzebował ich pomocy.

Jake dokonał zdawkowej prezentacji. Obaj bracia podnieśli się ze swoich miejsc, jednak wcale nie na powitanie, jak wkrótce Ted odkrył, ale żeby mieć jego twarz na wysokości wzroku.

- A więc to jest wielki Ted Beaudine - powiedział Clay, cedząc słowa niemal identycznie, jak robił to na ekranie jego ojciec.

Dylan wyglądał, jakby zwietrzył wrogie przejęcie.

- O gustach siostry się nie dyskutuje.

I to by było wszystko co do nadziei na współpracę. Chociaż Ted nie miał

praktyki w radzeniu sobie z niechęcią, absolutnie nie zamierzał się wycofać. Oстрыm spojrzeniem obrzucił bliźniaków.

- Szukam Meg.

- Rozumiem, że nie przyjechała zabawić się z tobą w San Francisco -

powiedział Dylan. - To musiał być niezły cios w twoje ego.

- Moje ego nie ma tu nic do rzeczy - odparował Ted. - Muszę z nią porozmawiać.

Clay przesuwiał palcami po szyjce gitary.

- Tak, ale jest pewien problem, Beaudine... Gdyby nasza siostra chciała z tobą porozmawiać, do tej pory już by to zrobiła.

Atmosfera w pokoju iskrzyła złą wolą i nieżyczliwością, w których Ted rozpoznał taką samą wrogość, jakiej Meg codziennie musiała stawiać czoła w Wynette.

- To niekoniecznie prawda - odparł.

Piękne blond futro Mamy Niedźwiedzicy zjeżyło się.

- Miałeś szansę, Ted. I z tego co wiem, zaważyłeś sprawę.

- Kompletnie - dodał Tata Niedźwiedź. - Ale jeśli chcesz zostawić jakąś wiadomość, z pewnością ją prześlemy.

W żadnym razie Ted nie zamierzał przed nimi się wywnętrzać.

- Z całym szacunkiem, panie Koranda, ale to, co mam do powiedzenia Meg, jest sprawą wyłącznie pomiędzy nami dwojgiem.

Jake wzruszył ramionami.

- Cóż, to wszystkiego najlepszego.

Clay odłożył gitarę i odsunął się od brata. Wydawało się, że jego wrogość osłabła. Patrzył na Teda jakby ze współczuciem.

- Widzę, że nikt nie zamierza ci tego powiedzieć, więc ja to zrobię. Meg wyjechała z kraju. Znowu podróżuje.

Ted poczuł ucisk w żołądku. Właśnie tego się obawiał.

- Nie ma sprawy - usłyszał własny głos. - Z przyjemnością się przelecę.

Dylan nie podzielał życzliwego nastawienia Claya.

- Jak na faceta, który uchodzi za geniusza, trochę wolno kojarzysz. Nie udzielimy ci żadnych informacji.

- Jesteśmy rodziną - powiedział Tata Niedźwiedź. - Może nie rozumiesz, co to oznacza, ale my nie mamy wątpliwości.

Ted doskonale rozumiał. Oznaczało to, że ci wysocy, przystojni Korandowie zwarli przeciwko niemu szeregi. Dokładnie to samo, co jego przyjaciele zrobili Meg. Brak snu, frustracja i zabarwione paniką obrzydzenie do samego siebie sprawiły, że ostro zaatakował.

- Jestem nieco zdezorientowany. Państwo są tą samą rodziną, która cztery miesiące temu odseparowała się od Meg?

Tu ich miał. Widział w ich oczach poczucie winy. Do tej chwili nawet nie podejrzewał, że w jego naturze leży złośliwość, ale człowiek uczy się czegoś nowego o sobie przez całe życie.

- Mogę się założyć, że nigdy nie powiedziała wam, przez co przeszła.

- Cały czas z nią rozmawialiśmy. - Ściągnięte wargi Fleur ledwie się poruszały.

- Naprawdę? Więc wiecie wszystko o jej życiu. - Miał w nosie, że postępuje całkowicie nielojalnie. - Na przykład, z pewnością wiecie, że aby kupić sobie coś do jedzenia, była zmuszona szorować toalety? I niewątpliwie opowiadała wam, że musiała sypiać w samochodzie? A wspomniała, że ledwie uniknęła aresztu za włóczęgostwo? - Nie zamierzał im mówić, kto do tego aresztu o mało jej nie wsadził. -

Wreszcie zamieszkała w opuszczonym, pozbawionym mebli budynku.

Macie, państwo, pojęcie, jak gorąco jest latem w Hill Country? Żeby się ochłodzić, chodziła popływać w rojącej się od węży zatoczce. - Poczucie winy sączyło się im wszystkimi porami, więc drażył dalej. - Nie miała żadnych przyjaciół, natomiast całe miasteczko wrogów. Zatem proszę wybaczyć, ale państwa deklaracje o chronieniu jej nie robią na mnie szczególnego wrażenia.

Twarze rodziców Meg poszarzały, jej bracia nie mogli spojrzeć mu w oczy, więc Ted zmusił się, by dać już spokój, chociaż słowa same cisnęły mu się na usta.

- Jeśli nie chcecie mi powiedzieć, gdzie ona jest, to do diabła z wami wszystkimi. Sam ją znajdę.

Wpadł z domu Korandów, pędzony wściekłością, uczuciem tak dla niego nowym, że z trudem je rozpo-

znawał. Jednak zanim dotarł do samochodu, zaczął już żałować tego, co zrobił. To byli bliscy kobiety, którą kochał i nawet ona uważała, że postąpili słusznie, zostawiając ją samej sobie. Nie osiągnął niczego, tylko wyładował gniew na niewłaściwych osobach. I jak, do diabła, miał ją teraz znaleźć?

Następnych kilka dni spędził walcząc z beznadziejną rozpaczą.

Poszukiwania przez Internet nie przyniosły żadnych wskazówek co do miejsca jej pobytu. A ludzie, którzy przypuszczalnie je znali, odmówili udzielania informacji. Meg mogła być gdziekolwiek. Mając do spene-trowania cały świat, Ted nie wiedział, od czego zacząć.

W chwili, gdy stało się oczywiste, że to nie Koran-dowie wylicytowali najwyższą stawkę, tożsamość jego swatki powinna była natychmiast wyjść na jaw, ale on ciągle jeszcze się nie potrafił znaleźć rozwiązania.

Kiedy wreszcie złożył wszystkie kawałki układanki, wpadł jak burza do domu rodziców i dopadł

Francescę w jej gabinecie.

- Zamieniłaś życie Meg w piekło! - wrzeszczał, nie mogąc się pohamować.

Matka próbowała zbyć go machnięciem ręką.

- Strasznie przesadzasz.

Ulżyło mu, bo znalazł cel dla swego gniewu.

- Zamieniłaś życie Meg w piekło, a potem nagle, bez ostrzeżenia, stałaś się jej orędowniczką?

Pani Beaudine popatrzyła na syna z urażoną godnością, co było jej ulubioną sztuczką, kiedy czuła się zapędzona do narożnika.

- Z pewnością czytałeś Josepha Campbella. W każdej mitycznej wędrówce bohaterka musi przejść szereg trudnych prób, zanim stanie się godna ręki pięknego księcia.

W drugim końcu pokoju ojciec parsknął śmiechem.

Ted wyszedł sztywnym krokiem w obawie, że nie opanuje tego nowego gniewu, który ciągle w nim wrzał. Chciał wskoczyć do samolotu, zagrzebać się w pracy, wyślizgnąć się ze swojej skóry, w której jeszcze niedawno było mu tak wygodnie. Ale zamiast tego pojechał do kościółka i usiadł nad zatoczką. Wyobraził sobie, jaka Meg byłaby zniesmaczona, gdyby mogła go teraz zobaczyć...

Zobaczyć, co się wyprawia w miasteczku. Świecący pustkami gabinet burmistrza, nieopłacone rachunki i niekończące się spory. Nawet nie miał kto wydać zezwolenia na remont biblioteki, który umożliwił czek od jego matki. Ted zawiódł

Wynette. Zawiódł Meg. Zawiódł samego siebie.

Meg byłaby wściekła, że się tak rozsypał. Nie podobało mu się, że rozczarowuje ją jeszcze bardziej niż dotychczas. Nieważne, że działo się to tylko w jego wyobraźni. Pojechał z powrotem do miasta, zaparkował

furgonetkę i przekroczył próg ratusza.

Kiedy wszedł do środka, rzucili się do niego wszyscy pracownicy.

Podniósł rękę, każdego po kolei spiorunował wzrokiem i zatrzasnął się w swoim gabinecie.

Pozostał tam przez cały dzień, nie reagując na dzwoniący telefon ani na powtarzające się pukanie do zamkniętych na klucz drzwi. Przeglądał

stosy papierów, analizował miejski budżet i rozmyślał nad zaprzepaszczonymi planami centrum golfa. Przez ostatnie tygodnie ziarno pewnego pomysłu próbowało przebić mu się przez podświadomość, ale w końcu uszło w gorzkiej glebie poczucia winy, gniewu i przygnębienia.



Teraz zamiast dręczyć się okropną sceną na składowisku odpadów, Ted użył wreszcie chłodnej, twardej logiki, która była jego specjalnością.

Minał jeden dzień, potem następny. Pod jego biurem zaczęły piętrzyć się domowe wypieki. Torie krzyczała przez drzwi, próbując go sterroryzować, żeby przyszedł do Roustabout. Lady E. podrzuciła mu do furgonetki na fotel dla pasażera dzieła zebrane McCullougha - kompletnie nie widział po co. Twardo ignorował ich wszystkich, aż wreszcie po trzech dniach miał gotowy plan. Plan, który mógł nieskończenie skomplikować mu życie, ale lepszy taki niż żaden. Opuściwszy swoje ustronie, Ted zaczął telefonować.

Upłynęły kolejne trzy dni. Znalazł dobrego prawnika i odbył jeszcze więcej rozmów. Niestety żadna z nich nie rozwiązywała większego problemu, jakim było odnalezienie Meg. Teda zżerała rozpacz. Dokąd, u licha, ta kobieta uciekła?

Ponieważ Korandowie uparcie unikali jego telefonów, zmusił lady E., a potem Torie, żeby spróbowały zadzwonić. Jednak rodzice Meg nie dali się złamać. Wyobrażał ją sobie wyniszczoną dyzenterią w dżunglach Kambodży albo zamarzającą na śmierć podczas wspinaczki na K2.

Nerwy miał w strzępach. Nie mógł spać. Prawie nie był w stanie jeść.

Podczas pierwszego zebrania, które zwołał, pogubił się w porządku obrad.

Któregoś wieczoru zjawił się u niego Kenny z pudełkiem pizzy.

- Zaczynam się o ciebie poważnie niepokoić. Najwyższa pora, żebyś wziął się w garść.

- I kto to mówi - odparował Ted. - Kiedy lady E. uciekła, odchodziłeś od zmysłów.

Kenny usprawiedliwił się utratą pamięci.

Tej nocy Ted znowu bezsennie przewracał się w pościeli. Jak na ironię, Meg nazwała go Panem Opanowanym. Wpatrując się w sufit, widział ją przebitą rogami byka albo ukąszoną przez królewską kobrę, ale kiedy wyobraził sobie, jak porywa ją zgraja partyzantów, nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Zerwał się z łóżka, wskoczył do furgonetki i pojechał

na składowisko odpadów.

Noc była chłodna i spokojna. Zostawił włączone długie światła i stał

między dwoma rozszerzającymi się snopami blasku, ogarniając spojrzeniem pustą, skażoną ziemię. Kenny miał rację. Ted musiał wziąć się w garść. Ale jak miał to zrobić? Nie był ani odrobinę bliżej odnalezienia Meg, niż kiedy zaczynał jej szukać. Jego życie rozpadło się na kawałki.

Może zadziałały na niego rozpacz albo cisza, ciemności albo to pustkowie tak pełne niewykorzystanych obietnic. Z jakiegoś powodu poczuł, że już może się wyprostować. I w końcu dostrzegł to, co mu umykało

-oczywisty fakt, który przeoczył przy wszystkich swoich próbach poszukiwań.

Żeby opuścić kraj, Meg musiała mieć pieniądze. Od początku zakładał, że dostała je od rodziców, którzy chcieli wynagrodzić córce wszystko, co przeszła. Tak podpowiadała mu logika. Jego logika. A przecież to nie on tu decydował. Ani razu nie przekroczył własnych granic, żeby się wślizgnąć do jej głowy.

Przywołał w pamięci portret Meg w najróżniejszych humorach. Jej śmiech i gniew, jej słodycz i impertynencję. Znał ją tak dobrze, jak samego siebie i kiedy otworzył na nią swój umysł, podstawowa prawda, którą powinien był dostrzec już dawno temu, stała się jasna jak słońce.

Meg nie wzięłaby od rodziców pieniędzy. Ani na mieszkanie. Ani na podróż. W ogóle na nic. Clay Koranda go okłamał.

## *Rozdział 24*

USŁYSZAŁA, ŻE JEDZIE ZA NIĄ JAKIŚ SAMOCHÓD. Chociaż była dopiero dziesiąta, chłodny październikowy deszcz sprawił, że ulice manhattańskiej Lower East Side świeciły pustkami. Przyspieszywszy kroku, Meg minęła mokre, czarne worki ze śmieciami, które obwisały na krawężniku. Nad jej głową deszcz przeciekał przez schody przeciwpożarowe. Spływająca rynsztokiem woda niosła różne brudy. W

kwartale ulic, gdzie mieszkał Clay, niektóre stare kamienice czynszowe z czerwonej cegły zostały odrestaurowane, ale większość nie, więc okolica prezentowała się co najmniej podejrzanie. Tak czy inaczej, Meg postąpiła niemądrze, że nie wybiła sobie z głowy wyprawy na hamburgera do ulubionych tanich delikatesów. Ale nie sądziła, że kiedy będzie wracać, deszcz wygoni do domu wszystkich przechodniów.

Od kamienicy, gdzie na piątym piętrze bez windy znajdowało się ciasne lokum Claya, dzieliły ją jeszcze prawie dwie przecznice. Meg podnajęła to obskurne mieszkanie na czas, kiedy brat przebywał w Los Angeles, kręcąc zdjęcia do niezależnego filmu, w którym grał jakąś znaczącą rolę i który mógł się stać oczekiwany przełomem w jego aktorskiej karierze.

Mieszkanko, małe i ponure, miało zaledwie dwa miniaturowe okna przepuszczające wąskie strugi światła, ale za to było tanie. Meg udało się usunąć zatłuszczoną, starą kanapę do kompletu z pozostałościami po kolejnych dziewczynach Claya i w ten sposób zrobiła miejsce na swój warsztat jubilerski.

Samochód ciągle jej towarzyszył. Szybko zerknęła przez ramię. Jechała za nią czarna, przedłużona limuzyna, nic takiego, żeby się specjalnie zdenerwować, ale Meg miała za sobą ciężki tydzień. Sześć ciężkich tygodni.

Umysł mącił się jej z wyczerpania, a palce tak bolały od harówki nad kolekcją biżuterii, że tylko siła woli pomagała jej wytrwać. Jednak ta ciężka praca się opłacała.

Meg nie usiłowała przekonywać samej siebie, że jest szczęśliwa, ale wiedziała, że w sprawie swojej

przyszłości podjęła decyzje najlepsze z możliwych. Sunny Skipjack trafiła w sedno, twierdząc, że należy przestawić się na klientów z górnej półki. Kierownikom butików, którym Meg pokazała próbki swoich wyrobów, spodobało się zestawienie nowoczesnego wzornictwa z zabytkowymi fragmentami. Zamówienia posypały się szybciej, niż mogła sobie wymarzyć. Gdyby celem jej życia było projektowanie biżuterii, szalałaby z radości. Ale to nie był jej cel.

Nie teraz. Wreszcie zrozumiała, co naprawdę chce robić.

Samochód nadal trzymał się tuż za nią, jego reflektory rzucały żółte smugi na mokry asfalt. Płócienne buty Meg kompletnie przemokły.

Mocniej otuliła się fioletowym trenczem, który znalazła kiedyś w komisie z używanymi rzeczami. Ochronne kraty osłaniały okna sklepu sprzedającego sari. Koreański dyskont z towarami produkcji krajowej, nawet pierogarnię - wszystko już pozamykano na noc.

Przyspieszyła kroku, ale jednostajny pomruk silnika nie przycichł. To nie były urojenia. Ten samochód wyraźnie ją śledził, a ona miała do przejścia jeszcze całą przecnicę.

Przez skrzyżowanie przemknął wóz policyjny - ryk syreny, pulsujące w deszczu czerwone światło. Oddech Meg stał się szybszy, kiedy limuzyna zatrzymała się przy niej. W nocy czarne szyby okien wyglądały groźnie.

Meg zaczęła biec, ale samochód jej nie odstępował. Kątem oka ujrzała, że jedna z tylnych szyb zaczyna się opuszczać.

- Podwieźć cię?

Z czarnego auta patrzył na nią ostatni człowiek, jakiego spodziewała się zobaczyć. Potknęła się na nierównym chodniku, tak oszołomiona, że omal nie upadła. Po wszystkim, co zrobiła, żeby zatrzeć za sobą ślady, on był tutaj, ujęty w ramy otwartego okna, z twarzą zanurzoną w cieniu.

Przez długie tygodnie harowała do późnej nocy, koncentrując się wyłącznie na swojej pracy, nie pozwalając sobie na rozmyślania, nie kładąc się spać, dopóki nie ogarnęło jej takie zmęczenie, że nie mogła mu się dłużej opierać. Czuła się wykończona i pusta, niezdolna do rozmów z kimkolwiek, a zwłaszcza z nim.

- Nie, dziękuję - zdołała wykrztusić. - Jestem już prawie w domu.

- Wyglądasz na trochę przemokniętą. - Snop światła ulicznej latarni przeciął mocno zarysowaną kość policzkową.

Ted nie miał prawa tego robić. Nie pozwoli mu na to. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Znowu ruszyła chodnikiem, ale limuzyna jechała równo z nią.

- Naprawdę nie powinnaś chodzić tu sama - powiedział.

Rozumiała go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, co się kryło za jego niespodziewanym

przybyciem. Wyrzuty sumienia. Nienawidził ranić innych, więc musiał się upewnić, że nie wyrządził jej trwałej krzywdy.

- O to się nie martw - odparła.

- Czy mogłabyś wsiąść do samochodu?

- Nie ma potrzeby. Jestem już prawie w domu. - Obiecywała sobie, że nic więcej nie powie, ale ciekawość wzięła górę. - Jak mnie odnalazłeś?

- Uwierz mi, to nie było łatwe.

Wlepiała oczy prosto przed siebie i nie zwolniła kroku.

- Jeden z moich braci - powiedziała. - Wykończyłeś ich nerwowo.

Powinna była wiedzieć, że pękną. W zeszłym tygodniu Dylan nadłożył

drogi, jadąc z Bostonu, tylko po to by oznajmić Meg, że telefony z Wynette doprowadzają ich wszystkich do szaleństwa i że ona musi z Tedem porozmawiać. Clay zasypywał ją lawiną esemesów. „Facet wygląda na zdesperowanego”, poinformował w ostatnim. „Kto wie, co może zrobić?”

„Najgorszy scenariusz?” - odpisała. „Schrzani krótkie uderzenie”.

Ted zaczekał, aż minie ich taksówka i dopiero wtedy odparł:

- Twoi bracia przysporzyli mi wyłącznie kłopotów. Clay nawet skłamał, że wyjechałaś za granicę. Zapomniałem, że to aktor.

- Mówiłam ci, że jest dobry.

- Zajęło mi chwilę, zanim wreszcie uświadomiłem sobie, że teraz nie przyjęłabyś już pieniędzy od rodziców. A jakoś nie widziałem cię opuszczającej kraj z tym, co podjęłaś ze swego rachunku.

- A skąd wiesz, co podjęłam z mego rachunku? Nawet w przyćmionym świetle mogła dostrzec, jak unosi brew. Prychnąwszy z niesmakiem, przyspieszyła kroku.

- Wiedziałem, że niektóre materiały do wyrobu biżuterii zamawiałaś przez Internet - powiedział. - Zrobiłem listę możliwych dostawców i namówiłem Kaylę, żeby do nich dzwoniła.

Meg wyminęła stłuczoną butelkę po whiskey.

- Jestem pewna, że Kayla więcej niż chętnie ci pomogła.

- Mówiła każdemu, że jest właścicielką butiku w Phoenix i próbuje odnaleźć projektantkę biżuterii, której prace widziała w Teksasie. Opisywała kilka sztuk. Mówiła, że chce taką biżuterię mieć w

ofercie. Wczoraj dostała twój adres.

- I proszę, oto jesteś. Podróż na darmo.

Miał czelność odpowiedzieć jej gniewnym tonem.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy prowadzić tę rozmowę w aucie?

- Nie. - Ze swoim poczuciem winy mógł się uporać sam. Poczucie winy nie oznacza miłości, z którą zresztą skończyła na zawsze.

- Naprawdę proszę, żebyś wsiadła do samochodu -burknął.

- Naprawdę proszę, żebyś poszedł do wszystkich diabłów.

- Właśnie stamtąd wracam i uwierz mi, piekło nie jest takim miłym miejscem, jak by się mogło wydawać.

- Przykro mi to słyszeć.

- Cholera jasna. - Drzwi limuzyny otwały się i Ted wyskoczył w biegu.

Zanim Meg zdążyła zareagować, już ją ciągnął do samochodu.

- Przestań! Co ty robisz?

Limuzyna wreszcie zahamowała. Ted władował Meg do środka, wepchnął się za nią i zatrzasnął drzwi. Kliknęły blokowane zamki.

- Możesz się oficjalnie uważać za porwaną. Samochód znowu ruszył.

Kierowca siedział ukryty

za zamkniętą przegrodą. Meg szarpnęła klamkę, ale ta ani drgnęła.

- Wypuść mnie! Nie wierzę, że coś takiego robisz. Co się z tobą dzieje?

Zwariowałeś?

- Do pewnego stopnia.

Odwlekała moment spojrzenia mu w twarz na tyle, na ile potrafiła. Ale dłużej już nie mogła i on widział jej bezsilność. Powoli odwróciła głowę.

Wyglądał równie olśniewająco jak zawsze, z tymi swoimi tygrysimi oczami i ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi, z tym prostym nosem i szczęką filmowego gwiazdora. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i granatowy krawat. W tak oficjalnym stroju nie widziała go od dnia niedoszłego ślubu. Zwalczyła gwałtowny przyływ emocji.

- Mówię serio - powiedziała. - Natychmiast mnie wypuść.

- Nie, dopóki nie porozmawiamy.

- Nie chcę z tobą rozmawiać. Nie chcę rozmawiać z nikim.

- O co ci chodzi? Przecież kochasz mówić.

- Już nie. - Wnętrze limuzyny miało długie, ciągnące się wzdłuż ścian kanapy i otaczające sufit małe błękitne światełka. Na siedzeniu naprzeciwko barku spoczywał olbrzymi bukiet czerwonych róż. Meg wygrzebała z kieszeni komórkę. - Dzwonię na policję zgłosić, że zostałam porwana.

- Wolałbym, żebyś tego nie robiła.

- To jest Manhattan. Nie jesteś tu Bogiem. Na pewno wsadzą cię do Rikers.

- Bardzo wątpię, ale nie ma sensu ryzykować. - Szybkim ruchem wyjął jej z ręki telefon i wsunął do kieszeni marynarki.

Nie na darmo Meg była córką aktora.

- Świetnie. - Ze znużeniem wzruszyła ramionami. - Rozmawiajmy. I raczej się pośpiesz. W domu czeka mój narzeczony. - Przycisnęła się biodrem do drzwi, tak daleko od Teda jak tylko mogła. - Mówiłam, że wyrzucenie cię z pamięci nie zajmie mi dużo czasu.

Zamrugał, po czym sięgnął po swój leczący-wyrzu-ty-sumienia-bukiet i położył go na jej kolanach.

- Myślałem, że może ci się spodobać.

- Źle myślałeś. - Cisnęła w niego różami.

Kiedy bukiet trafił go w głowę, Ted pogodził się z faktem, że to spotkanie nie przebiega ani trochę lepiej, niż zasłużył. Urowadzenie Meg było jeszcze jednym błędem z jego strony. Wcale nie planował jej porwać.

Miał zamiar niespodziewanie pojawić się w drzwiach z różami i gorącą deklaracją wiecznej miłości, a potem oczarować ją limuzyną. Ale kiedy auto skręciło w jej ulicę, dostrzegł Meg i cały zdrowy rozsądek diabli wzięli.

Mimo że patrzył na nią od tyłu, otuloną we fioletowy płaszcz, kulącą ramiona w strugach deszczu i tak ją rozpoznał. Inne długonogie kobiety chodziły podobnym krokiem, w podobnie zdecydowany sposób kołysały w marszu rękami, ale widok żadnej z nich nie wywoływał w nim uczucia, jakby klatka piersiowa miała mu eksplodować.

Przyćmione, błękitne światło wydobywało pod oczami Meg takie same cienie, jak te, które - o czym dobrze wiedział - otaczały jego własne oczy.

Jej stroju nie zdobiły etniczne paciorki ani wprawione w kolczyki stare monety, jakie przywykł na niej oglądać. Nie miała na sobie żadnej biżuterii, a puste dziurki w płatkach uszu nadawały jej bezbronny wygląd i chwytaly za serce. Wystające spod skraju przemoczonego trencza nogawki dżinsów i płócienne sportowe buty były kompletnie mokre.

Włosy miała dłuższe, niż kiedy widział ją ostatnio, ognistoczerwone, obsypane lśniącymi kroplami deszczu. Chciał, żeby wróciła dawna Meg.

Chciał scałować te nowe wklęsłości pod kośćmi policzkowymi, przywrócić ciepło oczom. Chciał sprawić, żeby się uśmiechała. Śmiała.

Żeby go znowu kochała tak głęboko, jak on kochał ją.

Wpatrując się w nią, jak siedzi ze wzrokiem wlepionym w przegrodę, która odgradzała ich od długoletniego nowojorskiego kierowcy Franceski, Ted odrzucił możliwość, że pojawił się zbyt późno.

Narzeczonego Meg musiała wymyślić. Chociaż jaki mężczyzna mógłby się jej oprzeć? Kto mógłby się w niej nie zakochać? Potrzebował mieć pewność.

- Opowiedz mi o tym swoim narzeczonym.

- Nie ma mowy. Nie chcę, żebyś czuł się jeszcze gorzej niż teraz.

Kłamała. A przynajmniej modlił się, żeby tak było.

- Więc myślisz, że wiesz, co czuję?

- Oczywiście. Masz wyrzuty sumienia.

- To prawda.

- Szczerze? W tej chwili nie mam siły, żeby cię podtrzymywać na duchu.

Jak widzisz, świetnie sobie radzę. A teraz zajmij się sam swoim życiem i zostaw mnie w spokoju.

Nie wyglądała, jakby świetnie sobie radziła. Robiła wrażenie wykończonej. Gorzej, była w niej jakaś rezerwa - powaga - kompletnie niepasująca do zwariowanej, zuchwałej kobiety, którą znał. Nie potrafił

tego wszystkiego dopasować.

- Tęskniłem za tobą - powiedział.

- Miło mi to słyszeć - odparła tonem tak nieprzystępnym jak te góry, na które, czego się obawiał, mogła spróbować wspinaczki. - Czy wreszcie odwieziesz mnie do domu?

- Później.

- Ted, mówię serio. Nie mamy już o czym rozmawiać.

- Może ty nie, ale ja tak. - Jej determinacja, żeby odejść, przestraszyła go.

Nie raz był świadkiem, jaka Meg potrafi być uparta, i nienawidził, kiedy tę swoją stanowczość zwracała przeciwko niemu. Musiał znaleźć sposób, żeby przebić się przez jej łód. - Pomyślałem, że... moglibyśmy popływać łodzią.

- Łodzią? Nie wydaje mi się.

- Wiedziałem, że to idiotyzm, ale komitet odbudowy biblioteki upierał się, że to dobry pomysł, żeby cię przekonać. Zapomnij o tej propozycji.

Gwałtownie podniosła głowę.

- Omawiałeś to z komitetem odbudowy biblioteki? Ten przebłysk gniewu dał mu nadzieję.

- Mogłem coś wspomnieć. Mimochodem. Potrzebowałem spojrzenia z kobiecej perspektywy, a one przekonywały mnie, że każda istota płci żeńskiej ceni sobie efektowne romantyczne gesty. Nawet ty.

Teraz już z całą pewnością w jej oczach płonęły iskry.

- Nie mogę uwierzyć, że rozmawiałeś z tymi kobietami o naszych osobistych sprawach.

Powiedziała: o naszych sprawach. Nie twoich, tylko naszych. Nacisnął mocniej.

- Torie jest naprawdę na ciebie wkurzona.

- Wszystko mi jedno.

- Lady E. też, ale ona wyraża to w uprzejmiejszej formie. Bardzo je uraziłaś, kiedy zmieniłaś numer telefonu. Naprawdę nie powinnaś była tego robić.

- Przekaż im moje przeprosiny - odparła z drwiącym uśmiechem.

- Łódź to pomysł Birdie. Ona z powodu Haley została twoją najgorętszą zwolenniczką. Miałaś wtedy rację, żeby nie wzywać policji. Haley ostatnio bardzo dojrzała, a ja nie należę do tych, którzy nie potrafią się przyznać, kiedy popełnią błąd.

Jego nadzieje znów wzrosły, bo Meg zacisnęła złożone na mokrym płaszczu pięści.

- Z iloma jeszcze osobami omawiałeś nasze prywatne sprawy?



- Z kilkoma. - Grał na zwłokę, gorączkowo próbując wymyślić, jak poprowadzić tę rozmowę dalej. - Kenny okazał się do niczego. Skeet nadal jest na mnie wściekły. Kto by pomyślał, że tak bardzo cię polubi? A Buddy Ray Baker radził, żebym ci kupił harleya.

- Nawet nie znam Buddy'ego Raya Bakera!

- Oczywiście, że znasz. Pracuje na nocie w Food & Fuel. Prosił cię pozdrowić.

Oburzenie przywróciło trochę koloru tym pięknym policzkom.

- Czy jest ktoś, z kim o tym nie rozmawiałaś? - zapytała.

Sięgnął po serwetkę leżącą obok wiaderka, gdzie z przedwczesnym optymizmem chłodził butelkę szampana.

- Pozwól, że cię wytrę.

Wyrwała mu serwetkę i rzuciła na podłogę. Ted usadowił się wygodniej, usiłując sprawiać wrażenie, jakby wszystko miał pod kontrolą.

- Bez ciebie San Francisco specjalnie mnie nie bawiło.

- Przykro mi, że zmarnowałeś tyle pieniędzy, ale jestem pewna, że komitet odbudowy biblioteki był wdzięczny za twój szczodry datek.

Wyznanie, że to wcale nie on złożył tę wysoką ofertę, na pewno nie byłoby najlepszym sposobem, by przekonać Meg o jego miłości.

- Całe popołudnie siedziałem w hotelowym holu i czekałem na ciebie -

powiedział.

- Poczucie winy to twoja sprawa. U mnie nic tym nie wskórasz.

- Nie chodziło o poczucie winy. - Limuzyna podjechała do krawężnika i kierowca, zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami, zatrzymał się przy State Street, naprzeciwko Muzeum Indian Amerykańskich. Nadal padało, więc Ted powinien był wybrać jakieś inne miejsce, ale w apartamencie swoich rodziców w Greenwich Village nigdy by jej nie przekonał, a jakoś nie umiał sobie wyobrazić, że mógłby się tak wywnętrzać w restauracji czy barze. Tym bardziej nie zamierzał powiedzieć już nic więcej w limuzynie, gdzie zza przegrody podsłuchiwał kierowca jego matki. Niech to diabli. Deszcz, nie deszcz, to było odpowiednie miejsce.

Meg wyjrzała przez szybę.

- Dlaczego tu stajemy?

- Żebyśmy mogli przespacerować się po parku. - Odblokował zamki, podniósł z podłogi parasol i

otworzył drzwi.

- Nie chcę spacerować. Zmokłam, zimno mi w nogi. Chcę jechać do domu.

- Już niedługo. - Chwycił Meg za ramię i jakoś udało mu się zarówno ją, jak i parasol, wydostać na ulicę.

- Pada! - krzyknęła.

- Teraz już nie tak bardzo. Poza tym i tak jesteś mokra, te płomienne włosy powinny cię niezłe grzać, a ja mam duży parasol. - Rozłożył go i pociągnął ją dookoła tyłu limuzyny na chodnik. - Są tu nabrzeża, gdzie cumuje mnóstwo łodzi. - Skierował Meg w stronę wejścia do parku Battery.

- Powiedziałam ci, że nie będę pływać łodzią.

- Świetnie. Żadnego pływania. - Wcale niczego takiego nie planował.

Wymagałoby to uporządkowanych do pewnego stopnia myśli, których nie był w stanie pozbierać do kupy. - Mówię tylko, że są tu nabrzeża. I wspaniały widok na Statuę Wolności.

Meg kompletnie nie doceniła wagi tej informacji.

- Cholera jasna, Ted. - Odwróciła się gwałtownie, bez śladu zwariowanego poczucia humoru, które dawniej tak dobrze harmonizowało z jego dowcipem. Przykro mu było widzieć ją w takim stanie, jakby jej zdolność do śmiechu przygasła, ale obwiniać za to mógł

wyłącznie siebie.

- Więc dobrze, miejmy to już za sobą. - Spojrzała gniewnie na mijającego ich motocyklistę. - Mów, co masz do powiedzenia, a potem wracam do domu. Metrem.

Akurat.

- Zgoda. - Weszli do parku i poprowadził ją najbliższą ścieżką wiodącą do promenady.

Para pod wspólnym parasolem powinna stanowić romantyczny widok, ale nie wtedy, gdy jedna z osób odmawia zbliżenia się do drugiej. Zanim dotarli do promenady, marynarka Teda była już przemoczona na wylot, a buty niemal równie mokre jak u Meg.

Wózki sprzedawców zniknęły w ciągu dnia. Tylko nieliczni odważni spieszyli lśniącem od deszczu chodnikiem. Zerwał się wiatr i zimną mżawką znad wody powiał im w twarze. W oddali straż nad portem trzymała Statua Wolności. Była oświetlona na noc i Ted mógł nawet dostrzec maleńkie światełka w oknach jej korony. Pewnego letniego dnia przed bardzo wielu laty stłukł jedno z tych okien, wywiesił transparent

„Energii Atomowej Nie!” i wreszcie odnalazł ojca. Teraz, patrząc na statuę, która dodawała mu otuchy, modlił się, by odnaleźć przyszłość.

Zebrał całą odwagę.

- Kocham cię, Meg.

- Skoro tak twierdzisz. Mogę już iść? Wskazał głową statuę.

- Tam przeżyłem najważniejsze wydarzenie mego dzieciństwa.

- Tak, pamiętam. Twój młodzięczy akt wandalizmu.

- Właśnie. - Z trudem przełknął ślinę. - Więc wydawało mi się słuszne, żeby najważniejsze wydarzenie mego wieku męskiego też tutaj miało miejsce.

- Czy to nie było wtedy, kiedy straciłeś dziewictwo? Ile miałaś lat?

Dwanaście?

- Posłuchaj mnie, Meg. Ja cię kocham. Nie mogła być mniej zainteresowana.

- Powinieneś zgłosić się na terapię. Poważnie. Poczucie odpowiedzialności całkiem już wymknęło ci się spod kontroli. -

Poklepała go po ramieniu. - To się skończyło, Ted. Pozbądź się wreszcie wyrzutów sumienia. Ja już przeszedłam do następnego etapu. Szczerze mówiąc, zaczynasz robić trochę żałosne wrażenie.

Nie zamierzał pozwolić, żeby wyprowadziła go z równowagi.

- Prawda jest taka, że chciałbym odbyć tę rozmowę na Liberty Island.

Niestety, mam tam zakaz wstępu do końca życia, więc nie jest to możliwe. Kiedy byłem dziewięciolatkiem, zakaz nie wydawał mi się problemem, ale teraz cholernie mi przeszkadza.

- Myślisz, że mógłbyś już dać spokój? Dziś wieczorem czeka mnie jeszcze trochę papierkowej roboty.

- Jakiego rodzaju?

- Moje papiery rekrutacyjne. Od stycznia zaczynam zajęcia na Uniwersytecie Nowojorskim.

Zdecydowanie nie to chciał od niej usłyszeć. Poczul, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

- Wracasz na studia? Skinęła głową.

- Nareszcie zrozumiałam, co chcę zrobić z życiem.

- Myślałem, że projektujesz biżuterię?

- Tym opłacam rachunki. W każdym razie, większość. Ale projektowanie mnie nie zadowala.

To on chciał być tym, co ją zadowala. W końcu sama z siebie zaczęła mówić. Niestety, nie o nich dwojgu.

- Do lata zrobię licencjat z nauk o środowisku i od razu pójdę na studia magisterskie.

- To... wspaniale. - W ogóle nie wspaniale. - A potem co?

- Może praca w jakiejś rządowej agencji, powiedzmy w National Park Service, albo w organizacji charytatywnej, takiej jak Nature Conservancy. Mogłabym kierować programem ochrony ziemi. Jest cała masa opcji. Na przykład, zarządzanie odpadami. Większość ludzi nie rozumie, że to wspaniała dziedzina, ale mnie składowiska fascynowały od początku. Moje wymarzone zajęcie... - Nagle przerwała. - Zmarłam.

Wracajmy już.

- Więc jakie jest twoje wymarzone zajęcie? - Modlił się w duchu, żeby powiedziała coś o byciu jego żoną i matką jego dzieci, ale wydawało się to mało realistyczne.

Odparła energicznie. Jak obcy obcemu.

- Naprawdę chciałabym się zajmować zmienianiem ekologicznych nieużytków w tereny rekreacyjne i możesz uznać, że jesteś za to osobiście odpowiedzialny. No cóż, zabawa była przednia, ale już muszę iść. I tym razem nie próbuj mnie zatrzymywać.

Odwróciła się do niego plecami i ruszyła z powrotem - surowa, pozbawiona poczucia humoru, twarda jak skała kobieta o płomiennych włosach, która nie chciała go już dłużej w swoim życiu.

Wpadł w panikę.

- Meg! Kocham cię! Chcę się z tobą ożenić!

- To dziwne - odparła, nie zwalniając kroku. - Nie dalej niż sześć tygodni temu opowiadałeś mi, jak Lucy złamała ci serce.

- Myliłem się. Lucy złamała mój umysł. Wreszcie się zatrzymała.

- Umysł? - Obejrzała się na Teda.

- Właśnie - powiedział znacznie spokojniej. - Kiedy Lucy mnie opuściła, to był cios dla mego umysłu. Ale kiedy ty odeszłaś... - Ku jego konsternacji, zaczął drżeć mu głos. - Kiedy ty odeszłaś, złamałaś mi serce.

A jednak zdołał przykuć jej uwagę. Chociaż Meg w najmniejszym stopniu nie wyglądała na oczarowaną ani nawet bliską rzucenia mu się w ramiona, to przynajmniej słuchała.

Złożył parasol, dał jeszcze jeden krok i stanął.

- Lucy i ja doskonale pasowaliśmy do siebie wyłącznie w mojej głowie.

Tak wiele mieliśmy ze sobą wspólnego, że to, co zrobiła, wydawało mi się bez sensu. Całe miasteczko czekało w kolejce, żeby mi wyrażać współczucie. Powiedziałem sobie, że prędzej mnie diabli wezmą, niż pozwolę, żeby ktoś widział, jaki jestem żaloszny. Nie potrafiłem... nie potrafiłem się odnaleźć. A w środku tego wszystkiego tkwiłaś ty, jak piękny cień w moim boku, zmuszając mnie, żebym się znowu poczuł

sobą. Tylko że... - Przygarbił się, strużka deszczowej wody spłynęła mu po kołnierzu. - Czasami logika bywa wrogiem. Skoro tak bardzo pomyliłem się co do Lucy, jak mogłem ufać temu, co poczułem do ciebie?

Stała bez ruchu, bez słowa. Słuchała.

- Chciałbym móc powiedzieć, że natychmiast po twoim wyjeździe zdałem sobie sprawę, jak bardzo cię kocham. Ale wtedy byłem zbyt zajęty wściekaniem się, że mnie zostawiłaś. Nie mam wielkiej wprawy we

wściekaniu się, więc zajęło mi trochę czasu, zanim zrozumiałem, że naprawdę wściekam się na samego siebie. Ze jestem uparty i głupi. I wystraszony. Dotąd wszystko przychodziło mi tak łatwo, ale przy tobie nic nie było łatwe. Ani to, co dzięki tobie poczułem. Ani sposób, w jaki mnie zmusiłaś, żebym spojrzał na samego siebie. - Ledwie mógł

oddychać. - Kocham cię, Meg. Chcę się z tobą ożenić. Chcę każdej nocy z tobą spać, chcę się z tobą kochać, chcę mieć z tobą dzieci. Chcę żebyśmy razem walczyli, razem pracowali - po prostu byli razem. A teraz będziesz dalej tak stać i gapić się na mnie, czy uznasz, że możesz skrócić moje cierpienia i powiedzieć, że nadal mnie kochasz? Chociaż trochę?

Wpatrywała się w niego. Niewzruszonymi oczami. Bez uśmiechu.

- Pomyślę o tym i dam ci znać.

Odeszła, zostawiwszy go stojącego samotnie na deszczu.

Ted upuścił parasol, potykając się dobrnął do mokrej balustrady i zacisnął

palce na jej chłodnym metalu. Oczy go piekły. Nigdy w życiu nie czuł

takiej pustki i samotności. Zapatrzony w port, rozważał, co jeszcze mógł

powiedzieć, żeby przekonać Meg. Nic. Pojawił się zbyt późno. Ona nie miała cierpliwości dla maruderów. Zredukowała straty i ruszyła naprzód.

- Okay, zastanowiłam się - rozległ się głos za jego plecami. - Co mi zaproponujesz?

Odwrócił się. Serce dławilo go w gardle, deszcz zacinał po twarzy.

- Och... Moją miłość?

- To już słyszałam. Co jeszcze?

Stała przed nim gwałtowna, silna i absolutnie zachwycająca. Mokre, posklejane rzęsy otaczały oczy, które teraz nie wydawały się ani niebieskie, ani zielone,

tylko przybrały barwę deszczowej szarości. Policzki jej płonęły, włosy stały w ogniu, usta były obietnicą czekającą, by się o nią upomniał. Serce biło mu jak szalone.

- A co byś chciała?

- Kościółek.

- Planujesz tam znów zamieszkać?

- Może.

- Więc nie. Nie dostaniesz go.

Wyglądało, że się nad tym zastanawia. Ted słyszał w uszach szum własnej krwi.

- A resztę twego ziemskiego dobytku?

- Wszystko jest twoje.

- Ale ja tego nie chcę.

- Wiem. - Coś rozkwitło mu w piersi, coś ciepłego i pełnego nadziei.

Zerknęła na niego, mrużąc oczy. Deszcz skapywał

jej z czubka nosa.

- Będę widywać twoją matkę tylko raz w roku. Na Halloween.

- Może jeszcze zmienisz zdanie. To ona w sekrecie wylicytowała najwyższą stawkę, żebyś wygrała.

W końcu wytrącił Meg z równowagi.

- Twoja matka? Nie ty?

Musiał się opanować, żeby nie nie pochwycić jej w objęcia.

- Wtedy byłem jeszcze na etapie wściekania się. Ona uważa, że jesteś -

uwaga, cytuję - wspaniała.

- Interesujące. No dobrze, a jeśli trafi się jakiś element sporny?

- Nie będzie żadnych elementów spornych.

- To tobie się tak wydaje. - Po raz pierwszy miała niepewną minę.

- Wolałabyś... wolałabyś mieszkać gdzie indziej?

Nie w Wynette?

Powinien był przewidzieć, że do tego dojdzie. Ale nie przewidział.

Oczywiście, po wszystkim, co ją spotkało w Wynette, ona nie chciała tam wracać. Ale co z jego rodziną, przyjaciółmi, z jego korzeniami? Tak głęboko wrósł w tę skalistą ziemię, że stał się jej częścią.

Popatrzył w twarz kobiecie, która zażądała jego duszy.

- Zgoda - odparł. - Zostawię Wynette. Możemy się przeprowadzić, dokądkolwiek zechcesz.

Meg zmarszczyła brwi.

- Co ty pleciesz? Nie powiedziałam, że na zawsze. Rany, zwariowałeś?

Wynette to dom. Aleja na serio mówiłam o ukończeniu studiów, więc będziemy potrzebowali jakiegoś kąta w Austin. Zakładając, że się dostanę na UT.

- Boże, oczywiście, że się dostaniesz. - Głos znowu mu się załamał. -

Wybuduję ci pałac. Gdzie tylko sobie życzysz.

Wreszcie wyglądała na równie wzruszoną jak on.

- Zostawiłbyś dla mnie Wynette?

- Zostawiłbym dla ciebie całe moje życie.

- Okej, autentycznie zaczynasz mnie wkurzać. - Ale nie zabrzmiało to, jakby była wkurzona. Zabrzmiało, jakby była naprawdę szczęśliwa.

Spojrzał jej głęboko w oczy. Chciał, żeby dokładnie zrozumiała, że mówi poważnie.

- Nic dla mnie nie jest ważniejsze niż ty.

- Kocham cię, Teddy Beaudine. - W końcu padły słowa, na które tak bardzo czekał. A potem z radosnym okrzykiem Meg rzuciła mu się na piersi, przywierając mokrym, zimnym ciałem do jego ciała, wtulając mokrą zimną twarz w jego szyję, dotykając mokrymi, ciepłymi wargami jego ucha. -  
Nasze problemy z uprawianiem miłości rozwiążemy później -

szeptnęła.

O, nie. Nie mogła tak łatwo przejąć prowadzenia.

- Do diabła, rozwiążemy je natychmiast.

- Zakład stoi!

Tym razem to ona ciągnęła jego. Wrócili biegiem do limuzyny. Ted wydał kierowcy kilka krótkich poleceń i podczas gdy pokonywali kilka przecznic dzielących ich od pobliskiego Ritza, całował Meg do utraty tchu. Wpadli do hotelowego holu bez bagażu, w ubraniach ociekających wodą. Niedługo potem znajdowali się już za zamkniętymi drzwiami ciepłego, suchego pokoju, którego okna wychodziły na ciemny, zalany deszczem port.

- Czy wyjdiesz za mnie, Meg Koranda? - zapytał Ted, holując ją do łazienki.

- Zdecydowanie tak. Ale zatrzymam swoje nazwisko, żeby wkurzać twoją matkę.

- Doskonale. A teraz zrzucaj te ciuchy.

Więc zaczęli się rozbierać - i on, i ona - podskakując na jednej nodze, podtrzymując się nawzajem, płacząc się w rękawach koszul i mokrych nogawkach spodni. Ted odkręcił wodę w obszernej kabynie prysznicowej, ale Meg wskoczyła tam przed nim, oparła się o marmurowe płytki i rozwarła nogi.

- Pokaż, czy potrafisz użyć swoich zdolności do robienia zła zamiast dobra.

Roześmiał się i przyłączył się do niej. Trzymał ją w ramionach, całując, kochając się z nią, pragnąc jej, jak nikogo dotychczas. Po tamtym okropnym dniu na składowisku obiecał sobie nigdy więcej nie stracić samokontroli, ale widok tego ciała, dotyk tego ciała sprawiły, że zapomniał

o wszystkim, co wiedział na temat właściwych sposobów kochania się z kobietą. Bo to nie była jakakolwiek kobieta. To była Meg. Jego zabawna, piękna ukochana, której nie potrafił się oprzeć. I, Boże, o mało jej nie utopił.

Wreszcie oprzytomniał. Nadal był w niej. Spojrzała na niego z podłogi, a szeroki uśmiech jak słoneczny blask wypłynął na jej usta.

- No, dalej. Przepraszaj - powiedziała. - Wiem, że chcesz.

Zrozumienie tej kobiety mogło mu zająć ze sto lat.

Przewróciła go na plecy, sięgnęła do góry, żeby jednym trzepnięciem dłoni wyłączyć wodę, i posłała mu grzeszne spojrzenie.

- Teraz moja kolej.

Nie miał siły się opierać.



Kiedy wreszcie opuścili kabinę prysznicową, pootulali się w płaszcze kąpielowe, wytarli sobie nawzajem włosy i udali się do łóżka. Ale zanim się położyli, Ted podszedł jeszcze do okna, żeby zaciągnąć zasłony.

Przestało już padać. Z oddali spoglądała na niego Pani Portu. Czuł, że się uśmiecha.

## *Epilog*

MEG ODMÓWIŁA WYJŚCIA ZA MAŻ, dopóki nie uzyska stopnia naukowego.

- Geniusze zasługują na to, żeby poślubiać absolwentki wyższych uczelni

- oznajmiła.

- Ten geniusz zasługuje na to, żeby natychmiast poślubić kobietę, którą kocha, a nie czekać, aż ona zdobędzie dyplom. - Jednak chociaż narzekał

i zrzędził, rozumiał, jakie to dla niej ważne. Nawet jeśli nie chciał tego przyznać.

Bez niej życie w Wynette było nudne i wszyscy bardzo już na nią czekali, ale mimo licznych telefonów i sporadycznych wizyt w jej malutkim mieszkanku w Austin, Meg uparła się nie postawić nogi w granicach miasteczka aż do dnia swego ślubu.

- Gdybym wróciła wcześniej, niż muszę, to byłoby kuszenie losu -

oznajmiła członkiniom komitetu odbudowy biblioteki, kiedy stanęły w jej drzwiach z dzbankiem z Rubbermaid zawierającym słynne mojito Birdie i do połowy opróżnioną torbą kukurydzianych chipsów. - Przecież wiecie, że kiedy tylko się pojawię, zaraz wpakuję się w jakieś kłopoty.

Kayla, która zmniejszała spożycie kalorii, jedząc tylko połamane chipsy, zanurzyła rękę w głąb torby.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Od samego początku wszyscy bardzo się starali, żebyś czuła się jak w domu.

Lady Emma westchnęła. Shelby dała szturchańca Zoey.

- To dlatego, że Meg jest Jankeską. Jankeski nie doceniają południowej gościnności.

- Otóż to. - Torie oblizwała palce z soli. - W dodatku, kiedy tracimy czujność, kradną naszych mężczyzn.

Meg wywróciła oczami, dopiła do dna swoje mojito i wyrzuciła gości, bo musiała dokończyć referat na temat eutrofizacji. Potem pobiegła nadzorować studenta sztuk pięknych, którego zatrudniła do pomocy przy realizacji zamówień ciągle napływających z Nowego Jorku. Nie zważając na pełne oburzenia protesty Teda, jego rodziców, swoich rodziców, swoich braci, komitetu odbudowy biblioteki i całej reszty Wynette, nadal sama płaciła swoje rachunki, aczkolwiek rozluźniła zasady na tyle, że przyjęła od Teda lśniącą czerwoną toyotę prius jako prezent zaręczynowy.

- Ty mi dałeś samochód - powiedziała - a ja mam dla ciebie tylko ten nędzny klips do banknotów.

Ale on był zachwycony klipsem do banknotów, w który Meg wkomponowała rzadki grecki medalion przedstawiający Gaję, boginię ziemi.

Ted nie mógł spędzać w Austin aż tyle czasu, ile początkowo planował, więc chociaż rozmawiali po kilka razy dziennie, tęsknili za sobą rozpaczliwie. Jednak nie była to odpowiednia pora na oddalanie się z Wynette. Wreszcie udało mu się zgromadzić starannie dobrany zespół

inwestorów zainteresowanych budową centrum gry w golfa. Do grona tego należeli: Dallye, Kenny, Skeet, Dex O'Connor, paru powszechnie znanych zawodowych golfistów i kilku teksańskich biznesmanów, z których żaden nie

działał w branży wodno-kanalizacyjnej. Zdumiewające, ale pojawił się znów Spencer Skipjack, z właściwą sobie arogancją przekonany, że da się zapomnieć o „nieporozumieniu”. W odpowiedzi usłyszał, że to nie było nieporozumienie i powinien trzymać się produkcji sedesów.

Dla siebie Ted zachował pakiet kontrolny centrum, by powstawało zgodnie z jego wyobrażeniami. Entuzjazmował się tym projektem, ale był

przeciążony nadmiarem obowiązków. A ponieważ według planu prace budowlane miały ruszyć zaraz po ślubnych uroczystościach, roboty mogło mu tylko przybywać. Często mówił o tym, jak bardzo potrzebuje kogoś, kto podzielałby jego wizje i na kim mógłby polegać, jednak dopiero gdy Kenny przyjechał do Austin i zmusił ją do rozmowy w cztery oczy, Meg uświadomiła sobie, że osoba, z którą Ted chce pracować, to właśnie ona.

- Ted wie, ile znaczy dla ciebie powrót na studia i zdobycie stopnia magistra - powiedział Kenny. - Dlatego sam cię nie poprosi.

Decyzja nie zajęła jej więcej niż pięć sekund. Praca u boku ukochanego mężczyzny nad projektem takim jak ten była właśnie jej wymarzoną zajęciem.

Ted nie posiadał się ze szczęścia, kiedy zapytała, czy może mu pomagać.

Przez kilka godzin rozmawiali o swojej przyszłości i spuściźnie, którą zamierzali po sobie zostawić. Chcieli zamieniać skażone tereny w miejsca, gdzie wszystkie rodziny, nie tylko zamożne, będą urządzać pikniki albo grać w piłkę - miejsca, gdzie dzieciaki będą mogły łapać świetliki, słuchać śpiewu ptaków i łowić ryby w czystej, niezatrutej wodzie.

Na koniec Meg wyznaczyła datę ślubu. Miał się odbyć dokładnie w rok -

bez jednego dnia - od tamtej soboty, gdy Ted miał poprowadzić Lucy do ołtarza. Fran cesca gorąco zaprotestowała i narzekała na ten pomysł

jeszcze na trzy dni przed ceremonią, kiedy Meg - już z dyplomem -

wróciła do Wynette.

Ted pognął do miasta otworzyć pokaz w czynnej od niedawna bibliotece, a Meg klapnawszy na stołek przy kontuarze w kuchni swojej przyszłej teściowej, zabrała się do śniadania. Francesca podsunęła jej opiekane bajgle.

- Jakbyś nie miała całej masy innych dat do wyboru - powiedziała. -

Słowo daję, Meg, gdybym cię nie znała, przysięgłabym, że próbujesz na was ściągnąć pecha.

- Wręcz przeciwnie. - Meg posmarowała bajgiel grubą warstwą jeżynowego dżemu. - Podoba mi się symbolika radosnego nowego życia powstającego z tragicznych popiołów przeszłości.

- Jesteś tak samo dziwna jak Teddy - oznajmiła z irytacją Francesca. - Nie do wiary, ile mi zeszło czasu, zanim sobie uświadomiłam, że idealnie do siebie pasujecie.

Meg uśmiechnęła się szeroko.

Dallie podniósł wzrok znad kubka z kawą.

- Tutejszym ludziom podoba się, że ona jest trochę dziwna, Francie.

Dzięki temu lepiej pasuje.

- Trochę dziwna to mało powiedziane - odezwał się Skeet ukryty za gazetą. - Wczoraj bez powodu mnie uściskała. O mało nie dostałem zawału.

Dallie pokiwał głową.

- Ona już taka jest.

- Halo, ja tu siedzę - przypomniała im.

Ale Dallie i Skeet zaczęli dyskutować, który z nich lepiej się nadaje, żeby udzielać jej lekcji golfa, kompletnie lekceważąc fakt, że ona na nauczyciela wybrała już Torie.

Francesca jeszcze raz usiłowała wydostać jakieś szczegóły na temat ślubnej sukni, ale Meg odmówiła odpowiedzi.

- Zobaczysz ją wtedy, kiedy wszyscy pozostali.

- Nie rozumiem, dlaczego pokazałaś ją Kayli, a mnie nie.

- Bo ona jest moją stylistką, a ty tylko zrzędzącą przyszłą teściową.

Pani Beaudine nie zawracała sobie głowy kwestionowaniem drugiej części zdania.

- Wiem o modzie tyle samo co Kayla Garvin.

- Bez wątplenia więcej. Ale i tak zobaczysz suknię, dopiero kiedy będę szła główną nawą kościoła. -

Meg cmoknęła Francescę w policzek i pobiegła do zajazdu spotkać się ze swoją rodziną.

A niedługo potem przyjechała Lucy.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - zapytała Lucy, kiedy przyjaciółka poprosiła ją, by uczestniczyła w ceremonii ślubnej.

- Nie mogłabym wyjść za mąż bez ciebie.

Miały sobie tyle do powiedzenia, że pojechały do kościołka, gdzie mogły nadrobić zaległości bez obaw, że ktoś podsłucha. W końcu Ted znalazł je obie siedzące wygodnie na brzegu pływackiego zakątka. Początkowe uczucie skrępowania pomiędzy dawnymi kochankami dawno już pierzchło. Teraz gawędzili jak para przyjaciół, którymi na zawsze zamierzali pozostać.

Przyjęcie przedślubne odbyło się w podmiejskim klubie golfowym, tak samo jak za pierwszym razem.

- Czuję się, jakbym weszła w spiralę czasu - szepnęła Lucy, kiedy już znalazły się na miejscu.

- Tylko że tym razem możesz się rozluźnić i dobrze bawić - odparła Meg.

- Będzie śmiesznie, obiecuję.

I było, bo mieszkańcy Wynette osaczyli Jake'a i Fleur, żeby wygłaszać pochwały na cześć Meg.

- Państwa córka to najlepszy pracownik, jakiego kiedykolwiek zatrudniałam. - W głosie Birdie brzmiała

absolutna szczerłość. - Praktycznie prowadziła zajazd. Prawie niczego nie musiałam robić.

- Jest dość bystra - odparła Fleur z kamienną miną. Zoey bawiła się wytwornymi egipskimi kolczykami.

- Nie mają państwo pojęcia, jaki ona miała korzystny wpływ na mój sposób ubierania się. - Wsunęła dłoń do kieszeni, gdzie umieściła - o czym Meg przypadkowo wiedziała - błyszczący naszyjnik z kapsli, żeby móc go szybko nałożyć, kiedy zjawi się matka Huntera Graya.

- Odkąd wyjechała, klub nie był już tym samym miejscem - wyznała z uczuciem Shelby. - Nigdy by państwo nie uwierzyli, jak niektórym ludziom trudno jest odróżnić mrożoną herbatę Arizona od dietetycznej.

Teraz była kolej Kayli, ale Birdie musiała szturchnąć ją pod żebro, żeby odwrócić jej uwagę od zachwycających braci Korandów. Kayla zamrugła i sumiennie zrobiła swoje w ramach polerowania reputacji Meg.

- Słowo daję, po jej wyjeździe nic prawie nie zarobiłam. Byłam kompletnie załamana. Biżuteria Meg praktycznie utrzymywała mój sklep na powierzchni. A poza tym, to jedyna kobieta w Wynette, oprócz

Torie i mnie, która potrafi docenić nowatorskie fasony.

- Wszystkie jesteście bardzo kochane - powiedziała z teksańskim akcentem Meg, po czym, już głośno, poinformowała rodziców: - One wspólnie podjęły terapię elektrowstrząsową. W ten sposób mają grupowy rabat.

- Żadnej wdzięczności w tej dziewczynie - prychnęła Shelby do lady Emmy.

Torie sięgnęła po krabowe ciasteczko.

- Zawsze możemy powierzyć jej komitet do spraw miejskiego placu zabaw. To ją oduczy traktowania nas bez szacunku.

Meg jęknęła, lady Emma uśmiechnęła się, a Lucy była kompletnie oszołomiona.

- Jak to się stało? - zapytała, kiedy przyłapała Meg samą. - Ty całkowicie tutaj pasujesz. I to nie jest komplement.

- Wiem - odparła Meg. - Dla mnie to też pewne zaskoczenie.

Ale Lucy sprawiała wrażenie lekko urażonej.

- Mnie traktowały zawsze wyłącznie uprzejmie. Najwyraźniej nie byłam dla nich dość dobra. Ja, córka prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Natomiast ciebie -Miss Zamieszania - ciebie, kochają.

Meg uśmiechnęła się i uniosła kieliszek w kierunku Szalonych Kobiet z Wynette.

- Dobrze się rozumiemy.

Fleur odciągnęła Lucy. U boku Meg pojawił się Ted i razem obserwowali, jak Kayla i Zoey przypuszczają szturm do jej braci. Ted pociągnął ze swego kieliszka łyk wina.

- Shelby zawiadomiła twoich rodziców, że ma takie przeświadczenie, że jesteś w ciąży.

- Jeszcze nie.

- Pomyślałem, że pewnie powiedziałaś mi pierwszemu. - Popatrzył

w stronę kobiet. - A może nie. Jesteś absolutnie pewna, że chcesz tu mieszkać?

Meg uśmiechnęła się.

- Nie mogłabym mieszkać gdzie indziej. Jego palce wślizgnęły się pomiędzy jej.

- Jeszcze tylko jedna noc i wreszcie skończy się to twoje głupie seksualne moratorium. Nigdy nie zrozumie, jak mogłem w ogóle dać ci się na to namówić.

- Nie wiem, czy cztery dni możesz nazywać moratorium.

- Z całą cholerną pewnością tak to odczuwam. Roześmiała się i pocałowała go.

Jednak zanim nadeszło popołudnie następnego dnia była kłębkim nerwów i ani Lucy, ani żadna z pięciu

pozostałych uczestniczek jej ślubnego orszaku nie mogła jej uspokoić.

Georgie i April - razem ze swoimi sławnymi mężami - przyleciały z L.A., a Sasha przyjechała z Chicago. Meg czuła, że byłoby też nie w porządku iść do ołtarza bez Torie i lady Emmy. Wszystkie drużny wyglądały oszaleńczo w klasycznych, gołębioszarych jedwabnych sukniach bez rękawów, różniących się nieznacznie tylko zestawem guziczków z górskiego kryształu, których pasma ciągnęły się wzdłuż pleców.

- Kiedy ta balanga już się skończy, Kayla wystawi je za nas na eBayu -

oznajmiła Torie, kiedy wszystkie razem z Meg zgromadziły się w przedsionku kościoła. - Twierdzi, że zbijemy fortunę.

- Którą przekażemy na cele charytatywne - powiedziała stanowczo lady Emma.

Widok Meg w ślubnej sukni sprawił, że, jak było do przewidzenia, Fleur stanęły łzy w oczach. Torie i lady Emmie też, chociaż z innego powodu.

- Jesteś absolutnie pewna? - szepnęła Torie do Meg, gdy wszystkie wchodziły do kruchty, żeby ustawić się do procesji.

- Niektóre rzeczy są nam przeznaczone.

Kiedy Lucy organizowała krótki orszak panny młodej, Meg ścisnęła mocniej swój bukiet. Jej suknia ślubna, z gorsetem na fiszbinach, zwiewnymi, zakrywającymi tylko nasadę ramienia rękawkami, smukłą linią i delikatnymi zdobieniami, tworzyła na plecach głęboki dekolt w kształcie litery V. Stroju dopełniał leciutki jak mgiełka welon Fleur Korandy i tiara z austriackich kryształów.

Zabrzmiały trąbki, sygnał dla Teda, żeby wraz ze swoim drużbą, Kennym, przeszedł do przedniej części głównej nawy. Chociaż z kruchty Meg nie mogła widzieć narzeczonego, jednak podejrzewała, że stosowny strumień słonecznego światła wybierze właśnie tę chwilę, żeby wlać się przez witrażowe okna i otoczyć go jednym z tych absurdalnych nimbów.

Z każdą minutą była coraz bardziej niespokojna.

Lady Emma uszeregowała drużny. W narastającym panice Meg patrzyła, jak pierwsza do głównej nawy weszła April, za nią Torie, następnie Sasha. Dłonie panny młodej lepiły się od potu, serce waliło zbyt szybko.

Zniknęła Georgie. Zostały tylko lady Emma i Lucy.

Lucy szepnęła:

- Wyglądasz pięknie. Dziękuję, że jesteś moją przyjaciółką.

Próbowała się uśmiechnąć. Naprawdę próbowała. Ale lady Emma też odeszła i była już tylko Lucy. Meg dygotała z zimna na całym ciele.

Teraz pierwsza drużyna ruszyła naprzód.

Dłoń panny młodej wystrzeliła do przodu i chwyciła ją za rękę.

- Zaczekaj!

Lucy obejrzała się przez ramię.

- Przyrowadź go - wydyszała Meg. Lucy wytrzeszczyła na nią oczy.

- Nabierasz mnie, prawda?

- Nie. - Meg haustami chwyciła powietrze. - Muszę go zobaczyć.

Natychmiast.

- Meg, nie możesz tego zrobić.

- Wiem. To potworne. Ale... Przyrowadź go. Proszę.

- Tak myślałam, że przyjazd do Wynette to zły pomysł - mruknęła Lucy.

Potem wzięła głęboki oddech, przywołała na twarz swój dawny uśmiech z Białego Domu i ruszyła główną nawą w stronę ołtarza.

Ten uśmiech tkwił niewzruszenie na jej ustach, dopóki nie stanęła przed Tedem.

Popatrzył na nią bacznie. Ona popatrzyła na niego.

- O... och - sapnął Kenny. Oblizwała wargi.

- Hm... Przykro mi, Ted. Jeszcze raz. Jeszcze raz mi przykro. Ale... Meg chce cię widzieć.

- Stanowczo radzę, nie idź - szepnął Kenny.

Ted odwrócił się do wielebnego Harrisa Smithwella.

- Przepraszam na moment.

W tłumie wybuchła wrzawa, ale pan młody kroczył środkiem nawy, nie rozglądając się na prawo ani na lewo, z oczami utkwionymi w stronę kobiety, która czekała na niego u drzwi świątyni.

W pierwszej chwili widział tylko ukochaną twarz w oprawie spienionej bieli. Policzki Meg były trupioblade, podobnie jak knykcie zaciśniętych na bukiecie palców. Zatrzymał się tuż przed nią.

- Ciężki dzień?

Meg przytuliła czoło do jego policzka, wpychając narzeczonemu w oko ozdoby tiary, która przytrzymała jej welon.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham? - zapytała.

- Prawie tak bardzo jak ja ciebie - odparł, całując ją delikatnie w nos, żeby nie zrujnować jej makijażu. - Swoją drogą, pięknie wyglądasz. Chociaż...

Przysiągłbym, że już tę suknię widziałem.

- Bo to suknia Torie.

- Torie?

- Jeden z jej używanych ciuchów ze sklepu Kayli. To swego rodzaju spełnienie powszechnych oczekiwań, nie uważasz?

Uśmiechnął się.

- Mam głęboką nadzieję, że to ta ze ślubu z Deksem, a nie z jej wcześniejszych porażek.

- Yhm - przytaknęła Meg i pociągnęła nosem. - Masz... masz całkowitą pewność, że dobrze robisz? Jestem bardzo nieuporządkowana.

Jego oczy chłonęły jej urodę.

- Bywa, że niektórzy są zbyt akuradni, kochanie.

- Poza tym... Spójrzmy prawdzie w oczy. Jestem inteligentna, ale nie tak inteligentna jak ty. Chodzi mi o to... prawie nikt taki nie jest, ale mimo wszystko. Jest ewentualność, że będziemy mieli tępe dzieci. Nie naprawdę tępe, ale... relatywnie rzecz biorąc.

- Rozumiem, kochanie. Pierwszy ślub w życiu każdego potrafi wykończyć nerwowo. Nawet taką odważną osobę. Szczęśliwie, ja już mam doświadczenie ze ślubami, więc umiem ci pomóc. - Tym razem zaryzykował rujnację makijażu i czule pocałował Meg w usta. - Im szybciej przez to przejdziemy, tym szybciej będę mógł rozebrać cię do naga, stracić samokontrolę i po raz kolejny się skompromitować.

- To prawda. - Wreszcie kolory zaczęły wracać na jej policzki. - Ale ze mnie idiotka. To przez ten wielki stres. Kiedy się stresuję, czasem zapominam, że jestem dla ciebie wystarczająco dobra. Za dobra. Bo ty nadal jesteś popapwany emocjonalnie, wiesz. Z tą potrzebą zadowalania całej ludzkości.



- Będziesz mnie strzegła przede mną samym. -

i przed wszystkimi innymi, pomyślał.

- Zapowiada się praca na cały etat.

- Bierzesz ją? Nareszcie się uśmiechnęła.

- Biorę.

Ted skradł narzeczonej kolejnego całusa.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham, prawda?

- Wiem.

- To dobrze. Trzymaj się tej myśli. - Zgarnął ją w objęcia i zanim zdążyła mu powiedzieć, że nie ma takiej potrzeby - że już się pozbierała, a on ma ją natychmiast postawić na podłogę - zanim zdążyła mu cokolwiek z tego powiedzieć, poniósł ją przez kościół.

- Ta - oznajmił wszystkim zebranym - nie ucieknie.

*Od Autorki*

Każda książka, którą piszę, to niezależna całość, co nie przeszkadza bohaterom wędrować z jednej powieści do drugiej. Do tej zawędrowało wielu dawnych przyjaciół - Francesca i Dallie Beaudine'owie z *Wymyślnych zachcianek*; Nealy Case i Mat Jorik z *Pierwszej Damy*; Fleur i Jake Korandowie z *Laleczki*; Kenny Traveler i Emma (ups... lady Emma) z *Nie będę damą*, gdzie ujęty jest też niekonwencjonalny romans Torie i Deksa. *Z miłości* pozwala przelotnie rzucić okiem na wcześniejsze losy Meg, a młodszą wersję Teda można spotkać zarówno w *Wymyślnych zachciankach*, jak i w *Nie będę damą*. I, owszem, Lucy Jorik zasługuje na swój własny happy end. Pisząc te słowa, pracuję już pilnie nad jej historią.

Chciałabym podziękować za udzielanie mi zachęty bardzo wielu osobom, w tym mojej drogiej przyjaciółce i wydawczynie, której nie sposób się oprzeć, Carrie Feron, mojemu wieloletniemu agentowi, Stevenowi Axelrodowi, i moim cudownym entuzjastycznym kibicom w wydawnictwach HarperCollins, William Morrow i Avon Books. Tak, dobrze wiem, jaką jestem szczęściarą, mogąc liczyć na wasze wsparcie i pomoc.

Nie mam pojęcia, co bym zrobiła bez mojej utalentowanej asystentki Sharon Mitchell, która sprawia, że otaczający świat działa bardziej bezproblemowo. Ogrom-

nie dziękuję memu niezrównanemu doradcy do spraw golfa, Billowi Phillipsowi. Jak również Claire Smith i Jessie Niermeyer za podzielenie się swoimi „Opowieściami z wózka do napojów”.

Owacja na stojąco należy się moim koleżankom po piórze: Jennifer Greene, Kristin Hannah, Jayne Ann Krentz, Cathie Linz, Suzette Van i Margaret Watson, a specjalna burza oklasków - Lindsay

Longford.

Uściski dla nowych przyjaciół, których zdobyłam na Facebooku i dla wszystkich niesamowitych, nadzwyczajnych fanów spod znaku SEP na moim forum internetowym!

Susan Elizabeth Phillips [www.susanelizabethphillips.com](http://www.susanelizabethphillips.com)